

Christer Mjåset

Lekarz który wiedział za dużo

Mjåset [...] tak prowadzi opowieść, że czytelnik
nie jest w stanie odłożyć książki na bok.

Kurt Hanssen, *Dagbladet*



smak
słowa

mroczny zaułek



Widok tego miejsca nie sprawił mu przyjemności.

Idąc ścieżką od parkingu krytego przy Szpitalu Uniwersyteckim Akershus, Mads Helmer niechętnie zerkał na drugą stronę ulicy. Za ogrodzeniem wznoszono budynki, które wkrótce miały pomieścić nowy szpital, na dalszym planie zaś ujrzał starego kolosa, który w ciągu nadchodzącego roku miał opustoszeć, a potem zostać zburzony. Wzdrygnął się i ruszył dalej. Silny, śródlądowy mróz zdążył już przesyć go do szpiku kości. Lørenskog był po prostu zimną dziurą, pustkowiec, a on aż nazbyt często żałował, że jego noga kiedykolwiek tu powstała. Chciał mieć to za sobą.

Drżąc z zimna, przeszedł przez ulicę obok przystanku autobusowego. Zbliżało się wpeł do czwartej, skończyła się pierwsza zmiana. Tłum pracowników szpitala płynął w przeciwnym kierunku. Mads niewzruszenie wbijał wzrok w cienką warstwę śniegu na drodze i chował twarz w szalik. Ostatnia rzecz, której teraz pragnął, to natknąć się na znajomego. Dość już, że skupiał się na nieuniknionej konfrontacji z ordynatorem Petterem Flodem. Idąc, starał się oddychać spokojnie. Flod nie bez wahania przystał na krótkie spotkanie. Spytał przez telefon, w czym rzecz, ale Mads oparł się pokusie wykrzyczenia mu tego w słuchawkę. Należało zachować cierpliwość. Po raz ostatni przycisnął rękę do torby, by upewnić się, że ma ze sobą to, co trzeba. Pewnie. Teczka była na właściwym miejscu. Teraz wystarczyło dobrze rozegrać karty. Może uda mu się wówczas wyrwać z kłopotów, które nękały go, odkąd tą samą drogą, tyle że w przeciwnym kierunku, szedł do samochodu służbowego na parkingu.

Wszedł pod pretensjonalne barakowisko, królujące nad wejściem do starego szpitala. W barakach mieściły się biura, które stały tu „tymczasowo” od dobrych dziesięciu lat. Ich wygląd sprawił, że ochrzczono je mianem Mir – po przestarzałej rosyjskiej stacji kosmicznej, którą w 2001 roku strącono do Pacyfiku. Jak na ironię, baraki wkrótce również miały runąć. Minąwszy grupkę palaczy, którzy zebrali się przed drzwiami przesuwными, Mads wszedł do holu i znalazł się przed choinką. Nie wiedział dlaczego, ale w tej samej chwili przed oczami stanęła mu Cecilia. Mała Cecilia, jego sąsiadka. Poczul bolesne ukłucie w piersi. Zdawało mu się, że wciąż słyszy ciche pukanie do drzwi, którym zwykła oznajmiać swe przyjście. Tych świąt nie doczekała, i to z jego winy. Najgorsza była świadomość, że mógł tego uniknąć.

Wszedł na klatkę schodową i zobaczył, że drzwi jednej z wind transportowych właśnie się zamykają. Dał susa i zdążył wśliznąć się do środka. Przy ścianie, obok pustego łóżka szpitalnego, stali mężczyzna i kobieta. Mads zauważył, że kobieta uważnie mu się przygląda, i odwzajemnił jej spojrzenie. Kiedy zorientował się, kim jest, poczuł, że ogarnia go napięcie.

– Cześć, Mads. Dawno się nie widzieliśmy.

Astrid Lindbaek, ordynatorka oddziału anestezjologii, patrzyła na niego prowokacyjnie.

– Cześć – odparł i odwinął szalik.

– Dokąd się wybierasz?

Stojący przy przyciskach mężczyzna spojrzał na niego ponuro. Mads rozpoznał w nim jednego ze starych sanitariuszy. Zerknął na przyciski i spostrzegł, że szóstka już się świeci.

– Tam gdzie wy.

– Wracasz do pracy? – pytała dalej Lindbaek.

Mads pokręcił głową i próbował się uśmiechnąć. Poczul ssanie w żołądku, gdy winda ruszyła w górę, mijając kolejne piętra.

– Nie planuję.

– Słyszałam, że pracujesz jako lekarz rejonowy na północno-zachodnim wybrzeżu. Na wyspie Smøla, prawda?

– Na Hitrze – odparł. – Na Hitrze, w Południowym Trøndelagu, od strony morza,

w południowej części fiordu Trondheim. W prostej linii na północny wschód od Smøli.

– Dane geograficzne nic mi nie mówią – roześmiała się. – Dalej od cywilizacji chyba być nie może.

Wreszcie zabrzmiał sygnał zatrzymania się windy i drzwi powoli się rozsunęły. Mads wysiadł i odwrócił się, by się pożegnać, ale zaraz tego pożałował, bo Lindbaek minęła sanitariusza i szybkim krokiem ruszyła za kolegą.

– A poza tym? – spytała. – Dobrze ci tam, na Hitrze?

Z empatią przekrzywiła głowę, jak psycholog, który zastanawia się, jak miewa się jego klient.

– Lepiej, niż się spodziewałem.

– Pewnie łatwiej ci być lekarzem rodzinnym niż chirurgiem? No, mam na myśli twoją... chorobę?

Słowo „choroba” padło po jednoznacznej pauzie. Właściwie to aż dziwne, jak często użycie terminu „epilepsja” sprawia ludziom problem. Mads zerknął na zegarek. Pech chciał, że miał dużo czasu. Trudno.

– Posłuchaj, muszę lecieć. Spóźniłem się już pięć minut na spotkanie z Flodem.

Lindbaek uniosła brwi.

– Z Petterem?

Słowa zawisły w powietrzu. Mads przytaknął.

– Miło było cię znowu zobaczyć – powiedział, ale Lindbaek nie spuszczała zeń wzroku.

– To wprost okropne, co cię tu spotkało. Śmierć pacjenta to najgorsze, co może przydarzyć się lekarzowi. Wiele razy po twoim odejściu myślałam, że potraktowano cię niesprawiedliwie...

Mads obejrzał się przez ramię w stronę wejścia do oddziału.

– To prawda – odparł i ku swojemu zaskoczeniu poczuł, że przestał się denerwować. Był gotów na konfrontację z Flodem. Odwrócił się do Lindbaek i przyjrzał się jej. Miał nadzieję, że następnym razem, kiedy pomyśli to, co zdradziła mu przed chwilą, odważy się zabrać głos. Ale chyba zbyt wiele wymagał. Przynajmniej dopóki na scenie był Petter Flod.

Ruszył w stronę wejścia na oddział Północny 6. Już naciskając guzik, poznał, kto piekli się w korytarzu. Drzwi otworzyły się z szelestem i dziesięć metrów dalej Mads ujrzał charakterystyczną, wysoką sylwetkę Pettera Floda, zwróconego do niego profilem.

– To nie moja robota, do ciężkiej cholery!

Flod dźgał palcem plik papierów, które sekretarka przyciskała do piersi.

– Ale Laila powiedziała, że...

– Nie słyszy pani, co mówię? Nie mam czasu na taką gównianą robotę! Proszę porozmawiać z pielęgniarką!

– Ale musi pan podpisać...

– ... kiedy papiery będą gotowe. Głucha pani czy co?!

Mads stanął przed nimi i skinął głową.

– Dzień dobry.

Flod zerknął na niego i prychnął gniewnie, po czym odwrócił się do sekretarki.

– Won mi stąd, i to już!

Mads stał, czekając, a tymczasem Flod wziął głęboki oddech i zatrzymał powietrze w płucach, jakby chciał zobrazować skalę swej rezygnacji.

– Nie sądziłem, że pan przyjdzie – rzekł i wreszcie odetchnął.

– Ale jestem.

– Skoczmy do Mira. Chyba nie potrwa to długo?

W ciasnym, podłużnym biurze unosił się nieokreślony, kwaśny zapach. Flod odgarnął brudne ubrania robocze, leżące na leśnozielonej kanapie pod ścianą, po czym okręcił fotel biurowy i usiadł.

– Siadaj pan, do cholery! Coś mnie strzela, jak ludzie stoją.

Zrzucił chodaki ze stóp i rozparł się w fotelu. Mads wykonał polecenie. Na kanapie siedziało mu się równie niewygodnie, co ostatnio. Położył torbę na kolanach i starał się nie myśleć o spotkaniu w tym właśnie pokoju zaledwie kilka miesięcy temu. Tuż po fatalnej operacji. Spokojnie wziął oddech, przyglądając się ordynatorowi. Szorstka, ogolona skóra układała się w głębokie zmarszczki wokół kącików ust, dodając ciężkości srogiemu wyrazowi twarzy. Ordynator Peter Flod mieszał z błotem każdego, kto odważył się mu sprzeciwić. Cały szpital o tym wiedział.

– Słyszałem o wypadku – rzekł Flod. – Co za tragedia. To przez jelenia, prawda?

Mads wzruszył ramionami.

– Podobno.

– Czyli został pan teraz sam w przychodni?

– Już tam nie pracuję.

– Co?

Mads udał, że nie zauważył zmiany na twarzy Floda.

– Wylali mnie.

Flod zmarszczył brwi i stęknął przeciągle.

– Spokojnie – ciągnął Mads. – Nie przyszedłem tu starać się o pracę.

Flod oparł nogi o brzeg kanapy i splótł ręce na piersi. Brodę opuścił na szyję. Nieufnym wzrokiem mierzył Madsa.

– Co za ulga – burknął.

– Co słyszać? Widzę, że nowy szpital zaczyna nabierać kształtu.

Flod gapił się na niego jeszcze przez kilka sekund, po czym uśmiechnął się szyderczo. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że nie ma nic przeciwko rozmowie na ten temat.

– Niech pan się cieszy, że już pan u nas nie pracuje. Pełno tu draństwa. Gdybym miał opowiedzieć panu o nowym Ahus, byłaby to opowieść o obietnicach-cacankach i zgniłych kompromisach, które psują jakość pracy lekarzy. A jakby tego było mało, okazuje się, że dyrektor zamierza utworzyć osobny oddział dla wszystkich pielęgniarzy.

– Aha. Czy to ma aż takie znaczenie?

Flod nagle roześmiał się ostro.

– Niech mi pan wierzy, że ma. My, lekarze, tracimy coraz więcej przywilejów, które kiedyś nam przysługiwały. To, że pielęgniarze będą się teraz rządzić sami, jest dla nas gwoździem do trumny – Flod wyprostował się w fotelu i unióśł palec. – Wie pan, kiedyś w tym budynku znajdowała się stołówka dla lekarzy. Można było zerwać z głowy czepek operacyjny, zbiec do piwnicy i w ciągu kilku minut dostać gorący posiłek. A teraz, cholera, nie mam czasu korzystać ze stołówki. Musimy liczyć się ze staniem w kolejce, ciągnącej się aż na korytarz, z taksówkarzami, odwiedzającymi i budowlancami. Potrzeba pół godziny, żeby kupić byle przekąskę – Flod opuścił rękę i wydał pomruk. – Nie, mówię panu. Tracimy wpływy, a ludzie przestają nas szanować. W takim to zmierza kierunku. *Open spaces*, pielęgniarze w roli szefów, podwyżki, których nie sposób porównać z tym, co dostają inni, i stała groźba, że zrobią z nas zwykłych pracowników zmianowych. To jak sól w cemencie, panie Helmer. Opowiadałem panu chyba tę historię?

Mads przesunął ręką po torbie trzymanej na kolanach. Pewnie, że opowiadał. Może nawet dziesięć razy. Jakiś głos mówił mu jednak, że powinien pozwolić Flodowi przytoczyć ją po raz

ostatni – zanim przejdą do kolejnego etapu spotkania. Sam miał w zanadrzu historię, którą chciał się podzielić. Nie dość, że dotyczyła ona Floda, jego samego i wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu ostatniego miesiąca, to jeszcze zaczęła się trzydzieści pięć lat temu. Teraz zaś, za chwilę, miała dobiec końca.

Podniósł wzrok.

– Jaką historię?

W odpowiedzi usłyszał zadowolony rechot Floda.

Część 1

Padał śnieg, a Madsa coś zaniepokoiło. Skręcił do zatoczki autobusowej przy zjeździe na Sandstad i poczuł, jak ślizgające się koła starego mercedesa nieruchomieją na śniegu. Wrzucił luz i szybko wdepnął pedał hamulca. Lewa ręka przyciskała się już płasko do piersi, serce mu dudniło. Mgliste uczucie, które naszło go, kiedy przejeżdżał przez wzgórza i po łagodnie spadzistym odcinku zmierzał w stronę skrzyżowania przy kościele, minęło. Nie zdołał jednak oprzeć się z powrotem w fotelu. Siedział tylko sztywno wyprostowany i z trudem łapał powietrze, podczas gdy sekundy płynęły, a wycieraczkę przesuwają się rytmicznie po szybie, próbując jak najdokładniej zebrać padający śnieg.

Czyżby to był mały napad? Najwyraźniej. Nie widział innego wyjaśnienia. Aż za dobrze znał te odczucia. Czasem odpływały niewinnie, ale innym razem – z rzadka – urastały do ssania w przeponie, przechodziły w intensywne, cienkie owadzie brzęczenie, po czym w najgorszym razie mógł stracić przytomność i przewrócić się na ziemię w upokarzających drgawkach. Padaczka, *morbis demonicus*, epilepsja. To cholerstwo miało wiele nazw.

Aby uspokoić łomoczące serce, zmusił się do wolniejszego oddechu. Ciało wciąż drżało po tej przykryj niespodziance. Kiedy miał ostatni napad? Dwa lata temu? Trzy? Tak, to musiało być przed trzema laty. Długo był w stabilnym okresie. Nie bez przyczyny. Starał się o to. Przyjmował leki, kiedy było trzeba, jadł i spał regularnie. Nie przepracowywał się. Nie pił alkoholu. Nie było żadnego powodu, z którego to draństwo miałyby się ocknąć właśnie teraz.

W blasku reflektorów patrzył na padający śnieg, a silnik warczał przyjemnie. Przez cały listopad utrzymywała się łagodna pogoda, ale potem w ciągu paru dni ziemia, drogi i dachy domów na całej wyspie pokryły się równą, białą warstwą. Wszystkie dźwięki zostały stłumione i wróciło do niego uczucie zimy, które pamiętał z dzieciństwa w Lillehammer. Nie było ono przyjemne. Mads nie lubił śniegu. Śnieg oznaczał, że on zostawał w domu, podczas gdy ojciec z bratem znikali na nartach. Ojciec mówił, że tak jest bezpieczniej.

W paszczy tunelu biegnącego pod fiordem, na samym dole, przy wodzie, spostrzegł dwa żółte punkty. Wkrótce zmieniły się one w samochód, który wolno dotarł do szlabanu i stanął. Nie kontrolował tej choroby. W głębi ducha to wiedział, ale przez ostatnie lata nabierał nadziei, że może zdoła się jej pozbyć. Pozbyć się tego wszystkiego. Pozbyć się napadów. Były to jednak nierealne marzenia. Jak zresztą większość jego założeń życiowych.

Ostry dźwięk przerwał ciszę. Mads wzdygnął się i na siedzeniu pasażera zobaczył migający wyświetlacz służbowej komórki. Telefon wygrywał *Symfonię losu* Beethovena. Podniósł go i ujrzał napis „Centrala Pogotowia”. Wciąż miał szybki puls. Musiał się uspokoić.

Wszystko było w porządku. Nic mu się nie stanie. Przynajmniej nie tym razem. Wziął głęboki oddech i odebrał rozmowę.

- Lekarz dyżurny na Hitrze, Mads Helmer.
- Tu Brita – usłyszał. Ciche mlaśnięcia sugerowały, że dyspozytorka żuje gumę. – Twój pacjent pyta, gdzie się podziewasz.
- Jestem w drodze.
- I to od dawna, jak rozumiem. Nie dzwoniłam do ciebie dwie godziny temu?
- Musiałem coś zjeść – odparł i chciał dodać, że po raz drugi tego dnia musiał też odśnieżyć samochód, ale zrezygnował.
- No to mam mu powiedzieć, że o której będziesz?
- Stoję na zjeździe na Sandstad, więc potrzebuję około kwadransa. Jest więcej pacjentów?
- Niet. Nikogo więcej.
- W porządku. Do usłyszenia.

Już miał odłożyć telefon, kiedy dyspozytorce wyrwało się głośne „Czekaj!”. Przyłożył znów komórkę do ucha.

– O co chodzi?

– Dzwonił twój zmiennik i prosił, żeby ci przekazać wiadomość.

– Czyli...?

– Że jest chory.

Mads stłumił ciężkie westchnięcie.

– Czyli nie przyjdzie jutro?

– Owszem, Sherlocku. Nie przyjdzie. Uuups! Ktoś dzwoni na sto trzystaście. Muszę kończyć.

– Czekaj! A co z resztą tygodnia? Halo?

Rozłączyła się. Stojące dotąd za szlabanem auto popędziło w górę na długich. Mads odwrócił głowę, by uniknąć ostrego światła i załomotał pięścią w klakson.

– Niech go szlag – jęknął i cisnął komórkę. Wrzucił bieg, dodał gazu, aż mercedesem zarzuciło, kiedy wyjechał na skrzyżowanie i skręcił na wschód.

Białe płatki unosiły się nad drogą nadmorską i nie chciały się uspokoić. Wzmógł się wiatr, który podmuchami uderzał w karoserię auta, zarzucając nim lekko po śliskiej nawierzchni. Można było odnieść wrażenie, że zła pogoda zapowiada coś nieprzyjemnego. Mads przechylił się nad kierownicą, z napięciem wpatrując się w szosę. Nie podobało mu się, że jego zmiennik nie przyjdzie. W tej sytuacji zmuszony był podzielić się resztą dyżurów ze Starym Doktorem – co w praktyce oznaczało, że to on będzie musiał się wyteńczyć i wziąć nadgodziny. Aldus Caroliussen unikał dyżurów jak ognia i pełnił najwyżej jeden w tygodniu. W środy. Słowo „elastyczność” nie występowało w jego słowniku.

Madsowi udało się wypatrzeć w zamieci skrzynkę na listy i włączył prawy kierunkowskaz. W brzozonej alei prowadzącej do domu widniały ślady kół. Mimo to jego stary mercedes zabuksował na pierwszej przeszkodzie, zanim poniósł dalej w stronę mrocznego fiordu. Położenie wystawnej willi dawało wspaniały widok na morze. Teraz jednak niewiele było widać poza martwą, zimną tonią i zarysami górzystego lądu gdzieś w tle. Mads wziął służbową komórkę i zawiesił u pasa niezgrabny radiotelefon, wielki jak model komórki sprzed dwudziestu lat. Noszenie go wszędzie stanowiło prawdziwą udrękę. Niestety, przy tak słabym zasięgu jak tutaj stanowił wyposażenie niezbędne. Mads otworzył drzwi, wpuszczając do kabiny mroźny powiew. Okręcił szyję dodatkową pętlą szalika i wysiadł. Czując na twarzy bolesne ukłucia wiatru, aż zgiał się wpół, zanim z tylnego siedzenia wyjął torbę lekarską.

Zadzwoił do drzwi, ale nikt nie wyszedł, by mu otworzyć. Ze schodów widział, że w salonie pali się światło. To oznaczało, że w środku ktoś czuwa. Nacisnął dzwonek ponownie, poczuł, że marznie, i kilka razy zatupał, by utrzymać ciepło. Znieruchomiał, wydało mu się, że w przerwach między uderzeniami wiatru słyszy jakiś dźwięk. Wołanie. Głos dochodził chyba z salonu. Mads przechylił się przez balustradę ganku i zajrzał przez okno. Gabriel Strøm siedział w fotelu, wymachując rękami.

– Okej, okej – powiedział do siebie i nacisnął klamkę.

Pamiętał staroświecki zapach z ostatniej wizyty. Przywodził mu na myśl gnijące drewno, bynajmniej nie budząc pozytywnych skojarzeń. Wszedłszy do środka, przywitał się krótko.

– No i na co pan czeka, do cholery? Na czerwony dywan?

Grzmiący głos bez wątpienia należał do Gabriela Strøma. Mads zrzucił buty przed wielką fotografią gospodarza. Stał on sztywno przed ubojnią łososi na wyspie Ulvøya w północno-wschodniej części gminy. Jedną ze ścian fabryki w rogu zdjęcia w całości pokrywało logo firmy Strømfjord. Strøm wyglądał jak lokalny kacyk – za którego się zresztą uważał.

Mads podążył za dźwiękiem telewizora i wszedł do salonu w chwili, gdy z głośników dobiegła czołówka kanału TV2-Sport. Rozparty w fotelu Strøm ani myślał ściszyć dźwięk.

– No, wreszcie!

Mads wszedł do środka, odstawił torbę i ściągnął kurtkę.

– Znów jest pan sam dziś wieczorem?

– Interesy Związku Sanitariuszek widać więcej znaczą dla żony niż choroba męża! – skrzywił się Strøm. Ręką przejechał po brzuchu, gdzie pod swetrem rysowała się mała wypukłość. – Cholera, chyba dostałem niedrożności jelit.

Mads przyciągnął podnózek i usiadł. Strøm zapadł się w fotelu i uniósł sweter. Ukazało się ujście stomii na brzuchu. Minęło już kilka miesięcy od operacji – której wedle wszelkich rachub można było uniknąć. Strøm miał zaognioną torbiel na jelicie grubym, przez co w szpitalu w Orkdalu wiele razy podawano mu dożylnie antybiotyki. Potem jednak zażyczył sobie kuracji lekowej w domu, a to z powodu jakichś negocjacji kontraktowych w firmie Strømfjord. Mads uległ, wiedząc, że z reguły wszystko układa się dobrze. Dwa dni później torbiel pękła, a nieuniknione zapalenie otrzewnej pociągnęło za sobą konieczność operacji i wyłonienia sztucznego odbytu na okres sześciu miesięcy. Dla mężczyzny takiego jak Gabriel Strøm było to o sześć miesięcy za dużo.

– Widział pan kiedy coś równie obrzydliwego? – Strøm przyglądał się przezroczystemu workowi stomijnemu na swoim brzuchu. – Człowiek nie powinien oglądać własnego gówna. To dlatego mamy dziurę z tyłu.

– Gdzie pana boli?

Położył płasko dłoń na prawym boku Strøma i naciskał ostrożnie.

– Tu nie. Koło tego, o! – Strøm wskazał worek stomijny. – Jestem pewien, że to niedrożność jelit.

– Dlaczego?

– Kiedy ostatnio leżałem w szpitalu, dzieliłem pokój z facetem, który miał dokładnie takie same bóle brzucha jak ja teraz. Jego jelito jakimś cudem owinęło się wokół siebie trzy razy. Kurde balans!

Gabriel Strøm szarpnął się, gdy Mads nacisnął. Przyciskał przez kilka sekund, po czym odsunął palce, aż brzuch zadrżał jak skóra na bębnie. Strøm nie zareagował.

– Czy coś trafiło do worka?

– Nic.

– Powietrze też nie?

– Mówię chyba, że nic! Ani gówno, ani wiatr.

– Muszę zdjąć worek – rzekł Mads. Nachylając się do torby, usłyszał westchnięcie Strøma. W bocznej kieszeni znalazł lateksowe rękawiczki i je założył.

– Byle szybko! Okropnie cuchnie.

– Jadł pan albo pił coś specjalnego przez ostatnią dobę?

Strøm potrząsnął głową i odwrócił wzrok, kiedy Mads zaczął majstrować przy zaczepie worka. Giętki gumowy pierścień się odwinął.

– Wie pan, co się mówi o lekarzach...? Że to jedyni ludzie, którzy pchają ci palce do dupy, a ty im za to dziękujesz i jeszcze płacisz. Oj...!

Strøm znów się wzdrygnął. Torebka była zdjęta. Mads zbadał ujście stomii. Nie stwierdził oznak stanu zapalnego. Sam worek również wydawał się szczelny. Przyłożył palec do ujścia i ostrożnie wsunął go do środka. Nie dało się wyczuć żadnych anomalii, nic nie blokowało wylotu, a dotyk najwyraźniej nie sprawiał pacjentowi bólu. Wyjął palec.

– Wygląda w porządku – orzekł. – Miał pan gorączkę?

Mads spostrzegł napięte wargi Strøma. Było jasne, że wstrzymywał oddech, żeby nie poczuć zapachu dolatującego ze stomii. Potrząsnął głową. Chwilę później z otworu dobiegło westchnięcie. Brzuch Strøma zaburczał w odpowiedzi. Salon wypełnił zapach stęchlizny.

– Nałóż pan nowy worek, do jasnej cholery!

Mads usłuchał rozkazu, a Strøm stanowczym ruchem naciągnął sweter z powrotem, prostując się przy tym w fotelu. Mads przechylił się do tyłu. Nie była to w każdym razie niedrożność. Przez stomię przepływało powietrze, a sądząc z ruchliwości Strøma, spadało też podrażnienie otrzewnej.

– Nie ma pan niedrożności, panie Strøm. W jelitach dochodzi wtedy do pełnego zatoru.

– W takim razie co jest nie tak?

– Trudno powiedzieć. Być może podrażnieniu uległ żołądek. Miał pan nawrót kwaśnych treści? Jadł pan ciężkostrawne jedzenie świąteczne?

– Przecież nawet grudnia nie ma, do cholery.

Mads westchnął i cierpliwie czekał na odpowiedź.

– Nie miałem kwaśnych nawrotów – odparł wreszcie Strøm.

– Okej, na wszelki wypadek zrobimy test CRP.

– Niby po co?

– Wie pan, że jestem tu, by się upewnić, że wszystko jest w porządku.

– Tak jak we wrześnie?

Na ustach Strøma pojawił się przykry uśmiezek. Mads uciekł spojrzeniem.

– Miał pan do wyboru hospitalizację albo...

– Jaki lekarz pozostawia wybór pacjentowi? To pan jest ekspertem. Moje zdanie w zasadzie nie powinno się liczyć.

– Prawo jednoznacznie reguluje tę kwestię. Nie mogę nikogo hospitalizować na siłę.

A gdybym tego dnia miał pana wziąć do szpitala, musiałbym pana związać.

Strøm prychnął.

– Tu idzie o autorytet, panie Helmer. Autorytet, którego panu brak. Prawda jest taka, że gdyby to Caroliussen pełnił wtedy dyżur, nie skończyłbym z dziurą w brzuchu.

Mads westchnął ciężko. Nie miał siły przerabiać tego po raz kolejny.

– Proszę posłuchać! Jeśli zależy panu na hospitalizacji, mogę pana wysłać na kontrolę do Orkdalu. Jednak moim zdaniem szkoda pańskiego zachodu, bo całkiem możliwe, że odeślą pana z kwitkiem jeszcze dzisiaj w nocy.

Strøm nadal mu się przyglądał. Mads nie odwzajemnił spojrzenia, przyciągnął natomiast do siebie torbę i w bocznej kieszeni znalazł pudełko z zestawem do testu CRP.

– Z pana to jednak bezradny facecik, Helmer.

– Proszę wysunąć palec, zrobię ukłucie.

Strøm oparł łokieć na udzie, unosząc zaciśniętą pięść. Kiedy Mads miał sięgnąć po kciuk, Strøm powoli wyprostował środkowy palec.

– Tu – oznajmił.

Mads wyłowił igłę z pudełka. Nie zapowiedział ukłucia i tamten aż drgnął w fotelu. Na skórę wybiegła czerwona kropla krwi. Mads zebrał ją do plastikowej próbki i przyłożył tupfer do opuszki.

– Proszę – rzekł. – Trzeba przyciskać przez minutę.

Włożył próbkę do pojemniczka na płyny i zatrzasnął pokrywę. Następnie jedną ręką zaczął nim potrząsać, a drugą przygotowywał pipetę. Robił to tyle razy, że jego ruchy stały się zautomatyzowane i nie zwrócił uwagi na nieprzyjemny uśmiech Strøma, dopóki ten nie przerwał nagle ciszy.

– Wiem, dlaczego pan tu tkwi, panie Helmer.

Mads poczuł, że w jego piersi rozlewa się przykre drzenie. Zmusił się do podniesienia wzroku.

– Ach, tak? – spytał wyzywająco, ale serce już zaczęło bić szybciej. Zdawało mu się, że od uderzeń pulsu całe czoło dygocze mu wraz z sercem.

– Nikt pana nie chciał tam, w mieście, prawda? Nikt nie chciał pana zatrudnić? I tak wylądował pan na odludziu, gdzie lekarza błagają o przyjęcie oferty z gwarancją dwudziestu pięciu tysięcy tygodniowo. Hitra jest dla pana kryjówką, mam rację?

Mads przestał potrząsać plastikowym pojemniczkiem. Wetknął pipetę w różową teraz ciecz, pobrał niewielką jej ilość i przeniósł do małego otworu w płytce testowej, a cały czas czuł, że dygocze.

– My tutaj na wybrzeżu mamy nosa – ciągnął Strøm. – Przywykliśmy pracować na chleb i widzimy, kiedy coś jest nie tak, jak trzeba. A z panem, Helmer, coś jest wyraźnie nie tak. Pytanie brzmi, czy powinien się pan zapuszczać na pełne morze, zanim odbierze pan komuś życie.

Mads wyłowił dwa zbiorniczki z płynami, które powinien nanieść po kropli do otworu w płytce. Strøm śledził jego poczynania, mrużąc chytrze oczy.

– Ten zestaw chemiczny nie robi z pana lekarza, panie Helmer. Żeby być lekarzem, trzeba nosa i autorytetu. Ma pan być pocieszycielem dusz i ratownikiem.

Mads nie odrywał wzroku od otworu płytki testowej CRP. Biały papier nie zmienił barwy.

– Wynik negatywny – wymamrotał i zaczął zbierać sprzęt.

– I co dalej, doktorze Helmer?

– Jak panu mówiłem...

– Chcę się tylko dowiedzieć, czy mam być spokojny, czy nie.

Mads napotkał spojrzenie Strøma. Mogło się nieomal wydawać, że wizyta lekarska odniosła zamierzony skutek. A w każdym razie pacjentowi zdecydowanie poprawił się nastrój.

– Może pan być spokojny – odparł.

Wsiadł do samochodu i ruszył pod górę. W lusterku wstecznym zobaczył, że opony żłobią rowy w żwirze. Zdążyło jeszcze przebiec mu przez myśl, że Strøma pewnie to zirytuje, po czym wyjechał na szosę.

Śnieg nie przestawał padać. Mads próbował oprzeć się w fotelu i odprężyć, ale wyglądało na to, że jego barki nie chcą się rozluźnić. Wiedział, dlaczego. Wiedział aż nazbyt dobrze. Znał to stłumione uczucie, które zaczęło narastać mu w przeponie. Była to porządna mieszanka wyrzutów sumienia, rozzalenia i palącego lęku, że ktoś dowie się prawdy na jego temat. Sięgnął po aluminiowy kubek w plastikowym uchwycie, stojący na tablicy rozdzielczej. Jego palce musnęły logo Statoil, podczas gdy myśli powędrowały do małej Cecilii. Wciąż pamiętał wyraz powagi w jej oczach, kiedy rozpakował prezent urodzinowy, a ona wyjaśniła mu, że przez dalszą część roku nie będzie musiał płacić za kawę. Ten kubek był wszystkim, czego potrzebował. Cofnął rękę i mocno zacisnął ją na kierownicy. Na Hitrze nie było wprawdzie stacji Statoil, ale nie grało to żadnej roli. Nie zamierzał pozbywać się kubka, choć jego data ważności wkrótce miała upłynąć. Przypomniał sobie, co Gabriel Strøm powiedział o przyczynie jego pobytu na wyspie. Strøm nie miał pojęcia, co zdarzyło się w Lørenskog. Gdyby było inaczej, nie mówiłby zagadkami. Wypluły to Madsowi prosto w twarz. Takim już był człowiekiem: przedsiębiorcą i tyranem do szpiku kości. Z szyderczym uśmiechem na swojej małej twarzy tchórzofretki chciał wywieść Madsa na niepewny grunt, skłonić go do zwierzeń.

Opadł na oparcie. Tak... tak właśnie było. Gabriel Strøm próbował go sprowokować. Ale

nikt o niczym nie wiedział i nikt tu, na Hitrze, niczego się nie dowie. Ani o jego chorobie, ani o tym, co zrobił.

Zerknął na zegarek na tablicy rozdzielczej i stwierdził, że jest cztery po dziesiątej. Centrala Pogotowia nie dała o sobie znać już od dłuższego czasu. Wetknął rękę do kieszeni kurtki i wyjął z niej radiotelefon. Wyświetlacz rozbłysnął po naciśnięciu klawisza. Żadnych nieodebranych połączeń. Oznaczało to, że ma wolny wieczór do odwołania. Rzucił telefon na siedzenie pasażera i włączył odtwarzacz CD. Wewnątrz tkwił już krążek Kentów, *Isola*. Eter powoli wypełnił się brudnym, głębokim dźwiękiem gitary. „Za ciebie warto by umrzeć”, westchnął wokalista. Droga przed Madsem wyprostowała się na rozległej równinie. Dodał gazu i nastawił prędkość wycieraczek tak, żeby nadażały za płatkami śniegu rozbijającymi się o przednią szybę. Musiał wziąć prysznic. Gorący jak ukrop.

Minąwszy redakcję lokalnej gazety w Sandstadzie, wjechał na odcinek, na którym wzdłuż drogi stały latarnie. Poprawiło to widoczność. Z naprzeciwka zbliżał się samochód jadący na długich i nie wyglądało na to, by kierowca zamierzał przełączyć światła. Mads z irytacją zamigał reflektorami, ale auto minęło go z przeciągłym wyciem klaksonu. Mrugając, by odzyskać widzenie w mroku, klął mieszkańców Hitry. Wtem jakiś cień na drodze zmusił go do wdepnięcia hamulca. Samochód w poślizgu przejechał długi odcinek, zanim stanął w poprzek szosy. Mads puścił kierownicę, oddychając ciężko i głęboko, żeby opanować galopujące serce. Nie słyszał huku, w nic więc nie uderzył. W mroku przed sobą mógł za to dojrzeć parę błyszczących ślepi. Przechylił się nad deską rozdzielczą, żeby lepiej widzieć. Ślepią się przesunęły. Teraz dostrzegł też zarys sylwetki. Kiedy dotarło do niego, czemu się przygląda, mimowolnie się uśmiechnął. Było to zwierzę o charakterystycznym, rozkołysanym chodzie i zawsze wyprężonej szyi. Duży okaz. Włączył długie światła, by lepiej się przyjrzeć jeleniowi. Zwierzę stało sztywno w śnieżnej zawierusze, ale przechyliło głowę na bok, tak jakby zastanawiało się, kogo ma przed sobą. Mads zwrócił uwagę na poroże. Lewy róg był złamany u nasady. Prawy celował w górę, jak wiatrołom. Tylko na nim jednym naliczył siedem odrostków. Samiec, bez wątplenia. Zwykle wędrowały samotnie, odłączywszy się od stada. Dowiedział się tego wszystkiego od zaprawionych myśliwych tu, na wyspie. Ponad dziesięć odrostków należało do rzadkości. Ten musiał kiedyś mieć ich czternaście.

Spojrzał w dal drogi. Znajdował się kilkaset metrów od zjazdu na Sandstad, gdzie już raz się tego wieczora zatrzymał. Delikatnie nadepnął pedał gazu, poczuł, że koła ruszyły i auto z wolna wróciło na właściwą stronę jezdni. Musiał zachować ostrożność. W kontakcie z samochodami jelenie traciły rozsądek i mogło im przyjść do głowy, żeby ni stąd, ni zowąd wskoczyć przed reflektory.

Po przejechaniu kilkunastu metrów stwierdził, że jeleni sady susy przez śnieg obok samochodu. Przy każdym kroku zapadał się, ale mimo to nie pozwalał się wyprzedzić. Mads zwolnił. Zwierzę zrobiło to samo. Zbliżali się do skrzyżowania. W górę po zboczu przemknęła taksówka, jadąc na północ, do Fillan. Mads zahamował, wyrzucił przez okno i spostrzegł, że jeleni także przystanął. Oparł dłoń na klaksonie i zatrąbił przeciągle. Jeleni ani drgnął. Zaciągnął hamulec, wrzucił luz i otworzył drzwi. Wychodząc z tupotem z auta, narobił tyle hałasu, ile tylko mógł, a okrążając samochód, spostrzegł, że zwierzę susami zbiega po szosie i przecina skrzyżowanie. Wreszcie eleganckim skokiem pokonało zaspę i zniknęło.

Mads przystanął. Sponad zaspę zerwał się podmuch wiatru, aż płatki śniegu zatańczyły na drodze. Wsunął rękę do kieszeni i spojrzał w stronę tunelu. To właśnie tutaj miał dzisiaj krótki napad. Rozejrzał się, czując, że powraca do niego to samo doznanie. Czy to naprawdę był napad? Coś mu nie grało. Coś pozornie bez znaczenia, ale jednak. Zagapił się na kościół, potem znów przeniósł wzrok na drogę. Czuł, że zaczyna drzeć z zimna. No, dość tych wygłupów. Stał na

jezdni, próbując wyjaśnić, co się wydarzyło. A to był przecież tylko mały napad padaczkowy. Nic więcej.

Otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. Zerknąwszy na tablicę rozdzielczą, stwierdził, że dochodzi wpół do jedenastej. Pozostało osiem godzin dyżuru – a jeśli i jutro, i może nawet przez kolejną dobę ma nosić radiotelefon, to musi się przespać. Chroniczny brak snu prędzej czy później rzeczywiście wywoła napad. I to niemały. Kiedyś już tego doświadczył i bynajmniej nie miał ochoty demonstrować pracodawcy, co mu dolega, leżąc na ziemi i szamocząc się w drgawkach.

Już miał dodać gazu, kiedy spostrzegł ślady jelenia, który zniknął na poboczu. Przechylił się nad kierownicą i spojrzał najpierw w jedną, potem w drugą stronę, w kierunku Fillan. Coś mu się nie zgadzało. Nagle zrozumiał: po drugiej stronie drogi wcześniej stał znak. Znak drogowy. Teraz zaś go nie było.

Zatrzasnął drzwi i udał się do zatoczki autobusowej, w której poprzednio parkował. Parę metrów za zaspą, spiętrzoną przez odśnieżarkę, faktycznie dostrzegł cokolwiek znaku drogowego; małe podwyższenie wśród śniegu. Za cokołem zbocze opadało stromo na pole. W dole było ciemno – tak ciemno, że gdyby nie bijąca od śniegu poświata, mógłby nie dojrzeć na wpół przewróconego na bok samochodu.

Na małym skrzyżowaniu zaczęło brakować miejsca dla zjeżdżających się aut. Przybyły całe zastępy wozów ratunkowych – policji, straży pożarnej i pogotowia. Poza tym za taśmą policyjną zaparkowało kilka prywatnych samochodów z żądnymi sensacji ludźmi, którzy wyciągali szyje, chcąc się dowiedzieć, co zaszło. Stojąc na środku jezdni i obserwując ratowników, Mads poczuł, że ktoś trąca go w ramię. Odwróciwszy się, ujrzał niskiego, okrągłego człowieczka, którego bynajmniej nie wyszczuplała czerwona kurtka puchowa.

– Stig Inge Løken – przedstawił się mężczyzna, wyciągając rękawicę wiatroszczelną.

Kiedy Mads ją uściśnął, wydała mu się pusta w środku.

– Mads Helmer – odparł i przyjrzał się twarzy przybysza, ciekawy, czy skądś ją pamięta.

– Jestem mężem Lisbeth z przychodni. Pracuję dla gazety „Hitra-Frøya”. To pan go znalazł, prawda?

Mads westchnął i odwrócił się od dziennikarza.

– Czy możemy o tym porozmawiać później? Nie czuję się za dobrze.

– No, proszę, doktorze. Tylko parę słów. Obiecuję...

Mads obrócił się do niego.

– Niech pan zadzwoni jutro.

Pochylił głowę i zdecydowanym krokiem ruszył z powrotem do auta. Po drodze minął go człowiek z zawieszoną na szyi lustrzanką. Mads spostrzegł, że mężczyzna zatrzymał się na jego widok, ale nie oglądając się, poszedł dalej. Nic na to nie mógł poradzić, ale po tym, co się stało w Ahus, stracił zaufanie do dziennikarzy. Przeinaczali sens wypowiedzi. Ci tutaj na pewno nie różnili się wiele od tych z Lørenskogu.

Wsiadłszy do samochodu, włączył ogrzewanie i skierował do góry wywietrznik. Obrzucił wzrokiem rozgrywające się na zewnątrz widowisko. Chcąc zoptymalizować warunki pracy, strażacy zamontowali na skraju drogi silny reflektor. Wzdłuż zasy, jak czarne anioły śmierci, stały w szeregu ciemne postacie. Nieco niżej na zboczu dało się zauważyć kilka głów. Trudno było powiedzieć, co ci ludzie tam robią. Zwłoki tkwiły we wraku, a dźwig, który miał go podnieść, jeszcze nie przyjechał.

Mads zauważył komendanta rejonowego policji: Ove Forsnes rozmawiał przez radio na tle reflektorów radiowozu. Musiał zamienić z nim parę słów, zanim pozwoli mu wrócić do domu, ale wcale za tym nie tęsknił. Wystarczył tydzień na wyspie, a już wdał się w konflikt z Forsnesem – i to tylko dlatego, że na akcie zgonu człowieka znalezionego w wannie zaznaczył opcję sekcji zwłok. Obdukcje obciążały kosztami komendę rejonową, a Forsnes uważał przyczynę śmierci za oczywistą. Ponieważ do niego należało ostatnie słowo w tej sprawie, stało się tak, jak sobie życzył. Teraz zaś spotykali się z takim samym problemem: zgonem w niejasnych okolicznościach. Mads schował głowę w dłoniach. Był wyczerpany długim dyżurem. Po jego telefonie na miejscu szybko zjawiała się straż pożarna, a strażacy pokryli samochód warstwą piany. Wyrzucali mu, że podszedł do wraku, zanim zabezpieczono go na wypadek pożaru. Tak czy owak niewiele mógł zrobić. Gdy potykając się, zbiegł po zboczu z nawałem myśli w głowie, okazało się, że na karoserii zdążyła się zebrać gruba warstwa śniegu. Przez rozbitą szybę po stronie kierowcy zwisało martwe ramię. Mads ukląkł przed drzwiami, po czym nagle zrozumiał, do kogo należy samochód. Być może to granatowy lakier sprawił, że sekundę wcześniej, nim ujrzał zeszytniałą twarz, pojął, że na miejscu kierowcy siedział Stary Doktor. Aldus Caroliussen opierał się nosem o kierownicę. Na ciemnych, starannie przyciętych wąsach osiadł mu biały szron. Krew, która wypłynęła z rozbitej czaszki wąskimi, czarnymi strużkami, zastygła na woskowej skórze.

Ktoś zapukał w okno samochodu. Mads zobaczył pochyloną, ciemną postać, która zagląda do środka. Był to Ove Forsnes. Czapki policyjnej i odstających uszu nie sposób było pomylić. Lekarz opuścił szybę i spojrzał wprost w okrągłą twarz. Komendant przywitał się krótkim skinieniem głowy.

– Tu się pan ukrył? – spytał głosem bez wyrazu.

Mads pomyślał, że powinien się usprawiedliwić, ale dał za wygraną.

– Zanim pan pojedzie, chętnie zamieniłbym z panem słowo, panie Helmer.

Choć Mads gestem zaprosił komendanta, by się przysiadł, Forsnes tylko się nań gapił.

Typowe dla gliny: nigdy nie odwracać wzroku. Musieli im to wpajać na szkoleniach.

– Lepiej, żebyśmy załatwili to w ambulansie – rzekł Forsnes i nie odwracając się, wskazał drugą stronę drogi.

Mads przytaknął z rezygnacją i wyłączył silnik. Nie miał siły się spierać. Kiedy wysiadł z samochodu, Forsnes się odsunął. Razem przeszli przez placyk. Na brzegu zbrocza, w miejscu, gdzie samochód wypadł z szosy, zebrało się wiele ciemnych sylwetek: ludzie po prostu stali, przyglądając się wrakowi w dole. Kiedy dotarli do karetki, Forsnes otworzył boczne drzwi i gestem zaprosił Madsa do środka. Ten zajął miejsce obok noszy, a komendant usiadł naprzeciw niego po skosie, plecami do fotela kierowcy.

– Fatalna sprawa. Nawet nie zapiął pasów.

Forsnes westchnął i wreszcie zdjął czapkę. Poprawił schludnie zaczesane na bok włosy i zmarszczył błyszczące czoło. Z kieszeni spodni wyjął mały notatnik.

– Chętnie poznam szczegóły pańskich spostrzeżeń. Kiedy pan tu przyjechał, co pan zastał... tego typu rzeczy.

Mads zagryzł wargę. Musiał ważyć słowa. Forsnes nie należał do najbardziej pobłażliwych przedstawicieli tutejszej policji. Gdyby napomknął o swoim rzekomym napadzie padaczkowym, w pierwszej kolejności mógłby się pożegnać z prawem jazdy.

– Przypadkiem zatrzymałem się na tym skrzyżowaniu i zauważyłem, że nie ma znaku drogowego. Kiedy podszedłem na skraj drogi, zobaczyłem wrak samochodu.

Forsnes siedział i przez dłuższą chwilę żuł końcówkę długopisu.

– Zatrzymał się pan przypadkowo?

– Biegł za mną jeleń, więc...

– Aha. Jeleń... – Komendant wyrzwał spomiędzy białych pasów na oknie. – Zastanawiałem się, jak też u licha udało mu się zjechać z drogi na prostym odcinku. – Zerknął na Madsa. Pusty wzrok dowodził, że myślami policjant jest gdzie indziej. – Tam gdzie wypadł, powinna znajdować się barierka, ale jesienią, kiedy ściał mróz, wpadła tu w poślizg i przewróciła się ciężarówka, która miała skręcić na Hestvikę. Zarząd Dróg zdążył wprowadzić postawić nowy znak, ale najwyraźniej to nie wystarczyło.

Potrząsnął głową i ze skupioną miną zapisał coś w notatniku. Mads czekał cierpliwie, aż Forsnes podniesie wzrok, po czym zabrał głos.

– Jedna uwaga... Jeleń biegł za mną stamtąd – wskazał w stronę Sandstadu. – Poza tym spotkałem go już jakiś czas po tym, kiedy najpewniej zdarzył się wypadek. Wszelkie ślady kół zdążył w każdym razie przykryć śnieg.

– Co pan sugeruje, Helmer? Że ktoś zepchnął Starego Doktora z drogi? – Komendant zaśmiał się krótko. – Proponuję, żeby skupił się pan na leczeniu, a śledztwo zostawił mnie. Wypełnił pan już akt zgonu?

Forsnes przyglądał mu się spode łba.

– Przekazałem go Ågemu Fjellvaerowi z karetki.

– Mam nadzieję, że tym razem odpuścił pan sobie zlecenie sekcji zwłok? Obdukcja

kosztuje nas pięćdziesiąt tysięcy, wie pan.

Mads nabrał powietrza.

– Wiem. Dlatego też chciałem się skonsultować...

– I właśnie pan to zrobił! – Forsnes zatrzasnął notatnik i zdecydowanie uderzył nim o udo. – To wszystko!

Kiedy odsunął drzwi karetki, do kabiny wtargnął zimny podmuch. Mads wysiadł prosto w śnieżycę. Konsultowanie się z Forsnesem nie było dobrym pomysłem. Ten typ najwyraźniej nie znał innych form komunikacji niż wydawanie rozkazów. Ale może akurat w tym wypadku nie miało to większego znaczenia. Trudno było powiedzieć, dlaczego Caroliussen zjechał z drogi na prostym odcinku, ale gdyby we krwi Starego Doktora wykryto alkohol czy inne substancje, nie przysłużyłoby się to jego pośmiertnej reputacji.

Wreszcie przyjechał dźwig i stanął w poprzek drogi. Te same postacie zbiły się w ciasną grupę na poboczu, najwyraźniej dyskutując, co i jak należy zrobić.

– Jeszcze jedno, panie Helmer – Forsnes założył czapkę. Dodawała mu wzrostu. Mierzył w niej na pewno ze dwa metry. – Nie orientuje się pan, dokąd jechał Stary Doktor?

Mads spojrzał na niego.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Wnosząc ze śladów kół, kierował się w głąb łądu. Miał tak późno coś do roboty w Hemne albo Snillfjordzie?

– Jedyne, co wiem, to że wybierał się jutro do pracy. Jak my wszyscy.

Forsnes chrząknął na potwierdzenie.

– W porządku. Dziękuję, panie Helmer. Do widzenia.

Pożegnał się skinieniem głowy i przeszedł przez szosę. Mads stał, patrząc w ślad za nim. Przy karetkce wydawano głośnie komendy. Potężna postać wymachiwała ramionami. Nietrudno było w niej rozpoznać Ågego Fjellvaera, kierownika zespołu ratownictwa medycznego. Jego łysa głowa ładnie rysowała się na tle lampy. Mężczyzna nie miał chyba ani jednego włosa na całym ciele, odkąd stracił je, będąc nastolatkiem. Rozległ się warkot silnika dźwigu, który zaczął właśnie odwracać się tyłem do zbocza. Jakiś facet chwycił zaczep stalowej liny i pociągnął ją w stronę rozbitego auta. Mads spostrzegł, że Fjellvaer odwrócił się do niego, usłyszał, że jego również woła, ale udał, że nie słyszy. Zamiast tego przeszedł przez drogę do swojego samochodu. Nic tu po nim. Pacjent już nie żył. A on musiał się wyspać.

To znów był on, jeleni o jednym rogu. Zbliżał się. Wokół pyska kłębiły się opary oddechu. Mads stał po kolana w śniegu. Zrobił krok, znajdując oparcie dla stopy, gdy jednak przeniósł ciężar na tę nogę, zapadł się aż po biodra. Zaklął, próbował się dźwignąć, ale zrozumiał, że ugrzązł. Przechylił się na bok, usiłując wyszarpnąć nogę z zasy, jednak na próżno. Wokół niego było białe. Całkiem białe. Padał gęsty śnieg. Jeleń zatrzymał się przed nim. Duże, czarne oczy przypominały lustro. Mads wyciągnął rękę, a jeleni spuścił łeb i ją powąchał. Naraz szarpnął się, cofnął i wydał długi, przejmujący dźwięk. Zabrzmiało to jak dzwonek szkolny. Mads ruszył się i poczuł, że zapada się jeszcze głębiej. Tkwił teraz w śniegu po pas, a dźwięk dzwonka niósł się w przestrzeni. A jeleni? Gdzie ten się podział? Mads zaparł się rękami o ziemię i odepchnął się, czując opór, aż wstał do pozycji siedzącej. Rozejrzał się. Ściany wokół niego zafalowały, po czym wszystko trafiło na swoje miejsce i zrozumiał, że jest w sypialni. Zacisnął powieki tak mocno, że rozboleły go oczy. Potem znów się rozejrzał. W rzeczy samej, był w sypialni, ale dzwonek nie milkł. I nagle go olśniło: telefon, no jasne. Mrużąc oczy, spojrział na zegar cyfrowy na stoliku nocnym i stwierdził, że dochodzi szósta. Sięgnął po komórkę służbową, by sprawdzić nieodebrane połączenia, ale na wyświetlaczu nie zobaczył żadnych wiadomości.

Począł do stolika z telefonem w salonie.

– Halo? – rzekł, rozpierając się w stojącym obok fotelu.

– Żyjesz jeszcze?

Gruby głos roześmiał się w słuchawce.

– Co?

Mads przetarł twarz ręką i znów przypomniał sobie jelenia. Obraz tych głębokich oczu nie opuszczał go. Sprawiały takie wrażenie, jakby chciały mu coś zdradzić.

– Muszę przyznać, że zaczęliśmy się już ździebko denerwować...

Gdzieś w tyle Mads usłyszał kobiecy głos, po czym wycie dziecka.

– Jest pan pewien, że wybrał pan właściwy numer?

– Na litość boską, Mads! Siedzimy na tarasie i czytamy „Dagbladet” w Internecie – ciągnął mężczyzna, teraz z jedzeniem w ustach – i piszą, że lekarz gminny na Hitrze wypadł z drogi. Kawa stanęła mi w gardle, nie powiem. W końcu poza tobą w grę wchodzi niewiele osób.

Mads zawahał się sekundę, po czym spytał:

– Kristoffer?

– Nie obudziłeś się jeszcze czy jak?

Słyszając napomnienie brata, Mads westchnął. Powinien był się tego domyślić. Któż inny mógłby zadzwonić do niego o tej porze.

– To był Stary Doktor.

– Słucham?

– To Stary Doktor miał wypadek, nie ja.

– Aha.

Usłyszał, że brat powtarza komuś jego słowa.

– Halo? – rzekł brat, wracając na linię.

– Tak, halo.

– Mam cię pozdrowić od Helene i dzieciaków. Przyjechały z nami do Abu Zabi. Opalają się i kąpią. Zarąbiste mają tu hotele, wiesz?

– Abu Zabi?

– W Zatoce Perskiej. Chociaż dla mnie to biznes, a nie przyjemności, niestety. Nie no,

cholera, ulżyło mi, Mads. Wszystko u ciebie w porządku?

– Dużo pracy...

Wyrzął przez okno. Siedział zbyt nisko, by dojrzeć budynki w centrum Fillan. Jedyne, co widział, to ciemne niebo i wehiste płatki śniegu, który nie przestawał padać.

– Słuchaj, możemy pogadać później? Mało spałem i...

– Boże, no, Mads. Minutę temu sądziłem, że nie żyjesz. Poświęć mi chociaż część swojego cennego czasu, dobrze? Dawno się nie odzywałeś.

– Jak już mówiłem, mam dużo pracy.

– Wiesz, martwimy się o ciebie. Nie miałeś żadnych... – brat się zawahał.

– Nie – odparł Mads skwapliwie, zanim tamten dokończył. – Żadnych. Słuchaj, czy naprawdę nie moglibyśmy pogadać później? Mogę do ciebie oddzwonić. Muszę jechać do przychodni przygotować się na dzisiaj. Jak się pewnie domyślasz, jest nas teraz o jednego mniej...

Przerwał, myśląc o zmienniku i o tym, że liczba nieobecnych lekarzy w gruncie rzeczy wzrosła do dwóch.

– Tak, tak. Rozumiem. Ale czasem można przecież skontaktować się z cywilizacją.

A swoją drogą... Skoro już rozmawiamy. Ojciec zastanawiał się, czy będziesz w domu na święta. Obiecałem zapytać...

Mads wziął oddech. Wiedział, w czym rzecz. Nie chodziło wcale o to, gdzie ich ojciec miał spędzić Boże Narodzenie – tylko o to, że Kristoffer nie chciał brać za niego odpowiedzialności i że jego dzieci wołały pojechać do drugich dziadków.

– Sam może przecież zadzwonić.

– Próbował, ale...

– A ty gdzie spędzisz święta?

– Jeszcze nie wiem, Mads. No, zadzwoń do niego. A przynajmniej obiecaj mi, że to zrobisz.

Mads zamknął oczy. Sytuacja powtarzała się co roku.

– Zadzwonię – powiedział. – Do usłyszenia.

Odłożył słuchawkę. Siedział, gapiąc się przed siebie.

Grzbiet nosa przecinało małe, czerwone otarcie. Musiał się go nabawić, kiedy na łeb, na szyję zbiegał po zboczach w stronę wraku. Przechylił się do lustra, szukając kolejnych szram. Nadal widział bliznę po rozcięciu, które powstało podczas napadu padaczkowego w szpitalu w Tønsbergu. Podobno przewrócił się na łóżko pacjenta i uderzył głową o róg metalowego stojaka. Potem przez trzy minuty miał drgawki. Przygryzł język, więc na usta wystąpiła mu krwawa piana, spodnie zaś całkiem przemokły, bo w trakcie spazmów opróżnił się pęcherz. Koledzy musieli podać mu doodbytniczo dwadzieścia miligramów diazepamu i dopiero wtedy drgawki ustąpiły. Przebudzenie bynajmniej nie należało do przyjemnych. Od tamtego dnia minęło jednak sporo czasu, a o zajściu przypominał mu jedynie ukośny szew tuż przy prawej brwi.

Otworzył szafkę w łazience. Prawa ręka automatycznie znalazła opakowanie antyepileptyku i wysypała dwie poranne tabletki na lewą. Wrzucił je sobie do ust. Zwykle starał się odbębnić ten codzienny rytuał jak najszybciej i najbardziej niepostrzeżenie. Niemal udawało mu się wtedy oszukać samego siebie i zapomnieć o kryjącym się w tym ruchu lekkim uczuciu porażki. Tym razem pozwolił tabletkom zawisnąć na języku. Oparł ręce o umywalkę i wziął kilka głębokich oddechów. Pewnie, że bał się kolejnego ataku. Bał się go panicznie. Od urodzenia żył ze świadomością, że napad może przyjść w każdej chwili. Teraz miał jednak inny problem. Choroba zmiennika i śmierć Starego Doktora zbiegły się w czasie, musiał więc liczyć się

z ewentualnością pełnienia dyżuru przez kilka następnych dób, dopóki zastępca nie stanie na nogi. Trudno mu było wyrokować, jak długo to potrwa, ale już jedna doba więcej to o jedną dobę za dużo. Znowu zerknął na swoje odbicie. Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz zbadał stężenie środka antyepileptycznego we krwi. Jeżeli było ono zbyt niskie, wiele ryzykował. Próbkę krwi należało pobrać przed przyjęciem porannej dawki. Spojrzał w umywalkę, zastanowił się ponownie, po czym wypluł tabletki. Lepiej nie ryzykować.

Nie widział przeszkód, żeby przejść się do przychodni, ale jeśli nadal miał pełnić dyżur, to na wszelki wypadek potrzebował samochodu. Kiedy wyszedł na schody i odkrył, ile śniegu spadło w ciągu nocy, znowu pomyślał o spacerze. Pod warstwą puchu ledwo dało się dostrzec zarysy karoserii. W dodatku po zboczu koło domu zdążył przejechać pług śnieżny, pozostawiając po sobie wzdłuż drogi białą barykadę. Mads zaklął i spojrzał na drugą stronę drogi, ku posesji Erny i Zakariasa Dahlów, od których zwykle pożyczał łopatę – po czym zorientował się, że ma kolejny problem. Obiecał, że pomoże im w odśnieżaniu, teraz zaś nie mógł ocenić, gdzie kończy się ich podjazd, a zaczyna trawnik.

Spojrzał na zegarek. Jeśli chce dotrzeć do przychodni, zanim przyjdą inni, to musi się pospieszyć. Wszedł w głęboką zaspę. Śnieg sięgał mu do połowy łydek. Próbował jak najdalej wyciągać nogi, dopóki nie wyszedł na drogę, potem jednak musiał pójść podjazdem Dahlów i już przy pierwszym kroku zapadł się po kolana. Nie do wiary, ile spadło śniegu. I to przez kilka dni. Przed weekendem ziemia na dobrą sprawę była naga.

Znalazł łopatę w garażu i zabrał się do odgarniania zasp tuż przed bramą; odśnieżył odcinek do drzwi wejściowych i przerwał. W oknie kuchennym zobaczył kręcone włosy. Pani domu najwyraźniej wcześniej wstała. Wrócił do odśnieżania. Nie miał czasu na pogaduszki. Musiał zdążyć do przychodni. Usłyszał, że ktoś naciska klamkę. Zza drzwi wysunęła się kobieca głowa. Przywitał się zwięźle.

– Ten obwarzanek, który od pani dostałem, bardzo mi smakował – odezwał się, nie przerywając roboty.

– O, to nic wielkiego.

– Muszę zrobić następną turę wieczorem – powiedział, wskazując na niebo. – Szybko się to raczej nie skończy.

– Dziękuję, dziękuję. To aż nazbyt miłe z pana strony. A swoją drogą...

Urwała, ale nadal stała, patrząc, jak odgarnia śnieg.

– Tak?

– Nie znalazłby pan chwili, żeby zajrzeć do męża? Jest taki niewyraźny.

– Jestem dziś trochę zajęty. Mógłbym odwiedzić go jutro?

Przerwał pracę, a spojrzawszy na nią, stwierdził, że sąsiadka garbi się niepokojąco. Wiedział, że jej mąż już od dłuższego czasu nie cieszy się dobrym zdrowiem. Były kierownik zespołu ratownictwa medycznego cierpiał na zaawansowanego raka prostaty z przerzutami do kości. Zdenerwowanie żony pacjenta nigdy nie wróżyło nic dobrego.

– Słyszałam w radio o wypadku – powiedziała. – Aldus był dobrym człowiekiem.

Mieszkał tu od trzydziestu pięciu lat, wie pan.

Mads przytaknął. Wrócił do odśnieżania.

– Musimy znaleźć kogoś na jego miejsce. Nie będzie to proste, ale...

– Niełatwo zastąpić kogoś o takim doświadczeniu, o nie. Odebrał poród naszego najmłodszego syna w Domu Zdrowia w Starym Fillan. Na parterze mieścił się tam kiedyś oddział położniczy, a ciotka Caroliussena była przełożoną zespołu położnych. Może ją pan zna? Nazywa się Helga Caroliussen. Mieszka na dole, w Tranvikanie. Przeszła już na emeryturę.

Mads znowu przerwał. Zdążył się spociec pod koszulą i bolały go ramiona.

– Proszę wybaczyć, pani Dahl, ale praca czeka. Myślę, że musimy dokończyć rozmowę jutro.

Starsza kobieta pochyliła głowę zawstydzona i chwilę później zamykała już drzwi.

– Do widzenia! – usłyszał tylko, po czym zniknęła w głębi domu. Został z wyrzutami sumienia i włosami pokrytymi śniegiem.

Kiedy dotarł do pierwszego ronda w centrum, na drodze było pusto. Skręcił w lewo i szosą wjechał między centrum handlowe a zakład ubezpieczeń społecznych. Ścieżką oddalał się jakiś mężczyzna, a na dworcu obok stał autobus z włączonym silnikiem. Poza tym panowała cisza. Nagle Mads przypomniał sobie, jak jechał tędy po raz pierwszy. Zawsze wyobrażał sobie pokrzywione chaty rybackie i domy tuż nad taflą wody, a zastał tu zagęszczenie nowoczesnych budynków. Nie było to urocze centrum. Większość obiektów postawiono pod koniec lat sześćdziesiątych – wyjąwszy Centrum Handlowe Hjorten, czyli Jeleń, i Centrum Zdrowia, w którym mieściła się stołówka, dom starców, przychodnia oraz Oddział Opieki Pozaszpitalnej. Zbudowano też nowy ośrodek sportowy z basenem, kręgielnią i fitness clubem. Jeden z pacjentów opowiedział kiedyś Madsowi historię rozwoju wyspy. Dawniej nie było drogi łączącej jej wschodnią część z zachodnią, więc w celu usprawnienia transportu Hitrę podzielono na cztery gminy. W latach sześćdziesiątych, kiedy planowano budowę drogi krajowej 714 w poprzek wyspy, ustalono połączenie gmin w jedną. Zaczęło się wówczas przeciąganie liny w kwestii ustanowienia jej centrum. Stare Fillan we wschodniej części Hitry miało już telegraf, dom służbowy lekarza i przystań, więc wybór wydawał się prosty. Problem w tym, że miejsce to znajdowało się w ciasnej zatoce i nie nadawało się do rozbudowy. Jakaś mądra głowa wpadła wtedy na pomysł, że można zaadaptować obszar na płaskowyżu tuż nad Starym Fillan; osuszone mokradło, położone zbyt nisko, żeby dawać widok na fiord, ale wystarczająco duże, by pomieścić kilka dzielnic z budynkami użyteczności publicznej i komercyjnymi. I tak powstało centrum Fillan.

Na kolejnym rondzie Mads skręcił w prawo, przejechał sto metrów obok Centrum Handlowego Hjorten i dotarł do Centrum Zdrowia. Zaparkował samochód przed podkowiastym wejściem na placu zarezerwowanym dla pracowników pogotowia. W rejestracji nie paliło się światło, co musiało oznaczać, że dzisiaj dotarł pierwszy. Wziął torbę lekarską, pospiesznie ruszył w kierunku wejścia od strony pogotowia i przeciągnął kartę przez umieszczony na zewnątrz czytnik. Wprowadziwszy kod, w odpowiedniej odległości zaczął czekać, aż drzwi się rozsuną. Nie chciał znów zbyt się pospieszyć.

Przeszedł przez poczekalnię i dostał się do korytarza wewnętrznego. Dochodziła siódma, co oznaczało, że lada chwila może się ktoś zjawić. Mads przemknął przez korytarz, otworzył drzwi do swojego gabinetu i wstawił do środka torbę. Zamknął drzwi i już miał ruszyć dalej, kiedy naszała go pewna myśl. Po drugiej stronie korytarza mieścił się gabinet Aldusa Caroliussena. Stary Doktor jako jedyny w przychodni miał własny klucz do gabinetu. Do otwarcia wszystkich innych pomieszczeń używało się klucza uniwersalnego. Mads nigdy się nie dowiedział, dlaczego tak jest. Położył dłoń na klamce i nacisnął. No, jasne. Czego się niby spodziewał? Puścił klamkę. Drzwi były zamknięte.

Wszedłszy do laboratorium, zamknął za sobą drzwi. Zestaw do pobierania krwi spoczywał na wózku obok szarego krzesła z dużym podłokietnikiem. Mads usiadł na krześle i wziął leżącą na podłokietniku szarę. Założył ją na ramię i zatrzasnął plastikowy zamek. Drugą ręką jednym szarpnięciem naciągnął szarę, aż żyła po wewnętrznej stronie ramienia zaśniła sinawo, jak dżdżownica. Pobranie z niej krwi powinno być proste. Znalazł igłę i położył sobie dwie próbówki na kolanach. Kiedy już wkłuje się w żyłę, będzie musiał poluzować plastikowy zatrask stazy ustami. Sprawdził, czy uda mu się złapać go zębami – bez problemu. Teraz

wystarczyło wkuć się w żyłę. Oparł lewą rękę na prawym przedramieniu i wycelował igłę. W chwili gdy przebiła skórę, z korytarza dobiegł go hałas. Zamarł. To musiały być drzwi. Spojrzał na igłę w skórze i zorientował się, że nie poluzował stazy. Z nakłucia sączyła się ciemna krew. Zaklął, schylił się i zacisnął zęby na zatrzasku. Dwa małe plastikowe węzélki, które powinien wcisnąć, wysliznęły mu się za pierwszym razem, ale przy drugiej próbie usłyszał kliknięcie i poczuł, że opaska staje się luźniejsza. Namacał jedną z probówek i połączył z nią nasadę igły. Krew ciemną strużką spłynęła do naczynia. Zerknął na drzwi. Nadal niczego nie słyszał. I dobrze. Pielęgniarki przebierały się w pokoju na drugim końcu korytarza, po czym przychodziły tutaj. Jego wzrok powędrował za kroplą krwi, która z miejsca ukłucia stoczyła się na podłokietnik. Postanowił wytrzeć ją później. Dodatkowa probówka również musiała zaczekać. Rozległ się kolejny dźwięk. Mads spostrzegł, że ktoś naciska klamkę. Usłyszał ciche pobrząkiwanie, najwyraźniej kluczy. Przeniósł spojrzenie na probówkę: była pełna. Odczepił ją i sięgnął po wacik. W tej samej chwili usłyszał, że klucz obraca się w zamku. Zerwał się, stanął plecami do drzwi i wrzucił napełnioną probówkę do kieszeni. Zamierzał przyłożyć wacik do miejsca ukłucia, kiedy spostrzegł, że druga fiolka toczy się ku krawędzi blatu. Próbował ją złapać, ale spadła na ziemię. Jednocześnie igła wysunęła się z jego ramienia i ciepła strużka popłynęła mu po ręce. Zdażył przytknąć wacik do miejsca ukłucia i zobaczyć, że igła toczy się po podłodze wśród śladów jego własnej krwi, nim za jego plecami zabrzmiał ostry głos.

– Co ty tutaj robisz?

Kiedy się odwrócił, w drzwiach stała Charlotte Wahl. Na rozpiętym ciemnym płaszczu i upiętych brązowych włosach nadal miała cieniutką warstwę śniegu. Pod jej okryciem spostrzegł czarny sweter i spodnie. Zaklął w duchu. Nie przebrała się.

– Przepraszam, ja...

– Nie mogłeś po prostu poczekać na którąś z nas?

Zdecydowanym krokiem przeszła przez pokój, by podnieść pustą probówkę i igłę.

Przyjrzała mu się z surową miną. Mads spuścił wzrok.

– Ci lekarze – usłyszał. – Zawsze muszą być samodzielni. Siadaj!

Wykonał polecenie, nadal uciskając miejsce ukłucia. Charlotte odepchnęła jego dłoń. Pod skórą widniał mały, zielony pęcherzyk, ale krwawienie ustało.

– Co chcesz? Morfologię?

Spojrzał na nią. W kącikach jej oczu rozchodziły się przyjazne zmarszczki. Uzmysłował sobie, że nie musi wcale zdradzać jej, jakie badanie zamierzał wykonać. Nie wypełnił jeszcze formularza. Oparł się z powrotem na krzesło.

– Cholesterol i lipidy – powiedział.

– Któryś z pacjentów cię zainspirował?

Charlotte wstała i zdjęła płaszcz. Powiesiła go na haczyku za drzwiami. Kiedy się odwróciła, Mads upewnił się, że druga probówka wciąż znajduje się w jego kieszeni. Mógł przemycić ją do paczki z próbkami, które pod koniec dnia wysyłano do Trondheim i opatrzyć nazwiskiem jednego z dzisiejszych pacjentów. Nikt niczego by nie zauważył.

– Wcześniej dziś przyszedł – powiedział, kiedy znowu przed nim usiadła.

Szybkim ruchem zacisnęła stazę niżej na jego prawym przedramieniu. Przyjrzała mu się krótko, po czym wzięła nową igłę.

– Słyszałam, że to ty go znalazłeś.

Jej głos nagle się zmienił. Mads przytaknął i spostrzegł, że kobieta ma zaczerwienione oczy. Nie myślał dziś jeszcze o Starym Doktorze, ale wiedział, że Charlotte pracowała z nim przez blisko dwadzieścia lat.

– Myślę, że zginął na miejscu – powiedział. – Pewnie nie było tak źle, jak mogłoby się

wydawać.

Aż się wzdrygnął, czując ukłucie w rękę.

– Siedź spokojnie – zakomenderowała.

Przyglądał się krwi spływającej do małej fiolki. Nawet teraz, niemal pół doby po znalezieniu ciała, nie czuł żalu. Niczego nie czuł. Zresztą, może nie było w tym nic dziwnego. Choć przez ostatnie miesiące pracował ze zmarłym, prawie ze sobą nie rozmawiali.

– Planujemy uczcić jego pamięć na małym spotkaniu za kilka minut – powiedziała Charlotte i odłączyła probówkę od igły. Odłożyła ją, po czym usunęła igłę, przyciskając do skóry wacik. – Dobrze, że przyszedłeś tak wcześniej. Jędza... – urwała, a na jej ustach Mads dostrzegł cień opanowanego uśmiechu, nim podjęła: – ...Beate zaprosiła też pastora. Spotykamy się za kwadrans w pokoju zebrań. Możemy na ciebie liczyć?

Czekając na reakcję Lisbeth Løken, Mads upił spory łyk kawy. Siedzieli w pokoju zebrań, po przeciwnych stronach długiego stołu. Kiedy zdradził jej, co wyrwało się Charlotte w laboratorium, ukryła twarz w dłoniach.

– Powiedziała „Jędza”? Serio?

Mrużąc oczy, wyjrzała spomiędzy palców. Była wściekle czerwona na twarzy. Na dzisiejszą okazję ubrała się dorośle. A może to czerń sprawiła, że wyglądała poważniej. Tak czy inaczej wydawała się zbyt młoda na bycie mężatką, a z pewnością na żonę tak dojrzałego mężczyzny, jak dziennikarz Løken.

– Myślałem, że nikt nie słyszał, kiedy nazwałeś tak Beate – wyszeptał.

Lisbeth przechyliła się w jego stronę, wciskając głowę w ramiona.

– Też mi się tak wydawało.

Parsknęła cichym śmiechem i zakryła sobie usta ręką. Potem najwyraźniej pomyślała o czymś poważnym, bo mina jej się wydłużyła.

– Co czuleś, kiedy go znalazłeś? Dużo było krwi?

Mads znów ujrzał przed sobą woskową twarz Caroliussena. Potrząsnął głową.

– Właściwie to nie.

– Jesteś przygnębiony?

– Dlaczego pytasz?

– Bo nie wyglądasz na przygnębionego. Ja zresztą też nie czuję wielkiego smutku. Umiał obchodzić się z pacjentami, ale... – wbiła wzrok w blat, splotła palce. Jej wargi ułożyły się w nieznaczny uśmiech. – Byłam u niego raz w charakterze pacjentki. To było... w zasadzie nie poważnego. Chciałam tylko o coś go zapytać. O coś, z czego nie mogłam zwierzyć się w domu. Pamiętam, że byłam spięta, nie miałam odwagi spojrzeć mu w oczy, po prostu usiadłam i zaczęłam mówić. Strasznie się rozgadałam. Właściwie nie wydaje mi się, żebym coś poczuła, dopóki nie minęło trochę czasu. Ale potem dotarło do mnie, że było coś... coś takiego, co sprawiło, że nagle się rozluźniłam... Wiesz, jak to wy, lekarze zwykle kiwacie głową, kiedy pacjent mówi i mruzcycie to swoje: mhm-mhm? – zerknęła na Madsa.

– Mhm-mhm.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Oj, przestań. Tak czy owak, Caroliussen tego nie robił. Wydawało mi się za to, jakby mruczał: Wiem... wiem...

Wzdrygnęli się oboje, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Jędza. Lisbeth się wyprostowała, Mads opuścił filiżankę i skinął głową na powitanie. Jędza dramatycznie zaczerpnęła oddech i odpowiedziała tym samym. Odstąpiła na bok, wyciągając rękę.

– Przywitajcie wielebnego Gudmundsena!

Pastor dostojnie wkroczył do pomieszczenia. Jego chód zdawał się nienaturalny, tak jakby

wolne kroki miały zaakcentować sam fakt jego obecności. Mads podał rękę starzejącemu się mężczyźnie.

– Nie mieliśmy dotąd okazji się poznać, ale dobrze wiem, kim pan jest – rzekł Gudmundsen. – Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Obiema rękami ścisnął dłoń Madsa, po czym puścił go i obszedł stół, kierując się do Lisbeth.

– Wyrazy współczucia – powtórzył.

Jędzą zdążyła tymczasem stanąć u szczytu stołu i wysunąć krzesło.

– Proszę tutaj – powiedziała cicho – my zajmiemy miejsca po bokach.

Omiotła wzrokiem Madsa i Lisbeth, którzy siedzieli na środkowych krzesłach. Mads bez słowa przesiadł się o dwa miejsca w prawo. Lisbeth poszła za jego przykładem.

– Earl Grey z mlekiem?

W drzwiach stanęła Charlotte, trzymając kubek opatrzony reklamą tabletek szczęścia.

„Bo zasługujesz na życie”, zdążył przeczytać Mads pod logo leku, zanim pastor z zyczliwą miną przyjął kubek i usadowił się na krześle wskazanym mu przez Jędzę.

– Czy mogę najpierw coś powiedzieć?

Mads zorientował się, że podniósł rękę jak uczeń, i odruchowo ją cofnął. Jędzą spojrzęła nań wzrokiem bez wyrazu.

– Byle szybko!

– Odebrałem wczoraj wiadomość z Centrali Pogotowia, że nie będzie dzisiaj zmiennika.

Przejrzałem listy pacjentów i zdaje się, że do Caroliussena na szczęście nie zapisało się ich jeszcze tak wielu. To oznacza, że mógłbym przyjąć ich w godzinach nagłych przypadków. Jeśli przyjdzie ktoś, kto będzie wymagał natychmiastowej konsultacji, to za pacjentów Starego Doktora wezmę się w porze lunchu albo po godzinach pracy. Poza tym zakładam, że dziś wieczorem to ja będę pełnił dyżur.

– Tak, zdaje się, że będziesz musiał.

Jędzą odrzuciła półdługie czarne włosy, dzisiaj ujarzmione spinką.

– Jeśli chodzi o twojego szwedzkiego zmiennika, to już z nim rozmawiałam... i niestety w ogóle go nie będzie. A raczej: ja mu kazałam nie przychodzić. Zadzwoił i zwolnił się na cały tydzień, przy czym nie gwarantuje, że pojawi się w trakcie świąt.

– Ale...

Słowa uwięzły Madsowi w gardle.

– Oznacza to, że musimy znaleźć innego lekarza, który zastąpi go w grudniu, wiem.

I jeszcze jednego na miejsce Aldusa. Hilde Hernes została już poinformowana. Skontaktuje się z agencją pracy tymczasowej, z którą zwykle współdziałamy. A tymczasem... – teatralnie zawiesiła głos – jesteś jedynym lekarzem na wyspie, Mads. Zakładam, że możemy na tobie polegać?

Kiedy pastor zaczął mówić przyciszonym tonem i otworzył niewielką Biblię leżącą przed nim na stole, Mads zgarbił się na krześle. Żadnego zmiennika. Cały scenariusz uległ nagle dramatycznej zmianie. Kiedy przyjechał na wyspę, w jego kontrakcie zapisano, że będzie pełnił dyżur tylko raz w tygodniu. Nieustający dyżur przez czas nieokreślony był nie tylko trudną do zniesienia myślą. Z jego perspektywy było to po prostu niewykonalne. Przyglądał się pozostałym, którzy z pochylonymi głowami słuchali słów pastora. Zwierzenie im się z choroby byłoby równoznaczne z wyznaniem, że nie radzi sobie z pracą.

Nie mógł tego zrobić. Ta praca to jedyne, co miał w życiu. Bez niej był nikim.

Lisbeth najwyraźniej skutecznie przekonała pacjentów, żeby szybko przechodzili do rzeczy, bo już od progu gabinetu przepraszała, że zajmują mu czas. Wielu chciało jednak

rozmawiać o Caroliussenie. Kilka starszych kobiet zaczęło nawet płakać i Mads musiał poświęcić sporo czasu, żeby je pocieszyć. W środku dnia zadzwonił dziennikarz Løken z „Hitry-Frøi”, żeby wysepić wypowiedź na temat Starego Doktora. Gazeta wychodziła tylko dwa razy w tygodniu, a we wtorek planowali opublikować obszerny reportaż o wypadku.

– Ma pan teraz czas? – spytał Løken.

Mads westchnął, ale uległ. Miał wyrzuty sumienia za wczorajszą lakoniczność, udzielił więc zwięzłych odpowiedzi na kilka pytań dotyczących zdarzenia. Dobierał słowa najlepiej, jak umiał, starał się budować jednoznaczne zdania, pomijając szczegóły natury poufnej.

– Słyszałem, że widział pan jelenia – rzekł wreszcie Løken. – Zdaniem komendanta to przez niego samochód wypadł z trasy.

– Jeleń podążał za mną jakiś czas drogą z Sandstadu. To czyste spekulacje.

– Więc pańskim zdaniem w wypadku mógł uczestniczyć inny samochód?

– Nie mam zdania. Padał śnieg, a warunki jazdy były nie najlepsze.

– No, ale jednak. Musi być coś, co sprawia, że kierowca zjeżdża z drogi na takim prostym odcinku.

W tle słychać było stuk palców biegnących po klawiaturze.

– Swoją drogą, czy miesiąc temu nie doszło do konfliktu między panem a Caroliussenem w kwestii użycia ambulansu?

– A jaki to ma związek ze sprawą?

– Zamierzaliśmy napisać parę słów o kontrowersjach wokół Starego Doktora w ciągu lat. Był szczególnym człowiekiem, w sensie pozytywnym i negatywnym, jeśli pan rozumie. Nie powinno się kreślić wyłącznie jego świetlanego obrazu. Nie mógłby mi pan pokrótce przybliżyć konfliktu o ambulans?

– Przykro mi, ale nie mam dziś czasu. Może innym razem.

– Ma pan coś przeciwko, żebym zadzwonił do Ågego Fjellvaera i jego o to zapytał?

– Proszę robić, jak pan uważa.

Po odłożeniu słuchawki Mads siedział, gapiąc się w ścianę. Kiedy wreszcie dadzą mu spokój z tą kłótnią o karetkę? Zdawało się, że ludzie mu nie ufają, bo jest spoza wyspy. W zasadzie sprawa była dość prosta. Na wyspie nie potrzeba było aż dwóch karetzek czekających na wezwanie, skoro dwa ambulanse stacjonowały też na Frøi. Karetki z Frøi mogły obsłużyć nagle przypadki na Dolmøi i Melandsjø. Są chyba jakieś granice, ilu ludzi może siedzieć beczynnie przez całą dobę w oczekiwaniu na sygnał, tylko po to, żeby przydać się raz w roku.

Spojrzał na zegarek. Następny pacjent czekał już od dwudziestu minut. Wychodząc do poczekalni, przygotował sobie stosowne usprawiedliwienie.

Zrobiła się siódma, kiedy wreszcie mógł wyłączyć komputer. Miał dzisiaj mniej roboty, niż się spodziewał, ale ostatecznie był to dopiero początek. Następnego dnia znów musiał pracować za trzech. A potem pojutrze i tak dopóty, dopóki administratorka opieki zdrowotnej nie znajdzie jednego albo dwóch zastępców. Mads wstał z krzesła i przeciągnął się. Pozostała mu już tylko wizyta w Kvenvaerze, potem mógł odpocząć. Zadzwonił syn starszej kobiety, który obawiał się, że matka miała w nocy wylew. Mads mógł wysłać karetkę, ale podane przez mężczyzną objawy nie do końca zgadzały się z diagnozą wylewu. Najlepiej, żeby sam ją obejrzał, mimo że dojazd na miejsce zajmował całe czterdzieści minut.

Przypiął radiotelefon do pasa, wziął torbę lekarską i zamknął drzwi gabinetu. Drzwi do rejestracji były uchylone, a przeszedłszy korytarzem, zastał tam Charlotte, która liczyła pieniądze w kasie.

– Jakieś wieści od Hernes? – zapytał.

Potrząsnęła głową i podała mu tekturową tackę z pieniędzmi, ale poprosił gestem, by

wstawiła ją na jego półkę.

– Musimy zacząć kombinować. Dzwoniłam do przychodni na Frøi z pytaniem, czy nie udzielą nam wsparcia, i tak całkiem mnie nie spławili. Ale na twoim miejscu nie miałabym wielkich nadziei – skinęła głową w stronę jego torby. – Dokąd się wybierasz?

– Do Elsy Lynum.

– Czyli do Kvenvaeru – Charlotte bawiła się papierkiem, leżącym przed nią na stole. – Dobrze się składa. Dzwonił Jakob Sølvestad. Nie wiem, czy go znasz.

Mads pokręcił głową i odstawił torbę.

– Jest administratorem parafii tu, na wyspie, i jednym z dawnych pacjentów Caroliussena. Nie ma w zwyczaju dzwonić na pogotowie, więc skontaktował się ze mną. Chodzi pewnie o żonę. Dobrze by było, żebyś do nich zajrzał. Mieszkają na Dolmøi, więc możesz wpaść tam po drodze do Kvenvaeru.

– Co się stało?

Charlotte oparła się w krzesło i długo mu się przyglądała.

– Trudno mi to wyjaśnić – odparła, a po pauzie dodała: – Myślę, że powinieneś pogadać o tym z Sølvestadem. Miniesz kościół w Dolm i pojedziesz dalej, aż dotrzesz do stóp wzgórza. Po lewej stronie drogi zobaczysz dom o wyglądzie obleżonej twierdzy.

– W porządku – rzekł. – Kto potrzebuje GPS-u, mając ciebie?

Uśmiechnęła się nieznacznie, jak nauczyciel, który usłyszał komplement od podlizującego się ucznia. Mads wziął torbę i uniósł rękę na pożegnanie.

– Jeszcze jedno – Charlotte odwróciła się i wyciągnęła kartkę A4. – To do ciebie.

Podniosła stronę, tak by mógł przeczytać skreślone na niej litery. „Pamiętaj, godzina 22”, napisano na kartce niebieskim długopisem. Mads uderzył się w czoło. Zupełnie zapomniał, że jest poniedziałek. Zerknął na zegar wiszący nad ladą, po czym zauważył, że Charlotte splotła ramiona na piersiach. Posłała mu upominające spojrzenie, tak jakby żądała wyjaśnienia.

– Mam rozumieć, że wreszcie zabrała się za ciebie kobieta?

Odwrócił się. W zasadzie mógł jej powiedzieć, dokąd się wybiera, ale wstąpił w niego diabeł. Najwyraźniej wiedziała więcej o Jakobie Sølvestadzie, niż mu wyjawiała. W takim razie musiała pogodzić się z faktem, że on również ma tajemnice.

– Trudno mi to wyjaśnić – odparł i wyszedł.

Stał na czerwonym świetle przed mostem prowadzącym na Dolmøye. Prezenter radiowego serwisu informacyjnego oznajmił, że w nadchodzących dniach również można się spodziewać opadów śniegu. Szykował się nastrojowy okres przedświąteczny. Mads wyłączył odbiornik i siedział, słuchając warkotu motoru. Więcej śniegu. Nie był pewien, czy podoba mu się ta myśl. Mogło to sprawić, że pacjenci zostaną w domach. Z drugiej strony kiepska pogoda oznaczała trudne warunki jazdy i większą liczbę wypadków drogowych. Odkąd został lekarzem, próbował nauczyć się przewidywać przepływ pacjentów na podstawie warunków pogodowych, ale nie wyciągnął dotąd żadnych wniosków poza tym, że spokój panował zwykle podczas mistrzostw świata w piłce nożnej i biegów narciarskich na igrzyskach olimpijskich.

Zabrzmiał przeciągły klakson. Zaraz potem z przeciwnika, od strony Dolmøi, nadjechała wielka ciężarówka. Śnieżna kurzawa otaczała koła, które ledwo mieściły się na wąskiej jezdni. Mads puścił hamulec, tak że mercedes potoczył się do tyłu, i zjechał na bok. Zawsze robił się czujny, kiedy wielkie tiry, jadące do ubojni ryb lub powracające z nich, mijały go ze świstem. Ich kierowcami byli często Rosjanie lub mieszkańcy innych krajów Europy Wschodniej, pracujący na zlecenie. Nie stać ich było na łańcuchy ani porządne opony, nierzadko więc ciężarówka zsuwała się z jezdni i łądowała zaklinowana w rowie – zwłaszcza w drodze po ładunek, gdy wozy były lekkie. Mads przypomniał sobie, że Ove Forsnes mówił coś o barierce, której brakowało w miejscu, gdzie Caroliussen zjechał z drogi. Odpowiadał za to pewnie taki właśnie gigant. Pamiętał, że sam go tam widział, w połowie zbrocza.

Kiedy ciężarówka przemknęła obok, zadrżały szyby. Światło zmieniło się na zielone. Mads odczekał kilka sekund, chcąc się upewnić, że dudniąc, nie nadjedzie kolejny pojazd, po czym dodał gazu i wjechał na most.

Dolmøya była wyspą, którą w zasadzie najmniej tutaj lubił: jałowa, porośnięta smaganym przez wiatr wrzosem. Brakowało jej wyraźnego pasa plaż, ponieważ skały opadały stromo do morza. Ze względu na ukształtowanie terenu zabudowania były rozproszone. Mieszkali tu głównie emeryci, starzy rybacy i marynarze. Nie wiedział, czy to ci ostatni rozsiewali plotki o Dolmøi, ale wcale by go to nie zdziwiło. Jeśli ktoś pośliznął się tu na lodzie i kończył ze skrzyknięciem karkiem, kierowcy ambulansu patrzyli po sobie i wzruszając ramionami, mówili tylko: „Dolmøya!” Pewnego razu wezwano go do kobiety, która chciała przenieść garnek z klopsami rybnymi z piekarnika na stół kuchenny. Potknęła się o psa i oblała się wrzątkiem. „Dolmøya” – mruknął Åge Fjellvaer, gdy pochylając się nad nią, oglądali oparzenia. Na Dolmø i większość spraw przybierała zły obrót. Jeśli gdzieś obowiązywały prawa Murphy’ego, to właśnie tutaj.

Mads spostrzegł, że wiele domów wzdłuż drogi przystrojono już jarzącymi się lampkami świątecznymi. Na szczycie jednego z dachów migał nawet uśmiechnięty elektryczny mikołaj. Przejeżdżając obok, Mads zwolnił, zerkając na mikołaja. Dobrze pamiętał ten dom. To przed nim wczesną jesienią spotkał młodą Tajkę. Tak jak teraz wybierał się do chorego i nagle zobaczył postać biegnącą przy drodze. W jesiennym mroku trudno było przyjrzeć się dziewczynie, ale spostrzegłszy, że jest bosa, zatrzymał się i wysiadł z samochodu. Z jej nosa płynęła strużka krwi i miała podbite oko. Nakłonił ją, by wsiadła do auta, i przyłożył jej kompres do nosa. Siedziała w zupełnym milczeniu, nie poruszając się, szeroko otwartymi oczami patrząc w kierunku, z którego przybiegła. Wzdragła się za każdym razem, gdy się do niej zbliżał. Aby ją uspokoić, włączył długie światła i uruchomił zamek centralny. Potem zawrócił na wąskiej szosie. Niewykluczone, że jej mąż zobaczył reflektory samochodu i stanął. Niewykluczone, że zdołała mu się wyrwać. Nie sposób było dociec. Nikt nie wyłonił się z ciemności, a w drodze na

komendę dziewczyna nie odezwała się ani słowem. Potem nigdy już nie słyszał o tej sprawie.

Z lewej strony pojawił się zaśniewany drogowskaz. Mads zahamował i zdążył dostrzec rysunek wieży kościelnej oraz litery „LM”. To musiał być kościół w Dolm. Nie zostało mu więc wiele drogi. Przypomniawszy sobie, co powiedziała Charlotte o Jakobie Sølvestadzie. Administratorowi parafii najwyraźniej nie wpadło do głowy, żeby zadzwonić na pogotowie. Tak bardzo przywykł do bezpośredniego kontaktu z Caroliussenem, że zapomniał o istnieniu innych lekarzy. Mads zdawał sobie sprawę, że Stary Doktor często jeździł do swoich pacjentów, nawet kiedy oficjalnie nie pełnił dyżuru, sądził jednak, że dotyczyło to pojedynczych przypadków. Nagle stracił tę pewność. Sposób, w jaki wyraziła się Charlotte, kazał mu przypuszczać, że w grę wchodziła raczej reguła niż wyjątek.

Przed nim, na szczycie wzgórza, wyrósł dom otoczony kilkumetrowym murem, ciągnącym się od ogrodu aż do garażu. Budynek faktycznie wyglądał jak twierdza warowna. Mads zaparkował i wysiadł z samochodu, po czym przystanął, by przez kilka sekund podziwiać wznoszące się przed nim bloki naturalnego kamienia. Nie ulegało wątpliwości, że wycięto je tak, by do siebie pasowały. A przynajmniej nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział gładszy mur z kamienia.

Ruszył pod górę świeżo odśnieżoną dróżką wijącą się na tyłach budynku. Było to osobliwe miejsce zamieszkania. Nawet jak na Hitrę wyglądało na odosobnione. Mads podniósł wzrok, by spojrzeć na okna, pod którymi przechodził. Nie wiedział dlaczego, ale ten dom budził w nim niepokój. Wewnątrz paliło się niewiele świateł, na parapetach nie dostrzegł niemal żadnych ozdób. Zatrzymał się przed drzwiami wejściowymi i nacisnął dzwonek. Cofnąwszy się o krok, zwrócił uwagę na inskrypcję umieszczoną na tabliczce nad nazwiskiem Sølvestad: „Do miłości Boga przez Dekalog droga”.

Drzwi otworzył mężczyzna o sztywnej postawie, pasującej do przedstawiciela Kościoła. Twarz miał zapadniętą, pozbawioną warg, ale błyszczały w niej tak duże oczy, że Mads mimowolnie pomyślał, iż mężczyzna pewnie ma przyspieszony metabolizm. Szyję miał jednak wąską, jakby ściśniętą, a na skórze nie widać było blizny po operacji tarczycy. Jego ruchy dalekie były też od niecierpliwych – raczej powściągliwe i opanowane.

– Jakob Sølvestad – przedstawił się gospodarz i mocno uścisnął lekarzowi rękę.

Odsunął się na bok, dając do zrozumienia, że gość powinien pójść przodem. Mads się podporządkował. W długim korytarzu poczuł zapach kawy. Ściany pokrywała tylko boazeria o szerokich deskach. Drzwi po lewej prowadziły do kuchni. Przy drzwiach na końcu korytarza wisiał samotny, ascetyczny krzyż. Jak na dom mieszkańca Hitry panowały tu niezwykle spartańskie warunki. Większość mieszkań na wyspie, które miał dotąd okazję odwiedzić, przepełniały bibeloty, zdjęcia i różnorakie kosztowności.

Sølvestad zaczekał, aż Mads ściągnie kurtkę i buty.

– Chodzi o pańską żonę, prawda?

– Tak.

– Leży w sypialni?

Mężczyzna odchrząknął, nie ruszając się z miejsca. Madsowi przypomniawszy się słowa Charlotte. „Trudno mi to wyjaśnić”. Wkrótce pewnie zrozumie, dlaczego nie rozwinęła kwestii.

– Zechciałby pan najpierw wypić kawę? – podsunął Sølvestad i odwrócił się do Madsa, minąwszy go o kilka kroków.

Nie chodziło tylko o surowy wyraz twarzy administratora. W jego tonie zabrzmiał raczej nakaz niż pytanie. Zerknąwszy na zegarek, Mads pomyślał o spotkaniu o dziesiątej. No cóż, najwyżej się spóźni. Skinął głową i ruszył za Sølvestadem do salonu. Również tutaj wystrój ograniczono do minimum. Pokój był oszczędnie oświetlony dwiema lampami, wiszącymi nad

zniszczonej szarą kanapą i tekowym stołem, na którym stał termos i porcelanowa filiżanka. Pod przeciwległą ścianą znajdowała się komoda. W pokoju nie było telewizora ani dywanu. W rogu, obok kominka, wisiało duże zdjęcie panny młodej. Wykonano je stosunkowo niedawno. Mads zwrócił uwagę, jak młodo pani Sølvestad prezentuje się przy swoim mężu. I nie tylko. Jak na mieszkankę Hitry miała zbyt piękne, czarne włosy i czyste, klasyczne rysy.

Usiadł na kanapie. Zaproponowano mu cukier w kostkach i śmietankę, ale podziękował. Upił pierwszy łyk kawy, a Sølvestad stał i mu się przyglądał.

– Jak panu z pewnością wiadomo, moja małżonka leczyła się u doktora Caroliussena.

– Tak, rozumiem.

Sølvestad oddychał ciężko przez nos. Mads obserwował w półmroku jego surową twarz. W oficjalnym zwrocie „moja małżonka” było coś, co do niego pasowało.

– Wszystkich nas bardzo zasmuciła wieść o śmierci doktora. Był on nie tylko zdolnym lekarzem, ale i dobrą osobą. Tak... był dobrym człowiekiem.

Sølvestad wreszcie przysunął sobie krzesło i usiadł. Mads oparł się na twardej kanapie. Przeczucie podpowiadało mu, że na razie powinien mówić jak najmniej.

– Doktor Caroliussen przychodził tu regularnie i zaglądał do mojej żony. Przez ostatni rok nie czuła się za dobrze. Z początku sądziłem, że chodzi o aklimatyzację – urwał. Jego ręce splotły się na kolanach, a wzrok powędrował ku dzielącemu ich stolikowi. – Irina pochodzi z Rosji i... – skinął w stronę zdjęcia panny młodej na ścianie – dopiero w zeszłe święta otrzymaliśmy ostateczne potwierdzenie...

Ściągnął usta. Mads siedział bez słowa.

– Miała zawał serca.

Sølvestad uporczywie gapił się w przestrzeń. Wzrok miał przejrzysty i nieruchomy. Mads nie zapanował nad dreszczem, który przebiegł mu po plecach.

– Poważny?

– Trudno mi ocenić. I nie o to chodzi. Sęk w tym... – Sølvestad zawahał się, spojrział w dół, po czym znów uniósł wzrok – Sęk w tym, że moja małżonka jest bardzo szczególną istotą. Łatwo ją wystraszyć. Próbowaliśmy więc z doktorem jakoś to wszystko... oddramatyzować.

Ciszę, która zaległa, mąciło tylko tykanie zegara w drugim końcu pokoju. Powinien był to zrozumieć już, kiedy parkował: w tym domu nie mogło być zdrowych ludzi. Mads poczuł, że traci cierpliwość.

– Mam rozumieć, że pańska żona nie wie o swoim zawale?

– Zdaniem doktora Caroliussena tak było najlepiej. Irina nie mówi po norwesku i...

– Leczy się?

– Tak, bierze tabletki.

Jakob Sølvestad podszedł do komody, stojącej na ukos od kanapy. Wrócił z białą kopertą, którą przesunął przez stół w stronę Madsa. Napisano na niej: „Jedna tabletką w razie potrzeby – na serce”. Mads rozpoznał pełne zawijasów pismo Caroliussena. Wyciągnął rękę i przycisnął kopertę do blatu. Była pusta.

– Doktor Caroliussen dawał nam lekarstwo, ale jak pan widzi, skończyło się.

– Co to był za lek? Nitrogliceryna?

Błyszczące oczy zalśniły w cieniu.

– Tabletki były duże, białe i płaskie, jeśli coś to panu mówi. Irina potrzebuje teraz kilku. Jest bardzo chora.

Mads spojrział na kopertę. Tabletki nitroglicerynowe nie były duże i płaskie, lecz małe i kuliste lub elipsoidalne. W nagłym przebłysku przypomniał sobie scenę z wizyty lekarskiej, którą odbył kilka miesięcy wcześniej. Trafił do domu starszej kobiety na Helgebostadøi, a na jej

stoliku nocnym leżała taka sama koperta, opatrzona pismem Starego Doktora. Wtedy nie zastanawiał się nad tym, pomyślał po prostu, że musiała zawierać tabletki nasenne czy coś w tym rodzaju. Ale wydawać leki na serce w kopercie, a nie na receptę? Nigdy się z czymś takim nie spotkał. Spojrzał na Sølvestada, którego splecione ręce przeniosły się na brzeg stołu.

– Myślę, że muszę obejrzyć pacjentkę – powiedział.

W drodze powrotnej Mads zerknął na machającego mikołaja na dachu. Wizyta u administratora parafii napełniła go uczuciem dziwnego ciężaru. Kiedy wszedł do sypialni, Irina Sølvestad pólleżała w łóżku, dysząc, z ręką przyciśniętą kurczowo do mostka. Mads długo próbował się z nią porozumieć. Bardzo słabo mówiła po angielsku, a intuicyjnie wyczuwał, że jest raczej załęknioma niż chora na serce. Szybkie badanie nie wykazało żadnych oznak niewydolności, kiedy zaś zaaplikował kobiecie nitroglicerynę w aerozolu pod język, doznała tak gwałtownego spadku ciśnienia, że musiała znów się położyć. Siedząc na brzegu łóżka, Mads przyglądał się patrzącej w sufit pacjentce. Wyglądała starzej niż na fotografii ślubnej w salonie. W czarnych włosach pojawiły się już pasma siwizny. Poza tym sprawiała wrażenie całkiem zdrowej. Trudno powiedzieć, dlaczego zgodziła się na izolację na Dolmøi, ale być może inaczej wyobrażała sobie pobyt tutaj, kiedy przybyła w te strony po raz pierwszy.

Wyszedłszy z pokoju, zadzwonił do szpitala w Orkdalu, by zapytać o informacje, jakie mieli na temat pani Sølvestad. Okazało się, że w ogóle nie zebrali o niej danych. Ze względu na niewiadomego pochodzenia bóle w klatce piersiowej lekarz asystent, z którym rozmawiał Mads, chciał obejrzyć pacjentkę.

– Przyśle ją pan helikopterem, prawda? – zapytał.

– Wystarczy zwykła karetka – odparł Mads.

– Przy bólach klatki piersiowej? Z Hitry? Chyba pan zwariował!

Mads niechętnie przystał na to, by wezwać ambulans powietrzny. Pół godziny później przy zjeździe do kościoła Dolm wylądował helikopter. Mads obserwował, jak maszyna odrywa się od ziemi, z uczuciem, że podjął zdecydowanie niewłaściwą decyzję. Ale od czegoś trzeba było zacząć.

Włączył odtwarzacz CD. Zabrzmiał pierwszy utwór z albumu Kentów. *Ratownik*. Kiedy dźwięk gitary wypełnił auto, Mads przypomniał sobie pustą kopertę na stole w salonie administratora. Jeśli Irina Sølvestad nie była dotąd hospitalizowana, Caroliussen musiał postawić diagnozę na podstawie odczytu EKG w przychodni. Pacjentka mogła też przebywać w innym szpitalu. Może w Szpitalu Świętego Olafa w Trondheim? Tak czy inaczej, jej dane musiały znajdować się na serwerze w przychodni. Mads zahamował przed światłami przy moście i podkreślił głośność. Postanowił sprawdzić to jutro. Teraz musiał zająć się kolejną pacjentką, by się nie spóźnić na spotkanie.

...

Dojazd do Kvenvaeru zajął mu dobre czterdzieści pięć minut. Droga była kręta i śliska, a on nie mógł opędzić się od myśli o jeleniu, którego widział przy rozbitym aucie Starego Doktora. W wielu miejscach przy drodze drzewa rosły tak gęsto, że nie udałooby mu się wykręcić, gdyby przed maskę wyskoczyło zwierzę. Mimo to starał się utrzymać prędkość. Jeśli miał zdążyć na spotkanie o dziesiątej, musiał się pospieszyć.

Opis Charlotte okazał się wystarczający. Najpierw drogą krajową do Kvenvaeru, potem trzeci budynek na prawo, licząc od domu, w którym wychował się Tom Ketil Krogstad, były prezes Klubu 4. Na drodze przed podjazdem stało zaśnieżone czerwone wiadro. Kiedy zaparkował, na podwórzu wyszedł syn pacjentki. Gęsta, zmierzwiona broda sprawiała, że

w ciemności trudno było rozszyfrować wyraz jego twarzy.

– Mama leży na dole, w piwnicy – rzekł, podając Madsowi rękę. Wydeptaną ścieżką obszedł dom, a lekarz ruszył jego śladem. W oknach, które mijali, zawieszono już ręcznie wykonane ozdoby świąteczne.

– Co się stało?

– Nie mogła dzisiaj wstać z łóżka. Zwykle krząta się i sama się sobą zajmuje, mimo że ma już dziewięćdziesiąt dwa lata.

Skręcili za róg i podeszli do drzwi. Mężczyzna otworzył i gestem zaprosił Madsa do środka.

– Poza tym ma mdłości i zawroty głowy. Nie widziałem jej w takim stanie już od kilku lat, odkąd nabawiła się grypy.

Mads wszedł do przedsiionka. Na zielonym linoleum widniały kałuże rozpuszczonego śniegu. Przystąpił je i otworzył drzwi do salonu.

– Mamo, lekarz przyszedł – zawołał zza jego pleców gospodarz. W tej samej chwili ku Madsowi napłynęła ostra woń, podobna do zapachu acetonu. Zerknął na zegarek i się uśmiechnął. Minęła dziewiąta, ale wiedział, że bez problemu zdąży na wieczorne spotkanie. Z daleka wyczuwał zakażenie dróg moczowych.

Kiedy zjechał z drogi krajowej na pierwszym rondzie, zobaczył, że w centrum Fillan wieszano już dekoracje świąteczne. Przed Centrum Handlowym Hjorten stał dźwig samochodowy, a człowiek na jego szczycie zmagał się z wieńcem świerkowym, opatrzonym wielką żółtą gwiazdą. Najwyraźniej miał on zawisnąć nad drogą. Madsowi nie w smak było przypomnienie, że święta są już tak blisko. W tym roku nie miał czego uczcić. Znów przypomniał sobie o ojcu. Obiecał bratu, że do niego zadzwoni. Westchnął i skręcił w lewo przed halą sportową. Musiał porozmawiać z Kristofferem, żeby ustalić, co zrobić. Ale akurat teraz miał inny priorytet. Do grudnia pozostało jeszcze kilka dni.

Zajechał na tyły budynku. Kiedy się zatrzymał, w lusterku wstecznym zobaczył jakąś postać. Nie potrzebował wiele czasu, by dostrzec i drugą: ciasno przytulone, stały pod okapem. Ręka, która znalazła już klamkę, opadła znów na kolana. Mads oparł głowę o zagłówek. Teraz widział ich wyraźniej: obserwował, jak ich ciała zwały się w pocałunku, który zdawał się nie mieć końca. Przelknął ślinę, zamknął oczy i próbował o tym nie myśleć. To było już tak dawno. Tak szalenie dawno. I nie żeby na Hitrze nie było nikogo w jego guście. Dobrze wiedział, kto go interesuje i gdzie tej osoby szukać. Potrzebował po prostu więcej czasu, by zrobić właściwy krok.

Otworzył oczy, słysząc wesoły okrzyk.

– No, przestań! – rzuciła kobieta.

Mads ujrzał, że Sissel Skogen wyrывa się z objęć Anwara Ahmeda. Uśmiechnął się do siebie. Skoro Anwarowi udało się poderwać miejscową dziewczynę, to i on ma szansę.

Oderwał wzrok od lusterka, otworzył drzwi i wysiadł. Płatki śniegu poślaskotały go w kark. Poprawił kołnierz kurtki i podszedł do bagażnika. Wyjąwszy torbę sportową, zatrzasnął klapę i zamknął samochód. Kiedy ruszył przez plac, Anwar wymógł na Sissel ostatni pocałunek. Zamruczała z zadowolenia, po czym wyrwała mu się i szybkim krokiem poszła w stronę Madsa.

– Nocna zmiana? – zapytał.

Skinęła głową. Szybkim ruchem ręki dwukrotnie okręciła wokół szyi długi, liliowy szal. Była jak porywisty wiatr. Wiedział, że uważano ją za najzywszą pielęgniarkę. A jednak to właśnie Sissel preferowali pacjenci.

Minęła go z przelotnym uśmiechem.

– Obiecuj, że dasz mu wycisk!

– Postaram się.

Mads spojrzał na Anwara, który po drugiej stronie placu marzył w cienkim swetrze, z rękami głęboko zapuszczonymi w kieszenie. Najwyraźniej kiedy dorastał w Stovnerze, nie znalazł się nikt, kto by go nauczył ciepło się ubierać. Mads wyciągnął do niego rękę, ale jak mógł się spodziewać, uścisk dłoni nie wystarczył. Anwar objął go i mocno uściskał.

– Zawsze na czas, co? Słyszałem, że poniosło cię aż do Kvenvaeru. Musiałeś niezłe cisnąć z powrotem! Głodny?

Anwar wskazał stertę palet piętrzącą się pod ścianą przy tylnych drzwiach. Na parującym pudełku z napisem „Pizzeria Betlehem” pod mieniącą się Gwiazdą stały dwie puszki coca-coli. Mads nigdy nie pojął, co natchnęło pakistańską rodzinę handlowców do skojarzenia Betlehem z pizzą, ale prawdę mówiąc, nikt tego nie ogarniał. Wuj Anwara, który wymyślił nazwę, pożegnał się z życiem przed kilkoma laty po nagłym zatrzymaniu krążenia, zabierając tajemnicę do grobu. Ojciec przykazał wtedy Anwarowi, by przejął interes. Ten szybko zrozumiał, że nazwa restauracji tak dobrze przyjęła się wśród mieszkańców Hitry, że głupotą byłoby ją zmieniać. Mads podszedł do pudełka i jednym palcem podniósł pokrywę, ale Anwar przywołał go ruchem ręki.

– Jedna połowa z mięsem mielonym i cebulą dla ciebie, a druga z kurczakiem i ananasem dla mnie. Gotowy na rundkę?

Otworzył i przytrzymał tylne drzwi. Po ich wewnętrznej stronie Mads ujrzał plakat, który przybył tu od jego ostatniej wizyty – Åge Fjellvaer ścisnął na nim pożądliwie puchar z zeszłorocznych zawodów. Pod spodem napisano: „Bez turnieju kręglarskiego nastrój świąteczny pryska! W tym roku również liga kobiet”.

Skinął głową.

– Jestem gotów.

Słomkowy parkiet na sześciu torach połyskiwał w ciemności. Nic do siebie nie mówiąc, podeszli do krzeseł za torem czwartym i wyjęli sprzęt do gry. Mads miał ze sobą kulę do kręgli koloru Jowisza, którą kupił u sprzedawcy w mieście. Wybór pomiędzy jowiszowym brązem a żółtą lawą nie należał do trudnych. Położył kulę na torze i na dywan barwy cementu rzucił płaskie buty do bowlingu. Jesienią były jeszcze nowe, ale skóra zdążyła się już zetrzeć na czubkach. Odkąd koło Wielkanocy Anwar stracił stałego partnera do gry, zawarł z Madsem umowę, żeby przychodzić tu w każdy poniedziałek. Chłopak pracował jako dostawca pizzy w Betlejem, ale pewnego późnego wieczora pobili go miejscowi, kiedy dostarczył pod ich drzwi niewłaściwe zamówienie. Mads założył mu na twarz dziesięć szwów i wcale się nie zdziwił, gdy usłyszał, że parę dni później gość spakował się i opuścił wyspę. To Anwar przywiózł go do przychodni w niedzielę rano, a w poniedziałek zjawił się ponownie, by zapytać Madsa, czy nie chciałby z nim grać. Pracownicy Pizzerii Betlejem pomagali czasem jako ochroniarze w kręgielni, dlatego Anwar dysponował kluczem do hali i mógł grać za darmo po godzinach otwarcia. Mads zgodził się w zasadzie z grzeczności. Nie czuł jakiegoś sentymentu do bowlingu, a kiedy przybył na Hitrę, ledwo kojarzył, że w Fillan jest kręgielnia. Gra szybko jednak przypadła mu do gustu. Na dobrą sprawę nie umiał określić, co go w niej pociągało. Być może aspekt medytacyjny. Podczas gry rzadko się do siebie odzywali. Ważyli kule w ręce, przyglądali się torowi i koncentrowali na zbiciu kręgli. Początkowo Mads rzucał prosto przed siebie, by trafić w sam środek trójkątnej formacji. Później jednak pożyczył kulę od Anwara, ta zaś była tak wyważona, że łatwiej było wykonać nią podkręcony rzut. Samą technikę podkręcania kuli ciężko mu było opanować, ale ostatnie miesiące poświęcił na doskonalenie się w tej sztuce. A gdy już się zaczęło udawać, poczuł wymierny efekt.

Zwykle to Anwar wygrywał: tego wieczora nie stało się inaczej. Mads skończył czterdzieści punktów za przyjacielem, który uzyskał ich dwieście dwa. Nie miał więc innego wyboru, tylko przyznać, że już teraz potrzebuje przerwy.

– W ten weekend był u mnie ojciec.

Anwar napoczął swoją część pizzy. Mads pociągnął łyk coli i oparł się o paletę. Padający śnieg zdążył już mocno utrudnić odgadnięcie koloru lakieru stojącego przed nimi starego mercedesa.

– Nieczęsto cię chyba odwiedza?

– Chciał sprawdzić, jak mi się wiedzie – Anwar wepchnął sobie do ust spory kęs i zerknął na Madsa. – Nie jesz?

Mads posłusznie sięgnął po pizzę. Był wykończony. Połączenie bowlingu i długiego, wieczornego dyżuru pozbawiło go resztek energii.

– I jak, był zadowolony?

Anwar przytaknął, żując łączywie.

– Zaimponowało mu, jak rozkręciłem interes. Zresztą nic dziwnego, restauracja kiepsko stała, kiedy przejąłem ją po wuju. Więc rzuciłem myśl o tym, żeby zacząć też na Frøi...

– I...?

– Nie wzbraniał się. Zobaczymy...

– A Sissel?

– Co: Sissel?

– No, chyba przedstawiłeś mu Sissel?

Anwar zachichotał, ale coś w jego głosie sprawiło, że chichot nie wypadł zbyt przekonująco.

– Trochę na to za wcześnie. Najpierw musimy się z tym ujawnić na Hitrze.

Mads powoli żuł pizzę. Nie chciał naciskać na Anwara w tej sprawie. O tym, co i kiedy należało zrobić, najlepiej wiedział on i Sissel. Poza tym miał własne problemy.

– Znalazłem wczoraj ciało Caroliussena.

– Słyszałem.

– Widziałem jelenia na drodze tuż koło miejsca wypadku. Forsnes uważa, że to dlatego Caroliussen wypadł z trasy. W każdym razie było cholernie ślisko. Dokładnie tak jak teraz.

– Brzmi sensownie. – Anwar machnął ręką w kierunku padającego śniegu. – Te durne góry mięsa fiksują, kiedy śnieży.

Mads przełknął ostatni kawałek pizzy. Zrobiło mu się zimno, więc starannie otulił się kurtką.

– Może i tak – powiedział i znów przypomniał sobie oczy jednorogiego jelenia. Za nic nie mógł ich zapomnieć.

– No, wiesz. Jestem tu już prawie cztery lata, a populacja jeleni ciągle rośnie. Kiedyś znikaly, gdy tylko nadchodził sezon łowiecki. Tak jakby wietrzyły zagrożenie i chroniły się w głębi wyspy. Teraz jednak możesz natknąć się na całe ich stada w okolicy centrum Fillan, i to w środku października, gdy sezon na polowania trwa w najlepsze.

– Przecież co roku myśliwi zabijają około tysiąca zwierząt.

– Bo widzisz, tysiąc jeleni to nic. Powinni załatwiać co najmniej kilkaset sztuk więcej.

Problem w tym, że goście z Dyrekcji Ochrony Środowiska nie są w stanie dogadać się między sobą, ile zwierząt jest na wyspie. Poza tym chodzi o kasę. Właściciele gruntów dostają pozwolenie na odstrzał zależnie od wielkości posiadanego obszaru i chcą oczywiście, by zabijano jak najwięcej jeleni. Wiesz, za ile niektórzy sprzedają pozwolenia na odstrzał? – Anwar uniósł ramiona. – Dziesięć tysięcy koron. Dziesięć tysiaków za jedno zwierzę. Nic dziwnego, że tutejsi wolą zabrać padlinę do domu, jeśli uderzą w jelenia zderzakiem. Masz coś przeciwko, żebym zapalił?

Mads wzruszył ramionami. Anwar wyjął paczkę tytoniu i zaczął zwijać skręta. Poszło mu szybko. W niecałe pół minuty papieros był gotowy.

– Opowiadałem ci, jak raz jednego potraściłem?

Twarz Anwara rozświetliła się w blasku zapalniczki. Zaciągnął się porządnie i przechylił do tyłu.

– Jelenia? – spytał Mads, żeby go zachęcić.

Anwar energicznie otarł usta, wydychając dym nosem.

– Ważył ze sto kilo. To było na południe od Fillan. Pewnego wieczora wracałem z miasta. Jeleń wyskoczył na drogę, ale na szczęście udało mi się zahamować tak, że wpadł pod koła, a nie przez szybę do samochodu. Kiedy wysiadłem, był martwy jak głaz. Zachowałbym mięso dla siebie, gdyby ktoś nie zaoferował mi kokosów za całą sztukę. Założę się, że nie zgadniesz, kto taki.

Mads upił łyk coli: zimny napój sprawił, że dreszcz przebiegł mu po plecach.

– Åge Fjellvaer?

– Stary, ten to ma już pewnie cały zamrażalnik dziczyzny. Nie widziałeś śladów krwi na

przednim zderzaku karetki?

Anwar potarł dłonią szczecinę na brodzie, aż zatrzeszczała skóra.

– No to może Caroliussen?

Anwar uniósł brwi.

– Ja cię kręcę. Jak na to wpadłeś?

– Pomyślałem, że pewnie nabiłeś sobie guza i musiałeś wstąpić do przychodni.

Anwar przyglądał mu się z niedowierzaniem.

– Ja cię kręcę. – powtórzył – No tak, zgadza się. Hamując, przyładowałem w głowę – pochylił się i wskazał linię włosów na czole. – Trzeba było założyć parę szwów. A kiedy Caroliussen spytał, jak to się stało, nie potrafiłem skłamać. Caroliussenowi nikt nie śmiał kłamać w żywe oczy. No, wiesz. Nie przyznałem się, że wziąłem jelenia ze sobą, ale zanim zdążyłem coś dodać, zapytał, ile chciałbym za zwierzę.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zakładam, że dostałeś za niego trochę grosza.

– No, pewnie. A jednak byłem zaskoczony. Bo widzisz, Caroliussen poprosił mnie o pomoc. Było lato i pewnie wiesz, że dużo wędkował?

Mads przytaknął. To chociaż wiedział. Faktycznie Caroliussen zjawiał się czasem w przychodni ze sprzętem wędkarskim, człapiąc w gumowcach. Madsowi nadal wydawało się, że słyszy ciche, rytmiczne postukiwanie błystki o wędzisko.

– Ale być może nie orientujesz się już, że próbował założyć własny staw rybny? Nie wiem, jak długo się tym zajmował, ale zdążył sporo zrobić do czasu, kiedy się spotkaliśmy. Miał staw, niezbyt duży, jakieś pięćdziesiąt do stu metrów średnicy. Powiedział mi, że jego prawowity właściciel pozwolił mu tam działać w ramach jakiejś przysługi, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby stary po kryjomu odziedziczył całą działkę po jednym z pacjentów i nie zgłosił tego władzom. Staw leżał kawałek od szosy, dlatego potrzebował mojej pomocy. Musieliśmy dotaszczyć padlinę aż tam.

– Co chciał zrobić z jeleniem?

– Dobre pytanie. Wtajemniczył mi swoje plany dopiero, kiedy dotarliśmy na miejsce. W zatoczce, w samej wodzie, przy jakichś krzakach zdążył rozstawić niewielki krzyżak. Przechodząc obok, niełatwo go było zauważyć, ale chyba właśnie tak miało być. Na krzyżaku opierała się belka, wisząca nad wodą, na niej zaś umocowany był hak z mocną siecią. Kiedy podzieliśmy mięso, włożyliśmy jego część do sieci, tak że zawisło nad wodą. W drodze powrotnej Caroliussen nie był zbyt rozmowny, ale to i owo w końcu mi wyjaśnił. Kiedy w mięsie zalęgła się robaki, powiedział, pospadają do wody. Robaki stanowią dobry pokarm dla ryb, miały więc pomóc w zwiększeniu liczebności stada. W pobliżu trzymał też łódź i pewnie łowił narybek siecią, żeby oszczędzić pożywienie dla większych sztuk. Podobno doczekał się efektów. Mówił, że łowił ryby ważące po kilka kilo. – Anwar potrzęsnął głową, chichocząc. – Niezła hodowla, co? Kogoś takiego jak on najlepiej opisuje chyba słowo „zaangażowany”. Do głębi zaangażowany we wszystko, co robił.

Przed oczami Madsa stanął Caroliussen. Z cierpliwym wyrazem twarzy i przygarbionymi plecami, świadczącymi o latach ciężkiej pracy. Nie tylko z zaangażowania go pamiętał.

– Nigdy go nie lubiłem – wyrwało mu się.

Anwar zaciągnął się papierosem i wypluł na śnieg kawałek tytoniu.

– Jasne. Nie da się przyjaźnić ze wszystkimi.

– Moim zdaniem sądził, że wchodzę na jego teren. Kiedy na przykład zabrałem głos w sprawie karetki, wściekł się i mnie zwymyślał. Uważał, że nie powinienem mieszać się w kwestie lokalne.

– Czyli jeszcze nie załapałeś, o co chodzi?

Mads spojrział z ukosa na Anwara.

– To znaczy?

Anwar znów się zaciągnął i wzdrygnął, gdy żar dotarł do czubków jego palców. Zgasił papierosa w śniegu, gdzie ten żarzył się jeszcze przez kilka sekund.

– Caroliussen nie był tylko lekarzem gminnym. Maczał palce prawie we wszystkim, co się tutaj działo. To za jego namową Związek Sanitariuszek podniósł czynsz najmu Domu Zdrowia w Starym Fillan, żeby do zarządu gminy w końcu dotarło, że muszą postawić osobny dom starców. To on rozmawiał z lokalnymi właścicielami gruntów i załatwił gminie tania działkę. On uruchomił znajomości w Oslo i znalazł inwestorów skłonnych przeznaczyć środki na odnowę starego budynku, w którym otwarto hotel. Jest dużo podobnych przykładów. Kiedy parę lat temu w Trondheim wyrosła konkurencja dla lokalnego zakładu pogrzebowego, Caroliussen zadbał, by rodziny zwracały się do tego ostatniego. Konkurent wkrótce odpuścił i po paru miesiącach zamknął zakład. A jeśli chodzi o transport sanitarny, to chyba wiesz, że co trzy, cztery lata odbywa się przetarg w tej sprawie. Ostatnim razem uczestniczyła w nim spółka państwowa Falck, ale grubo się pomyliła, szacując koszty. Podobnie było z lokalnym baronem z Orkdalu. Nie wiem, na jakiej to się odbywało zasadzie, ale sędzę, że Caroliussen przez wiele lat pomagał Ågemu Fjellvaerowi zachować stanowisko. Wtrącając się, trafiłeś kulą w płot.

Mads spuścił wzrok.

– Ale miałem rację.

– Nie o to chodzi. Caroliussen nie zwracał uwagi, co jest właściwe, a co nie. Był tutaj królem, niemal dosłownie. Większość, podobnie jak ty, miała do niego ambiwalentny stosunek. Ludzie bali się go, ale i kochali. Wszystko, czego się podejmował, robił w zasadzie po to, żeby wzmocnić środowisko lokalne i tutejszą społeczność. Wszyscy wiedzieli, że mogą na nim polegać. Na dobre i na złe. Poza tym właściwie zawsze był dostępny. Tylko pomyśl, trzydzieści pięć lat jako lekarz gminny na tej wyspie. Nie tak widzisz swoją przyszłość, prawda?

Mads wstał. Zimno zdążyło porządnie dobrać mu się do skóry.

– Może Caroliussen też jej sobie tak nie wyobrażał. Ale czas na drugą rundę. Obiecałem twojej dziewczynie, że ci dołożę!

Anwar wyszczerzył zęby.

– To znaczy, zanim Ivar Skogen dowie się, z kim chodzi jego siostra?

Kiedy Mads następnego dnia wyszedł z domu, lokalna gazeta furkotała na wietrze, wciśnięta do skrzynki na listy. Wczoraj rano zostawił łopatę Dahla na schodach, wiedząc, że jeszcze mu się przyda. Teraz odśnieżył odcinek aż do drogi i zmiótł śnieg z pokrywy zielonej skrzynki. Część gazety, która spod niej wystawała, była przemoczona. Strony skleiły się ze sobą, a druk zaczął się rozmazywać. Okładka nie pozostawiała jednak wątpliwości. Z czarno-białej fotografii zrobionej przed Centrum Zdrowia spoglądał nań Aldus Caroliussen. Mads stwierdził, że zdjęcie musiało mieć już kilka lat, bo Stary Doktor wyglądał na nim zdecydowanie młodziej niż ostatnio. Włosy były mniej przeredzone, niż pamiętał, twarz pełniejsza, rysy łagodniejsze. Próbował przewrócić stronę, co skończyło się jej rozdarcie. Zaklął i oderwał tę część kartki, która przykleiła się do następnej. Jego wzrok przesunął się po artykule redakcyjnym na stronie drugiej. „Jaki jest dobry lekarz?” brzmiał nagłówek. Redaktor dotarł do badania, przeprowadzonego w Izraelu, które wykazało, że oprócz wysokich kompetencji dobrego lekarza cechuje cierpliwość i wytrwałość. Tym właśnie charakteryzował się Caroliussen, napisano. Rzetelny w swoim fachu, w razie potrzeby był lekarzem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę – i pozostał na wyspie. Przez trzydzieści pięć lat.

Już miał wyrzucić gazetę, gdy na sąsiedniej stronie spostrzegł zdjęcie Ovego Forsnesa. Obowiązkowo w mundurze i z czapką na głowie. Tytuł głosił: „Winę ponosi jeleni”. A więc komendantowi udało się przekonać dziennikarza Løkena. Może to i dobrze. Jak powiedział Anwar, jelenie to głupie zwierzęta.

Kiedy składał gazetę, w kieszeni spodni zawibrowała komórka. Wyjął ją i odblokował klawisze. Na wyświetlaczu widniało imię Anwara, pod spodem zaś krótka wiadomość. „Następnym razem rozłożysz mnie na łopatki! 170 pkt to i tak nieźle. Trzymaj się”.

Mads spojrział na podjazd Dahlów i poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Następnym razem. Ze wszystkim było tak, że następnym razem miało mu się udać. Wsunął komórkę z powrotem do kieszeni, podniósł łopatę i zabrał się do odśnieżania.

– Pił pan już dziś kawę?

Zanim zdążył ją powstrzymać, Erna Dahl zniknęła w głębi korytarza. Otrzeptał buty ze śniegu i wszedł do środka. Dźwięki dobiegające z kuchni świadczyły o tym, że pani Dahl nalewa mu już kawy. Mocnej kawy, jeśli się nie mylił.

– Pani mąż jest w sypialni?

Starsza kobieta znów się pojawiła, trzymając zielony kubek. Mads przyjął go od niej.

– Chciał pan czarną, prawda?

– Tak, dziękuję.

– Może przynieść śmietanki?

Zdażyła się już odwrócić, ale Mads ją zatrzymał.

– Taka mi odpowiada.

Erna Dahl przytaknęła ze spuszczonego wzrokiem. Złączyła ręce w rękawach luźnego, dzierganego swetra i widział, że przesuwając materiał między palcami.

– Leży na górze – przyznała. – Nie jest w stanie zejść po schodach. Utrzymuje, że nie ma na to ochoty, ale... – umilkła i spojrzała na Madsa zaczerwienionymi oczami. – On nie chce jechać do szpitala, wie pan.

Mads napił się kawy i poczuł, jak czarna ciecz pali go w przełyku. Była naprawdę mocna.

– Porozmawiam z nim – obiecał.

Zakarias Dahl leżał na plecach w łóżku małżeńskim, przy zaciągniętych zasłonach. Obok stolika nocnego postawiono już stółek. Pokój oświetlała jedynie lampka nocna. Mads zapytał, czy

może włączyć górną lampę i w odpowiedzi usłyszał tylko suche chrząknięcie. Kiedy usiadł, przeraził się. Dahl był blady jak haftowana pościel, w której leżał. Skóra zapadła mu się na skroniach. Z wąskiej, długiej twarzy wyglądała para ogromnych oczu.

– Miał pan rację – rzekł Mads, kłaniając się na powitanie – w kwestii obwarzanka pańskiej żony. Musiałem umoczyć go w kawie, żeby go przełknąć.

Na sinawych wargach rozlał się szeroki uśmiech.

– Sześćdziesiąt lat żyję już z tym obwarzankiem – wyszeptał Dahl. – Człowiek uczy się, jak sobie radzić.

Wysunął ręce spod kołdry i oparł się o materac. Z wysiłkiem udało mu się nieco podźwignąć. Twarz przeciął grymas bólu.

– No i co teraz zdaniem tej świrniętej Erny niby mi dolega? – Nagle znieruchomiał, wciąż pochylony do przodu z rękami wpartymi w materac. – Nie powie jej pan, że ją tak nazywam?

Mads zasunął niewidzialny zamek na ustach. Dahl skinął głową.

– Dobrze – rzekł i opadł z powrotem na poduszki.

– Podobno nie może pan o własnych siłach zejść po schodach.

Mads badawczo przyjrzał się staruszkowi. Przy tej barwie skóry anemia była niezbitym faktem. Mężczyzna odczuwał też bóle, przypuszczalnie z powodu przerzutów do kości. Jeżeli miał stanąć na nogi, musiał poddać się transfuzji krwi, ale w takim razie należało wysłać go do szpitala w Orkdalu. A to łatwiej było powiedzieć niż zrobić. Przy każdych odwiedzinach u chorego słyszało się to samo. Mieszkańcy Hitry nie chcieli iść do szpitala. Zawsze mieli po temu jakiś powód, przygotowaną opowieść o błędach popełnianych w Orkdalu. Zawsze mieli do zrobienia coś, co uniemożliwiało im pobyt w szpitalu. Dahlowi za wymówkę służył fakt, że kiedyś był kierowcą karetki. Długie lata woził ludzi między wyspą a lądem. Praca wypełniała mu całe życie. Teraz zaś nie potrafił położyć się na noszach w roli pacjenta. To tak jakby miał przejść na stronę wroga.

– A pan co o tym sądzi?

Dahl patrzył przenikliwie.

– Szczerze?

– Szczerze.

Mads wziął głęboki oddech.

– Jeśli pozwoli mi pan się zbadać, to usłyszy pan moje zdanie.

W odpowiedzi uzyskał skinięcie. Sięgnął do torby lekarskiej i wyjął z niej stetoskop. Dahl chwycił skraj kołdry i odsunął ją na bok. Stękając cicho, podźwignął się na brzegu łóżka.

– Proszę oddychać głęboko przez otwarte usta.

Mads przyłożył głowicę stetoskopu do kościstych pleców pacjenta. Ten wykonał polecenie. Jego oddech szumiał głucho. Mads przesunął głowicę po obszarze płuc, ale nie wykrył wilgoci, nie słyszał krepitacji ani świstów. Nieomal liczył na zapalenie płuc. Łatwiej byłoby mu wtedy hospitalizować tego uparciucha. Jeśli Dahl czegoś się bał, to problemów z oddychaniem. Wspomnił o tym raz, kiedy rozmawiali o pracy – opowiedział Madsowi, jakie to było uczucie, odwozić do szpitala pacjentów z chorobami dróg oddechowych, u których wystąpił atak duszności, jeszcze przed wprowadzeniem nowoczesnych leków.

– Teraz może pan oddychać normalnie.

Mads przyłożył głowicę stetoskopu do piersi Dahla. Uderzenia serca były regularne, jak działanie tłoku. Nie słyszał żadnego szmeru. Mads wyjął z uszu oliwki.

– Gdzie pana boli?

– Nigdzie – odparł Dahl, odwracając wzrok.

Mads pochylił się i oburącz nacisnął jego miednicę. Mężczyzna szarpnął się z krótkim

jękiem. Spojrzeli na siebie.

– Może pan ruszać stopami? – spytał Mads.

– Pewno, że tak.

Dahl oderwał od łóżka jedną piętę, potem zaś drugą. Jego twarz napinała się przy każdym wysiłku, ale udało mu się. Z pewnością byłby też w stanie chodzić, o ile tylko uzupełniłoby się niedobory krwi w jego organizmie.

– I ma pan w nich czucie?

– A jakże! Powiem panu nawet, że na wielkim palcu zrobił mi się odcisk. I bynajmniej nie jest to przyjemne.

Mads przechylił się na stołku. Zdjął stetoskop z szyi i owinał gumowy przewód wokół metalowej części.

– Pozostało już tylko ukłucie – oznajmił, wyjmując aparat do pomiaru hemoglobiny. Dahl przewrócił oczami.

– Wie pan – rzekł i odkaslnął. – Mężczyźni i igły to nie jest dobre połączenie.

– I to mówi człowiek, który przez całe życie zakładał wenflony i używał strzykawek?

Mads rozłożył aparat i umieścił w nim pasek testowy. Dahl wysunął palec wskazujący.

– Na początku głównie się jeździło, rozumie pan. Masaż serca, światła błyskowe i inne szmery-bajery pojawiły się dopiero w latach osiemdziesiątych. Wie pan, jak wyglądał pierwszy ambulans?

Mads pokręcił głową. Przytknął igłę do opuszka palca Dahla i ukłuł. Mężczyzna nawet się nie skrzywił. Mads zebrał krew, której potrzebował, i przycisnął tupfer do miejsca ukłucia.

– To była taksówka z prostokątnym otworem, wyciętym w tylnym rzędzie siedzeń. Było tam tak ciasno, że za każdym razem gdy wsuwałem nosze, musiałem przypominać pacjentom, żeby uważali na nosy. To było w sześćdziesiątym drugim... Licencję uzyskałem dopiero dziesięć lat później, ku wielkiej irytacji moich kolegów taksówkarzy. Kupiłem wtedy przystosowane volvo. To Caroliussen załatwił mi licencję. Dużo się działo, kiedy przyjechał na wyspę, powiadam panu.

Mads uśmiechnął się i spuścił wzrok. Na wyświetlaczu aparat liczył od trzydziestu sekund w dół. Spojrzał na Dahla.

– Mogę pana o coś zapytać?

– Pewno!

Dahl uczynił ręką aż nazbyt serdeczny gest.

– Nie wiem, czy pan kojarzy, ale wdałem się z Caroliussenem w spór dotyczący liczby karetek na wyspie...

Szorstki, powolny śmiech Dahla sprawił, że Mads urwał.

– Wdepnąłeś w gniazdo os, synu!

– Pytał mnie o to dziennikarz. Nawet nie przypuszczałem, że Caroliussen tak zareaguje.

Aparat do pomiaru hemoglobiny pisnął. Mads odpuścił sobie na razie sprawdzenie wyniku. Dahl przyglądał mu się z zadowoloną miną.

– Dzięki drugiemu ambulansowi Åge Fjellvaer zachowuje licencję. Jeśli jego przebieg przekroczy określoną liczbę kilometrów, przychodnia zobowiązana jest kupić nowy, zgodnie z zapisem w umowie. Ale przebieg jest niski, dzięki czemu przychodnia oszczędza na współpracy z Fjellvaerem. Pan zwróci uwagę, że wóz stoi zwykle w garażu, ale licznik na co dzień pokazuje co innego... A co trzy lata wymieniamy obie karetki za darmo.

– Mówi pan, że Fjellvaer manipuluje przy liczniku, by zataić faktyczny przebieg?

Dahl pokręcił wolno głową.

– Ja? Nie, przecież ten ambulans jeździ? – odparł z krzywym uśmiechem.

Mads westchnął. Kolejna historia o machlojkach. Przyszło mu do głowy, że może i nie ostatnia. Spojrzał na aparat do pomiaru hemoglobiny. Pokazywał niższą wartość, niż się spodziewał. Dahl okrył się kołdrą i uniósł się na łóżku.

– I jak będzie? Usłyszę pańską opinię czy mogę się zdrzemnąć?

Z korytarza za nimi dobiegło skrzypnięcie, tak jakby ktoś stąpał po podłodze. Mads oparł się o ścianę.

– I jak? – Dahl przełknął powoli, tak jakby do gardła przyłgnęło mu coś bardzo lepkiego.

– Zna pan moje zdanie – odparł Mads. – Zawartość hemoglobiny w pańskiej krwi jest niska. Z powodu przerzutów do kości szpik nie produkuje dostatecznej liczby krwinek. Jeżeli chce pan przeżyć, musi się pan udać do szpitala w Orkdalu, gdzie przetoczą panu kilka jednostek krwi.

Po drodze za domem przemknął samochód. Spojrzenie Dahla powędrowało ku zasłoniętym oknom. Cisza, która zaległa, trwała całą wieczność.

– Sam produkuję swoją krew – rzekł.

– To nie wystarczy.

– No to nie. Jakoś żyję.

– Bez transfuzji długo pańskie życie nie potrwa.

Dahl zmarszczył brwi.

– To tylko przedłużanie cierpienia – powiedział i po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiał bolesny ton. – Nie tylko dla mnie, ale i dla mojej żony.

Mads ukrył głowę w rękach. Nie mógł pozwolić temu uparciuchowi wygrać. Nie tym razem. Przypomniawszy sobie, co Anwar powiedział o Caroliussenie. Ludzie kochali go, ale też się obawiali. W ten sposób zjednywał sobie szacunek. Mads się wyprostował. Wprawdzie nie chciał okłamać pacjenta, ale nie miał innego wyboru. Spojrzał surowo na Dahla. Pod jego spojrzeniem starszy mężczyzna aż się wzdrygnął.

– No to może pan tutaj zostać z zapaleniem płuc.

Mads wstał.

– Z zapaleniem płuc? A kto mówi, że je mam?

Dahl nabrał powietrza, tak jakby chciał się przekonać, czy potrafi zrobić to bez wysiłku.

– Może pan do mnie zadzwonić, jeśli się pan namyśli.

Mads nie nawiązał kontaktu wzrokowego, o co starał się chory, podniósł torbę i się odwrócił.

– Proszę zaczekać...

Głos Dahla był nieco wyższy niż wcześniej.

– Albo szpital, albo nic – rzekł Mads, kierując się w stronę drzwi.

Wydało mu się, że usłyszał nowe skrzypnięcie za drzwiami, a może nawet westchnienie ulgi.

– No, przecież nie może pan odejść? Czekałże, doktorze. Słyszysz mnie pan? Nie może pan sobie tak po prostu iść!

Kiedy Mads wszedł do gabinetu, czekała tam na niego Jędzka. Postukała palcem w leżące na biurku papiery.

– Masz przejrzeć epikryzy, które przysłano Aldusowi – oznajmiła.

– Świetnie – odparł i zdobył się na wymuszony uśmiech.

– Pamiętaj, żeby każdą podpisać.

Minęła go i już-już zamykała drzwi, ale kiedy została tylko mała szczelina, zawahała się.

– Po kogo wysłałeś karetkę?

Opadł na fotel biurowy. Rozprostował „Hitrę-Frøyę” na biurku i poczuł chłodną radość,

odwlekając odpowiedź.

– Po Zakariasia Dahla – rzekł w końcu, nie podnosząc wzroku.

Gazeta nieco przeszcła. Udało mu się odsłonić trzecią stronę ze zdjęciem Ovego Forsnesa, nie rozdierając jej na pół. Jędza wciąż stała w drzwiach. Odwrócił się i napotkał jej wzrok. Wydało mu się, że widzi, jak jej nozdrza rozszerzają się przy każdym oddechu. Nie zdziwiłby się, gdyby zionął z nich ogień.

– Coś jeszcze?

– Za pięć minut masz pacjenta. Tym razem bądź punktualny!

Jęknęły zatraskiwane drzwi. Mads z westchnieniem oparł się w fotelu. Pięć minut. Potrzebował więcej czasu na przemyślenie tego, co zaszło. Jego spojrzenie prześliznęło się między żaluzjami i padło na plac przed budynkiem. Para starszych pacjentów dreptała chwiejnie przez śnieg. Przypomniawszy sobie zmartwiony wzrok Zakariasia Dahla i poczuł wyrzuty sumienia. Dahlowi daleko było do zapalenia płuc. Pozwolił sobie na białe kłamstwo, żeby starszek zgodził się na pobyt w szpitalu. Dopisał swego. Dahl sam opowiedział się za hospitalizacją. Mimo to Mads zdawał sobie sprawę z krótkowzroczności obranej strategii. W szpitalu w Orkdalu powiedział Dahlowi, że z jego płucami wszystko w porządku i że przed powrotem do domu czeka go tylko transfuzja krwi. Pytanie brzmiało, czy przy następnej wizycie Dahl okaże mu jakiegokolwiek zaufanie.

Pochylił się nad gazetą. Mógł oczywiście poczekać i wysłać Dahla do szpitala, kiedy ten byłby już tak osłabiony, że nie miałby siły protestować. Mógł też pozwolić mu umrzeć. Nie potrafił ocenić, co było w tej sytuacji właściwe, a co nie. Jego wzrok przesunął się po serii zdjęć Starego Doktora. Caroliussen w stroju wędkarskim z paroma kolegami. Caroliussen w towarzystwie Gabriela Strøma przed nowo zbudowanym boiskiem ze sztuczną nawierzchnią w Fillan. Tych dwóch najwyraźniej użyczyło środków na budowę obiektu. We wszystkim maczał palce, pomyślał Mads, podziwiając Caroliussena w kostiumie sędziego podczas corocznej inscenizacji historycznej *Maren – skazana na śmierć*. Dalej fotografia Starego Doktora na skale morskiej, gdy statek linii Ekspres Wybrzeża osiadł na mieliźnie. Na imponującym zdjęciu przemoczony Caroliussen wśród wzburzonych fal pomagał pasażerowi wejść na skaliste nabrzeże, a za nim, na tle zamglonego nieba rysowała się sylwetka katamaranu. Wzrok Madsa zatrzymał się jednak dopiero na małym obrazku przedstawiającym Caroliussena jako młodego lekarza. Stał na nabrzeżu z niewielką skórzaną torbą w ręku i uśmiechał się do aparatu. W tym uśmiechu była jakaś niezwykła jowialność, która automatycznie zjednywała osobie na zdjęciu sympatię. Poza tym był to wypisz, wymaluj Stary Doktor. Wąska twarz, schludny przedziałek na boku. Przypominał raczej młodego Davida Nivena niż Seana Connery'ego, do którego – jak Mads kiedyś podsłuchał – porównywały go panie w rejestracji.

Poczuł podmuch płynący od drzwi i zorientował się, że są otwarte. Kiedy się odwrócił, ujrzał Jędzę z ręką na klamce. Jej twarz była zacięta i czerwona. Kilka czarnych kosmyków wysunęło się z koka i wisiało na czole.

– Dobra, dobra, już wołam pacjenta – rzekł i zerknął na ekran komputera, by sprawdzić pierwsze nazwisko na liście. W rubryce określającej problem widniało: „ból głowy”. Nie była to akurat jego ulubiona przypadłość, ale cóż miał począć? Odwrócił się i odkrył, że Jędza nadal stoi w drzwiach.

– O co chodzi?

Przełknęła ślinę i otworzyła usta, przy czym spostrzegł, że jej pierś szybko unosi się i opada.

– Musimy iść – rzuciła. – Natychmiast!

Znalazłszy się w szkolnym korytarzu, zrozumiał, że kiedy ta scena się skończy, będzie ją raz po raz rozpamiętywał. W powietrzu unosił się wilgotny zapach skóry i mokrych ubrań, który pamiętał z czasów, gdy sam chodził do podstawówki. Szyby okien wychodzących na szkolny dziedziniec były zaparowane u dołu, jakby pokryte warstwą lśniącego lukru. Wyglądało na to, że zarówno dzieci, jak i nauczyciele opuścili klasy, żeby popatrzeć na to, co się dzieje w korytarzu. W miarę jak przeciskali się do przodu, Jędzia bezlitośnie odpychała gapiów na bok. Nieco dalej dało się słyszeć jakieś gulgotanie. Krzyknęła dziewczyna. Mads zobaczył, że odwróciła się z niesmakiem i ukryła twarz na piersi chłopaka, który przybrał uszczęśliwioną minę i opiekuńczo objął ją ramieniem. Głosy szumiały jak gniazdo os: Mads poczuł klucie w piersi.

– Przepuście lekarza!

Głos Jędzy rozniósł się echem w korytarzu. Wreszcie dotarli na miejsce i Mads wkroczył w mały krąg gapiów. Mimo że był przygotowany na widok chłopca na podłodze, to kiedy ukląkł, przeszedł go dreszcz. Drobne ciało dygotało spazmatycznie. Ręce zamieniły się w szpony, twarz w wykrzywioną maskę. Ujawszy głowę dziecka, poczuł, że jego dłonie wilgotnieją od śliny. Oddech chłopca był ciężki i gulgoczący, ale nieco zelżał, gdy ciało obrócono na bok. To nie były przelewki, tylko prawdziwy napad padaczkowy.

– Ile to już trwa?

Spojrzał na nauczycielkę, która była na miejscu, kiedy przyszli. Aż się cofnęła pod naporem jego wzroku. Twarz miała bladą i wystraszoną. Naprzód wystąpiła jakaś dziewczynka i pochyliła się, opierając ręce na kolanach.

– Kilka minut – odparła chłodno i zdmuchnęła sprzed oczu długą, jasną grzywkę.

– Zdarzało się to wcześniej?

Wzruszyła ramionami i rozejrzała się, jakby szukając odpowiedzi.

– Nie sędzę – powiedziała wreszcie.

Mads zerknął na Jędzę. Stała ciągle w tej samej sztywnej pozie.

– Dasz mi diazepam?

Wzdrygnęła się.

– Co?

– Możesz znaleźć diazepam w mojej torbie?

Mads skinął głową w stronę kufra lekarskiego, po czym spostrzegł wysokiego chłopaka, który wskazywał ich wyciągniętą ręką.

– Patrzcie, złał się w majty! – zawołał i odchylił głowę, wybuchając głośnym śmiechem.

Mads przeniósł spojrzenie na chłopca, którego trzymał w rękach. Odkąd przyszli, jego wargi lekko zsiniały. Zamknął oczy, czując, że ogarnia go panika. Musiał zachować spokój. Nie mógł pozwolić, by sytuacja go przerosła. Był lekarzem, a to był normalny dzień pracy.

– Dziesięć miligramów!

Usłyszał głos Jędzy i otworzył oczy. Trzymała w ręku tubkę do wlewek doodbytniczych.

– Nie ma roztworu do wstrzykiwań?

Potrząsnęła głową.

– Potrzebujemy tlenu – rzekł, biorąc tubkę. – Możesz mi szybko przynieść butlę?

Przytaknęła, odwróciła się i zniknęła w tłumie. Mads odetchnął ciężko. Musiał teraz zrobić coś, na co nie miał ochoty. Ale nie było innego wyjścia. Spojrzał na dziewczynkę, z którą rozmawiał.

– Hej, mała! Podejdź no i przytrzymaj mu głowę.

Usiadła bez wahania. Złapał jej ręce i ułożył je w tej samej pozycji, w której przed chwilą

sam trzymał głowę chłopca.

– O tak?

Posłała mu uśmiech, kiedy się odsunął.

– Tak, właśnie.

Sięgnął do kurtki puchowej chłopca i ją rozpiął. Ubrania dziecka były już przepocone. Jednym ruchem ściągnął z niego sweter i obnażył brzuch. Napięta skóra drżała. Dżinsy pociemniały na kroczu i udzie po tym, jak opróżnił się pęcherz. Mads ujął pasek i poluzował sprzączkę. Chwilę później gniazdo os wokół nich zabrzęczało gwałtowniej. Nic na to nie mógł poradzić. Musiał podać diazepam. Przeszedł nad drgającym ciałem i ustawił się tak, by zasłonić widok gapiom, po czym spuścił chłopcu spodnie do ud. Znów rozległ się hałaśliwy śmiech, a zaraz potem odezwała się nauczycielka, uciszając uczniów. Mimo to, kiedy wcisnął chłopcu tubkę w odby i opróżnił całą jej zawartość, dało się słyszeć pojedyncze chichoty. Podniósłszy wzrok, napotkał spojrzenie dziewczynki. W jej chłodnych oczach pojawiła się ciepła nuta.

– Już dobrze – powiedział, ale nie był pewien, czy zwraca się do niej, czy do siebie. – Teraz już wszystko będzie dobrze.

Usłyszał, jak zatrzasną się drzwi karetki. Obejrzał się przez ramię. Kierowca ambulansu szedł w jego stronę z zadowoloną miną, powolnym, nonszalanckim krokiem. Za nim stała nauczycielka, obejmując matkę chłopca. Kobieta pracowała w Centrum Handlowym Hjorten i dowiedziała się o ataku syna, zanim zdążyli ją powiadomić. Stała w fartuchu, płacząc. Mads westchnął ciężko, obrócił się do kartki przykładanej do muru i przeczytał szybko podsumowanie, które nabazgrał. Pięć linijek powinno wystarczyć. Ostatecznie rozmawiał już z dyżurnym na oddziale pediatrii. „Podano 10 mg diazepam” zanotował na dole strony i się podpisał. Złożył kartkę na pół. Odwrócił się. Kierowca karetki wyciągnął na pół spalonego papierosa. Tytoń zatrzeszczał, gdy użył zapalniczki.

– Tym razem będzie Szpital Świętego Olafa – rzekł Mads. – Poinformowałem już dyżurnego na pediatrii.

– Czyli niezły kawałek! – Kierowca zaciągnął się głęboko i wyrzucił niedopałek.

Przesunął kilka razy językiem po mięsistej wardze dolnej. – Wygląda na to, że drugi wóz znowu nam się dziś przyda.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. Mads spojrzął ponad jego ramieniem na plac i puścił uwagę mimo uszu. Słyszał ją za każdym razem, kiedy trzeba było użyć drugiego ambulansu. Ratownicy medyczni nigdy chyba nie zapomną mu jego występu.

– Fjellvaer wrócił już z pierwszego wyjazdu?

– Właśnie wyjechali z tunelu. Całe szczęście, bo inaczej następną przejażdżkę musielibyśmy powierzyć ekipie z Frøi.

Mads zdobył się na zgaszony uśmiech. Wskazał matkę chłopca, popłakującą w objęciach nauczycielki.

– Lepiej z nią porozmawiam – rzekł, odrywając się od ściany.

Wysunął najniższą szufladę biurka i wyjął z niej rolkę papieru. Kiedy podniósł wzrok, młoda matka zdążyła już rozmazać sobie tusz do rzęs na policzkach. Podał jej rolkę.

– Przepraszam – wyrwało się jej i pokręciła głową. Widział, że drżały jej ręce, kiedy odrywała listek papieru.

– Nic nie szkodzi.

Siedział, gapiąc się w podłogę i czekając, aż kobieta otrze łzy. Tak jak się spodziewał, nie umiał wybić sobie z głowy widoku chłopaka. Mógł do woli pocieszać jego matkę, ale wiedział aż nazbyt dobrze, o co w tym wszystkim chodzi. Nikomu tego nie życzył.

– Czyli to nie jest zaraźliwe?

Łamiący się głos kobiety ledwo było słyhać. Mads spojrział na nią: ręce zaciskały się kurczowo na listku papieru, skóra na szyi stała się sucha i zaczerwieniona.

Pokręcił głową.

– Nie – dodał dla pewności.

– Ale to groźne. Mój syn może przecież...

– Nie – przerwał. Oddychał głęboko i miarowo, by zachować spokój. – Napady padaczkowe generalnie nie stanowią zagrożenia. Czasem bywa, że atak nie ustępuje i z tym może wiązać się niebezpieczeństwo. Ale drgawki nie szkodzą ciału, nie powodują trwałych zmian.

Umilkł. Matka chłopaka wydmuchała nos w listek papieru.

– Przepraszam – powtórzyła.

Mads oddychał ciężko. Nie chodziło o chłopca, tylko o coś więcej. Oczami wyobraźni ujrzał korytarz na pierwszym piętrze w domu rodzinnym, którym skradał się pewnego późnego wieczora. Nie mogło minąć wiele czasu, od kiedy usłyszał diagnozę. Dni, może tygodnie. Dźwięk dobiegający z sypialni kazał mu się zatrzymać. Był to płacz. Płacz ojca. Górował nad nim pouczający głos matki. Z początku Mads nie słyszał, co mówiła, ale kiedy podszedł bliżej, udało mu się rozróżnić słowa, zapewnienia, że wszystko będzie dobrze. To przecież niegroźne. Dokładnie tych samych zwrotów używał teraz.

Rozległo się pukanie do drzwi. Mads podniósł wzrok, ale zanim zdążył przemówić, drzwi się otworzyły. Do gabinetu zajrzała Lisbeth.

– Zaraz skończymy – powiedział.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale czeka wielu pacjentów – Lisbeth pytająco uniosła brwi. – Mam zacząć odwoływać wizyty?

– Nie, nie! – Matka dziecka obróciła się żywo. – Nie przeze mnie.

– Zaraz kończymy!

– Okej!

Lisbeth skinęła głową i zamknęła drzwi. Mads się wyprostował.

– Chciałbym w każdym razie zapewnić, że istnieją leki na epilepsję. Leki, które mogą zapobiec występowaniu napadów. To dlatego wysłaliśmy pani syna do miasta, żeby został dokładniej zbadany.

– Więc nic mu nie będzie...?

Osuszyła lewe oko i popatrzyła na niego. Próbował wytrzymać jej spojrzenie, ale musiał spuścić wzrok.

– Nic – odparł. Pomyślał, że sam nie jest pewien, czy kłamie, czy mówi prawdę. Nie sposób było teraz przewidzieć bieg zdarzeń. – Będzie prowadził życie jak każdy inny chłopiec.

Zanim uporał się z poranną krzątaniną, wybiło wpół do piątej. Oparł się na krześle i zamknął oczy. Wkrótce mijała pięćdziesiąta szósta godzina jego dyżuru i czuł to w całym ciele. Balansował na skraju przepaści. Aż nazbyt dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Jeśli przesadzi, to skończy na ziemi, tak jak tamten chłopiec. Epizod w szkole był dlań ostrzeżeniem, ile ryzykuje, postępując w ten sposób. Nie był zobowiązany do niczego poza zwykłym dniem pracy i niedzielnym dyżurem.

Otworzył oczy. Do głowy przyszła mu pewna myśl: złapał telefon i wprowadził numer do zarządu gminy. W słuchawce odezwał się głęboki głos. Poprosił o połączenie z administratorką opieki zdrowotnej.

– Pani Hernes jest trochę zajęta...

– Mówi lekarz rejonowy. Proszę mnie z nią połączyć!

Mężczyzna po drugiej stronie zawahał się, ale po chwili Mads usłyszał sygnał oczekiwania na połączenie.

– Halo, słucham!

Głos Hilde Hernes daleki był od radości.

– Tu Helmer. Musimy porozmawiać.

– Wie pan, jestem na spotkaniu. Czy możemy porozmawiać w czwartek? Powiedzmy... o piętnastej?

Mads z trudem zachował spokój.

– Nie pociągnę długo przy takim obciążeniu – powiedział. – Musimy znaleźć inne rozwiązanie. Lekarze na Frøi, ci na przykład...

– W pełni się z panem zgadzam i robimy, co w naszej mocy, żeby obsadzić przyszłe dyżury. Ale czy możemy o tym porozmawiać w czwartek o piętnastej?

W słuchawce zapadła cisza. Mads westchnął.

– W porządku – odparł.

– Świetnie, w takim razie proszę przyjść do mojego gabinetu.

Rozłączyła się, zanim zdążył zakończyć rozmowę. Powoli opuścił słuchawkę i przez długą chwilę siedział, gapiąc się w ścianę. Musiał z tym skończyć.

Kiedy opuścił gabinet, w korytarzu panowała przyjemna cisza. Za sobą miał już większą część dnia. Przy odrobinie szczęścia może udałoby mu się pojechać do domu i przespać się parę godzin. Już miał skrócić w stronę rejestracji, gdy spostrzegł, że drzwi do gabinetu Caroliussena są uchylone. Zdziwił się. Potem usłyszał dźwięk. Ktoś tam był. Podeszedł do drzwi i lekko je popchnął. Kiedy zajrzał do środka, zobaczył Charlotte pochylającą się nad pudłem na biurku. Aż się wzdrygnęła na jego widok.

– Boże, ale mnie przestraszyłeś!

Uśmiechnęła się i oddychała przez otwarte usta, z ręką na piersi.

– A już myślałem, że mamy duchy w przychodni – powiedział.

– Więc nie przyszedłeś mi pomóc? Dość tu pracy na kilka dni.

Mads zrobił krok naprzód i rozejrzał się po pokoju. Był w nim po raz pierwszy. Ciężkie mahoniowe półki sprawiały, że gabinet Doktora wyglądał na ciaśniejszy niż jego. Wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy książek i czasopism. Przebarwienia na ich okładkach kazały się domyślać, że często po nie sięgano. W powietrzu unosił się nieokreślony, słaby, słodkawy zapach.

Charlotte podniosła małe zdjęcie w ramce, które leżało na stole, i pokazała je Madsowi. Dziewczynka z prostą grzywką i płaskimi wargami uśmiechała się do fotografa.

– Słyszałeś o niej?

– Nie, a kto to?

– Jego córka. Zdaje się, że mieszka w Trondheim.

– Myślałem, że miał tylko starszą ciotkę.

Wziął zdjęcie. Wysokie czoło i głębokie oczy nie pozostawiały wątpliwości co do pokrewieństwa.

– Dzwoniła dziś rano – powiedziała Charlotte.

Uniósł wzrok.

– Co chciała?

– Nic wielkiego. Powiedziała tylko, że wpadnie z wizytą i że w razie czego możemy do niej dzwonić.

Mads znów spojrzął na zdjęcie. Usłyszał, że Charlotte się śmieje. Rzadko słyszał jej śmiech.

– Spokojnie, zdążyła trochę podrosnąć – powiedziała, wskazując na fotografię. – Z tego, co wiem, skończyła prawo. Może to ktoś w twoim typie?

Mads poczerwieniał i odstawił zdjęcie. Omiótł wzrokiem pokój. Na ścianie obok drzwi

wisiał kilka certyfikatów. Pod spodem stał wózek z różnymi akcesoriami. Wychodząc, zatrzymał się przy nim. Pojemniki z kaniulami, igłami i tupferami leżały obok otwartego plastikowego pudełka z probówkami do badania krwi. Po drugiej stronie leżało parę pędzelków do pobierania próbek. Podniósł jedną z probówek.

– Do czego ich używał?

– Do pracy nad doktoratem.

Mads opuścił rękę i ze zdziwieniem spojrzął na Charlotte.

– To on robił doktorat?

– No, tak, już od wielu lat, chociaż w zeszłym roku w zasadzie przerwał pracę. Zajmował się badaniami genetycznymi pacjentów z hemochromatozą. U mieszkańców Hitry nie występuje mutacja genu, który zwykle odpowiada za chorobę, więc Caroliussen próbował zlokalizować inny błąd genetyczny. Miał całą rzeszę pacjentów, którym regularnie pobierał tu krew. Problem polega w końcu na tym, że produkują jej za dużo.

Mads znów odwrócił się w stronę akcesoriów. Nie zdawał sobie sprawy, że tak wielu mieszkańców Hitry zapadało na hemochromatozę. Pewnie dlatego, że wszystkich odsyłano do Caroliussena.

– Zdążył napisać jakieś artykuły na ten temat?

Charlotte nie odpowiedziała, więc odwrócił się do niej. Zobaczył, że zastygła ze zszyciem w rękę.

Przekrzywiła głowę. Mads poczekał, aż się odezwie.

– O co chodzi? – spytał wreszcie.

– Ten dźwięk... – odparła. – Brzmi jak budzik.

Wtedy też to usłyszał. Krótkie, elektroniczne sygnały dobiegające z korytarza, a po nich głos. Jakby raził go piorun. Radiotelefon. Dźwięki dobiegały z radiotelefonu. Obrócił się na pięcie i wypadł z pokoju, usłyszał, jak ktoś mówi „Wzywam pogotowie” – po czym zapadła cisza. Wbiegając do gabinetu, zahaczył butem o próg i musiał wesprzeć się rękami, żeby nie rozbić głowy o podłogę. Kiedy porwał radiotelefon z biurka, ten milczał. Wyświetlacz już nie świecił. Mads wymacał komórkę w kurtce, ręce miał spocone. Tego dnia najwyraźniej wszystko sprysnęło się przeciwko niemu. Kiedy w końcu znalazł komórkę, poczuł, że wibruje, po czym wyświetlacz rozbłysnął i zabrzmiały pierwsze dźwięki *Symfonii losu*.

– Tu Helmer.

Jego zdyszany oddech szumiał na linii.

– Czym ty się zajmujesz na tej Hitrze, co, Helmer?

To znów był ten ostry, kobiecy głos, który słyszał w niedzielę wieczorem. Brita, jego najlepsza przyjaciółka z Centrali Pogotowia w Orkdalu. Mads zaczekał na ciąg dalszy, ale okazało się, że Brita również cierpliwie czeka na odpowiedź.

– Jestem w przychodni – wydyszał. – Czy...?

– Tak. Mamy wezwanie do udzielenia natychmiastowej pomocy. Zatrzymanie krążenia na Kuøi, między Ansnes a Fjellvaerøya. Karetka jest w drodze.

– Na Kuøję?

– Do ciebie, Helmer. Za kilka chwil zatrzyma się przed przychodnią. Proponuję, żebyś znalazł torbę i wyszedł na zewnątrz. Zadzwoń do was z dalszymi instrukcjami, kiedy będziecie już jechać.

Na linii zapadła cisza. Mads wsunął komórkę do kieszeni i przypiął radiotelefon do pasa. Rozejrzał się. Nie widział nigdzie torby lekarskiej. Gdzie ona mogła się podziać? Ostatnio używał jej, udzielając pomocy chłopcu z epilepsją. Pobiegł do pokoju badań na końcu korytarza i zajrzał do schowka. Nic. Przez okno zobaczył, że na placu przed przychodnią zatrzymuje się

żółta karetka. Zabrzmiał krótki dźwięk klaksonu. Zaklął, zerwał stetoskop ze stojaka i pobiegł do składu leków. Sprzęt do intubacji, wenflony i defibrylator znajdowały się w karetce. Mieli tam też morfinę, adrenalinę i atropinę. Otworzył szafkę, znalazł kilka ampułek isoptinu i metoprololu oraz parę strzykawek. Wpychając je do tylnej kieszeni, coś poczuł. Ssanie w żołądku. Zamarł. Serce zaczęło łomotać, podczas gdy uczucie z żołądka przesunęło się w górę, ku przeponie. Złapał róg szafki. To nie była prawda. Nie teraz. Tylko nie teraz. Skurczył się. Napiął wszystkie mięśnie, tak jakby to mogło w czymś pomóc, lecz na próżno. Wiedział. Jego oddech stał się ciężki. A uczucie nie ustępowało. Musiał coś zrobić. Musiał powstrzymać ten atak. Miał jechać na wezwanie. Wsiąść do karetki. Jego wzrok padł nagle na pudełko stojące w głębi na najwyższej półce. Diazepam. Mógł sam podać sobie dawkę diazepamu. Bez wahania porwał pudełko i wysypał jego zawartość na podłogę. Małe, podłużne ampułki z białą cieczą potoczyły się po linoleum. Mads przysiadł obok szafki, złapał jedną z nich i złamał jej czubek. Aż się trząsał, wyjmując z kieszeni pustą strzykawkę o pojemności dwóch mililitrów i rozrywając jej opakowanie. Ssanie w żołądku nie ustępowało. Właściwie było za późno. Zwykle nie trwało to tak długo. Zrezygnował z szukania igły, by napełnić strzykawkę diazepamem, po prostu wetknął jej końcówkę do ampułki i wybrał całą zawartość. Dziesięć miligramów. W najwyższej szufladzie, gdzie, jak wiedział, leżały igły, wymacał jedną i założył ją na strzykawkę. Potem, stękając, wbił igłę w udo przez spodnie. Kiedy przycisnął tłok, poczuł dojmujące pieczenie. Zamknął oczy i odchylił głowę. Przy odrobinie szczęścia część leku powinna trafić do żyły. Przyłożył rękę do piersi. Podnosiła się i opadała ciężko, był jednak pewien, że ssanie minęło. Zaśmiał się krótko, wyszarpnął igłę z nogi i usłyszał, że karetka na zewnątrz zatrąbiła kilkakrotnie. Uczucie ciężkości rozlało się najpierw w jego barkach, potem ramionach, następnie zaś dotarło do głowy. Tak działał lek. Dziesięć miligramów to porządna dawka. Trzasnęły drzwi, w korytarzu zadudniły wściekle kroki.

– Gdzie lekarz? – zawołał ktoś.

Był to Åge Fjellvaer.

Mads usłyszał niewyraźną odpowiedź Charlotte. Potem dobiegły go odgłosy dalszej krzątania. Dźwignął się i wyrzucił strzykawkę do kosza na śmieci, stojącego na ławce. Miał zawroty głowy. Dawka poskutkowała. Teraz mógł jechać na wezwanie. Poczuł wibracje w kieszeni. Zanim zdążył podnieść telefon, odezwały się pierwsze dźwięki *Symfonii losu*. Zerknął na wyświetlacz i zobaczył, że to Centrala Pogotowia.

– Dajcie mi parę minut – powiedział i przerwał połączenie.

Kiedy podniósł wzrok, ujrzał Ågego Fjellvaera, który wielkimi susami wpadł do pokoju. Rzucił się na Madsa z podniesionymi rękami jak drapieżnik i poderwał go na nogi.

– Do kurwy nędzy, Helmer! To nagłe zagrożenie życia!

Ich spojrzenia się spotkały. Na gładkie czoło Fjellvaera wybiegły zmarszczki. Przez sekundę gapił się na podłogę, po której walały się ampułki, po czym przeniósł wzrok na Madsa.

– Chodź – rzekł tylko i wyciągnął go za drzwi.

Fjellvaer szarpnięciem otworzył drzwi karetki i wepchnął Madsa do środka. Za kierownicą siedział Stefan. Był to żółtodziób, który właśnie ukończył kurs ratownictwa medycznego gdzieś na wschodzie kraju i został tu zatrudniony, bo tylko tę posadę udało mu się zdobyć. Gdy dodał gazu na zakręcie, ambulansem aż zarzuciło.

– Dawaj, Stefan! – ryknął Fjellvaer z przedziału medycznego. Żółtodziób przytaknął nerwowo i minawszy pierwsze rondo, pognął po zboczach w stronę Muzeum Wybrzeża. Padał coraz gęstszy śnieg, a droga była śliska, może nawet bardziej niż wtedy, gdy Caroliussen wypadł z trasy. Mads zapiął pasy i wsunął radiotelefon między uda. Mimo że wciąż czuł się otepiał po dawce leku, wcale nie łagodziło to zdenerwowania, które budziła w nim ta szaleńcza jazda. Aż

się wzdrygnął, gdy w jego kieszeni znów zawibrował telefon. Wyjął go w chwili, gdy Żółtodziób skręcił z szosy na wschód, a wozem nieźle zarzuciło na pierwszym podjeździe. Mads grzmotnął ręką w deskę rozdzielczą, po czym przycisnął komórkę do ucha i rzucił zdyszane „Halo”.

Po drugiej stronie dało się słyszeć westchnienie i chrupnięcie. Nie mógł go z niczym powiązać, dopóki nie usłyszał zucia. Brita jadła marchewkę.

– Mógłbyś już z łaski swojej puścić guzik alarmowy, Helmer. Jeszcze chwila, a pomyślimy, że twoje dyszenie wynika z czegoś zupełnie innego niż pośpiech.

Brita zaśmiała się oschle. Mads spojrział w dół i zorientował się, że w prawej ręce kurczowo ściska radiotelefon, a jego kciuk wylądował na czerwonym przycisku na obudowie. Cofnął rękę jak oparzony, zaklął i wyłączył radiotelefon. Jeśli przyciskało się guzik dłużej niż dziesięć sekund, nawiązywane było bezpośrednie połączenie z Centralą Pogotowia. Wszystko, co się wtedy mówiło, tamci słyszeli w głośnikach. Był to przycisk awaryjny, na wypadek gdyby stało się coś nieprzewidzianego.

– O, właśnie – westchnęła Brita w komórce. – Gotowy na dalsze instrukcje?

– Zaczekaj!

Mads umieścił telefon w uchwycie ładowarki na desce rozdzielczej i nacisnął guzik.

– No – powiedział – jesteś w trybie głośnomówiącym.

W karetce znów rozległo się chrupnięcie. Do ust Brity trafił nowy kawałek marchewki.

– Będziecie zaraz na miejscu, prawda?

– Za pięć minut...

– Okej... Pacjentem jest mężczyzna koło trzydziestki. Nie miał dotąd żadnych objawów choroby serca. Przewrócił się na nabrzeżu podczas rozładunku. Tamtejsza fabryka należy chyba do Strømfjordu. Kilku robotników próbowało RKO, ale jak dobrze się na tym znają, to nie wiem. Mają defibrylator, ale zdaje się, że nikomu nie udało się go uruchomić. Z parkingu trzeba jechać prosto na nabrzeże...

– Trafimy! – między przednimi fotelami wychynęła лыsa głowa Ågego Fjellvaera. Jego dolna warga osunęła się w dół. – Dzięki za info, Brita!

W kabinie rozległ się ochryply rechot.

– To ty, Åge? Okej, nagle przestałam się martwić. Powodzenia!

Połączenie zostało przerwane. Fjellvaer sięgnął do odtwarzacza i wsunął do niego płytę CD.

– Gotowi na akcję? – rzucił, podkręcając głośność.

Mads zdążył odnotować szeroki uśmiech na ustach Fjellvaera, nim uderzył w niego dźwięk gitary elektrycznej. Gdy w głośnikach zagrzmiało *Enter Sandman* Metalliki, aż zadudniło mu w piersi, a Żółtodziób dodał gazu, zjeżdżając krętą drogą po zboczach w okolicach Glørstadu.

Wkrótce wjechali na równię przed Ansnes. Teraz wystarczyło już tylko przemknąć przez most na Kuøyę.

I znów ten przeklęty śnieg. Nie przestawał padać. Płatki robiły się coraz większe i bardziej nieforemne: pochylając się nad głową młodego mężczyzny, któremu zdążył już wsunąć do ust laryngoskop, Mads czuł, jak wirujące śnieżynki dostają się między kołnierz kurtki a skórę karku, gdzie roztapiają się powoli. Pacjent był rzeczywiście młody. Mógł dopiero skończyć trzydziestkę, a najpewniej miał dwadzieścia parę lat. Ubrany był w kombinezon z logo firmy Strøm fjord, który teraz rozcięto nożycami. Åge Fjellvaer przykładał ręce pośrodku szerokiej, bladej klatki piersiowej, mocno uciskając mostek i znajdujące się pod nim serce. Mads spojrział nań i kiwnął głową na znak, żeby przestał. Fjellvaer usłuchał i zerknął na defibrylator, połączony z piersią leżącego za pomocą dwóch długich przewodów z elektrodami. Linia sygnału, którą pokazywał wyświetlacz urządzenia, była całkiem płaska.

– Nadal asystolia – zawołał Fjellvaer. – Intubuj, Helmer!

Jednym ruchem Mads pociągnął rękojeść laryngoskopu, a długa łopatką znajdującą się w przełyku chłopaka sprawiła, że uniosła się cała zuchwa. Mógł teraz zajrzeć za nagłośnię i ledwo-ledwo dojrzeć tylną część śnieżnobiałych strun głosowych.

Wjechali na nabrzeże i zastali kolegów mężczyzny w trakcie resuscytacji. Nawet defibrylator umieli prawidłowo podłączyć. Tylko sygnał pracy serca był zupełnie płaski. A przy takim sygnale tylko na filmach udaje się coś osiągnąć za pomocą elektrowstrząsów. Potrzeba było minimalnej aktywności elektrycznej.

Fjellvaer kazał Żółtodziobowi zająć się uciskaniem klatki piersiowej, a sam zaczął szukać żyły do wkłucia. Bynajmniej nie było to łatwe u człowieka, który leżał na ziemi w temperaturze minus pięciu stopni i w którego ciele od jakichś dwudziestu minut nie krążyła krew. Mimo to Fjellvaerowi udało się już za pierwszym razem. Dawka atropiny nie przyniosła skutku. Mads przystąpił do wentylacji; próbował wdmuchnąć powietrze do płuc z użyciem maski i worka oddechowego. Pacjent miał jednak krótką szyję i trudno było wprowadzić do niej powietrze. Musieli go intubować i dopiero wtedy kontynuować akcję – przy czym to on, lekarz, powinien to zrobić.

– Gdzie rurka?

Mads pomachał nerwowo ręką. Musiał dwa razy sięgnąć, zanim pochwycił rurkę intubacyjną, którą podał mu Żółtodziób. Nadal czuł się znużony pod wpływem wstrzykniętego diazepam, ale ze wszystkich sił starał się zignorować ciężkość, która osiadła mu na powiekach, sprawiając, że chciał po prostu wyciągnąć się na ziemi i zasnąć.

Wprowadził rurkę do ust chłopaka i wzdłuż łopatki laryngoskopu wsuwał ją w głąb przełyku. Zaklął, gdy wewnątrz nagle zrobiło się ciemno. Zdezorientowany podniósł wzrok, potem znów spojrział w dół. Aż trudno mu było uwierzyć. Żarówka wysiadła. Czyjaś dłoń opadła na jego rękę i potrzęsła rękojeścią, aż metal zadźwięczał o zęby mężczyzny.

Rozbłysło światło. Mads popatrzył w górę i napotkał spojrzenie Fjellvaera.

– Jeśli to znowu nastąpi, musisz szarpnąć w prawo.

Lekarz spojrział w dół i poruszył rękojeścią. Znów ukazały się struny głosowe, a tymczasem Fjellvaer kazał Żółtodziobowi przygotować kolejną dawkę adrenaliny. Mads wepchnął rurkę głębiej i już miał ją wsunąć w szparę głośni, gdy żarówka znowu zgasła. Zamknął oczy i zaklął w duchu. Nie dość, że naćpał się diazepamem, to jeszcze wysiadał sprzęt. Gdyby tylko przed wyjściem udało mu się znaleźć torbę, mógłby użyć własnego laryngoskopu. Tamten działał bez zarzutu.

Zgodnie z instrukcją szarpnął sprzętem w prawo, pomodlił się w duchu i otworzył oczy. Wciąż ciemno. Popchnął rurkę i poczuł, że utknęła, prawdopodobnie gdzieś w tylnej części

otworu prowadzącego do tchawicy. Gdyby tylko udało mu się unieść trochę jej końcówkę, rurka poszłaby właściwą drogą. Znów potrząsnął laryngoskopem – bez skutku. W przelyku nadal było ciemno, a on tracił czas. Płatki śniegu, które lądowały mu na karku, utworzyły już drobne strużki na jego plecach.

– No wprowadź tę rurkę! – warknął Fjellvaer z wściekłością. Mads nerwowo kiwnął głową. W dolnej części przelyku nadal wyczuwał opór. Musiał spróbować. Wystarczyło przesunąć rurkę intubacyjną nieco do góry i lekko pchnąć ją do przodu, a trafiłaby do tchawicy. Przesunął rurkę naprzód, poczuł, że opór ustępuje, i wpuścił ją tak głęboko, jak należało. Następnie przytrzymał ją na właściwej głębokości i usunął łopatkę. Zanim zdążył się namyślić, co dalej, Żółtodziób był już na miejscu i tłoczył powietrze do mankietu na końcu rurki. Mads złapał i podłączył worek oddechowy. Fjellvaer tymczasem znów zaczął uciskać klatkę piersiową.

– Zrobię trzydzieści ucisków i wypróbujemy rurkę – wydyszał. – Stefan! Podaj adrenalinę!

Fjellvaer liczył na głos, wkładając siłę w każdy ucisk. Nos zmarszczył mu się jak warzącemu psu.

– Dziesięć... Jedenaście... Dwanaście... Trzydzieści... Czternaście... Piętnaście...

– Poszła adrenalina! – wrzasnął Żółtodziób.

Fjellvaer doliczył do trzydziestu, po czym odsunął się i spojrzał na Madsa.

– Tłocz tlen!

Mads nacisnął worek, a tymczasem Fjellvaer wyjął stetoskop z kieszeni na udzie. Mads spojrzał na klatkę piersiową leżącego, mając nadzieję, że podniesie się, wypełniona tłoczonym w nią powietrzem. Ale pierś mężczyzny pozostała niepokojąco nieruchoma. Fjellvaer przyłożył głowicę stetoskopu do skóry pacjenta.

– Jeszcze raz!

Mads zrobił, co mu kazano, i zauważył, że Fjellvaer szybko przesuwając stetoskop w stronę przepony, nad żołądek. Wziął krótki oddech i po raz trzeci przycisnąwszy worek oddechowy, zamknął oczy i modlił się, żeby rurka była na właściwym miejscu. Zaslugiwał na to. Zaslugiwał na to, by wreszcie coś mu się udało.

Cios w pierś był zupełnie nieoczekiwany. Mads poczuł, że traci równowagę, i przewrócił się, a ktoś wypluł wiązkę przekleństw. Uderzył potylicą o ziemię: jego czaszkę przeszył przenikliwy ból. Leżał, mrugając, a przed jego oczami płatki śniegu spokojnie osuwały się w dół. Szturchnięto go w nogi, więc przetoczył się na brzuch, dźwignął się na czworaki, potem na kolana. Kiedy podniósł wzrok, okazało się, że miejsce przy głowie pacjenta zajął Fjellvaer. Wsuwał laryngoskop w przelyk leżącego, podczas gdy Żółtodziób zajął się uciskaniem klatki piersiowej. Wokół zaś zebrał się wianuszek pracowników firmy Strømfjord, przyglądających się akcji.

– Przygotuj nową dawkę adrenaliny! – krzyknął Żółtodziób i spojrzał na Madsa w chwili, gdy Fjellvaer złapał worek oddechowy i połączył go z rurką intubacyjną.

– Na miejsce – mruknął Fjellvaer spokojnie. – Helmer, adrenalina! Podaj adrenalinę.

Zaskoczyło. Mads nie mógł w to uwierzyć, ale serce mężczyzny zaskoczyło. Początkowo wyświetlacz defibrylatora pokazywał jedynie urywkową akcję, tak że mogli zaaplikować pierwszy elektrowstrząs. Mocne, blade ciało drgnęło jak postrzelone w czoło zwierzę. Przez otaczający ich tłumek przeszedł pomruk. Zaaplikowali kolejny wstrząs i Żółtodziób zmarł z wzrokiem utkwionym w zapisie EKG.

– Co jest? – warknął Fjellvaer, ale ten po prostu przechylił się do tyłu i zawył: – Kurna, mamy go! – a wtedy w tłumie na nabrzeżu wybuchł spontaniczny aplauz. Ludzie podrzucali czapki, dorośli mężczyźni padali sobie w objęcia. Scena jak z łzawego filmu.

Niedługo później zabrzmiał warkot helikoptera Lotniczego Pogotowia Ratunkowego. Mads ujrzał cień wielkiego ptaszyska wśród niekończącej się śnieżycy i poczuł ulgę, kiedy tłum zaczął się rozpraszać. Nie przestając wentylować, przenieśli chłopaka na nosze. Zaczął już chwytać powietrze, ale nadal potrzebował pomocy, by właściwie oddychać. Helikopter wylądował kilkaset metrów dalej, więc wsunęli nosze do karetki i ruszyli w tę stronę. Obracając się łopaty wirnika sprawiły, że kiedy opuścili ambulans, zimne powietrze zakłuło ich w twarze. Rozsunęto drzwi, wirnik nadal się obracał. Pochylając głowy, nadbiegli ku nim dwaj mężczyźni, a Mads pozwolił, by to Fjellvaer udzielił im informacji. Sam wrócił do karetki i usiadł w ciepłej kabinie. Kilka minut później helikopter był gotów do odlotu. Fjellvaer wspiał się na miejsce kierowcy. Żółtodziób siadł z tyłu, ale gdy maszyna startowała, wychylił się do przodu.

– Kurna, ciężko było – westchnął, gdy koła niepewnie odbiły się od ziemi, a metalowe cielsko dźwignęło się w powietrzu.

– Siadaj – rzucił Fjellvaer i po przyjacielsku rozczochrał mu włosy. – Dobra robota.

Ruszyli w milczeniu. Śnieżycą najwyraźniej trochę zelżała, bo jadąc przez łuk mostu nad cieśniną Krabbsund, mogli dostrzec maszt radiowy na wzgórzu nad Fillan. Mads wyjął komórkę, zadzwonił do rejestracji i poinformował, że jest w drodze.

– Przekazałam pacjentom, że muszą poczekać – powiedziała Lisbeth. – Niektórzy przełożyli wizyty. Pozwoliłam sobie zapisać kilku na jutro od wpół do ósmej, żebyś nie musiał pracować dzisiaj do późna.

– Świetnie – wymamrotał i przerwał połączenie.

Oparł głowę o chłodną szybę i zamknął oczy. Wciąż nie opuściło go nieprzyjemne uczucie, że niemal stracił pacjenta. Nie był pewien, czy umiałby sobie znów z tym poradzić. Sam nie wiedział, jak by na to zareagował.

Z głośników dobiegł ostry, wolny riff gitarowy. Mads usłyszał, że Fjellvaer odchrząknął i dodał niepewnie:

– Słuchaj...

Podniósł wzrok i rozpoznał riff, kiedy włączył się bas i perkusja. Fjellvaer przyjrzał mu się spod nasuniętych brwi.

– Tam, w magazynie leków...

Mówił sucho, nieomal szeptem. Słowa zawisły między nimi przez chwilę, po czym dodał:

– Nie pozwól, by to przejęło nad tobą kontrolę, okej? – wykrzywił się nieprzyjemnie i znów rozparł się w fotelu. Mads przypomniał sobie widok rozrzuconych na podłodze ampulek i powoli dotarło do niego, co ma na myśli szef zespołu ratownictwa medycznego.

– To nie tak, jak myślisz... – zaczął, ale jego słowa utonęły w dźwiękach utworu

Unforgiven Metalliki.

Jej technika manipulacji była przejrzysta jak woda. Mads wpatrywał się w plecy administratorki opieki zdrowotnej, która zapatrzyła się na samochody przemykające po drodze między Urzędem Gminy a centrum. Za każdym razem, gdy wzywano go na spotkanie, Hernes stała. I to nie tak po prostu: stała prawie na czubkach palców w butach na wysokim obcasie i wyciągała głowę, jak struś z długą szyją. Mads wiercił się na rachitycznym krzeselku, usiłując znaleźć komfortową pozycję, chociaż wiedział, że to niemożliwe.

– Aż trudno uwierzyć, że pięćdziesiąt lat temu było tu tylko bagno.

Hernes rzuciła mu krótkie spojrzenie przez ramię, zmarszczyła brwi i pochyliła głowę, jak nauczyciel prowadzący lekcję.

– Urząd Gminy zbudowano tu jako pierwszy. Być może już pan o tym słyszał?

Mads opanował się i słabo potrząsnął głową.

– Tego nie wiedziałem – rzekł z wymuszonym uśmiechem. Hernes wydawała się zadowolona.

– Zanim postawiono budynek, trzeba było wbić w bagno dużą liczbę kilkumetrowych pali. Grunt był niepewny, ale równina miała taki potencjał, że warto się było potrudzić. W dziale zarządzania gminy zbudowano wielką ścianę ze szkła, którą nazwano „Oknem na świat”. Ambicji nie brakowało – po czym okazało się, że politycy gminni mieli rację: Fillan stało się naturalnym centrum naszego wyspiarskiego królestwa. Nie potrzeba już regulacji, żeby skłonić ludzi do osiedlania się tutaj, tak jak w przypadku Sistrandy na Frøi. Fillan jest kulą śnieżną, która się toczy i stale rośnie.

Hernes powoli przeszła się po pokoju. Stała przy fotelu biurowym, położyła ręce na oparciu i nachyliła się tak, że ramiona podjechały jej wysoko w górę. Skinęła w stronę filiżanki kawy, stojącej na blacie przed Madsem.

– Używa pan śmietanki albo cukru?

– Nie.

Mads poczuł się zmuszony, by sięgnąć po filiżankę. Upił łyk i od gorącego napoju aż przeszedł go dreszcz. Po nocnej pracy jego organizm nie do końca działał tak, jak powinien. Pewien stary POChP-owiec doznał napadu duszności i musiał skorzystać z inhalatora w przychodni. Mads nie zdążył się nawet położyć, gdy na dyżurny numer zadzwonił dawny znajomek z problemami psychicznymi i zażądał białych tabletek o dobrym smaku, które dostał kiedyś od Starego Doktora. Jedną rzeczą było podejrzenie podobieństwo jego słów z tym, co Mads usłyszał, będąc u Sølvestadów. Drugą zaś – w jaki sposób pacjentowi udało się dostać jego numer służbowy. Numer ten był znany tylko Centrali w Orkdalu. To tam w pierwszej kolejności napływały zgłoszenia, tak by pracownicy pogotowia nie musieli niepotrzebnie roztrząsać wszelkich mniej lub bardziej poważnych kwestii. Skoro numer przeciekł do ludności lokalnej, mógł spodziewać się więcej takich telefonów, a mniej snu – dokładnie tak jak tej nocy.

– Proszę mi powiedzieć, Mads. Jak się panu wiedzie w przychodni?

Odstawił filiżankę z cichym stuknięciem, nie odwzajemniając empatycznego spojrzenia administratorki.

– Jest dużo roboty, ale...

– Z tego, co słyszałam, radzi pan sobie z nawałem pracy. Ten chłopak z zawałem na Kuøi też wyszedł cało z opresji.

– Chyba tak – wymamrotał Mads. Poczul mrowienie w nodze, więc pomachał stopą, żeby nie zdrętwiała.

– Będę z panem szczerą – Hernes oderwała się od krzesła i wróciła do okna. Oparła się

o parapet i ściągnęła drobne usta, jak nauczyciel szykujący się do reprimendy. – Mieliliśmy nie lada problem ze znalezieniem lekarza, który mógłby pracować z Aldusem Caroliussenem. Był wprawdzie dobrym fachowcem i przesympatycznym człowiekiem, ale niełatwo było się z nim dogadać. Pracował samotnie przez niemal piętnaście lat, zanim przydzielono mu pierwszego współpracownika, i zdążył wyrobić sobie pogląd, jak powinno się tutaj załatwiać większość spraw. Stwierdzenie, że współpraca była dlań zbyt dużym wyzwaniem, to eufemizm. Aldus najzwyczajniej w świecie przepędzał stąd każdego kompetentnego lekarza, zanim ten zdążył choćby pomyśleć, że mógłby się tu zatrzymać na dłużej – obejrzała się i posłała rozmówcy uśmiech. – Ale pan został!

Mads znów zmienił pozycję na krześle.

– Nie jest to dla mnie nowością.

– Jak długo już pan dla nas pracuje?

– Trzy miesiące.

– I podoba się panu?

– Nie narzekam.

Hernes znów zapatrzyła się na drogę przejazdową.

– Wie pan, że projekt zbudowania tutaj dwóch rond napotkał duże opory? W lokalnej gazecie pytano, czy następnym krokiem będzie montaż świateł drogowych w centrum Fillan. Ale okazało się, że ronda działają fantastycznie, zwłaszcza przy wzmożonym ruchu drogowym do nowego centrum handlowego i Centrum Zdrowia.

Administratorka założyła ramiona na piersiach i posłała mu zacięte spojrzenie.

– Próbuję panu przez to powiedzieć, że Hitra ma potencjał, Mads. To miejsce, które stale się rozwija. Miejsce, w którym warto być. Wiem, że ostatnio było panu ciężko, ale chcę pana zapewnić, że z pełną powagą podchodzimy do nowej sytuacji i robimy, co w naszej mocy, żeby zatrudnić niezbędny personel.

Mads oczyścił gardło i wyprostował się.

– Więc nie znaleźliście jeszcze zmienników?

Hernes wzięła głęboki oddech, tak jakby się nadęła.

– Tuż przed świętami to nie takie proste, rozumie pan – odparła i wypuściła powietrze z płuc.

Ciszę, która nastąpiła, przerywał tylko szum samochodów na drodze.

Mads znów poprawił się na krześle.

– Zdaję sobie sprawę, że to trudna sytuacja – zaczął – i jestem gotów zrobić, co mogę, by pomóc, ale ciągły dyżur na długą metę jest wyczerpujący.

– Rzecz jasna nie zapominamy o pańskim zdrowiu, Mads. Jest pan jedynym lekarzem, jakiego tu mamy, i musimy wierzyć, że nas pan nie zawiedzie. Mogę pana zapewnić, że robimy, co w naszej mocy, by obsadzić pozostałe dwa wakaty. Już w przyszłym tygodniu ukaże się nasza oferta pracy w czasopiśmie lekarskim. Postanowiliśmy też zamieścić ogłoszenia w kilku większych gazetach.

– A co z przychodnią na Frøi? Charlotte mówiła, że się z nimi kontaktowała.

Hernes wyrwał się krótki śmiech, ale opanowała się i przekrzywiła głowę.

– Mieszkańcy Frøi żyją w swoim świecie. Przez lata próbowaliśmy nawiązać z nimi współpracę w kwestii zastępstw, ale sam pan widzi, jak jest. Natomiast w Snillfjordzie jest tylko jeden zmiennik, który niewiele robi i za to właśnie mu płacą. Nie, potrzebujemy ludzi z zewnątrz – i dokładamy starań, by znaleźć osobę skłoną u nas pracować. W obecnej sytuacji odwołamy wszystkie wizyty kontrolne, począwszy od jutra. Rejestracja dostanie nakaz, by przyjmować pacjentów według surowszych kryteriów. Podobnie Centrala Pogotowia. Powinien pan zajmować

się tylko przypadkami wymagającymi natychmiastowej pomocy. I chociaż wiem, że wiele od pana wymagamy, musi pan pamiętać, że to, co robi... nie przechodzi niezauważone.

Mads gapił się na splecione ręce Hernes. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Tak? – odezwał się w końcu.

– Wkrótce rozpocznie się nabór na stanowisko lekarza gminnego i trudno nam zignorować pański obecny wkład pracy. Myślę, że Caroliussenowi podobałoby się, gdyby przejął pan po nim schedę. Wiem, że bardzo pana cenił.

Mads podniósł wzrok.

– Słucham?

Hernes uśmiechnęła się przekornie.

– Rzecz jasna nie możemy niczego obiecać. Trzeba ogłosić nabór na stanowisko i...

– Nie to mam na myśli. Chodzi o to drugie.

– To znaczy... o Caroliussena?

Mads przytaknął. Hernes przyglądała mu się długo, po czym odparła:

– Cóż mogę powiedzieć, Helmer? Z tego, co zrozumiałam, mieliście dobry kontakt?

Mads spuścił wzrok. Czuł się senny, najbardziej pragnął się teraz położyć.

– Nie wiem, jakim słowem można by określić nasze relacje – stwierdził.

Wyszedłszy, zatrzymał się na schodach przed wejściem do Urzędu Gminy i przyjrzał się drodze prowadzącej do centrum Fillan. Za nią, na wprost, stała dawna siedziba banku Fokus, w której przez ostatnie dwadzieścia lat mieścił się też gabinet Caroliussena – do czasu aż wzniesiono nowy budynek. Wyobraził sobie Starego Doktora w jednej z jego schludnie wyprasowanych koszul i spodniach w kant. Próbował przywołać w pamięci uśmiech na jego ustach, ale to już mu się nie udało. Caroliussen miał zawsze nieprzenikniony wyraz twarzy, zaciętą i nieprzystępną minę, która nie pozwalała odgadnąć jego myśli. Pacjentów może uspokajało leczenie się u takiego człowieka, ale dla współpracowników było to zwyczajnie frustrujące. Przy wszelkich próbach dyskusji przybierał niechętny wyraz twarzy i udzielał zagadkowych odpowiedzi w stylu „tak, tak”, „poradzisz sobie” albo „jakoś się ułoży”. Przeprowadzenie z nim konwersacji na zasadzie zwykłej wymiany zdań było niemożliwe. Tylko jednej rzeczy Mads był pewien w przypadku Starego Doktora, a mianowicie, że Caroliussen nigdy nie cenił go jako kolegi po fachu. Nie wiedział, dlaczego Hernes odniosła inne wrażenie, ale jak widać, istniała taka czy inna niejasna przyczyna, której zapewne nigdy nie uda mu się poznać.

Rozległo się ciężkie westchnienie układu hydraulicznego, gdy wielka ciężarówka zahamowała przed rondem koło biblioteki. Mads pomyślał o pochwałach, których Hernes nie skąpiła drodze do centrum i musiał się uśmiechnąć do swoich myśli. Uśmiech jednak szybko zmienił się w westchnienie. Przystępując próg gabinetu administratorki, miał jeden jedyny cel, a przecież udało jej się owinąć go sobie wokół palca. Ta sytuacja na długą metę była nie do zniesienia. Jeśli wkrótce nie znajdzie się ktoś, kto go odciąży, to prędzej czy później zapracuje na kolejny napad.

Zszedł po schodach i ruszył dalej uprzątniętą ścieżką wzdłuż parkingu. W tym szaleństwie nie było metody. Powinien zawrócić i wyznać jej całą prawdę. Nie miał nic do stracenia. Nie zależało mu na pójsciu w ślady Caroliussena czy w ogóle życiu na Hitrze. Odbywał tutaj pokutę. To wszystko. Pokutował za to, co zrobił. Kiedy wreszcie weźmie się w garść, znajdzie sobie pracę na południu kraju. Jeśli nawet nie w Ahus, to przecież uzyskanie posady gdzie indziej na pewno nie było dlań niemożliwe. Zatrzymał się przed przejściem dla pieszych i wbił wzrok w ziemię. Oszukiwał się. Dobrze wiedział, dlaczego o niczym nie poinformował Hernes. Pamiętał przecież kamienne spojrzenie, które posłał mu Flod, gdy

podpisywał umowę zatrudnienia w Ahus, i komentarz ordynatora, że epileptyk nie może uczestniczyć w standardowym cyklu dyżurów. Tam od początku nie ukrywał swojej choroby i przysporzyło mu to samych problemów. Skoro nawet szpital nie był wolny od przesądów na temat takich jak on, to co pomyśleliby tutaj, gdyby wyjawiał im prawdę? Nie, najlepiej będzie, jeśli jeszcze trochę wytrzyma. Będzie spał, kiedy tylko nadarzy się okazja. Hernes zapowiedziała przynajmniej odłożenie zwykłych wizyt kontrolnych do czasu, aż na wyspę przybędą kolejni lekarze. To oznaczało mniej roboty za dnia i więcej czasu na odpoczynek. Badanie wykazało także wysokie stężenie leku przeciwepileptycznego we krwi. Powinien więc poradzić sobie w najbliższym czasie. Wystarczyło trochę się przyłożyć.

Dźwięk klaksonu wyrwał go z zamyślenia. Na drodze zatrzymała się zielona toyota, a siedząca za kierownicą kobieta pokazywała mu gestem, by przeszedł. Przeprasząc uniósł rękę i szybko ruszył naprzód. Minął siedzibę banku Fokus i dostał się na parking przed Centrum Handlowym Hjorten. Stojący przed wejściem posąg jelenia z brązu sprawił, że myśli Madsa powędrowały do Caroliussena i wieczoru, gdy odkrył rozbity samochód. Zdawało mu się, że od tego dnia minęła już cała wieczność.

– Hej, Mads!

Gdy usłyszał za plecami jej jasny głos, poczuł mrowienie na karku. Stał i odwrócił się w stronę wejścia do centrum handlowego. Bryndis Gudmundsdottir podeszła do niego, niosąc siatkę z supermarketu ICA. Przelknął ślinę, bo miał już okazję widzieć swoje odbicie w szybie kiosku Narvesen: był nieogolony i nie brał prysznica, a przetluszczone włosy zwisały ciężko nad czołem. Oczywiście musiał ją spotkać właśnie teraz.

– Słyszałam, że dużo pracujesz?

Islandzki akcent sprawiał, że słowa brzmiały, jakby szatkowała je w ustach. Przyjrzał się jej dyskretnie. Na brązowe włosy nasunęła czapkę. Blizna znacząca lewy policzek była przez to wyraźniejsza niż zwykle. Nie próbowała też dzisiaj zamaskować jej makijażem.

– Trochę – odparł.

– Podobno dobrze poradziłeś sobie z chłopcem, który miał drgawki w szkole – uśmiechnęła się w swój krnąbrny sposób, który sprawił, że zrobiło mu się ciepło, aż za ciepło. – Erik mi powiedział.

– To on tam był?

Skinęła głową.

– No wiesz, chodzi do drugiej klasy. Nieźle się wystraszył. I on, i koledzy. W końcu to niezbyt przyjemny widok... Straszna choroba. Nic dziwnego, że kiedyś wierzono, że epileptycy są opętani, prawda?

Mads wbił wzrok w ziemię. Powinien coś odpowiedzieć, ale pogawędki w takich sytuacjach niezbyt mu wychodziły.

– Nie będę cię zatrzymywać. Pewnie idziesz do przychodni.

Kiedy podniósł wzrok, patrzyła w dal drogi prowadzącej do targu na Hitrze.

– Nie... nic nie szkodzi.

– Widzimy się w sobotę, jak zwykle?

Pytając uniosła brwi, a jej lekko skośne oczy się rozszerzyły. Znow przelknął.

– Myślę, że będę miał dyżur w sobotę – powiedział – ale...

– Cóż, tak czy inaczej Hotel Fiord jest otwarty. Tak długo, jak będą klienci...

Uniosła rękę na pożegnanie i poszła w swoją stronę. Mads został w miejscu i zapatrzył się za nią. Dlaczego na nic jej nie zaprosił? Na kawę. Na drożdżówkę. Na cokolwiek. Gdyby się obejrzała, pobiegłby za nią i zabrał ją do cukierni. Ziąb zmusił go do przytupywania na śniegu. Bryndis szła spacerowym tempem, tak jakby wcale się nie spotkali. Prychnął na własną głupotę

i ruszył dalej.

Wróciwszy do przychodni, opadł na krzesło i wbił wzrok w monitor. Wiedział, że powinien coś zjeść, ale nie był głodny. Przejrzał wieczorną listę pacjentów. Pierwsi z nich czekali już za drzwiami, ale on czuł zupełną pustkę. Westchnął i przesunął dłonią po szczecinie, która pojawiła się na jego brodzie. Może powinien sobie uświadomić, że nic tu po nim. Może powinien stąd dać nogę, zanim w ten czy inny sposób wystawi się na pośmiewisko. Ale dokąd miał się udać? Dalej na ocean nie mógł się już zapuścić.

Ręka odnalazła myszkę na stole. Otworzył e-mail, który tego dnia dostał od brata. Nagłówek brzmiał: „Coś dla ciebie?”. Z zamieszczonego niżej tekstu dowiedział się o naborze na stanowisko lekarza zakładowego w firmie, w której pracował Kristoffer, na samym dole znalazł zaś dopisek osobisty o treści: „Dobra płaca, samochód firmowy, zero dyżurów, praca w stolicy. Załatwiłem ci posadę w Ahus, więc tutaj też powinno mi się udać. Jeśli chcesz, to...?” Przez krótką chwilę wyobraził sobie siebie samego, siedzącego za biurkiem z widokiem na Aker Brygge, ale ręka wróciła na myszkę i za jednym kliknięciem e-mail zniknął z ekranu.

Zanim przyjął pierwszego pacjenta, wstąpił do rejestracji. Jeden z pomysłów Hernes zakładał, żeby również wieczorem na miejscu była któraś z pielęgniarek, aby w razie potrzeby pomóc mu w sprawach praktycznych. Tego wieczora padło na Lisbeth.

– Pierwsza trójka już jest – oświadczyła, nie odrywając oczu od „Hitry-Frøi”.

Mads zbliżył się do niej i dyskretnie zajrzał do poczekalni. Siedziało tam troje zgarbionych emerytów, wbijając wzrok w podłogę. Nie najgorsze zadanie.

Lisbeth zerknęła nań krótko.

– Mogę w czymś pomóc?

Uwagę Madsa przykuł nagłówek artykułu, który czytała: *Mistrz kuchni na Frøi*. Na zdjęciu uwieczniono okrągłego typa w białym kitlu kucharskim przed hotelem w Sistrandzie. Mads poczuł, że zamiera w nim serce. Nie potrzebował ani nowej pracy, ani spowiedzi. Potrzebował zmiany. Musiał zrobić coś, czym dawno już powinien był się zająć. Wyprostował się i podszedł do drzwi.

Tak. Czas był już na to najwyższy. Na Frøi niewielu go znało. Tam na przykład mógłby zabrać dziewczynę i w spokoju z nią posiedzieć.

Pracownice sezonowe firm Strømfjord, Marine Harvest i Lerøy Midnor, pracowały sześć dni w tygodniu i tylko w jeden wieczór mogły rzucić się w wir zabawy. Nadszedł właśnie ten wieczór. Mads zahamował przy Muzeum Wybrzeża, skręcił i zjechał po zboczach w kierunku Starego Fillan. Przy odrobinie szczęścia uda mu się wstąpić do Hotelu Fiord, zanim rozdzwonią się pacjenci. Nie potrzebował dużo czasu. Zresztą nie chodziło wcale o czas, tylko o fakt, że nigdy nie nauczył się sztuki zapraszania na randkę. Kiedyś usłyszał, że pewność siebie przychodzi z wiekiem. Miał nadzieję, że doczeka jej przyływu przed emeryturą.

Minał kościół i zjechał do portu. Parking przed sklepem sportowym zalany był światłem. Leżąca za nim zatoczka kryła się w ciemnościach i ciszy. Wiele razy rozmyślał, jak pięknie by tu wszystko wyglądało, gdyby centrum handlowe postawiono nad wodą. Wysokie domki rybackie przeglądające się w toni i nastrój jak na Lofotach. Zamiast tego ulokowano je dalej, na bagnisku. Ale może, jak powiedziała Hernes, było to najbardziej praktyczne rozwiązanie.

Wjechał na wąską, krętą drogę biegnącą wzdłuż brzegu i kierował się nią, aż dotarł na parking przed starym Domem Zdrowia. Tak jak się spodziewał, miejsca parkingowe dla gości były puste. Nie widział też stąd śladów na śniegu prowadzących do wejścia. Od jego ostatniej wizyty przybył tu jednak szyld. „Hotel Fiord na Hitrze” – głosił napis w kolorze chłodnego błękitu, migający na dachu budynku. Sam obiekt bynajmniej nie przypominał już domu starców, który niegdyś się tu mieścił. Na ziemi umieszczono trzy reflektory, oświetlające odnowioną fasadę. Nad wschodnim skrzydłem wznosiła się wieża z oknami panoramicznymi, wychodzącymi na fiord, a gości nadchodzących od strony parkingu witało nowe wejście. Piękna fasada nie wystarczyła jednak, by ludzie walili tu drzwiami i oknami. A przynajmniej nie po wpadce, która zdarzyła się tu w sam weekend otwarcia. Mads ustawił lusterko wsteczne tak, by się w nim przejrzeć, i strzepnął z grzywki krople roztopionego śniegu. Minęło już kilka miesięcy, odkąd pojawił się tutaj po raz pierwszy. Trudno było zapomnieć tamten niedzielny poranek. Wezwano go, ponieważ dwudziestu honorowych gości, których zaproszono na bankiet w dniu otwarcia, następnego ranka leżało i wymiotowało. Okazało się, że gospodarze podali zainfekowanego łososia z hitrzańskich wód. Mads musiał chodzić z pokoju do pokoju i badać wszystkich, którzy się zatruli. Pewnego starszego sercowca trzeba było na wszelki wypadek odwieźć do szpitala w Orkdalu. Ale to nie kwestie medyczne stanowiły dla Madsa największe wyzwanie tamtego dnia. Przed wejściem do hotelu czekała nań Bryndis – i przez pierwszą minutę nie był w stanie oderwać oczu od szramy na jej policzku. Blizna wyglądała tak, jakby ktoś umyślnie wydrapał na skórze duże X. Uśmiechnęła się, widząc, że nie może przestać się gapić. Tak jakby ją to bawiło. Wreszcie mrugnęła do niego, mówiąc: „Z czasem się przyzwyczaisz”, po czym zapytała, czy nie powinni zająć się gośćmi. Mads wyjąkał „Tak” i ruszył za nią w głąb budynku. Przez resztę wizyty był jednak mocno zdenerwowany, a to dlatego, że Bryndis mu towarzyszyła. Jeszcze nigdy tyle razy nie spudłował, zakładając wenflon pacjentom, którzy potrzebowali kroplówki. I w ogóle wszystko leciało mu z rąk. Islandka zdążyła już bowiem wkraść się do jego serca i wiedział, że tam pozostanie.

Kiedy otworzył drzwi wejściowe, usłyszał trzask drewna w którymś z hotelowych kominków. Łagodny blask lampy oświetlał ciemną, pokrywającą pół ściany boazerię i sztywniackie fotele chesterfield. Od tego pamiętnego ranka był tutaj kilka razy, ale zawsze czuł się nieswojo w tych wnętrzach. Zapatrzył się na rząd portretów przedstawiających znanych, zmarłych mieszkańców Hitry – posła parlamentu, paru zarządców i inne grube ryby. Zamierzał zadać jej tylko jedno pytanie. To nie mogło być przecież tak trudne. Odetchnął głęboko i aż się wzdrygnął, gdy przez głośniki przetoczył się dźwięk gitary. Mads ogarnął spojrzeniem

rozproszone po sali okrągłe stoliki. Na przypominającym scenę podium w głębi pomieszczenia zauważył wątego facecika z półdlugimi włosami i wielką, czerwoną gitarą elektryczną opartą o udo. Spuszczając wzrok i garbiąc się, typ zaczął grać riff *Stairway to Heaven*. Trudno powiedzieć, czy jego poza wynikała z rezygnacji, czy z zaangażowania w muzykę, ale poza nim w lokalu nie było żywego ducha. Mads podszedł do baru i usiadł na jednym z wysokich stołków. Pochyliwszy się nad skórzaną pufą biegnącą brzegiem kontuaru, spostrzegł swoje odbicie za półką z butelkami wódki. Znów poprawił włosy. To nic, że nie byli sami. Miał jedynie zadać jej proste pytanie.

Drzwiczki za barem wychyliły się hałaśliwie.

– Więc jednak?

Bryndis odstawiła na ladę tacę ze szklankami po piwie, a drzwi za nią dalej się kołysały. Przesunęła ręką po czole, by odgarnąć kosmyki, które wymykły się z upięcia. Ledwie cofnęła rękę, włosy opadły z powrotem.

– A już myślałam, że nasz jedyny stały klient postanowił zostać dziś w domu. Kawa z mlekiem?

Mads wydusił ochryple „Tak, dziękuję” i spróbował się uśmiechnąć, ale zerknąwszy przypadkiem w lustro, stwierdził, że wygląda impertynencko, i czym prędzej ściągnął usta.

Bryndis postawiła filiżankę pod dozownikiem ekspresu do kawy i się obróciła.

– A może choć raz coś mocniejszego?

Postawił na ladzie radiotelefon, zamasyściej, niż zamierzał.

– Pracuję – oznajmił i poczuł, że dramatyzuje.

– No tak, racja.

Do filiżanki stróżką popłynął czarny, parujący płyn. W głębi lokalu gitarzysta przeszedł do drugiego wersu. Śpiewał ciekawym, piskliwym głosem, zapewne chcąc naśladować Roberta Planta, ale przypominał raczej marną podróbkę Larsa Lillo-Stenbergę.

Bryndis przysunęła filiżankę do Madsa.

– To jak, działo się ostatnio u ciebie coś ciekawego?

– Nie, przeważnie był spokój.

Już miał dodać „na szczęście”, ale tylko uniósł filiżankę do ust. W głośnikach zabrzmiał teraz falset gitarzysty, ale było jasne, że długo tak nie pociągnie. Gdy jego głos rozniósł się w lokalu, Mads napotkał spojrzenie Bryndis. Przechyliła się przez ladę, aż zapulsowały mu skronie.

– To jedyny muzyk, jakiego udało nam się na dzisiaj załatwić – wyszeptała z przepaszającym uśmiechem.

– Więc nie zostanie na stałe?

– Oby nie! Dyrekcja jest zdezorientowana. Nie wiadomo, co zrobić, żeby ściągnąć tu ludzi. Ale moim zdaniem lokalny wirtuoz gitary nie jest właściwym wyborem.

Wyprostowała się, pozostawiając w powietrzu woń perfum.

– Mnie się tu w każdym razie podoba – wypalił Mads.

Podniósł filiżankę do ust i natychmiast pożałował tych słów. Bryndis najwyraźniej puściła uwagę mimo uszu. Poprawiła włosy, przejrzała się w lustrze za butelkami wódki, tak jakby jej o czymś przypominał, po czym westchnąwszy lekko, wyjęła z włosów spinkę i zaczęła je układać na nowo. Mads się zgarbił. Musiał wziąć się w garść! Odetchnął głęboko.

– Sam już straciłem rachubę, ile razy tu byłem... a jednak prawie nic o tobie nie wiem. Nie opowiesz mi czegoś o sobie?

Na twarzy Bryndis odmalowało się zdziwienie.

– Oho, czyżby stały klient zrobił się wymagający?

– Jeśli nie...
– Nie, nie! Poczekaj... – oparła się o ladę i w zamyśleniu patrzyła przed siebie. – Słyszałeś o Heimøy?

– Chyba tak... Czy to nie tam się urodziłaś?

Przytaknęła.

– Dwudziestego trzeciego stycznia siedemdziesiątego trzeciego roku. Ale tego dnia zdarzyło się coś jeszcze.

– Ach, mówisz pewnie o uskoku wulkanicznym biegnącym w poprzek wyspy, który się wtedy otworzył. Ewakuowano wszystkich mieszkańców, prawda? Twoją rodzinę pewnie też?

– Brawo, Mads.

Poczuł ciepło bijące z jej słów. Nie najgorzej.

– Widziałem zdjęcia – powiedział. – Domy w centrum, na wpół pogrzebane w czarnej, stężalej lawie i popiele wulkanicznym.

– Tak, strasznie to wyglądało. Najdziwniejszy jest fakt, że to wszystko... wydaje mi się równie odległe jak tobie. Miałam tylko pół roku, kiedy rodzice wrócili na wyspę. Ale w dzieciństwie... – zmrużyła oczy, co nieodmiennie sprawiało, że czuł się jak beznadziejnie zadurzony nastolatek – pamiętam, jak raz ktoś mi wmawiał, że to przeze mnie wybuchł wulkan. Chciał mnie zapewne nastraszyć, ale z tego, co kojarzę, ta myśl przypadła mi do gustu. Poczucie, że mam moc, by sprawić, że eksploduje cała wyspa. Być może zdołam też rozsadzić Hitrę?

– Być może... – odparł i przelknął ślinę.

Uśmiech zniknął z jej ust, a oczy nabrały nieokreślonego wyrazu. Mads uświadomił sobie, że to teraz musi przejść do rzeczy. Teraz musi ją zapytać. Otworzył usta, lecz w tej samej chwili wzrok Bryndis powędrował w głąb sali. Wkrótce potem usłyszał szuranie powolnych kroków i zrozumiał, że do baru zbliża się gitarzysta. Zaklął pod nosem. Nie zauważył, że muzyka umilkła.

– Piwo proszę – powiedział ochryply głos.

Podłoga zgrzytnęła, gdy przesunięto stół. Mads obrócił się do gitarzysty i przywitał się, tamten zaś odpowiedział skinieniem.

– Lubisz Zeppelinów? – zagadnął muzyk.

Mads wzruszył ramionami.

– Są w porządku.

– Myślałem, żeby potem dać *Black Dog*.

– Świetnie.

– Jeszcze przyjdą ludzie, zobaczysz. Zawsze przychodzą, kiedy gram.

Bryndis przesunęła po ladzie półlitrową szklankę piwa, po czym odwróciła się do sprzętu stereo, znajdującego się na blacie za nią, i włączyła odtwarzacz CD. Sekundę później z głośników popłynął dobrze mu znany riff.

– Skoro się już poznaliście, pozwolisz, że popracuję na zapleczu?

Udała, że zaciąga się wyimaginowanym papierosem. Nachyliła się do Madsa i teatralnym szeptem dodała:

– Zawiadom mnie, jeśli zjawi się jego fanklub.

W odpowiedzi uśmiechnął się niechętnie. Bryndis zniknęła za drzwiami do kuchni, on zaś pochylił się nad filiżanką i przeklinał samego siebie. Kiedy podniósł wzrok, spostrzegł, że gitarzysta przysunął się pół metra bliżej. Mads upił nieco kawy, pocieszając się, że z głośników lecą Kenci: „Za ciebie warto by umrzeć – możecie śmiać się do woli”.

– Pieprzona banda pedałów! – gitarzysta przystawił do ust szklankę i siorbiąc, spił piankę z piwa, po czym stęknął z przekonaniem. Wskazał głośnik pod sufitem. – Ten zespół. Składa się

z samych pedałów. Robisz w straży pożarnej?

Ruchem głowy wskazał radiotelefon na ladzie.

– W przychodni – rzekł Mads, wzruszając ramionami.

– Czyli jesteś lekarzem?

Przytaknął, patrząc w filiżankę.

– Nie wyglądasz mi na lekarza.

– Nie? A na kogo wyglądam?

Ręka gitarzysty wylądowała na ramieniu Madsa. Przyjacielskim gestem pogłaskał go po koszuli.

– No, nie chciałem cię urazić. Jesteś po prostu bardzo młody. Przywykliśmy tu do starców pokroju Caroliussena.

– Z tego, co się orientuję, był tutaj lubiany.

– I był, i nie był... – gitarzysta pogładził cienkie wąsiki. Mads przyjrzał się jego profilowi.

Górna warga opadała na dolną, nadając twarzy muzyka gryzoniowaty wygląd. – Powiem ci jedno: Caroliussen napakował moją matkę trucizną.

Mads upił duży łyk kawy. Wyglądało na to, że pogawędka miała skończyć się tak, jak większość rozmów, które przeprowadził w tym barze: historią o chorobie.

– Miała arytmie... a on dał jej tyle trucizny, że własnej siostry nie była w stanie poznać.

Jeszcze trochę, a trafiłaby do psychiatryka, ale zemdląca u przyjaciółki w Orkdalu i trafiła do szpitala. A tam już wykryli, co było nie tak. – Gitarzysta oblizał cienką wargę górną i jego usta rozciągnęły się w kreskę: – Diti... diksit... coś takiego.

– Digitoksyna – suchym głosem podsunął Mads.

– Właśnie, digitoksyna. Czysta trucizna. Caroliussen przepisał jej to na arytmie.

Gitarzysta siedział, kiwając głową do swoich myśli. Mads nie miał ochoty na dalsze komentarze. Może i nie przepadał za Caroliussenem, ale zachował resztki koleżeńskiej lojalności. Z zaplecza dobiegł go brzęk przesuwanych szklanek. Podniósł wzrok w nadziei, że drzwiczki się wychylą, te jednak pozostały nieruchome.

– Kręcisz tu z jakąś laską?

Gitarzysta znów nań spojrzał. Przyjacielski ton wrócił.

– Nie, w sumie to nie.

– Kurde, a mogłoby się wydawać, że w twoim zawodzie łatwo kogoś wyrwać. Powiem ci, że ja na przykład nie mam z tym problemów. Dziewczyny w Trøndelagu są chętne. Co koncert, to propozycja. Aż trudno mi się od nich opędzić.

– Dzisiaj chyba łatwiej?

Mads zerknął na rozmówcę.

– Powiem ci jedno – gitarzysta nachylił się bliżej. – Najbardziej napalona jest ta paniusia z baru. Słyszałeś chyba tę historię?

– Jaką historię?

W następnej chwili Mads pożałował pytania. Jeśli było coś, co powinien wiedzieć o Bryndis, to nie miał ochoty usłyszeć o tym od tego faceta.

– Jest z Islandii, to pewnie wiesz. Przeprowadziła się do nas z gościem z Hitry, który pracował tam na kutrze rybackim. Urodził im się syn i wszystko pewnie byłoby cacy, gdyby tylko umiała się opanować.

Gitarzysta się roześmiał. Przyłożył szklankę do ust i łyknął piwa, aż nadęły mu się policzki. Przelknął napój i stęknął z zadowolenia.

– Gdybym powiedział, że puszczała się na prawo i lewo, to bym jej nie docenił. Nic dziwnego, że jej facet tak się zachował – wykonał ręką ruch imitujący cięcia na krzyż na prawym

policzku. – Widziałeś bliznę, prawda? Nieładnie... Ale był zdesperowany, mówię ci. I upokorzony. A czego nie zrobi biedny facet, kiedy się go upokorzy?

Mads otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował. Nie było sensu polemizować z takimi idiotyzmami. Powściągnął się, gdy rozmówca przysunął się bliżej.

– Wiesz, kto ją teraz posuwa?

Mads podniósł wzrok i napotkał porozumiewawcze spojrzenie.

– Wydawałoby się, że szef zespołu karetki ma lepszy gust – ciągnął gitarzysta – ale obskoczył już większość lasek na tej wyspie, więc prędzej czy później to musiało nastąpić.

Z kuchni dobiegły ich kroki. Chwilę później zachybotwały się drzwiczki.

– Ale głowa do góry – szepnął muzyk. – Wystarczy, że tu jeszcze posiedzisz, a na ciebie też coś skapnie, zobaczysz. – Przystawił szklankę do ust. Jabłko Adama podskakiwało jak na pełnym morzu, gdy opróżnił ją do dna. – *Black Dog*?

Mads poczuł, że robi mu się niedobrze. Wrażenie pieszczotliwego dotyku na barkach jakby się rozpląnęło. Obojętnie wzruszył ramionami.

Gitarzysta wyszczerzył zęby.

– No, to będzie *Black Dog*.

Kiedy Mads podniósł wzrok, spostrzegł, że Bryndis przygląda mu się pytająco.

– Widzę, że się zakumplowaliście...? Jeszcze kawy?

Złapała filiżankę Madsa, zanim zdążył odpowiedzieć. W głębi sali głos gitarzysty wdarł się do głośników:

„*Hey, hey, mama, said the way you move, gonna make you sweat, gonna make you groove*”.

Mads westchnął. Chętnie by sobie darował wersję *Black Dog* w tym wykonaniu.

– Myślę, że powinienem się zbierać – powiedział, ale z ekspresu sączyła się już kawa.

– Nie mógłbyś zostać jeszcze chwilę? – Bryndis spojrzała nań prosząco. – Dotrzymać mi towarzystwa?

Uniknął jej wzroku. W niczym nie dorównywał Ågemu Fjellvaerowi. Stwierdził, że lepiej będzie wycofać się z honorem.

– Wkrótce pewnie zacznie się w przychodni, więc...

– Siedzenie tam i czekanie na pacjentów nic nie zmieni. Nie przyjdą przecież przed tobą? Skrzypnęły drzwi. Mads poczuł zimny powiew na twarzy.

– YES! Grają Zeppelinów!

Głos był zbyt donośny, by wyjść z gardła trzeźwego człowieka. Mads odwrócił się do drzwi. Nadchodziło dwóch mężczyzn. Zaśmiewali się i popychali nawzajem. Ledwie Mads zdążył rozpoznać jednego z nich, twarz tamtego się rozpromieniła.

– O kurna, przecież to lekarz rejonowy! – Żółtodziób potknął się o własne nogi i padł Madsowi w ramiona. – Uściśnij no mnie!

Mads poklepał go powściągliwie po wątych plecach.

Żółtodziób zarzucił mu ramię wokół szyi i obrócił się do towarzysza.

– Pozdrów 007! Doktora z licencją na zabijanie...

Jego kumpel wybuchnął cienkim, przeraźliwym śmiechem. Drzwi wejściowe zaskrzyphiały po raz wtóry. Żółtodziób zabrał rękę i ruszył przez pomieszczenie.

– Åge! Zobacz, kogo tu mamy.

W korytarzu ukazał się zarys łysej głowy Ågego Fjellvaera. Mads zgarbił się przy kontuarze. Czyżby upokorzenie miało się nigdy nie skończyć?

– Witaj, Helmer.

Głęboki głos Fjellvaera sprawił, że Mads podniósł wzrok. Zarejestrował tylko, że

mężczyzna przechylił się przez ladę i przyciągnął do siebie Bryndis w pocałunku.

– Cześć – odparł i zsunął się ze stolka. Wieczór dobiegł końca. Nie miał tu nic do roboty. Już miał sięgnąć po radiotelefon, gdy spostrzegł, że trzyma go Żółtodziób. Posłał chłopakowi napominające spojrzenie, ale tamten ani myślał oddać mu urządzenie.

– Muszę iść – rzekł Mads.

W odpowiedzi Żółtodziób uśmiechnął się głupawo. Mads westchnął. Wyjął portfel i położył na stole trzy dziesięciokoronówki. Usłyszał Bryndis mówiącą, że kawa była na koszt firmy, ale nie wziął pieniędzy, złapał antenkę radiotelefonu i pociągnął. Żółtodziób nie puszczał.

– Daj spokój, Stefan! – dobiegł gdzieś z tyłu stłumiony głos Fjellvaera.

Żółtodziób nadal szczerzył zęby.

– Zadzwoń, jeśli trzeba będzie ci pomóc.

Mads poczuł, jak radiotelefon wyślizguje się z rąk chłopaka. Przypinając urządzenie do pasa, poczuł przyjacielskie poklepywanie po ramieniu. Bez słowa minął Żółtodzioba i puścił mimo uszu jego ostatni komentarz.

– Tylko uważaj na czerwony guzik!

Włączył ogrzewanie i zastygł z rękami na kierownicy. W piersi czuł głęboki, głuchy ból. Najchętniej by się teraz położył. Zagrzebałby się pod kołdrą i nie wstawał, dopóki nie byłby do tego zmuszony. Boże, co za idiota z niego. W każdy weekend przesiadywał w hotelowym barze i wyobrażał sobie, że coś jest na rzeczy między nim a Bryndis, a tymczasem ona przez cały czas kręciła z Ågem Fjellvaerem. Pochylił się i przycisnął głowę do kierownicy. Zamknął oczy. Zresztą nawet gdyby wiedział, na czym stoi, nic by to nie zmieniło. Wobec typów takich jak Fjellvaer nie miał żadnych szans.

W wewnętrznej kieszeni koszuli coś nagle zawibrowało. Chwilę później rozległa się wyrazista i dobrze mu znana melodia. Mads poczuł, jak jego mięśnie karku napinają się na sam dźwięk. *Symfonia losu*. Wyjął telefon i spojrzał na jaśniejący wyświetlacz. I znowu numer prywatny. Już po raz czwarty pacjenci dzwoniли dzisiaj bezpośrednio pod jego numer służbowy.

– Helmer, słucham!

Na linii dało się słyszeć trzaski, tak jakby ktoś nieporadnie próbował obsłużyć telefon. Następnie zabrzmiał warkot motoru, po czym słuchawkę wypełnił ciężki oddech.

– Skurwiel jeden mnie pobił!

Mężczyzna był wyraźnie pijany.

– Rozumiem – odparł Mads. – Doznał pan jakichś obrażeń?

– Dlatego dzwonię, idioto. Cały krwawię. W dodatku ten kutas pobił też moją dziewczynę.

– W porządku, proszę się uspokoić. Gdzie teraz jesteście?

– Przed przychodnią, to chyba jasne. A pan gdzie się, do cholery, podziewa?

Mads spokojnie przetarł twarz dłonią. Do tej części pracy najtrudniej było mu się zmotywować.

– Już jadę – odparł i się rozłączył.

Zaledwie skręcił na rondzie, ujrzał gąszcz samochodów zaparkowanych w zatoczce przed wejściem do przychodni. Skręcił w lewo przed kręgielnią i niezauważony przez nikogo, zatrzymał auto jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Z daleka naliczył dziesięć, dwanaście postaci otaczających kręgiem dwóch mężczyzn, którzy wczepili się kurczowo w kołnierze swoich kurtek. Przepychali się i siłowali, podczas gdy widownia buczała, dopingowała ich i wypluwała wściekle przekleństwa. Mads nie pałał bynajmniej chęcią, by włączyć się w tę scenę. Znalazł telefon komórkowy i wprowadził numer Centrali Pogotowia. Przebrzmiało pięć wolnych tonów, zanim wreszcie odezwał się męski głos.

– Tu Helmer z Hitry. Zastanawiam się...

– O, dobry wieczór. Miałem właśnie do pana dzwonić.

– Ach tak?

– Otrzymaliśmy wiadomość o bijatyce w Knarren. Nie wiadomo, czy wkrótce nie przybędzie panu kilku pacjentów.

Na placu rozległ się krótki, wściekły okrzyk tłumu. Mads westchnął.

– Już tu są... – zaczął i przystąpił do wyjaśniania sytuacji – ...więc zastanawiam się, kiedy mogę się spodziewać pomocy ze strony komendy.

– Obawiam się, że to może trochę potrwać. Forsnes jest w Knarren i opanowuje sytuację.

Ale mogę pana z nim połączyć.

Mads spojrział w stronę wejścia do przychodni. Zdążył odnotować, że dwa walczące koguty uderzają z hukiem o maskę czerwonego BMW, gdy wtem bezbarwnym głosem odezwał się Ove Forsnes.

– Tu Helmer. Przydałoby mi się wsparcie pod przychodnią, już teraz!

W słuchawce słychać było oddech Forsnesa.

– Mamy tu sporo roboty. Skonfiskowaliśmy jakieś prochy. Jakie ma pan kłopoty?

– Bójka przed przychodnią.

Odezwał się trzask, tak jakby ktoś przemieścił telefon.

– Panie Helmer. Wystarczy, że powie im pan, żeby przestali, jeśli chcą skorzystać z pomocy lekarza. Co w tym trudnego?

Mads zamknął oczy. Z Forsnesem zawsze powtarzał się ten sam scenariusz. Kiedy był potrzebny, można było liczyć tylko na przeciąganie rozmowy i jałowe dyskusje.

– Nic – odparł. – Proszę zapamiętać, że dzwoniłem.

– Skontaktuję się z panem później – rzekł Forsnes.

Na linii zaległa cisza.

Mads wysiadł prosto w śnieżycę. Wciąż czuł ciężar po wizycie w Hotelu Fiord. Ciężar i złość na samego siebie. Ruszył przez drogę z torbą lekarską w rękę. Wkrótce zbliżył się na tyle, że dwóch napastników znalazło się w jego polu widzenia. Jeden z nich, dość potężny blondyn z włosami wciąż sztywnymi od żelu, wyglądał na tubylca. Jedno oko i policzek miał spuchnięte, a z ust wprost na białą kurtkę ciekła mu strużka krwi. Jego przeciwnik był nieco niższy, ale za to mocniej zbudowany; miał krótko ostrzyżone włosy i wyglądał na przybysza z Europy Wschodniej. Nie mógł mieć wiele więcej niż dwadzieścia lat i był ubrany nieodpowiednio do pory roku, w wysłużone ciuchy i coś w rodzaju przemoczonych skórzanych mokasynów. Mads stanął na śniegu za walczącymi. Dopiero wtedy spostrzegł rudowłosą dziewczynę, która opierała się o bok BMW. Ukrywała twarz w dłoniach, a jakiś mężczyzna mocno ją trzymał. Mads wziął głęboki oddech. Być może popełniał głupi błąd, ale zdarzało mu się już uczestniczyć samotnie w bardziej nieprzewidywalnych sytuacjach. Musiał dotrzeć do drzwi gabinetu i zamknąć je za

sobą na klucz. Mogliby wtedy robić, co im się żywnie podoba w korytarzu, on zaś przyjmowałby jednego po drugim na konsultację.

– Możecie mnie przepuścić?

Starał się mówić jak najdonośniej, ale i tak został zagłuszony przez wściekle krzyki tłumu, kiedy niższy z walczących wytrącił przeciwnika z równowagi. Śnieg zawirował, gdy miejscowy chłopak uderzył plecami o ziemię. Przybysz z Europy Wschodniej rzucił się na niego i zadał mu serię ciosów. Tłum odpowiedział gorącymi okrzykami, a rudą dziewczynę trzeba było mocno trzymać, żeby nie przyłączyła się do bójki.

– Bierzcie tę świnię! – wrzasnęła i chwilę potem dwóch mężczyzn odciągnęło na bok chłopaka z Europy Wschodniej. Miejscowy przewrócił się na brzuch i splunął krwią. Z trudem łapał oddech, a krew długimi, kleistymi stróżkami sączyła mu się z ust. Na placu zaległa cisza. Mads chrząknął, a spojrzenie blondyna natychmiast powędrowało w jego stronę.

– W samą porę, doktorze!

– Możecie mnie przepuścić?!

Mads rozejrzał się, ale ludzie stali bez ruchu. Nie podobało mu się to. Nadal miał szansę wycofać się i nalegać na pomoc Forsnesa. Mimo to się nie cofnął. Wtem blondyn dźwignął się na kolana i zrobił ruch głową. Grupa rozstąpiła się, patrząc spode łba. Mads wszedł między zebranych i przysunął identyfikator do czytnika. Rozległo się elektroniczne piśnięcie. Tymczasem ludzie zaczęli się przysuwać do drzwi. Mads zawahał się, zanim wprowadził kod. Jeśli chciał zachować kontrolę nad sytuacją, musiał wejść pierwszy. Wystukał kod i odczekał dwie długie sekundy. Kiedy drzwi się otworzyły, stojący na czele tłumu mężczyźni cofnęli się. Mads użył torby lekarskiej, by utworzyć sobie drogę i udało mu się pierwszemu wejść do korytarza. W rękę miał już przygotowany klucz do gabinetu. Gdy wsuwał go do zamka, czuł, jak puls dudni mu w skroniach.

– Najpierw obejrzyj mnie! – syknął jakiś głos za jego plecami. Klucz trafił w obudowę i wysliznął się z ręki Madsa. Przykleknął i chwyciłszy pęk kluczy, wstał.

– Ej, słyszysz czy nie?

– A co ze mną? – odezwał się ktoś inny.

Mads poczuł na policzku gorący, cuchnący oddech, ale był zbyt zajęty dobieraniem klucza, żeby przykładać do tego jakąś wagę. To ten. Niepewną ręką wsunął go do zamka, przekręcił i gdy usłyszał dźwięk odskakującej zasuwki, ogarnęła go przemożna ulga.

– Ty...! Głuchy jesteś czy co?

Ktoś złapał go za lewe ramię i szarpnął. Madsowi udało się odtrącić rękę. Uchylił drzwi i wśliznął się do środka. Już miał je zamknąć za sobą, gdy mężczyzna z podbitym okiem i nosem, który przestał być prosty, wetknął głowę w szparę.

– Ej...

– Zaczekaj!

Mads pociągnął ku sobie drzwi, ale zanim udało mu się je zatrzasnąć, napotkał nagły opór. Chwilę później usłyszał rozdzierający wrzask. Z przerażeniem spojrzał na palce, które ich właściciel czym prędzej wyrwał ze szczeliny. Przełknął ślinę i pociągnął drzwi raz jeszcze. Tym razem się zamknęły. Na zewnątrz wrzask przeszedł w stek wyzwisk. W ciemnym pokoju Mads wymacał zamek i przekręcił go w tym samym momencie, gdy ktoś szaleńczo zaczął szarpać za klamkę.

– Musisz obejrzeć moją dziewczynę! – krzyczał ktoś ochryple. – Słyszysz, ty pieprzony gnoju!

– Czekaj na swoją kolej!

Mads oparł się o ścianę, ciężko dysząc. Serce tłukło mu się w klatce piersiowej, ale

powoli dochodził do siebie. Najgorsze miał już za sobą. Dostał się do środka. Znalazł włącznik światła na ścianie i lampa na suficie ożyła. Podeszedłszy do ciągnącego się wzdłuż ściany blatu, odstawił torbę lekarską i odłożył kurtkę. Następnie wysunął szuflady z przyborami do opatrywania ran i umieścił je na ruchomym wózku. W ostatniej szufladzie leżały blankiety przekazów dla pacjentów, którzy nie mieli przy sobie gotówki. Był pewien, że żaden z chłopaków na zewnątrz nie przyzna się do posiadania pieniędzy, a blankiety, które im wyda, znajdzie podeptane w śniegu, zamykając przychodnię na noc. Łatanie skóry pijanym ludziom w weekendy było na dobrą sprawę działalnością charytatywną. Nie ruszył więc blankietów i podeszedł do drzwi. Miał wrażenie, że sytuacja na zewnątrz się uspokoiła. Już miał je otworzyć, gdy zadzwonił telefon. Przeszedł przez pokój i wyłowił komórkę z kieszeni kurtki. Na wyświetlaczu mrugał napis „komendant, dyżur”. A więc Forsnes postanowił jednak zadzwonić. Mads poczuł, że ogarnia go niechęć. Sam opanował sytuację. Oczekiwanie na zgryźliwego komendanta niepotrzebnie wydłużyłoby cały proces. Odłożył telefon na blat i poczekał, aż *Symfonia losu* raptownie się urwała.

Za godzinę lub dwie skończy. Pozostało mu zabrać się do łatania.

Kiedy otworzył drzwi na korytarz i wyjrzał z pokoju, w powietrzu unosił się słodkawy zapach alkoholu, krwi i roztopionego śniegu. W jednym z kątów spostrzegł dwóch typów, którzy trykali się jak koziołki, ale najwyraźniej tylko oni zachowali krztę życia. Blondyn z naželowaną fryzurą siedział w drugim kącie z rudowłosą dziewczyną i trudził się, coś jej tłumacząc. Przybysz z Europy Wschodniej opadł przy ścianie i skręcał krwawego papierosa. Mads wskazał dziewczynę.

– Ty pierwsza – rzucił, przywołując ją gestem.

– Hej, a co ze mną?

Z boku doskoczył jakiś mężczyzna i wyrwał Madsowi z rąk kłamkę. Ten aż się szarpnął, gdy coś pojawiło się nagle przed jego twarzą. Ujrzał cztery zakrwawione palce, po czym rozległ się wrzask:

– Przez ciebie nie będę mógł grać w bowling, ty kutasie!

– Proszę zaczekać na swoją kolej.

Mads złapał kłamkę, ale mężczyzna przysunął się do niego.

– Ani myślę na cokolwiek czekać.

Usiłował złapać typa za mokre ubranie i odepchnąć od siebie, ale ten ani drgnął.

– Kobiety pierwsze – rzucił Mads i dopiero wtedy poczuł, że napór ustępuje. Mężczyzna przewrócił się na bok, chaotycznie machając rękami, i wyciągnął się jak długi na podłodze. Za jego plecami rozległ się gromki śmiech.

– Nie słyszałeś? Kobiety pierwsze!

Mijając leżącego, blondyn kopnął go w bok. Zmierzał w stronę Madsa, tuż za nim szła ruda dziewczyna.

– Wchodzę z nią!

Mads cofnął się o krok. Oparł rękę o framugę, by zagrozić drogę.

– Wchodzi się pojedynczo.

– Wchodzę z nią i już!

Cios w klatkę piersiową pozbawił Madsa oddechu. Odstąpił kilka kroków i odnotował, że blondyn przepuścił dziewczynę, po czym drzwi się zatrzęsnęły.

– Ma się położyć na kozetce?

Madsowi wciąż jeszcze kręciło się w głowie, ale przytaknął. Zamknęli drzwi. To było najważniejsze.

– Tak, niech się położy.

Pacjentka była ładną dziewczyną. Madsowi wydawało się, że gdzieś już ją widział – być może w przychodni, a może po prostu w centrum Fillan. Teraz jednak twarz miała podrapaną i zakrwawioną w takim stopniu, że trudno było ocenić faktyczną skalę obrażeń. Podczas gdy blondyn, klnąc, krążył w czterech ścianach, Mads umoczył parę tupferów w roztworze soli fizjologicznej i zaczął oczyszczać rany. Jednocześnie wysłuchał urywkowego sprawozdania z bijatyki w Knarren. Dziewczyna próbowała najwyraźniej rozdzielić walczących, ale jej dobre chęci skończyły się kilkoma ciosami w twarz.

– Uderzył moją dziewczynę. Ten zajebany sukinsyn uderzył moją dziewczynę.

Blondyn stanął za plecami Madsa i jęknął sentymentalnie. Mads oczyścił już twarz pacjentki z większości krwi, podczas gdy ona leżała sztywno wyprostowana na kozetce, niemal w zupełnym milczeniu. Jej skóra załśniła wilgotnawo w ostrym świetle. Oprócz paru zadrapań, które nie wymagały interwencji, nad górną wargą biegło wyraźne pionowe rozcięcie.

– Trzeba to zszyć – Mads wskazał ranę. – Wystarczą dwa, trzy szwy.

Blondyn zaklął.

– Tylko szyj ładnie! Słyszysz?!

– Wyluzuj. Doktor da sobie radę! – dziewczyna odezwała się po raz pierwszy. Jej głos zabrzmiał spokojniej, niż Mads się spodziewał.

– W takim razie daj jej porządne znieczulenie!

– Nie chcę znieczulenia. Proszę już szyć!

Dziewczyna posłała Madsowi zawzięte spojrzenie.

– Niech pani najpierw otworzy usta – powiedział.

– A to po co? – usłyszał za plecami.

– Muszę sprawdzić zęby.

Dziewczyna wolno otworzyła usta. Mads ujął mały, okrągły podbródek i palcem wskazującym dotknął zębów trzonowych. Tkwiły jak należy zarówno w dolnej, jak i górnej szczęce. Przesunął palcem po górnym rzędzie zębów i zatrzymał się na lewym siekaczu. Ząb chwiały się w przód i w tył przy dotyku.

– Boli?

Dziewczyna próbowała potrząsnąć głową w odpowiedzi.

– Coś nie tak? – usłyszał Mads za plecami.

– Potrzebna będzie wizyta u dentysty.

– Tylko mi nie mów, że straci zęba na przedzie!

Blondyn znów wyszedł na środek pokoju i zaczął kręcić się niespokojnie wokół własnej osi.

– Zęby to wprawdzie nie moja dziedzina, ale...

– Pieprzony sukinsyn...

Chłopak nagle przestał się kręcić i ruszył w kierunku drzwi. Mads szedł już w tę samą stronę, gdy usłyszał dźwięk odsuwanej zamki. Rzucił się ku drzwiom, uderzył w nie plecami i ku swojej uldze poczuł, że się zatraskują. Blondyn przyglądał mu się złowrogo.

– Przesuń się – powiedział.

– Będę zmuszony za panem zamknąć.

– Tylko spróbuj!

Stali, mierząc się wzrokiem. Madsowi zdawało się, że trwa to całą wieczność. Blondyn oddychał gwałtownie i przy każdym oddechu unosiły mu się barki. W korytarzu rozległy się wrzaski i odgłosy szarpaniny. Bijatyka najwyraźniej zaczęła się na nowo.

– Chodź, Marek – powiedziała dziewczyna. – Zostań ze mną!

Blondyn na chwilę odwrócił do niej głowę, jednak nie ruszył się z miejsca. Czarne oczy

zdradzały burzę toczącą się w jego myślach. Mads zdziwił się, słysząc imię chłopaka. Sądził, że jest on tubylcem, ale „Marek” brzmiało bardziej polsko niż norwesko.

– Poza tym będę potrzebował pomocy przy szyciu.

Uśmiechnął się pojednawczo, lecz tamten tylko zacisnął zęby, tak mocno, że aż zazgrzytały. Jego ręka opadła na klamkę. Mads napiął mięśnie nóg, gotów znowu się zaprzecć. Już miał się odezwać, gdy usłyszał dzwonek telefonu służbowego dobiegający z blatu. Blondyn spojrział zdziwiony, po czym skrzywił się z rozbawieniem.

– To telefon dyżurny – wyjaśnił Mads.

– Nie odbierzesz?

Chłopak przyglądał mu się wyczekująco. Mads skinął głową. Niechętnie i nie bez oglądania się przez ramię ruszył w głąb pokoju. Blondyn stał bez ruchu i spoglądał w ślad za nim. Wreszcie, po kilku sekundach, powoli odszedł od drzwi. Mads odetchnął głęboko. Zerknął na komórkę i opadło go zmęczenie. Znowu dzwonił Forsnes. Obejrzawszy się przez ramię, zobaczył, że dziewczyna ujęła rękę towarzysza i gładzi kciukiem jego skórę. Nie, da sobie radę. Nie potrzebował pomocy.

Zszycie skaleczenia, choć niewielkiego, nie należało do najprostszych zadań. Gdyby zrobił to krzywo, dziewczyna miałaby nierówną linię wargi, to zaś rzucaloby się w oczy. Mads włożył sterylne rękawiczki i powierzył blondynowi zwilżanie tupferów i ucinanie nici. Chłopak stał markotnie z nożyczkami w ręku, czekając na instrukcje. Mads użył najcieńszej nici, jaką miał, i żeby zamknąć ranę, założył na jej końcu pojedynczy szew. Wyglądało na to, że da sobie radę. Ręce pracowały, a on czuł rosnące zadowolenie. Kiedy wykonywał takie zadanie, czasami powracało do niego uczucie, jakie miał na sali operacyjnej. Mój Boże, jak mu go brakowało.

Z korytarza dobiegł nagle odgłos uderzenia i głośny krzyk. Blondyn podniósł wzrok z rozkojarzoną miną.

– Przytnij tutaj – rzekł Mads.

– Co?

Mads wskazał ranę.

– Możesz tu przyciąć? Został już tylko jeden szew.

Niezdarnym ruchem chłopak zbliżył nożyce do twarzy dziewczyny. Ujął nimi nitkę i jeden z palców Madsa. Ten w ostatniej chwili zdążył go cofnąć, nim nożyce zamknęły się i nitka spadła.

– Ostrożnie – wymamrotał nerwowo, ale blondyn znowu się oddalił; stał, patrząc na drzwi. Mads wbił igłę w skórę dziewczyny i poczuł, jak się wzdrygnęła.

– To już ostatni! – szepnął, kątem oka przyglądając się jej towarzyszowi. Igła wychynęła po drugiej stronie rany. Mads chwycił ją pęsetą i pociągnął. Za igłą ciągnęła się nić.

– Będę zaraz potrzebował ostatniego cięcia – rzekł głośno i zaczął wiązać supełek, ale blondyn szedł już w stronę drzwi. – Nożyce! Proszę o nożyce!

Wciąż żadnej odpowiedzi. Mads zaklął pod nosem. Zawiązał pierwszy węzełek, a myśli mknęły mu przez głowę. Mógł zaryzykować i pozwolić chłopakowi wyjść na korytarz, a potem zamknąć pokój na klucz. Kiedy tamten spostrzeże, że nie może wrócić, z całą pewnością będzie się awanturował, ale w ostateczności Mads skłonny był poniżyć się i zadzwonić do Forsnesa z prośbą o pomoc. Najważniejsze to utrzymać fortecę. Zadzierzgnął drugi węzełek i podniósł wzrok. Zobaczył, że blondyn odwrócił się i coś przeleciało przez pokój. Zanim zdążył się osłonić, poczuł intensywny, piekący ból czoła. Zacisnął powieki i usłyszał, jak coś z brzękiem uderza o podłogę.

– Sam sobie, kurwa, tnij!

Mads dotknął czoła, poczuł wilgoć na palcach i zrozumiał, że krwawi. Mrużąc oczy,

znalazł tupfer w sterylnym zestawie i przyłożył go sobie do skóry. Dziewczyna spojrzała nań obojętnie.

– Już?

– Czekaj!

Szybkim ruchem sięgnął na podłogę i złapał nożyce. Nie był już sterylny, ale nic na to nie mógł poradzić. Wytrzeł zakrwawione palce o spodnie, zawiązał szybko jeszcze jeden węzełek i zerkając z ukosa w górę, przeciął nić.

– Gotowe!

Zdawało się, że tama po drugiej stronie pokoju pęka. Blondyn otworzył drzwi i utorował sobie drogę przez tłumek w korytarzu. Kilku facetów stało już na progu i mrużąc oczy, zaglądało do środka. Mads rozpoznał złamany nos jednego z nich.

– Musicie poczekać na swoją kolej – nakazał, wiedział jednak, że nic tym nie wskóra. Rozejrzał się bezradnie, czując, że ogarnia go desperacja. To tej sytuacji miał uniknąć. Kilka metrów dalej na blacie spostrzegł komórkę służbową. Forsnes. Nie widział innego wyjścia, niż wezwać komendanta. Szybkim krokiem wyminął kozetkę i ruszył w stronę blatu.

– Ej, ty! – usłyszał za plecami w chwili, gdy złapał telefon. Pospiesznie wprowadził numer. Na linii dał się słyszeć brzęczący sygnał. Mads odwrócił się i zobaczył, że zmierza ku niemu mężczyzna ze złamanym nosem.

– Musi pan poczekać na zewnątrz – powiedział. – Dzwonię do komendanta.

W słuchawce odezwał się trzask.

– Wszystko pod kontrolą, panie Helmer?

Forsnes bardzo się starał, by jego nosowy głos brzmiał spokojnie. Mads już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Na jego szyi zacisnęła się wilgotna ręka i wskutek nagłego szarpnięcia w tył stracił równowagę. Poczul, że telefon wypada mu z dłoni, po czym uderzył w coś potylicą i jego ciało przeszył elektryczny impuls. Zamrugął i zrozumiał, że leży na podłodze. Ostre światło jarzeniówek raziło go w oczy, ale chwilę później przesłoniły mu je dwie nogi. Twarz Madsa owionął mdlący, przesycony alkoholem oddech. Próbował się podnieść, ale ktoś pchnął go z powrotem na ziemię – i znów poczul rękę zaciskającą mu się na gardle. Ze świstem usiłował złapać oddech, ale daremnie. Otworzył usta szerzej. Przed jego oczami wściekle zatańczyły mroczki, w głowie narastał ciepły, kłujący ból. Rozpaczliwie wymachiwał ramionami, by uwolnić się z żelaznego uścisku.

– No popatrz, popatrz, co zrobiłeś z moją ręką!

Mads zacisnął oczy i spróbował skupić się na oddychaniu. W tej samej chwili poczul, że jego płuca swobodnie napełniają się powietrzem. Zrobił wydech, potem wdech – a sięgnąwszy do gardła, pojął, że ręka zniknęła. Kiedy otworzył oczy, stwierdził, że blondyn zarzucił ramię na szyję mężczyzny ze złamanym nosem i pociągnął go do tyłu. Uderzył napastnika pięścią w skroń, tak że ten zgiał się wpół i bez życia padł na podłogę. Następnie pochylił się nad leżącym i dzwignąwszy go, uderzył raz jeszcze.

Mads wstał. Ledwo mógł ustać na nogach. Pokój zdążył zapelnąć się ludźmi.

– Proszę poczekać na zewnątrz – próbował powiedzieć, ale głos go zawiódł. Rozejrzał się wokół, szukając telefonu. Spostrzegł go na podłodze, u stóp mężczyzny ze złamanym nosem. Blondyn pchnął go na blat, wykręcił mu ręce na plecach i przycisnął jego twarz do stołu.

– Marek, wystarczy!

Mads zrobił kilka kroków do przodu i położył rękę na ramieniu blondyna. Wydało mu się, że w oddali słyszy dźwięk syreny policyjnej, gdy chłopak odwrócił się gwałtownie. Więcej nie zdążył zarejestrować, bo nadleciała ku niemu pięść i przepelniony pokój nagle załała ciemność.

– Marek Bukowski? O kurna, człowieku!

Anwar uderzył ręką w stół. Dwie nastolatki, siedzące w kącie restauracji z nachylnymi do siebie głowami, spojrzały w ich stronę z przestrachem.

– Znasz go?

Mads uniknął zde gustowanego spojrzenia, które przyjaciel posłał mu nad stołem.

– Wszyscy tu znają Marka. A większość nauczyła się omijać go szerokim łukiem.

– Skąd pochodzi? Z Polski?

– Zdaje się, że jego ojciec był Polakiem, tak. Ale z tego co wiem, Marek urodził się i dorastał na Hitrze... i zdążył narobić tu więcej kwasu niż ktokolwiek inny. Ale lepiej powiedz, co się stało, kiedy przyjechał Forsnes.

Mads napotkał wzrok siedzących w kącie dziewczyn. Chichotały cicho, ciekawsko na nich zerkając. Pomacał zapuchnięte oko i próbował odwrócić twarz, tak by siniak nie był zbyt widoczny.

– W sumie to nic specjalnego, wyjąwszy fakt, że całą gromadkę podrzuciono na kontrolę lekarską na Frøye, a kilku skończyło w izbie wytrzeźwień. Swoją drogą Forsnes nie był zbyt miły, kiedy dowiedział się, że nie zamierzam zgłosić zajścia. Kazał mi wsiąść do samochodu, który zabrał mnie do szpitala w Orkdalu. Tam jakiś stażysta przepuścił mnie przez tomograf i zakleił mi ranę na czole, po czym dostałem zlecenie przejazdu taksówką do domu.

Wzrok Madsa powędrował w stronę okien i płatków śniegu rozbijających się o szyby. Wciąż jeszcze bolała go głowa, a siniaki na ciele odzywały się przy każdym ruchu. To był ciężki weekend, w zasadzie najcięższy, odkąd przyjechał na Hitrę.

– I co teraz?

Anwar przyglądał mu się intensywnie. Mads wzruszył ramionami.

– Dyżurny na Frøi zajmie się pacjentami, którzy zgłoszą się dzisiaj do godziny czwartej. Potem znów moja kolej.

Upił porządny łyk kawy i poczuł ciepło rozchodzące się w poobijanym ciele. Kiedy odstawił filiżankę, Anwar wskazał jego podpuchnięte oko.

– I nie ma związku zawodowego, który mógłby ci pomóc? Potrzebujesz przerwy, Mads! Spójrz na siebie!

– Nikt poza mną nie wykona tej pracy.

– Nie bądź głupi! Hernes bez trudu znajdzie kogoś, kto cię odciąży, jeśli jej się zechce!

A ta gadka o stanowisku lekarza gminnego to tani chwyt. I tak nikt nie złoży podania. Najmiej adwokata związkowego i zanim się obejrzyysz, będziesz miał stałą posadę w kieszeni i zmiennika.

Mads spojrział na swoje ręce i splótł kciuki. Chociaż oczyścił gardło, jego głos zabrzmiał zadziwiająco ochryple.

– Nie wiem, jak to wyjaśnić, Anwar, ale...

– Ale co?

Zrobił wdech i wlepił oczy w stół.

– O czymś ci nie powiedziałem.

Anwar umilkł. Jedyнным dźwiękiem, jaki dał się słyszeć w lokalu, był teraz chichot nastolatki w kącie. Mads przełknął ślinę. Wiele miał sekretów, których nie wyjawiał. Przypomniawsobie Cecilie i poczuł ciężar w piersi. Mała Cecilia.

– Kiedy pracowałem w Lørenskog, zabiłem małą dziewczynkę – powiedział, nie śmiać unieść wzroku. Uczucie ciężkości rozlało się w jego ciele. Czekał na komentarz Anwara, ale sekundy mijały i nie padło ani jedno słowo. – Mieszkała z matką piętro niżej w bloku dla

pracowników szpitala. Jej ojciec był pijakiem, który pojawiał się i znikał, i nie było z niego pożytku. Zawsze zostawiałem otwarte drzwi mieszkania, żeby mogła przyjść w razie przykrew sytuacji w domu.

Zerknął na przyjaciela. Anwar siedział jak skamieniały, tylko się w niego wpatrując. Mads nie umiał odgadnąć jego wyrazu twarzy i nie podobało mu się to.

– Pewnego ranka przed pracą wstąpiłem do jej matki, żeby oddać coś, co mała u mnie zostawiła. Powiedziała, że córkę boli brzuch. Zbadałem ją i pomyślałem, że to może być zapalenie wyrostka robaczkowego, więc wysłałem ją do szpitala. Wyszło na to, że to ja mam ją operować. Nauczyłem się wykonywać takie operacje metodą laparoskopii i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że pielęgniarka operacyjna przygotowała narzędzia do przejścia przez skórę, których nie znałem.

Znów uniósł wzrok. Anwar siedział z niezmienną powagą na twarzy i słuchał. Powoli skinął głową.

– Mów dalej – rzekł bezbarwnym tonem.

– Poprosiłem o pomoc i bardziej doświadczony kolega udzielał mi instrukcji z boku... ale i tak nie udało mi się uniknąć błędu. Za głęboko wbiłem igłę, która powinna przejść przez skórę, i drasnąłem tętnicę brzuszna. Kiedy kolega poszedł, ciśnienie krwi zaczęło spadać. Myśleliśmy, że to wina znieczulenia, więc anestezjolog podał środek na wyrównanie ciśnienia.

Mads zakrył oczy dłonią i przycisnął je palcami aż do bólu.

– Za późno zrozumiałem, co się stało. A kiedy prawda do mnie dotarła, próbowałem naprawić błąd na własną rękę. Byłem za dumny, żeby prosić o pomoc, ale nie aż tak dobry, by zatamować krwotok. Ja...

Nie udało mu się powiedzieć nic więcej. Słowa uwięzły mu w gardle. Siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Czuł, jakby wszystko przewróciło się w nim do góry nogami. Nic już nie było jak trzeba – i nie wiedział, czy kiedykolwiek odzyska poczucie ładu. Wziął oddech.

– Nie umiem sobie wybaczyć tego, co się stało.

– I dlatego sądzisz, że wczoraj dostałeś za swoje?

– Coś w tym stylu, tak.

– Karanie samego siebie nie polepszy sprawy.

– Ale i jej nie pogorszy.

Mads przechylił się na krześle i niewidzącym wzrokiem zapatrzył się na wirujący śnieg.

– Nie mówię ci tego, żeby uzyskać współczucie...

– No to po co? – Anwar jęknął głośno. Kątem oka Mads spostrzegł, że przyjaciel przechylił się do niego nad stołem. – Słuchaj, nie jestem głupi, szybko się połapałem, że coś cię dręczy. Nie chciałem pytać, zresztą pomyślałem, że z czasem przejdiesz nad tym do porządku dziennego. Ale teraz sprawy zaszły za daleko, Mads. Najzwyczajniej w świecie tak nie może być.

– Daję radę. W końcu siedzę tu z tobą.

– Pieprzysz! I dobrze o tym wiesz!

Mads westchnął. Wreszcie spojrzął prosto na rozmówcę.

– Dotarło do mnie i pomyślę nad tym, okej?

Anwar zmarszczył brwi podejrzliwie, ale skinął głową.

– Może i popełniłeś niewybaczalny błąd, Mads, ale potrafisz przyznać to przed sobą.

Kiedyś dostaniesz możliwość naprawy tego, co zrobiłeś, i lepiej żebyś nie miał wtedy za sobą tygodnia na ciągłym dyżurze.

Mads wbił wzrok w swoje ręce. Wprawdzie słyszał, co mówi Anwar, ale tak jakby nie całkiem to do niego docierało.

– Pracujecie tu? – odezwał się nagle jasny kobiecy głos. Obejrzał się przez ramię.

W drzwiach stała wysoka, czarno ubrana postać. Nie widział dotąd na wyspie tej kobiety. Gdyby ją spotkał, na pewno by to zapamiętał. Jej ubranie – obcisły płaszcz i wysokie kozaki na obcasach do chodzenia po płaskim asfalcie – nie pozostawiały złudzeń, że przyjechała z miasta. Płatki śniegu błyszcząły na małych tekstylnych kwiatach zdobiących czarną czapkę.

– Mówicie chyba po norwesku?

Mads nie wiedział, jak się tego domyślił. Może odgadł to, widząc, jak kobieta lekko przechyliła głowę, gdy się śmieje, a może podpowiedziały mu to jej głęboko osadzone oczy o świdrującym wejrzeniu. Tak czy inaczej zorientował się, kto przed nim stoi. Przemiana z drobnej dziewczynki na zdjęciu w gabinecie Caroliussena była ogromna.

– W czym mogę... pani pomóc? – Anwarowi zachrypnął głos. Zerwał się na równe nogi, wyglądając przy tym jak uczeń.

– Może pizza?

Zamaszystym ruchem wskazał na plakat, zawieszony pod kontuarem.

– Nasze menu jest...

– Wezmę wegetariańską. Jeśli taką macie.

– Średnią czy dużą?

– Tylko dla mnie. Średnia mi wystarczy.

Anwar zerknął na Madsa.

– Wróćmy do tematu później – rzekł i zakręciwszy się wokół kontuaru, zniknął w kuchni.

Mads obrócił się z powrotem na krzesło. Przy innej okazji może przywitałby się i przedstawił, ale dziś raczej nie był w nastroju. Poczul, jak napinają mu się mięśnie karku, gdy stukot obcasów zaczął się zbliżać i kobieta stanęła przy jego stoliku. Kilka kropel spadło mu na policzek, kiedy odwinęła szalik.

– Dobrą dają tu pizzę?

Ruchem głowy wskazała nietknięty kawałek na talerzu Madsa. Podniósł go i ugryzł, po czym przytaknął bez słowa. Rozległ się zgrzyt, gdy odsunęła krzesło przy sąsiednim stoliku i usiadła. Kiedy zaczęła rozpinać płaszcz, ku Madsowi napłynął zapach słodkich perfum. Była w nich nuta wanilii.

– Pan musi być lekarzem dyżurnym.

Mads zdumiał się. Spojrzał na nią dyskretnie.

– Skąd...?

– Wieści o bójce zdążyły już dotrzeć do Trondheim – skinęła w stronę podpuchniętego oka Madsa. – Nielatwo przestawać z mieszkańcami wybrzeża tu, w Trøndelagu.

Poczul, że się czerwieni. Wbił wzrok w stół.

– Nielatwo iść śladami człowieka takiego jak pani ojciec.

– No proszę! Widzę, że i plotki o mnie dotarły tu pierwsze.

Rozpięła ostatni guzik płaszcza i uwolniła szyję. Mads ukradkiem podniósł wzrok. Nie był pewien, czego spodziewał się po córce Starego Doktora, ale na pewno nie tego.

– Tylko błagam – ciągnęła – żadnych kondolencji. Był dobrym człowiekiem, ale... – wyciągnęła włosy zza kołnierza i lekko westchnęła – rzadko się widywaliśmy. Za dużo miał pracy na tym odludziu.

Omiotła lokal nieprzychylnym spojrzeniem i zatrzymała się dopiero na dwóch nastolatkach, które przyglądały się jej, odkąd weszła. Zawstydzone dziewczyny natychmiast odwróciły wzrok i wbiły go w stół.

– Wie pan, co mówimy w Trondheim o mieszkańcach Hitry...? Utrzymują, że należą do Trøndelagu, ale żaden Trønder by się z tym nie zgodził.

Mads musiał się uśmiechnąć. Kobieta natychmiast odwzajemniła uśmiech.

– A wie pani, co mówi się na Hitrze? – zapytał.

Zmarszczyła czoło, jakby zaskoczona, że on ma coś do powiedzenia w tej kwestii.

– Nie...?

– Że na szczęście to nie Dolmøya.

Znów się roześmiała, głośno i serdecznie.

– Jak rozumiem, podoba się panu tutaj?

Zanim Mads zdążył odpowiedzieć, Anwar wychylił głowę przez drzwi kuchenne.

– Jakiś napój do pizzy?

– Nie, dziękuję. I proszę pizzę na wynos.

Anwar skinął głową i znów zniknął.

– Jestem tu tymczasowo – odparł Mads.

Poczuł, że kobieta mierzy go wzrokiem.

– Zanim powiem, że mój ojciec też tak powtarzał, przedstawię się – wyciągnęła kruchą dłoń o długich, krwistoczerwonych paznokciach. – Line Schönfelt.

Uścisnął jej rękę.

– Mads Helmer.

Chwilę później zabrzmiała *Symfonia losu*. Mads pomacał kieszeń, w której wibrowała komórka, a jednocześnie odnalazł wzrokiem zegar wiszący nad kontuarem. Za pięć pierwsza. Do ruszenia w bój zostały mu jeszcze trzy godziny. Odebrał.

– Słucham?

– Tu Nina z Centrum Zdrowia. Myślę, że potrzebujemy twojej pomocy. My...

– Zaczynam dyżur o czwartej. Proszę zadzwonić do Centrali Pogotowia. Do tego czasu zgłoszenia przyjmują lekarze z Frøi.

– To raczej pilne.

– Raczej pilne?

Line Schönfelt wyglądała przez okno z nieobecną miną. Zauważył, że ma piękny profil. Tak jakby należał do rzeźby epoki klasycznej. W ogóle była piękna, co do tego nie miał wątpliwości. Miała też poczucie humoru... czego nie dało się powiedzieć o jej ojcu.

– Trochę trudno mi to wyjaśnić przez telefon – ciągnął głos w słuchawce. – Gdzie jesteś?

– W Betlejem.

– Byłoby... bardzo dobrze, gdybyś przyszedł. Potrzebujemy wsparcia!

W jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. Mads westchnął. Line nagle zwróciła się w jego stronę. Włosy zafalowały wokół jej głowy, a spojrzenie, które mu posłała, było głębokie, niemal pełne podziwu. Tak w każdym razie myślał później, próbując sobie wyjaśnić, dlaczego męskim głosem rzucił do słuchawki:

– Okej. Będę za pięć minut.

– Gdzie jest Caroliussen? Caroooliussen!

Chrapliwy kobiecy głos słycać było nawet w sięgającym aż po dach foyer w Centrum Zdrowia. Mads wdrapał się po schodach w tempie, które malało z każdym kolejnym stopniem. Coś mu podpowiadało, że w ogóle nie powinien być się tego podejmować. Gdy dotarł na pierwsze piętro, czekała tam już na niego młoda pielęgniarka. Wyglądała bardzo mizernie w białym uniformie, prawie jak strach na wróble w za dużym płaszczu. Do piersi przyciskała czerwoną teczkę zawierającą kartę pacjentki.

– Krzyczy tak już pół godziny – powiedziała, szeroko otwierając oczy.

Mads otrzymał teczkę i zignorował spojrzenie, jakie posłała mu kobieta na widok podbitego oka.

– Może powinni jej państwo powiedzieć, że Stary Doktor nie żyje – rzekł oschle.

– Próbowaliśmy.

– I?

– Nie wierzy nam. Jest...

Przepraszający uśmiech rozpląnął się w krótkim wzruszeniu ramion.

– Trochę otepiała?

– Powiedziałabym raczej, że uparta. Proszę ze mną!

W miarę, jak szli korytarzem, krzyki narastały. Minęli starszego mężczyznę z balkonikiem: posuwał się naprzód drobnymi, miarowymi kroczkami, jak gdyby nieporuszony wrzaskami. W świetlicy panował ten sam nastrój. Siedziały tam trzy kobiety, gapiąc się w ścianę, a pielęgniarka stała i trzymając pilota w wyciągniętej ręce, przeglądała telegazetę.

Zatrzymali się przed drzwiami do pokoju pacjentki. Wisiała na nich wyszywana wizytówka z napisem „Valentina Hjertås”. Mads nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek przyjmował kobietę o takim nazwisku, na palcach jednej ręki mógł jednak policzyć wizyty, które tutaj złożył. Ta część Centrum Zdrowia była domeną Caroliussena i nie widział przeszkód w zachowaniu tego stanu rzeczy. Nie lubił odwiedzać domu starców. Nie podobał mu się zapach i przygnębiająca atmosfera tego miejsca, świadomość, że dla tych, którzy tu mieszkają, jest to ostatni przystanek.

– Wejdziemy? – Pielęgniarka spojrzała na niego prosząco.

– Chwileczkę.

Mads otworzył teczkę pacjentki. Wykaz zleconych badań zawierał ostatnie analizy, wykonane zaledwie dwa tygodnie temu. W rubryce „Wyniki” ktoś napisał „b. z.” pismem pełnym starannych zawijasów. „Bez zastrzeżeń”. Nie ulegało wątpliwości, że litery nakreślił Aldus Caroliussen. Rubryka przeznaczona na historię choroby była pusta. Mads westchnął. Powinien był wstąpić do przychodni po drodze i przeczytać wpis w elektronicznej karcie pacjenta.

– Co jej dolega?

– Miała udar.

– I w jakim jest teraz stanie?

– Prawie nie używa lewego ramienia, a ze względu na niedowład nogi za dnia siedzi tylko na krześle.

– Coś jeszcze?

– Ona sama mówi...

– Tak?

– ... coś o nierównowadze humorów w jej ciele.

– Humorów...? Z tego co wiem, medycyna odstąpiła od nauki o humorach kilkaset lat temu.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

– Stary Doktor postawił jej taką samą diagnozę.

Mads poczuł, że ogarnia go głęboka rezygnacja. Kolejna dziwna historia o Caroliussenie.

Pielęgniarka uśmiechnęła się z niezbyt przekonującym wyrazem twarzy.

– Wejdziemy już czy...?

Ukośne, chłodne promienie wpadały do środka przez zwrócone na południe okna, oświetlając skromnie umeblowany pokój. W kruchym ciele osiemdziesięcioletniej Valentyny Hjertås drzemał zadziwiająco potężny głos. Kobieta pólleżała w łóżku, oparta o przechyloną o trzydzieści stopni podpórkę, otwierając bezzębne usta. Mads zwrócił uwagę, że wygląda na zadbaną. Prawa ręka spoczywała martwo na wielkiej poduszce, a białe włosy były starannie rozdzielone na środku głowy i zebrane w węzeł na potylicy. Jej oddech był jednak płytki, zbyt płytki, a na szyi uwypukliły się węzowiska żył. Może dlatego, że krzyczała, może z winy serca.

Valentinie Hjertås zabrakło w końcu powietrza i pielęgniarka nachyliła się do niej nerwowo.

– Doktor Helmer przyszedł panią obejrzeć.

Twarcyzka kobiety zaostrzyła się natychmiast w sceptycznym grymasie. Jej spojrzenie zygzakiem powędrowało przez pokój i wreszcie zawisło na Madsie. Długo mierzyła go wzrokiem, po czym jej głowa zaczęła drżeć od silnej czkawki. Chwilę później usta otworzyły się w ochrypłym, donośnym śmiechu.

– Nie w mówicie mi, że ten człowiek jest lekarzem!

Mads wyprostował się i formalnym gestem splótł ręce na brzuchu.

– Nazywam się Mads Helmer i pracuję na wyspie od lata. Czy mogę zwracać się do pani po imieniu?

Śmiech zamilkł, kobieta ściągnęła usta.

– Poproszę raczej: pani Hjertås.

Pozwoliła, by słowa zawisły w powietrzu, dopóki Mads nie przytaknął i nie poprawił się:

– Pani Hjertås.

– Widzę, że się pan awanturował. Czy to przystoi mężczyźnie na pańskim stanowisku?

– To był wypadek.

– Tak, mogę go sobie wyobrazić. Czyżby wszedł pan na drzwi? – rżący, chrapliwy śmiech wydobył się z jej krtani, ale tym razem umilkł szybciej. – Byłam umówiona z doktorem Caroliussenem na piątek. Przychodzi tutaj co tydzień, jednak tym razem się nie zjawił. Gdzie pan odebrał wykształcenie?

Mads zawahał się chwilę, ale napotkał upominające spojrzenie.

– W Oslo.

– Zatem nie wywodzi się pan stąd?

– Urodziłem się w Lillehammer.

– A co pana tutaj sprowadza?

Mads rozłączył splecione ręce.

– Dostałem tu pracę, pani Hjertås. W środkowo-wschodniej części kraju nie można przebierać w ofertach. Doktor Caroliussen niestety nie mógł dziś przyjść, ale mam nadzieję, że ja pani wystarczę. Prosił, by panią pozdrowić i...

– Czyli jednak nie umarł?

Valentina Hjertås uśmiechnęła się ze sztuczną zyczliwością. Lewy kącik jej ust zwiślał martwo.

Mads spojrzał na pielęgniarkę z irytacją.

– Jestem wprawdzie przykuta do łóżka, doktorze, ale nie straciłam kontaktu z rzeczywistością. I zastrzegam sobie prawo do kwestionowania tego, co słyszę, jeśli nie mam możliwości sama tego sprawdzić. Zatem zacznijmy jeszcze raz: byłam umówiona z doktorem Caroliussenem...

Mała główka wysunęła się naprzód, a brwi uniosły w niemym oczekiwaniu na odpowiedź. Mads odchrząknął zawstydzony.

– Z przykrością muszę powiedzieć, że doktor Caroliussen nie żyje.

– I kiedy miałyby się to stać?

– W niedzielę. Zginął w wypadku samochodowym.

Kobieta mierzyła go wzrokiem jeszcze przez długą chwilę. Mads wytrzymał jej spojrzenie. Najwyraźniej to jej wystarczyło. Mały podbródek opadł na pierś i Hjertås smutno westchnęła.

– No proszę... I kto by pomyślał, że umrze przede mną. Może pan odejść, doktorze.

Mads stał w miejscu, obracając w rękach teczkę.

– Pani Hjertås, wezwano mnie do pani jako do pacjentki. Gmina płaci mi, żebym przychodził tu w niedziele. Jeśli zatem chce pani skonsultować coś z lekarzem, ma pani okazję zapytać. Przypominam, że ta możliwość nie powtórzy się w najbliższym czasie.

Mała główka drgnęła.

– Chyba mnie pan nie dosłyszał – powiedziała staruszka. – Może pan już odejść!

Mads skinął głową, ale nie ruszył się ani o krok. Może była to kwestia płytkiego oddechu, a może uwyatnionych żył. A może... Mads przyjrzał się starszej kobiecie wnikliwie. Czy jak na lokatorkę domu starców nie miała aż nazbyt zdrowego koloru skóry? Zdrowego czy lekko zażółconego?

Otworzył czerwoną teczkę i przerzucił kartki, aż dotarł do wykazu leków. Stał i długo przyglądał się liście, a w piersi narastało mu nieprzyjemne uczucie.

– Zdaje się, że ma pan problemy ze słuchem, doktorze. Jestem święcie przekonana, że proszę, by opuścił pan pokój.

Mads zmusił się do uśmiechu.

– Pani Hjertås...

– Co takiego?

– Mogę usiąść? – wskazał brzeg łóżka.

Staruszka zmrużyła oczy, po czym powoli pokręciła głową.

Mads podszedł o krok i usiadł mimo zakazu.

– Jaki właściwie jest stan pani humorów?

Kobieta spojrzała nań twardo. W pokoju dało się słyszeć jedynie jej gulgoczący oddech.

– Nie chcę się narzucać, ale wydaje mi się, że możemy mieć do czynienia z zaburzeniem ich równowagi. Czy doktor Caroliussen coś pani o tym wspominał?

Przez postarzałą twarz przeszedł skurcz, po czym kobieta otworzyła usta i zaczerpnęła powietrza. Mads cofnął się odruchowo, spodziewając się kolejnego wrzasku. Zamiast tego rozległo się długie, ale ciche westchnienie.

– Orientuje się pan, kim jestem?

– Właściwie to jestem tu nowy.

Wyraz jej twarzy znów się zaostrzył.

– Moim ojcem był Martin Hjertås, gospodarz i właściciel najlepszego terenu do polowań na Hitrze. Pan raczy polować?

– Obawiam się, że nie.

Valentina Hjertås jęknęła ze szczerym ubolewaniem. Madsowi wydało się jednak, że w tonie, którym kontynuowała, wyczuwa raczej wyższość niż rezygnację.

– Ale wie pan, że na Hitrze jest dużo jeleni?

Przytaknął.

– O, tak, populację jeleni mamy tutaj niezgorszą. Tysiące zwierząt. Kiedyś ludzie przybywali z daleka, żeby tu polować. Mój ojciec co lato wynajmował gospodarstwo angielskiemu lordowi. Lordowi Charlesowi Cheshire i jego żonie, Valentinie. Jak pan się zapewne domyśla, nazwano mnie na jej cześć. Pewnej jesieni przyjechał na wyspę wraz ze swym przybocznym lekarzem. Miałam najwyżej dwanaście, trzynaście lat i z niejasnych przyczyn całe lato spędziłam w łóżku, chora. Nic mi nie pomagało. Na nic zdawały się rady znachorek ani tutejszego doktora. Młody lekarz lorda zaoferował jednak, że i on mnie zbada. Leżałam przy zaciągniętych storach i nie byłam nawet w stanie wyjść na światło dzienne, od razu się przewracałam. Przyszedł do mnie z małą torbą, usiadł przy łóżku i rozmawiał ze mną, a głos miał miękki jak jedwab. Nie wiem, ile czasu tak spędził. Prawie mnie nie badał, ale powiedział: „Za dużo jest w tobie czarnej zółci. Musimy coś z tym zrobić”. I powiem panu, że dzień po tym, jak przepisał mi lekarstwa, byłam na nogach i biegałam po podwórzu – przerwała i posłała pogardliwe spojrzenie młodej pielęgniarce, która stała przy brzegu łóżka, z rękami złożonymi na brzuchu jakby do modlitwy. – Moja droga, czy nie masz aby nic lepszego do roboty? Chętnie zostałabym sam na sam z doktorem.

Pielęgniarka nerwowo wzruszyła ramionami, skinęła głową i wyszła.

– Nie, mówię panu: Hitra przeżywa upadek. Skończyło się rybactwo i zwykła uprawa ziemi. W zamian za to buduje się tunele i zaprasza pospolitych Niemców i Szwedów, żeby mieszkali tu w swoich prostackich kamperach i przyczepach kempingowych. A łososie hoduje się w zamknięciu. Chyba nie chcę wiedzieć, dokąd nas to wszystko zaprowadzi. – Valentina Hjertås uniosła prawe ramię i złapała skraj kołdry. – Teraz proszę mnie zbadać, doktorze, a potem jeszcze porozmawiamy.

Kiedy Mads wyszedł na korytarz, na dworze zapadła już ciemność. Nie widział żadnych pielęgniarek w pobliżu, udał się więc do dyżurki. W jednym z kątów pokoju stał ekspres do kawy i gulgotał sam do siebie. Mads wszedł do środka i usiadł przy małym stoliku koło okna. Pośrodku czerwonego obrusa stała na wpół wypalona biała świeca. Zerknął na zegar i w polu wskazującym datę zauważył cyfrę 2. Drugi grudnia. Innymi słowy, była już pierwsza niedziela adwentu. Położył przed sobą teczkę pacjentki, otworzył ją i przejrzał stronę zawierającą dane osobowe. W rubryce „Najbliżsi krewni” napisano jedynie: „Skontaktować się z Caroliussenem”. Mads przerzucił kilka kartek. W przypadku Valenty Hjertås wiele rzeczy zdawało się osobliwych – zarówno jeśli chodziło o samą historię jej choroby, jak i podejście Starego Doktora. Caroliussen najwyraźniej zgodził się traktować równowagę humorów tak, jakby to był termin medyczny. Zgodnie ze słowami pacjentki dostawała ona leki, odkąd Caroliussen ją prowadził. Innymi słowy – przez ostatnie trzydzieści pięć lat.

Podniósł wzrok, słysząc kroki w korytarzu. Do pokoju weszła ta sama pielęgniarka, która w chwili jego przybycia stała w świetlicy, przeglądając telegazetę. W rękę trzymała duży żółty kubek. Dopiero teraz Mads ją rozpoznał. Niedawno odwiedziła przychodnię z jednym ze swoich dzieci. U najstarszego syna wystąpiła wysypka, którą kobieta uznała za objaw alergii i posmarowała maścią kortyzonową. Mads wcale się nie zdziwił, widząc, że po tej kuracji wysypka się zaogniła. Prawdopodobną diagnozą był liszajec.

Pielęgniarka przywitała się krótkim, obojętnym skinieniem głowy.

– Aha, jeszcze pan jest – powiedziała. – Napije się pan kawy?

– Przysiądzie się pani na chwilę?

Mads niecierpliwym gestem wskazał krzesło po przeciwnej stronie stołu.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– Chciałbym pani zadać kilka pytań dotyczących Valentyny Hjertås – odparł. – Proszę usiąść.

Pielęgniarka uśmiechnęła się przelotnie, ale usłuchała.

– Jak zdrowie syna? – spytał Mads, kartkując zawartość teczki, aż znalazł zlecone badania.

– Dziękuję, lepiej – przyznała. – Tak jak pan mówił, fucidin zadziałał.

Wydało mu się, że poprawiła się na krześle. Wskazał na zapisane wyniki badań krwi.

– Caroliussen zlecił je kilka tygodni temu, prawda?

Pielęgniarka przytaknęła.

– Dlaczego je wykonano?

– Myślę, że to była rutynowa kontrola.

– Tak pani mówi?

– Tak, doktor Caroliussen nie wspominał nic szczególnego. Ma w zwyczaju... Miał w zwyczaju informować nas tylko o tych rzeczach, o których powinniśmy wiedzieć. Ostatecznie nie był najbardziej rozmownym człowiekiem na świecie.

– A wyniki były wtedy...?

– Bez zastrzeżeń.

– Skąd pani wie?

– Caroliussen odnotował to tutaj – pielęgniarka wskazała rubrykę.

– Ale samych wyników pani nie widziała?

Ekspres do kawy kaszlnął po raz ostatni i umilkł. Pielęgniarka podeszła do niego.

– Na pewno nie chce pan się napić?

Mads potrząsnął głową, a ona napełniła filiżankę dla siebie.

– Wyniki wysyłane są do przychodni, my zaś jesteśmy powiadamiani tylko, jeśli coś jest nie tak. A kiedy Caroliussen wpadał z cotygodniową wizytą, uzupełniał tę rubrykę.

Mads oparł się o krzesło i długo przyglądał się pielęgniarce, opierającej się o blat, na którym stał ekspres do kawy.

– Dlaczego Valentyna Hjertås przyjmuje takie silne środki przeciwbólowe?

– Chyba ze względu na udar. Bóle neuralgiczne, zdaniem Caroliussena – pielęgniarka napiła się kawy. – Czy tego przypadkiem nie zapisano w karcie pacjentki?

– A ile czasu minęło, odkąd zdarzył się udar?

– Wydaje mi się, że to było latem. Czy może jesienią? Nie jestem pewna. Czy nie mógłby pan po prostu...

– Gdzie ją hospitalizowano?

– Proszę posłuchać. Jestem jedną z dwu pielęgniarek, które mają dziś dyżur, i nie chcę spędzać przerwy na kawę, udzielając panu odpowiedzi, które może pan znaleźć w dokumentach.

Z tablicy na ścianie dobiegło elektroniczne brzęczenie. Na ekranie pojawiała się migająca czerwona cyfra. Pielęgniarka westchnęła przeciągle.

– Valentyny Hjertås nie hospitalizowano. Była za stara na trombolizę, a Caroliussen postanowił leczyć ją u nas. I mogę pana zapewnić, że lepszej opieki niż u nas ze świecą można by szukać!

Pielęgniarka oderwała się od ściany i odstawiła kubek.

– Zanim pani pójdzie – rzekł Mads – zleciłem pobranie nowych próbek u pani Hjertås. Dobrze by było, żeby pobrać je...

– ... jutro – przerwała pielęgniarka, wychodząc już na korytarz.

Coś się nie zgadzało. Mads siedział przed komputerem w swoim gabinecie i przeglądał wyniki badań krwi Valentyny Hjertås. Tak jak odnotowano w karcie, były bez zastrzeżeń. I nie widziałyby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że nie zgadzały się one z obserwacjami, które sam poczynił w trakcie badania. Zamknął okienko z wynikami badań i wrócił do zapisów w karcie pacjentki. Aldus Caroliussen ostatnio często odwiedzał staruszkę, ale jego notatki, z grubsza rzecz biorąc, zawierały tylko informacje o ciśnieniu i tętnie, wzmiankę o odleżynie oraz nieco podwyższonym poziomie cukru we krwi. Ani słowa o udarze mózgu. Ani słowa o leczeniu paliatywnym.

Mads odchylił się w fotelu i wyjrzał przez okno. Tego wieczora przynajmniej przestał padać śnieg. Prognostycy zapowiadali dobrą pogodę. Wszystko wskazywało na to, że Caroliussen zostanie pochowany przy bezchmurnym niebie. Na jutrzejszym pogrzebie z pewnością padnie uwaga, że to znak Opatrzności. Mads przypomniał sobie starą, wychudłą panią Hjertås, która leżała na materacu, rozebrana do badania, z dużym, workowatym brzuchem i żołądkiem pełnym płynu. Pod łukiem żebrowym wyczuł guzowatą wątrobę. Niewielkie krwawienia podskórne świadczyły o zaburzeniu funkcji tego organu. W płucach również znajdował się płyn. Istniało duże prawdopodobieństwo, że Valentina Hjertås ma raka z masywnymi przerzutami. Jakże więc próbka krwi, którą zaledwie kilka tygodni temu poddano analizie w laboratorium w Orkdalu, mogła dać wyniki w normie? Nowotwór z całą pewnością nie powstał w ciągu ostatnich tygodni. Był na to zbyt rozległy. Czyżby próbkę krwi Hjertås podmieniono na krew pobraną od zdrowego pacjenta?

Mads przysunął się do klawiatury i wpisał nazwisko kolejnej pacjentki. Chwilę później na ekranie pojawiła się karta Iriny Sølvestad. Przejrzał notatki z konsultacji. W żadnej nie znalazł słowa wyjaśnienia. Nie było też skanów epikryz z miejscowego szpitala. Zalogował się do rejestru badań kardiologicznych i czekał cierpliwie, aż komputer wyszuka liczbę EKG wykonanych u Rosjanki. Rozległo się piśnięcie i na ekranie wyskoczyło okienko. Mads długo gapił się na wynik wyszukiwania. Nie było żadnych danych dotyczących Iriny Sølvestad.

Coś mu przyszło do głowy: wstał z fotela, przeszedł przez pokój, otworzył drzwi i wyszedł. Zatrzymał się przed gabinetem Caroliussena i nacisnął klamkę. Tak jak się spodziewał, drzwi były zamknięte. Mads stał i rozmyślał. Na dobrą sprawę nie wiedział, co chce znaleźć w gabinecie Starego Doktora, ale może coś, co wyjaśniłoby mu więcej niż zapiski pozostawione przez zmarłego. Kluczem do drzwi Caroliussena dysponowała Charlotte. Na pewno miała go już jakiś czas i jeśli znajdował się na terenie przychodni, musiała odłożyć go w miejscu, gdzie trzymała rzeczy osobiste. Może w szafie na końcu korytarza? A może tam, gdzie spędzała najwięcej czasu – w laboratorium? Właśnie, w laboratorium.

Idąc korytarzem, czuł ekscytację. Drzwi do laboratorium były wprawdzie zamknięte, ale miał do nich klucz. Kiedy otwierał zamek, drżała mu ręka. Zamaszystym ruchem otworzył drzwi, nacisnął włącznik światła i ruszył naprzód, zanim jarzeniówki zdążyły się włączyć. Dobrze wiedział, gdzie szukać. Charlotte oddano do dyspozycji najniższą szufladę stojącą w rogu szafy. Przechowywała tam małe, plastikowe figurki, które dawała niepokieszonym dzieciom szykującym się do badań krwi. Tam również trzymała pojemnik z solami trzeźwiącymi, który podsuwała pod nos dużym facetom mdlejącym na sam widok igły. Mads otworzył szufladę. W plastikowym pudełku, obok śrubokręta i paru robótek na drutach, leżał klucz.

Niemal zapomniał słodkawych zapach, który poczuł tu przy ostatniej wizycie. Woń była teraz silniejsza, przypuszczalnie dlatego, że gabinet przez kilka dni stał zamknięty. Wyszedłszy na środek pokoju, Mads się rozejrzał. Okazało się, że ktoś tu był i zabrał skrzynki, które

spakowała Charlotte. Niech to szlag. Spojrzenie Madsa przesunęło się po rzędach półek. Wciąż tkwiła na nich połowa książek, skoroszytów i pojemników. Zbliżył się do jednej ze ścian i sięgnął po tom, który, sądząc po grzbiecie, musiał przetrwać całe dekady. Był to francuski podręcznik neurologii z roku 1906. Zanim odstawił go na miejsce, uroczyście starł warstwę kurzu z okładki. Wiele z książek, które tu zebrano, musiało mieć wartość antykwaryczną, z pewnością niemałą dla kolekcjonera. Ruszył dalej wzdłuż regałów, aż dotarł do kilku drewnianych skrzynek, stojących na najniższej półce w kącie gabinetu. Wysunął jedną z nich, ale zaraz zorientował się, że jest zbyt lekka, żeby coś zawierać – co potwierdziło się, kiedy zdjął wieko. Popchnął pozostałe skrzynki. Wszystkie były puste. Wyjął kilka pudełek z papierami. Wewnątrz znalazł teczki od producentów leków, w nich zaś reklamy różnych preparatów; poza tym parę egzemplarzy czasopisma „Lancet” i pojedyncze wycinki z gazet. Nic ciekawego. Wsunął pudła na miejsce. Odwrócił się teraz w stronę biurka. Fotel Caroliussena stał na wpół przechylony do tyłu, na szarej, metalowej podstawie. Musiał pochodzić jeszcze z czasów, gdy lekarz dopiero przybył na wyspę. Stare, wytarte obicie z brunatnej skóry pozdzierało się na podłokietnikach i nosiło duże, wyblakłe plamy w miejscach, gdzie lekarz się opierał. Mads przeszedł przez pokój i usiadł w fotelu. Podstawa zatrzęszczała przyjemnie. Nagle stwierdził, że słodki zapach jest tu wyraźniejszy. Wyprostował oparcie fotela, przesunął dłoń po ciemnym drewnie biurka. Drewniany uchwyt szuflady po prawej stronie był bardziej wysłużony niż tej po lewej. Otworzył szufladę po prawej. Błyszcząca, srebrna miska pełna była białych tabletek, płaskich i okrągłych. Mads podniósł jedną z nich. Miała porowatą, niemal sypką powierzchnię, inną niż powlekane drażetki, stosowane zwykle w branży farmaceutycznej. Przysunął ją sobie do nosa, powąchał krótko i stwierdził, że w istocie pachnie słodko. Znowu zajrzał do szuflady. Za srebrną miską leżał stos białych kopert, tego samego formatu jak ta, którą widział w domu u Jakoba i Iriny Sølvestadów. „Jedna tabletką w razie potrzeby – na serce”.

Przez chwilę Mads obracał w palcach białą pigułkę, po czym powodowany impulsem wrzucił ją sobie do ust. Sucha powierzchnia przykleiła mu się do języka, a gdy ślinianki przystąpiły do pracy, tabletką się rozpuściła. Na tylnej części podniebienia rozszedł się intensywny, jakby owocowy smak. Trudno go było nie rozpoznać. Nieomal żywił się cukrem gronowym podczas najgorszych sesji egzaminacyjnych.

Przyzwyczał się, że w niedzielę dźwięk kościelnych dzwonów niesie się aż do jego domu, ale tym razem usłyszał go dopiero, dotarłszy na drugie rondo w centrum. Winę za to z pewnością ponosił śnieg. Prognoza o czystym niebie się nie sprawdziła. Śnieg padał dalej przez noc. Odsnieżarki pracowały cały ranek, a mimo to stary mercedes z napędem na tylne koła toczył się po świeżej białej warstwie, zaścielającej łagodne zbocze aż do Muzeum Wybrzeża. Dopiero tam Mads ujrzał wszystkie samochody. Parking przed muzeum był wypchany po brzegi. Pochód ludzi zstępował po zboczu w stronę Starego Fillan. Skręcił ich śladem. Z pewnością nie znajdzie się dość miejsca dla wszystkich. Zatrzymał się przed wejściem do kościoła i spostrzegł pastora, który stał na schodach w czarnej sutannie, witając nadchodzących. Była też i Hernes: z zasmuconym wyrazem twarzy składała kondolencje mijającym ją ludziom. Dzwoniła do niego dziś rano, zobowiązując go do przyścia. Jeśli nie było zagrożenia życia, pacjenci musieli zaczekać.

Gdzieś z tyłu odezwał się dźwięk klaksonu. Mads zerknął w lusterko i pojął, że zebrał się za nim cały sznur samochodów. Dodał gazu i ruszył w dół. Skręcił przy sklepie na dole, koło przystani, i znalazł wolne miejsce na parkingu dla klientów. Zamiast wychodzić, zapadł się jednak w fotelu i ukrył twarz w dłoniach. Cóż z tego, że spał nocami. Czuł się bezgranicznie zmęczony. Na jawie też nie potrafił się odprężyć. Radiotelefon i komórka leżały przed nim, przypominając mu, że w każdej chwili mogą do niego dzwonić. Miał je ze sobą wszędzie. Kiedy brał prysznic, gdy szedł do toalety, podczas snu i siadając do posiłku. Anwar miał rację. Nie mógł tak dalej żyć.

Obejrzał się w stronę Hotelu Fiord. Ze wzgórza spoglądał na wodę stary dom, mieszkanie służbowe Caroliussena. Nikomu nie był winien uczestnictwa w tym pogrzebie. Najmniej zaś samemu Staremu Doktorowi. Ale w kościele była Hernes. Po ceremonii mógł wziąć ją na stronę i powiedzieć, że się poddaje. To był wystarczający powód, żeby iść.

Wielu wzięło z niego przykład i zaparkowało w dole, na terenie przystani. Teraz szli długim sznurem wydeptaną ścieżką wzdłuż zasp. Mads kłaniał się tym, których znał, a zarazem pilnował, by mocno nasuwać czapkę na czoło, nieco zasłaniając podpuchnięte oko. Nie żeby to było konieczne: tak czy owak wkrótce wszyscy usłyszą o sobotniej bójce. Jeśli się nie mylił, w jutrzejszym wydaniu „Hitry-Frøi” planowano poświęcić zajściu całe dwie strony. Ale dziennikarze powinni się raczej dowiedzieć, jaki materiał przez lata umykał im sprzed nosa. Mads przypomniał sobie zawartość szuflady w gabinecie Starego Doktora. Cały pojemnik pastylek cukrowych. Bóg raczy wiedzieć, ilu pacjentów Caroliussen leczył cukrem gronowym w ciągu swojej kariery. Efekt placebo był dobrze znanym fenomenem w świecie medycznym. Jeśli dało się pacjentowi lek, który nie miał żadnego wpływu na dolegliwość, to stan od dwudziestu do trzydziestu procent osób poddanych takiej kuracji i tak znacznie się poprawiał. Przeogromna jest siła ludzkiej wyobraźni. Cukier gronowy mógł, innymi słowy, pomagać przy większości schorzeń, także przy wyimaginowanych bólach klatki piersiowej Iriny Sølvestad. Mads nie rozumiał tylko jednej rzeczy: dlaczego Caroliussen stwierdził u niej zawał serca? Diagnozę znał zresztą jedynie jej mąż. Ona sama nie mówiła po norwesku.

Mads wmieszał się w tłum przed kościołem. Zauważył spojrzenia zatrzymujące się na jego podpuchniętym oku. Wzdrygnął się i z wolna utorował sobie drogę do schodów. Nie było tam już pastora witającego ludzi. Jego miejsce zajął Jakob Sølvestad, który zamykał właśnie lewe z dwojga drzwi. Wewnątrz ścieśnili się ludzie.

– Kościół jest już pełen – powiedziała kobieta, stojąca obok niego na placu. – Zasłaniają się przepisami pożarowymi, ale nie sądzę, żeby ktoś liczył, ile osób jest w środku.

Mads postawił kołnierz kurtki i spojrzał do góry. Musiał zamrużyć, żeby płatki śniegu nie dostały mu się do oczu. Kościelne dzwony nie przestawały bić w rytmie spokojnego pulsu. Miał szansę wrócić do domu i się przespać. Zawsze mógł przecież zadzwonić do administratorki opieki zdrowotnej później w ciągu dnia. Sølvestad zamknął właśnie prawe z dwójga drzwi i odwrócił się, żeby odejść. Mads przywitał się z nim skinięciem. Gdzieś nad nim dzwony wybiły ostatnie uderzenie. Pogłos wisiał jeszcze długo w powietrzu, nim powoli zamilkł. Zaczął przeciskać się z powrotem przez tłum, kiedy nagle usłyszał, że ktoś go woła. Rozpoznał głos Sølvestada, udał, że nie słyszy, i szedł dalej, ale wołanie rozległo się znowu, na tyle głośno, że nie mógł go zignorować. Zatrzymał się. Administrator parafii podszedł do niego długimi krokami.

– Nie chciał pan chyba odejść?

Mads spostrzegł, że Sølvestad aż wysunął kościstą szczękę na widok jego spuchniętego oka, ale nie padł żaden komentarz.

– Rozumiem, że w środku jest pełno, więc...

– Ciągłe ją badają. Lekarze nic jeszcze nie wykryli. Bardzo się martwię, że mogą nie zdawać sobie sprawy z powagi sytuacji.

Sølvestad zacisnął zęby, a mięśnie szczęki napięły się pod jego bladą skórą. Na wąskich wargach rozlał się słaby uśmiech.

– No tak, oczywiście mówię o żonie.

– Kiedy wróci ze szpitala, umówimy się na nową konsultację.

Mads odwrócił się, ale zatrzymała go ręka. Sølvestad rozejrzał się dyskretnie, zanim szepnął:

– Proszę ze mną. Dla doktora zawsze znajdzie się miejsce, rozumie pan.

– Tędy!

Hernes ponagliła Madsa ruchem dłoni. Nad ich głowami grzmiały potężne organy. Mads ruszył za nią nawą główną, podczas gdy zgromadzenie zaintonowało *Boże, kiedy mnie wezwiesz*. Minęli łańcuch wieńców i pozdrowień, ciągnący się aż do białej trumny przed ołtarzem. Hernes zatrzymała się przy czwartym rzędzie i dała Madsowi znak, by w nim usiadł. Schylił kark i spełnił polecenie. Pięćdziesięcioletnia kobieta o ostrych, ale ładnych rysach i dużych oczach o głębokim wejrzeniu wcisnęła się w głąb rzędu, by zrobić mu miejsce. Usiadłszy, spostrzegł, że towarzyszy jej Gabriel Strøm. Wzrok Strøma zawisł na spuchniętym oku Madsa, a jego usta otworzyły się do komentarza, ale siedząca przy nim kobieta przerwała mu, wyciągając rękę.

– Alvhilde Strøm – szepnęła z uśmiechem, który nie odebrał jej oczom ciężaru smutku.

Mads przedstawił się. A więc to była żona Gabriela Strøma. Wydawała się o wiele bardziej obyta niż mąż. I młodsza. Dużo młodsza. Kiedy Hernes próbowała przysiąść się na skraj ławki, Mads poczuł, jak przypięty do pasa radiotelefon napiera mu na kość biodrową. Przeprósł, odpiął aparat i położył go sobie na kolanach. Gdy administratorka opadła na miejsce, musiał jednak wychylić się naprzód, by złapać oddech. Dyskretnie przyjrzał się zgromadzonym. Cechowało ich duże zróżnicowanie wiekowe. Większość stanowili ludzie starsi, ale przyszło też zaskakująco dużo młodych. W pierwszym rzędzie zauważył córkę Caroliussena, siedzącą na skrajku ławki, tuż przy nawie głównej. Głębiej usiadła chyba ciotka zmarłego, zgarbiona, z czarnym kapeluszem na siwych włosach. Hernes dała mu sójkę w bok i spostrzegł, że ordynatorka sunie palcem po stronie psałterza leżącego na jej kolanach. „Bóg, co mnie do pracy najął, teraz zasnąć każe mi”. Już po pierwszej zwrotce zaschło mu w gardle. Przez resztę pieśni starał się tylko poruszać ustami, a tymczasem jego myśli biegły naprzód. Nie był wcale pewien, czy to Bóg powołał Aldusa Caroliussena do pracy. Stary Doktor zdążył jednak niewątpliwie zdobyć sobie popularność przez te trzydzieści pięć lat, które spędził na wyspie. A zyskał ją, lecząc ludzi tak,

jak Irinę Sølvestad i Valentinę Hjertås. Władzą i autorytetem, ale nie szczerością. Mimo to udało mu się zachować ten fakt w tajemnicy i zjednać sobie ludzi. Mieszkańcy Hitry ufali mu, wierząc, że jest szlachetną duszą, która kieruje się ich dobrem. Być może nawet to robił. Państwo Sølvestadowie wydawali się zadowoleni z umowy, jaką z nim zawarli. A stara pani Hjertås najprawdopodobniej i tak nie przeżyłaby choroby nowotworowej. Problem polegał na tym, że takie zagrywki nie były dozwolone. Za coś takiego nie tylko od razu traciło się prawo do wykonywania zawodu, ale też przypuszczalnie czekały człowieka sankcje karne. Gdyby tylko ktoś się o tym dowiedział.

Psalm dobiegł końca i wystąpił pastor, który powiedział parę słów, po czym oznajmił, że nadszedł czas na wygłoszenie mów pogrzebowych. Hernes natychmiast wstała i wyszła do nawy głównej. Mads oparł się w ławce i wymienił spojrzenia z Alvhilde Strøm.

– Dla Aldusa Caroliussena zawód lekarza gminnego nie był pracą – usłyszał słowa Hernes – ale stylem życia.

Mads widział przytakujące głowy. Pomyślał o elektronicznych kartach pacjenta, o skąpych informacjach. Aldus Caroliussen był pedantem. Człowiekiem, który w pełni angażował się w wykonywaną pracę. Fakt, że nie sporządzał notatek o swoich pacjentach, wydawał się nie tylko dziwny, był wręcz niewiarygodny. Dlaczego więc nie zapisywał nic w elektronicznej kartotece pacjenta? Czyżby nie podobał mu się fakt, że ci, których leczył, mieli dostęp do jego notatek? W ciągu ostatniej dekady w prawach pacjenta znalazł się zapis o możliwości swobodnego wglądu we własną kartę. Przedtem trzeba było nieomal nakazu prawnego, aby przeczytać, co o tobie pisano. Poza tym dokumenty sporządzano wtedy na maszynie lub ręcznie. Innymi słowy, miało się własną kartotekę. Nagle coś mu przyszło do głowy. Na ramionach i torsie dostał aż gęsiej skórki. Rzecz jasna, archiwum istniało. Zbiór materiałów pisanych. Jeśli nie w gabinecie, to być może w domu lekarza. I Bóg jeden wiedział, ile kontrowersyjnych decyzji było tam udokumentowanych.

Na posadzce kościoła rozległ się dźwięk kroków Hernes. Kiedy stanęła u wylotu rzędu, Mads przesunął się w głąb ławki, ona jednak nie usiadła.

– Przepraszam.

Z boku rozległ się męski szept. Mads odwrócił się i zobaczył, że Gabriel Strøm wstał z miejsca.

– Można? – spytał z kwaśnym uśmiechem na ustach.

Mads dzwignął się z ławki. Kręciło mu się w głowie. Kłuło go w nogach, tak jakby miał zasnąć. Chcąc wypuścić Strøma, musiał wyjść z rzędu i stał, wpatrując się w postać Chrystusa na obrazie za ołtarzem, kiedy ogarnęło go pewne uczucie. Uczucie, że coś jest nie tak. W żołądku zadzierzgnął się węzeł. Krew uderzyła mu do głowy, napełniając ją tętniącym ciepłem. Strøm minął go w drodze do nawy głównej. Hernes stała. Jej badawczy wzrok spoczął na Madsie. Wyciągnął drżącą rękę i oparł się o kościelną ławkę. Na jego czole kroplami zaczął zbierać się pot, a w przeponie poczuł niekończące się ssanie, dokładnie tak, jak kilka dni temu.

– Niech pan siada, Helmer.

Głos administratorki był napiętym szeptem, twarz wciąż jednak miała opanowaną. Za jej plecami Gabriel Strøm stanął obok trumny. Doniosłym gestem przycisnęła Biblię do piersi. Mads spojrzał na ławkę, na Alvhilde Strøm, która przyglądała mu się dużymi, współczującymi oczami.

– Panie Helmer – powtórzyła Hernes, teraz już ostro.

Poczuł strach. Nie tutaj, pomyślał. Nie tutaj. Nie teraz. Musiał stąd odejść. Odejść. Wyjść. Puścił ławkę i zrobił kilka kroków w stronę drzwi, ale otoczenie zafalowało. Potknął się o coś na środku podłogi i zanim upadł na ławkę po przeciwnej stronie, zrozumiał, że to sznur kwiatów, ciągnący się aż do trumny. Na wpół wylądował na czyichś kolanach, udało mu się podnieść,

a zgromadzenie przebiegł pomruk. Znów wołano go po nazwisku. Musiał się stąd wydostać. Musiał wyjść. Teraz. Pochwyciło go kilka rąk i przywróciło do pionu. Trzymali go mocno. Pomieszczenie wirowało. Ledwie mógł ustać na nogach. Ktoś się odezwał, ale z bardzo daleka. Nie umiał rozróżnić słów. Ssanie pożerało go od środka. Teraz pojawiło się też brzęczenie. Niby-owadzie brzęczenie, przychodzące zawsze, nim tracił świadomość. Zdarł z siebie wszystkie ręce, przeszedł kilka chwiejnych kroków, usłyszał, jak wieńce kwiatów chrzęszczą mu pod nogami, i wiedział, że to już zaraz. Teraz, teraz się stanie, a on nie mógł z tym nic zrobić.

Część 2

– Nie słyszałeś dotąd tej historii? Tylko mi nie mów, że nie!

Anwar rozłożył ręce, prostując się na kanapie. Mads rozparł się w fotelu i usiłował sobie przypomnieć, w jaki sposób gościowi udało się sprowadzić rozmowę na jelenie. Po przespaniu całej doby bynajmniej nie czuł się przytomny. Niewykluczone zresztą, że spałby dłużej, gdyby Charlotte i Anwar nie zadzwonili do drzwi, domagając się, żeby pozwolił im zrobić śniadanie.

– Nigdy jej nie słyszałem – odparł, siląc się na uśmiech.

– Charlotte! Ty ją znasz, prawda?

Z kuchni dobiegł nikły śmiech.

– Powiem ci, jeśli przyjdiesz mi pomóc.

Anwar natychmiast zerwał się z kanapy i nadspodziewanie lekko pobiegł w jej stronę.

– *Aye, aye, captain.*

Był już na środku pokoju, kiedy Mads poczuł wibracje w kieszeni. Wyjął komórkę: przyszła nowa wiadomość. Podobnie jak pozostałe trzydzieści, czterdzieści esemesów, które dostał przez ostatnią dobę, tak i ten wysłano z nieznanego numeru. „Życzymy Ci szybkiego powrotu do zdrowia z nadzieją, że wkrótce zobaczymy się w pracy. Pozdrowienia od zespołu z Centrum Zdrowia”. Mads odłożył telefon na stół i oparł się w fotelu. To była dziwna doba. Zupełnie nie spodziewał się takich reakcji na zajście podczas pogrzebu Starego Doktora. W tym jednym dniu napłynęło do niego więcej życzeń szczęścia i pomyślności niż w ciągu całego życia. Obrócił się w fotelu, by spojrzeć na szereg bukietów stojących na komodzie obok telewizora. Mieszkańcy Hitry byli specyficznymi ludźmi. Kiedy tu przyjechał, spotykał się wyłącznie ze sceptycyzmem i chłodnymi spojrzeniami. A teraz nagle wszyscy rzucili się, by uzmysłowić mu, jacy są dumni z powodu odpowiedzialności, którą na siebie wziął, i faktu, że nie opuścił stanowiska kosztem własnego zdrowia. Uzyskał nawet wsparcie lokalnej gazety. Wrócił do pozycji wyjściowej w fotelu i sięgnął po leżący na stole egzemplarz „Hitry-Frøi”. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie Hilde Hernes, która w żołnierskiej pozie stała na placu przed przychodnią. Nagłówek brzmiał: „Lekarz przywiedziony do upadku”. Mads nie przeglądał jeszcze gazety, ale Charlotte zdążyła już przeczytać mu kluczowe fragmenty na temat pogrzebu. Zarówno w artykule redakcyjnym, jak i głównym ostro skrytykowano gminę i administratorkę opieki zdrowotnej za to, że po śmierci Starego Doktora obarczyli jednego człowieka brzemieniem samotnej pracy. Dziennikarz Løken, mąż Lisbeth, zdołał dotrzeć do informacji, że Hernes już dawno znalazła kompetentnych kandydatów na wolne stanowiska, ale ich zatrudnienie opóźniało się z powodu negocjacji wynagrodzenia. Było to więc całkowicie sprzeczne z jej dotychczasowymi zapewnieniami.

Mads przyjrzał się badawczo poważnej twarzy administratorki na zdjęciu. „Hilde Hernes bierze na siebie winę za to, co się stało, i obiecuje wypełnić wakaty jeszcze w tym tygodniu”. Mads musiał się uśmiechnąć. Nietrudno było zgadnąć, z jakim trudem zdobyła się na przeprosiny. Ale niech jej będzie. Przynajmniej przysłała kwiaty i udzieliła mu tygodniowego płatnego urlopu. Nowi lekarze powinni być na miejscu już dzisiaj.

Usłyszał za sobą kroki i obrócił się w fotelu. Anwar wniósł bukiet w przeciętej półlitrowej butelce po wodzie Farris.

– Wazonów zabrakło – wyjaśnił i odstawił kwiaty na telewizor.

– Tam nie. Oj, Anwar, wykazałbyś się raz zmysłem estetyki.

Weszła Charlotte z półmiskiem kanapek. Chłopak zdjął bukiet z telewizora i bezradnie kręcił się po salonie.

– No to gdzie?

Charlotte odstawiła półmisek na stół i oparła ręce na biodrach. Rozejrzała się bystro po pokoju, po czym wskazała komodę przy dużym oknie.

– Tam pasują kwiaty – jej spojrzenie padło na Madsa. – Dobrze się czujesz?

– Ja? Cóż... stosunkowo dobrze.

– Myślałam... – Charlotte położyła dłoń na piersi, a jej twarz przybrała nagle wzruszony wyraz. – Kiedy wynosiliśmy cię z kościoła, myślałam, że umrzesz. Nie mogę tego zapomnieć. Byłeś...

Mads spuścił wzrok. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Nie umiera się od napadu padaczkowego – zauważył. – A jeśli już, to bardzo rzadko.

– Przecież wiem. Ale to całkiem inna sprawa, kiedy coś takiego zdarza się komuś bliskiemu.

Od jej słów zrobiło mu się ciepło. Próbował znaleźć właściwą odpowiedź, ale w głowie miał pustkę. Świat był pusty.

– Jesteś trochę błądy. Powinieneś coś zjeść. I napić się kawy.

Kiedy wreszcie podniósł wzrok, Charlotte wskazała w stronę kuchni.

– Zaraz wracam.

Mads zapatrzył się na półmisek. Nie był głodny, ale gdyby się nie poczęstował, na pewno by mu to wypomnieli. Wziął kanapkę z brązowym serem i oparł się w fotelu. Myślami wrócił do ubiegłej doby, do chwili, gdy potknął się w nawie głównej. Nie pamiętał, że go wyniesiono. Kiedy odzyskał przytomność, leżał w karetce. W zasadzie chcieli go zawieźć do szpitala w Orkdału, ale zdołał przekonać zespół, że może przespać się w domu. Ostatecznie przyczyna ataku nie ulegała wątpliwości i nie potrzebował wyjaśnienia kolegi po fachu. Odpłynął, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki, a obudził go dopiero dźwięk dzwonka dzisiejszego ranka. Czuł się nieźle i w pierwszej chwili wydawało mu się, że jest dzień jak co dzień.

Ugryzł kanapkę i powoli, niechętnie przeżuwał. Nie był przyzwyczajony do troskliwej opieki ze strony ludzi, których dobrze nie znał. Onieśmiało go to.

– Jesteś gotów?

Anwar klasnął i siadł na kanapie. Opowieść o jeleniach najwyraźniej nie wyleciała mu z głowy. Mads skinął głową.

– Dawaj.

– Okej. To musiało się zdarzyć kilka lat przed twoim przyjazdem. Cała rzecz rozegrała się w sobotni wieczór. Była zima i leżała masa śniegu, zupełnie tak jak teraz. Trzej kolesie z Hitry jechali z Fillan do Hestviki na rozgrzewkę przed imprezą, a tuż przed Neverlivatnet na drogę wyskoczył nagle wielki jelen. Kierowca natychmiast wykręcił, tak że zamiast przydzwonić w maskę, jelen uderzył w jeden z reflektorów i prześliznął się obok samochodu.

Anwar zilustrował zajście, z impetem pocierając prawą ręką o lewą.

– Właśnie tak – powiedział z uśmiechem. – Lekko speszony, kierowca zatrzymał wóz i cała trójka wysiadła. Zwierzę leżało na poboczu i szybko spostrzegli, że to nie byle jelen, ale potężny, kilkusetkilowy byk. A jak ci już wspominałem, trzeba zabulić dziesięć, piętnaście tysięcy za pozwolenie na odstrzał takiej sztuki. Ci trzej nie musieli długo się namyślać, żeby postanowić, że biorą go ze sobą. Jechali pick-upem, wystarczyło więc przenieść zdobycza na skrzynię ładunkową. Brakowało im jednak brezentu, żeby przykryć zwierzę, a kiedy dotarli do Hestviki, nie chcieli, żeby sąsiad zorientował się, co przywieźli, więc uzgodnili z gospodarzem, że zanoszą jelenia do łaźienki.

Cała czwórka zasiada do picia i szybko wprawia się w dobry nastrój. Sam wiesz, ile tutejsi są w stanie w siebie wlać. Jest w końcu sobotni wieczór i wszyscy są nieźle zmuleni, gdy wtem jeden wybiega z łaźienki, wrzeszcząc i wymachując rękami. Pozostali śmieją się i nie

rozumieją, co mówi, ale nagle zapada cisza. Na progu łazienki na równych nogach stoi jelen, rozglądając się nerwowo.

– Czyli nie był martwy?

– Nie, tylko stracił przytomność. A co robi jelen, który budzi się w łazience?

– Pewnie próbuje się wydostać.

– Otóż to! – Anwar uderzył dłonią o udo. – Drzwi wejściowe są jednak zamknięte. Nie ma jak uciec, więc jelen zaczyna biegać po salonie. Taranuje wszystko na swojej drodze, a faceci stoją i patrzą na niego z przerażeniem. Wreszcie do gospodarza dociera, że powinien coś zrobić. Znajduje dobry nóż myśliwski i rzuca się w ślad za jeleniem, by go dobić. Ten jednak szybko zdaje sobie sprawę, że to walka na śmierć i życie, więc gospodarzowi udaje się jedynie drasnąć go tu i tam. Wprawdzie cały salon jest we krwi, ale zwierzę się nie poddaje. Dopiero wtedy pozostali zaczynają przytomnieć. Biegną do kuchni, każdy wyciąga po nożu i także rzucają się w pogoń za bykiem. Wyobrażasz to sobie, prawda? Po kilku rundach w kółko, kiedy już mieszkanie wygląda jak plan *Teksańskiej masakry piłą mechaniczną*, jelen wreszcie zaczyna się męczyć. Wykrwawia się, a jeden z facetów dopada go i dobija.

Anwar szybkim, symbolicznym ruchem przeciągnął palec po gardle.

– Ale dopiero teraz wszystko się zaczyna, rozumiesz, bo faceci cholernie się tłukli.

Sąsiedzi zastanawiają się, co jest grane, i dzwonią do właściciela domu. Jest nim Gabriel Strøm we własnej osobie. Znasz go. We wszystko się wtrąca. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi jego własność. Strøm zajężdża przed dom, gdzie panuje już głucha cisza. Minęła dobra chwila od zabicia jelenia, a kolesie zdążyli zalać się w trupa i posnęli jak jeden mąż. Strøm podchodzi do wejścia i widzi na śniegu strużkę krwi, ciągnącą się aż do progu. Nieźle wystraszony, naciska dzwonek. Nikt nie wychodzi, ale drzwi nie są zamknięte. Strøm wchodzi, przystaje na korytarzu i przez chwilę namyśla się, co robić, po czym zagląda do salonu. Widzi czterech mężczyzn, leżących bez życia na podłodze. Na domiar złego wszędzie jest krew: na podłodze, ścianach, oknach, meblach... Nawet sufit jest zakrwawiony. Gabriel Strøm obraca się na pięcie i wybiega z budynku. Łapie komórkę, ale ręce tak mu się trzęsą, że ledwo jest w stanie wybrać sto dwanaście.

– Zrobiłeś z tego prawdziwą historię sensacyjną, Anwar.

Charlotte wyszła z kuchni, niosąc trzy filiżanki kawy. Anwar wzdrygnął się urażony.

– Sama wiesz, że to prawda.

Śmiejąc się serdecznie, odstawiła filiżanki na stół. Mads przeżuwał wolno kęs kanapki i starał się wyglądać na człowieka, który je z apetytem.

– I co było dalej?

Anwar zerknął na Charlotte.

– Ty opowiedz.

– Ja? – oparła ręce na biodrach i przewróciła oczami. – No, dobrze.

Wzięła oddech i zapatrzyła się w przestrzeń.

– Wiesz, jaki jest Ove Forsnes, Mads. Dużo można by o nim opowiadać, ale powszechnie wiadomo, że nie lubi widoku krwi. Najchętniej trzyma się z dala od takich sytuacji. Podobno raz zemdłał w przedszkolu, gdy miał opowiedzieć o swojej pracy, a małej dziewczynce poleciała krew z nosa. Ale sama nie wiem, czy to prawda. Tak czy inaczej Forsnes nie miał zbytnej ochoty jechać na wezwanie, gdy usłyszał o rozlewie krwi w Hestvice. Wolał zadzwonić na komendę w Trondheim. Niedługo później na miejsce leciała jedyna jednostka specjalna w Trøndelagu. Pierwsza akcja z użyciem helikoptera w historii Hitry. Zaczaili się koło wynajętego lokalu, gdzie wciąż panowała cisza i spokój. Jak się zapewne domyślasz, typom, którzy pokonali jelenia, trochę wydłużyły się miny, kiedy ktoś kopniakiem wyważył drzwi, a do środka cienką strużką

zaczął się sączyć gaz łzawiący. Chłopcom z jednostki specjalnej też niezbyt spodobał się fakt, że na podłodze odkryli wykrwawione zwłoki jelenia. Gazety w Trøndelagu rozpisywały się o tym następnego dnia. Wydaje mi się, że „Adresseavisa” na pierwszej stronie zamieściła artykuł pod tytułem *Jelenia masakra na Hitrze*.

Mads się uśmiechnął. Mógł sobie to wyobrazić. Od czasu do czasu mieszkańcom Hitry udawało się potwierdzić przesady na swój temat.

– Czyli to prawdziwa historia?

Charlotte westchnęła.

– Z pewnymi modyfikacjami – odparła. – Ale najważniejsze, że ma morał.

– A mianowicie?

Mads wepchnął sobie do ust resztki kanapki. Zaczynał czuć się lepiej. O niebo lepiej. Aż dziwne, jak zbawienne skutki może wyrzucić historia o jeleniach.

– Niełatwo nas zaskoczyć. Tu, na Hitrze, słyszeliśmy niemal o wszystkim. O twojej wizycie w kościele powstanie pewnie niezła historia, ale będzie ona kroplą w morzu innych, więc nie warto wstydzić się tego, co się stało.

Charlotte mrugnęła do Madsa i cofnąwszy się, siadła w fotelu. Nagle się poderwała.

– Mało brakowało, a bym zapomniała – powiedziała i z tylnej kieszeni wyjęła złożoną kartkę A4.

Przesunęła ją po stole do Madsa. Przez złożony papier prześwitywał rysunek kuli, wpadającej z impetem między kręgle.

– Co to?

– Leżało w twojej skrzynce. Nie wiedziałam, że grasz w kręgle...

– Skoro pan zapłacił, to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby pan zagrał.

Młody mężczyzna z przypiętą tabliczką z imieniem Ken szeroko rozłożył ręce. Czerwony T-shirt podskoczył do góry, odsłaniając pasmo włosów na fałdach bladego brzucha. Na piersi miał srebrny rysunek przedstawiający dekorację świąteczną, zrobioną chyba z gałęzi świerku. Zamiast świec i bombek ozdobiono je kręglami i kulami do bowlingu. Pod rysunkiem biegł srebrzysty, pełen zawijasów napis o treści „Turniej świąteczny 2007”.

– No, ale mówię przecież, że to nie ja zapłaciłem.

Mads z rezygnacją uderzył ręką w ladę, a Ken szybko wystukał coś na klawiaturze.

– Mam tutaj pokwitowanie wpłaty.

Zirytowany Mads przechylił się przez blat, by zerknąć na monitor. Coraz mniej z tego wszystkiego rozumiał. Złożona kartka A4, którą Charlotte znalazła w jego skrzynce, okazała się potwierdzeniem zgłoszenia do turnieju świątecznego. Pierwszy mecz miał się odbyć w czwartek. Początkowo Mads sądził, że to jakaś pomyłka, ale Ken oznajmił mu właśnie, że w systemie komputerowym kręgielni jest zarejestrowany pod pełnym imieniem i nazwiskiem, nie mówiąc już o adresie i numerze telefonu. Najwyraźniej ktoś próbował zrobić mu kawał.

Na jednym z torów w głębi lokalu rozległ się wąty aplauz. Dwóch mężczyzn przystępowało do pierwszej rundy meczu, a wokół pola rozbiegu zebrał się tłumek widzów. Na zwisającym z sufitu wyświetlaczu migało słowo „STRIKE”. Madsa uderzyła myśl, że to na pewno sprawka Anwara Ahmeda. Nikt poza nim nie wiedział, że on gra w kręgle. Oderwał się od lady.

– Nic po mnie w takim turnieju. Mój przeciwnik może przejść dalej walkowerem.

– Nie da rady. Zdaje się, że w ten weekend przyciął sobie rękę w drzwiach i na jakiś czas jest wyłączony z rozgrywek. Trafił pan już do drugiej rundy.

Mads westchnął z rezygnacją. Ten przypadek wydał mu się aż nazbyt znajomy. Jego rywalem z pewnością miał być jeden z typów, którzy w sobotę odwiedzili przychodnię.

– Proszę więc pozwolić mojemu rywalowi w drugiej rundzie przejść dalej. W najlepszym razie spotka go łatwy awans.

– Ludzie zgłaszają się do tych zawodów, bo mają ochotę zagrać w kręgle. Czy to dla pana za dużo, stawić się na pół godzinki, skoro znalazł się pan już w systemie?

Mads potrząsnął głową.

– Bardzo przepraszam, ale...

Na lewym barku poczuł nagle dotyk ciepłej dłoni. Obejrzał się i zobaczył starszego człowieka o ciężkich powiekach i poważnym wyrazie twarzy. Mężczyzna przyglądał mu się długo, wysuwając głowę do przodu.

– Czy to nie pan jest lekarzem rejonowym?

Mads przytaknął. Mężczyzna zdjął rękę z jego barku i podał ją na przywitanie, a gdy lekarz ujął ją z wahaniem, nieznajomy uraczył go długim, mocnym, szorstkim uściskiem.

– Potrzebujemy tu takich jak pan. Oby tak dalej!

Mężczyzna puścił go i skinął głową na pożegnanie, po czym odwrócił się i ruszył do drzwi. Mads stał, spoglądając w ślad za nim. Zdawało mu się, że na barku wciąż czuje ciepło, emanujące z tej szorstkiej ręki. Esemesy, kwiaty, a teraz nawet nieznajomi poklepujący go po plecach. Znowu musiał przyznać w duchu: mieszkańcy Hitry są bardzo szczególnymi ludźmi.

Odwrócił się do Kena, który czekał cierpliwie, opierając się ramionami o blat.

– Czytałem o panu w gazecie – rzekł, wskazując stos „Hitry-Frøi” na najniższej półce przy ladzie.

Mads spuścił wzrok zawstydzony.

– Tak, zdaje się, że większość czytała.

– Moja ciotka ma epilepsję. Nic nie podejrzewałem, dopóki nie upadła na ziemię podczas zjazdu rodzinnego w Meldalu. Wydawało się, że nie będzie z nią za dobrze, ale atak szybko minął i nigdy już o tym nie słyszeliśmy. Chyba każdemu z nas coś dolega. Lekarzom również. Zobaczmy...

Mads nadal gapił się w ladę, a tymczasem Ken nachylił się do monitora i zaczął wystukiwać coś na klawiaturze. Przypomniał sobie, co powiedziała mu dziś rano Charlotte: „Musisz zrozumieć, Mads, że nie zawsze jesteś zdany na siebie”.

Potem wyszła z Anwarem, a jej słowa krążyły mu po głowie. Dawno już nie miał takiego poczucia bezpieczeństwa jak teraz.

– Widzę, że w drugiej rundzie zagrasz z Bjørnem Olafem albo Ivarem.

Ken podniósł wzrok znad monitora.

– Nie żebym chciał cię zniechęcić, ale innymi słowy wygląda na to, że rozegrasz tylko jeden mecz. A to nie powinno chyba stanowić dla ciebie problemu, skoro dajesz radę pełnić ciągły dyżur przez ponad tydzień?

Z toru numer jeden dobiegł trzask. W sali znów rozległ się aplauz. Mads obejrzał się przez ramię i zobaczył, że na parkiecie, z uniesionymi rękami tańczy niski facecik. Kiedy odwrócił się z powrotem do Kena, ten stał, przechylając się do tyłu z krzywym uśmiechem na ustach. Mads wzruszył ramionami.

– W porządku – powiedział. – Zagram.

Nowymi lekarzami tymczasowymi okazało się małżeństwo w wieku nieco ponad trzydziestu lat, Kristian i Regine Kaspersen. Zawarli pewnie umowę do końca roku, ale niewykluczone było, że pozostaną tu kilka miesięcy dłużej. Po tym, jak Hernes udzieliła mu tygodniowego urlopu w podzięcie za dotychczasowy wkład pracy, Mads z początku nie czuł palącej potrzeby odwiedzenia przychodni. Zwrócił jednak uwagę na coś, co tego ranka powiedziała Charlotte. Córka Caroliussena zadbała o przeniesienie wszystkich rzeczy ojca z jego gabinetu – kiedy jednak odjechał samochód z ostatnią partią ładunku, Charlotte odkryła kilka pudeł z drobiazgami, o których zapomniano.

– Muszę pamiętać, by do niej jutro zadzwonić – napomniała się głośno. – Nie zostanie długo na wyspie.

Madsowi wpadło do głowy, że być może ma ostatnią szansę przejrzenia papierów Starego Doktora. Jeśli chciał dowiedzieć się więcej o jego prywatnym archiwum, musiał skorzystać z okazji, zanim rzeczy zostaną wywiezione, spalone lub sprzedane. Powiedział Charlotte, że sam może zawieźć pudła do domu Caroliussena. Patrzyła nań długo wzrokiem surowej matki.

– A wolno ci teraz prowadzić?

Zrozumiał aluzję. Osoby, u których wystąpił napad padaczkowy, w zasadzie nie powinny prowadzić pojazdów mechanicznych przez cały rok. Prawo było surowe w tej kwestii. Każdy przypadek utraty przytomności należało zgłosić do lekarza wojewódzkiego. Niektórzy lekarze kierowali się jednak głosem rozsądku. Jeżeli teoretycznie nie istniało ryzyko, że atak się powtórzy, można było tymczasowo zakazać pacjentowi prowadzenia samochodu i zrezygnować z zawiadamiania Wojewódzkiego Centrum Zdrowia. W przypadku Madsa nie występował już żaden z czynników, które wywołały atak. Nie musiał dłużej pełnić ciągłego dyżuru i wreszcie się wyspał. O ile administratorka opieki zdrowotnej dotrzyma danych mu obietnic, w przyszłości również nie musiał się martwić o dostateczną ilość snu.

Wyjaśnił to wszystko Charlotte, ona jednak chyba nie do końca mu uwierzyła.

– Rób, co chcesz. Jesteś przecież dorosły. Ale bądź ostrożny! – upomniała go i poklepała

po policzku. – Przygotuję pudła.

Dzień miał się już ku końcowi, kiedy Mads wszedł do przychodni od strony pogotowia. Nie odnotował tu ożywionej aktywności. Ruszył w kierunku gabinetów i spostrzegł, że drzwi pokoju, w którym rezydował kiedyś Stary Doktor, są otwarte. Na linoleum w korytarzu sączyła się strużka światła. Mads stanął na progu i zajrzał do środka: zobaczył niskiego, chudziutkiego człowieczka, który pochylał się nad komputerem, pisząc na klawiaturze. Nie mógł być starszy od niego samego. Włosy, zaczesane do tyłu tak, że widać było głębokie zakola, błyszczały od żelu. Skórę miał złotobrązową, a na orlim nosie tkwiły prostokątne okulary w prostych, ale lanserskich oprawkach. Madsa korciło, by przemknąć dalej korytarzem. Odpędził od siebie tę myśl. Prędzej czy później musiał poznać nowych lekarzy. Kilka razy zapukał we framugę, aż mężczyzna poderwał głowę do góry.

– Ach, pan kolega! W czym mogę pomóc?

Posługiwał się nieco ładniejszą odmianą języka niż mieszkańcy wyspy, ale niewątpliwie był to dialekt z Trøndelagu. Kiedy Mads się przedstawił, mężczyzna gwałtownie odjechał fotelem do tyłu i przeszedł przez pokój długim, zdecydowanym krokiem.

– Miło mi, miło mi – powtarzał, potrząsając dłonią Madsa. Potem odchylił się do tyłu i machnął ręką: – I co pan sądzi? Ładnie się tu urządziłem, prawda?

Mads się rozejrzył. Po usunięciu dobytku Starego Doktora pokój wydawał się dużo większy i jaśniejszy. Na ścianie, przy której dotąd stał sięgający po sam sufit regał, wisiało obecnie zdjęcie Fillan z lotu ptaka wielkości jeden na jeden metr. Niestety, nie był to zbyt piękny widok.

Pomyślał o słodkawym zapachu cukru gronowego, który wcześniej wisiał w powietrzu. Teraz i on zniknął. Przez ułamek sekundy poczuł, że brakuje mu starego Caroliussena.

– Pewnie. Wygląda świetnie! – rzekł z udawanym entuzjazmem. – A jak praca? Może ma pan jakieś pytania?

– Dziękuję, kolego, ale zarówno ja, jak i moja żona uzyskaliśmy wszelką niezbędną pomoc. Idzie nam jak po maśle. Pacjentom najwyraźniej podoba się też fakt, że wreszcie mogą zamienić słowo z prawdziwym Trønderem – wyszczerzył zęby. – A wie pan, co my, miastowi, mówimy o mieszkańcach Hitry? Utrzymują, że należą do Trøndelagu...

– ... ale żaden Trønder by się z tym nie zgodził. Tak, słyszałem – uprzejmie przytaknął Mads. – A pańska żona? Gdzie jest?

– Siedzi w dalszej części korytarza, w gabinecie po lewej. Myślę, że zajmuje się pracą biurową, ale na pewno chętnie się przywita. Ale niech pan kolega pozwoli, że o coś zapytam... Gdzie pan studiował?

– W Oslo.

– Który rocznik? Jesień dziewięćdziesiąt sześć?

Mads poczuł, że nie podoba mu się kierunek, który przybiera rozmowa. Westchnął powściągliwie, po czym odparł:

– Wiosna dziewięćdziesiąt siedem.

– Okej. Wydaje mi się, że poznaję pańską twarz. Ja i żona jesteśmy z rocznika dziewięćdziesiąt pięć. Oglądaliśmy waszą rewię. Pamiętam z niej fantastyczny skecz o Elvisie. Czy to nie Thomas Harlem grał króla? Ten z dziewięćdziesiątego czwartego? A może pan też zagrał jakąś rolę?

Mads pokręcił głową.

– Wie pan co, ja...

– Czyli wybrał pan medycynę rodzinną? Niegłupia decyzja. Tu właśnie tkwi źródło pieniędzy. Doktoraty i specjalizacje dają szansę tylko na stawki ustawowe. Ale tu, na Hitrze... –

potarł kciuk i palec wskazujący prawej ręki – jeśli się nie mylę, można się dorobić niezłej fortuny. Pewnie też załatwił pan sobie wynagrodzenie gwarantowane?

– Wie pan co, trochę się spieszę.

Kristian Kaspersen uniósł ręce w obronnym geście.

– Wiem, wiem. Za dużo mówię. Może skoczmy przywitać się z moją żoną?

– Właściwie przyjechałem odebrać kilka pudeł, które odłożyła Charlotte Wahl.

Mads uśmiechnął się z trudem. Zauważył, że zaczął niecierpliwie postukiwać stopą w linoleum i tupnął raz mocniej, by nad tym zapanować. Co się z nim działo? Czyżby zamieniał się w ekscentrycznego odludka, jak Stary Doktor?

– Nie ma o czym mówić, drogi kolego. Już się tym zająłem.

– Zajął się pan? Miałem je zawieźć do mieszkania służbowego Caroliussena.

– Zgadza się. Piękny dom, słowo daję. I miła ta jego córka. Zawiozłem je w porze lunchu... Mam nadzieję, że to okej?

Mads przyjrzał się chuderlakowi. Absolutnie nic nie było okej. A samego Kaspersena już miał po dziurki w nosie.

Zaspy urosły do rozmiarów, jakie pamiętał z dzieciństwa w Lillehammer. Skręcił na pusty parking przed Hotelem Fiord i wysiadł z samochodu. W Starym Fillan panowała teraz raczej atmosfera wysokogórskiego miasteczka niż miejscowości nad fiordem. Zdawało się przynajmniej, że wkrótce przestanie padać śnieg. Nie sypał już tak gęsto, jak do tej pory.

Wrócił kawałek drogą prowadzącą do zatoki i zatrzymał się w śniegu, nad wodą, w miejscu, skąd odbijała w górę ścieżka. Na niebieskim sedanie Line Schönfelt przed wejściem do czerwonego domu służbowego Caroliussena zebrała się gruba warstwa śniegu. Na wpół zatarte ślady kół, pozostawione przypuszczalnie przez auto Kaspersena, prowadziły aż do schodów wejściowych z boku budynku. Odwożąc ostatnie pudła z rzeczami Starego Doktora, Kaspersen odebrał Madsowi wymówkę, by wstąpić tu „przy okazji”. Musiał więc improwizować. Może powinien po prostu wyłożyć kawę na ławę i powiedzieć kobiecie, że jej ojciec przez wiele lat poczynił sobie niezbyt etycznie, że musiał gdzieś zgromadzić dokumentację związaną ze swoimi praktykami, najpewniej w mieszkaniu służbowym, i że ze względu na dobro pacjentów on chętnie by się z tą dokumentacją zapoznał. Przeszedł go dreszcz. By nie ziębnąć, krótkimi, mocnymi krokami wszedł na podjazd przed domem. Nietaktem byłoby przejść od razu do rzeczy. Spojrzał na budynek. W oknach piwnicy paliło się światło, na pozostałych piętrach zalegała ciemność. Przypomniał sobie pracę doktorską, o której wspomniała Charlotte. Przez lata Caroliussen analizował przypadki chorych na hemochromatozę. Niewykluczone, że tę informację zdołałby wykorzystać jako punkt wyjścia. Mógł powiedzieć, że jest zainteresowany kontynuowaniem prac Starego Doktora i że uważa ich ukończenie za ważne dla mieszkańców wyspy. Tak, to był niezły pomysł. Przynajmniej miał od czego zacząć.

Wszedł po schodach i zadzwonił do drzwi. W głębi domu rozległ się dźwięk dzwonka. Czekając, niespokojnie wodził spojrzeniem po okolicy. Ze schodów roztaczał się ładny widok na Stare Fillan: wejście do zatoki, schodzące ku morzu gładkie skały, na których niegdyś suszono ryby, zwożone tutaj statkami. Hitra była dziwnym miejscem. Tutejszą infrastrukturę zaprojektowano z myślą o czerpaniu bogactw naturalnych z morza. Kiedy ryby zniknęły z okolicznych wód, zaczęła tu dominować turystyka i inny przemysł. A centrum przeniesiono na bagna.

Aż się wzdrygnął, gdy otworzono drzwi. Cofnął się o krok i z napięciem przyglądał się zadbanej kobiecie, która stanęła na progu.

– Myślałam, że jest pan w szpitalu.

Line Schönfelt oparła się o framugę, patrząc na niego pytająco.

– Nie, to nie było konieczne.

– Czyli wszystko w porządku?

Skinął głową, rozkładając ręce.

– Nie mogę narzekać.

– Ten atak nie wyglądał za dobrze – popchnęła drzwi i uniosła głowę. – Ale proszę wejść.

Nastawiłam wodę na kawę.

Mads zawahał się, gdy kobieta szeroko otworzyła drzwi. Poszło aż nazbyt łatwo. Głośny śmiech wyrwał go z zamyślenia.

– No, niechże się pan ruszy! Nie chce mi się tu marznąć.

Wewnątrz było sucho i ciepło. Odwieszając kurtkę, Mads wciąż lekko drżał z zimna. Omiótł spojrzeniem pokój. Jedne schody prowadziły na piętro, drugie zaś do piwnicy. Za balustradą dwoje drzwi wiodło w głąb domu.

– Ma pan ochotę na małe zwiedzanie? – Line podeszła do drzwi prowadzących na tyły

budynku. – Cały parter utrzymany jest w stylu z lat dwudziestych, kiedy zbudowano dom. Proszę!

Przywołała go gestem. Weszli do pokoju o nagich ścianach, pokrytych jedynie ciemno bejcowaną, drewnianą boazerią. Miał jakieś dziesięć do piętnastu metrów kwadratowych. Światło padające z wysokiego okna na końcu pomieszczenia utworzyło biały prostokąt na czarno pomalowanej podłodze. Pod ścianami stały długie ławy, pokrzywione i wyszczerbione wskutek długiego użytkowania.

– To musiała być poczekalnia?

Odpowiedziała mu krótkim skinieniem głowy. Pociągnęła go do drzwi po drugiej stronie pokoju. Na lewo od nich Mads spostrzegł starą, wysłużoną tabliczkę z napisem: „Nie pluj na podłogę, nie kasłaj na innych”. Przeszli do pomieszczenia, które było dwa razy większe od poprzedniego i leżało w rogu budynku. Pośrodku stało spore biurko z ciemnego drewna. Na blacie leżała plastikowa mata w kolorze khaki, nad nią zaś pyszniła się staroświecka lampa. Przy przeciwległej ścianie, pod pożółkłym plakatem przedstawiającym budowę anatomiczną człowieka, dostrzegł metalową leżankę. Miał wrażenie, że cofnął się w czasie. Podeszedł do regału stojącego przy ścianie po lewej. Półki były wypełnione książkami o przypuszczalnie antykwarycznej wartości, ale zobaczył też kilka gablotek z pojemnikami i słoikami opatrzonymi ręcznie wypisanymi nalepkami.

– Wie pan, że kiedyś w tej okolicy było więcej gabinetów lekarskich?

Mads obrócił się do gospodyni. Podeszła do biurka i tęsknym gestem pogładziła oparcie krzesła.

– Powiedział mi o tym sąsiad, który wpadł z wizytą. Jeszcze w latach siedemdziesiątych lekarz gminny co dzień rezydował w innej części wyspy. Jednego dnia był w Kvenvaerze, drugiego w Hestvice, trzeci spędzał na Fjellvaerøi, a dwa następne tu, w Fillan. I nie obowiązywał terminarz spotkań. Rządziła zasada: kto pierwszy, ten lepszy. Kiedy statek przybijał rano do brzegu, pacjenci biegli tu chyba na wyścigi. Innymi słowy, najzdrowszego przyjmowano pierwszego, podczas gdy ci naprawdę chorzy musieli czekać.

– Ale dlaczego pani ojciec nie zmienił wystroju?

Line przekrzywiła głowę i rozejrzała się z namysłem.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Myślę, że tego pokoju używał poza godzinami pracy w przychodni. Na tym piętrze przyjmował pacjentów. Znalazłam jego notatnik na biurku, kiedy przyjechałam tu w weekend.

Wysunęła szufladę, tak jakby chciała się upewnić, że zawartość odpowiada jej oczekiwaniom, po czym znów ją zamknęła.

– Napijemy się kawy?

Ruszyła w stronę kolejnych drzwi, prowadzących do przedniej części domu. Mads posłusznie udał się za nią. Znaleźli się w kuchni, urządzonej w stylu, który pamiętał z mieszkania swoich dziadków. Było to znacznie jaśniejsze pomieszczenie. W ścianie fasadowej budynku mieścił się rząd okien. Pod nimi, za podłużnym, rachitycznym stołem, biegła ława.

– Siądziemy tam – oznajmiła, wskazując przez otwarte drzwi. – Zdaje się, że Aldus przebywał głównie na piętrze, ale ja większość czasu spędzam tu, na parterze. Podoba mi się ten staroświecki wystrój. Śmietanki, cukru?

Pokręcił głową i stał, czekając, aż Line przygotuje dla nich filiżanki.

– Proszę się nie krępować – roześmiała się. – Niech pan wejdzie i usiądzie.

Zrobił, jak powiedziała; ostrożnie przeszedł po deskach podłogowych do następnego pokoju. Był to mały salon wyposażony w owalny stolik, wokół którego stało sześć wyciętych z drewna krzesel. Drzwi na końcu pomieszczenia prowadziły prawdopodobnie z powrotem na

klatkę schodową. Na ścianach wisały dobrze mu znane zdjęcia promów, które służyły na różnych trasach wśród okolicznych wysepek, zanim wybudowano tunele i mosty. Widział te fotografie w wielu lokalach publicznych na Hitrze. Mieszkańcy wyspy mieli niewątpliwie sentymentalny stosunek do swoich dawnych jednostek. Mads wysunął krzesło stojące przy dłuższej krawędzi stołu i zwrócił uwagę, że na blacie leży otwarta „Hitra-Frøya”. Rozpoznał zmartwioną minę Ovego Forsnesa na zdjęciu. Pod fotografią przeczytał napis *Zalew haszu na wyspach*.

Brzęknęła porcelana, gdy Line postawiła filiżanki na blacie.

– Dobrze, że pan przyszedł – powiedziała, siadając po przeciwnej stronie stołu. Napelniła filiżankę Madsa. – Tak tu spokojnie, że zaczynam wariować. Nie rozumiem, jak pan wytrzymuje na Hitrze.

– Mam dużo pracy – odparł. – Przynajmniej ostatnio. Bardzo nam brakuje wkładu pani ojca.

Spojrzała nań wyzywająco.

– Czyli umiał się pan z nim dogadać?

Mads pociągnął łyk kawy i nie spieszył się z odpowiedzią.

– Powiedzmy, że nie zdążyłem go poznać. Cenił sobie prywatność.

Chrząknęła.

– Tak, można to tak nazwać.

– Często tu pani bywała?

– Utrzymywaliśmy sporadyczne kontakty. Rozumie pan... – urwała i uśmiechnęła się krzywo. – Nie wiedziałam, że to Aldus był moim ojcem, dopóki nie umarł człowiek, o którym myślałam, że nim jest. To było pięć, sześć lat temu.

Mads przyjrzał się jej badawczo. Tego już Charlotte mu nie wyjawiała, choć z pewnością o tym wiedziała.

– Stąd nazwisko Schönfelt?

Przytaknęła.

– Może je pan kojarzy? Profesor Henrik Schönfelt z Oddziału Hematologii w Trondheim. To on był moim ojczymem.

– Niestety, nie obilo mi się o uszy.

Zapatrzyła się w przestrzeń.

– O Aldusie dowiedziałam się od matki. Być może... – uśmiechnęła się przeprasząco – być może nie musiała mi tego mówić. Chociaż kto wie. W każdym razie poradziłabym sobie, nie znając prawdy. Bardzo kochałam Henrika. To znaczy Henrika Schönfelta.

Spojrzała na Madsa, jakby oczekiwała potwierdzenia z jego strony.

– W jaki sposób skontaktowała się pani z ojcem?

– Kiedy o nim usłyszałam, przyjechałam tutaj. Był dzień powszedni, wtorek albo środa. Nie uprzedziłam nikogo o swoim przyjeździe. Otworzył drzwi do poczekalni, żeby wywołać pacjenta, i nagle stanęliśmy twarzą w twarz. Widziałam, że zrozumiał, kim jestem. Zbladł wyraźnie, ale nie ruszył się z miejsca, po prostu stał z ręką na klamce, czekając, aż pacjent wstanie z krzesła i podejdzie. Przywitali się, weszli do gabinetu, po czym ojciec zamknął za sobą drzwi.

Westchnęła i wzruszyła ramionami jak mała dziewczynka.

– Przepraszam. Łatwo się wzruszam, kiedy o tym mówię.

– Nic nie szkodzi.

Znów odwróciła wzrok.

– Tego samego wieczora zadzwonił do mojej matki. Od tamtej pory widywaliśmy się

okazjonalnie. Ale, jak sam pan rozumie, nie była to serdeczna relacja. Nie wiem nawet, czy wolno mi mówić o relacji – spojrzała na Madsa i założyła długie włosy za ucho. – Mogę za to powiedzieć, że zawsze miło się o panu wyrażała.

– O mnie?

– Tak, jego zdaniem dobrze pan sobie radził z pacjentami. Pamiętam zwłaszcza, że wspominał o chorym na raka sąsiedzie, którego leczył pan, nie pobierając opłat.

Mads chwycił filiżankę. I znów to samo. Stary Doktor rozmawiał na jego temat z innymi. Jakoś ciężko mu było w to uwierzyć. Dopił kawę i odstawił filiżankę na spodek.

– Właściwie to wydawało mi się, że pani ojciec niezbyt mnie lubił. Siedzieliśmy w swoich gabinetach i przyjmowaliśmy pacjentów. W razie wątpliwości rzadko się konsultowaliśmy. Nie miałem nawet pojęcia o jego pracy doktorskiej, dopóki nie opowiedziała mi o niej ostatnio jedna z pielęgniarek.

Line sięgnęła po dzbanek, stojący pośrodku stołu.

– Jeszcze kawy?

Potrząsnęła głową. Nagle odniósł wrażenie, że jej twarz zasnęła się cieniem. Spojrzenie jakby się zaostryło, rysy stwardniały. Dotarł jednak do wyczekiwanego momentu rozmowy. Teraz musiał wyjawiać powód wizyty.

– Jeśli chodzi o ten doktorat – zaczął i spostrzegł, że jej spojrzenie stało się odległe, tak jakby powędrowała gdzieś myślami – to chciałbym o coś zapytać. Chętnie zapoznałbym się z pracą, którą wykonał pani ojciec. Z tego, co zrozumiałem, zaszedł już daleko. – Czekał na przytaknięcie, ale na próżno. – Szkoda by było, żeby wszystkie badania, które przeprowadził, po jego śmierci zostały zaprzepaszczone. To samo dotyczy ewentualnych notatek o chorych, które po sobie zostawił. Niechętnie korzystał z elektronicznej kartoteki pacjenta w przychodni. Podejrzewam, że zgromadził tutaj kilka skoroszytów lub notatników do prywatnego użytku.

W pokoju zapadła cisza. Dało się słyszeć tylko przyspieszony oddech Line. Nagle utkwiała w nim wzrok, a oczy miała duże i jakby przestraszone.

– Myślę, że powinniśmy kończyć – oświadczyła i odepchnęła się od stołu, aż nogi krzesła zgrzytnęły o podłogę.

Mads przyglądał jej się zdumiony, kiedy wstała i zaczęła krążyć nerwowo po pokoju.

– Nie chciałem...

– W porządku – teatralnym gestem przyłożyła dłoń do czoła i zaśmiała się z wysiłkiem. – Proszę wybaczyć. Trochę za dużo się ostatnio wydarzyło. Jest we mnie wiele uczuć, których się nie spodziewałam i które nagle dochodzą do głosu.

Mads zajrzał do filiżanki i powściągliwie skinął głową.

– W każdym razie dziękuję za gościnę.

Silnik warczał na luzie. Z głośników płynęły lamentsy wokalisty Kentów. „Gdybyś tu była, gdybyś tu była, gdybym...” Mads wyłączył płytę. Oparł się o zagłówek i spróbował przemyśleć rozmowę, którą przed chwilą odbył. Co się właściwie stało? Musiał powiedzieć coś, co nie spodobało się Line. W przeciwnym razie dlaczego miałyby tak nagle wyrzucać go z domu? Musiało chodzić o osobiste zapiski jej ojca. Czyżby wiedziała to co on na temat praktyk Caroliussena? A może w grę wchodziło coś zupełnie innego? Tak czy inaczej właśnie zmarnował jedyną szansę na wgląd w prywatne papiery Starego Doktora.

Odnotował nagły ruch w lusterku wstecznym: spostrzegł, że drzwi Hotelu Fiord otworzyły się i wyszła z nich Bryndis z papierosem w kąciku ust. W jego głowie całkiem automatycznie zaczęła rozgrywać się weekendowa wizyta w barze. Bynajmniej nie poprawiło mu to samopoczucia. Wycofał samochód, a gdy wyjeżdżając z placu, dodał gazu, zobaczył, że Islandka odprowadziła go wzrokiem. Pomknął dalej, nie oglądając się za siebie. Minąwszy

przystań, poczuł pewną ulgę. Najwyższy czas, by zostawił za sobą domniemany romans z Bryndis. Włączył odtwarzacz CD, wyjął z niego płytę z *Isolą* Kentów, otworzył okno i wyrzucił ją na pobocze. Od tej pory musiał wystarczyć mu program NRK P1.

– Do ludzi najwyraźniej dotarło, że mamy już zespół w komplecie.

Charlotte z westchnieniem postukała palcem w słuchawki. W okolicach rejestracji nadal unosił się zapach wypieków po tym, jak Regine Kaspersen podała domowe ciasto w trakcie lunchu. Mads usłyszał już kilka razy, jakie było dobre i że powinien żałować, że go nie spróbował.

– Co masz na myśli?

Odwrócił się do swojej półki i wyjął z niej korespondencję, która zdążyła się zebrać w ciągu ostatnich kilku dni. Przede wszystkim były to reklamy leków – tak zwane rzeczowe zapewnienia, że ten a ten preparat daje lepsze lub trwalsze efekty albo też nie powoduje skutków ubocznych w porównaniu ze środkiem oferowanym przez konkurencję.

– Ci, którzy dzwonią, nie mają w głosie takiej desperacji, jak w zeszłym tygodniu. Za każdym razem gdy roznosi się plotka o brakach w personelu, ludzie rzucają się do telefonów i na wszelki wypadek chcą zamówić wizytę. A przy tym usilnie starają się okazać, jak bardzo im się spieszy. Śledzą, co się dzieje w przychodni, równie bacznie jak odcinki *Hotelu Cezar*. A ty musisz tu być? Nie masz już nic lepszego do roboty?

Rozległ się elektroniczny brzęczyk telefonu. Charlotte uniosła palec wskazujący, zatrzymując Madsa, po czym nacisnęła guzik i odebrała połączenie.

– Przychodnia na Hitrze, słucham!

Mads wrzucił wszystkie koperty opatrzone logo producentów leków do pudełka na materiały do recyklingu i stał, czekając, aż Charlotte zakończy rozmowę.

– Powiedz mi, co to właściwie za historia z tą Line Schönfelt? – zapytał, kiedy wreszcie się rozłączyła. Na ustach Charlotte rozlał się triumfalny uśmiech. Nonszalancko zakręciła się w fotelu biurowym.

– A nie mówiłam, że ci się spodoba?

Znowu zabrzmiał sygnał telefonu. Charlotte zerknęła lekceważąco w stronę aparatu, po czym odłożyła słuchawki na ladę i rozparła się w fotelu.

– Szczerze mówiąc, myślałam, że słyszałeś już o niej wszystko, co miałam do powiedzenia – posłała mu na pozór zrezygnowane spojrzenie. Mads wzruszył ramionami, nie mogąc się doczekać na swoją kolej.

– Co ci wiadomo na temat przeszłości Aldusa Caroliussena? – ciągnęła Charlotte.

– Niewiele. Wiem tylko, że urodził się i wychował w okolicach Hitry.

– Na wyspie Smøla – odparła i niecierpliwie zabębniła ręką o udo. – Myślałam raczej o jego przeszłości zawodowej.

– Słyszałem, że był internistą...

Potrząsnęła głową.

– Nie zdążył zrobić specjalizacji. Caroliussen ukończył studia pod koniec lat sześćdziesiątych jako jeden z najbardziej błyskotliwych studentów na roku. Bezpośrednio potem został rezydentem na Oddziale Hematologii Szpitala Regionalnego w Trondheim, jak nazywał się wtedy Szpital Świętego Olafa, pod egidą profesora Henrika Schönfelta.

Mads zerknął na nią zaskoczony. No jasne. Że też mu to nie wpadło do głowy.

– W tamtym okresie sama pracowałam w Szpitalu Regionalnym i powiem ci, że pielęgniarki szybko spostrzegły młodego kawalera, który objął u nas posadę lekarza. Był całkiem przystojny, wysoki i wyprostowany. Dzięki aparycji przyciągał uwagę, gdziekolwiek się udał. Poza tym był obiecującym lekarzem z dobrymi widokami na przyszłość, jednym z tych, na których profesor Schönfelt polegał i których promował. Aldus zaszedł już daleko w badaniach,

kiedy zdarzył się ten fatalny epizod.

Ponownie zabrzmiał brzęczyk telefonu. Charlotte splotła ramiona na piersi i uniosła brodę.

– Niech sobie dzwoni – oświadczyła i uśmiechnęła się chytrze. – Jakoś nie mogę uwierzyć, że o tym nie słyszałaś. Jeździsz do pacjentów, a nie docierają do ciebie plotki?

Mads poruszył się niespokojnie. Przechylił się nad ladą, starając się zamaskować swój zapał.

– Mówiłaś o fatalnym epizodzie. Co miałaś na myśli?

Charlotte wysunęła wargi, jakby ważąc słowa.

– No cóż... – mruknęła. – Z czasem Aldus stał się dla Schönfeldta kimś więcej niż kolegą. Profesor zajmował dużą willę na Singsaker. W piwnicy było mieszkanie, które Aldus wynajął za bezcen. Państwo Schönfelt nie mieli dzieci i traktowali go jak syna. Regularnie odwiedzał ich na piętrze i jadł z nimi obiad, spędzali razem weekendy za miastem. To było wprost niewiarygodne. Pamiętam, jak zorientowałam się, że coś jest nie tak, kiedy pewnego razu pani Schönfelt zjawiała się na oddziale, by porozmawiać z mężem. Mijając jeden z gabinetów, przez otwarte drzwi zobaczyłam ją w rozmowie z Aldusem. Stała, gładząc go po policzku. Niby niewinny gest, ale... – urwała, nieobecny wzrokiem wpatrując się w ścianę. – Nie pamiętam szczegółów, ale jakiś czas później pani Schönfelt zaszła w ciążę. Miała pod czterdziestkę i z pewnością wiedziała, że to ostatni dzwonek. Zdecydowała się urodzić dziecko, choć zdawała sobie sprawę, jak to się odbije na karierze Caroliussena. Nie bez powodu nie doczekała się dziecka z profesorem, a człowiek pokroju Schönfeldta nie potrzebował wiele czasu, żeby dodać dwa do dwóch.

– Czyli Caroliussena zmuszono do rezygnacji?

– Rezygnacji? – Charlotte zaśmiała się niewesoło. – Żeby tylko! Profesor był wpływowym człowiekiem. Sam wiesz, jak wysoko na świeczniku byli ci starzy ordynatorzy. Mieli wtedy dużo do powiedzenia. Dużo władzy. Moim zdaniem Aldus najzwyczajniej w świecie usłyszał, że nie dostanie już żadnej pracy. Nigdy. Wydaje mi się, że w tamtych czasach była to realna groźba. Jeśli chodzi o córkę, profesor zachował pozory. Niby nikt nie wiedział, że Line nie jest jego dzieckiem, a jednak wiedzieli wszyscy... jeśli rozumiesz, co mam na myśli?

Mads przypominał sobie dumną postawę starszego kolegi. Trudno mu było wyobrazić go sobie jako złamanego człowieka – którym w istocie musiał być.

– Zatem Caroliussen schronił się na Hitrze?

– W pewnym sensie tak. Jego ciotka była tu położną, szefową Związku Sanitariuszek, które prowadziły Dom Zdrowia w Starym Fillan, zanim go sprzedano... i kobietą, której nikt nie śmiał się sprzeciwić. Aldus został więc nowym lekarzem rejonowym. Odłożył plany związane z karierą na później. I doktorat.

– Mógł wyjechać za granicę...

– Myślę, że to rozważał. Ale w życiu nie wszystko idzie zgodnie z planem. Wydaje mi się, że odnalazł na Hitrze coś, co go zmieniło i sprawiło, że tu pozostał. – Charlotte w zamyśleniu patrzyła w podolek. – Nie był rozgoryczony. Sądzę, że pogodził się z tym, co się stało. Mogę nawet posunąć się do stwierdzenia, że cenił sobie życie na wyspie. Przecież miejscowi go ubóstwiali!

– A potem wrócił do pracy nad doktoratem.

Charlotte przytaknęła.

– To było tuż po śmierci profesora Schönfeldta. Myślę, że Aldus zapragnął spróbować jeszcze raz. Zawsze przecież marzył o doktoracie. Później jednak... – wzruszyła ramionami. – Jakiś rok temu zarzucił prace nad projektem. Nigdy nie dowiedziałam się, dlaczego. Nie chciał o tym mówić, a sam wiesz, jak z nim było w takich sytuacjach. Nie mogłam z niego wydusić ani

słowa. Długo się zastanawiałam nad powodem rezygnacji. Może stracił motywację. Może wymagało to od niego zbyt dużo pracy. Ale jakoś nie chce mi się w to wierzyć. W grę musiało wchodzić coś jeszcze. Coś się wydarzyło, bo przez ostatni rok przed śmiercią nie był sobą. Muszę przyznać, że podejrzewałam jego córkę, iż maczała w tym palce. To...

Charlotte się zawahała.

– Co takiego?

– Muszę uważać na słowa. Line Schönfelt jest wspaniałą dziewczyną, ale między nią a Aldusem dochodziło do scysji, od kiedy spotkali się po śmierci profesora. Wyrzucała mu, że nie skontaktował się z nią wcześniej. Miała też kłopoty finansowe i sądzę, że Caroliussen udzielił jej sporej pomocy pieniężnej. Poza tym było to dla niego na pewno trudne. Myślę, że targały nim potężne wyrzuty sumienia.

– Już zamknięte?

Do pokoju drobnymi kroczkami weszła Jędza, niosąc plik papierów. Podchodząc do regału na korespondencję, wskazała leżące na ladzie słuchawki. Mads się odsunął, a Charlotte przewróciła oczami i założyła słuchawki na uszy.

– Witaj, Mads. Lepiej się już czujesz?

– Nie narzekam.

Jędza zerknęła nań z ukosa, zabierając się do sortowania poczty.

– Wyświadczyłbyś mi przysługę? Kristian i Regine mają już pełne listy pacjentów, więc zastanawiam się, czy mógłbyś wybrać się w piątek do Centrum Zdrowia i sprawdzić, czy w domu starców wszystko w porządku?

Mads skinął głową. Wydało mu się, że dostrzega uśmiech na ustach Jędzy, która ciągnęła:

– Na szczęście Kaspersen weźmie sobotni dyżur. Przestrzegłam go też przed przyjmowaniem więcej niż jednego pacjenta naraz.

Mads nie ruszył się z miejsca, dopóki Jędza nie wyszła. Charlotte siedziała ze słuchawkami na uszach, ale przydzieliwszy pacjentowi termin wizyty i zakończywszy rozmowę, znowu je ściągnęła.

– Nie przejmuj się nią – poradziła, kręcąc głową. – Chciałby pan wiedzieć coś jeszcze, doktorze?

Przez kilka sekund Mads przyglądał się jej z wahaniem, po czym zaryzykował:

– Co wiesz o cukrze gronowym, który Caroliussen podawał pacjentom?

Po twarzy Charlotte przemknął cień. Jej życzliwy wzrok wydawał się teraz bezwzględny.

– Zamknij drzwi – rozkazała.

Spełnił polecenie. Kiedy znów przed nią stanął, czuł się jak chłopiec w obliczu dyrektora szkoły.

– Byłeś w jego gabinecie?

– Zrozumiałem, że coś nie gra, kiedy zobaczyłem kopertę w domu Sølvestada – powiedział. – Zainteresowałem się.

– Jak znalazłeś klucz?

– Dodałem dwa do dwóch...

– Szczerze ci powiem, Mads, że nieładnie grzebać w cudzych rzeczach.

Czekał ze wzrokiem wbitym w podłogę. Kątem oka spostrzegł, że ramiona Charlotte podniosły się i opadły w westchnieniu.

– Myślę – zaczęła nieco łagodniejszym tonem, w którym wciąż krył się ślad urazy – myślę, że przejął ten zwyczaj od swojego poprzednika, Karla Frivolla. Kiedy Aldus po raz pierwszy zjawił się w przychodni, w szafie stał słoik z tabletkami z wapna. Kierowcą taksówki już wtedy był Roar Pettersen. Miałeś okazję go spotkać?

– Nie sędzę.

– No cóż, Roar zawarł w każdym razie umowę z doktorem Frivollem, który płacił mu za rozwożenie kopert z tabletkami. Zarazem Frivoll pobierał od pacjentów opłaty za te dostawy, tak że obaj na tym zarabiali. Wiem, że Aldus nigdy nie robił tego dla pieniędzy. Ale... – spojrzała na Madsa oczami babci mówiącej o ulubionym wnuczku. – Pracując jako lekarz, człowiek przyjmuje określoną rolę. Może po prostu leczyć choroby, ale ryzykuje wtedy nazbyt mechaniczne podejście do pacjenta. Może być samarytaninem, szybko zaczyna jednak terroryzować swoją dobroczynnością. Aldus postanowił grać rolę ojca. Oznaczało to, że dozwalał ludziom prawdę. Niektórym wydaje się, że istnieją leki na wszystko. Dostają receptę na diazepam do stosowania doraźnego i siup, dzień w dzień łykają tabletki. Aldus przepisywał im środki, które nie zawierają substancji aktywnych. Nie miały one wprawdzie tych samych skutków medycznych, ale pacjenci czuli się dobrze. Znasz przecież efekt placebo.

– Stosowanie placebo jest dozwolone prawnie tylko w kontekście badań, kiedy pacjenci zdają sobie sprawę, że mogą je dostać.

– Prawo – prychnęła Charlotte. – Chorych nie obchodzi, co jest zgodne z prawem, a co nie. Zależy im na poprawie stanu zdrowia. Zależy im na tym, by mieć szansę spotkać się z lekarzem, kiedy tego potrzebują, i uzyskać pomoc w razie kłopotów. Aldus ograniczał nadmierne spożycie leków na wyspie, dając ludziom placebo. Gdyby nie on, mielibyśmy tutaj zupełnie inną sytuację. Poza tym nie różni się to chyba wiele od diagnozowania u kogoś zapalenia płuc z pełną świadomością, że to nieprawda, tylko po to, żeby zgodził się na hospitalizację?

Mads spuścił wzrok.

– Zakarias Dahl nie przeżyłby świąt, gdyby nie trafił do szpitala.

– Ale okłamałeś pacjenta. Masz do tego prawo?

– Zrobiłem wyjątek. Bałem się, że go stracę.

– No właśnie. Wyjątek. Postąpiłeś tak samo jak Stary Doktor. Zadziałałeś na korzyść chorego, ale wbrew jego woli.

Mads spojrzał na nią.

– Z tego, co mówisz, wynika, że Caroliussen systematycznie oszukiwał ludzi, których leczył. Nadużycie diazepamu jest osobistą decyzją pacjenta, a lekarz nie może odmówić pacjentowi wyboru. Rzecz jasna może pracować nad tym, by chory sobie nie szkodził, ale to już zupełnie inna sprawa.

Na chwilę zapadła cisza. Nad wejściem mocno tykał zegar. Wtem Charlotte uderzyła się ręką w czoło i przewróciła oczami.

– Swoją drogą, skoro pamiętam: dzwoniła Helga Caroliussen i chciała z tobą rozmawiać.

– Ze mną?

– Tak naprawdę dzwoniła też w zeszłym tygodniu, ale przed weekendem wyglądała na wykończonego, więc pomyślałam, że to może poczekać. Codziennie odwiedzała ją pielęgniarka i mówiła, że wszystko w porządku, chociaż Helga ciężko przeżyła stratę siostrzeńca. Dzisiaj zadzwoniła znowu. Zaproponowałam, że wyślę do niej Kristiana Kaspersena, ale nie chciała o tym słyszeć. Powiedziała, że chce porozmawiać z tobą.

– Coś jej dolega?

– Lekka niewydolność serca i duszności, nieco podwyższone ciśnienie krwi. No wiesz, standardowe rzeczy. Przyzwyczała się, że siostrzeniec zagląda do niej co tydzień. Nie wiem jednak, czy dzwoniła z myślą o konsultacji lekarskiej. Kiedy spytałam, o co chodzi, udzieliła mi bardzo wymijającej odpowiedzi.

Mads długo stał, namyślając się. O czym chciała porozmawiać z nim Helga Caroliussen,

jeśli nie o chorobie? Tak czy inaczej, stara ciotka najwyraźniej bardzo zżyła się z siostrzeńcem. Niewykluczone, że pomogłaby mu dotrzeć do notatek Caroliussena.

Podniósł wzrok.

– Mam wolny wieczór – powiedział. – Wyjaśnij mi, jak do niej dojechać?

Śnieg przestał padać. Skręcając z drogi krajowej w stronę Tranvikanu, Mads czuł dziwną lekkość. Nastął już późny wieczór. Odsnieżył podjazd u Dahlów i u siebie, sprawdził skrzynkę mailową i znalazł w niej wiadomość od ojca. Nie zawierała tekstu, w temacie widniało natomiast pytanie „Będziesz na święta?”. Mads nie odpowiedział, choć zdawał sobie sprawę, że nie może dłużej odsuwać od siebie tej myśli. Do świąt pozostało tylko dwa i pół tygodnia, on jednak nie mógł zmusić się do nawiązania kontaktu. Pochylił się nad kierownicą i rozejrzał się wokół. Po drugiej stronie zatoki widział odległy blask światła Fillan. Czy raczej Dużego Fillan, jak je tu nazywano, ponieważ to właśnie tej części wyspy przyznano największą sumę pieniędzy w ciągu ostatnich lat. Tymczasem w Tranvikanie drogi nadal miały zwirową nawierzchnię i brakowało latarni – tak że jedynym, co teraz widział, były wysokie zasy i ciemne okna.

Zwolnił i jadąc, spoglądał w głąb zaśnieżonych, odbijających w bok dróg. Charlotte wyjaśniła mu, że musi minąć grupę domów stojących nad wodą i jechać dalej obok sortowni odpadów. Potem miał nastąpić długi zakręt w prawo i powinna ukazać się droga prowadząca między drzewami, oznaczona słupkiem z trzema skrzynkami na listy. Teraz skrzynki skrywał głęboki śnieg. Mads powoli minął dom tuż przy drodze. Z okna kuchennego wyjrzała stara twarz, która śledziła go wzrokiem, gdy przejeżdżał. Mógł zatrzymać się i spytać o wskazówki albo pojechać kawałek dalej. Wybrał tę drugą opcję.

Po dziesięciu minutach dał za wygraną. Bynajmniej nie było mu łatwo zawrócić na wąskiej drodze, ale w końcu dał radę. Powinien był zadzwonić do Helgi Caroliussen i poprosić, by wystawiła wiadro na drogę, ale nie przypuszczał, że zajdzie taka potrzeba. Charlotte z reguły udzielała dobrych instrukcji. Postanowił zatrzymać się i zapytać.

Zajechał przed mały dom, który niedawno minął, i poszukał wzrokiem starej twarzy w oknie. Nie było jej teraz. W budynku paliło się jednak światło. Wyłączył silnik, wysiadł z samochodu i od razu poczuł wdzierające mu się pod ubrania zimno. Skoro się przejaśniło, mróz na pewno nie zelżeje. Ruszył świeżo odsnieżoną ścieżką i już, już wyciągał rękę, by zadzwonić, gdy wtem drzwi się uchyliły. Cofnął się o krok. Ukazała się mała, zgarbiona kobiecina. W żółtym świetle lampy padającym na twarz jej uśmiech wydał się Madsowi ciepły i serdeczny. Pomyślał, że jest stosunkowo młoda jak na tak wyraźną osteoporozę, i zwrócił uwagę, że jej lewa pierś nie jest równie wydatna pod sukienką, co prawa. Być może wynikało to z choroby nowotworowej i terapii cytostatykami.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaczął.

– Spodziewałam się, że pan zawróci.

– Szukam domu Helgi Caroliussen.

Z jej gardła wyrwał się krztuszący śmiech.

– W takim razie pojechał pan za daleko.

Kobieta cała aż się trzęsła ze śmiechu. Jej dłoń kurczowo zaciskała się na klamce.

– Jestem... – zaczęła Mads.

– Tak, tak. Wiem, kim pan jest – odparła i machnęła ręką. – Jedną chwilkę.

Zatrzasnęła drzwi i Mads został sam na dworze. Rozglądał się, tupiąc na śniegu, by nie tracić ciepła, po czym drzwi znów się otworzyły i kobieta wyszła na schody, ubrana w starą, wysłużoną kurtkę puchową i śniegowce.

– Niełatwo dojrzeć ten skręt – wyjaśniła, zamykając drzwi. – Jeśli zostawi pan tu samochód, możemy pójść ścieżką za domem.

Drózkę między drzewami wydeptano kilka dni temu; w gęstym lesie padający śnieg nie docierał na sam dół. W niektórych miejscach koło ścieżki wyczuwało się nawet zapach wilgotnej ziemi. Mads wciągnął go w nozdrza i poczuł, jak bardzo mu go brakowało. Zgarbiona kobieta szła przed nim niespiesznie z latarką w ręku. Od czasu do czasu oglądała się, żeby sprawdzić, czy Mads podąża jej śladem. Po pięciu minutach powolnego marszu wyszli na polanę, gdzie leżał głębszy śnieg i trudniej było iść. Mads czuł, że przemakają mu skarpetki w niskich butach, podczas gdy jego przewodniczka najwidoczniej dobrze sobie radziła w wysokich śniegowcach. Dwadzieścia metrów dalej stał dom Helgi Caroliussen. Był to prosty, parterowy budynek. Blask na śniegu sugerował, że jedno z okien na tyłach jest oświetlone. Świeciło się też w pomieszczeniu, w którym najwidoczniej mieściła się kuchnia. Na podwórzu leżała równa, gruba warstwa śniegu. Znaczył ją jedynie stosunkowo świeży ślad kół, który zakręcał na placu i kierował się w dół zbocza, by zniknąć wśród drzew.

– Zwykle odśnieżał tu Aldus – powiedziała kobieta, przystając. Spojrzała na Madsa. – Dobrze traktował Helgę. Ale z niej jest uparciuch, tak, tak. Ani myśli przenieść się do Dużego Fillan. Najchętniej przesiaduje w domu.

Mads podszedł do drzwi i zadzwonił. Widział po framudze, że są zamknięte na klucz.

– Byłam tu dziś i dzwoniłam – usłyszał głos kobiety za plecami. – Ta Helga to zawsze zamyka drzwi, nawet kiedy jest w domu. Ale wtedy też nikt mi nie otworzył. Parkował tu jakiś samochód.

Wskazała ślady.

– Może po coś wyszła?

Mads cofnął się, zrobił kilka kroków w głębokim śniegu i zajrzał przez okno. Wewnątrz zobaczył tylko głębokie, nieruchome cienie.

– Jak już mówiłam, Helga jest uparta. Ledwie dało się ją wyciągnąć na pogrzeb w Dużym Fillan. Przyjechał pan z czymś konkretnym?

Przeskakując po swoich śladach, Mads wrócił na plac. Nie rozumiał, dlaczego Helga Caroliussen dzwoniła, prosząc, by przyszedł, skoro teraz nie było jej w domu. Przyjrzał się śladom kół. Musiały pochodzić co najmniej sprzed kilku godzin. Najprawdopodobniej z ranka.

– Zadzwoniła, pytając, czy moglibyśmy się spotkać. Nic pani o tym nie wspominała?

– Helga nigdy nie była gadatliwa. Dokładnie tak, jak siostrzeniec. Ale łączyły ich dobre stosunki. Aldus zawsze chętnie tu pomagał. Dobry był z niego chłopak, chociaż pod koniec życia czymś się przejmował.

Mads obrócił się do zgarbionej postaci.

– Czym?

Starsza kobieta w zamyśleniu pokręciła głową.

– Tego nie wiem. Ale ostatnio coś go wyraźnie dręczyło. Brałam udział w przygotowaniach do *Maren – skazanej na śmierć*, wie pan, tej sztuki historycznej, więc trochę go poznałam.

– Czytałem o niej.

– Co roku grał rolę sędziego, a tym razem chciał się wycofać. Nie podał żadnej konkretnej przyczyny, ale wszyscy zrozumieliśmy, że coś jest na rzeczy. Teraz to już zresztą bez znaczenia – kobieta machnęła ręką lekceważąco. – Przykro mi, że przyjechał pan na darmo.

Mads pokiwał głową.

– Wracajmy – rzekł i minąwszy zgarbioną kobietę, wszedł na szlak, który wydeptali w śniegu. Spozrzegł, że nie ruszyła się z miejsca, gdy jednak obejrzał się, chcąc nawiązać z nią kontakt wzrokowy, ukryła twarz w kołnierzu kurtki. Przystanął i zaczekał. Wyczuwał, że chce mu coś powiedzieć, więc nie miał innego wyjścia. Tak to już było z mieszkańcami Hitry. Każda

rozmowa zawierała sporą dozę milczenia. Początkowo budziło to w nim konsternację, ale z czasem zaczął to cenić. Milczenie oznaczało przynajmniej, że ludzie zastanawiali się, zanim coś powiedzieli.

Starsza kobieta nagle, jakby z trudem, wzięła oddech. Widocznie postanowiła zaryzykować.

– Skoro już pan tu jest... nie obejrzałby pan mojego męża?

Był to typowy hitrzański dom, tonący w bibelotach, figurkach z drewna, tkanych makatach i zdjęciach. Tak, zwłaszcza zdjęciach. Nad kanapą w salonie wisiał ujęty w masywne ramy obraz wyglądający na reprodukcję starej fotografii rodzinnej. Widnieli na nim wyprężeni jak struny rodzice, przed nimi zaś troje dzieci w wieku mniej więcej dziesięciu lat. Rysy namalowanej kobiety niewątpliwie należały do znacznie już starszej pani domu. Mads widywał podobne obrazy w innych gospodarstwach. Na wyspie mieszkał malarz, który specjalizował się w takich motywach. Nie dało się zaprzeczyć, że miał do tego smykałkę. Wszystko to nosiło jednak jakiś rys komizmu, bezguścia – co nie przeszkadzało obrazom dobitnie podkreślać, jak duże znaczenie miała rodzina w domach, w których wisiały.

Mąż zgarbionej kobiety leżał w ciemnościach na krótkiej kanapie. Nogi przełożył przez oparcie. Przykładał sobie dłoń do czoła. Kiedy weszli, wzdrygnął się i wstał z przepaszającą miną. Miał masywny tors, ostro zarysowany podbródek i mocne kości policzkowe, które dodawały głębi oczodołom, sprawiając, że w kiepskim salonowym świetle trudno było w nie zajrzeć.

– Jest ze mną nowy lekarz rejonowy, Karl – oznajmiła kobieta. Jej mąż uklonił się uprzejmie i wyciągnął szorstką rękę. Ściskając ją, Mads poczuł twardą, łuszczącą się skórę.

– Słowo daję... – rzekł mężczyzna i nie ruszył się z miejsca.

– Usiądźże. Pozwól, by doktor obejrzał twoje nogi.

Gospodarz wykonał polecenie żony. Mads stał, patrząc, jak tamten dużymi rękami podciąga spodnie. Jednak gdy tylko je puszczał, znowu opadały.

– Musisz ściągnąć portki, Karl!

Kobieta już przyskoczyła do męża i rozpięła mu pasek. Mads odwrócił się, by nie krępować pacjenta. W wizytach domowych było coś szczególnego. Początkowo wolał, żeby w trakcie dyżuru wszyscy pacjenci stawali się w przychodni. Później jednak, zamiast czekać w gabinecie, stopniowo zaczął jeździć do ludzi. Wprawdzie mniej mu się to opłacało i potrzebował więcej czasu, by wykonać tę samą pracę, ale było w tym coś, co lubił. Obce zapachy i różny wystrój wnętrza. Drobne hobby tych, których odwiedzał, ujawniające się tu i tam, dzięki czemu rozmowa nie toczyła się tylko na temat choroby. Pomyślał o Caroliussenie, o tym, co zdradziła mu Charlotte. Stary Doktor miał inne plany, ale ostatecznie pozostał na wyspie. Być może do zmiany decyzji skłoniły go takie właśnie wrażenia.

– O, proszę – powiedziała kobieta.

Mads odwrócił się i zobaczył, że starszy mężczyzna siedzi na brzegu kanapy. Miał rozpiętą koszulę, a bokserki ledwo się trzymały na kościstych udach. Przechwycił wzrok Madsa, mrugnął przekornie i krótko potrząsnął głową.

– Baby – wymamrotały jego wargi.

– To on!

Anwar oddychał przez nos, szybko i nerwowo. Mads rzucił buty do bowlingu na podłogę i wsunął stopę do jednego z nich. Spojrzał na rozproszony tłumek, który zebrał się przed recepcją w kręgielni. Ostatnia para w lidze żeńskiej kończyła rozgrywkę na torze numer dwa.

– Kto? – spytał.

– Jej brat.

– Czyj brat?

– Brat Sissel... Ivar Skogen.

Anwar dyskretnie wskazał pole rozbiegu na torze szóstym. Mads musiał obrócić się o jakieś dziewięćdziesiąt stopni, zanim spostrzegł muskularnego mężczyznę w obcisłych, czarnych jak noc spodenkach, który stał, w ramach rozgrzewki wykonując okrężne ruchy ramion. Na jego T-shircie widniało logo firmy Strømfjord, pod nim zaś napis Dolmøya. A więc to przeciw niemu miał dziś zagrać. Zerknął na Anwara, który biegał przed nim truchtem w kółko.

– Wyluzuj. On przecież nie wie, kim jesteś?

– Oj, no jestem wyluzowany. Będziesz zaraz gotów? Ty też musisz zacząć rozgrzewkę.

Mads poczuł, że w kieszeni wibruje mu telefon. Wyjął go i zobaczył, że na wyświetlaczu miga napis „Pogotowie”.

– Kto to?

– Najpewniej Kristian Kaspersen. Ma dziś wieczorem dyżur – rzekł Mads i już miał odebrać, gdy Anwar wyrwał mu z ręki telefon.

– Nie wolno ci się rozpraszać – oświadczył, znalazł właściwy przycisk i przytrzymał go, dopóki nie zgasł ekran. Mads otworzył usta, by zaprotestować, ale ujrzał wzniesiony palec wskazujący. – Z panem czy panią Kaspersen możesz pogadać później.

– Co w ciebie wstąpiło?

– Musisz skupić się na rozgrywce.

Anwar klepnął Madsa w plecy i próbował wyszczerzyć zęby, ale tylko po części udało mu się ukryć zdenerwowanie. Mads z westchnieniem schylił się na krześle i zaczął wiązać sznurówki. Podejrzewał, że z powodu osoby przeciwnika Anwar podwójnie przeżywa tę walkę. Niech mu będzie. Sam Mads czuł się średnio zaangażowany, chociaż to on miał przystąpić do gry.

Na torze numer dwa rozległa się wrzawa. Dwie zawodniczki podały sobie ręce, po czym widzowie pogratulowali jednej z nich. Tymczasem pojawiło się kilku facetów w takich samych koszulkach z logo Strømfjordu, co Skogen. Najwidoczniej byli to kibice, którzy przyszli specjalnie na tę okazję.

– No, dalej! Musisz się trochę rozruszać!

Anwar odegrał przed Madsem symulację joggingu. Ten, chcąc nie chcąc, zaczął przebierać nogami, ale czuł się bardzo ociężały.

– Kiedy wreszcie się przyznasz, że ty mnie w to wpakowałeś?

– Przecież mówiłem, że to nie ja.

– No to może mnie oświecisz, kto jeszcze wie, że gram w bowlingu?

– Słuchaj, Mads. Możesz wygrać tę rozgrywkę i to jest teraz najważniejsze. Rusz się i posłuchaj, co mam ci do powiedzenia – Anwar z zapalem zatarł ręce. – Widziałem, jak rzuca Ivar. Dobry jest, ale bez przesady. W dodatku łatwo wysiada, kiedy zaczyna mu iść trochę gorzej. Dlatego od samego początku rekompensuje to sobie szpanerką. Tylko popatrz, jak się popisuje. – Uniósł palec wskazujący i postukał Madsa w pierś. – Jednym słowem, nie daj się wytrącić

z równowagi jego występami.

– Uspokój się!

– Musisz znaleźć najwłaściwszy rzut. Nie spiesz się, daj sobie dość czasu, by go znaleźć. Pamiętaj, że to za każdym razem ten sam rzut.

W lokalu rozległ się przeraźliwy dźwięk gwizdka. Mads podniósł wzrok i spostrzegł, że Ken z recepcji stoi przed taśmą na drugim torze.

– Już siódma – donośnym głosem oznajmił recepcjonista z ręką na wydatnym brzuchu. – W drugiej turze Helmer gra ze Skogenem.

Mads podniósł torbę z kulą i poklepał Anwara po brzuchu.

– Muszę lecieć – powiedział. – I ochłoń trochę. To tylko kręgle.

Kiedy przecisnął się przez tłumek, Skogen czekał już przed polem rozbiegu. Ken uśmiechnął się na powitanie i skinął głową w lewo, wskazując Madsowi, gdzie stanąć. Ten usłuchał i wyciągnął rękę do Skogena, który nadymał się, wykonując obroty ramion. Madsowi wydało się, że jego dłoń wisiała w powietrzu całą wieczność, zanim przeciwnik z aroganckim uśmiechem ją uściśnął.

Ken odchrząknął głośno, by zwrócić na siebie uwagę, po czym przytrzymał monetę między kciukiem a palcem wskazującym.

– Kto chce wybrać pierwszy?

– Orzeł – pospieszył Skogen z odpowiedzią.

Mads napotkał spojrzenie Kena i wzruszył ramionami.

– Reszka.

Za pstryknięciem palców moneta znalazła się w powietrzu. Po serii salto mortale wylądowała na dłoni Kena, który z plaśnięciem przybił ją do drugiej ręki.

– I mamy... orła! Co pan wybiera?

Spojrzał na Skogena, który rozpostarł ramiona na boki i otrzymał natychmiastowy aplauz od towarzyszącej mu grupki.

– Chcę zaczynać, rzecz jasna.

Roześmiał się gromko.

– Zatem do dzieła! – zawołał Ken, czemu towarzyszyły entuzjastyczne gwizdy widzów. Mads podszedł do taśmy i odłożył kulę. Skogen zrównał się z nim, trzymając swoją mieniącą się kulę, puścił ją i z zadowoleniem spojrzał na rywala.

– Powodzenia! – rzekł Mads i skinął głową.

– Wiesz, co mówią o ciapatych? – Skogen obnażył zęby w szerokim uśmiechu. – Że przynoszą pecha.

– Lepszy jeden Pakistańczyk niż cała zgraja z Dolmøi, nie?

Widząc reakcję przeciwnika, Mads odgadł, że trafił w sedno. Skogen wykrzywił się szpetnie i odwrócił do niego szerokimi plecami. Mads poczłapał z powrotem na swoje miejsce, a tymczasem grupka kibiców z Dolmøi pokrzykiwała na zachętę. Zdawało się, że Skogen nie potrzebuje dopingu. Stanął przed polem rozbiegu, odchylił do tyłu mocny kark i stęknął, drobiąc po parkiecie jak bokser. Myśli Madsa powędrowały do nieodebranego połączenia. Dlaczego Kaspersen dzwonił tak późno z komórki służbowej? To musiało być coś ważnego. Madsowi nie podobało się, że ma wyłączony telefon. Jeszcze kilka dni temu nadmierna dostępność doprowadzała go do białej gorączki, ale teraz wszystko przewróciło się do góry nogami. Może chodziło po prostu o to, że Kaspersen wydał mu się trochę zbyt niepoważny. Trochę za szybko.

Wyglądało na to, że Skogen skończył wreszcie przedstawienie. Stanął, trzymając w ręku kulę, po czym zrobił kilka pewnych kroków. Z ogromną siłą posłał ją przed siebie. Łuk był perfekcyjny. Kula wpadła między kręgle, siejąc totalne spustoszenie. Skogen zakręcił się wokół

własnej osi, unosząc zgięte ramiona i prężąc bicepsy. Okolicznościowa animacja, która chwilę później ukazała się na ekranie, stworzyła tylko niepotrzebny antyklamaks.

Mads napotkał spojrzenie Kena i podniósł się. Ruszył w kierunku Skogena, ale przystanął, widząc, że rywal otwiera usta, tak jakby chciał coś powiedzieć. Chwilę później poczuł sójkę w bok. Zanim zdążył się zastanowić, było już po wszystkim, niemniej jednak kiedy podszedł do bieżni i ujął leżącą na niej kulę, piekły go mięśnie brzucha. Zaklął pod nosem. Skogen potraktował go łokciem. Jak większości na wyspie, wystarczył mu lokalny turniej gry w bowling, żeby wyłazić ze skóry.

Daleko przed nim zabrzmiał warkot maszyny: białe kręgle dotknęły parkietu i zastygły w miejscu, jak rząd lśniących zębów. Mads wziął kulę i zbliżył się do linii. Potem odstąpił od niej o trzy długie kroki i uniósł kulę. Tłum za jego plecami zaszemrał wesoło, ale Ken surowo uciszył gadatliwych.

– Spokój!

Mads stał w miejscu. Przypomnił sobie wczorajszy wieczór, starszego mężczyznę na kanapie i sączące się rany, które ukazały się na jego spuchniętych nogach, kiedy wreszcie opuścił spodnie. Miesiąc, odparł na pytanie, ile czasu tak przechodził. A czy rozważał konsultację z lekarzem? Taaa. Najpierw chciał się jednak przekonać, czy samo nie przejdzie. W tym przypadku samoistna poprawa nie wchodziła jednak w rachubę. Mads widywał już takie rany. Opuchlizna wynikała z upośledzenia drenażu żylnego, przypuszczalnie w związku z niewydolnością serca. Wiedział, że jeśli nogi nie wrócą do normalnych rozmiarów, to nie ma szansy na wygojenie wtórnych ran. Potrzeba tu było diuretyku, pończoch uciskowych i kompresów z roztworu soli.

Stare małżeństwo przytakiwało bez słowa, kiedy wyjaśniał im sposób leczenia. Byli wyraźnie zadowoleni z konsultacji, nie dość bowiem, że chcieli mu potem zapłacić, to zaprosili go na kawę. Mads grzecznie odrzucił obie propozycje i ruszył do drzwi. To wtedy wpadło mu coś do głowy. Nagła myśl. Być może natchnął go do niej obraz rodzinny wiszący nad kanapą, a może fotografia młodej pary w korytarzu. Tak czy inaczej, kiedy został sam ze zgarbioną kobietą, zwrócił się do niej z pytaniem, czy Caroliussen nie miał na wyspie kochanki. Zacisnęła wargi, tak jakby chciała mu zademonstrować, że powinna mówić ostrożnie.

– Oficjalnie nie – odparła, kręcąc głową.

Mads włożył buty i zawiązał sznurówki najwolniej, jak umiał. Kiedy się wyprostował, kobiecina nadal wpatrywała się w niego uporczywie, a linię ust miała napiętą. Podziękował za gościnę i otworzył drzwi. Wyszedł już na schody, gdy wtem pani domu dała za wygraną:

– Ale krążyły plotki...

– Halo! Ziemia do Helmera.

Owionął go przesycony cebulą oddech. Ken stał, kołysząc się na piętach, i przyglądał mu się wodnistymi oczami.

– Przeciąganie nie jest tu premiowaną taktyką, panie Helmer. Poza tym za dwadzieścia minut wchodzi następna para. Dobrze by było, żeby wziął się pan do rzeczy.

Mads skinął głową i się rozejrzał. Ivar Skogen krążył obok sąsiedniego toru, tupiąc niecierpliwie. Widok ten nie wzbudził w nim bynajmniej wyrzutów sumienia. Opuścił kulę i lekko potrząsnął ręką, po czym podniósł ją znowu. Lepiej załatwić to szybko, niż przeciągać mecz w nieskończoność. Unosząc lekko kulę, zrobił pierwszy krok. Przy drugim zaczął cofać ramię: najpierw obrócił rękę na zewnątrz, by przy trzecim kroku zwrócić ją do ciała, po czym dopełnił ruch, wypuszczając kulę, która potoczyła się po bieżni. Wyprostował się i zobaczył, że zbacza w stronę rynny po prawej. Wypadnie. Ku swojemu zdumieniu poczuł skurcz zawodu w brzuchu. Obrócił się i spuszczając wzrok, ruszył z powrotem. Skogen szedł już na miejsce.

Mads zerknął nań i spostrzegł, że oczy przeciwnika wciąż utkwione są u końca toru, a arogancki uśmiech zastąpiły rozdziawione usta. Zauważył też, że Anwar stoi sztywno tuż obok, zaciskając ręce na oparciu stojącego przed nim krzesła. I wtedy usłyszał głuchy odgłos, jak stukot końskich kopyt na asfalcie. Nie musiał się oglądać, by wiedzieć, co się stało – zwłaszcza że przyjaciel chwycił się za czarne włosy, po czym wyrzucił ramiona w górę najwyżej, jak umiał.

– Damy radę! Damy radę! – syczał Anwar, kiedy Mads opadł na miejsce, a animowany filmik o kręglach przewinął się przez ekran. – Pamiętaj tylko, że...

– ... trzeba powtarzać jeden rzut. Tak, tak...

Uśmiechnął się do siebie, a przed jego oczami znów stanęła zgięta wpół kobieta, którą spotkał wczoraj.

– Charlotte Wahl – niemal wyszeptała w końcu. Jasne, mógł się tego domyślić po mowie, jaką pielęgniarka wygłosiła w przychodni w obronie Starego Doktora. Musieli być razem przez dłuższy czas, chociaż była zamężna. Ale to nie stanowiło przeszkody. Najmniejszej przeszkody.

– Kręgle?

W słuchawce rozległ się gromki, ochryply śmiech Kaspersena. Mads wyłączył ogrzewanie i rozparł się w fotelu. Musiał przyznać, że czuł się nie najgorzej. Zaangażowanie przyszło z czasem, a pod sam koniec, kiedy gra była wyrównana, udało mu się nawet zapomnieć o wszystkim innym i myślał tylko o kuli i kręglach, tak jak wbijał mu do głowy Anwar.

Śmiech po drugiej stronie umilkł.

– Nie powie mi pan chyba, że wygrał?

– Z wynikiem sto osiemdziesiąt dwa przeciwko stu siedemdziesięciu.

– Nie, teraz to mi kolega zaimponował! Sto osiemdziesiąt dwa punkty. Nawet ja rozumiem, że to sporo. Musi mi pan obiecać, że któregoś wieczora nauczy mnie pan grać. Zgoda?

Mads otworzył drzwiczki i wysiadł.

– Jeszcze w przychodni?

– Siedzę i robię testy na CRP, oglądam gardła i takie tam. Było tu biodro i kolano. Nic poważnego. Ale kolega z pewnością zastanawia się, dlaczego dzwoniłem, prawda?

– Zgadza się.

– Chodziło w zasadzie o drobnostkę. Przyszła młoda dziewczyna, skarżąc się na rozproszone bóle w boku. Była pewna, że to zawał serca. Pan rozumie. Chciałem oddramatyzować sytuację i wykonać EKG, ale za cholerę nie mogłem uruchomić programu. Zwykle robi to za mnie pielęgniarka, a ja zajmuję się finansami.

Kaspersen roześmiał się. Mads zerknął w stronę podjazdu Dahłów i spostrzegł, że od drzwi wejściowych wydeptano ścieżkę. Nie odśnieżał już od kilku dni.

– Ale poradził pan sobie? – zapytał, przechodząc przez drogę.

– Ustaliliśmy kontrolę przez weekend. Nie ma się czym przejmować. To była taka chuda lalunia, która przyszła, opierając się na chłopaku. Prości ludzie, jeśli wolno mi zauważyć, jak zresztą większość miejscowych. Zerowe wykształcenie i znaczna konsumpcja usług ubezpieczeniowych. Nic dziwnego, że służba zdrowia pochłania tyle pieniędzy z budżetu. Jakaś paniusia z Kvenvaeru, która tutaj była, domagała się zwrotu kosztów dojazdu z domu do przychodni i z powrotem. To osiemdziesiąt kilometrów. Taksówką! Wie pan, ile to kosztuje?

Mads otworzył bramę garażu i wziął łopatę opartą o ścianę.

– Ta dziewczyna... – zagadnął. – Bierze tabletki antykoncepcyjne?

Kaspersen znów się zaśmiał.

– Jasny gwint! Czyżby w gabinecie była ukryta kamera? Owszem, prosiła, żebym przy okazji wystawił jej receptę na doustną antykoncepcję. Jej chłopak nie śmiał spojrzeć mi w oczy,

kiedy go spytałem, czy przebadał się na choroby weneryczne. Zapisałem ją na kontrolę ginekologiczną do żony po świętach. Tyle czasu zleciało, odkąd sam robiłem takie badanie, że nie wiem już nawet, jak wygląda wziernik.

Mads wbił łopatę w śnieg i oparł się na uchwycie. W ustach czuł jakiś niesmak.

– Nie wspominała o dusznościach?

– Owszem. Na nie też narzekała.

– A podwyższone tętno?

– A niech mnie...

Znowu rozległ się ochryply śmiech, ale tym razem szybko zamarł. Mads słyszał w słuchawce oddech Kaspersena. Podpowiedzi odniosły skutek.

– W jednej z karettek Åge Fjellvaer ma zamontowany aparat do gazometrii – rzekł Mads.

– Może niegłupio byłoby z niego skorzystać, żeby wykluczyć zator płucny.

– Ech... Wie pan co, pomyślę o tym. Ale teraz czeka na mnie kilku pacjentów.

Porozmawiamy później, dobrze?

– Okej.

Połączenie zostało przerwane, zanim Mads zdążył odsunąć telefon od ucha. Stał, opierając się na stylisku. Nie miał zwyczaju wtrącać się w metody leczenia kolegów, ale tym razem coś mu podpowiadało, że postąpił właściwie.

W oknie kuchennym małżeństwa Dahłów zabłysło światło. Wyrzała stamtąd gospodyni z kręconymi włosami. Ukłonił się i w odpowiedzi uzyskał uśmiech. Wolnym krokiem zbliżył się do wejścia. Zanim dotarł do drzwi, te otworzyły się i Erna Dahl wysunęła głowę na dwór.

– Dzień dobry – powiedziała. – Wrócił pan.

– Śnieg nie przestaje padać, więc...

Erna Dahl obrzuciła wzrokiem podjazd.

– Dużo tu pracy dla pana...

– Nie szkodzi – odparł Mads, uspokajająco podnosząc rękę. – Potrzebuję ruchu. Mąż wrócił już ze szpitala?

Spostrzegł, że przełknęła ślinę. Jej twarz zastygła w uśmiechu.

– On... – zaczęła – teraz śpi. Ale w istocie czuje się dużo lepiej. I złości się na pana za to, że wysłał go pan do szpitala. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zaczeka pan z odwiedzinami.

Mads skinął głową.

– Rozumiem – odparł. – A pani jak się miewa?

Spojrzała nań zaskoczona.

– O, rety. Ja... cóż, ja jestem zdrowa. Zatem nie narzekam.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– W razie czego proszę się odzywać. W końcu mieszkam naprzeciwko i bywam tu regularnie.

Mads postukał wygiętą łyżką łopaty w schody.

– Wie pan... co do tego odśnieżania... – Starsza kobieta wychyliła się za drzwi i rozejrzała na boki, tak jakby chciała się upewnić, że nikt jej nie usłyszy. – Rozmawiałam z gospodarzem, który może tu przyjeżdżać traktorem. Będzie u nas już jutro. Myślę, że w obecnej sytuacji to lepsze rozwiązanie. Ale niech pan pożyczyc łopatę.

Ponownie przełknęła ślinę i wyglądała na naprawdę skruszoną.

– W porządku. Chciałem tylko pomóc.

– Wie pan, jak to jest... – potrząsnęła głową, a jej twarz natychmiast przybrała wyraz powagi. – Zdaję sobie sprawę, że już o to pytałam, ale...

– Proszę się nie krępować.

– Czy z tym rakiem na pewno nie da się już nic zrobić?

Madsa przebiegł dreszcz. Pokręcił głową i uznał, że milczenie mówi samo za siebie.

– Cóż, chciałam po prostu zapytać.

Erna Dahl spuściła wzrok.

– W razie czego jestem po drugiej stronie – rzekł Mads, patrząc, jak jej głowa, kiwając, wsuwa się z powrotem za drzwi.

– Dziękuję, dziękuję – powiedziała, po czym rozległ się przytłumiony hałas zasuwanego rygla i został sam na podwórzu.

Wziął głęboki oddech i brnąc przez zaspę, dotarł do odśnieżonej drogi. Przystanął i obejrzał się na zasypany podjazd. Zakarias Dahl żywił do niego urazę, ale przynajmniej czuł się lepiej. I może tak właśnie powinno być. Mads westchnął. Był wprawdzie zmęczony – ale przyjemnie zmęczony. W brzuchu pojawiło się uczucie, którego już dawno nie doznał. Brakowało mu pracy.

Już miał się wziąć do odśnieżania, gdy zwrócił uwagę na niebieskie światła, które pulsującym ruchem przesuwały się po śniegu w dole, na pierwszym rondzie przy centrum. Jechała najlepiej wyposażona karetka Ågego Fjellvaera. Nieco dalej mała, przygarbiona postać z torbą wyszła z przychodni na plac. Kaspersen najwyraźniej potraktował jego radę poważniej, niż można się było spodziewać. Mads stał, odprowadzając spojrzeniem ambulans, który śmignął obok siedziby banku Fokus i wjechał przed centrum handlowe. Uderzyła go myśl, że odpowiadał za to, aby w przychodni wszystko szło, jak należy. W istocie rzeczy był teraz głównym lekarzem na wyspie. Wykonywał ważną pracę. Bądź co bądź chodziło o zdrowie czterech tysięcy ludzi. Przypomniał sobie, co zdradziła mu kobieta w Tranvikanie, i nagle zrozumiał, że powinien pozwolić Staremu Doktorowi spoczywać w pokoju. Nie miał czasu ani siły szukać trupów w jego szafie.

Małą dyżurkę wypełniał intensywny zapach glöggu. Mads ledwie uszczknął zawartości stojącego przed nim plastikowego kubeczka. Rozmokłe orzechy i rodzynki, które unosiły się na powierzchni napoju, przyparowały go o mdłości. Tęsknił za zabójczo mocną hitrzańską kawą, ale kiedy przyszedł, przezroczysty dzbanek ekspresu był pusty, a nie wystawiono żadnego termosu. W zamian za to na stole stały niezapalone świece adwentowe i pleciony koszyk z ciasteczkami. Dotąd ich nie tknął, jednak ze sztywnego spojrzenia, jakie posyłała mu zza stołu jedna z dwu pielęgniarek, wnosił, że powinien to zrobić w trakcie spotkania.

Po rozmowie na temat kilku pierwszych pacjentów Mads szybko pojął, że potrzebuje czasu, by przywyknąć do tutejszych standardów. Wprawdzie Aldus Caroliussen skrupulatnie zajmował się chorymi, ale bynajmniej nie oznaczało to, że trzymał się zasad, do których przyzwyczajony był Mads. Wręcz przeciwnie. Zdawało się między innymi, że Stary Doktor na dobrą sprawę porzucił ideę leczenia profilaktycznego pacjentów, którzy przekroczyli pewną granicę wieku lub tych, którzy z powodu choroby mieli obniżoną jakość życia. Mimo zaleceń specjalistów, aby utrzymać terapię lekami przeciwzakrzepowymi i antycholesterolowymi, tutaj zostały one wycofane z użycia. Zamiast tego chorym podawano witaminy i tran w tabletkach. Podobne środki zastosowano przy demencji i w celu regulacji nadciśnienia. Mads zdecydował się zatem omówić przypadek każdego pacjenta z osobna i rozważyć ponowne przepisanie leków.

Stary Doktor najwyraźniej wprowadził surowe reguły dotyczące samej opieki nad chorymi. W poszczególnych rubrykach listy pacjentów skrupulatnie zapisano mniej lub bardziej kreatywne wytyczne – począwszy od zwykłej fizjoterapii i rehabilitacji, aż po oglądanie telewizji, rozwiązywanie krzyżówek, a w jednym przypadku nawet cotygodniową partyjkę gry w szachy. Zdaniem pielęgniarek pacjenci wydawali się zadowoleni z tej różnorodności, więc Mads zachował większość zaleceń. W przyływie inspiracji zalecił nawet czytanie gazet na głos w ramach terapii jednej ze starszych kobiet.

Jeśli chodziło o rezultaty zleconych badań i analiz, które wpisano w rubryki, Mads czuł niejaką ambiwalencję. Nie miał pewności, czy faktycznie może zawierzyć podanym informacjom, i w wielu przypadkach postanowił powtórzyć badania. Pielęgniarki naturalnie dziwiły się temu, próbował więc wymyślić mniej lub bardziej wiarygodne powody pobrania nowych próbek. Postanowił zachować dla siebie prawdę na temat metod leczenia Starego Doktora, to zaś oznaczało, że w całą sprawę nie myślał angażować również pielęgniarek z Centrum Zdrowia.

Miał jednak problem z wyjaśnieniem wyników Valentyny Hjertås. Nie ulegało wątpliwości, że nowotwór, który u niej podejrzewał, był słuszną diagnozą.

– Co oznacza...? – zmartwionym głosem zapytała jedna z pielęgniarek, kiedy Mads przedstawił im wyniki badań.

– Valentina Hjertås cierpi najprawdopodobniej na raka wątroby. Mamy tu do czynienia z nowotworem pierwotnym albo przerzutami z jelit lub innych narządów. Rak zaatakował drogi żółciowe i uniemożliwia wypływ żółci, która przenika do krwi. Stąd żółte zabarwienie jej skóry.

Zrobił pauzę. Obie pielęgniarki patrzyły nań z niedowierzaniem.

– I choroba rozwinęła się u niej... – kobieta, która upiekła ciastka, uniosła rękę i pstryknęła palcami – ... w ciągu kilku tygodni? Przecież dopiero co poddano ją rutynowym badaniom.

Mads zajrzał do teczki. Nie lubił kłamać, ale nie chciał bardziej pogarszać sprawy.

– Niczego nie przeoczono, nie ma mowy o błędzie personelu. Nowotwór powstaje samorzutnie i od szczęścia zależy, czy zostanie w porę wykryty. Nie wiem, czy tak właśnie jest

w przypadku Hjertås. Przede wszystkim musi ona poddać się szczegółowym badaniom. Zadzwoń później do dyżurnego szpitala w Orkdalu i...

– Valentina nie chce do Orkdalu.

Druga z pielęgniarek założyła ręce na piersi i powoli pokręciła głową.

– Aha? – rzekł Mads wyczekująco.

Pielęgniarki spojrzały na siebie, jakby zastanawiały się, która z nich ma zabrać głos.

– Straciła tam córkę – wyznała wreszcie jedna.

– Jedyną córkę – dodała druga. – To był błąd w sztuce lekarskiej, jeśli można tak to nazwać.

Mads przetarł ręką twarz. Nie miał ochoty podchodzić do Valentyny Hjertås w ten sam sposób co Zakarias Dahla.

– Ale błąd popełniono w szpitalu w Orkdalu, czyli pacjentka odmawia hospitalizacji w tym konkretnym ośrodku, mam rację?

W odpowiedzi uzyskał zgodne przytaknięcia.

– Innymi słowy – ciągnął – może się zgodzić na pobyt w Szpitalu Świętego Olafa?

Pielęgniarki znów wymieniły spojrzenia.

– Myślę, że tak – przyznała jedna. – Ale wie pan, jak to jest. Jeśli zachodzi potrzeba nagłej hospitalizacji, pacjent powinien trafić do lokalnego szpitala...

Mads uniósł rękę w uspokajającym geście.

– Porozmawiam z dyżurnym – powiedział. – Uda się nam.

Złapał kubek z glöggiem, bardziej by zjednać sobie kobiety siedzące po drugiej stronie stołu niż z powodu pragnienia. Wziął się w garść i upił porządny łyk napoju. Okazało się, że wcale nie jest taki zły. Zerknął na pielęgniarki.

– Pozwolą panie, że skuszę się na ciastko?

Stojąc na placu przed przychodnią, Mads odprowadził wzrokiem karetkę. Niebo nad centrum Fillan było czystoniebieskie, a chłodna poświata bijąca z zaśnieżonych pól sprawiała, że dawno już nie czuł się tak dobrze, jak teraz. Nastął weekend, a on nie miał nic do roboty przed niedzielą, na którą zaplanowano dwie kolejne tury zawodów bowlingowych. Tym razem zamierzał trzymać się z daleka od Hotelu Fiord. Odwrócił się, wszedł do przychodni wejściem od strony pogotowia i ruszył dalej. Państwo Kaspersenowie poszli już do domu. Jędza wyraziła wielkie zadowolenie z ich dotychczasowego wkładu pracy. Pacjentów przyjmowano w szybkim tempie, a czas oczekiwania szybko skrócił się do kilku dni. Mads przeglądał internetowy terminarz Kaspersena i odnotował, że przeciętnie przyjmował on sześć osób na godzinę. Jak na człowieka, który był nowy w danym miejscu i nie znał jeszcze pacjentów, liczba ta przekraczała górną granicę rozsądku. Tymczasem zrezygnował jednak z ingerencji. Możliwe, że sytuacja się uspokoi, kiedy czas oczekiwania wróci do normy.

Zamknął gabinet, tym razem zostawiając w nim torbę lekarską. Czuł się nieomal dziwnie, wychodząc na ulicę z pustymi rękami. W centrum zastał gorączkową atmosferę. Ludzie ciągnęli dzieci i dźwigali siatki wyładowane prezentami. Przed wejściem do Centrum Handlowego Hjorten stał mikołaj, który podzwaniał dzwонkiem i zbierał pieniądze na Fundację Rozwoju Hitry. Święta zaczęły się na dobre. Mads wrzucił dwudziestokoronówkę do puszeki kwestarskiej mikołaja, za co ten pozdrowił go ze śmiechem. Ruszył dalej do centrum handlowego i zobaczył, że w środku jest ciaśniej niż na zewnątrz. Ludzie tłoczyli się wokół rozstawionych przed sklepami stoisk i ledwo się przeciskali w zazwyczaj tak przestronnym korytarzu. Mads powoli przedarł się przez tłum, kuszony zapachami z położonej nieco dalej piekarni. Zaskakująco dobre ciastka, których spróbował w Centrum Zdrowia, sprawiły, że nabrał ochoty na słodczyce. Podszedł do kolejki, która wiła się między stolikami, ale rozmyślił się, widząc, kto stoi przy

kasie. Matka chłopca z epilepsją już go jednak spostrzegła: wydawszy klientowi resztę, odeszła na bok i gestem przywołała Madsa poza kolejką. Stojący przed nim ludzie obrócili się i zaczęli mu się przyglądać. Mads zawahał się chwilę, ale skorzystał z zachęty. Kobieta wydała mu się teraz młodsza. Być może wrażenie to wywołały warkoczyki, które dzisiaj zawiązała. Tak czy inaczej nie pamiętał, że miała nos tak obsypany piegami.

Kiedy stanął przed szklaną gablotą, kobieta zwróciła się do tłumu:

– Państwo pozwolą, że najpierw obsłużę doktora.

Kilku starszych mężczyzn niechętnie spuściło wzrok, ale młoda kobieta, która stała na czele kolejki, z uśmiechem wzruszyła ramionami.

– Mogę zaczekać – powiedział.

– Proszę się nie krępować – odparła. – Niech pan idzie.

Skinął głową i obrócił się do lady.

– Dwie drożdżówki – poprosił.

Kobieta zanurkowała pod ladę i podała mu bułki.

– Dwadzieścia cztery – powiedziała i przyjęła od niego banknot pięćdziesięciokoronowy.

– Chciałabym o coś zapytać – dodała, wydając mu resztę. – Nie wiem, czy nie wymagam od pana za dużo, ale...

Mads czekał. Kobieta rozejrzała się na boki i przechyliła się przez ladę.

– Pan rozumie – szepnęła. – Chciałam tylko zapytać, czy nie porozmawiałby pan z Jonasem. Odkąd wrócił ze szpitala, jest jakiś nieswój. Mógłby pan na przykład wstąpić do nas na kawę. Byłby pan skłonny...?

Mads wziął papierową torebkę z drożdżówkami i pokiwał głową. Coś za coś – jak zawsze w życiu.

– Z pewnością da się to zrobić.

Uśmiechnęła się z ulgą i sięgnęła do stojącego na ladzie półmiska.

– Może marcepanową świnę?

Właściwie to nie miał wielkiej ochoty, ale podziękował, wziął figurkę i ruszył w kierunku supermarketu ICA. Spróbował marcepanu i musiał przyznać, że mu posmakował. Kiedy mijali kasy koło wejścia do sklepu, ukłonił mu się młody chłopak, który siedział przy jednej z nich. Mads potrzebował sekundy, by przypomnieć sobie, że kilka tygodni temu usunął mu wrastający paznokieć palucha stopy. Na w pół się obrócił i spytał:

– Lepiej?

Nie przestając naliczać produktów, chłopak z uznaniem uniósł podbródek.

– Lepiej!

Mads z zadowoleniem skinął głową i poszedł dalej. Ogarnęło go dziwne uczucie przyjemności. Odkąd przyjechał na wyspę, drażniło go, że wszędzie natykał się na pacjentów. We wzroku niektórych widział wyrzuty sumienia, kiedy mijali ich, podczas gdy palili. Inni podchodzili zapytać o coś, o co dowiadywali się już podczas ostatniej konsultacji, lub zadać pytanie, którego zapomnieli. Między regałami supermarketu przyjął więcej pacjentów, niż zdołałby zliczyć na palcach obu rąk. A nie bywał tu często. Takie sytuacje mogły z czasem wywołać efekt wypalenia. Wśród jego kolegów krążyło wiele podobnych historii. Zarazem musiał jednak przyznać, że taki stan rzeczy ma swoje zalety. Cieszył się, że ludzie okazują mu zaufanie, że traktują go jak tego, kim w istocie jest – jak lekarza rejonowego.

W sklepie spożywczym było już mniej ludzi. Mads wziął koszyk i włożył do niego napój gazowany, kawę i karton mleka. Potrzebował jednak czegoś na obiad. Stwierdził, że powinno to być coś prostego, podszedł więc do zamrażarki i pochylił się nad nią. Mógł nagrzać piekarnik, wstawić mrożonkę i obejrzeć dziś wieczorem film na DVD. Nie miał już ochoty na pizzę. Wahał

się między zapiekanką rybną a „Flądą Kapitana” firmy Findus, kiedy wydało mu się, że słyszy znajomy głos. Nietrudno było wyłowić nieco bardziej wytworny dialekt z Trondheim wśród mowy mieszkańców wybrzeża. Podniósł wzrok i rozpoznał wysmukłe plecy i długie blond włosy. Line Schönfelt rozmawiała cicho przez telefon. Chyba go nie dostrzegła. Błyskawicznie zdecydował się na „Flądę Kapitana” i już miał włożyć ją do koszyka, kiedy Line odwróciła się i spojrzała na niego zza zamrażarki. Przywitał się grzecznie i zamierzał odejść, kiedy spostrzegł, że uniosła palec wskazujący, aby go zatrzymać.

– Niech będzie. Do usłyszenia – rzuciła do telefonu, po czym zamknęła klapkę. – Wieczór w domu?

Wskazała opakowanie mrożonej ryby w panierce. Wsunął je do koszyka i uśmiechnął się uprzejmie.

– Sądziłem, że wróciła pani do Trondheim.

– Wzięłam wolne do końca miesiąca. Mam tu dużo do ogarnięcia, no wie pan – przekrzywiła głowę i przyjrzała mu się badawczo. – Przepraszam, że byłam taka porywczą. Naprawdę nie chciałam wyrzucić pana z domu.

– Nic nie szkodzi. Zdaję sobie sprawę, że to dla pani trudny okres.

– Niemniej jednak brzydko się zachowałam. Mam nadzieję, że mi pan wybaczy.

Uniosła brwi, a jej oczy powiększyły się, przybierając niewinny wyraz.

– Jak już mówiłem, doskonale rozumiem, jak trudno może być...

– Przemyślałam to, co mi pan powiedział, i zastanawiam się, czy moglibyśmy wrócić do tematu.

Mads oparł się o zamrażarkę. Na dobrą sprawę nie było to już konieczne. Postanowił przecież pozwolić Staremu Doktorowi spoczywać w pokoju.

– Najlepiej w miejscu, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał – ciągnęła i wskazała mrożonkę w jego koszyku. – Gdy już się pan upora z „Flądą Kapitana”. Może o ósmej w restauracji Hotelu Fiord?

Mads wpatrywał się w Line. Nie odpowiadał mu ten układ. Nie odpowiadał mu w najmniejszym stopniu.

– Myślę, że...

– Świetnie! Czyli jesteśmy umówieni. Do zobaczenia!

Uśmiechnęła się krótko i obróciła na pięcie. Zanim się obejrzał, zniknęła między regałami.

Na parkingu nie było wolnych miejsc. Mads siedział w aucie, wyglądając przez przednią szybę. Nie wierzył własnym oczom. W restauracji widział cienie przesuwane się na tle zapalonych świec. Roilo się tam od ludzi, a był weekend. Oparłszy ramię o zagłówek pasażera, wycofał się drogą prowadzącą do przystani. Zaparkował przed sklepem sportowym i piechotą wrócił przed hotel. Po namyśle nabrał jeszcze większej pewności, że nie interesuje go dalsze grzebanie w przeszłości Starego Doktora. Jednak skontaktowanie się z Line Schönfelt okazało się trudniejsze, niż sądził. W informacji usłyszał, że ma zarezerwowany numer, kiedy zaś zajechał przed dom służbowy Caroliussena i zadzwonił do drzwi, nikt mu nie otworzył. Usłyszał klakson i spostrzegł, że zatrzymała się za nim taksówka. Musiał wejść w kopny śnieg, żeby ją przepuścić. Skoro już mieli się spotkać, to mógł z nią niezobowiązująco pogadać, a przy okazji wyjaśnić, że nie jest zainteresowany jej rewelacjami. Ale co z Bryndis? Co ona sobie pomyśli, widząc go tu z obcą kobietą? Że próbuje jej coś udowodnić? Wrócił na drogę i bacznie przyglądał się taksówce, z której wysiadła para w średnim wieku. Tego wieczora w Hotelu Fiord nie gościli więc tylko ludzie spoza Hitry. Zimny podmuch zakręcił leżącym przed nim śniegiem. Zapięła go twarz. Mniejsza o to, ile zebrało się ludzi. Musiał po prostu postarać się załatwić całą rzecz jak najszybciej.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Para, która przyjechała taksówką, stała przed nowym stanowiskiem kierownika sali restauracyjnej. Ten zaś, mężczyzna o krótkiej szyi i budowie typowego sercowca, stał z nosem w księdze, która wyglądała na terminarz. Mads ponad ich ramionami zajrzał do środka. Dosłownie każdy stolik był zajęty. Spostrzegł, że między gośćmi krząta się nieznanemu mu kelner. Przy odrobinie szczęścia mogło się okazać, że Bryndis nie ma dziś wieczorem dyżuru.

– Bardzo mi przykro – usłyszał głos kierownika sali. – Jeśli państwo zechcą, mogę zapewnić państwu miejsce przy barze.

Kobieta i mężczyzna wymienili spojrzenia, po czym ona przytaknęła z zapalem.

– W takim razie proszę ze mną – gestem zaprosił ich w głąb lokalu.

Mads podszedł do lady i przystanął. Przechyliwszy się, zajrzał do otwartej księgi. Pod dzisiejszą datą, na całej stronie, widniała masa nazwisk. Zdawało się, że Hotel Fiord przeżywa istne oblężenie. Kto by przypuszczał? Mads westchnął. Może to i lepiej. Mógł poczekać na Line w foyer i załatwić sprawę w ciągu kilku minut.

– Mads Helmer!

W lokalu rozległ się głęboki męski głos. Rozpościerając ramiona, szedł ku niemu kierownik o krótkiej szyi. Mads cofnął się o krok, aby uniknąć uścisku, ale był on nieuchronny. Gruba głowa przyłgnęła do jego piersi.

– Co ty, u diabła, tutaj robisz?

Mads przyjrzał się badawczo mężczyźnie, który nadal trzymał jego ramiona. Czarne, ciężkie od żeluz włosów, przedziałek z boku. Oczy osadzone nieco za blisko mocnego nosa. Nikt, kogo by znał.

– Nie poznajesz mnie, Mads. Widzę to po tobie.

Z dużego cielska dobył się gromki śmiech.

– Przepraszam, tyłu mam pacjentów...

– Ach tak? Czyli jednak zostałeś lekarzem. Przy twoich stopniach z matmy powinienem był się tego domyślić. Jak leci... – mężczyzna urwał. – Nie, o tym później. Nadal zdezorientowany? Czyli mnie nie poznajesz?

Mads bez słowa pokręcił głową. Kierownik puścił go i odstąpił do tyłu. Zaczął rozpinać

rękaw koszuli, obnażając blady spód przedramienia. Na jego skórze schludnym łukiem biegła cienka blizna.

– Ładnie się wygoiło, prawda?

– Arild Askmann? – Mads przyglądał się mężczyźnie. Faktycznie, kiedy się skupił, zaczął dostrzegać pewne podobieństwo z kolegą z podstawówki. Sam zszyl ranę na jego przedramieniu, igłą i nitką z zestawu do robótek ręcznych swojej matki. – Trochę...

– ...przytyłem. Tak, tak. Mam dobrą passę, rozumiesz. I niezły apetyt – Arild poklepał się po tłustych bokach. – Przyszedłeś zobaczyć Ågego?

– Ågego Fjellvaera?

Arild znów się roześmiał.

– Ja tu trąbię we wszystkich stacjach i gazetach, ale do ciebie, widać, nie dotarłem – rozpostarł ręce. – Ågego Aleksandersena, człowieku! Król rocka z Trøndelagu gra unplugged! Chcesz stolik?

Arild zakręcił się wokół własnej osi i przyłożył dwa palce do ust. Rozległ się gwizd. Znów zwrócił się do Madsa.

– Masz towarzystwo?

– Jest nas dwoje, ale... Arild... załatw mi dyskretne miejsce, okej?

Chwilę później Mads spostrzegł, że przed bar wychodzi dobrze mu znana, wysoka i wyprostowana postać. Na sam jej widok zrobiło mu się gorąco. Bryndis stanęła przed nimi, opierając ręce na biodrach. Arild energicznie machnął rękami.

– To jest mój przyjaciel z dzieciństwa, Mads Helmer.

– Cześć – powiedziała Bryndis.

Mads skinął głową.

– Potrzebuje dwóch krzeseł – ciągnął Arild. – Możesz pomóc?

– Dwóch?

– Zdaje się, że Mads ma randkę. Racja?

Mads poczuł, jak czerwień rozlewa mu się na twarzy.

– Nie, to tylko...

– Spotkanie w interesach?

Arild uśmiechnął się chytrze. Podniósł okrągły stolik, który stał przy ścianie, i dał znak, by Mads poszedł z nim do restauracji. Bryndis stała nadal w tej samej pozycji. Mads przełknął ślinę. Co za kretyn z niego. Powinien był przynajmniej przenieść gdzieś spotkanie.

– Sporo dziś ludzi – zauważył i spróbował się uśmiechnąć. – Co się stało?

– Arild załatwił koncerty świąteczne na najbliższe weekendy i zdaje się, że to działa jak wabik.

– Arild? Czy on...?

– W zeszłym tygodniu kupił hotel – wskazała w głąb korytarza. – Wybacz, ale muszę przynieść krzesła.

Minęła go, zanim zdążył odpowiedzieć. Odprowadził ją wzrokiem w nadziei, że się obejrzy, rzuci mu zawiedzione spojrzenie, ale zdecydowanym krokiem szła przed siebie, po czym zniknęła w drzwiach.

Tymczasem w restauracji Arild zdążył zanieść stolik pod samą scenę. Było tam ciasno, musiał więc nieco pomanipulować, żeby ustawić go w wolnej przestrzeni. Mads usiłował dać mu sygnał z baru, że wołałyby się z tyłu sali, Arild był jednak zaprzątnięty nakłanianiem siedzących najbliżej gości, żeby przesunęli się o kilka centymetrów. Mads z rezygnacją zaczekał, aż dawny kolega upora się z zadaniem. Tymczasem minęła go Bryndis, niosąc dwa krzesła. Nawet nie zaszczyciła go spojrzeniem, on zaś nie próbował jej już zagadywać. Lepiej, żeby się nie odzywał.

Wystarczająco się już wygłupił.

Po kilku minutach stolik był gotów. Mads przeszedł między ludźmi, wstydliwie spuszczać wzrok.

– Szkoda zachodu, Arild.

Usiadł przy stoliku, zwrócony plecami do sceny. Z tego miejsca mógłby dosłownie poczuć oddech Ågego Aleksandersena na karku.

– Nie ma o czym mówić, Mads. Cholera, kopę lat! – Arild poklepał go po plecach. – Muszę już wracać do pracy. Wpadniesz jeszcze któregoś dnia na wspominki? Uups!

Przez jego twarz przemknął szeroki uśmiech. Mads obejrzał się w stronę, w którą spoglądał Arild, i na samym środku sali ujrzał Line. Miała na sobie obcisłą, białą, jedwabistą bluzkę. Na jej szyi, pod rozpiętym kołnierzem płaszcz złocił się łańcuszek. Czarne dzinsy wpuściła w wysokie skórzane kozaki, które widział już wcześniej.

Arild szarmanckim gestem odsunął jej krzesło.

– Wielkie nieba – powiedziała ze źle ukrywanym sarkazmem i spojrzała zdziwiona na Madsa.

– Mój przyjaciel z dzieciństwa – rzekł z rezygnacją. – Arild Askmann.

– Proszę bardzo – Arild skinął głową, wskazując krzesło.

Line usiadła niechętnie, kładąc sobie na kolanach małą czarną torebkę.

– Czy mogę zaproponować kieliszek wina? Na koszt firmy, rzecz jasna.

Arild uśmiechał się szeroko i jowialnie. Line bez słowa skinęła głową.

– Ja poproszę kawę – dodał Mads, po czym Arild wreszcie odpłynął między stolikami. Mads przechylił się przez stół.

– Przepraszam. Próbowałem zamówić stolik w głębi lokalu, ale...

W odpowiedzi Line posłała mu zgaszony uśmiech, położyła torebkę na blacie i wyjęła z niej lusterko.

– No cóż – westchnęła. – Wylądowaliśmy tutaj.

Przejrzała się dyskretnie. Przetarła ręką policzek, strzepując niewidzialny pyłek. Mads złożył ręce na blacie i czekał.

– Okropna pogoda – stwierdziła.

Z trzaskiem złożyła lusterko. Uśmiechnęła się przyjaźnie i wrzuciła je do torebki.

– Przede wszystkim – zaczął i odchrząknął krótko – pozwoli pani, że coś powiem.

Z namysłem ściągnęła usta.

– Tak?

– Postanowiłem zapomnieć o całej tej sprawie z pani ojcem. Stwierdziłem, że obecnie mam aż nazbyt wiele pracy w przychodni. Jeśli posiada pani materiał, który może nam się przydać, proponuję, żeby zwróciła się pani do Charlotte Wahl.

Line przypatrywała mu się bez słowa – natarczywym, nieprzyjemnym wzrokiem. Mads usłyszał swój własny, nieco już mniej pewny głos:

– Przepraszam, że nie poinformowałem pani o tym wcześniej. Nie zdążyłem powiedzieć tego w sklepie, zbyt szybko pani odeszła, a nie miałem pani numeru telefonu.

Oparł się o krzesło. Line położyła łokcie na stole. Jej spojrzenie wędrowało po sali.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziała ze zgaszonym uśmiechem. Wydało mu się, że jej oczy przybrały bezradny wyraz. – Właściwie chciałam prosić pana o przysługę. – Westchnęła ciężko i rozłożyła ręce. – No cóż – rzuciła, wstając. – W takim razie to wszystko.

Mads poczuł ukłucie sumienia. Nie namyślając się, wyciągnął rękę i złapał ją za nadgarstek.

– Chwilę, chwilę – wyjąkał. – Proszę usiąść. Nie trzeba się znowu tak spieszyć.

Usiadła niechętnie na samym brzegu krzesła. Mads zmarszczył brwi.

– Proszę powiedzieć, o jaką przysługę chodzi. Może tak czy inaczej będę w stanie pomóc. Kobieta położyła rękę na piersi i wzięła głęboki oddech.

– To nie takie proste.

– Nie?

Ręka z kieliszkiem czerwonego wina wychynęła nie wiadomo skąd. Mads spostrzegł nagle obok ich stolika Bryndis. Przed Line stanął kieliszek. Jemu samemu podsunięto filiżankę kawy.

– Przepraszam, kiedy będzie koncert? Chciałabym wyjść, zanim Aleksandersen zacznie grać.

– Za kilka minut. Przygaszenie światła będzie oznaczać, że to już za chwilę.

Kiedy Bryndis odeszła, Mads ukrył twarz w rękach. O, Boże. Musiał wyjść na ofertę.

– Myślałam, że jest pan zainteresowany projektem doktoratu mojego ojca – usłyszał głos Line. – Wobec tego przysiadłam i przejrzałam zebrany przez niego materiał. Nie mam wprawdzie wykształcenia medycznego, ale nietrudno mi było zrozumieć, że włożył w to kupę pracy. Znalazłam szkice wielu artykułów. Strony z rozrysowanymi drzewami genealogicznymi, listy pacjentów i osób kontaktowych. Niektórzy podpisali już nawet oświadczenia, że zgadzają się na wykorzystanie ich krwi do celów badawczych – zrobiła sztuczną pauzę i teatralnie nabrała powietrza, chcąc podkreślić dalsze słowa: – Krótko mówiąc, materiału powinno wystarczyć na więcej niż jeden doktorat, jeśli jest pan gotów kontynuować pracę mojego ojca. Chętnie panu wszystko udostępnię. Jestem skłonna oddać każdy notatnik.

Mads podniósł wzrok i uśmiechnął się przepraszająco. Czyli kupiła jego wykręt, że zależało mu tylko na papierach związanych z doktoratem Caroliussena.

– Jak już mówiłem, przemyślałem sprawę i doszedłem do wniosku, że praca w przychodni na razie mi wystarczy. Ale proszę powiedzieć, skąd pewność, że mogę pani pomóc?

Wtem zorientował się, że światło lekko przygasło. Przez stoliki przetoczył się cichy szmer wyczekiwania. Spojrzał w stronę baru: stał tam jakiś mężczyzna i rozmawiał z Arildem. Åge Aleksandersen okazał się zaskakująco niski.

– Jeśli naprawdę chce mi pan pomóc, muszę coś panu pokazać.

Kiedy się do niej odwrócił, wpatrywała się w niego natarczywie.

– Coś mi pokazać?

Przytaknęła.

– Inaczej trudno mi będzie cokolwiek wyjaśnić.

– W porządku. Ma to pani ze sobą?

– Nie, to jest w domu lekarza. I nie mogę pana tam zaprowadzić, dopóki mi pan nie obieca, że nikomu nie zdradzi pan tego, co pan zobaczy.

Mads przyglądał się jej w milczeniu. Nie był pewien, co o tym sądzić.

– Może pan? Może mi pan obiecać, że nikt się o tym nie dowie?

– Jestem przyzwyczajony zachowywać tajemnicę lekarską.

– Wiem. Właśnie dlatego pomyślałam o panu, kiedy do mnie dotarło, że potrzebuję pomocy. Nie mogę się zwrócić do nikogo innego. Zrozumie to pan, kiedy podzielę się moim odkryciem... To jak, daje pan słowo?

Przyglądał się jej badawczo. Na twarzy Line nie drgnął żaden mięsień. Coś mu podpowiadało, że naprawdę powinien zostawić tę sprawę w spokoju.

– A jeśli nie zgodzę się pomóc w tym, o co pani poprosi?

– Wówczas liczę na to, że dotrzyma pan obietnicy i nikogo nie powiadomi.

– W takim razie obdarza mnie pani sporym zaufaniem. Przecież nie znamy się dobrze. Krótka skinęła głową.

– Z tego, co opowiadał mi ojciec, nie podejmuję wielkiego ryzyka, zawierając panu. Publiczność zaczęła bić brawo. Mads podniósł wzrok i zobaczył, że między stolikami idzie Åge Aleksandersen, niosąc gitarę pod pachą.

– Okej – rzekł. – Idziemy?

– Nie jednocześnie.

– Nie?

– Nie chciałabym, żeby ktoś dowiedział się o naszej umowie.

Mads wzruszył ramionami, a tymczasem Aleksandersen minął ich stolik i wszedł na scenę.

– Większość zdążyła nas już tu razem zobaczyć – zauważył. – Trudno to będzie odwołać.

Ręka muzyka przesunęła się po strunach gitary. Usiadł wygodnie na stołku i pochylił się do mikrofonu.

– Witam Hitrę – powiedział, za co zebrał huczne owacje całej publiczności.

Line wciąż wpatrywała się w Madsa. W jej wzroku było coś, co mu się nie podobało.

– Z góry przepraszam – powiedziała – ale to konieczne. Proszę przyjść potem do domu mojego ojca, tylko dyskretnie.

Zerwała się gwałtownym ruchem. Krzesło, na którym siedziała, przez moment balansowało na dwóch nogach, po czym runęło na ziemię. Mads ledwie zdążył zarejestrować dłoń, która śmignęła w powietrzu, gdy poczuł uderzenie w lewy policzek. Spojrzał osłupiały: zakręciło mu się w głowie, ale zauważył jeszcze plecy Line, zanim zniknęła między stolikami. Zorientował się, że wokół niego zaległa głucha cisza. Tylko w głośnikach odezwał się ochryply śmiech.

– Ej, ty.

Mads podniósł wzrok i zobaczył, że Aleksandersen wskazuje go palcem.

– Co ty jej właściwie powiedziałaś?

Przy pobliskich stolikach zabrzmiał słaby śmiech, który stopniowo narastał, aż wreszcie cała sala włączyła się do chóru. Mads wziął głęboki oddech i próbował wytłumić wszelkie myśli, dopóki ogólna radość nie zaczęła wygasać.

– Zagram dla ciebie piosenkę – usłyszał ze sceny. – Nazywa się *Światło i ciepło*.

Nowa salwa śmiechu. Mads skurczył się przy stole. Powinien był usłuchać głosu, który kazał mu zapomnieć o sprawie. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Stracił całą godność.

Stojąc na schodach wejściowych do domu służbowego Caroliussena, Mads spoglądał w stronę hotelu. Na drodze nie było żywej duszy. Nikt się nie zdziwił, kiedy po pierwszej części koncertu wstał i opuścił salę. Arild i Bryndis byli zbyt zajęci obsługą ludzi przy barze, by go zauważyć. Już miał wyjść, kiedy kilku mężczyzn ciężkim krokiem udało się przed hotel, gdzie skręcili sobie papierosy. Zaczekał, aż skończą palić. W najgorszym razie mogli zobaczyć, że kieruje się w stronę domu Starego Doktora, postanowił jednak odgrywać rolę w neurotycznym spektaklu Line, dopóki nie dowie się, o co w tym wszystkim chodzi. Gdy palacze wrócili do środka, owinał szyję szalikiem i ruszył do wyjścia. Na progu, puszczając drzwi, obejrzał się przez ramię. Zrobił to odruchowo: przez krótką chwilę napotkał spojrzenie Bryndis w barze, po czym zniknęła z jego pola widzenia. W drodze do domu Caroliussena przeklinał siebie raz po raz.

Stanął przed drzwiami Starego Doktora i nacisnął dzwonek. Zanim zdążył się cofnąć, zauważył ruch klamki. W przedpokoju panowała ciemność. Line Schönfelt bez słowa odstępiała na bok. Mads potarł policzek, w który go uderzyła.

– Mam nadzieję, że nie ma pani... że nie masz więcej takich numerów w zanadru – powiedział.

Pokręciła lekko głową i zamknęła drzwi. W ciemnym korytarzu ledwo dostrzegał jej rysy, wydało mu się jednak, że się uśmiechnęła.

– Obiecuję.

– Będę słyszał o tym zajściu dopóty, dopóki stąd nie wyjadę.

– Myślę, że wkrótce zrozumiesz – odparła i minęła go długim krokiem. – Chodź!

Ruszyła w stronę schodów do piwnicy: zeszła dwa stopnie w dół, po czym przystanąła. Jej ręka chwilę błądziła po ścianie nad boazerią. Zabrzmiało pstryknięcie i piętro niżej włączyła się lampa. Mads stał w miejscu, obserwując ją, jak schodzi. W pół drogi zatrzymała się i obróciła do niego.

– Idziesz czy nie?

Przypomniał sobie, że kiedy wszedł na podjazd przy pierwszej wizycie, okno piwnicy było oświetlone.

– Już – rzekł i ruszył w ślad za nią.

Musiał się pochylić, żeby nie uderzyć głową w belkę stropową, wyznaczającą granicę między piętrami. Line czekała na niego na dole, stojąc pod nagą jarzeniówką w korytarzu szerokim na trzy metry i dłuższym na nieco więcej. Betonowe ściany pomalowano na biało, podłogę wyłożono nowoczesnymi płytkami. Po prawej Mads ujrzał otwory okienne, wychodzące na plac przed budynkiem. Pod nimi ustawiono meble, niewątpliwie antyki: sekretarzyk z ciemnego drewna, kilka krzeseł oraz podłużny stół kuchenny. Na blacie stały dwa trójramienne srebrne świeczniki i piętrzyły się pudełka. W kącie Mads rozpoznał też stare biurko Caroliussena, którego zmarły używał w przychodni. Po lewej stronie korytarza zobaczył dwoje modrych drzwi. Jedne były na w pół otwarte, a w mroku za nimi dostrzegł zarys nart opartych o ścianę. Najbardziej jednak rzucały się w oczy zielone drzwi na końcu korytarza. Założono je niewątpliwie współcześnie. Wzdłuż framugi, w betonie, widać było szare szramy. Zwrócił też uwagę na rysy widoczne na samych drzwiach – tuż obok zamka. Zbliżył się o kilka kroków. W rzeczy samej. W okolicach zamka stał była lekko wygięta, tak jakby ktoś wsunął jakieś narzędzie między brzeg drzwi a framugę. Line minęła go i lekko popchnęła drzwi. Szczęknięty metalicznie, uderzając o framugę.

– Robota profesjonalisty – oznajmiła sucho.

– Włamywacza?

Rozejrzał się. W piwnicy nie było innych zniszczeń.

– Odkryłam to pierwszego dnia po przyjeździe. Ktoś dostał się tu przez okno na tyłach. Z domu nic nie zginęło. Cenne srebra leżą na miejscu, z niezamkniętej szafki na parterze leki aż się wysypują, a te meble... – wskazała antyki, stojące przy ścianie – również nie należą do najtańszych. Kimkolwiek jest sprawca, wiedział, co robi i jakich potrzebuje narzędzi. Włamał się, zszedł prosto tutaj i nieniepokojony wygiął drzwi.

– A co tam jest?

Nacisnęła włącznik na ścianie. Przez szczelinę w drzwiach spostrzegł, że wewnątrz zapaliło się jaskrawe światło.

– Proszę zajrzeć. Ale...

– Ale co?

– Jak już wspomniałam, niech to zostanie między nami. Okej?

– Okej – odparł i ruszył naprzód.

Nie wiedział, ile czasu spędził, stojąc na progu i gapiąc się na pokój. Musiało jednak zająć mu to dobrą chwilę, bo postukiwanie stopą, które słyszał za swoimi plecami, dowodziło, że Line zaczęła się niecierpliwić. Przed sobą miał podłużne pomieszczenie piwniczne o powierzchni od dwudziestu do trzydziestu metrów kwadratowych, o podłodze dosłownie zasypanej papierami. Wzdłuż ścian ciągnęły się nagie, metalowe, sine regały; kolejny regał, stojący pośrodku pokoju, dzielił go na dwie części. Tylko na niektórych z najniższych półek teczki z dokumentami zdawały się stać na swoim miejscu. Do regałów, na różnej wysokości, przytwierdzono niewielkie tabliczki z literami od A do Å, co dowodziło, że podłogowy chaos był kiedyś posortowany w kolejności alfabetycznej. Słyszając oddech Line, Mads domyślił się, że kobieta stoi tuż za nim. Odwrócił się do niej i wskazał w głąb pokoju.

– Mogę...?

W odpowiedzi skinęła głową. Wybrał miejsce wolne od papierów i przykucnął. Oparłszy rękę o podłogę, poczuł, że jest ciepła. Podniósł jeden z leżących przed nim arkuszy. W lewym górnym rogu widniało logo laboratorium w Orkdalu. W rubryce z nazwiskiem pacjenta wpisano „Sivert Jensvik”. Dalej podano numer PESEL i adres na terenie Hitry. Były to najzwyczajniejsze wyniki badań krwi. Mads zerknął na teczki porozrzucane na podłodze. Każda okładka opatrzona była nazwiskiem i datą urodzenia pacjenta. Charakter pisma był łatwo rozpoznawalny. A więc miał rację: Stary Doktor faktycznie posiadał własną kartotekę pacjentów, ale zupełnie innych rozmiarów, niż Mads się spodziewał. Zwrócił uwagę na zapisane liniowane kartki, które wały się wśród innych dokumentów. Musiały to być notatki Starego Doktora dotyczące chorych – które po skończonym dniu pracy włączał do ich kart. To dlatego mógł sobie pozwolić na tak lakoniczne zapiski w elektronicznej kartotece pacjenta. Wszelkie informacje gromadził tutaj. We własnej piwnicy.

Wolno podniósł się na nogi. Line stała oparta o framugę z rękami założonymi na piersiach i przyglądała mu się badawczo. Na jednej ze ścian spostrzegł skrzynkę z elektronicznym wyświetlaczem. Odchodził od niej kabel, połączony z podłogą. Było tu ciepło, cieplej niż na korytarzu. Powietrze było też bardziej suche niż w większości piwnic. Pomieszczenie musiało zostać specjalnie zaprojektowane.

– To kompletna kartoteka pacjentów – stwierdził i zaraz się zorientował, że nie powiedział niczego nowego.

– To coś więcej. Przyjrzyj się uważniej.

Mads znów się od niej odwrócił. Więcej niż kartoteka pacjentów? Co miała na myśli? Zbadał wzrokiem środkowy regał, dzielący pokój na dwie części. Jego zawartość jakimś cudem się uchowała. Idąc, próbował postawić stopę tam, gdzie nie było dokumentów, ale kiedy dotknął

podłogi, usłyszał chrzęst papieru pod swoimi nogami. Zatrzymał się przed środkowym regałem i przesunął palcem po teczkach stojących na półce, która sięgała mu do pasa. Skoroszyty zawierały zbiór całkiem nowych kartek oraz pożółkłych arkuszy. Wyjął pierwszą lepszą teczkę i położył ją płasko na lewej dłoni. W górnej części okładki niebieskim tuszem napisano „Tor Erik Forsnes, ur. 25.04.1978”. Poniżej dodano na czerwono: „Zmarł 24.03.1997”. Mads otworzył teczkę i rozprostował pozaginane rogi. Na wierzchu znajdowała się strona z rozrysowanym drzewem genealogicznym rodziny zmarłego. Tor Erik Forsnes miał siostrę, a w rysunku uwzględniono nawet pradziadków wraz z datami ich urodzenia i śmierci. Mads zwrócił uwagę na imię ojca. Ove Forsnes. To musiał być komendant. Przeszedł do kolejnej strony. Znalazł na niej krótką notatkę dotyczącą narodzin w Centrum Zdrowia. Następnie jakieś zapiski o chorobach wieku dziecięcego i alergii. Zdumiał się dopiero, natknąwszy się na kopię świadectwa ze szkoły podstawowej. Pobieźnie przejrzał oceny. Naprawdę nie było się czym chwalić. Ale dlaczego świadectwo znalazło się w aktach pacjenta? Wyjął następne kartki i ujrzał świadectwo pracy, po nim zaś dalsze notatki o charakterze medycznym. Ich ton był już nieco inny. Powtarzały się słowa „nadużycie leków”, „haszysz” i „heroina”, całość zaś przypiętowała zwiędła notatka:

„24.03.1997, godzina 02:00. Śmierć w wyniku przedawkowania. Znalezione w mieszkaniu Marka Bukowskiego na Dolmøi. Nie podjęto prób reanimacji. Zawiadamia się rodziców”.

Mads zamknął teczkę. Znał Marka Bukowskiego. I Dolmøyę. Pogłoski, że to miejsce ściągało tragedie, najwyraźniej zgadzały się z prawdą. Już miał wsunąć skoroszyt na miejsce, kiedy spostrzegł nazwisko na najbliższych aktach. „Ove Forsnes”. Teczka była gruba. Wyciągnął ją, jednocześnie wstawiając na półkę akta syna komendanta. „Ur. 01.07.1958”. Latem Forsnes kończył pięćdziesiąt lat. I zdążył już stracić syna. Mads otworzył teczkę w połowie i zaczął ją kartkować. Może zbyt surowo ocenił komendanta. Przeczytał dokument, który wyglądał na kopię raportu policyjnego. I znów uderzyła go myśl, że tego typu rzeczy nie pasują do akt medycznych. Raport dotyczył ucieczki łososi z fermy rybnej. Wskutek nielegalnego połowu z sadzu przerwała się sieć i ryby uciekły. Przestępców najwyraźniej nie złapano. Caroliussen podkreślił parę nazwisk, a nawet pojedyncze akapity i w wielu miejscach na marginesie postawił znaki zapytania. Mads przerzucił stronę i znalazł notatkę na temat znalezienia zakażonych łososi, pochodzących z fermy, gdzie doszło do kłusownictwa. Do notatki przypięto inną kartkę. Ove Forsnes kupił od właściciela fermy nadmorską działkę na Frøi. Na samym dole Caroliussen nakreślił kilka zdań: „Konfrontuję Forsnesa ze sprawą. Ugoda w kwestii wymiany usług. Czekam na dalsze kroki”.

Mads podniósł wzrok. Co to miało znaczyć? Aluzja o wyłudzeniu odszkodowania była aż nazbyt czytelna: do wód wypuszczono zakażone łososie, przypisując winę kłusownikom, a Forsnes dostał działkę nad morzem w zamian za przymknięcie oka. Wspomniana następnie wymiana usług nie mogła być niczym innym jak szantażem ze strony Starego Doktora. Zamknął teczkę. „Więcej niż kartoteka pacjentów”. Jeśli fragmenty, które przed chwilą przeczytał, były reprezentatywne dla zebranych tu materiałów, to rozumiał, co miała na myśli Line. W istocie nie była to tylko kartoteka medyczna, ale archiwum informacji. Przypomniał sobie rozmowy, które przeprowadził z Anwarem i Dahlem. Obaj wspomnieli, że Stary Doktor maczał palce w niemal wszystkim, co działo się na wyspie. Nietrudno było zrozumieć, że mógł sprawować władzę, mając tak poufne informacje o wszystkich żywych i martwych mieszkańcach Hitry przez ostatnie trzydzieści, czterdzieści lat, jeśli można to było tak ująć. Mads omiół spojrzeniem podłogę i rozrzucone na niej papiery. Ktoś najwyraźniej dowiedział się o istnieniu archiwum.

– Napatrzyłeś się?

Obejrzał się przez ramię i przytaknął.

– Już idę.

Zerknął na podłogę, próbując wypatrzeć miejsce, gdzie mógłby postawić stopę. Jedna sprawa to, że zebrano tu poufne informacje – druga zaś, że etycznie wątpliwe decyzje Starego Doktora dotyczące metod leczenia pacjentów również musiały być dobrze udokumentowane w tych teczkach. Przystanął. Kiedy podniósł wzrok, Line wyszła już na korytarz.

– Jedną chwilkę...

Odwrócił się i znów podszedł do środkowego regału. Sięgnął do półki oznaczonej tabliczką z literą „H”, złapał przypadkową teczkę i wysunął ją do połowy. „Trude Hellemyr”, przeczytał i od razu włożył ją na miejsce. Jego spojrzenie przesunęło się na półkę niżej. Wyjął pierwszą teczkę po lewej. „Hillestad”. Nie, to również nie ta. Ukląkł, tak że półka znalazła się na wysokości jego twarzy, przesunął palcem po grzbietach, aż dotarł do skoroszytu, który był trzy razy grubszy od pozostałych. Kiedy go złapał i wysunął z regału, serce mocniej mu zabiło. Najbliższe tečky osunęły się na siebie z suchym szelestem. Mads oparł skoroszyt na udzie i musiał kilka razy przeczytać nazwisko na okładce, zanim ciężko westchnął.

Valentina Hjertås.

To tutaj Stary Doktor zebrał wszelkie informacje dotyczące staruszki.

Z okien jadalni w domu Caroliussena Mads widział samochody jadące wąską drogą od strony Hotelu Fiord. Åge Aleksandersen najwidoczniej zakończył występ. Wydało mu się, że poznaje małżeństwo, które przyjechało przed nim do restauracji, i odprowadził ich wzrokiem do czekającej taksówki. Oboje mieli najprawdopodobniej swoje akta w piwnicy. Dotyczyło to zresztą wszystkich okolicznych mieszkańców. Poglądził teczkę Valentyny Hjertås, leżącą przed nim na stole. Odkąd usiedli na parterze, Line wielokrotnie na nią zerkała. Jak dotąd nic nie powiedziała. Wiedział jednak, że myśli swoje.

Przyglądał się jej, podczas gdy paliła papierosa. Musiała mieć dobry powód, żeby pokazać mu archiwum. Chodziło z pewnością o przysługę, której oczekiwała w zamian, nadal jednak nie domyślał się, na czym miałyby ona polegać.

– W pierwszym odruchu chciałam wszystko spalić.

Line zaciągnęła się głęboko papierosem i oparła się w krzesło.

– Co było potem?

– Zadzwoiłeś do drzwi... i wystraszyłeś mnie na śmierć.

Położyła dłoń na paczce pall malli i popchnęła je lekko: przesunęły się po blacie, zatrzymując się koło ręki Madsa.

– Nie, dziękuję.

Odesłał je z powrotem.

– Niełatwo cię skusić, prawda?

Ujęła kieliszek z czerwonym winem, którego sobie wcześniej naląła, i uniosła go do góry. Mads skinął głową. Może powinien był jednak się napić. Mógł zostawić samochód. Teraz było już na to za późno. Line odstawiła kieliszek.

– Najpierw odkrywam w piwnicy sekretne archiwum, przewrócone do góry nogami przez włamywaczy, a potem do drzwi puka lekarz rejonowy i mówi, że podejrzewa mojego ojca o prowadzenie własnej kartoteki, na którą chętnie rzuciłby okiem. Miałam wrażenie, że jesteś jednym z wielu sępów krążących nad jego grobem. Co w niej jest?

Ruchem głowy wskazała teczkę na stole.

– Informacje na temat pacjentki, których bardzo szukałem.

– Czy nie można było po prostu jej o to zapytać?

– Twój ojciec należał do starej szkoły. Nie mówił wszystkiego pacjentom.

Zaciągnęła się papierosem i długo wydychała dym.

– A więc to po takie dane w rzeczywistości przyszedłeś tu za pierwszym razem?

– Podejrzewałem, że istnieje kartoteka, ale nie tak duża. Wyobrażałem sobie kilka zeszytów, a w najlepszym razie parę segregatorów.

Znów głęboko się zaciągnęła, po czym przechyliła się przez stół i przyciągnęła do siebie teczkę. Mads stłumił odruch, by jej w tym przeszkodzić.

– Wobec tego na razie ją zatrzymam – oświadczyła. – Możesz to nazwać zabezpieczeniem.

– Przed czym?

– Myślę, że to zrozumiałe. Spodziewałam się handlu wymiennego, ale skoro nie interesują cię materiały związane z doktoratem ojca, to kiepsko stoję, zarówno jeśli chodzi o daną przez ciebie obietnicę zachowania milczenia, jak i...

– ...to, w czym miałbym ci pomóc – dokończył.

– Właśnie. Fakt, że siedzisz tu jedynie z powodu teczek, tylko pogłębia mój niepokój, że coś jest nie tak.

Mads sądził, że doczeka się kontynuacji, ale wyraz oczu Line dobitnie wskazywał, że chce, by to on zabrał głos.

– Ten... lub ci, którzy splądrowali archiwum, przede wszystkim musieli się obawiać, że któraś z zebranych tu informacji ujrzy światło dzienne. Być może chodziło o tajemnicę przedsiębiorstwa. Lub o coś innego. Coś, co po śmierci twojego ojca wytrąciło kogoś z równowagi. Dlatego ten ktoś przyszedł tutaj i zabrał to, co uznał za słuszne.

– Najprawdopodobniej. Zakładasz jednak, że włamanie nastąpiło po śmierci mojego ojca. A co jeśli włamano się w tym samym czasie lub wcześniej?

Mads długo się w nią wpatrywał.

– Nie wiem, do czego zmierzasz – rzekł.

– Zanim ci to zdradzę, pozwól, że zadam inne pytanie – oparła lewy łokieć o stół, a brodę złożyła na dłoni. – Nie uderzyło cię, że mój ojciec tak definitywnie zarzucił prace nad doktoratem?

– A nie stracił motywacji? Był starszym człowiekiem, może stwierdził, że nie nadaje się do roli badacza.

– Jak już wspominałam, nie tylko solidnie się przygotował: to było coś, o czym zawsze marzył. Nie kierowało nim samo zainteresowanie, lecz chęć odzyskania akademickiej dumy. Nie wiem, czy słyszałeś tę historię, ale...

– Owszem – przytaknął Mads – słyszałem.

Znów oparła się w krzesło i zaciągnęła się dymem.

– Rozumiem więc, że znasz fundację, założoną po śmierci mojego ojczyrna, profesora Schönfeldta?

– Jaką fundację?

– Fundację, którą utworzył mój ojciec, żeby łatwiej sfinansować swój projekt badawczy. Zapytał mnie, czy zostanę członkiem zarządu. Rzecz jasna tylko na papierze.

– A po co mu ona była? W Norwegii dość jest przecież instancji i funduszy badawczych, u których można ubiegać się o środki.

– Właśnie takich formalności starał się uniknąć. Rozpatrywanie podań i wniosków jest czasochłonne, zresztą... kto by dał pieniądze sześćdziesięciolatkowi, gdy wokół aż roi się od młodych, ambitnych naukowców? Poza tym na Hitrze było wielu potencjalnych sponsorów. Jego projekt powstał przecież z myślą o dobru pacjentów. Zdążył zebrać pokaźną sumę, nim się poddał.

– Co się stało z tymi środkami? Nadal znajdują się na koncie fundacji?

Roześmiała się. W jej śmiechu usłyszał nutę gorzkości.

– Żeby było tak dobrze. Pieniądze poszły na budowę miejscowego obiektu sportowego. Nie wszyscy sponsorzy byli zadowoleni, ale niewiele mieli do powiedzenia.

Mads przypomniał sobie zdjęcie w „Hitrze-Frøi”, na którym Stary Doktor stał przed boiskiem ze sztuczną murawą w Fillan. To właśnie ono musiało zostać sfinansowane ze środków przeznaczonych na badania.

– Rozumiem, co masz na myśli – przyznał. – Twój ojciec mocno się angażował. Nie zarzuciłby prac nad projektem, gdyby nie miał po temu istotnej przyczyny.

– W rzeczy samej. Musiał mieć bardzo ważny powód.

– Co nie zmienia faktu, że wciąż nie rozumiem, w jaki sposób miałyby się to łączyć z archiwum w piwnicy, włamaniem ani momentem, w którym go dokonano.

– Nie istnieje przekonująca zależność, to fakt. Są jednak inne rzeczy. To ty go znalazłeś, prawda?

– Twojego ojca?

Skinęła głową bez słowa.

– Tak, ja. Dlaczego pytasz?

– Nie uderzyło cię, jakie to dziwne, że zjechał z drogi na niemalże prostym odcinku?

Mads otworzył usta, chcąc wyjaśnić, że na jezdnię wyskoczył jeleń, ale coś go powstrzymało. Sam przecież powątpiewał, by to z winy zwierzęcia samochód wypadł z drogi.

– Sugerujesz, że to nie był zwykły wypadek?

Wzruszyła ramionami.

– Niczego nie sugeruję. Chcę ci tylko uzmysłwić, że mogą istnieć inne przyczyny śmierci mojego ojca. Sama nie jestem pewna. W krótkim czasie zdarzyło się jednak kilka dziwnych rzeczy i nie mogę się pozbyć wrażenia, że łączy je jakaś zależność.

– Spodziewam się, że masz pomysł, jaka?

– Mam... – po raz ostatni zaciągnęła się papierosem. Żar przegryzł się aż do filtra. – Co jeśli pracując nad doktoratem, mój ojciec odkrył coś, czego nie powinien? Być może zrozumiał skutki swojego odkrycia i wstrzymał prace, było już jednak za późno. Ktoś dowiedział się, że lekarz zdobył informacje, i przestraszył się, że mogą wyciec. Włamał się zatem do jego piwnicy i zepchnął go z drogi.

Teatralnie rozpostarła ręce. Mads się uśmiechnął.

– To brzmi jak intryga w drugorzędym kryminale.

– Może i tak. Ale z drugiej strony nie da się tego wykluczyć, prawda? Z pewnością są też inne historie, które można ze sobą powiązać.

Próbował to sobie wyobrazić. Rzeczywiście, nie było to nieprawdopodobne. Ale jaki miało to związek z nim samym?

– Dlaczego nie zwrócisz się... – już miał powiedzieć „do komendanta”, kiedy przypomniał sobie to, co przeczytał w piwnicy. Ove Forsnes miał własną teczkę. Sama jej zawartość wystarczyłaby, żeby zwolniono go z pracy. – ...na policję? – dokończył zatem.

– Widziałam, że aż ci opadła szczęka, kiedy przeglądałeś te czki tam, na dole. Myślę, że sam rozumiesz, jakie konsekwencje miałyby ujawnienie takiego archiwum. Stare sprawy karne podjęto by na nowo, naświetlono by przypadki korupcji, sekrety ujrzałyby światło dzienne... W grę wchodzi reputacja ludności lokalnej i całej Hitry. Nie mówiąc już o dobrym imieniu ojca i moim. Zanim przekażę kartotekę osobom trzecim, chciałabym się upewnić, że podejrzenia, które żywię, są realne. Wszelkie inne kroki byłyby po prostu nieodpowiedzialne.

Przechyliła się i zgasiła papierosa w popielniczce stojącej pośrodku stołu. Kiedy cofnęła rękę, niedopałek wciąż dymił. Nie zważając na to, wpatrywała się w Madsa poprzez dym, który wznosił się prostą strużką, by w pół drogi do stropu nagle zacząć się wic.

– Chcesz zatem, żebym pomógł ci dowieść, że teoria, którą dziś usłyszałem, zgadza się z prawdą? Że faktycznie istnieje zależność między wydarzeniami, o których wspominałaś?

Z namaszczeniem skinęła głową. Mads znowu wyjrzał przez okno. Na zewnątrz zapadła cisza. Niemal nieprzyjemna cisza.

– Jestem lekarzem. Nie mam zielonego pojęcia, jak postępować w takich sprawach. Powinnaś wynająć prywatnego detektywa.

– A co twoim zdaniem powiedzą ludzie, jeśli na Hitrze zjawi się obcy i zacznie ich wypytywać? Tu wszyscy się znają. Nikomu nie uda się drażnić tej sprawy, nie budząc podejrzeń. Nikomu prócz ciebie. Sam to przecież przyznałeś. Jesteś lekarzem. Twoja praca polega na rozmowie z ludźmi. Nikt nie będzie się dziwił, że w ciągu jednego dnia widziano cię w trzech różnych miejscach lub że pytasz pacjentów, czym zajmował się twój poprzednik.

– Nie sądzę, by ten... lub ci, którzy odwiedzili twoją piwnicę, mieli ochotę ze mną rozmawiać, kiedy zapukam do ich drzwi.

– Słuchaj, Mads – przechyliła się nad stołem. – Wcale cię nie proszę, żebyś wytropił włamywacza lub mordercę. Zwracam się do ciebie z prośbą o pomoc w ustaleniu, czy moje podejrzenia tworzą spójną całość. Jeżeli tak jest, pozwolimy komuś innemu przejąć sprawę. Zanim to jednak nastąpi, muszę być absolutnie pewna, że nie zaszkodzię tej wyspie, udostępniając archiwum.

Mads skinął głową.

– Rozumiem – przyznał i odetchnął głęboko – ale nie mogę dać ci odpowiedzi na poczekaniu. Muszę się zastanowić.

Oparła się w krzesło z zadowoloną miną.

– Nie ma sprawy. Mam jednak nadzieję, że rozumiesz, jak ważne jest, żebyś nie się afiszował z tym, o czym rozmawialiśmy.

Mads znów przytaknął.

– Możesz mi zaufać.

Niedługo później pożegnał się z Line. Odprowadziła go na korytarz i długo mu się przyglądała, gdy wkładał kurtkę i buty. Kiedy był gotów do wyjścia, uniosła rękę, żeby go zatrzymać, cofnęła się kilka kroków i wyjrzała przez okno w stronę Hotelu Fiord.

– Droga wolna – powiedziała, kiwając głową.

Mads odpowiedział skinieniem i wyszedł.

Kiedy uruchomił silnik, odezwało się radio, ale wyłączył je, nim ruszył w drogę powrotną. Przyjemnie było choć raz posiedzieć w ciszy. Poza tym miał problem z ustaleniem, co właściwie sądzi na temat usłyszonej przed chwilą opowieści. Zaskoczyła go. Kartoteka, włamanie, wypadek, doktorat. Czy była to zuchwała teoria spiskowa, czy też dobrze ugruntowane podejrzenie? Nie mógł się zdecydować. Cała rzecz musiała ułożyć mu się w głowie.

Przypomniał sobie zgarbioną kobietę, z którą rozmawiał w Tranvikanie. Wspomniała coś o tym, że w ostatnim roku życia Caroliussen wydawał się udręczony. Charlotte również o tym napomknęła, ale nawet ona nie miała pojęcia, z czego mogłoby to wynikać. Tak czy owak ten fakt potwierdzał teorię, że stało się coś istotnego, coś, co skłoniło Starego Doktora do kapitulacji. Daleko było stąd jednak do konkluzji, że zmiana nastroju miała związek z założonym w piwnicy archiwum, nie mówiąc już o wypadku samochodowym.

Dotarł do zjazdu na drogę krajową i zahamował. Chociaż nie widział wokół żadnych innych aut, pozwolił, by silnik warczał na luzie. W głębi ducha czuł, że nie ma żadnych podstaw, by się w to mieszać. Nie ulegało wątpliwości, że obudziła się w nim ciekawość. Nie ulegało wątpliwości, że z chęcią przejrzałby zawartość innych teczek w piwnicy. Akta Valentyny Hjertås były jedną rzeczą, drugą zaś wszystko to, o czym jeszcze nie wiedział; wszelkie wątpliwe decyzje, które Stary Doktor podjął przez lata i które w ten czy inny sposób wpłynęły na jego pacjentów. Z drugiej strony nie miał pewności, czy odniesie korzyść zawodową, odkrywając te tajemnice. Jeśli zostanie na Hitrze dostatecznie długo, z czasem pozna większość bywalców przychodni. Jeśli zaś poczuje, że coś nie gra, może ze wzmożoną uwagą zlecić pobranie próbek i badania. Nic gorszego.

Dodał gazu i wyjechał na drogę. Nie, nic gorszego. Przed oczami stanęła mu Line Schönfelt. Rozumiał ją. Gdyby dokonał takiego odkrycia jak ona, również zaczęłby snuć domysły. Chodziło przecież o jej ojca. Człowieka, z którym – zważywszy na przeszłość – łączyły ją na pewno dość napięte stosunki. Niewykluczone, że wędrówka jego śladami stanowiła część procesu godzenia się z jego śmiercią. Niewątpliwie nie był otwartą osobą. Nawet wobec rodziny. Może zwierzał się ciotce, ale niewielu znało szczegóły ich relacji. Mads uderzył się w czoło. Helga Caroliussen. Próbowwała przecież się do niego dodzwonić. W natłoku innych spraw zapomniał się tym zająć. W środę podjął próbę odwiedzin, teraz zaś nastał już weekend. Zerknął

na zegar na tablicy rozdzielczej. Było już za późno na skontaktowanie się z osiemdziesięcioletnią staruszką, ale mógł zrobić to jutro. Przyhamował przed pierwszym rondem w centrum i spojrzął w kierunku przychodni. W jednym z okien budynku paliło się światło. Poczł przyplw ulgi, że to nie on siedzi teraz w gabinecie, po czym ruszył dalej szosą.

Mads przyglądał się sobotniemu słońcu wiszącemu nad skrawkiem morza, który widział z podjazdu. Najwyższy czas, żeby w końcu porządnie się rozpogodziło. Na dole, w centrum, zobaczył zielony samochód osobowy, który skręcił z szosy z taką prędkością, że aż nim zarzuciło, i wjechał na drogę przed garażem pogotowia. To musiała być Sissel Skogen. Kiedy zadzwonił rano do Opieki Pozaszpitalnej z pytaniem, czy byli już u Helgi Caroliussen, okazało się, że to właśnie ona pełni dziś dyżur. Odpowiedziała, że zgodnie z umową pielęgniarka miała odwiedzić staruszkę w piątek, ale zastała zamknięte drzwi. Użyła więc klucza i weszła do środka, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale dom był pusty.

– Pomyślałam więc, że do niej zajrzę – wyjaśniła Sissel. Kiedy spytał, czy może się przyłączyć, dała mu dziesięć minut na przygotowanie. Teraz jej samochód przetoczył się obok niego na drodze i zamasyżuje zakręcił przed świeżo odsnieżonym podjazdem Dahlów. Obchodząc auto, Mads stwierdził, że głucho dudnienie zestawu stereo brzmiało, jakby w środku była dyskoteka, ale na szczęście Sissel ściszyła dźwięk, gdy tylko wsiadł. Chwilę później samochód wystrzelił w dół z boczka.

– Miałbyś coś przeciwko temu, żeby wrócić taksówką? Jadę potem do Hestviki i mam zbyt napięty plan, żeby podrzucić cię do domu.

– Nie ma problemu. I tak świetnie, że mogę z tobą jechać.

Zapiął pasy. Auto zdążyło się już tak rozpędzić na wąskiej drodze, że cała kabina się trzęsła.

– Słyszałam, że w czwartek dałeś Ivarowi wycisk – Sissel zaśmiała się głośno i szturchnęła Madsa w bok. – Całe lato gadał tylko o dojściu do finału. Był dość przybity, kiedy się z nim wczoraj widziałam.

– Tak, ledwo mi się udało. Zdaje się, że miałem szczęście.

– Z tego, co słyszałam, to nie.

Mads poczuł, że pas wrzyna mu się w tors, kiedy Sissel zahamowała przed rondem. Emeryt w starszym modelu volvo zdążył wcisnąć się przed nią.

– Jeszcze mi tylko Starego Głørstada brakowało – westchnęła.

Mads przyglądał się jej, kiedy ślimaczym tempem wjechała na drogę. Energiczna Sissel dość wyraźnie kontrastowała z raczej flegmatycznym Anwarem, ale może to właśnie dlatego tak dobrze do siebie pasowali.

– Jak długo już jesteś z Anwarem?

– Na Wielkanoc będzie rok. Czemu pytasz?

Sissel dodała gazu i zjechała na przeciwny pas ruchu, musiała się jednak wycofać, gdy zza zakrętu wyłoniła się ciężarówka.

– W sumie postanowiłem nie wtrącać się do waszej zabawy w chowanego, ale czy nie zaczyna się ona aby trochę przeciągać?

Ciężarówka przetoczyła się obok z łoskotem. Sissel zjechała na środek drogi i wyjrzała do przodu, ale z naprzeciwka zmierzał ku nim sznur samochodów.

– Coś mnie trafia od takich guzdrałów – syknęła, chowając się znów za Starym Głørstadem. Zerknęła szybko na Madsa. – Rozumiem, co masz na myśli. Na początku sama od tego głupiałam. Nie trzymać się za ręce. Nie całować w miejscach publicznych. Parkować auto tam, gdzie to nie wzbudzi podejrzeń. I takie tam... Ale teraz w gruncie rzeczy do tego przywykłam. Właściwie prawie nie zwracam na to uwagi. Alternatywą nie jest po prostu *coming out*, wiesz? To bardziej skomplikowana sprawa.

– Tak?

Wjechali na kręty odcinek drogi. Sissel zerknęła z zawodem na wskazówkę prędkościomierza i zrezygnowana opadła na oparcie.

– Przez wiele lat byłam zaręczona z najlepszym kumplem Ivara. Aż nazbyt wiele lat. To był taki związek, który zaczął się w liceum i ciągnął, bo żadne z nas nie miało dobrego powodu, by go zakończyć. Oboje zostaliśmy zresztą na Hitrze. Ja poszłam na studia zaoczne z pielęgniarstwa, a on dostał pracę w firmie Marine Harvest, później zaś w Strømfjordzie razem z moim bratem... Może sam chodziłeś z kimś kiedyś na tej zasadzie? Gdy nic was w sumie nie łączy i z wolna wypala się w tobie wszelka energia do życia, a nie jesteś na tyle mądry, żeby się połapać, w czym rzecz.

Mads pokręcił głową.

– Tego nie powiem. Ale prawdę mówiąc, nie mam za sobą zbyt wielu związków.

Posłała mu prowokujące spojrzenie.

– Mniejsza z tym. W końcu zaczęło do mnie docierać, że muszę z tym skończyć. Po jakimś czasie zebrałam dość odwagi, by z nim zerwać, i związałam się ze Szwedem, który pracował w przetwórni krabów. Odechciało mu się jednak ze mną spotykać, kiedy pewnego wieczora mój brat i ekipa ze Strømfjordu spuścili mu łomot w Knarren. Mój były błagał, żebym do niego wróciła, ja zaś byłam na tyle głupia, że mu uwierzyłam... ale dopiero kiedy poznałam Anwara, zrozumiałam, że w prawdziwym związku chodzi o coś innego niż prawo własności i znaczenie terenu. Dlatego tym razem nie chcę ryzykować. Myślę, że zobaczymy, co pokaże czas. Swoją drogą, słyszałam, że miałaś wczoraj randkę?

Jej usta zadrżały.

– Plotki szybko się rozchodzą.

– Tak to już tutaj jest. Nic się nie ukryje – usłyszał, że zamruczała z zadowoleniem i rzuciła: – Ach, nareszcie.

Przed nimi ukazała się otwarta przestrzeń. Sissel skwapliwie zjechała na przeciwny pas. Samochód rozpedził się i zrównał z autem Starego Glørstada. Dziewczyna dwukrotnie nacisnęła klakson i pomachała kierowcy. Spod kaszkietu uśmiechnęła się do nich sędziwa twarz. Mads zdążył rozpoznać uśmiech, nim Sissel dodała gazu.

– Temu staremu piernikowi nie powinno się w ogóle przedłużać prawa jazdy. Chyba nie ty za to odpowiadasz?

Mads nie śmiał spojrzeć jej w oczy.

– Owszem – odparł. – Ja.

...

Ślady kół, pozostawione poprzedniego dnia przez auto pielęgniarki, tworzyły łuk przed domem Helgi Caroliussen. Podwórze przecinał też trop jakiegoś zwierzęcia, przypuszczalnie jelenia lub sarny. Mads wszedł w głęboki śnieg. Ślad prowadzący spośród drzew, który on sam wydeptał kilka dni temu, był teraz na wpół zasypany. Tak jak wtedy oświetlone było kuchenne okno na przedzie budynku. Sissel zatrzasnęła drzwi samochodu i ruszyła pierwsza przez podwórze.

– Wygląda tu całkiem spokojnie.

Mads poszedł za nią. Sissel kilka razy niecierpliwie nacisnęła dzwonek i się cofnęła.

– Helga nie jest najszybszą kobietą na świecie. Ale poza tym to miła osoba. Poznałeś ją? Pokręcił głową.

– Ale dzwoniła do ciebie, mam rację? Wiesz, czego chciała?

– Nie mam pojęcia.

Sissel postąpiła krok naprzód i kilkakrotnie zapukała do drzwi, ale zaczęła też już majstrować przy pęku kluczy, wiszącym jej przy pasku.

– Ciężko przeżyła śmierć siostrzeńca. Aldus niemal zastępował jej syna. – Klucz trafił do zamka. Sissel otworzyła drzwi i obróciła się do Madsa. – Rozejrzyjmy się.

Weszli do korytarza. Drzwi po prawej, prowadzące do kuchni, były otwarte.

– Halo, Helga!

Sissel stała, nasłuchując.

Mads zapatrzył się w lewo, w głąb korytarza. Przy ścianie stała zamrażarka. Tuż obok na kilku haczykach wisały klucze. Dalej znajdowały się drzwi. Wytarł buty i wszedł do środka. Podłogę pokrywała trawiastozielona wykładzina dywanowa. Na ścianie po prawej ujrzał zdjęcie Helgi Caroliussen ściskającej rękę króla Olafa. Podeszedł do drzwi i już miał je otworzyć, gdy usłyszał zza pleców głos Sissel:

– To drzwi do piwnicy. Chodź raczej tutaj.

Zobaczył, że dziewczyna przywołuje go gestem z kuchni i ruszył do niej. Błat kuchenny wyglądał na uprzątnięty. Nie było na nim filiżanek ani spodków. Sissel zdążyła już przejść do salonu, podążył więc za nią. Znalazł się przed dużym kominkiem. Tuż nad nim wisiał tykający zegar ścienny. Mads zwrócił się w stronę stołu jadalnianego. Na szydełkowym obrusie stała para świeczników, w których znajdowały się nieużywane świece. Trzasnęły drzwi i usłyszał Sissel, wołającą, że w sypialni nikogo nie ma. Już miał się odwrócić, kiedy jego wzrok padł na ścianę za stołem. Pokrywały ją fotografie – niektóre kolorowe, inne zaś czarno-białe. Rozpoznał jedno ze zdjęć, które widział w „Hitrze-Frøi”. Aldus Caroliussen w czasach młodości na nabrzeżu. Młody David Niven. Mads okrążył stół i podeszedł do ściany. Zdawało się, że zdjęcia rozmieszczono w kolejności chronologicznej. Było ich wiele: dwadzieścia, może trzydzieści – i na wszystkich widniał Stary Doktor w takich czy innych okolicznościach. Mads zauważył też pojedyncze wycinki z gazet. „Mieszkańcy Hitry najbardziej zadowoleni”, przeczytał napis nad zdjęciem, na którym Caroliussen przyjmował jakąś nagrodę. Przyjrzał się bacznie fotografii, przedstawiającej najwyraźniej młodą Helgę Caroliussen, ubraną w uniform pielęgniarki i z czepkiem na głowie. Przed nią stał chłopiec, którym musiał być siostrzeniec, Aldus. Po same uszy wtulił głowę w ramiona, a wzrok utkwiał nieśmiało w trawie.

– Tuż po wojnie stracił oboje rodziców – Sissel stanęła za plecami Madsa. – Opiekę nad nim przejęła wtedy Helga. Od dziecka pomagał w Domu Zdrowia i podobno już jako dwunastolatek odebrał swój pierwszy poród. Bliźniaki. Nie wiem, czy to tylko plotki.

Mads spojrzał na Sissel.

– Orientujesz się, gdzie może być Helga?

Pokręciła głową.

– A co z jej dozownikiem leków? – zapytał. – Jest tutaj?

– Masz nosa – przyznała i obróciła się na pięcie.

Mads udał się za nią do kuchni. Sissel podeszła do stojącej w kącie szafki i ją otworzyła.

– Stoi tu – powiedziała i zastygła w miejscu. – Boże, zaczynam się denerwować.

Obejrzała się na Madsa, a oczy miała duże i bezradne.

– Jesteś pewna, że nie ma jakiegoś sekretnego romansu... tak jak ty?

Sissel nie zaśmiała się z żartu.

– Nie, nie Helga. Ona taka nie jest... jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Mads odwrócił się i wyszedł znów na korytarz. Przystanąwszy, zapatrzył się na zdjęcie Helgi Caroliussen z królem Olafem. Zauważył teraz, że obok fotografii wisi dyplom. Za wkład w działalność Związku Sanitariuszek Helga zdobyła królewski złoty order zasługi. Podeszła do niego Sissel. Wyjęła telefon komórkowy i zaczęła gorączkowo krążyć po pomieszczeniu.

– Mam złe przeczucia. Zaczekaj tu!

Wyszła na schody. Mads stał w miejscu. Jego uwagę znów przykuły drzwi na końcu korytarza. Czy możliwe, że cała rodzina Caroliussenów miała równie zasobne piwnice? Podeszedł do drzwi i je otworzył: łuk schodów ginął w ciemności. W zimnym powietrzu unosił się zapach zgnilizny. Mads pomacał ścianę, na próżno szukając włącznika światła. Obrzucił wzrokiem okolice framugi – z tym samym skutkiem. Być może włącznik znajdował się w drodze na dół? Zszedł na pierwszy stopień i usłyszał, że drzwi zatrzasnęły się za nim. Otoczył go nieprzenikniony mrok. Niech to szlag. Znów dotknął ściany, ale było to zwykłe błądzenie na oślep. Zrobił kolejny krok, potem jeszcze jeden. Stawiając stopę po raz trzeci, poczuł coś pod podeszwą. But nagle poleciał do przodu i Mads pojął, że traci równowagę. Próbował złapać poręcz, którą zobaczył, jeszcze zanim drzwi się zamknęły, ale ręka trafiła w próżnię. Skulił się i pozwolił, by górna część jego ciała zamortyzowała upadek. Mimo to aż dech mu zapało, kiedy uderzył o ziemię i przetoczył się na bok. Leżał, oddychając gwałtownie i upewniając się, że wszystkie kończyny są na swoim miejscu. Tak było. Westchnął. Miał szczęście. Wielkie szczęście. Wtem uderzyła go pewna myśl. Czy to nie było miękkie lądowanie?

Na parkiecie piętro wyżej zabrzmiały szybkie kroki. Najwidoczniej Sissel usłyszała odgłos upadku. Mads przewrócił się na brzuch. Czyżby na czymś wylądował? Oparł się o stopnie schodów, chcąc się podnieść, gdy poczuł coś pod palcami prawej ręki. Przypominało to wełniste futro. Zdumiał się, ale zanim zdążył się poruszyć, drzwi się otworzyły i piwnicę zalało światło.

– Co tu się dzieje?

Głos Sissel przeszedł w krzyk. Mads spojrzał na swoją prawą rękę. To nie futro czuł pod palcami, lecz pukiel siwych włosów Helgi Caroliussen.

Część 3

Powinien powtarzać jeden rzut. I tyle.

Mads uniósł kulę prawą ręką i przeniósł ciężar ciała na lewą piętę. Dawno już zauważył, że do lokalu wszedł ubrany po cywilnemu Ove Forsnes. Komendant stanął na samym końcu za nieliczną gromadką gapiów i przyglądał się rozgrywce. Jego obecność wprawiała Madsa w niezadowolenie. Zrobił pierwszy krok na polu rozbiegu. Nie powinien teraz myśleć o Forsnesie. Musiał skupić się na celu, dla którego tu był, a mianowicie na ostatnim już rzucie. Kolejny krok: wyprostowane ramię wysuwa się naprzód, po czym jak najmocniej wykręca się do tyłu, wraca wahadłowym ruchem i kula, lekko podkręcona, zmierza do celu. O, tak.

Mads wyprostował się, a kula łagodnym łukiem potoczyła się po słomkowym parkiecie. Tak, tak. To był ten sam rzut, co wcześniej. Już widział, że kula powędruje zamierzonym torem. Stojący za nim tłumek również to zrozumiał. Widzowie zaczęli coraz głośniejsze gwizdać i skandować, po czym w chwili, gdy mur kręgli rozleciał się na wszystkie strony, wybuchł spontaniczny aplauz.

– Mecz wygrywa Heee-eelmeeee-eeer!

Ken pasowałby do roli dyrektora cyrku, kiedy tak rozpościerał ręce. Mads z wdzięcznością skinął głową w stronę publiczności, po czym zbliżył się do przygnębionego przeciwnika i ujął go za rękę. Kątem oka zauważył, że Forsnes nie ruszył się z miejsca, podczas gdy inni tłoczyli się, by przejść w głąb lokalu. Komendant nie potrudził się nawet, by zdjąć granatową wiatrówkę. Kraciastą koszulę zapiął tak ciasno na szyi, że kołnierzyk ściągał skórę pod jabłkiem Adama. Nawet po cywilnemu zdawał się umundurowany.

Mads usiadł na jednym z plastikowych krzeseł, stojących przed polem rozbiegu i zsunął ze stóp buty do bowlingu. O ile się nie mylił, wizytę komendanta zawdzięczał znalezieniu ciała Helgi Caroliussen.

– Ciągle pan zaskakuje, panie Helmer! Gratuluję!

Podniósłszy wzrok, Mads wprost przed sobą ujrział wydatny brzuch Kena. By nawiązać kontakt wzrokowy, musiał się odchylić, aż dotknął plecami oparcia.

– Dziękuję.

– Przy dwóch wygranych przeciwko murowanym faworytom, i to jednego dnia, nie może być mowy o samym szczęściu! Podobno ktoś wywinął panu numer, zapisując pana na turniej?

– Zgadza się.

– Hmm... – Ken oparł ręce na biodrach i rozejrzał się na boki. – To był dobry mecz.

A w przyszłym tygodniu będzie jeszcze lepiej. Właśnie zapewnił pan sobie miejsce w ćwierćfinale. Jeśli wynik jutrzejszego spotkania będzie zgodny z oczekiwaniami, to zagra pan przeciwko Ågemu Fjellvaerowi! Rozumie pan? Obecnemu mistrzowi!

Mads włożył buty. Mimochodem odnotował, że Forsnes przeszedł przez salę i stanął na baczność kilka metrów od nich. Swoją postawą komendant wyraźnie sugerował, że zamierza tak stać, dopóki nie zwróci na siebie uwagi, po którą tu przyszedł.

Ken nachylił się poufnie do Madsa i ściszył głos.

– Ma pan coś przeciwko, żebym użył pańskiego nazwiska we wtorkowym ogłoszeniu w „Hitrze-Frøi”? Lekarz kontra szef zespołu ratownictwa medycznego. Będzie większy rozgłos, no, wie pan.

– Nie ma sprawy.

– Świetnie, panie Helmer, świetnie!

Mads usłyszał chrząknięcie i obrócił się. Nie umiał sobie odmówić przybrania zdumionej miny na widok komendanta.

– Nie wiedziałem, że jest pan fanem gry w kręgle?

Forsnes ani drgnął.

– Musimy porozmawiać.

– O czym?

Komendant zerknął na Kena, który natychmiast uniósł obie ręce.

– Tak, tak, już mnie nie ma. Proszę jednak pamiętać, że zamykamy lokal, więc dobrze by było, żeby panowie przenieśli pogawędkę gdzie indziej.

Mads skinął głową.

– Możemy porozmawiać w przychodni.

Umieścił buty do bowlingu w torbie i poszedł po kulę. Spojrzenie, jakie rzucił mu Forsnes, kiedy zasuwiał zamek błyskawiczny, dowodziło, że przychodnia jest ostatnim miejscem, w którym chciałby przeprowadzić rozmowę. A może wyrażało po prostu właściwy komendantowi upór? Forsnes lubił wydawać rozkazy, nie zaś je wykonywać.

Nagły brzęk sprawił, że Mads podniósł wzrok. Ken demonstracyjnie wyjął pęk kluczy i szedł przez salę w stronę drzwi wejściowych. Mads zarzucił torbę na ramię i wskazał ręką wyjście.

– Pan pierwszy, Forsnes.

Zauważył drgnięcie mięśni wokół lewego oka komendanta. To wystarczyło, by zrozumieć, że wygra tę rundę. Chwilę później Forsnes odwrócił się po wojskowemu i ruszył prosto do wyjścia.

Kiedy Mads zadzwonił na komendę z domu Helgi Caroliussen, zgłosił się policjant z dialektem ze wschodniej części kraju. Życzliwymi pomrukami potwierdzał przyjęcie kolejnych informacji, kiedy Mads opowiadał mu o odkryciu na schodach piwnicznych.

– Są jakieś ślady włamania? – zapytał, wysłuchawszy opowieści do końca.

– Ja żadnych nie widzę.

– Jak pan się dostał do domu?

– Dzięki kluczowi pielęgniarki z Opieki Pozaszpitalnej.

– Mhm... Czyli drzwi były zamknięte. Czy zmarła miała na wyspie rodzinnej?

– Nie sądzę. Z tego co się orientuję, Stary Doktor był jej ostatnim żyjącym krewnym.

– Mhm.

Zaległo kilkusekundowe milczenie. Mads słyszał w słuchawce stukanie w klawiaturę.

– Jest pan tam, panie Helmer?

– Tak.

– To mi wygląda na zwykły wypadek domowy. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, przekażę sprawę pogotowiu.

Mads wziął oddech. Nie był pewien, czy robił właściwie, czuł jednak, że nie ma wyboru.

– Dobrze by było, żeby pan tu przyjechał.

I znów zapadła cisza. Tym razem nie było słychać odgłosów pracy przy komputerze.

– Mhm – mruknął wreszcie funkcjonariusz. – Wobec tego będę tam w ciągu pół godziny.

Czy mógłby pan przypomnieć mi adres?

Mads usiadł w kuchni i czekał. Przez okno widział, jak samochód Sissel odjeżdża po stromym zboczku, by zniknąć między drzewami. Odnalezienie zwłok Helgi bardzo nią wstrząsnęło, nie miała jednak czasu, żeby z nim posiedzieć. Jej plan rzeczywiście był napięty. Osuszyła łzy i ruszyła do drzwi.

Mads westchnął i opadł na oparcie krzesła. W zasadzie nie miał nic przeciwko odrobinie samotności. Wręcz przeciwnie. Potrzebował czasu, by przemyśleć sytuację, zanim zjawi się policjant, i wyrobić sobie zdanie na temat tego, co tu zaszło. Musiał też zastanowić się, co

powiedzieć. Bo co właściwie mógł zakomunikować funkcjonariuszowi? Niewiele. Obiecał, że nie zdradzi niczego, co usłyszał o Starym Doktorze, a właśnie te informacje mogłyby w tym wypadku się przydać. Chociaż... czy na pewno?

Próbował wyobrazić sobie Helgę Caroliussen na schodach piwnicznych. Na pierwszy rzut oka wiele wskazywało na to, że zginęła wskutek nieszczęśliwego wypadku. Włącznik światła znajdował się dość daleko na ścianie, po przeciwnej stronie od miejsca, w którym szukał go Mads. Starsza kobieta mogła potknąć się na progu i polecieć głową w dół, a drzwi zamknęłyby się za nią. Mogła ponieść natychmiastową śmierć, uderzywszy o stopień, albo umrzeć jakiś czas później, nie będąc w stanie się podnieść z powodu doznanych obrażeń. Faktem było, że większość wypadków zdarzała się w domu, śmierć staruszki mogła zaś służyć za dowód. Z drugiej strony tyle rzeczy wskazywało na coś diametralnie innego... Helga chciała z nim porozmawiać. Czy mogło to łączyć się z wczorajszą opowieścią Line Schönfelt? Ze śmiertelnym wypadkiem siostrzeńca lub sekretnym archiwum? Przypomniał sobie obwieszoną zdjęciami ścianę w salonie. Na wszystkich widniał Aldus Caroliussen. Helga traktowała go raczej jak syna niż siostrzeńca. Jeżeli zwierzył się komuś na wyspie, to na pewno jej. Nie było to w każdym razie nieprawdopodobne. A nawet jeśli nie wiedziała o wychowanku wszystkiego, z całą pewnością wielu rzeczy się domyślała.

Zdażył już odrzucić teorię, którą przedstawiła mu Line, jako nazbyt konspiracyjną, ale to, co się stało, obudziło w nim nagłe wątpliwości. Czyżby w twierdzeniu, że ktoś usiłował coś zatuszować, kryło się ziarno prawdy? I czy możliwe, że Helgę Caroliussen usunięto w ramach próby ukrycia faktów? Ogarnęło go to samo nieprzyjemne uczucie, którego doznał poprzedniego wieczora. Zbyt wiele tu było przypadków. Musiała łączyć je jakaś zależność.

Zapatrzył się przez okno na małe podwórko, jakby zatopione w krajobrazie. Nikt by nie zauważył, gdyby ktoś złożył tu wizytę. Sam przecież widział świeże ślady kół, kiedy w środę wieczorem zapukał do drzwi. Helga Caroliussen zadzwoniła do przychodni rano. Teoretycznie ktoś miałby więc dość czasu w ciągu dnia, żeby pozbawić życia starą, niedołączną kobietę. Spojrzał w stronę korytarza. Helga mogła sama wprowadzić tu jedną lub więcej osób – przy czym pielęgniarka zastała wczoraj zamknięte drzwi. Oznaczałoby to, że ten lub ci, którzy tutaj byli, zamknęli za sobą dom. Być może mieli własny klucz, równie dobrze mogli jednak posłużyć się kluczem wziętym stąd. Mads wstał i przeszedł przez pokój. Przypomniał sobie, że na ścianie w korytarzu widział haczyki z kluczami. W rzeczy samej. Trzy klucze na dwóch haczykach. Jeden najpewniej otwierał szafę lub inny mebel. Drugi wyposażony był w małą czerwoną przywieszkę z plastiku. Mads uniósł ją i zobaczył na niej napis „Dom lekarza”. Tylko ostatni klucz mógł więc pasować do zamka w drzwiach. Zdjął go z haczyka i zerknął na jego główkę. Wykonała go firma TrioVing. W metalu nie wygrawerowano żadnych cyfr, nie był to więc klucz systemowy. Nie towarzyszyły mu też inne klucze. Otworzył drzwi wejściowe i włożył go do zamka po zewnętrznej stronie. Klucz gładko wśliznął się do środka. Mads chciał go przekręcić, ale napotkał opór, wyjął klucz, włożył go ponownie i spróbował jeszcze raz. Klucz nie pasował do zamka. Mads poczuł, że w piersi rozlewa mu się nieprzyjemne uczucie. Jego wzrok przesunął się po ścianach i meblach w korytarzu. Nie było tu więcej kluczy. Klucz Helgi Caroliussen do drzwi wejściowych zniknął.

Funkcjonariusz policji okazał się znacznie młodszy, niż Mads wnosił z nieomal nużąco statecznego głosu w telefonie. Był barczystym mężczyzną o dobrotliwym wejrzeniu i naturze, którą najwyraźniej nie mogło wstrząsnąć odkrycie czegoś tak trywialnego jak zwłoki. Zszedł po wąskich schodach piwnicznych ze spokojem, który dowodził, że w ciągu swej krótkiej kariery dość już się napatrzył na martwych ludzi.

– Wygląda na to, że ciało leży tu już kilka dni – rzekł, odgarniając palcem siwe loki

z twarzy zmarłej. – To pewnie zasługa zimnego powietrza w piwnicy, że nie zaczęło jeszcze cuchnąć.

Mads przyjrzał się nabrzmiałej twarzy Helgi Caroliussen. Zrezygnował z dokładniejszych oględzin zwłok. Nie znał się na zmarłych. Do gruntowniejszych badań potrzebował pomocy, którą mógł uzyskać tylko przy udziale policji. Problem w tym, że nie mógł zdradzić wszystkiego, co wiedział. Dał słowo.

– Jak wspominałem panu przez telefon, pani Caroliussen kontaktowała się z naszą centralą w środę. Byłem tu wieczorem i dzwoniłem do drzwi, ale nikt mi nie otworzył.

– Mhm... – policjant z namysłem skinął głową. – Czyli musiała spać ze schodów później, w środę. Chyba że jest pan innego zdania?

Funkcjonariusz posłał mu badawcze spojrzenie. Mads przełknął ślinę. Jeśli będzie ważył słowa, być może uda mu się przez to przebrnąć.

– W zeszłym tygodniu Helga Caroliussen dzwoniła jakieś trzy, cztery razy, ponieważ chciała porozmawiać ze mną w cztery oczy. Mam powody podejrzewać, że chodzi o sprawę natury kryminalnej. Tymczasem nie mogę jednak powiedzieć nic więcej, bo to poufna informacja.

Policjant natychmiast przybrał sceptyczny wyraz twarzy.

– Aha – rzucił i uniósł brwi na znak, żeby Mads kontynuował.

– Jeśli zechce pan pójść ze mną na górę, coś panu pokażę.

Mężczyzna skinął głową i ruszył w ślad za nim do korytarza. Mads otworzył drzwi wejściowe, wskazał ślady na śniegu i wyjaśnił, w czym rzecz. Potem zademonstrował policjantowi, że żaden z wiszących na ścianie kluczy nie pasuje do zamka. Kiedy skończył opowieść, funkcjonariusz długo stał, wbijając wzrok w przestrzeń. Mięśnie szczęki poruszały się w górę i w dół, wskazując, że myślał intensywnie.

– To wprawdzie za mało, ale pańska teoria jest przynajmniej możliwa do zweryfikowania. Wypytując sąsiadów, zapewne zdołamy ustalić, czy ktoś odwiedzał panią Caroliussen, a o tym, czy zestaw kluczy jest w domu, przekonamy się, przeszukując pokoje. Jeśli chodzi o zwłoki...

Wziął krótki oddech. Mięśnie szczęki pracowały intensywnie pod skórą policzków.

– Co z nimi?

– Taaa, nie będę się chwalił udziałem w wielu śledztwach w sprawach zabójstw, ale podczas służby w Oslo to i owo obilo mi się o uszy. Jeżeli starszą kobietę, w tym wypadku panią Caroliussen, naprawdę zepchnięto ze schodów, to jej ciało powinno nosić ślady walki. Siniaki na skórze, zadrapania, może nawet fragmenty skóry napastnika pod paznokciami. Tego typu rzeczy. Wykaże to sekcja. Biegli mogą również stwierdzić, czy zginęła na skutek upadku, czy też była martwa już wcześniej, powiedzmy dlatego, że napastnik uderzył ją w głowę i zrzucił ze schodów, chcąc upozorować wypadek.

– Krótko mówiąc, mam zlecić sekcję zwłok?

– Zgadza się. Musi to jednak nastąpić za pośrednictwem Forsnesa. Ostatecznie to on zarządza komendą i kontroluje budżet.

Mads westchnął. Innymi słowy, nie mógł liczyć na to, że sekcja dojdzie do skutku. Rozejrzał się. Gdyby były tu ślady walki, oznaki włamania... Zdawało się jednak, że wszystko stoi na swoim miejscu. Sprawdził to już wiele razy.

Usłyszał chrząknięcie i napotkał spojrzenie policjanta.

– Wydaje mi się, że wiem, o czym pan teraz myśli. Forsnes nie lubi szastać pieniędzmi. Wątpię, czy zechce śledztwo na podstawie informacji, które mi pan dotąd przekazał, o ile nie zechce pan zdradzić więcej na temat tego, co określa pan jako poufne... – umilkł, westchnął i wbił wzrok w podłogę. – Istnieje jednak inna możliwość związana z sekcją...

Ove Forsnes szedł dwa kroki za Madsem przez plac w stronę przychodni – tak jakby chciał mu zademonstrować, że nie są w dobrych stosunkach. Mads nie komentował, po prostu skierował się ku wejściu od strony pogotowia i dalej korytarzem w głąb budynku. Kiedy otworzył drzwi gabinetu, Forsnes prześliznął się obok niego i stanął na środku pokoju.

Mads minął komendanta i usiadł w fotelu za biurkiem.

– W czym mogę pomóc?

– Doskonale pan wie. Kolega powiedział mi, że zlecił pan sekcję Helgi Caroliussen w szpitalu w Orkdalu. Rozumiem, że to jedna z pańskich sprytnych sztuczek, by uniknąć rzeczowej oceny na komendzie.

Mads ze wszystkich sił starał się zachować spokój. Niczego nie zyska, drażniąc Forsnesa jeszcze bardziej.

– Skontaktowałem się z lokalnym oddziałem zakładu ubezpieczeń społecznych i rozmawiałem z niejakim Fløterudem. Zgodził się zapłacić za sekcję, podejrzewałem bowiem, że pan odmówi. Może pan mówić o sprytniej sztuczce, ale zrobiłem to, żeby ustalić faktyczną przyczynę śmierci Helgi Caroliussen.

– O, tak, bo z tego, co słyszałem, ma pan pewne podejrzenia – na usta Forsnesa wypełził napięty uśmiezek. – Niech mi pan powie, Helmer, co to za bzdura z tymi poufnymi informacjami? Czy to pańska metoda, by skłonić nas do podjęcia śledztwa? Jeśli tak, to może pan sobie darować. Nie zamierzam ruszyć palcem w tej sprawie, dopóki jedynymi dowodami, jakie pan przedstawia, będą zaśnieżony ślad opon i klucz, który może jest, a może go nie ma.

W odpowiedzi Mads wolno skinął głową.

– Czy w takim razie może mi pan zdradzić swoje informacje?

– Dobrze pan wie, że nie mogę.

Forsnes znów rozciągnął usta w uśmiechu. Nie promieniowała z niego życzliwość.

– No to nie – zacerpnął powietrza, nie odrywając oczu od Madsa. – Swoją drogą, zadzwonił do mnie niejaki Stig Inge Løken z „Hitry-Frøi”. Rozmawiał z Sissel Skogen z Opieki Pozaszpitalnej i dowiedział się, że Helga Caroliussen zginęła w tajemniczych okolicznościach. Chciał wiedzieć, dlaczego nie zamierzamy wszcząć śledztwa, skoro lekarz rejonowy uważa, że mogło dojść do przestępstwa. Zrobiłem, co mogłem, żeby oddramatyzować całą sprawę, ale pytanie brzmi, czy nie jest za późno. Zanim się obejrzymy, będziemy pewnie mieli artykuł na pierwszej stronie i plotkę, że po wyspie krąży tajemniczy typ, który pozbawia życia samotne staruszki. Jak pańskim zdaniem odbiorą to ludzie?

Mads spuścił wzrok. Wyglądało na to, że niewiele uchodziło uwadze Løkena. W tym wypadku musiał przyznać Forsnesowi rację. Zabójstwo Helgi Caroliussen było na razie tylko hipotezą. Zresztą, niczego by nie zyskał, gdyby informacja wyciekła.

– Zadzwonię do Løkena i zdementuję pogłoski.

– A sekcja...?

Mads rozłożył ręce.

– Poczekamy, zobaczymy.

Forsnes wydał cichy pomruk. Powoli uniósł prawe ramię i wycelował w Madsa palec wskazujący.

– Proszę uważać, panie Helmer. Prędzej czy później będzie pan potrzebował mojego wsparcia i nie mogę panu obiecać, że je pan uzyska.

– W takim razie czuję się ostrzeżony.

Komendant opuścił ramię i przez chwilę wpatrywał się w niego nieruchomo.

– Dobrze – rzekł wreszcie. – Zatwierdzam sekcję zwłok w tej sprawie. Potem zaczekamy na odpowiedź. Teraz, przed świętami, potrwa to pewnie tydzień lub dwa. W razie wykrycia

nieprawidłowości przyjrę się zająci bliżej, pod warunkiem, że stawi się pan na komendzie i zdradzi nam swoją wiedzę. Ale jeśli okaże się, że Helga Caroliussen zmarła śmiercią naturalną... – Forsnes po raz pierwszy zdobył się na zadowolony uśmiech. – Wówczas uznam, że wykorzystał pan dozwoloną liczbę wpadek.

Po wyjściu komendanta Mads siedział, gapiąc się w ścianę. Miał wrażenie, że wprawił w ruch śnieżną kulę, która rosła i rosła, aż stracił nad nią kontrolę. Na przekór wszystkiemu Forsnes przystał na sekcję zwłok, on zaś w zależności od jej wyników zobowiązał się wyjawić, co wiedział. Byłoby to jedyne rozsądne rozwiązanie. Nie był jednak pewien, czy Line się z nim zgodzi. I co miał począć z teczką Forsnesa w piwnicy? Jak zareagowałby komendant na wieść, że jego machlojki zostały udokumentowane? Niezły pasztet.

Mads wstał i zaczął krążyć po gabinecie. Forsnes powiedział, że wyniki sekcji przyjdą za tydzień lub dwa. Przez ten czas powinien lepiej się zorientować w sytuacji. A może nawet udałoby mu się przekonać Line do wyłożenia kart na stół? Oznaczało to jednak, że musiał przystać na jej propozycję. Stał i nie ruszając się z miejsca, wyjrzał przez okno. Nie mógł się wycofać. Czuł to całym sobą.

Wzgórze za Starym Fillan nazywano Fillheią. Pokrywała je nowsza zabudowa w najwyższej klasie cenowej na Hitrze. Stojące na stromym południowym zboczach domy były dobrze schowane między drzewami i nieckami. Przy ostatniej wizycie w Domu Lekarza Line zaproponowała mu, żeby następnym razem wybrał drogę za Muzeum Wybrzeża, prowadzącą właśnie przez Fillheię. Mógł zaparkować samochód przy dróżce do posiadłości starej pani Lorentzen, która cierpiała na zaawansowane stadium stwardnienia rozsianego, a ponieważ siedziała na wózku inwalidzkim, rzadko lub zgoła nigdy nie spędzała czasu poza domem. Ścieżka zakręcała pod drogą. Samochód Madsa nie byłby widoczny ani dla przejeżdżających nią ludzi, ani z okien pani Lorentzen.

Kiedy zaparkował i wysiadł, zaczęło się już ściemniać. Mimo to z łatwością zauważył ścieżkę między drzewami. Przeskoczył zaspę na poboczu i stwierdził, że pokrywa śnieżna jest w stanie go unieść. Stąd wystarczyło już tylko zejść sto metrów w dół po stromym zboczach, żeby trafić na tyły domu Caroliussena. Mads wszedł między drzewa i zobaczył, że ścieżka przecina zachodni róg ogrodu pani Lorentzen. Z miejsca, w którym stał, miał dobry widok na jej dom. We wszystkich oknach panowała ciemność, wyjąwszy słabe światło w salonie na piętrze nad werandą. Zrobił kilka szybkich kroków i znów skrył się między drzewami.

Przez weekend tylko raz rozmawiał z Line, tuż po spotkaniu z policjantem. Nie wspominał ani słowem o zleconej sekcji, opowiedział jej tylko, co odkrył i co o tym sądził. Kiedy skończył, Line długo milczała. Wreszcie usłyszał w słuchawce ciężkie westchnienie.

– Nie podoba mi się to, Mads.

W jej głosie wyraźnie pobrzmiwał strach. Miał teraz nadzieję usłyszeć, że jej zdaniem to wystarczający dowód i że muszą zawiadomić policję o archiwum. Zamiast tego powtórzyła tylko:

– Nie podoba mi się to.

I znów przez długą chwilę milczeli. Zrozumiał, o czym myśli Line, i w końcu się odezwał.

– Spokojnie. Nikomu nie powiedziałem.

– Mam taką nadzieję.

– Wyjaśnij mi coś. Helga Caroliussen dzwoniła kilka razy do przychodni i próbowała się ze mną skontaktować. Wiesz może, czego chciała?

– Niece – Line długo się wahała. – Na pogrzebie prawie z nią nie rozmawiałam. Nigdy mnie nie lubiła.

W jej głosie zabrzmiało oczekiwanie. Mads rozparł się w fotelu biurowym i czekał, aż Line zada mu pytanie, które – o czym oboje wiedzieli – było nieuchronne.

– Zastanawiałeś się już nad tym, o czym rozmawialiśmy?

Odetchnął ciężko. Tymczasem musiał połączyć z nią siły – dopóki nie przekona jej do jedynej słusznej decyzji.

– Wchodzę w to.

Wyłoniwszy się z lasu, stanął. Było ciemno, jednak ze szczytu stromizny mógł wypatrzeć zarysy zatoki od Hotelu Fiord aż po przystań oraz bloki mieszkalne za Centrum Zdrowia. Zaczął ostrożnie zstępować po zboczach. Śnieg pokrył się warstwą lodu, ale na najbardziej stromych partiach radził sobie, wspierając się jedną ręką. Na dole ścieżka wiodła wzdłuż zachodniej ściany domu Caroliussena. Mads wskoczył w śnieg i okrążył budynek. W oświetlonym pokoju na piętrze przesunął się cień. To musiała być Line. Kiedy podszedł do drzwi wejściowych, wystarczył mu rzut oka na framugę, by stwierdzić, że nie są zamknięte na klucz. Mimo to zadzwonił i poczekał. Niedługo później usłyszał kroki na schodach, po czym drzwi się

otworzyły.

Kiedy wszedł do przedsionka, Line trzymała w ramionach pudło z segregatorami.

– Doktorat – wyjaśniła, obracając pudło. – Zaniosę je do starego gabinetu ojca, żebyśmy mieli łatwiejszy dostęp do materiałów.

Zniknęła w głębi domu. Tymczasem Mads odwiesił kurtkę. Niezbyt mu odpowiadało, że dał się w to wciągnąć. Ale nie należało teraz zaprzętać sobie głowy powodem, z którego tu był. Powinien raczej skupić się na tym, żeby jak najwięcej dowiedzieć się o Starym Doktorze.

Line wróciła i stanęła przed nim – nieco bliżej, niż się spodziewał. Wsunęła ręce do tylnych kieszeni obcisłych dżinsów, uśmiechając się sugestywnie.

– Dobrze, że przyszedłeś. Czasami boję się być sama w domu, kiedy pomyślę, że ktoś się tu włamał. Nad czym się zastanawiasz?

– Sądziś, że przyszli z Fillhei? – zapytał. – To znaczy, ci włamywacze?

Spojrzenie Line przez chwilę zastygło, tak jakby zaimponowała jej jego domyślność.

– Jest to jakaś myśl – przyznała, po czym wyciągnęła rękę i pogładziła go po ramieniu. – Jestem ci bardzo wdzięczna za to, że chcesz mi pomóc.

Mads wzruszył ramionami.

– Muszę przyznać, że nie bardzo wiem, do czego miałbym się przydać.

– Możesz pomóc mi w zrozumieniu niepowiązanych ze sobą wątków.

– W takim razie przydałoby się, żebyśmy przeanalizowali wszystko od początku.

Wszystko, co zdarzyło się od dnia twojego przyjazdu na wyspę. Poza tym muszę przyjrzeć się bliżej zawartości archiwum.

Wreszcie odstąpiła o krok. Przypatrzył się jej. Odkąd przystał na propozycję Line, jej ton zauważalnie złagodniał. Stał się niemal przypoehlebny. Nie, naprawdę musiał wyzbyć się wszelkich nadziei. Jak sama stwierdziła, zależało jej na jego pomocy.

– Ty tu rządzisz – odparła i wskazała schody. – W takim razie zaczynamy na dole.

...

Mads siedział w piwnicy plecami do ściany i przyglądał się papierom rozrzuconym na podłodze. Kiedy już szczegółowo przeanalizowali opowieść Line, córka Caroliussena zostawiła go samego. Nie dopatrzili się niczego, co rzuciłoby nowe światło na zdarzenia ostatnich dni.

Line przyjechała do domu ojca w piątek przed pogrzebem. Nie miała klucza, najęła więc ślusarza, żeby otworzył drzwi zewnętrzne i wymienił zamki. Pierwszego wieczora wcześniej się położyła, w związku z czym dopiero następnego ranka zauważyła wybitą szybę w oknie gabinetu na piętrze. Zrozumiała, że doszło do włamania. Przeszła przez wszystkie pokoje na parterze i piętrze, nie dopatrując się oznak kradzieży, przetrząśniętych szaf ani szuflad. Potem pomyślała o piwnicy: tam odkryła kartotekę. Ścieżkę, prowadzącą po zboczu na tyły budynku, spostrzegła, kiedy wyszła na zewnątrz, by przyjrzeć się bliżej rozbitemu oknu. Znajdowało się ono półtora metra nad ziemią i jeśli tylko włamywacz zaopatrzył się w drabinkę albo jakąś podstawkę, wejście do środka nie stanowiło problemu. Na śniegu nie widać było śladów, ale to akurat nie powinno dziwić, zważywszy na to, że przez ostatnie dni panowała śnieżycą. Ścieżka na zboczu była wprawdzie wyraźna, używało jej jednak wielu ludzi, by z Fillhei dostać się do Starego Fillan. Line poszła nią aż do drogi. Zapukała do drzwi pani Lorentzen i wypytała ją ostrożnie, czy kobieta nikogo nie widziała ani nie słyszała – ale staruszka ewidentnie nie śledziła uważnie tego, co działo się poza murami jej domu. Line podziękowała zatem i wróciła do siebie.

Mads westchnął i oparł głowę o ścianę. Nie miał pojęcia, od czego zacząć. Jego spojrzenie przesunęło się po papierach. Ktoś zdawał sobie sprawę z istnienia archiwum. W jaki

sposób dowiedział się o nim i jego lokalizacji, trudno było powiedzieć. Stary Doktor mógł się wygadać albo świadomie zwierzyć się zaufanemu, który przekazał informację dalej. Plan budynku był zapewne dostępny w takim czy innym urzędzie. Ktoś musiał też pomóc zbudować archiwum. Innymi słowy, istniało mnóstwo sposobów, by złodzieje uzyskali informacje, których potrzebowali, żeby się tu dostać.

Mads zapatrzył się na puste regały i jego uwagę znów przykuły przyklejone literki. Usiadł prosto. Dlaczego właściwie włamywacze przewrócili tu wszystko do góry nogami? Gdyby ktoś chciał wynieść któryś ze skoroszytów, wystarczyło kierować się porządkiem alfabetycznym. Prosta sprawa. Skoro teczki zepchnięto na podłogę, sprawcy musieli mieć ku temu powody. Niewykluczone, że chcieli utrudnić rozeznanie, co ze sobą wzięli. Ale komu? To wyjaśnienie niezbyt pasowało do teorii, że włamanie było próbą zatuszowania faktów. Wtedy bowiem starano by się o większą dyskrecję. Tak czy owak wszystkie półki na wysokości ramion Madsa były puste. W środkowym regale, gdzie znajdowały się akta osób o nazwiskach zaczynających się na litery F, G i H, większość teczek stała na swoim miejscu. W zasadzie nie ogołocoło również półek opatrzonych literami E, O i P.

Mads poczuł, że drętwieją mu nogi. Musiał wstać. Dreptał w miejscu, żeby pobudzić krążenie. Czyżby wszystkie te wydarzenia łączyła inna zależność? Ale jaka? Odpowiedź na to pytanie miał tuż przed nosem, tego był pewien.

Zwrócił się do regału oznaczonego literą S. Większość teczek zrzucano z półek na podłogę. Powinien zacząć szukać informacji tam, gdzie wiedział, że coś jest na rzeczy. Obecnie był to jedyny sposób na progres. Ostrożnie przeszedł po podłodze i wyjął lateksowe rękawiczki, które tego dnia zabrał z przychodni. Musiał liczyć się z tym, że prędzej czy później ktoś przyjdzie tu zbadać zawartość kartoteki, w związku z czym nie powinien zostawiać zbyt wielu odcisków palców ani pogłębiać chaosu. Ukląkł i zaczął ostrożnie odgarniać papiery. Potrzebował mniej więcej dziesięciu minut, żeby wypatrzeć nazwisko, którego szukał, na okładce dość sfatygowanej, pożółkłej teczki. W rubryce z danymi pacjenta napisano „Jakob Sølvestad, ur. 15.03.1943”. Poniżej tuszem innej barwy dodano kolejne nazwisko. „Irina Mikhailova Sølvestad, ur. 14.07.1975”. A więc to nie akta małżeństwa Sølvestadów interesowały włamywaczy, pomyślał Mads, i otworzył teczkę na pierwszej stronie.

Kiedy wreszcie wyszedł z piwnicy, udał się do gabinetu Starego Doktora. Przed biurkiem piętrzyły się pudła z książkami, czasopismami i skoroszytami. Na blacie pod lampką leżał otwarty segregator. Mads usiadł na starym fotelu biurowym, przechylił się do tyłu i usłyszał przyjemne trzeszczenie podstawy. Splótł ręce za głową i zapatrzył się przed siebie. Jego myśli krążyły wokół historii małżeństwa Sølvestadów. Była obszerniejsza, niż sądził. Stary Doktor nie żałował czasu na szczegółowe omówienie przeszłości Jakoba Sølvestada w poświęconym mu dokumencie. A źródła, z których korzystał, musiały być bogate. Sølvestad wychował się w wiosce Veiholmen na Smøli, w gospodarstwie położonym zaledwie pół kilometra od domu rodzinnego Aldusa Caroliussena. Chodzili razem do gimnazjum, razem uprawiali sport i grali w szkolnej orkiestrze. Reminiscencje z życia Sølvestada miały charakter dynamicznych epizodów, z powieściową dramaturgią. Kto wie, czy Stary Doktor nie miał kiedyś ambicji literackich. Może to właśnie potrzeba opisywania swoich przeżyć skłoniła go do katalogowania notatek. I tak powstało archiwum.

Mads próbował wyobrazić sobie Smøle. Nigdy tam nie był, słyszał jednak, że wysepka jest bardziej wietrzna i jakieś trzy razy mniejsza od Hitry. Mieściła się na niej ogromna elektrownia wiatrowa, która zainspirowała mieszkańców Hitry do budowy własnej siłowni wiatrowej na równinie na zachód od Fillan. Ale przede wszystkim mieszkańcy Smøli mieli inną mentalność. Byli bardziej religijni. Nauczanie Kościoła okazało się tam skuteczniejsze, podobnie

jak na wybrzeżu Møre. Mads usłyszał raz od starszego pacjenta opowieść o Hitrze w czasach świętego Olafa. Mężczyzna powiedział mu, że starzy poganie schronili się w okolicach Strømfjordu, w północnej części wyspy – i z jakiegoś względu nikt ich nie prześladował, nawet po tym, jak reszta Norwegii przyjęła chrześcijaństwo. Poganie pozostali na Hitrze i zdaniem pacjenta ten fakt sprawił, że mieszkańcy wyspy wyróżniali się na tle okolicznej ludności.

Trudno powiedzieć, czy historia była zgodna z prawdą, czy nie, ale bezbożność miejscowych zszokowała Jakoba Sølvestada, kiedy jako dziecko przyjechał na Hitrę. Ludzie kłęli i grali w karty, tańczyli i nie kryli się z piciem wódki. Ojciec Sølvestada był kaznodzieją, w związku z czym większą część młodości chłopak spędził w kaplicy. Kiedy jednak stary Sølvestad zmarł na tyfus podczas misji w Chinach, jego żona przeprowadziła się z synem na Hitrę, bo tam się urodziła. Matka z synem przyłączyli się do wspólnoty na Melandsjø i niewiele mieli kontaktu z innymi. Z czasem Jakob Sølvestad spróbował swoich sił jako kaznodzieja, brakowało mu jednak charyzmy ojca. Miał za to talent organizacyjny, stał się więc szarą eminencją i księgowym wspólnoty. Na początku lat siedemdziesiątych ożenił się z miejscową kobietą: po ślubie wprowadziła się do mieszkania, które zajmował z matką w Melandsjø. W tym okresie Stary Doktor odnowił znajomość z kolegą ze szkolnej ławki. Przyjechał na wyspę akurat wtedy, gdy żona Sølvestada zaczynała rodzić w dawnym Domu Zdrowia. Poród był ciężki, a dziecko zaklinowało się w fazie parcia. Caroliussen wezwano, jakby się paliło, i chcąc wyjąć chłopca, musiał złamać mu obojczyk. Początkowo wydawało się, że wszystko będzie dobrze, ale z czasem okazało się, że wskutek traumatycznego porodu dziecko doznało urazu mózgu. Caroliussen próbował wyjaśnić rodzicom przyczynę tego stanu rzeczy, jednak Jakob Sølvestad był przekonany, że Bóg ukarał go niedorozwojem syna, i ciężko to przeżył.

W następnych latach Stary Doktor często bywał wzywany do Sølvestadów pod pozorem, że chłopiec upadł i się uderzył. Wkrótce stało się jasne, co tak naprawdę działo się w ich domu. Sølvestad bił syna. Caroliussen postanowił na razie nie zawiadamić policji i zamiast tego próbował rozmówić się z żoną dawnego kolegi. Ta przysięgała, że mąż nie krzywdził dziecka umyślnie, i sprzeciwiała się jakiegokolwiek ingerencji. Minęło pół roku. Stary Doktor wciąż naciskał na kobietę w sprawie syna. Ale pewnego dnia wezwano go do pożaru na Melandsjø. Na miejscu okazało się, że płonie dom Sølvestadów. Jakob utrzymywał, że przyczyną nieszczęścia była zapalona świeca, którą żona zostawiła w salonie. Udało mu się wynieść z płomieni matkę, gdy jednak chciał zawrócić i uratować pozostałą dwójkę, musiał się poddać z powodu narastającego gorąca i gęstniejącego dymu.

Różne krążyły plotki o tym, co tak naprawdę się stało. Policja umyła ręce. Sølvestad z matką przeprowadzili się do domu na Dolmøi, należącego do jednego z członków wspólnoty. Mieszkali tam sami. Z czasem Sølvestad przestał pracować dla wspólnoty w Melandsjø i przejął odpowiedzialność za kościoły w północnej części Hitrę. Kiedy zaś postanowiono oddać wszystkie osiem kościołów na wyspie pod jedno zwierzchnictwo, zwrócono się właśnie do niego. W tym samym czasie Stary Doktor dowiedział się, że Sølvestad jeździ do Rosji, żeby spotykać się z chętnymi do małżeństwa kobietami. Nawiązał kontakt z amerykańską firmą internetową, organizującą wycieczki dla mężczyzn, podczas których zakwaterowywano ich w hotelu, gdzie spotykali się z kandydatkami. Po wyjeździe do Smoleńska, na zachód od Moskwy, Sølvestad podjął decyzję i zaledwie dwa lata temu pobrał się w kościele w Dolm z Iriną Mikhailową.

Tak jak poprzednio, tak i teraz z młodą parą nadal mieszkała matka. Jej stan zdrowia stale się jednak pogarszał. Przez wiele lat paliła papierosy i nie dość, że miała sklerozę jednej z zastawek serca, to nabawiła się choroby płuc, co bardzo utrudniało jej oddychanie. Była zależna od butli tlenowej i wózka inwalidzkiego. Sølvestad, niezwykle oddany matce, dobrze się nią opiekował. Swojej nowej żonie nie poświęcał już tyle uwagi i dziewczyna – zamknięta

w domu-twierdzy na obrzeżach Hitry, nie mogąc znaleźć sobie przyjaciół ani korzystać z życia – popadała w coraz większe przygnębienie.

Mads próbował sobie wyobrazić matkę Sølvestada. Musiała być stanowczą kobietą. Na pewno nigdy nie pozwoliła synowi na chwilę słabości. Nikogo poza nim nie miała, a on bez wątplenia nie mógłby żyć bez niej. Mads przetarł twarz dłonią. Powinien był zrozumieć, że to Sølvestada próbował leczyć Caroliussen, diagnozując u jego żony zawał serca. Bo tego właśnie doznała na stare lata matka administratora: masywnego zawału, który sprawił, że z trudem łapała powietrze, ale nie odebrał jej sił na tyle, by nie mogła sprzeciwić się Staremu Doktorowi, kiedy chciał wysłać ją do szpitala. Zamiast tego został więc przy niej, podawał jej morfinę i dbał, żeby nie cierpiała. Była to wprawdzie kontrowersyjna decyzja, ale w świetle tego, czego Mads dowiedział się na temat Caroliussena, niezbyt zaskakująca. Rzecz jasna nie dało się również odnaleźć oficjalnej dokumentacji dotyczącej całego zdarzenia.

Jakob Sølvestad siedział przy łóżku matki przez całą dobę, której potrzebowała, by umrzeć. To przeżycie mocno zapadło mu w pamięć. Kiedy Stary Doktor zauważył u administratora nawrót tendencji do bicia, postanowił wywieść go w pole. Po napadzie lęku u Iriny wziął Sølvestada na stronę i powiedział mu, że jego żona doznała ataku serca, więc jeśli nie będzie jej dobrze traktował i regularnie podawał jej tabletek, to czeka ją ten sam los, co matkę. Załamany Sølvestad bez mrugnięcia okiem kupił wersję lekarza. Niewiele miał kontaktu z innymi ludźmi i nigdy nie kwestionował autorytetu i wiedzy Starego Doktora.

Pragmatyzm: o to właśnie chodziło. Mads przywrócił fotel do pionu i pochylił się nad biurkiem. Stary Doktor wykorzystał niewiedzę administratora parafii i jego lęk przed chorobą serca, by zaprowadzić ład w jego domu. Starym pacjentom w Centrum Zdrowia przestał podawać leki profilaktyczne, by niepotrzebnie nie przedłużać im życia. Pozwolił też Valentinie Hjertås umrzeć w rodzinnych stronach, zamiast badać ją od stóp do głów i być może poddać operacji. Tak jak wspominała Charlotte, w postępowaniu Caroliussena dało się dostrzec zarysy pewnej etyki zawodowej. Odgrywał na Hitrze rolę ojca. Bynajmniej nie była to nieznana interpretacja roli lekarza. Paternalizm cechował medycynę od czasów Hipokratesa aż do połowy ubiegłego wieku. Lekarz miał decydować za swoich pacjentów. Jego słowo było prawem, a białe kłamstwo zalecano, jeśli służyło dobru pacjenta. Był tylko jeden mały problem: w ostatnich latach w służbie zdrowia zaszły zmiany. Teraz pacjent mógł nawet zdecydować o swoim leczeniu, a lekarza zdegradowano do roli doradcy. Przed oczami Madsa stanął Aldus Caroliussen. Stary Doktor z pewnością popadł w wiele konfliktów z powodu swojego staroświeckiego i kontrowersyjnego stosunku do pacjentów. Czyżby to właśnie taki konflikt spowodował włamanie do archiwum? Niewykluczone. Ale w jaki sposób pasowało to do układanki? Mads westchnął. Rozważania znów zaprowadziły go na grząski grunt domysłów. Ta sprawa była zbyt rozległa. Potrzebował namacalnego tropu, który mógł prześledzić.

Spojrzał na otwarty segregator, leżący przed nim na biurku. Widać siedziała tu Line i go przeglądała. Był to bilans księgowy fundacji o nazwie Atlantyda, czyli zapewne tej organizacji, którą założył Caroliussen, żeby sfinansować swoje badania. Atlantyda – utracony ład, rzekomo pochłonięty przez ocean w czasach starożytnych. Pretensjonalna nazwa. Mads trochę bez celu przerzucił kilka kartek, ale jego uwagę wkrótce przykuły wpłaty, które wpłynęły na konto fundacji. Jako darczyńców wymieniono kilka lokalnych przedsiębiorstw. Wpłacano drobne kwoty. Przeciętnie dziesięć, dwadzieścia tysięcy koron. Razem dawało to jednak niezłą sumę.

Usłyszał kroki na schodach, prowadzących piętro wyżej. Chwilę później do pokoju weszła Line. Zatrzymała się na środku. Miała upięte włosy i podwinięte rękawy bluzki, a na jej ustach znów błąkał się uśmiech, którego nie mógł rozszyfrować.

– Zaczęłam już podejrzewać, że przysnąłeś tam na dole. Odkryłeś coś ciekawego?

Pokręcił głową.

– Żadnych godnych uwagi tropów.

– A ja, jak widzisz, przeglądałam bilanse.

Obeszła biurko. Jedną rękę położyła na oparciu fotela, drugą zaczęła przerzucać strony w segregatorze. Jej dotyk sprawił, że Madsowi zrobiło się gorąco. No i ten zapach. Wanilia. Zamknął oczy. Nie, dość tych głupot.

– Zerknij na to.

Usłyszał, że Line stuka palcem w jedną ze stron i przyjrzał się jej.

– Było wielu darczyńców, ale jeden z nich najwyraźniej mocno wierzył w ten projekt.

Mads pochylił się i spojrzał we wskazane miejsce. Tuż nad jej palcem widniała nazwa „Strømfjord”, a gdy powędrował wzrokiem w prawo wzdłuż kropkowanej linii, przeczytał „1 500 000”.

– Aż tyle – wyrwało się mu.

Line wyprostowała się i spojrzała na pudła, piętrzące się przy biurku.

– Pieniądze przelano w marcu tego roku. Próbowалаm znaleźć korespondencję związaną z przelewem, ale jak dotąd mi się to nie udało. Na pewno gdzieś jest. Tak czy owak...

Odwróciła się do Madsa i popatrzyła na niego prosząco. On zresztą zdążył już odgadnąć jej intencje.

– Chcesz, żebym wybrał się do Gabriela Strøma i z nim porozmawiał? – zapytał.

Przytaknęła.

Mads odchylił się w trzeszczącym fotelu. Nie miał najmniejszej ochoty gawędzić ze starym Strømem częściej, niż to było konieczne. A przynajmniej dopóty, dopóki ten miał założoną stomię.

– Nie jestem pewien, czy zechce się ze mną spotkać – powiedział. – Nie łączą nas najlepsze stosunki.

Line uśmiechnęła się chytrze.

– Myślę, że ci się uda. Jak już mówiłam, lekarzowi rejonowemu prawie wszystko uchodzi.

Musiał stłumić westchnienie. Miała rację: da sobie radę. Chcąc nie chcąc, musiał też przyznać, że był to namacalny trop, którego szukał.

– Czyli pańskim zdaniem może za to odpowiadać zwyrodnienie kręgosłupa?

Siedząca za kontuarem recepcji starsza kobieta przechyliła się nad blatem, opierając się na łokciach, i złożyła podbródek na splecionych dłoniach. Mads przybrał już poważne spojrzenie lekarza podczas konsultacji i wymownie skinął głową.

– Poranne bóle, które częściowo ustępują, kiedy trochę się pani rozgrzeje, a czasem ból pachwiny, promieniujący w dół na przednią stronę uda – podsumował i zabębnił palcami o ladę. – W pierwszej kolejności trzeba się upewnić, czy nie są to objawy zmian zwyrodnieniowych kręgosłupa. Muszę też panią zbadać. Jakie środki przeciwbólowe pani bierze?

Kobieta rozejrzała się, ale w wielkim jak katedralna nawa holu siedziby firmy Strøm fjord nie było nikogo oprócz nich.

– Głównie pyralginę forte – wyszeptła i skrzywiła się z konsternacją. – Wiem, że to kiepski wybór, ale nie uważam, żeby paracetamol jakoś specjalnie pomagał.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby miała pani rację.

Mads wskazał stos kartek leżący obok klawiatury w głębi recepcji.

– Jeśli dostanę jedną, zapiszę pani tabletki. Proszę brać je przez tydzień, a potem przyjść do mnie i powiedzieć, jak się sprawy mają.

Kobieta klasnęła w ręce z westchnieniem zachwytu i przesunęła kartkę po blacie. Mads wyjął długopis z kieszeni kurtki i zaczął bazgrać na papierze.

– Nie wiem, jak panu podziękować, doktorze.

Zerknął na nią z uśmiechem.

– Dostałem już od pani pomoc, której mi było trzeba. O, proszę!

Podsunał jej kartkę.

– Wystarczy, że dopisze pani swoją datę urodzenia pod nazwiskiem, a nie będzie problemu z realizacją recepty.

Recepcjonistka poprawiła pięknie obramowane okulary i spojrzała na kartkę.

– Trzy razy dziennie, aha... – uniosła wzrok. – Zdążę skoczyć do Fillan dzisiaj po południu. Najlepiej zacząć jak najszybciej! Jeszcze raz panu dziękuję.

– To ja dziękuję – Mads wskazał stojący dziesięć metrów dalej zestaw kanapowy. – Usiądę tam i zaczekam.

Idąc przez hol, słyszał echo własnych kroków. Skierował się w stronę automatu do kawy, który znajdował się przy końcu jednej z kanap, wziął papierowy kubek i przebiegł palcem rząd guzików, przyporządkowanych najrozmaitszym rodzajom kawy do wyboru. Café latte, cappuccino, macchiato... Fałszywki, jak nazwał je jeden z jego pacjentów.

– Czarna ma być – powiedział w dialekcie i nacisnął odpowiedni guzik. Automat odpowiedział wściekłym mieleniem. Mads obrócił się w stronę okna panoramicznego, które pokrywało całą ścianę, dając widok na nabrzeże wyładunkowe i cieśninę do samej Fjellvaerøi. Aż za dobrze pamiętał swoją ostatnią wizytę na nabrzeżu. Najchętniej zapomniałby o wszystkim, co wiązało się z tym budynkiem. Przed oczami znów stanął mu Åge Fjellvaer pochylony nad młodym mężczyzną, który doznał zawału serca. Potem pomyślał o masie śniegu, która spadła tamtego dnia. Teraz panowała tu już inna pogoda: niebo miało świeżą, niebieską barwę, a poranne słońce, wiszące nad skałami daleko na wschodzie, grzało go w twarz. Po drugiej stronie cieśniny dostrzegł zarysy grupy okrągłych sadzów dla łososi. Przy wschodnim wybrzeżu Hitry wiele było takich małych skupisk. Wprawdzie niezbyt się orientował w tego rodzaju hodowli, ale domyślał się, że położenie sadzy jest ważne dla wzrostu ryb. Przypomniał sobie Niemca, którego leczył w trakcie swojego pierwszego dyżuru na Hitrze. Mężczyźni wbił się

haczyk wędkarski w szyję, a podczas jego usuwania i zszywania rany pacjent opowiadał, jak bardzo kusilo go, żeby podebrać łososia z sadzu, ilekroć przepływał obok łódki. W każdym ze zbiorników znajdowały się tysiące kilkukilogramowych ryb o mięsie najwyższej jakości i nie były jakiej wartości. To właśnie musiało być tło afery, w którą zamieszany był Forsnes.

Automat do kawy lekko stęknął. Mads odwrócił się do maszyny i wziął kubek z płynem. Jego wzrok powędrował ku recepcji. W jej tylnym rogu zaczynał się długi korytarz, prowadzący w głąb budynku. Na samym jego końcu ujrzał ladę bufetową, a za kilkoma stolikami kolejne wielkie okno panoramiczne. Mieli tu naprawdę szykowne wnętrza. Firmie Strøm fjord musiało się powodzić. Z tego, co rozumiał, nie była ona spółką akcyjną, czyli większość dochodów przypadała rodzinie Strømów. Musieli zarabiać setki milionów koron, a to było dużo jak na mały rejon, którym była Hitra. Mads upił łyk kawy i aż zamruczał z zadowolenia. Mocna i czarna – właśnie taka, jaka powinna być. Już miał usiąść, gdy zauważył na schodach znajomą łysą głowę. Gabriel Strøm szedł w stronę recepcji ciężkim, zdecydowanym krokiem. Mads obrócił się do okna panoramicznego, ale pozwolił też sobie zerkać lekko przez ramię. Strøm przywitał się z recepcjonistką krótkim skinieniem i już miał ją minąć, gdy wyciągnęła rękę i przywołała go do siebie. Mads się uśmiechnął. Mógł teraz na własne oczy zobaczyć reakcję Strøma. Usłyszał, że ten burknął coś niezrozumiale, ale głos recepcjonistki dobrze niósł się w holu, mimo że próbowała go stłumić.

– Nie ma pan na dzisiaj zaplanowanych żadnych spotkań, więc się zgodziłam.

Strøm znów coś odburknął.

– Tak, czeka tam – ciągnęła kobieta.

Mads upił porządny łyk kawy i odstawił kubek na stolik przed kanapą. Kupno i sprzedaż. O to chodziło. Konsultacja dotycząca bolącego biodra wystarczyła, by wkraść się w rzekomo napięty plan dnia.

– Helmer!

Mocny głos dyrektora Strøm fjordu niósł się w lokalu. Mads obrócił się i spostrzegł, że barczysty mężczyzna stoi przy recepcji i przywołuje go gestem.

– Rusz się pan! Nie mam dla pana całego dnia.

Ogromne biurko ustawiono w takiej odległości od drzwi, że naturalną reakcją gościa było zatrzymać się, rozejrzeć i dopiero potem ruszyć do jednego z trzech krzeseł dla odwiedzających. Tak też zrobił Mads, a Gabriel Strøm minął go z obojętną miną. Podobnie jak w holu, tak i tutaj południowa ściana była wielkim oknem zwróconym na cieśninę. Na innej ścianie, jak można się było spodziewać, wisiało kilka ujętych w piękne ramy fotografii przedstawiających łodzie. Tym razem nie były to jednak hitrzańskie promy, ale jednostki o wyglądzie starych kutrów rybackich. Na mosiężnych tabliczkach przytwierdzonych do szerokich ram wypisano lata, w których z nich korzystano. Najbardziej rzucającym się w oczy elementem wystroju był jednak dwumetrowy baner reklamowy, rozpięty na stojaku w rogu w głębi gabinetu. Nad animacją komputerową, w której kawałek ryby, owinięty w tradycyjny norweski placek *lefse*, wykonywał skok nad płaską taflą morza, widniało łatwo rozpoznawalne logo McDonald's. Pod spodem biegł napis „McWrap z łososiem – ze świeżą sałata i łososiem z Hitry”.

– Usiądzie pan czy woli przez całe spotkanie gapić się na ściany?

Mads odwrócił się i zobaczył, że Gabriel Strøm rozsiadł się w fotelu za ogromnym biurkiem. Niecierpliwie wymachiwał długopisem.

– Imponująca budowla. Pewnie nie była tania.

Mads przeszedł przez pomieszczenie. Wybrał środkowe z trzech krzeseł i rozparł się na nim. Było zaskakująco wygodne. Nagle spostrzegł, że Strøm przygląda mu się z uśmiechem.

– Wręcz przeciwnie. Był to majątek upadłościowy. Fabryka należała do jednego

chłopaczka z Ansnes, który nie znał się na rzeczy. Przemysł hodowlany jest dla ludzi z charakterem, panie Helmer. Ubój ryb to ciężka robota. A rynek jest niestabilny.

Strøm rozłożył ręce i przybrał wyraz twarzy, który skojarzył się Madsowi z *Ojcem Chrzestnym*: Don Corleone za biurkiem. Zapewne w tych kategoriach lubił się postrzegać Gabriel Strøm. Kwestie związane z firmą najwyraźniej też były jego ulubionym tematem, co dziś akurat Madsowi nie przeszkadzało.

– Widzę jednak, że nie zawsze zajmowaliście się hodowlą – Mads wskazał szereg fotografii przedstawiających łodzie i jego palec zatrzymał się na zdjęciu wiszącym mniej więcej pośrodku ściany. – Ten kuter musiał służyć do połowu śledzi zimowych.

Strøm milczał przez długą chwilę. Włożył długopis do ust i żuł go zajadle.

– Gigant – rzekł wreszcie. – Ojciec kupił go w czterdziestym trzecim za sto czterdzieści tysięcy. Robił dziesięć węzłów na długich dystansach, a Stary Parowiec, należący do Towarzystwa Okrętowego Fosen aż się przegotował, kiedy razem z bratem wpadliśmy na pomysł, żeby się z nim ścigać – Strøm zakołysał się w fotelu i założył ręce za głowę. – Mój ojciec kupił pierwszą łódź już w roku tysiąc dziewięćset siedemnastym, i to w dość młodym wieku. Ostatnie sto lat z dziejów tej wyspy traktuje o rodzinie Strømów w nie mniejszym stopniu niż o ogóle tutejszej ludności. Najpierw handlowaliśmy dorszem tarlicowym, potem przyszły czasy połowu śledzia zimowego i wielorybów, a ostatecznie zajęliśmy się już tylko łososiem i krabami. Jeśli ojciec nauczył czegoś mnie i brata, to tego, że firma, która jest w stanie utrzymać się na rynku, różni się od tej, która tego nie umie, zdolnością adaptacji. Kiedy się okazuje, że populacja śledzia maleje, to nie można już opierać się na jego połowie. To proste.

– Zaczęliście więc sami hodować ryby?

Strøm z zadowoleniem skinął głową.

– Będąc na połowie gromadników w Finnmarku, zauważyłem, że łososie wpływają do okrężnicy i dobrze się tam czują. Sadze, które widzi pan w cieśninie, są rezultatem pracy, jaką wykonałem tu na początku lat siedemdziesiątych.

– I wygląda na to, że od tego czasu sprawy idą jednym torem...

Mads rozpostarł ręce. W odpowiedzi Strøm zaśmiał się twardo.

– Nie ma bardziej niepewnej branży niż chów łososi, panie Helmer. Kiedy zaczynaliśmy, żadne towarzystwo ubezpieczeniowe nie chciało zawrzeć z nami umowy. Trudności ustawiały się do nas w kolejce. W ostatnich latach nie dość, że mieliśmy epidemię wszy morskich i innych pasożytów, to jeszcze rynek skakał jak jo-jo. Ale, jak już wspominałem, to w trudnych czasach oddziela się ziarno od plew. Dowodem na to są poprzedni właściciele budynku. – Wtem uderzył dłonią w biurko: – Ale przejdźmy do rzeczy. Po co pan przyszedł?

Mads postawił sobie na kolanach torbę, z którą przyszedł, i otworzył ją. Wyjął z niej mały kołonoatnik znaleziony w jednym z pudeł, które Line zniosła ze strychu. Umieszczona na okładce data podpowiadała, że notes ma dobrych kilka lat, ale tego już przecież nikt nie musiał wiedzieć, zwłaszcza gdy założyło się przednią okładkę za tylną i przedstawiło jedynie sporządzoną przez Starego Doktora listę.

– Znalazłem to wśród notatek Caroliussena – rzekł Mads i pchnął notes w kierunku Strøma. Ten mimowolnie musiał przeczytać punkt zapisany na samej górze strony: „Skontrolować Strøm fjord, środki bezpieczeństwa pracy i ochrony środowiska”. – Teraz, gdy mamy komplet lekarzy w przychodni, próbuję podjąć na nowo pracę, którą przerwał Caroliussen. A pańska firma jest, jak widać, na samym szczycie listy.

Gabriel Strøm pociemniał na twarzy.

– Proszę, proszę. Młody Helmer idzie w ślady starego Caroliussena.

– Takie mam teraz zadanie. Do obowiązków lekarza rejonowego należy monitorowanie

pracy w zakładach znajdujących się na wyspie. W ramach profilaktyki zdrowotnej, jak to się ładnie mówi.

Strøm chytrze przymrużył oczy. Opadł na oparcie i ułożył dłonie w piramidkę.

– Czego pan tu szuka, panie Helmer?

Słowa wypowiedziano bardzo dobitnie. Mads próbował rozszyfrować podejrzliwe spojrzenie Strøma, ale nie udało mu się zrozumieć jego przesłania.

– Z dokumentów, które przeglądałem, wynika, że Caroliussen odbył z wami kilka rundek w zakładach na Ulvan i w Hestvice – podjął. – Nie wydaje mi się jednak, żeby skontrolował warunki pracy tu, w Ansnæs. Według Fløteruda z zakładu ubezpieczeń społecznych w ostatnich latach doszło u was do kilku wypadków na linii produkcyjnej. O ile się orientuję, paru ludzi zniszczyło sobie ręce, a zeszłej jesieni zdarzył się nawet upadek połączony z urazem kręgosłupa. Nakaz kontroli ze strony zarządu gminy jest tylko kwestią czasu. Pomyślałem więc, że równie dobrze mógłbym wyświadczyć panu przysługę... i szybko się ulotnić.

Na twarzy Strøma rozlała się czerwień, której nie sposób było niewłaściwie zinterpretować.

– Wy, lekarze, jesteście wszyscy tacy sami. Cała zgraja! Przychodźcie tu, myśląc, że najlepiej wiecie, jak prowadzić firmę. Ale nam nie mniej od was zależy, żeby nie dochodziło do wypadków, a ryby nie ulegały skażeniu. Brak kłopotów oznacza niskie koszty produkcji. Wie pan, ile ciężarówek wyjeżdża stąd codziennie? Trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku?

Mads pokręcił głową.

– Piętnaście! Oszczędzę sobie przeliczenia tego na tony, bo w ogóle nie będzie pan sobie w stanie tego wyobrazić. Więc jeśli pan myśli, że może pan tu przychodzić i zgrywać przede mną ważniaka, to proszę sobie darować. Dość mam znajomych w Inspekcji Bezpieczeństwa Żywności, żeby ogarnąć sprawę, jeśli zrobi pan coś, żeby wstrzymać produkcję.

Mads otworzył usta, chcąc się odezwać, ale ugryzł się w język. Teraz już rozumiał, skąd u Strøma ta nagła zmiana tonu. Sądził, że Mads mu grozi. Gdyby lekarz rejonowy uznał za stosowne skrytykować warunki panujące w lokalnym przedsiębiorstwie, mogłoby to w najgorszym razie spowodować przerwanie produkcji do czasu wprowadzenia odpowiednich zmian. Mads opadł na oparcie krzesła. To on był lekarzem rejonowym – więc to do niego musiał dostosować się Strøm. Usłyszał, że starszy mężczyzna chrząka. Ich spojrzenia spotkały się nad stołem.

– Pozwolę panu porozmawiać z właściwymi osobami i zadbam, by oprowadzono pana po fabryce – rzekł Strøm. Długopis przez chwilę leżał bez ruchu, zaraz jednak znów znalazł się w ręku dyrektora, który postukiwał nim o brzeg biurka. – Rozumiem, że teraz, w świątecznej gorączce, nie musimy się z tym spieszyć?

– Jak już mówiłem, zajmę się tym we właściwym czasie.

– Dobrze – Strøm uderzył ręką w stół. – W takim razie skontaktuję się z panem po Nowym Roku. Jeśli to już wszystko, rozumiem, że sam trafi pan do wyjścia.

– Właściwie to jest jeszcze jedna sprawa...

Mads nigdy dotąd nie słyszał, by ktoś westchnął z równym opanowaniem. Strøm siedział nieruchomo w fotelu, nie przestając stukać długopisem w brzeg biurka. Brzmiało to jak takt nazbyt szybkiego marszu.

– Rozumiem, że miał pan trochę do czynienia z Caroliussenem w związku z fundacją Atlantyda?

Stukot zamilkł na chwilę. Gabriel Strøm przyglądał mu się, wściekle mrużąc oczy, po czym wrócił do zabawy długopisem.

– Jak już wspominałem, kontaktowałem się z córką Caroliussena, Line Schönfelt,

w sprawie notatek, które zostawił po sobie jej ojciec. Zwróciłem się do niej przede wszystkim po to, by uzyskać dane dotyczące pacjentów. Caroliussen sam zajmował się wszystkimi chorymi na hemochromatozę... – Mads zrobił pauzę, a Strøm niechętnie skinął głową na znak, że go słucha. – Informacji na ich temat nie było w elektronicznej kartotece pacjenta. Okazało się, że Caroliussen zgromadził sporo notatek w domu. Zebrał też mnóstwo informacji związanych z doktoratem. Praca, którą wykonał, jest oczywiście niepełna, ale jeśli ktoś się do niej zabierze, pomoże to wielu z tutejszych mieszkańców.

– Do rzeczy, Helmer.

Mads bynajmniej się nie spieszył. Kiedy mówił, na twarzy Strøma nie drgnął żaden mięsień. Tylko długopis niestrudzenie postukiwał o brzeg biurka.

– Co sprawiło, że ten projekt wart był dla Strømfjordu półtora miliona?

Stukanie wreszcie ustało. Gabriel Strøm siedział, zatopiony w fotelu, głęboko wciskając podbródek w krótką szyję. Mads słyszał zgrzytanie jego zębów.

– Strømfjord to nie tylko miejsce pracy, ale firma, której zależy na tym, żeby pracownicy dobrze się czuli w tutejszej społeczności. Sponsorujemy Hitrzański Klub Sportowy, dni Hopsjø i inne wydarzenia lokalne. Projekt Caroliussena był nie tylko ambitny w kontekście medycznym, ale, jak sam pan nadmienił, miał poprawić życie mieszkańców Hitry, uczynić je bardziej przewidywalnym. Nie ma obecnie testu, który pozwalałby stwierdzić, czy u danej osoby występuje gen warunkujący tutejszą odmianę hemochromatozy. I chociaż niewielu ludzi ma ten gen, to konsekwencje jego wystąpienia są poważne. Jeśli już mieliśmy inwestować w projekt, który byłby darem dla Hitry, to za taki uznaliśmy prace Caroliussena. A poza tym... – Strøm długo się wahał – Aldus Caroliussen był człowiekiem, z którym nie miało się ochoty zadzierać. Myślę, że rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć.

Ruchem głowy Strøm wskazał kołonotatnik, leżący na stole między nimi. Mads zerknął nań, przeczytał listę przedsięwzięć, po czym podniósł wzrok. Musiał rzucić Strømowi skołowane spojrzenie, bo chwilę później dyrektor parsknął śmiechem.

– A niech mnie, Helmer! Przez parę minut dałem się zwieść, że jest pan dużo sprytniejszy, niż myślałem. Ale to nie trwało długo. A co pan sobie wyobrażał? Że co to za lista? Wykaz firm, które trzeba skontrolować? Potencjalnych inwestorów?

Madsa aż dreszcz przeszedł. Jego wzrok znów powędrował na notes. Przypomnił sobie wpłaty zapisane w bilansie. Stały za nimi firmy, których nazwy przewijały się w kołonotatniku. Jakoś nie wpadło mu do głowy, że zeszyt mógł trafić do pudła z materiałami do doktoratu dlatego, że w ten czy inny sposób wiązał się z pracami nad projektem. Czy raczej – z pracami nad jego sfinansowaniem. Z pewnością to właśnie dlatego Gabriel Strøm zareagował tak, a nie inaczej, gdy tylko Mads poruszył ten temat. Stary Doktor obkoczył firmy na wyspie i zagroził im wdrożeniem różnych środków w razie nieuzyskania pieniędzy na swój projekt.

Mads schylił się i zawstydzony przyciągnął do siebie notatnik. Czuł się nieprzyjemnie. Po raz kolejny Strøm zrobił z niego idiotę. Tak to już było z ludźmi jego pokroju: bez względu na to, jak usilnie starałeś się zdobyć nad nimi przewagę, oni i tak wygrywali.

– A jednak udzielił pan znacznie większego dofinansowania niż pozostali na liście – zauważył.

– Taaa. Jeśli już trzeba zasiać, to niegłupio użyć tyle ziarna, żeby zebrać plony. Albo wykorzystać szansę na ubicie interesu.

– Interesu?

Strøm aż rozłożył ręce i jęknął.

– I tak już nic z tego nie będzie – rzucił w przestrzeń i splótł ręce na brzuchu. Jego wzrok się zaostrzył. – Caroliussen nie był biznesmenem, panie Helmer. Nie miał smykałki do interesów,

roztrwonil majątek, inwestując w firmę córki, a w materiale, z którym pracował, nie widział innej wartości poza ściśle naukową. Nie ulega jednak wątpliwości, że badania genetyczne to żyła złota. Jako przykład niech posłuży firma deCODE, która ma monopol na prowadzenie islandzkiego banku DNA, a przez to i na komercjalizację wyników badań na islandzkim materiale genetycznym. Podobnie jak deCODE, zajmująca się szukaniem błędów genetycznych, które warunkują wszelkie możliwe choroby, tak i Caroliussen starał się dowiedzieć, co wywołuje hemochromatozę na Hitrze. Ostatecznie u naszych chorych nie występują mutacje genu, który na całym świecie zwykle się wiązało z chorobą. Jako rekompensatę za nasz wkład w prace, zawarłem z Caroliussenem umowę, że Strømfjord opatentuje gen odpowiadający za chorobę, gdyby udało się go odnaleźć, tak byśmy mogli odsprzedać patent branży farmaceutycznej w celu kontynuacji badań i wdrażania produktów. Nie zgadzało się to z naszą główną działalnością, dlatego zatailiśmy współpracę. Rozważałem nawet założenie filii, która mogłaby zajmować się kwestiami finansowymi, kiedy nagle Caroliussen wycofał się z projektu. Z powodu choroby – w samym środku monologu na twarzy Strøma wyrósł szeroki uśmiech. – Biedak całkiem zdziecinniał, kiedy dotarło do niego, że on też jest śmiertelny.

Mads podniósł rękę do ust. Nie chciał po raz kolejny zdradzić braku elementarnej wiedzy, którą zapewne przypisywał mu Strøm. Więc Caroliussen był chory? Poważne schorzenie wyjaśniałoby zarówno zmianę nastroju, jak i rezygnację z pracy doktorskiej. Dlaczego sam na to nie wpadł? Nagle spostrzegł, że Strøm przygląda mu się z pogardliwym uśmieszkiem na ustach.

– Nie uderzyło pana dotąd, panie Helmer – rzekł, przeciągając się – jak cholernie żałośni są chorzy lekarze?

I znów nastał poniedziałek: Mads przez cały wieczór grał w bowling. Nie koncentrował się jednak na grze. Spotkanie z Gabrielem Strømem dało mu do myślenia. Przede wszystkim zastanawiał się nad aluzją, że Stary Doktor stosował kontrowersyjne metody pozyskiwania funduszy na doktorat. Wychodząc ze Strømfjordu, Mads zauważył biurowiec Alu-Marine po drugiej stronie nabrzeża. Firma specjalizowała się w budowie małych, szybkobieżnych łodzi z aluminium. W ostatnich latach mieli dobrą passę i eksportowali swoje produkty do wielu państw Europy. Zerknąwszy do kołonotatnika, przekonał się, że Alu-Marine jest numerem trzy na liście Caroliussena. Chcąc sprawdzić rewelacje Strøma, zapukał do jej bram i poprosił o rozmowę z kierownikiem. Po zaprezentowaniu notesu potrzebował trzech sekund, żeby odczytać spojrzenie mężczyzny za biurkiem, ale kolejne pół godziny spędził, zapewniając go o czystości swoich intencji. Zdawało się, że Stary Doktor prowadził na wyspie prawdziwą działalność kartelową. Uznał, że ma do tego prawo, i użył narzędzi władzy, którymi dysponował z racji swojego stanowiska. Należały do nich szantaże mniejszych i większych przedsiębiorstw. Na swój sposób nie było to dla Madsa wielkim zaskoczeniem. W świetle jego dotychczasowych ustaleń, Caroliussen był cynikiem. Wprawdzie moralnie konsekwentnym cynikiem, który zawsze starał się działać w imię medycyny i nauki, ale w żaden sposób nie usprawiedliwiało to metod, którymi się posługiwał.

I jeszcze ta choroba, o której wspominał Strøm. Po powrocie do przychodni Mads zadał sobie trud, żeby zadzwonić do Szpitala Świętego Olafa w Trondheim i do szpitala w Orkdalu. Ku swemu zdumieniu usłyszał, że nazwisko Starego Doktora nie pojawia się w kartotekach żadnej z placówek. Namyślał się chwilę, po czym wykonał telefon do Kristiansundu. Tamtejszy szpital znajdował się tylko dwie godziny drogi pociągiem od Hitry. I rzeczywiście. Aldus Caroliussen przy różnych okazjach odwiedzał oddział internistyczny z powodu przyspieszonej akcji serca. Po raz pierwszy był tam już trzy lata temu. Stwierdzono u niego migotanie przedsionków i dopiero dzięki kuracji lekami odzyskał normalną akcję serca. Po kilku nawrotach arytmia przeszła jednak w stan chroniczny. Podjęto próbę leczenia kardiowersją elektryczną, ale bez efektu, w związku z czym przepisano mu digitoksynę aby uregulować akcję serca. Dzięki temu przez ostatnie dwa lata jego stan był mniej więcej stabilny.

A więc i ta informacja się zgadzała. Mads spodziewał się wprawdzie czegoś poważniejszego od migotania przedsionków, komplikacji dość powszechnej u starszych osób. Wystarczyła odpowiednia kuracja, żeby dolegliwość objawiała się w znikomym stopniu albo zgoła wcale. Rzecz jasna trudno byłoby z nią startować w maratonie albo pokonać rowerem dystans między Trondheim a Oslo, ale z tą chorobą Stary Doktor bez problemu mógłby ukończyć prace nad doktoratem. Oczywiście nie można było wykluczyć, że dodatkowo nabawił się depresji, co również zasugerował Strøm – ale Madsowi jakoś nie chciało się w to wierzyć. Potrzeba by było czegoś więcej niż zwykłej arytmii, żeby złamać człowieka pokroju Aldusa Caroliussena. Niewykluczone, że również w innych miejscach mógłby dowiedzieć się czegoś o Starym Doktorze. Niewykluczone, że odwiedził on prywatny gabinet specjalistyczny, gdzie usłyszał diagnozę: nowotwór. Żeby to sprawdzić, Mads musiałby jednak mieć nazwisko lekarza, który go przyjął. Bez niego wydzwanianie gdzie popadnie przypominałoby szukanie igły w stogu siana.

Po rozegraniu dwóch meczów Mads jak zwykle siadł z Anwarem za budynkiem kręgielni i zjedli pizzę, którą przyniósł przyjaciel. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, które przerwał Anwar.

– Kiedy ostatnio udało ci się wygrać ze mną dwa razy z rzędu?

Mads zerknął na rozmówcę. Jeszcze do niego nie dotarło, co właściwie zaszło w kręgielni. Zanim odpowiedział, musiał się zastanowić.

– Z tego co pamiętam, to nigdy... dotąd.

– No właśnie. Innymi słowy twoja szczytowa forma jest faktem, a w sobotę spotkasz się z Ågem Fjellvaerem. Myślę, że czeka go niespodzianka – Anwar ugryzł kęs pizzy. – Jesteś dziś jakiś milczący... Coś nie tak?

Mads pokręcił głową, a jego spojrzenie przesunęło się po gwieździstym niebie. Długo się zastanawiał, czy nie wtajemniczyć Anwara w rewelacje córki Caroliussena, ale w końcu odrzucił tę myśl. Sytuacja była po prostu nieprzewidywalna, a on postawił sobie za cel, żeby nakłonić Line do zgłoszenia się na policję. Wtedy wszyscy poznają prawdę o Starym Doktorze. Mimo to walczył z wielką potrzebą zwierzenia się Anwarowi. Jeśli ktoś wiedział coś o mieszkańcach Hitry, to na pewno on. Poza tym Mads nie pogardziłby odrobiną pomocy w lepszym poznaniu Caroliussena.

– Masz problemy sercowe? O to chodzi?

Mads poczuł, że badawczy wzrok Anwara kłuje go w bok. Spojrzał nań bez słowa.

– No, chyba nie wyobrażasz sobie, że nic nie słyszałem o twojej randce w Hotelu Fiord?

– Byłoby to co najmniej dziwne.

Mads spuścił wzrok i spostrzegł, że nie ma już pizzy. Z westchnieniem chwycił coca-colę. Wlał sobie do gardła solidną porcję napoju, po czym odstawił puszkę.

– Jeśli nie chcesz o tym mówić, nie będę naciskał – dobiegł go głos Anwara. – Muszę przyznać, że niezła z niej laska. Ale jest w niej coś, co sprawia, że włącza mi się alarm. Powiem ci, że ten seans w Hotelu Fiord wcale mnie nie dziwi.

– To nie takie proste – zaczął Mads, ale nie znalazł właściwych słów, by kontynuować. Zresztą tak czy inaczej musiałyby owijać w bawełnę.

– Kobiet nie da się opisać prostymi słowami – pouczył go Anwar. – Swoją drogą, słyszałem, że rozmawiałaś z Sissel?

Mads obrócił do niego głowę.

– Nie chciałem być natrętny. Przepraszam, jeśli...

– Nie, nie – Anwar uniósł rękę w odzegnującym geście. – Tak naprawdę to sam chciałem o tym pogadać. To pomysł Sissel, żeby utrzymywać rzecz w tajemnicy. Po rozmowie z tobą zaczęła jednak inaczej się na to zapatrywać. Nie wiem, co ty jej naopowiadałeś, ale teraz chce ze mną iść na sobotni koncert D.D.E. w Hotelu Fiord.

Jego usta rozciągnęły się wolno w szerokim uśmiechu. Zarechotał krótko, wyjął paczkę tytoniu i zaczął skręcać sobie papierosa. Mads poczuł ciepło bijące z uśmiechu rozmówcy. Przyjrzał się zręcznym ruchom jego palców. „Nielatwo cię skusić, prawda?”

– Skręcisz mi jednego?

Anwar spojrzał nań pytająco.

– Chcesz zapalić?

Mads wzruszył ramionami.

– Czemu nie?

Anwar przewrócił oczami i dokończył skręcać jedną ręką.

– Proszę – powiedział, prezentując gotowy produkt. – Widzę, że jest gorzej, niż myślałem.

Mads ujął rulonik i włożył go między wargi. Gorycz tytoniu zapiekła go w usta.

– Zdawało mi się, że muzycy z D.D.E. przysięgali, że już nigdy nie zagrają na Hitrze – zauważył.

– Myślisz o tym koncercie w Hopsjø kilka lat temu, kiedy rzucono w nich piwem? –

Anwar wydał stłumiony chichot. – Nowy szef Hotelu Fiord podlizał się Bjarnemu Brøndbo i będziemy mieli kolejny koncert unplugged, podobny do tego, który w sobotę zagrał Åge Aleksandersen – uniósł wzrok i wsunął do ust papierosa, którego właśnie skończył skręcać. – No tak, sam brałeś w nim udział. Ognia?

Zanim Mads zdążył odpowiedzieć, płomień poraził go w oczy. Zebrał odwagę i zaciągnął się. Poczul wściekle klucie w drogach oddechowych. Prawie się przewrócił, gdy nikotyna uderzyła mu do głowy. Ale niech będzie. Nie może być wobec siebie taki surowy. Musiał raz dać się skusić. Przynajmniej dopóty, dopóki panował nad epilepsją.

...

Kiedy zaparkował samochód przy wjeździe do domu pani Lorentzen na Fillhei, niebo wciąż było usiane gwiazdami. Otworzył drzwi i wysiadł, po czym przystanął i zapatrzył się do góry. Zauważył gwiazdy tworzące Wielki Wóz – jedyną konstelację, którą umiał rozpoznać. Było wprawdzie późno, ale nie uprzedził Line, że do niej jedzie. Otworzył tylne drzwi auta i wyjął leżącą na siedzeniu siatkę z butelką czerwonego wina. Znalazł ją w szafce kuchennej wraz z litrową flaszką po wódce Absolut, kiedy wprowadził się do mieszkania. Zostawił je po sobie poprzedni zmiennik. Aż do dzisiejszego wieczora Madsowi nie wpadło do głowy, żeby otworzyć wino.

Przeskoczył przez zaspę i znalazł się na ścieżce. Wszedł do lasu i już miał minąć róg ogrodu starej pani Lorentzen, gdy spostrzegł żarzący się punkt na werandzie. Stał jak wryty i schowany w cieniach zamarł bez ruchu. Żar zniknął, po czym znów się pojawił. Chwilę później Madsowi wydało się, że dostrzega zarys postaci, siedzącej na wózku z nogami okrytymi pledem. Pani Lorentzen najwyraźniej wyjechała na werandę, by zapalić. Przez chwilę czekał. Sam nie wiedział, jak długo tak stoi. Dlaczego zgodził się na tę błazenadę? Skradał się jak złodziej. Kilka razy przytupnął na śniegu, po czym przemknął obok polanki. Pani Lorentzen i tak nie zobaczy nic oprócz cieni, przesuwających się w lesie. Poza tym była to publiczna ścieżka, a on szedł do Starego Fillan.

Kiedy dotarł na tyły domu służbowego, zobaczył, że na piętrze pali się światło. Minął róg i wspiął się po schodach. W przedsionku panował mrok. Zapukał i poczekał. Żadnej reakcji. Uderzyła go myśl, że aż za często się tak zachowuje: jest zbyt nieśmiały. Postanowił więc otworzyć drzwi.

– Halo?

Wszedł do przedsionka i zamknął za sobą drzwi. Z pierwszego piętra dobiegały odgłosy cichej rozmowy. Spojrzał w górę, na ciemne schody.

– Halo?

Tym razem usłyszał zbliżające się kroki. Chwilę później spostrzegł postać Line Schönfelt na samym szczycie schodów. Stała pod światło w korytarzu. Poczul, że serce zaczyna mu mocniej bić.

– Przepraszam, że... – zaczął, ale urwał, widząc, że Line trzyma przy uchu telefon komórkowy. Drugą ręką przywołała go do siebie. Nagle roześmiała się ciepło, po czym odwróciła się i odeszła w głąb korytarza.

Mads stał z siatką w ręku, wahając się. Nie był pewien, co sobie wyobrażał, ale sytuacja ułożyła się nie całkiem po jego myśli. Zaplanował, że coś powie, wyjaśni, że zazwyczaj aż nazbyt długo zwlekał. Westchnął. I z kim ona właściwie rozmawiała? Był przekonany, że nie miała obrączki na palcu, ale mogła przecież być związana z kimś w mieście. Raz już zaliczył taką wpadkę. Obrócił się i spojrzał w stronę drzwi. Nie – za późno, żeby się wycofać. Lepiej zresztą

spróbować niż dać za wygraną. Odwiesił kurtkę i wyjął butelkę z siatki. Wygładził ręką koszulę, świeżo wyprasowaną i nienagannie czystą. Na tę okazję włożył też brązowe sztruksy.

Wszedł na pierwsze stopnie i pomyślał, że nie był dotąd na piętrze. Według Line to właśnie tam w głównej mierze przebywał Stary Doktor. Jej głos stał się teraz wyraźniejszy: Mads rozpoznał słowo „mamo” i poczuł, że ciężar spada mu z serca. To by wyjaśniało jej ciepły śmiech i łagodny ton. Uderzyła go myśl, że pani Schönfelt nie odwiedziła Hitry w związku z pogrzebem. Może dręczyły ją wyrzuty sumienia. Może uznała, że przyjazd tu byłby nie na miejscu. W tej rodzinie z pewnością wiele było spraw, których nie dałoby się wyjaśnić w krótkich słowach. Teraz jednak nie chciał o tym myśleć. Przyszedł tu w zupełnie innym celu.

Usłyszał, że Line wraca. Zatrzymał się w pół drogi i przelknął ślinę, gdy stanęła na najwyższym stopniu.

– Wiem, mam – powiedziała do telefonu i teatralnie przewróciła oczami. Znow się roześmiała. Mads poczuł w piersi to samo ukłucie, co kiedy zaciągał się dymem na tyłach kręgielni. Line przywołała go ruchem ręki. Nie miał już szansy na odwrót. Zrobił kolejny krok i spostrzegł, że ze zdziwieniem przechyliła głowę. Zmarszczyła też brwi. Musiała spostrzec butelkę wina. Mówił jej przecież, że nie pije alkoholu. Była to półprawda. Przy specjalnych okazjach zdarzało mu się wychylić kieliszek. A dzisiaj była jedna z tych okazji.

– Nie, zostanę tu jeszcze parę dni – powiedziała, w dalszym ciągu do słuchawki. – Mam dużo do ogarnięcia... Tak, wiem.

Mads przystanął dwa stopnie od niej. Przeniosła ciężar ciała na biodro, w czym przez sekundę przypominała mu Bryndis, ale odrzucił tę myśl. Wyciągnął butelkę. Line spojrzała na nią nieruchomo. Gdyby nie ten przeklęty telefon, mógłby się teraz odezwać. Wyjaśnić, po co przyszedł.

– No, tak, pamiętam. Sobota przed Wigilią. I nie zapomniałam, że przyjdzie Edvardsen.

Na jej usta wkradł się chytry uśmieszek. Nie wiedział, jak go zinterpretować. Czuł, że butelka ciąży mu w ręku, więc pozwolił jej opaść i zaczekał, aż Line odstąpi, tak by mógł ją minąć na najwyższym stopniu schodów.

– Wiem, mam.

Nie przesunęła się. Nie miał jak iść dalej. Poczuł, że traci odwagę. Spuścił wzrok. Nigdy nie uda mu się zrobić tego, jak trzeba.

– Wszystko będzie dobrze, mam. Nie myśl o tym. Wszystko się jakoś ułoży.

Poczuł coś ciepłego na lewym policzku i zdążył zobaczyć, że Line cofa rękę. Na jej ustach nadal malował się uśmiech, ale był teraz cieplejszy. Serce znow zabiło mu mocniej. Puls przekroczył sto uderzeń na minutę. Stymulacja układu współczulnego. Sekretcja adrenaliny. Serce waliło mu młotem, stracił nad nim kontrolę. Tak to już było z ciałem. Żył własnym życiem. Line cofnęła się o krok i znow przywołała go gestem. Przyglądał się jej ze zdziwieniem, nie mając odwagi się ruszyć.

– Chodź – wyczytał z ruchu jej warg.

Jej ręka znow drgnęła. Mads wziął się w garść. Pokonując ostatnie stopnie, nogi miał dziwnie miękkie. Line złapała go za ramię i przyciągnęła do siebie.

– Tak, tak, mam. Zadzwoń jutro. Do usłyszenia.

Komórka złożyła się z przytłumionym trzaskiem. Butelka wina zwisiała ciężko w ręku Madsa. Nie śmiał oderwać wzroku od podłogi.

– Dziwny jesteś, wiesz? – zamruczała cicho Line.

Czuł ciepło jej ciała, wziął płytki oddech i przygotował się do skoku, zanurkowania w głąb tego, co zgotowała mu przyszłość. Pomyślał o Wielkim Wozie. Pomyślał o Ågem Aleksandersenie.

Światło i ciepło.

Światło i...

Skoczył. Wystarczyło tylko wstrzymać oddech.

Pochylając się nad umywalką, Mads przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze. W drodze do łazienki wciągnął bokserki i niebieską koszulę, niezdarnie usiłując się przysłonić. Koszula była zapięta tylko do połowy, włosy miał rozczochrane. Czuł się jak w kiepskim filmie. Zaczął zapinać górne guziki. W ostatnich dniach coś się zmieniło: sprawy zaczęły układać się po jego myśli, chociaż nie bardzo potrafił wyjaśnić, dlaczego. Odkręcił kran, staroświecki, z dwoma kurkami. Przez chwilę dobierał właściwą temperaturę, po czym napełnił dłonie i przycisnął je do twarzy. Ciepła woda przypominała mu pocałunki, którymi na szczycie schodów obdarzyła go Line. Był zupełnie nieprzygotowany na to, co nastąpiło. Może to właśnie dlatego nie bał się, że popełni jakiś błąd. Pozwolił, by pociągnęła go w głąb korytarza, ku uchylonym drzwiom sypialni. Na progu wprawdzie się zawahał. Ogarnęło go nagle uczucie, że musi w tym tkwić jakiś haczyk. Takie rzeczy mu się nie zdarzały. Kto wie, czy w ciemnościach nie czaiła się ekipa filmowa, gotowa złapać go na gorącym uczynku. Jednak w tym momencie Line przybrała swój ciepły uśmiech i dał się przekonać.

Złapał ręcznik wiszący na ścianie. Wycierając twarz, omiół spojrzeniem szafki po obu stronach lustra. Drzwiczki wykonano z desek sosnowych, a do gałek przyczepiono czarne pierścienie z kutego żelaza. Był w tym wyraz pewnego bezguścia, podobnie jak w pozostałym wyposażeniu piętrowego domu. Wyglądało na to, że w latach osiemdziesiątych Stary Doktor, chcąc nie chcąc, odświeżył pomieszczenia na górze, ale zachował przy tym barwy, zasłony i inne elementy z lat siedemdziesiątych. Mads przyjrzał się blatowi, zrobionemu z brązowej imitacji marmuru. Koło umywalki stała duża czerwona kosmetyczka. Przy niej leżała suszarka, ciągle podłączona do gniazdka, znajdującego się przy końcu jarzeniówki nad lustrem. To musiały być rzeczy Line. Może w szafkach nadal krył się dobytek Starego Doktora. Madsa korciło, żeby otworzyć drzwiczki, ale zdołał się powstrzymać. Nie wypadało tu myszkować. Wiedza, z jakich przyborów toaletowych korzystał Caroliussen, na nic by mu się nie przydała. Orientował się zresztą, jakiej wody po goleniu używał Stary Doktor. Dość banalnie z daleka wyczuwało się od niego Old Spice.

Wróciwszy na korytarz, Mads spostrzegł, że w sypialni pali się światło. Łóżko, stojące przy oknie, zwróconym na wschód, było pościelone. Na wszelki wypadek zajrzał tam i stwierdził, że ubrania Line zniknęły. Znowu przypomniawszy sobie, co się tutaj stało: jak wprowadziła go do pokoju, jak się na niej położył. Wciąż jeszcze czuł się oszołomiony.

Odwrócił się w stronę korytarza. Po prawej ręce miał otwarte drzwi. Wiedział, że prowadzą do pustego pokoju gościnnego. Obok znajdowały się kolejne drzwi, te już zamknięte: uchylił je lekko. W pomieszczeniu panowała ciemność, ale dostrzegł w niej zarysy kartonowych pudeł. Zamknął drzwi. Podczas jego pobytu w łazience Line musiała zejść na dół. Ruszył korytarzem w stronę schodów i minął drzwi do pokoju leżącego obok łazienki. Dotknął klamki i zorientował się, że pomieszczenia nie zamknięto na klucz. Popchnął drzwi. Pokój był duży. Na biurku przy oknie od frontu budynku stała zapalona lampa. Na prawo ujrzał starą, barokową kanapę, obitą pluszem w kolorze burgunda. Przed nią znajdował się stolik od kompletu. Za kanapą ustawiono sięgające po sam sufit regały, ciasno wypakowane książkami. Ogarnęła go ta sama pokusa, którą poczuł w łazience. Nie popełniłby chyba wielkiego grzechu, zwiedzając piętro. Wszedł do pokoju i za barokową kanapę zauważył pudła, które Charlotte spakowała w gabinecie w centrum Fillan. Usłyszał, że drzwi się zamykają, a sam zajął się studiowaniem grzbietów książek na regale najbliższej wejścia. Wiele tomów na najwyższych półkach miało wartość antykwaryczną. Te na samej górze dotyczyły chyba historii lokalnej Trøndelagu i wybrzeża Møre. Jeśli chodziło o inne... Mads aż się zdziwił, czytając tytuły książek poniżej:

Lekarz na linii ognia. Lekarz z woli losu. Czy doktor może przyjść? Były to stare, dobre powieści medyczne. Jego wzrok zsunął się na kolejną półkę. Było ich więcej: całe rzędy książek o tej samej tematyce. Czytał dalej. *Doktor z sercem na dłoni. Rywale. Serce pod białym kitem. Bóg w białym kitlu. Lekarz, który wiedział za dużo.* Nie mogąc się dłużej oprzeć, sięgnął po tę ostatnią powieść. Otworzył ją na chybił trafił, przeczytał kilka zdań i unosząc wzrok, parsknął śmiechem. Boże, co za nadęte frazy. Czy to takie lektury Aldus Caroliussen czytał do poduszki? Nic dziwnego, że przejął się swoją misją.

Zamknął książkę i odstawił na miejsce. Jego spojrzenie powędrowało ku kolejnej półce, gdzie stał zbiór, najwyraźniej kompletny, roczników czasopisma „Hematology”. Caroliussen prywatnie stanowił wielką zagadkę. Znajomość z nim z pewnością byłaby interesująca, ale pytanie brzmiało, czy kogokolwiek do siebie dopuszczał.

Mads usłyszał kroki na schodach. To musiała być Line. Ponownie ogarnął wzrokiem pokój i otworzył drzwi. Już miał je za sobą zamknąć, gdy jego spojrzenie padło na biurko z włączoną lampą. Na podkładce do pisania leżała gruba teczka z mnóstwem papierów w środku. Jej objętość i sfatygowana okładka nie pozostawiała wątpliwości: był to skoroszyt opatrzony nazwiskiem Valentyny Hjertås. Mads niemal na śmierć zapomniał o starej pani Hjertås. Kroki na schodach ucichły. Odwróciwszy się, ujrzał, że na jednym z najwyższych stopni stoi Line i mu się przygląda. Była już w pełni ubrana, miała upięte włosy, a w rękach trzymała butelkę, którą przyniósł, i dwa kieliszki.

– Nie wypiliśmy jeszcze twojego wina – powiedziała, unosząc butelkę. – A może jesteś z tych, którzy zmywają się zaraz po fakcie?

Mads wyprostował się i przeczesał ręką włosy, by poprawić fryzurę.

– Chętnie... – odchrząknął, po czym ciągnął dalej – chętnie wypiję kieliszek.

Stała bez ruchu, przyglądając mu się ze zdziwieniem. Wreszcie jej usta wygięły się w uśmiechu.

– O co chodzi? – zapytał w końcu.

Odwróciła się ze śmiechem, zeszła stopień niżej i stanęła.

– Najpierw chciałbyś pewnie włożyć spodnie?

Wypił wprawdzie tylko jeden kieliszek, ale wino uderzyło mu do głowy. Oparł się na kanapie i badawczo przyglądał się Line, siedzącej na drugim końcu. Czy zrozumiała już, dokąd zmierza? Opowiadając jej o dzisiejszych wizytach w obu firmach, drogą zawołowanych aluzji próbował przekonać ją, że powinni iść na policję. Nad czymś się w każdym razie zamyśliła.

– I to wszystko – kiwnął głową dla podsumowania. – Innymi słowy, wygląda na to, że twój ojciec nie cieszył się zbyt dużą sympatią w niektórych kręgach na wyspie. Zwłaszcza w zarządach różnych firm. Nie pojmuję, dlaczego nikt nie doniósł na niego władzom, ale odpowiedź bez wątplenia kryje się w piwnicy. Na większość musiał mieć hak, i z pewnością dobrze to wykorzystywał. Nie sposób jednak powiedzieć, czy ma to jakiś związek z włamaniem albo ze zgonami. Ja sam na razie żadnego nie widzę.

Line siedziała, wbijając wzrok w ścianę. Być może nie zamilkła tak z powodu podejrzeń. Może raczej zaczęła żałować, że poszła z nim do łóżka. Tak czy inaczej Madsowi nie podobały się te przydługie milczenia. Tolerował je podczas konsultacji. Ale nie teraz. Nie tutaj. Wziął oddech i dodał:

– Moim zdaniem to dlatego, że szukam nie tam, gdzie trzeba.

Zerknęła na niego z ukosa.

– Tak?

– Jak sama wspomniałaś, wydawało ci się, że twój ojciec zmienił się z charakteru przez ostatni rok, a ściślej mówiąc, na wiosnę, kiedy zarzucił prace nad doktoratem. Rozmawiałem

z dwiema innymi osobami, które powiedziały mi to samo: sąsiadką Helgi Caroliussen, a ostatnio z Gabrielem Strømem. Nie wierzę jednak, żeby wiązało się to z chorobą, jak utrzymuje Strøm. Twój ojciec był w dobrej formie, kiedy poznałem go trzy miesiące temu. Na początku tego roku musiało zdarzyć się coś jeszcze, coś, co mocno przeżył. Od tego powinniśmy zacząć.

Zmarszczyła brwi, tak jakby szukała słów. Wreszcie potrząsnęła głową i ukryła twarz za ręką.

– Nie wiem, co by to mogło być.

– Ktoś jednak musi to wiedzieć.

Mads odstawił kieliszek. Wprawdzie nie zamierzał o tym wspominać, ale chyba nie miał wyjścia.

– Według Gabriela Strøma twój ojciec stracił pewną sumę pieniędzy, którą włożył w prowadzoną przez siebie firmę.

Wzdrygnęła się.

– To chyba bez znaczenia?

– Może i tak – przyznał, kiwając głową. – Skoro tak uważasz.

Line przyglądała mu się długo, po czym westchnęła i złapała kieliszek czerwonego wina. Upiła spory łyk i odstawiła go z powrotem.

– Odpowiedzialność za tę stratę ponosi mój mąż... Były mąż – pokręciła wolno głową. – Zawsze wiązałam się z niewłaściwymi mężczyznami. Wtedy jednak wdepnęłam w to też finansowo. To było, kiedy mieszkałam w Molde. Mąż przekonał mnie, żebym zainwestowała sporą sumę w spółkę, którą prowadził z kolegą. Chcieli spróbować swoich sił w hodowli dorsza i na początku wyglądało to dość obiecująco.

– Z tego, co się dowiedziałem, hodowla ryb jest ryzykowną branżą.

– To prawda, przy czym pewne jej aspekty wiążą się z większym ryzykiem niż inne.

Wiesz, że hodowla łososia jest rozpowszechniona tu, na wybrzeżu. Ale łosoś przybiera kilogram na wadze, kiedy podasz mu kilogram paszy. Z dorszem natomiast tak nie jest. Przyrost był kiepski i projekt pochłonął masę pieniędzy. W dodatku tąpnął rynek. Kilogram łososia chodził wtedy za niespełna dwadzieścia koron. Mój mąż nie chciał się poddać i wkrótce tonęliśmy w długach. Żeby sama nie zbankrutowała, musiałam poprosić ojca o wsparcie. Dzięki zastrzykowi pieniędzy udało mi się wyjść na zero – spuściła wzrok. – Myśl o tym, że to były jego środki, nie zaprzętała mi wtedy głowy. Byłam zbyt egocentryczna. I zdesperowana.

Podciągnęła nogi na kanapę. Wyciągnął rękę i położył ją na jej kolanie.

– Przepraszam, że poruszyłem ten temat.

Przykryła dłonią jego dłoń.

– Możemy choć raz nie mówić o moim ojcu? Jestem tym już zmęczona.

Mads skinął głową.

– W porządku.

– Dla odmiany, mogę ja cię o coś spytać? – założyła za ucho kosmyk, który się wysunął, i spojrzała na niego badawczo. – Dlaczego zostałeś lekarzem? Tradycja rodzinna?

Mads musiał się uśmiechnąć. Pokręcił głową.

– W takim razie może zostałeś nim z powodu tych ataków?

– Wielu tak sądzi, ale z moim wyborem zawodowym wiąże się tak naprawdę dość głupawa historia. Nawet nie wiem, czy mam odwagę ci ją opowiedzieć.

Nagle wysunęła szyję i wydała się bardziej zadowolona.

– Chętnie bym ją usłyszała.

Mads wziął głęboki oddech. Na ustach Line nareszcie pojawił się uśmiech. Mogła go prosić o cokolwiek, byleby tylko tak się uśmiechała.

– Któregoś razu, jeszcze w podstawówce, byłem z rodzicami na zakończeniu roku szkolnego. Staliśmy na parkingu razem z inną rodziną, gdy wtem nadjechał wielki biały mercedes i zatrzymał się przed nami. Usłyszałem, że ojciec kolegi z klasy zapytał mojego tatę, do kogo należy samochód, na co ten odparł, że do Ludvigsena, i dodał: „To chirurg”. I wtedy zobaczyłem spojrzenia naszych matek. Stały, czekając, aż chirurg wysiądzie z auta. Myślę, że nigdy jeszcze nie widziałem równego podziwu w oczach kobiety. Chyba właśnie to zrobiło na mnie takie wrażenie. I chociaż niezbyt się wtedy orientowałem, czym właściwie jest chirurgia, to niedługo później napisałem w wypracowaniu szkolnym, że właśnie nią się zajmę.

Spuścił wzrok, zawstydzony.

– Może się mylę, ale czy nie jeździsz białym mercedesem?

Usłyszał jej chichot i uniósł wzrok.

– Owszem – odparł. – Modelem zbliżonym do tego, który widziałem wtedy na parkingu.

– A twoja matka, jest z ciebie dumna?

– Umarła, kiedy miałem siedemnaście lat.

Znów spojrział w bok, ale Line odwróciła jego twarz z powrotem.

– Chodź do mnie – powiedziała. – I pocałuj mnie jeszcze raz.

Obudził się z dudniącym bólem głowy. Usiadł na łóżku. Minęła chwila, zanim udało mu się zebrać myśli i przeanalizować wypadki wczorajszego dnia. Czy to przez czerwone wino? Wypił tylko kieliszek albo dwa. Dźwignął się na nogi i poszedł do łazienki. Połknął dwie tabletki ibuproenu i trzy paracetamolu, dorzucił lek na epilepsję, po czym pochylił się nad umywalką i popił wszystko kilkoma garściami wody.

W drodze do kuchni przypomniał sobie, że zostawił samochód przy wjeździe do pani Lorentzen. Zaklął, napełniając wodą ekspres. Nie miał zbytniej ochoty spacerować na Fillheie teraz, przed pracą. Ściśle rzecz biorąc, mógł pozwolić, żeby mercedes tam został. Nie stałoby się nic wielkiego, gdyby ktoś spostrzegł auto, wkrótce jednak rozniosą się plotki, te zaś nigdy nie wychodziły nikomu na dobre.

Znalazł filtr i zacerpnął zwykłą liczbę łyżeczek kawy, po czym dodał jeszcze kilka, by nieco wzmocnić napój. Był pewien, że jeśli zostanie dłużej na Hitrze, to przed nadejściem lata bez problemu nauczy się pić smołę do śniadania. Zaśmiał się z siebie półgłosem i przechyliwszy się nad blatem kuchennym, wyjrzał spomiędzy zasłon, by sprawdzić warunki na dworze. Zdążył stwierdzić, że szykuje się ładna pogoda, a termometr wskazuje kreskę poniżej zera, kiedy spostrzegł postać stojącą na podjeździe Dahłów. Przysunął się do szyby, chcąc zobaczyć, kto to, i pod czapą z futra niedźwiedzia rozpoznał długi nos i zapadnięte policzki. Zakarias Dahl. Mads ucieszył się, widząc sąsiada na nogach. Transfuzja najwyraźniej odniosła zamierzony skutek. Zaczekał, by się przekonać, czy Dahl ruszy się z miejsca, ten jednak stał wyprostowany, sprawiając wrażenie, jakby spoglądał w stronę centrum. Mads cofnął się i sięgnął po filiżankę. Ekspres kaszlnął i zaczął pracować. W kuchni rozniósł się zapach kawy.

Mads poczuł, że ból głowy ustępuje. Ibuproen i paracetamol najwidoczniej zaczęły już działać – w pierwszej kolejności na psychikę. Fizyczny skutek występował dopiero po pół godziny, czasem później. Mimo wykonywanego zawodu Mads nie był wolny od efektu placebo. Wielka jest moc wyobraźni. Znów pomyślał o Zakariasie Dahlu i wyjrzał przez okno. Starszy mężczyzna w dalszym ciągu stał nieruchomo na podjeździe z rękami w kieszeniach. W tej sytuacji było coś dziwnego, ale Mads nie bardzo potrafił określić co. Dlaczego właściwie Dahl wystawał o poranku przed domem, patrząc w stronę Fillan? Może czekał, aż ktoś po niego przyjedzie? Mads zbliżył się do szyby i przycisnął czoło do zimnego szkła, żeby lepiej widzieć. I wtedy przez głowę przemknęła mu nagła myśl. A jeśli mężczyzna zaglądał wprost w jego okno kuchenne? Cofnął się gwałtownie. Podszedł do ekspresu i stał, czekając, aż maszyna zakończy pracę. Nie widział Zakarias Dahla, odkąd ten wrócił ze szpitala. Sygnały, które dostał od jego żony, były wystarczająco jasne. Mąż nie chciał z nim rozmawiać. Ekspres kaszlnął po raz ostatni. Mads wyjął dzbanek i napełnił filiżankę. Czyżby stary tetryk czekał tam, by zamienić z nim słowo?

Upił łyk kawy, ale przełknąwszy, musiał kaszlnąć. Naprawdę była jak smoła.

Wyszedłszy kwadrans później na schody, Mads zastał Zakarias Dahla w tym samym miejscu. Nie spiesząc się, zamknął drzwi na klucz i spacerowym krokiem ruszył do skrzynki na listy, z której wyjął „Hitre-Frøye”. Odstawił torbę lekarską i wsunął gazetę do kieszeni zewnętrznej. Potem skinął głową mężczyźnie po drugiej stronie drogi.

– Dzień dobry – powiedział i czekał.

Na zewnątrz wciąż było zbyt ciemno, by mógł się spodziewać, że zobaczy reakcję na twarzy Dahla. Usłyszał jednak, że z gardła staruszka dobył się przeciągły, lepki pomruk. Chwilę później zabrzmiało ciche „dzień dobry, tak”. Mads stał przez kilka sekund, zastanawiając się, co zrobić. Może Zakarias Dahl faktycznie czekał na transport. Był ciepło ubrany w starą kurtkę

myśliwską z futrzanym kołnierzem. Na nogach miał wysokie zielone gumki. Ale co on chciał załatwić o tak wczesnej porze? Nie, najlepiej będzie, jeśli przejdzie na drugą stronę. Prędzej czy później i tak musiał z nim porozmawiać.

Wzrok Dahla nadal utkwiony był w dali, kiedy Mads zatrzymał się obok niego. Stary mężczyzna nie ruszył się nawet wtedy, gdy Mads odstawił torbę lekarską i stanął w odległości pół metra. Jedynymi dźwiękami, jakie dało się słyszeć, był ciężki, płytki oddech Dahla i odgłos samochodu, dodającego gazu w dole na szosie. Mads omiótł spojrzeniem krajobraz i dachy dawnego królestwa Aldusa Caroliussena. Przypomniawszy sobie, co powiedział Line na temat swoich dziecięcych planów zawodowych. Nigdy nie brał pod uwagę niczego oprócz chirurgii. Kiedy zdiagnozowano u niego epilepsję, tylko utwierdził się w wyborze tej właśnie specjalizacji. Jak większość studentów na roku miał lekceważący stosunek do medycyny rodzinnej. W jego przekonaniu polegała ona wyłącznie na przepisywaniu antybiotyków pacjentom z chorym gardłem, wystawianiu zwolnień hipochondrykom, którzy powinni być w pracy, i uczestnictwie w sprawach o zasiłek, z góry przegranych. Jego uprzedzenia potwierdziły się w trakcie stażu w Sandefjordzie. Każdego interesującego pacjenta musiał odsyłać dalej. Cieszył się wówczas, że wkrótce wróci do szpitala. Ale tu, na Hitrze, czuł się, jakby odkrył zupełnie nowy aspekt medycyny. Aspekt, który niełatwo mu było zdefiniować, sprawiający, że natykał się na sytuacje, w których żaden podręcznik nie pomógłby mu się zorientować. Sytuacje takie jak ta. Była zupełnie absurdalna. Stał na podjeździe pacjenta i czekał, aż ten się do niego odezwie.

Przebiegł go dreszcz zimna. Nie miał na sobie kałesonów. Zerknął na Dahla, który wciąż jakby go nie dostrzegał. Znów zadrżał i przycisnął ramiona do ciała. Mowy nie ma, ani myślał się teraz wycofać. Będzie stać tu tak długo, aż dziadek przemówi. To prawda, źle wobec niego postąpił, wmawiając mu zapalenie płuc, ale najwyższy czas podać sobie rękę. Zamknął oczy i pomyślał o Line, o jej ciele w półmroku. To wystarczyło, żeby rozgrzać się wewnątrz. To wystarczyło, żeby wytrzymać tu długie godziny.

– Powiedziałem żonie, że nie smakuje mi jej obwarzanek.

Na dźwięk głosu Dahla Mads otworzył oczy. Mężczyzna dalej stał bez ruchu i gapił się przed siebie.

– W samą porę.

Rozległ się przytłumiony chichot.

– Można tak powiedzieć.

W dole, na dworcu, włączył się silnik autobusu. Dahl odchrząknął głęboko i uroczyście, po czym, wnosząc z mlaskania, przełknął niewiarygodnie gęsty kawałek flegmy.

– To dziwne, że można przeżyć razem pół wieku i mieć jeszcze jakieś sekrety. Chciałoby się wierzyć, że po tak długim czasie zna się drugą osobę na wylot, ale w przypadku niektórych nawet pięćdziesiąt lat nie wystarczy.

Autobus wyjechał z dworca i skierował się w stronę szosy.

– Gniewa się na pana?

– Powiedziałem jej, że to tylko obwarzanek, że to bez znaczenia. Ale ona nie chce mnie słuchać.

– Przejdzie jej.

– Pewno tak.

Mads schylił się i podniósł torbę. Odwrócił się do Dahla i przyjrzał się mu. Spojrzenie mężczyzny wreszcie się przesunęło: nawiązali kontakt wzrokowy.

– Żałuję, że pana okłamałem – powiedział Mads. – Nie miałem prawa tego robić.

Dahl skinął głową i wziął głęboki oddech.

– Niełatwo przywyknąć do myśli, że wkrótce się umrze.

Płaskie wargi zwarły się w namiastce uśmiechu.

Mads wyciągnął rękę i poklepał go po ramieniu.

– Muszę już iść – rzekł. – Proszę powiedzieć, jeśli będę mógł w czymś pomóc.

Wpatrywali się w siebie kilka sekund. Mads już miał się odwrócić, gdy Dahl nieznacznie skinął głową.

– Wie pan, że mi go pan przypomina?

– Kogo?

– Caroliussena. Po tym, jak tu przyjechał.

– Mam uznać to za komplement?

Zakarias Dahl prychnął. Odwrócił się do podjazdu, a jego barki uniosły się i opadły w przeciągłym westchnieniu. Wreszcie ruszył, zrobił kilka kroków i znów się zatrzymał.

– Wejdę do środka i postaram się ułagodzić żonę – powiedział. – Zobaczymy się później.

Mads stał i patrzył w ślad za staruszką, który chwiejnym krokiem pokonywał schody.

Nie do końca wiedział, jak określić scenę sprzed chwili, ale był to rodzaj pojednania. Przy odrobinie dobrej woli mógłby nawet stwierdzić, że w słowach Dahla usłyszał podziękowanie. Przypomniał sobie o pracy i zerknął na zegarek. Czas płynął. Czy naprawdę chciało mu się iść po samochód? Przecież nie musiał. Ruszył w kierunku przychodni.

Nadeszła już pora lunchu, ale Mads siedział w gabinecie rozparty w fotelu i gapił się w ścianę. Przepelniało go dziwne zadowolenie. Bez wątpienia to był dobry dzień. Jego samopoczucie miało oczywisty związek z wczorajszą wizytą u Line, ale też z pacjentami, których dopiero co przyjął. Przed oczami znów stanął mu mężczyzna w średnim wieku, który pierwszy zjawił się w przychodni. Jego szyję porastała gęsta, czarna broda. Miał mocno zbudowaną górną połowę ciała, jak każdy pracownik fizyczny, nogi za to cienkie i patykowate, przez co szedł niespiesznie, pochylając się do przodu. Już w chwili, gdy Mads wyczytał jego nazwisko i mężczyzna wstał z krzesła w poczekalni z gazetą wsuniętą pod pachę, widać było, że nie przyszedł tu z własnej woli. Z wyobcowaną miną zerkał na otaczających go ludzi, a przywitawszy się z Madsem, natychmiast spuścił wzrok. Zatrzymał się na środku gabinetu i niespokojnie kręcił głową.

– Proszę zająć niebieskie krzesło przy biurku – polecił Mads i usiadł.

Mężczyzna przytaknął, ale dalej stał z gazetą pod pachą i wzrokiem utkwionym w podłogę, tak jakby chciał zrobić krok, ale nie był w stanie się ruszyć.

– Żona chciała, żebym się zbadał – oznajmił i zawstydzony skinął w kierunku ciśnieniomierza. Rozejrzał się. Jego wzrok padł na rysunek przedstawiający budowę anatomiczną człowieka.

– Pewnie, zawsze coś się znajdzie – odparł Mads, czekając.

Mężczyzna nagle wyszczerzył zęby.

– O tak, żeby pan wiedział.

Nadal nie ruszył się z miejsca.

– Być może jeszcze pan tu nie był – zauważył Mads.

– Nigdy nie lubiłem chodzić do lekarza.

– Ale teraz pan przyszedł.

Mężczyzna skinął głową.

– Tak, teraz przyszedłem.

Dopiero wtedy usiadł.

Mads zbadał go gruntownie. Okazało się, że wszystko jest w porządku. Ale kiedy czas wizyty dobiegł końca, pacjent nie wstał z krzesła.

– Już po wszystkim – rzekł Mads.

– Nie da mi pan na coś recepty? – zapytał mężczyzna. – Na cokolwiek.

– A po co panu recepta? Nic panu nie dolega.

Pacjent zawstydzony spuścił wzrok.

– Muszę mieć coś, co pokażę w domu żonie. Inaczej nie uwierzy mi, że tu byłem.

Otrzymał receptę na paracetamol, a Mads jeszcze nigdy nie widział, żeby przychodnię opuszczał ktoś tak szczęśliwy.

Kolejna pacjentka była nie mniej kuriozalnym przypadkiem. Odtworzył w myślach obraz tej starszej kobiety z siwymi, starannie uczesanymi włosami, zebranymi w węzeł na karku. Ciemny sweter musiała własnoręcznie zrobić na drutach, a koszula pod nim była wykończona falbanką, starannie wyprasowana i wkładana zapewne tylko na szczególne okazje. Początkowo rozmawiali trochę o świątecznej gorączce i o wnukach, które pacjentka miała zobaczyć w trakcie świąt, z czego się cieszyła, po czym zebrała się na odwagę i zdradziła powód, z którego przyszła.

– Przekrzywiam się na lewo – oznajmiła.

Mads obserwował ją, kiedy demonstrowała tę przypadłość. Wzięła głęboki oddech i wyjaśniła, że spróbuje się teraz rozluźnić. I rzeczywiście, podczas gdy siedziała, patrząc przed

siebie ze skupioną miną, jej ramię, a w ślad za nim głowa, osunęły się w lewo. Wyprostowała się z westchnieniem, po czym Mads poprosił, by pokazała całą rzecz raz jeszcze. Znowu zaczerpnęła powietrza, a jej oczy straciły wyraz. I znów przekrzywiła się w lewo.

– Dlaczego to się nie dzieje, kiedy pani siedzi i ze mną rozmawia? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– A pani zdaniem, z czego to wynika?

– Nie wiem – powtórzyła. – To pan jest lekarzem.

Poprosił ją, żeby wstała i przeszła się po pokoju. Szła całkiem prosto. Kazał jej stanąć na jednej, potem na drugiej nodze, sprawdził odruchy, wykonał testy na koordynację i zbadał czucie skórne. Wszystko było w porządku. Poleciał, żeby położyła się na kozetce i pomacał jej brzuch. Był miękki, niebolesny, bez wyczuwalnych zgrubień. Kiedy mogła wreszcie usiąść z powrotem na miejscu pacjenta, spojrzął jej głęboko w oczy i oznajmił, że nic jej nie dolega.

– Jak nie, to nie – odparła kobieta i skinęła głową. – Chciałam się tylko upewnić, wie pan.

– Rozumiem – odparł.

Pozostała na krześle.

– Czyli uważa pan, że to nie zawał? – spytała w końcu.

Pokręcił głową.

– Nie, to nie zawał.

– Mój sąsiad niedawno go miał.

Wymieniła nazwisko, które rozpoznał, i powtórzył, że zawał nie wchodził w grę.

– Dobrze wiedzieć. Na święta przyjedzie do mnie córka z rodziną. Myśli pan, że mogę ich przyjąć?

– Sądzę, że tak – odparł.

Kiedy wyszła, siedział przez kilka minut i myślał o niej z uśmiechem na ustach.

Wydawało mu się, że jest gotów iść na lunch, gdy wtem w oknie wiadomości na monitorze zauważył notatkę: „Przydzieliłam ci dodatkową pacjentkę. Nie chciała pozwolić nikomu innemu, żeby zdjął jej szwy! Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? Lisbeth”.

Usunięcie szwów. Na dobrą sprawę była to robota pielęgniarki. Westchnął, ale wyszedł do poczekalni i wywołał pacjentkę. Dopiero kiedy podał jej rękę i zobaczył strup na górnej wardze, rozpoznał ją. Dziewczyna Marka Bukowskiego. Uczestniczka bijatyki w przychodni. Teraz, bez mocnego makijażu na twarzy, wyglądała młodziej.

Idąc przed nim, skręciła do korytarza, weszła do gabinetu i usiadła na kozetce.

– Nie pozwolę dotknąć się nikomu oprócz pana – powiedziała i nonszalancko skinęła głową.

Mads opadł na fotel biurowy i przejechał na nim przez pokój, by lepiej jej się przyjrzeć. Rana rzeczywiście ładnie się zagoiła. Został niewielki strupek, ale linia wargi była prostą kreską. Kiedy skóra się zrośnie, nie sposób będzie poznać, że dziewczyna miała tu kiedyś rozcięcie.

– Okropnie swędzi – powiedziała.

– W takim razie jesteś bardzo dzielna, że się nie drapałaś.

Mads wziął skalpel z wózka z akcesoriami i poprosił pacjentkę, by się położyła.

Uśluchała. Tak to już było z osobami w wieku szkolnym: były przyzwyczajone do wykonywania poleceń i reagowania bez słowa sprzeciwu. Wzdrygnęła się, kiedy przeciął nić. Wkrótce jednak mógł pozwolić jej usiąść.

– To wszystko – rzekł, kiwając głową.

Mimo to dziewczyna nie wstała z miejsca.

– Przykro mi z powodu tego, co stało się tamtej nocy.

– Proszę o tym nie myśleć – odparł. – Zresztą nie zgłosiłem zajścia na policję.
– To wszystko przez Marka. Nie jesteśmy już razem.
Siedziała, wpatrzona w niego i wyraźnie oczekiwała uznania. Mads skinął głową.
– To dobrze.
– Jest dilerem. Sprzedaje hasz i takie tam. Same z tego kłopoty. Ale niech pan nikomu nie mówi, że to powiedziałam, dobrze?
Znowu skinął głową.
– Zostanie to między nami.
Chwilę później wstała i ruszyła w kierunku drzwi – ale zanim wyszła, odwróciła się i spytała:
– Jest pan tu tymczasowo, prawda?
Mads przytaknął. Chwilę później dziewczyna zadała mu pytanie, które od tej pory krążyło mu po głowie i na które właściwie powinien znać odpowiedź:
– Więc pewnie pan tu nie zostanie? Za kilka tygodni wyjedzie pan, jak poprzednicy?
Jego rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi. Nie zdążył zdjąć nóg ze stołu, gdy do gabinetu wsunęła głowę Charlotte.
– A więc to tu sobie siedzisz, przyjemniaczku?
Roześmiała się, a on zawstydzony spuścił nogi na ziemię. Nic na to nie mógł poradzić, ale przy Charlotte zawsze czuł się jak uczeń.
– Mogę wejść?
– Właśnie wybierałem się na lunch – odparł. – Chodzi o pacjenta czy możemy o tym pogadać w stołówce?
Charlotte weszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.
– Tutaj się tym zajmujemy.
Usiadła wygodnie na niebieskim krześle dla pacjentów. W rękę trzymała kopertę. Uderzając nią o dłoń, przyglądała mu się nieodgadzionym wzrokiem.
– Słyszałam, że dobrze sobie radzisz w kręgielni.
Mads przypomniał sobie nagle, o co po ostatnim meczu zapytał go Ken. Reklama w „Hitrze-Frøi”. Gazeta wyszła dzisiaj.
– Może przyjdiesz popatrzeć, jak gram?
– Może i tak – odparła, uśmiechając się.
W jej uśmiechu było coś, co mu się nie spodobało, jakieś wyczekiwanie. Mads poprawił się w fotelu.
– Ale zapewne nie po to tu przyszłaś?
Pokręciła głową.
– Muszę omówić z tobą kilka spraw. Pierwsza dotyczy Iriny Sølvestad.
Odłożyła kopertę na biurko. Mads zauważył w jej rogu logo Wojewódzkiego Centrum Zdrowia. Ale jaki miało to związek z Rosjanką? A może list dotyczył czegoś zupełnie innego?
– Wypisano ją już do domu?
Charlotte przytaknęła.
– Owszem. Po gruntownych badaniach. USG, test wysiłkowy, badania krwi... Pełny serwis. Nie wykryto u niej jednak ani śladu choroby serca. Ale... – wahała się długo. – Sam wiesz, w jaki sposób Caroliussen utrzymywał w ryzach sytuację u nich w domu. Jakob Sølvestad zadzwonił do mnie wczoraj w związku z tym, że jego żona trafiła do domu...
– W jakim celu?
Charlotte przełknęła ślinę.
– Ujmijmy to następująco: miałam z Caroliussenem umowę, że pod jego nieobecność to

ja zajmuję się pewnymi rzeczami. Dlatego też Sølvestad zadzwonił do mnie. I...

Mads założył ręce na piersiach i przechylił się do tyłu. Co jak co, ale tego wyjaśnienia nie zamierzał jej ułatwiać. Wtem naszała go pewna myśl. Jak wspomniał Line, musiał być ktoś, kto znał przyczynę nagłej zmiany nastroju Starego Doktora. Jeśli zaś Charlotte faktycznie była jego kochanką, jak głosiły plotki, to z pewnością ona mogłaby mu ją wyjaśnić.

Pielęgniarka wciąż siedziała przed nim w milczeniu, ze splecionymi palcami. Postanowił odłożyć te pytania na później.

– I...?

Nagle uderzyła obiema rękami o uda, aż klasnęło, i spojrzała na niego ze złością.

– Nie dręcz mnie tą swoją miną! Dobrze wiesz, po co dzwonił Sølvestad. Chciał więcej tabletek dla żony. Ale to nie ja tu jestem lekarzem rejonowym, tylko ty, więc przestań się głupio szczerzyć i lepiej pomóż mi rozwiązać ten problem!

Wzięła głęboki oddech i zakryła sobie dłonią usta. Siedziała tak z przestraszonymi oczami, jakby przed chwilą plunęła jadem, a ręka była korkiem, który miał zatrzymać ten potok.

– Nie interesuje mnie rola w przedstawieniu Starego Doktora – rzekł Mads. – Umów Sølvestada z żoną na konsultację, a rozmówię się z nimi.

Charlotte wreszcie odsunęła dłoń od ust. Zmrużyła oczy, które znów przybrały matczyzny wyraz.

– Caroliussen zawsze sam jeździł do Sølvestadów.

Mads rozłożył ręce.

– Okej – odparł. – W takim razie wybiorę się do nich i porozmawiam z nimi po południu albo innego dnia, który im będzie pasował.

– W porządku. Umówię was przez telefon.

Uśmiechnęła się krótko. Zbyt krótko. Zagłębiła zęby w dolnej wardze i postukała palcem wskazującym w leżącą na biurku kopertę.

– Jest tylko jeden problem. Dostałeś list.

Opierając się w krzesło, Anwar Ahmed przechylał do światła list z Wojewódzkiego Centrum Zdrowia. Donośnym i uroczystym głosem czytał:

– „W świetle tego i tego paragrafu w związku ze zgłoszonym...”

– Nie tak głośno, cholera...

Mads posłał Anwarowi sztywne spojrzenie. Tego przedpołudnia w Betlejem było sporo ludzi. W szkołach przeprowadzano testy semestralne, więc pizzerię nawiedzały hordy uczniów świętujących oddanie prac pisemnych, pijących coca-colę i zrzucających się na duże pizze.

– „... pacjent zobowiązany jest oddać prawo jazdy na okres dwunastu miesięcy”!

Anwar opuścił kartkę i posłał przyjacielowi zdezorientowane spojrzenie.

– Na dwanaście miesięcy?

– To standardowy zapis – odparł sucho Mads. – Jeśli złożę wniosek, dostanę je z powrotem za sześć.

– Sześć miechów bez prawka! Na Hitrze!!! I co ty ze sobą poczniesz na dyżurze?

Mads wzruszył ramionami.

– Chyba będę jeździł taksówką.

Poczuł, że rezygnacja zaczyna go opuszczać. Kiedy Charlotte otworzyła list i przesunęła go po biurku, Mads zrobił kilka nerwowych rund po gabinecie. Wprawdzie wiedział, że wielu mogło podać w wątpliwość jego prawo do prowadzenia samochodu w tak krótkim czasie po napadzie padaczkowym, ale nie spodziewał się, że sprawy zajdą tak daleko.

– Czegoś tu nie rozumiem – rzekł Anwar. – Jeśli nie zgłosiłeś się sam, a w chwili ataku byłeś jedynym lekarzem na wyspie, to kto w takim razie zawiadomił lekarza wojewódzkiego?

Mads wskazał list ruchem głowy.

– Przeczytaj, co napisano pod „Kopia dla:” na samym dole strony.

– Przychodnia na Frøi...?

– A jeszcze niżej?

Chwycił w usta słomkę zanurzoną w szklance z colą. Anwar zrobił grymas, który nie pozostawiał złudzeń.

– Ożeż...! – przez kilka sekund patrzył w zamyśleniu na rozmówcę, po czym dodał: – To chyba nie ma związku z sekcją Helgi Caroliussen?

Madsowi cola stanęła w gardle.

– A skąd ty, u licha, wiesz o...

– Wyluzuj. Ile razy mam ci powtarzać, że dociera do mnie absolutnie wszystko, co się tutaj dzieje? A tak dla twojej wiedzy, ten nowy glina lubi pizzę na wynos i jest wniebowzięty, jeśli ma towarzystwo. Chyba się tu nudzi.

Mads westchnął.

– Tak czy inaczej zastanawiałem się, czy nie wyświadczyłbyś mi przysługi – powiedział.

– Zaparkowałem samochód na Fillhei, przy wjeździe do pani Lorentzen. Byłoby fajnie, gdybyś w wolnej chwili mógł go tu ściągnąć.

– Co robiłeś u Lorentzen? Wizyta lekarska?

Mads przytaknął. Nie lubił kłamać, ale im mniej teraz mówił, tym lepiej.

– I zostawiłeś go tam?

Anwar spojrzał nań krzywo nad stołem.

– Nie pytaj, dlaczego – odrzekł Mads. – Zabierzesz go stamtąd czy nie?

– *No problem!* Ale...

Obejrzał się przez ramię na młodego Pakistańczyka, który stał za ladą. Chłopak pochyłał

się do przodu, opierając oba łokcie na blacie, pogrążony w poufalej rozmowie z młodą dziewczyną, na oko nie więcej niż szesnastoletnią.

– Kashif!

Słyszac krzyk Anwara, chłopak w jednej chwili stanął na baczność.

– Dobra, dobra, szefie – odparł w czystym dialekcie z Oslo. – Wrzuć na luz!

Anwar przechylił się nad stołem.

– To mój kuzyn – wyjaśnił półgłosem. – Kazali mi potrzywać go tu przez święta i trochę utemperować. Ali i Sunil i tak potrzebowali wakacji. Ale Kashifowi udało się już rozbić samochód dostawczy na zakrętach koło fiordu Barman i trzeba było odstawić go do warsztatu.

– Przez ten czas możesz pożyczyć mój wóz – przerwał Mads.

– Na pewno?

– Na pewno. Ale to nie jest dobre auto na zimę.

– Spokojnie. Sam zajmę się dowozem. Kashif może tymczasem mieć oko na lokal.

Rozległ się przeraźliwy wrzask. Podnieśli wzrok i zobaczyli, że jasnowłosa dziewczyna klęczy na ladzie i usiłuje wyrzucić młodemu Pakistańczykowi z ręki komórkę, którą ten trzymał wysoko w górze.

– Kaaaaaaa-shiiii-if!!!

Głos Anwara przetoczył się przez salę jak grom. Chłopak znowu się wzdrygnął, a dziewczyna, chichocząc, odzyskała telefon.

– Ach, ta dzisiejsza młodzież – westchnął Anwar ciężko.

Mads zerknął na zegarek. Musiał jeszcze przejrzeć wyniki kilku badań w przychodni i dopiero wtedy mógł uznać, że zakończył na dzisiaj pracę.

– Mogę zadać ci osobiste pytanie? – zagadnął.

– Dawaj!

– Kiedy zdecydowałeś się, że tu zostaniesz?

Anwar przechylił głowę na bok i wysunął dolną wargę.

– Nigdy się na to nie zdecydowałem. Po prostu tak wyszło. Tutaj nikt nie suszy mi głowy, kiedy się w końcu ożenię. No i tej wiosny poznałem Sissel.

Przejechał ręką po nieogolonej brodzie i wykrzywił się. Nagle utkwiał wzrok w Madsie:

– Chcesz powiedzieć, że zamierzasz jednak przyjąć tę posadę lekarza gminnego?

Mads wzruszył ramionami. Ogarnął wzrokiem restaurację, młodych ludzi, którzy nachylali się do siebie nad stolikami: wierzące się dziewczyny, prężących się chłopaków. Nic na to nie mógł poradzić, ale znowu pomyślał o Line. Właściwie nie zamierzał się z nią dziś kontaktować, wolał odwołać się do zasady trzech dni. Z drugiej strony znał siebie na tyle, by wiedzieć, że nie jest w stanie czekać tak długo.

– Nie wiem – odparł. – Ale istnieje taka możliwość.

Zadzwoił dopiero, gdy uporał się z robotą papierkową. Najpierw podniósł słuchawkę telefonu w przychodni, potem jednak przyszło mu do głowy, że Line może nie zechcieć odebrać połączenia z nieznanym numerem. Zadzwoił więc z własnej komórki. Zabrzmiały cztery długie sygnały, po czym włączyła się poczta głosowa.

– Tu Line Schönfelt. Nie mogę teraz odebrać telefonu, ale proszę zostawić wiadomość albo wysłać mi esemesa.

Zanim zdążył się rozłączyć, nastąpiło piśnięcie. Jedyne, co słyszał, był własny oddech.

– Ech... to ja, Mads – zaczął i zorientował się, jak niepoważnie musi to brzmieć. –

Zadzwoię później – dorzucił i nacisnął guzik, żeby się rozłączyć.

Siedział, gapiąc się w ścianę. Nie wiedział, dlaczego, ale nagle ogarnął go niepokój. Poczucie, że coś jest nie tak, jak powinno. A przecież nie miał po temu powodów. To, że nie

odebrała, oznaczało na przykład, że telefon leżał w torebce i nie usłyszała dzwonka, nic więcej.

Zabębnił palcami o blat i spojrzał na żółtą karteczkę samoprzylepną, którą zostawiła mu Charlotte. Napisała tylko: „Środa, 17:00”. To wtedy miał wybrać się do Jakoba i Iriny Sølvestadów. Wcześniej zaś chętnie przejrzałby zawartość starej teczki Caroliussena, by sprawdzić, czy uda mu się wyczytać z niej coś przydatnego. Jak na razie nie miał zielonego pojęcia, co powinien zrobić z tą parą.

Po raz drugi podniósł telefon i wprowadził numer Line. Musiał się z nią skontaktować. Nie chodziło wcale o wczorajszy dzień. Musiał zejść do archiwum i przeczytać kartę Sølvestada. Naciskając guzik połączenia, poczuł, że serce mocniej mu zabiło. Sygnał dzwonka bezlitośnie brzęczał mu do ucha. Potem dało się słyszeć nagle kliknięcie i odezwał się sztucznie przyjazny głos:

– Tu Line Schönfelt. Nie mogę teraz odebrać telefonu, ale proszę zostawić wiadomość albo wysłać mi esemesa.

I znów rozległo się piśnięcie. Mads przełknął ślinę.

– Cześć, Line – rzekł. – Przepraszam, że ci się naprzykrzam, ale bardzo chętnie poczytałbym o pacjencie, z którym spotykam się jutro. Jeśli możesz, skontaktuj się ze mną.

Rozłączył się i w myślach odtworzył ponownie to, co przed chwilą powiedział do telefonu. Z westchnieniem pokręcił głową. Zabrzmiało jak kiepska wymówka. Bardzo kiepska wymówka. Wyłączył komputer. Z korytarza dobiegły go kroki, drobne kroki, z pewnością kobiece. Z tego, co się orientował, dziś wieczorem dyżur pełnił Kristian Kaspersen, a nie jego żona. Wziął kurtkę wraz z torbą lekarską i ruszył w kierunku drzwi. Otworzywszy je, usłyszał wściekle szept, które szybko ucichło, gdy wyszedł na korytarz. Państwo Kaspersenowie patrzyli nań, uśmiechając się nieszczercze, podczas gdy zamykał drzwi.

– Udanego dyżuru! – powiedział, unosząc rękę na pożegnanie.

Kiedy szedł do wyjścia od strony pogotowia, oni wciąż stali, uśmiechając się sztywno. Tylko jednej rzeczy był pewien w przypadku nowej pary lekarzy, a mianowicie, że niezbyt ich rozumie.

Wyszedłszy na plac, postawił torbę na śniegu i włożył kurtkę. W ostatnich dniach temperatura wzrosła, a śnieg nabral szklistego połysku. Na drogach również zrobiło się ślisko. Nie zdziwiłby się, gdyby wkrótce w przychodni zjawił się ktoś, kto złamał nogę na lodzie. Dzisiaj było to zmartwienie Kaspersena. On sam miał wolne. Spojrzał w stronę domu na wzgórzu i próbował stłumić nieprzyjemne uczucie, które narosło mu w żołądku. Powinien wrócić do siebie. Po drodze mógł wstąpić do kiosku Narvesen i kupić DVD za dziewięćdziesiąt dziewięć koron, a na miejscu wstawić „Fladrę Kapitana” do piekarnika. Zerknął na gwiazdziste niebo. Dzisiaj także widać było Wielki Wóz. Pochylił się i ujął torbę lekarską. Potem przeszedł przez drogę i ruszył jednak w kierunku Starego Fillan.

Myślami był zupełnie gdzie indziej, gdy na drodze przed kościołem minął go niebieski sedan. Zbliżywszy się do nabrzeża, Mads spostrzegł, że auto stoi na poboczu z włączonymi światłami awaryjnymi i nagle zrozumiał, kto siedzi za kierownicą. Przeszedł go dreszcz. Prowadziła samochód. Może to dlatego nie odebrała telefonu. Przesząpił na prawą stronę i zauważył, że drzwi pasażera są już uchylone. Otworzył je i wsunawszy głowę do środka, zobaczył, że Line zaprasza go gestem, by do niej dołączył.

– Wsiądź i zamknij drzwi!

Usłyszał, że westchnęła, i wykonał polecenie. Wielką torbę lekarską postawił sobie na kolanach i dwukrotnie próbował przyciągnąć do siebie drzwi, zanim wreszcie udało mu się je zatrzasnąć.

– Właśnie się do ciebie wybierałem – powiedział z uśmiechem.

Line opierała głowę o zagłówek i nawet nań nie spojrzała. Ogarnęło go to samo uczucie, którego doznał, próbując się dziś do niej dodzwonić; uczucie, że coś jest nie tak.

– Mówiłam ci chyba, żebyś nie parkował koło pani Lorentzen.

– Zabrali mi prawo jazdy.

Obejrzała się na niego, posyłając mu chłodne spojrzenie. Tymczasem w radio, mocno ściszone, Celine Dion zaczęła szeptać „*My heart will go on*”. Boże, jak on nie znosił tej piosenki.

– To długa historia – ciągnął – ale krótko mówiąc, to rezultat ataku w kościele.

Próbował się do niej przechylić, ale na drodze stanęła mu torba. Prawie nie mógł się ruszyć.

– Nic wielkiego się chyba nie stanie, jeśli będę używał drogi głównej? – zagadnął.

– Nie chcę, żeby ludzie zaczęli plotkować. Wiesz, jak to jest. Wystarczy im tyle pretekst.

– Wiem – odparł, wzdychając. – Ale prędzej czy później ktoś się zorientuje, że chodzę w tę i z powrotem po Fillhei, i zaczną się spekulacje, kogo właściwie odwiedzam.

Zauważył uśmiezek na jej ustach. To wystarczyło, by zrobiło mu się ciepło na sercu.

– Zdaję sobie sprawę, że jestem wymagająca – powiedziała. – Musisz się uzbroić w cierpliwość.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić – oznajmił.

– Zauważyłam.

Mads przełknął ślinę.

– Chętnie zajrzałbym dziś wieczorem do archiwum i trochę poczytał.

Jej barki uniosły się w westchnieniu.

– Miałam nadzieję, że wcześniej się dzisiaj położę – odparła. – Zaczyna mnie już męczyć całe to zamieszanie wokół mojego ojca.

– Jeśli dostanę teczkę, dam ci spokój.

Obejrzała się na niego z poważnym wyrazem twarzy. Nigdy jeszcze jej takiej nie widział.

– Nie chcę, żebyś coś stamtąd wynosił – wyprostowała się w fotelu, oparła rękę na dźwigni zmiany biegów i wrzuciła jedynkę. – Masz godzinę – rzuciła, wjeżdżając z powrotem na drogę.

– Jeśli chodzi o twojego ojca – powiedział – to wiem już, z kim porozmawiać w następnej kolejności. Miał kochankę w przychodni.

Line zachichotała cicho.

– Wyobrażam sobie.

– Jeszcze jej z tym nie skonfrontowałem, ale czekam na okazję.

Samochód wtoczył się na ostatni odcinek drogi. Nawierzchnia była nierówna i auto kołysało się za każdym razem, gdy koła przejeżdżały po bryłach lodu.

– Byłam dziś w Muzeum Wybrzeża i rozmawiałam z jego dyrektorem – oznajmiła Line. – Zapytałam go, czy byłby zainteresowany przejęciem domu ojca jako muzeum wnętrz. W końcu w przyszłości nie będę tu bywać zbyt często.

Mads milczał. Samochód wjechał na podjazd i zatrzymał się. Line wyłączyła silnik, ale nie wysiadła.

– Widziałam broszurę informacyjną na temat historii przychodni na Hitrze w ostatnich latach. Znalazłam w niej plan parteru i krótki akapit na temat udoskonaleń kartoteki w piwnicy domu lekarza w latach siedemdziesiątych. Jeśli ktoś podejrzewał, że mój ojciec ma archiwum, to łatwo mógł się domyślić, gdzie zacząć poszukiwania.

– I o to chodzi – zaczął, czując przypływ entuzjazmu. – Jeśli mamy zrobić postępy, musimy zacząć szukać gdzie indziej.

– Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać, Mads – odwróciła się do niego. –
Możliwe, że się myliłam. Im głębiej drążymy tę sprawę, tym bardziej utwierdzam się
w przekonaniu, że to po prostu zbieg okoliczności, jak sam na początku twierdziłeś. Mój ojciec
popadł w depresję z powodu choroby serca. Jeleń wybiegł mu przed maskę, przez co wypadł
z trasy. Helga miała kłopoty z chodzeniem, nieszczęśliwie się pośliznęła i spadła ze schodów
w piwnicy. A co do włamania... no tak, ktoś mógł zwyczajnie nie chcieć, by inni czytali na jego
temat. – Niespodziewanie pogładziła go ręką po policzku. – Być może to czyste domysły i bujna
wyobraźnia kazały mi wierzyć, że te wydarzenia się ze sobą łączą. Być może powinnam po
prostu pozbyć się całego archiwum i wrócić do miasta. Święta tuż-tuż.

Mads przełknął ślinę. On sam nigdy nie czuł się silniej przekonany, że zależność
faktycznie istnieje.

– Przecież dopiero zaczęliśmy głowić się nad tym, co mamy. Nawet nie zdążyłem...

– Zrobiłeś więcej, niż oczekiwałam, Mads. Potraktowałeś mnie poważnie, a ja tymczasem
zmieniłam zdanie. To nas donikąd nie prowadzi, nie sądzisz?

Opuściła rękę. Westchnęła i pytająco zmarszczyła brwi.

– Daj mi więcej czasu – poprosił. – Pozwól, bym przez weekend zdobył coś konkretnego.

Okej?

Jej poważna twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Głos Celine Dion milknął w głośniku.

– Uparciuch z ciebie, wiesz?

Czy powinien być ją pocałować? Przecież wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku – a kiedy skończył przeglądać zawartość teczki Sølvestada i szykował się do wyjścia, oparła głowę o framugę i długo mu się przyglądała, chłodnym, niezgłębionym spojrzeniem. On jednak nie przygarnął jej do siebie, tylko pożegnał się skinieniem głowy, tak jakby byli partnerami w biznesie, i wyszedł. I co przy tym powiedział? „Do zobaczenia”. A w każdym razie coś w tym stylu, coś zupełnie neutralnego, tak jakby była dla niego kimkolwiek, a to, co między nimi zaszło, nie wpłynęło nań w żaden znaczący sposób.

Na placu przed przychodnią rozległ się dźwięk klaksonu. Mads nachylił się w stronę okna i wsunął palec między żaluzje. Na dachu ciemnego kombi stojącego na zewnątrz zobaczył białą lampkę z napisem „taxi”. Jego szofer był już na miejscu. Wziął radiotelefon i komórkę służbową. Przed oczami znów stanęła mu Hilde Hernes, którą spotkał tego ranka. Kiedy przyszedł do pracy, czekała na niego wiadomość, żeby o dziewiątej stawił się w jej gabinecie. Lisbeth zdążyła już przeorganizować jego plan dnia i telefonicznie powiadomić pacjentów o zmianach. Nie miał więc wyboru. W gabinecie Hernes jak zwykle wskazała mu rachityczne krzeselko. Tym razem odpuściła sobie romantyczne wywody na temat Hitry. Zamiast tego, krążąc dostojnie, acz z wyraźną wściekłością po pokoju, wygłosiła dziesięciminutowy monolog o tym, że lekarz rejonowy powinien służyć innym dobrym przykładem. Chodziło rzecz jasna o odebranie Madsowi prawa jazdy, o czym Ove Forsnes nie omieszkał donieść jej osobiście.

– To doprawdy żenujące, panie Helmer. Żenujące! Słyszysz pan? I jak ja mam pańskim zdaniem wyjaśnić wszem wobec, że nasz lekarz rejonowy jeździł po wyspie z pełną świadomością faktu, że stwarza zagrożenie dla siebie i innych?

Mads próbował wyjaśnić, że podstawą zatrzymania prawa jazdy zawsze była indywidualna ocena przypadku, przynajmniej nieoficjalnie. Przychodnia na Frøi nie mogła więc dokonać takiej oceny, skoro nie rozmawiał z nim żaden lekarz. Nie poświęcił jednak wiele czasu na argumentację. Hernes miała rację. Powinien był wykazać większą ostrożność. Poza tym widać było, że miała wielką ochotę go usadzić. Jeśli się nie mylił, wyładowywała na nim raczej niezadowolone z faktu, że miejscowa gazeta przypisała jej odpowiedzialność za jego atak.

Kiedy wyszedł na plac od strony pogotowia, znów zabrzmiał klakson. Zapukał w tylną szybę taksówki, chcąc zasygnalizować, że już jest, i otworzył bagażnik, by włożyć do niego torbę lekarską. Hernes zapewniła mu stałego kierowcę na okres do świąt. Miał on być osiągalny podczas każdego dyżuru. Mads żywił głęboką nadzieję, że mężczyzna nie okaże się jednym z gadatliwych taksówkarzy. W przeciwnym razie jazdy będą mu się mocno dłużyły.

Już miał otworzyć tylne drzwi auta, kiedy spostrzegł rękę, która popchnęła drzwi na przedzie. Zaklął. To nie był dobry znak. Podeszedł jednak i otworzył je na oścież.

Taksówkarz był roslim mężczyzną. Na błyszczącym ciemieniu pasmami zaczesał włosy mysiego koloru, a ich niedostatek na głowie rekompensowały sumiaste wąsy w trønderskim stylu pod mięsistym nosem.

– Roar Pettersen – odparł, gdy Mads się przedstawił, i zrobił nienaturalny grymas, który z pewnością miał uchodzić za uśmiech. – A więc to pan jest tym epileptykiem?

Mads zajął miejsce pasażera, czując, że wszystkie uprzedzenia do branży transportowej budzą się w nim do życia. Ziewnął rozziewając w nadziei, że skutecznie zniechęci tym kierowcę do gładzenia przez resztę jazdy, ale nie zdążyli dotrzeć do ronda przed biblioteką, a Pettersen już się rozgadał.

– A wie pan, słyszałem, że w sobotę gra pan mecz w kręgle. Nie? No, nie wiem, czy na pana postawię, ale... Åge wygrał już do tej pory trzy razy z rzędu. Chociaż doszły mnie słuchy, że

zdeklasował pan Ivara Skogena. To było sto osiemdziesiąt jeden do stu siedemdziesięciu, prawda?

– Sto osiemdziesiąt dwa – poprawił go Mads. Poczuł już, że ogarnia go rezygnacja. – Z tego, co się orientuję, jeździ pan już trochę po Hitrze?

– Trochę? – zaśmiał się gromko. – Powiem panu, że zajmowałem się tym przez cały okres aktywności zawodowej. Zjechałem Hitrę wzdłuż i wszerz. Znam każdy dom, każdy kamień przy drodze, więc wystarczy, że powie pan, dokąd jedziemy, a ja nie dość, że tam pana zawiozę, to jeszcze w trakcie jazdy opowiem, co panu się żywnie podoba.

Mads zerknął na kierowcę. Jego nazwisko brzmiało znajomo. Gdzie je słyszał? Tak czy inaczej, może wcale niegłupio było pełnić dyżur w towarzystwie gadatliwego taksówkarza. Obiecał Line, że przez weekend znajdzie namacalny dowód, ale na razie zaplanował tylko rozmowę z Charlotte. Z jakiegoś powodu nie wierzył zresztą, że uda mu się z niej coś wyciągnąć. Charlotte nazbyt przywykła trzymać język za zębami i strzec tajemnic. Zwłaszcza w sprawach osobistych.

– Z tego, co się orientuję, złożył pan wizytę Gabrielowi Strømowi?

– Widzę, że jest pan dobrze poinformowany.

Pettersen znów się zaśmiał. Śmiech przeszedł w gwałtowny kaszel, który tylko palacz zdolny był wyprodukować.

– To moją żonę spotkał pan w recepcji. Bierze leki, które jej pan przepisał, i na razie jest zadowolona. Co pan sądzi o siedzibie Strømfjordu?

– Wspaniały budynek, bez dwóch zdań. Muszę przyznać, że zaimponowało mi, jak Gabriel Strøm się urządził. Z tego, co zrozumiałem, to on jest pomysłodawcą dzisiejszych sadzów.

Słyszac cięty śmiech rozmówcy, zaskoczony Mads podniósł wzrok.

– Strøm tak powiedział?

Nie przestając się szyderczo uśmiechać, Pettersen dodał z rozbawieniem: „Proszę, proszę”, po czym nagle zamilkł. Madsowi wydało się, że czekał całą wieczność, zanim zerknął na kierowcę. Ten siedział zatopiony w fotelu. Z łokciem na podłokietniku między siedzeniami i tylko jedną ręką na kierownicy, pewnie prowadził auto przez zakręty koło fiordu Barman.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Mads z irytacją.

– A słyszał pan o Theodorze Strømie?

– O ojcu Gabriela?

– O jego bracie. To on zrozumiał, że nie można dalej opierać się na śledziu zimowym, i on wziął udział w połowach gromadnika na północy, podczas których zaobserwował, że losoś wpływa do okrężnicy i dobrze się tam czuje. W tym okresie było już paru takich, którzy próbowali hodowli pstrąga tęczowego w Utsecie, tu, na Hitrze. Theodor wrócił jednak z Finnmarku i oświadczył ojcu, że chce zacząć hodować lososie. Wyobraza pan sobie, jak niedorzeczny musiał wydać się ten pomysł staremu Strømowi?

Pettersen przechylił się nad podłokietnikiem, wysuwając szczękę jakby dla podkreślenia ostatnich słów. Mads nerwowo obserwował drogę, podczas gdy samotna ręka prowadziła samochód bez asysty oczu kierowcy.

– Proszę pomyśleć – ciągnął Pettersen. – Poświęca pan całe życie firmie, która zatrudnia setki ludzi na morzu, by przeczesywali sieciami łowiska, tak jak to robiono przez tysiące lat, a tu nagle przychodzi pański synalek i mówi, że jego zdaniem przyszłość leży w produkcji ryb na własną rękę.

– Wyobrażam sobie – odparł sucho Mads.

– Nie, powiadam panu. Z Theodora Strøma był odważny człowiek. Kupił wielką ilość

narybku łososia i wykorzystał zasadę połowu okrężnicą, by zamknąć ryby jak w klatce. Następnie karmił je gromadnikiem, widział bowiem w Finnmarku, że łososie na nie polują, a bajeczne rezultaty, które uzyskał już w pierwszym roku hodowli, sprawiły, że na całym tutejszym wybrzeżu rozniósł się wieść o nadejściu nowej epoki.

– A co z Gabrielem Strømem?

– Cóż, z Gabrielem, to wie pan... – Pettersen rozkaszał się tak, że aż mu zagulgotało w przełyku. – Jeśli Gabriel Strøm ma jakiś talent, to na pewno jest nim wycucie czasu. Zrozumiał, że jego brat jest geniuszem, on zaś miał głowę do interesów. Razem założyli firmę Trønderlaks i zbudowali własną wylęgarnię łososi, jako że początkowo poważną przeszkodą był kiepski dostęp do narybku. Zbili fortunę na długo, zanim rząd wprowadził koncesje i tego typu regulacje. Dopiero później sprawy przybrały inny obrót.

Pettersen puścił kierownicę obiema rękami, gestykulując, jak włoski kelner. Skrzywił się przy tym w sposób, który kazał Madsowi domyślić się, że powinien teraz zadać pytanie na zachętę. Chcąc zirytować kierowcę, odczekał kilka sekund.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „inny obrót”?

Pettersen jednak najwyraźniej wziął sobie pauzę do serca, gdyż natychmiast przybrał zboląły wyraz twarzy.

– Nie będę pana zamęczał tym moim gadaniem. Żona zawsze mi powtarza, że nie powinienem zagadywać klientów na śmierć.

– Ależ skąd, to bardzo interesujące! – Mads gorliwie pokiwał głową. – Takiemu szczurowi lądowemu jak ja trudno zrozumieć życie na morzu. Zanim tu przyjechałem, ledwie się orientowałem, czym jest sadz.

Pettersen zarechotał.

– Ledwie się orientował, czym jest sadz – powtórzył, jakby to była najbardziej niepojęta rzecz na świecie. – Tak, wy, szczury lądowe z głębi kraju, żyjecie własnym życiem, ale to dzięki nam, na wybrzeżu, koła się obracają. Łosoś jest złotem Norwegii, wie pan. Kiedy skończy się ropa naftowa, nasza gospodarka utrzyma się dzięki rybołówstwu. Wprawdzie nie odkryliśmy jeszcze opłacalnego sposobu hodowli dorsza, ale to kwestia czasu. No, a przegrzebki, kraby... do wyboru, do koloru. Przemysł hodowlany ma nieograniczone możliwości rozwoju, jeśli tylko ma się właściwą jego wizję.

Pettersen zahamował i zasygnalizował skręt na drogę prowadzącą dalej do mostu na Dolmøyę.

– Ale co się stało z Theodorem Strømem?

– No, co z tym Theodorem? – mruknął Pettersen i dodał gazu na ostatnim stromym podejździe przed mostem. – Zdaje się, że upadek jest losem pioniera. A Strøm był nie tylko pionierem, ale i człowiekiem, który dobra norweskiego wybrzeża pragnął bardziej niż własnej fortuny. Rozumiał faktyczną rolę hodowli jako ratunku dla naszego wybrzeża po wytrzebieniu ryb. Dlatego spraszał do Trøndelagu, kogo tylko mógł, żeby zaprezentować, jak należy się obchodzić z łososiem. Sypał z rękawa tajemnicami zakładu, a tymczasem jego brat siedział w biurze i rwał włosy z głowy. Gabriel Strøm wcześniej zrozumiał, że musi się wyrwać. Udało mu się jednak wytrwać do śmierci ojca na początku lat siedemdziesiątych. Wtedy wziął swoją część spadku, założył Strømfjord i cześć! pozwolił bratu obrać własną drogę. Bez Gabriela, który zajmował się finansami, Theodorowi wiodło się coraz gorzej, aż w końcu zbankrutował w latach osiemdziesiątych, kiedy problemy z pasożytem powodującym zakaźną anemię łososi osiągnęły szczyt. I kto by pomyślał, że dwadzieścia lat później sytuacja się odwróci...

Pettersen zahamował na czerwonym świetle przed wjazdem na most.

– Wie pan, że mieszkańcy Frøi opóźniają budowę nowej przeprawy? – taksówkarz

wskazał jednopasmowy most. – Chcą, żeby postawiono go nieco dalej w głębi cieśniny, by skrócić drogę, a zarazem odgradzić jedyną stocznię, jaką mamy na Hitrze. Z tych Frøyańczyków zawsze byli zazdrośnicy i reakcjonisci. Nigdy nie mogli przeżyć, że mieszkańcom Hitry dobrze się wiedzie.

Wreszcie zapaliło się zielone światło i Pettersen ruszył.

– Mówił pan, że sytuacja się odwróciła?

– Ceny łososia skaczą w górę i w dół. Dla nikogo nie jest to tajemnicą. Jednak kilka lat temu łosoś spadł poniżej granicy bólu, czyli dwadzieścia koron za kilogram, i pozostał na tym poziomie. Wszyscy wiedzieli, że cena podskoczy, ale nikt nie śmiało określić, kiedy to nastąpi. Tymczasem Gabriel Strøm zrozumiał, że to jego szansa, by – dosłownie – zgarnąć cały narybek. Jeździł tu i tam, pił kawę i skupował akcje wszelkich małych przedsiębiorstw rodzinnych, którym do tej pory udało się utrzymać. Ale chociaż zawsze miał głowę na karku, tym razem przeholował. Wzrost cen kazał na siebie czekać, a tymczasem bank zaczął narzekać, że Strøm nie dotrzymuje warunków kredytu. Gdyby nie brat, Strømfjord byłby dziś częścią Lerøy albo Marine Harvest. Po bankructwie firmy Trønderlaks, Theodor Strøm pracował dla SHR.

– SHR? – przerwał Mads.

– Spółdzielni Hodowców Ryb. Sprzedaż ryb była kiedyś scentralizowana w jednej spółce. Gwarantowało to bezpieczeństwo, zwłaszcza pomniejszym przedstawicielom branży. SHR miała wielki magazyn, który w przypadku kryzysu na rynku pozwalała przeczekać kiepskie czasy. W ten sposób spółdzielnia przyczyniała się do wzrostu cen łososia. Ale w miarę jak liczba hodowców się kurczyła, wielkie spółki zainteresowały się samodzielną sprzedażą i spółdzielnia upadła. Theodor najzwyczajniej w świecie uciekł wtedy do Hiszpanii, gdzie zatrudnił się w częściowo kontrolowanej przez państwo firmie norweskiej, zajmującej się hodowlą ryb głębokomorskich. Lata dziewięćdziesiąte były doprawdy fantastycznie pomyślne, a on wycofał się na tyle wcześniej, że udało mu się uniknąć konsekwencji krachu na rynku. Była to raczej kwestia przypadku niż przewidywania. Zaczął się starzeć, postanowił więc zainwestować w kupno posiadłości na Hitrze i odłożyć środki na godziwą emeryturę. Gdy jednak bank był o krok od rozprawy z jego bratem, Theodor odstąpił od planów i zamiast tego uratował Strømfjord. Ot, i koniec śpiewki...

Minęli znak wskazujący zjazd do kościoła w Dolm. Nie leżało tu już tyle śniegu, co przy ostatniej wizycie Madsa. Dotarli do położonego nieco dalej zakrętu i ich oczom ukazał się dom administratora parafii na grzbiecie wzgórza.

– Wie pan, co mówią o murze Sølvestada? – rzekł Pettersen i zarechotał. – Że jest jak piramida. Ostrze noża nie wejdzie między kamienie.

Samochód zahamował i stanął przed garażem. Mads obrzucił wzrokiem kamienną ścianę.

– Ale zbudowano go ze zwykłych kamieni – odparł. – A piramidy składają się z sześciennych bloków.

– Też prawda – przyznał Pettersen.

– Stary Doktor posyłał tu pana w konkretnym celu, prawda?

Taksówkarz zatopił palce w włosach, a jego spojrzenie straciło przyjazny wyraz. Mads nie oczekiwał odpowiedzi. Przypomniawszy sobie, od kogo słyszał o Roarze Pettersenie. Według Charlotte to właśnie jemu Caroliussen pokrywał koszty dojazdu w zamian za rozwożenie kopert z pastylkami cukrowymi.

– Zastanawiam się, czy i mnie nie wyświadczyłby pan przysługi?

W pytaniu kryła się słabo zawołowana groźba. Pettersen puścił wasy i podniósł wzrok.

– Przysługi? – powtórzył.

W jego głosie nie zabrzmiała definitywna odmowa.

Jakob Sølvestad z trzaskiem postawił na stole małe opakowanie leku i oparł ręce na

biodrach. Roar Pettersen siedział nieruchomo na kanapie obok Madsa i z pewnością minęły całe lata, odkąd ostatni raz był tak milczący w czyimś towarzystwie. Z kuchni wyszła Irina Sølvestad. Z pochyloną głową wniosła do salonu tacę z porcelanowymi filiżankami i dzbankiem kawy. Odstawiła ją na brzeg stołu i wbijając wzrok w podłogę, bezgłośnie opadła na najbliższe krzesło. Bardziej uległego zachowania ze świecą można by szukać.

Pod surowym spojrzeniem administratora Mads sięgnął po pudełeczko. Umieszczona na nim nalepka głosiła, że Irinie Sølvestad przepisano zwykły środek antydepresyjny.

– Słowem, badają ją od stóp do głów i jedyne, co dają jej na drogę, to paczka tabletek szczęścia! Próbowałem wytłumaczyć dyżurnemu, że Irina doznała zawału serca, ale nie chciał mnie słuchać – Sølvestad poszperał w kieszeni koszuli i wyjął z niej złożoną kartkę papieru, którą z szelestem rozprostował na stole. – Proszę spojrzeć – powiedział, stukając palcem w jeden z wypisanych na niej punktów.

Mads się nachylił. Kartka wyglądała na opis preparatu, standardowo dołączony do każdego zakupionego w aptece środka.

– „Należy zachować ostrożność przy zastosowaniu leku u osób z chorobą serca” – przeczytał Sølvestad na głos. – I co ja mam na to powiedzieć? Przecież nie mogę pozwolić, by odebrali jej życie.

Mads uklonił się lekko Irinie Sølvestad, kiedy podsunęła mu filiżankę kawy. Zerknął na Pettersena, który siedział blady, ale nadal opanowany. Zapewne pluł sobie w brodę, że zgodził się go wspierać podczas rozmowy z małżeństwem Sølvestadów. Już od piętnastu minut siedzieli, wysłuchując syna kaznodziei, który zawzięcie gestykulując, głosił niekompetencję kardiologów, nierzetelność psychiatrów oraz moralny upadek stanu lekarskiego i całego świata.

– Musimy o czymś porozmawiać – przerwał Mads. Nie był pewien, czy mu się uda, ale tego dnia odkrył coś, co musiało ujrzeć światło dzienne. – Proszę usiąść, panie Sølvestad!

Lśniące oczy administratora aż się zwięziły, kiedy usłyszał rozkazujący ton Madsa, ale chwilę później wykonał polecenie. Opadł na sam skraj krzesła po przeciwnej stronie stołu, zrelaksowany w równym stopniu, co jeleń gotujący się do skoku.

– Wiem, że zawarł pan umowę z doktorem Caroliussenem i z obecnym tu panem Pettersenem na dowóz tabletek, ale niestety, nie możemy jej kontynuować.

Jakob Sølvestad zrobił ruch, jakby znów chciał się poderwać, ale Mads uniósł rękę, żeby mu przeszkodzić, i ku swojemu zdziwieniu spostrzegł, że mężczyzna usłuchał.

– Pan pozwoli, że krótko wyjaśnię, dlaczego. Po pierwsze... pańska żona nie doznała zawału. A po drugie... tabletki, które dostawała od Caroliussena, składały się wyłącznie z cukru.

Zwrócił się do taksówkarza, który chrząknął i niechętnie skinął głową. Jako że się nie odezwał, Mads dał mu sójkę w bok.

– My... ech... ja... Tabletki, które państwu dostarczałem, zawierały sam cukier – potulnym głosem przyznał Pettersen. – W biurze mam cały słoik. Gdy dzwonił Caroliussen, brałem kilka, wkładałem je do podpisanej koperty i zawoziłem na miejsce. Nie byli państwo moimi jedynymi klientami.

Grdyka Sølvestada podskoczyła, kiedy przełknął ślinę i otworzył usta.

– Irina nie miała zawału? Ale dlaczego...?

– Dobre pytanie – przerwał Mads. Z jakiegoś powodu wstał. Być może zainspirowały go natchnione gesty Sølvestada. Obszedł stół i stanąwszy za krzesłem Iriny, położył obie ręce na jej barkach. – Ale Aldus Caroliussen nie żyje i nie widzę sensu w snuciu domysłów, dlaczego postąpił tak, a nie inaczej. Najważniejsze, że Irina jest zdrowa, i może pan jej to przekazać.

Administrator znów przełknął. Niespokojnie wodził wzrokiem po pokoju. Wielkie, kościste ręce niezdarnie przesunęły się na kolana, palce się splotły.

– Nie jest to niezbędne. Moja żona nie zdaje sobie z tego sprawy.
– Ależ skąd. Ona to wie – Mads posłał mu natarczywe spojrzenie. Sølvestad aż się wzdrygnął. – Wie, bo sam pan jej o tym powiedział. Prawda, Irino?
– Nie zna norweskiego... Nie zrozumie pana.
We wzroku Jakoba Sølvestada pojawiła się desperacja.
– Tak też z początku sądziłem. Według notatek Caroliussena niejako więził pan tę kobietę na Dolmøi, a ponieważ doktor obawiał się, że może pan ją skrzywdzić, wymyślił zawał serca. Pan Pettersen ma jednak brata w Trondheim. Pewnego wieczora w pubie U Dobrego Sąsiada spotkał on młodego mężczyznę o imieniu Ivan. Godziny płynęły, a Ivan spił się do tego stopnia, że nie mógł ustać na nogach, w związku z czym brat Pettersena odstawił go do domu. W drodze mężczyźnie rozwiązał się język. Zgadza się, panie Pettersen?

Mads skinął głową w stronę kanapy, w duchu licząc na wsparcie. Roar Pettersen nie był wprawdzie wielkim aktorem, ale instrukcje, które dostał zawczasu, nie należały do najtrudniejszych. Z pewnością zdarzało mu się też kłamać.

– T-tak... – dobiegło z kanapy. Ujrawszy spiętą minę taksówkarza, Mads z wysiłkiem stłumił uśmiech. – Powiedział, że szaleje z zazdrości o kochankę. Podobno mieszka tu, na Dolmøi, z jakimś typem... za którego wyszła. Mój brat zastanawiał się, jak Ivan może być w związku z mężatką, a-ale on nie chciał tego wyjaśnić.

– Wymienił za to imię kochanki, prawda?

Pettersen przytaknął gorliwie. Wyglądało na to, że opuściła go trema.

– Nie dość tego. Podobno zanim tu przyjechała, studiowała norweski w Rosji i...

– Tak, tak.

W smukłym ciele Iriny Sølvestad drzemał silniejszy głos, niż można się było spodziewać. Strząsnęła z barków ręce Madsa i ciężko westchnęła. Jakob Sølvestad siedział ze splecionymi rękami i gorączkowo potrząsał głową, gdy niemal pozbawionym akcentu dialektem z Trøndelagu powiedziała:

– Mówię po norwesku!

Roar Pettersen nie wyrzekł ani słowa, dopóki nie zatrzymali się na światłach drogowych przy przejeździe przez cieśninę Dolmsundet. Mads rozparł się w fotelu i zamknął oczy. To był długi dzień: czuł się wyczerpany, ale zadowolony. Znalazłszy w teczce małżeństwa Sølvestadów kopię dokumentu, wyglądającego na świadectwo z Rosji i niedokończony list w języku rosyjskim, odniósł wrażenie, że coś się nie zgadza. Stary Doktor musiał gwizdnąć oryginały podczas jednej z wizyt w domu Sølvestadów, skserować je w przychodni i odłożyć tam, gdzie je znalazł. Potem jednak najwyraźniej o nich zapomniał, a w każdym razie nigdy nie podjął próby ich przetłumaczenia. Po prostu leżały w archiwum, jemu zaś przez myśl nie przeszło, żeby się nimi zainteresować.

Wychodząc z domu służbowego Caroliussena, Mads wyniósł obie kopie pod kurtką. Przesłał je faksem do szpitala w Orkdalu. Wiedział, że pracuje tam rosyjska stażystka. Dziewczyna przeczytała mu treść listu przez telefon, to zaś, co usłyszał Mads, wprawiło go w niepomiarne zdumienie. W liście Irina opisywała widok z okien mieszkania w Bakklandet, dzielnicy Trondheim, oraz życie u boku kochanka, Ivana. Początkowo Mads sądził, że kobieta zmyśliła całą historię, by zrekompensować sobie smutki pobytu na Dolmøi, potem jednak stażystka przeczytała mu wykaz przedmiotów na świadectwie. Okazało się, że Irina odbyła czteroletnie studia w zakresie języków skandynawskich na Uniwersytecie w Moskwie. Wówczas zrozumiał, że coś się nie zgadza.

– Możliwe, że wolno kojarzę – zaczęła Pettersen. Nie mówił już zawadiackim tonem – ale rozumiem, że Irina przez cały czas mieszkała w Trondheim razem z tym Ivanem, a nam się

wydawało, że siedzi zamknięta w pokoju u Jakoba Sølvestada?

– Zgadza się.

– Ale dlaczego?

– Wystarczyłoby, że będzie żoną Sølvestada jeszcze rok, a automatycznie uzyskałaby norweskie obywatelstwo, o ile nikt by się nie zorientował, że to aranżowane małżeństwo. Myślę, że Irina wiedziała coś o Jakobie. To w każdym razie wystarczyło, żeby się z nią ożenił i kupił jej mieszkanie w mieście.

Pettersen zarechotał.

– Krążą plotki, że Jakoba widziano w towarzystwie pań o wątpliwej reputacji, że się tak wyrażę. Możliwe, że ma to coś wspólnego z całą sprawą.

– Całkiem prawdopodobne.

Zapaliło się zielone światło. Pettersen przecesał palcami wąsy, jednak nie dodał gazu, by wjechać na most.

– Ale po co to zamieszanie z tabletkami?

– Nie wiem, ile mogę panu powiedzieć w tej sprawie. Koniec końców to poufne informacje – Mads zerknął na taksówkarza. – Ale skoro tyle pan już wie, to...

– Spokojnie. Wprawdzie dużo gadam, ale w pewnych sytuacjach nie puszczam pary z ust. Mads się uśmiechnął.

– Okej. Myślę, że Irinie zależało na rencie inwalidzkiej. Nakłoniła Jakoba, żeby wezwał Starego Doktora, i udała napad lęku, nadając mu pozory choroby psychicznej. Jednak Caroliussen miał już do czynienia z Sølvestadem w przeszłości i pomyślał, że administrator bije żonę. Chcąc więc, by obchodził się z nią trochę ostrożniej, zdiagnozował u niej zawał serca. Takie rozwiązanie zadowoliło Irinę. Tak czy owak dostała swoją rentę.

Pettersen puścił wąsy i roześmiał się cierpko. Motor warknął, a samochód nabral prędkości.

– Z pana, Helmer, jest niezły gagatek – uśmiechnął się szeroko. – A ja się bałem, że okaże się pan oschłym nudziarzem!

Jędzą usiadła dopiero, gdy wszyscy zgromadzili się wokół podłużnego stołu w pokoju zebrania. Mads nie był tu od pamiętnego ranka po śmierci Caroliussena. Teraz pomieszczenie udekorowano z okazji świąt: w oknie zawieszono Gwiazdę Betlejemską, położono czerwony obrus na stole i postawiono świece adwentowe. Poza tym jedną ze ścian przystrojono pracami dzieci, które odwiedziły przychodnię. Mads przyglądał się naiwnym rysunkom, przedstawiającym rodziny wokół choinki i skrzaty przynoszące worki pełne prezentów. Nie pamiętał, żeby miał kiedyś takie skojarzenia z Bożym Narodzeniem. Świąta polegały dlań na przyjmowaniu dyżurów, których nikt inny nie chciał. Nie cierpiał myśli, że mógłby siedzieć w domu z ojcem, jeść świąteczną owsiankę i gapić się w ścianę. Nietrudno mu było zrozumieć, dlaczego dzieci Kristoffera wołały spędzić ten czas u drugich dziadków.

Jędzą odchrząknęła i powiodła uroczystym wzrokiem po zebranych.

– W związku ze świętami musimy omówić kilka spraw – oznajmiła i poklepała leżącą przed nią stertę papierów. – Pomyślałam jednak, że zaczniemy od bardzo dobrej nowiny.

Jej surowa twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Utkwiła spojrzenie w Kaspersenach, którzy siedzieli naprzeciwko Madsa, wyraźnie się czymś pyszniąc, odkąd tylko zajęli miejsca. Kiedy skupiła się na nich uwaga zebranych, Kristian Kaspersen złapał żonę za rękę. Pochylili się ku sobie i zaczęli szeptać:

– Mam im powiedzieć?... Nie, ty to powiedz... Nie możesz?... Dobrze, by było, żeby... Czyli ja?

Ostatecznie to Regine Kaspersen się wyprostowała. Tego ranka splotła cienkie włosy w dwa warkoczyki. Miała zaczerwienione policzki i dawno już nie wyglądała tak rześko.

– Tak naprawdę to mam dwie dobre wiadomości – powiedziała. Mówiła nabożnie, teatralnym tonem. Madsa uderzyło, że odkąd małżonkowie przyjechali na wyspę, prawie nie słyszał, by się odzywała. Za każdym razem, gdy chciał z nimi porozmawiać, Kristianowi nie zamykały się usta, a Regine ledwo udawało się wtrącić. Tym razem mąż skupiał na niej pełnię uwagi. Trzymali się za ręce tak mocno, że zbiegały im kostki.

– Pierwsza z nich jest taka, że spodziewamy się dziecka, Kristian i ja.

Regine Kaspersen zachichotała jak podłotek, gdy przez pokój przetoczyła się fala gratulacji.

– Nie może być!... Fantastycznie!... A kiedy się urodzi?... Chłopiec czy dziewczynka?

Mads poprzestał na uśmiechu. To musiało wystarczyć. Nie mógł zaprzeczyć, że cieszył się ich szczęściem. Wkrótce mieli wyjechać, z czego również był zadowolony. Najzwyczajniej w świecie nie lubił z nimi pracować. Nie mógł zrobić niczego, żeby poprawić relację, pewnie była to kwestia chemii.

Rozparł się na krześle i zerknąwszy dyskretnie na stertę papierów, która leżała przed Jędzą, rozpoznał wycinek z „Hitry-Frøi”. *Mistrz kuchni na Frøi*. Tak, artykuł zapadł mu w pamięć. To pewnie u niego Jędzą zamówiła stół na Wigilię dla pracowników.

– Jest jeszcze druga dobra wiadomość... – oznajmiła Regine, wyteżając głos. Wyciągnęła szyję i rozejrzała się wokół. Mads zrozumiał, że chciała, by na nią spojrzął, ale z rozmysłem odczekał kilka sekund, zanim nawiązał kontakt wzrokowy.

– ...a mianowicie, że postanowiliśmy zostać na Hitrze. No, jeśli tylko będziecie nas chcieli...

Regine Kaspersen znów zachichotała, a siedząca po drugiej stronie stołu Jędzą wymownie skinęła głową.

– Już o tym rozmawialiśmy, tak – potwierdziła.

Mads poczuł narastający ciężar, a tymczasem Kristian Kaspersen, który o mało nie pękł po tak długim milczeniu i wysłuchiowaniu żony, przechylił się nad stołem i opowiedział, że wywodzący się z Frøi teściowie postanowili się tu przeprowadzić.

– ...więc biorąc pod uwagę możliwość opieki nad dzieckiem i tego typu sprawy, nietrudno było nam podjąć decyzję. Jesteście wszyscy tacy mili. I w ogóle cudownie nam się tu pracuje!

Kristian Kaspersen uparł się, by uśmiechnąć się do wszystkich zgromadzonych. Mads osuwał się coraz niżej na krześle i o mały włos, a ukryłby twarz za ręką.

– To dla nas prawdziwy prezent świąteczny, Kristian! – Jędza wciąż kiwała głową do własnych myśli. – Jakie to fantastyczne, że w tak krótkim czasie po śmierci Caroliussena Hitra zyskała trzech solidnych lekarzy. Poza tym zdaje się, że w lutym przybędzie nam stażysta. Aldus zawsze był przeciwnikiem zatrudniania młodych lekarzy, ale to istotne dla dalszej rekrutacji. Mam nadzieję, że pozytywnie się na to zapatrujecie?

Potoczyła wokół autorytatywnym spojrzeniem.

No jasne – Oczywiście – Świetnie. Odpowiedziały jej zgodne pomruki i kiwanie głowami.

– Zanim to jednak nastąpi, musimy ustalić plan dyżurów. Nie zajmie nam to dużo czasu.

Jędza spojrzała wprost na Madsa, który poczuł się zobligowany do poprawienia się na krześle. Skinął głową i nonszalancko rozpostarł ręce.

– Mogę wziąć Wigilię i Sylwestra – oznajmił.

– Sprawa wygląda tak, że Regine i Kristian zgodzili się już pełnić dyżur przez cały tydzień świąteczny, łącznie z wieczorami, które wymieniłeś. Byłeś nam bardzo pomocny w okresie przed świętami, Mads. Pomyślałam więc, że powinniśmy ci pozwolić spędzić Boże Narodzenie w domu. Potraktuj to jako prezent z naszej strony.

Uśmiechnęła się szeroko. Mads siedział, pocierając dłonie. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie miał już żadnej wymówki, którą mógłby przedstawić ojcu.

– Wystarczy małe dziękuję – dodała Jędza i zaśmiała się krótko. Pozostali zawtórowali jej uśmiechami albo stłumionym chichotaniem. – A teraz omówmy wspólną Wigilię.

...

Charlotte już miała wyjść z pokoju zebrań, gdy Mads odciągnął ją na stronę. Odezwał się dopiero, kiedy pozostawiono ich sam na sam.

– Nie dałabyś się zaprosić na drożdżówkę, zanim pojedziesz do domu?

Zmarszczyła brwi ze zdziwieniem, widział jednak, że propozycja przypadła jej do gustu.

– Ach, tak. Ze sposobu, w jaki na mnie ostatnio patrzysz, zorientowałam się, że coś jest na rzeczy. W czym zatem mogę ci pomóc?

Odchrząknął i zastanowił się, czy powinien od razu wyjawić jej, do czego zmierza, zanim jednak zdążył się odezwać, Charlotte poklepała go po policzku.

– Spotkajmy się na zewnątrz za pięć minut. Muszę najpierw przypudrować nos.

Kiedy wyszedł z przychodni, już tam na niego czekała. Była ubrana w futro z norek koloru kawy, sięgające do stóp. Zakręciła się uwodzicielsko, tak jakby chciała, by skomentował jej ubiór, a on wyciągnął rękę i dotknął materiału. Tak. Futro było prawdziwe.

– Prezent świąteczny od Antona... czyli mojego męża.

– Wspaniałe – rzekł Mads i poczuł palące wyrzuty sumienia. Nie cieszyła go perspektywa konfrontacji Charlotte z jej romansem pozamałżeńskim, nie miał jednak wyboru. Ze wszystkich mieszkańców Hitry to ona musiała być najlepiej wtajemniczona w sekrety Starego Doktora. Z drugiej strony, nie było wcale takie pewne, czy zechce mu je zdradzić. Zależało to przede

wszystkim od obranej przez Madsa taktyki. Musiał spróbować swych sił w sztuce sugestii. Jeśli będzie zbyt obcesowy, Charlotte na zawsze zamknie się w sobie. Taka właśnie była: uparta.

– Pójdziemy do piekarni? – podsunął, kiwając głową w stronę Centrum Handlowego Hjorten.

Bez uprzedzenia wzięła go pod ramię: poczuł dotyk miękkiego futra.

– No, przyznaj się w końcu. Masz kłopoty sercowe, prawda?

Aż się cofnął pod jej natarczywym spojrzeniem, ale ruszyła przed siebie, a że go trzymała, musiał ulec. Dawno już się domyślił, że próbowała nawiązać do epizodu w Hotelu Fiord, nie był jednak zainteresowany przerabianiem tej historii po raz wtóry.

– Widzisz, Mads, kobiety cenią sobie spokojne tempo. Nie podoba im się, kiedy wyskakujesz jak Filip z konopi i jesteś zbyt bezpośredni. Kobieta chce trochę tajemniczości, chce czytelnych aluzji, dokąd zmierzasz, ale jednocześnie należy jej zostawić czas na przemyślenie sytuacji. Nie można jej przypierać do muru. Anton, mój mąż, zawsze...

– Chodzi o Caroliussena.

Umilkła, by po chwili zatrzymać się gwałtownie. Puściła jego ramię. Stali na chodniku, mierząc się wzrokiem. Minęła ich truchtem grupka dzieci z tornistrami. Przed wejściem do centrum nadal stał mikołaj z Fundacji Rozwoju Hitry, grzechocząc puszką kwestarską.

– Czy to dotyczy Sølvestada?

Pokręcił głową.

– Słyszałam od Pettersena, co się stało – przyznała. – I kto by pomyślał, że to Irina trzęsła tym domem. Biedaczysko z tego Sølvestada, nie?

– Interesuje mnie kwestia związana z doktoratem – powiedział.

– Ach, tak?

– Grzebałem trochę w papierach Caroliussena i nie mogę pozbyć się myśli, jakie to dziwne, że zarzucił cały projekt.

Zmrużyła oczy.

– Nie ty jeden.

Nadeszli rodzice prowadzący za rękę dwójkę małych dzieci. Charlotte ukloniła się obojgu z zyczliwym uśmiechem. Mads zapatrzył się na wejście do centrum handlowego. Tego dnia znów było tam pełno ludzi. Może powinni poszukać innego miejsca. Może powinni byli zostać w przychodni?

– Na dobrą sprawę to długa historia, której na razie nie mogę opowiedzieć ci ze szczegółami – rzekł, podkreślając „na razie” w nadziei, że ujdzie mu to na sucho. – Staram się jednak zrozumieć, co skłoniło Caroliussena do przerywania pracy nad projektem, i chętnie bym z tobą o tym porozmawiał. W końcu dobrze go znałaś... z tego, co się orientuję, nawet lepiej niż inni, więc...

Dalej nie zaszedł. Charlotte patrzyła na niego sztywno spod ściągniętych brwi.

– O co chodzi? – zapytał, czując, że spojrzenie wprawia go w konsternację.

– Tylko mi nie mów, że wierzysz w tutejsze plotki?

– Jakie znowu plotki?

Odchyliła głowę, śmiejąc się głośno.

– „Dobrze go znałaś”, no, zlituj się... Kiepski z ciebie aktor, Mads.

– Nie rozumiem...

– Doskonale wiesz, o czym mówię. O plotkach na temat mnie i Aldusa. Pielęgniarka i lekarz. Sztandarowy stereotyp rodem z harlequina. Myślisz, że nie zorientowałam się, do czego zmierzasz? Tak to już jest w małych miejscowościach, Mads. Ludzie gadają o lekarzach. Gadają o mnie, gadają o tobie, mówią sąsiadowi, co im się wydaje, sąsiad opowiada kolejnemu

sąsiadowi, przy czym plotka wylatuje wróblem, a wraca wołem. Ale to tylko pogłoski, Mads. Nic więcej. Bo chociaż Aldus był czarującym mężczyzną, to przez myśl by mi nie przeszło, że mogłabym zrobić coś takiego Antonowi.

Mocno tupnęła nogą, aż śnieg rozprysnął się wokół. Mads spuścił wzrok, czując się nieprzyjemnie.

– Przepraszam – mruknął.

Futraste ramię wsunęło mu się nagle pod pachę. Kiedy podniósł wzrok, Charlotte patrzyła nań apodyktycznie.

– Chodź – rzuciła i pociągnęła go w stronę drzwi do centrum handlowego. – Zakładam, że to ty stawiasz?

Stojący w głębi lokalu stolik był wolny. Usiedli, każde z filiżanką kawy i drożdżówką. Bez zachęty ze strony Madsa, Charlotte zaczęła opowiadać. Właściwie było mu to nawet na rękę, bo przejrzawszy tak szybko jego intencje, zupełnie zbiła go z tropu. Kiedy mówiła, przyglądał się jej badawczo. Sposób, w jaki się zachowywała, utwierdził go w przekonaniu, że historia o niej i Caroliussenie jest tylko plotką. Powinien był się tego domyślić. Jak powiedziała Charlotte, był to w końcu sztandarowy stereotyp z harlequina. To by jednak znaczyło, że Stary Doktor miał inną kochankę w tych stronach. A może było ich więcej? Przecież nie mógł przeżyć trzydziestu pięciu lat na wyspie, nie nawiązując bliskiej relacji z żadną kobietą. Z kobietą czy mężczyzną? Mads musiał się uśmiechnąć. Nie, w to akurat nie wierzył. Stary Doktor miał wprawdzie wiele tajemnic, ale skrywany homoseksualizm na pewno nie był jedną z nich.

– To musiało być koło Wielkanocy – powiedziała Charlotte, w zamyśleniu patrząc przed siebie. – A może wcześniej? Jeszcze przed świętami... W trakcie ferii zimowych... Tak, teraz już jestem całkiem pewna, że to się zdarzyło w trakcie ferii. Właśnie wtedy zauważyłam u niego zmianę. Mówię to z takim przekonaniem dlatego, że w tym okresie pracowało dla nas małżeństwo lekarzy z Oslo. Zabrali ze sobą dwóch synów, którzy mieli wtedy ferie szkolne, i babcię, która opiekowała się nimi, kiedy rodzice pracowali. Dzieciaki odwiedzały przychodnię dzień w dzień, w porze lunchu. Wbiegały do środka i bawiły się w korytarzach. Widziałam, że Aldusowi bardzo się to nie podoba. Generalnie nie znosił hałasu, ale tym razem nie zwrócił nikomu uwagi, przypuszczalnie dlatego, że na dobrą sprawę lubił dzieci. Pewnego dnia wyszedł jednak z rejestracji, niosąc plik papierów, i zderzył się z jednym z chłopców, chyba tym starszym. Z dzieciaka był kawał łobuza, a przy tym niezłe wyrósł jak na swój wiek. Z impetem wpadł na Aldusa, który upuścił papiery, tak że wszystkie rozsypały się po podłodze. Siedziałam w rejestracji i byłam świadkiem tej sceny, więc chciałam podejść i pomóc, ale Aldus dał znak, żebym została na miejscu. Nie zdążyłam jednak wrócić i usiąść, gdy złapał chłopca za ramię... a sądząc z wyrazu twarzy dziecka, uścisk był bolesny. Wił się i próbował się wyrwać, Aldus jednak trzymał go mocno, wołając, żeby podniósł to, co upadło. Chłopiec zaczął popłakiwać, Aldus nalegał... Niemal krzyczał... – urwała i westchnęła przeciągle. – Lubił dzieci – powtórzyła. – Zawsze łagodniał, kiedy musiał się nimi zajmować. To były jedyne istoty, z którymi umiał się dogadać. Dlatego zszokowało mnie, gdy nagle uderzył chłopca – przelknęła ślinę. – Wprawdzie płaską dłonią, ale trafił go w sam środek twarzy, tuż nad nosem, z którego zaraz popłynęła krew. Chłopiec zaczął wrzeszczeć, przybiegli rodzice, a tymczasem Aldus stał i szklistym wzrokiem gapił się w przestrzeń. Kiedy do niego podeszłam i nim potrząsnęłam, po prostu mnie odepchnął, po czym wrócił do gabinetu.

Mads chwycił filiżankę, uniósł brwi i chrząknął ostentacyjnie.

– Coś takiego...

Charlotte wzięła oddech i oparła się plecami o krzesło. Jej ręka wylądowała na piersi, gdzie pozostała.

– Nawet teraz, choć minęło już tyle czasu, ta scena wydaje mi się wstrząsająca. Wiem, że miałeś złe zdanie o Aldusie, ale takie zachowanie było nie w jego stylu. Tych dwoje lekarzy, zatrudnionych tymczasowo, oczywiście nie wróciło na wyspę... jak zresztą wielu innych.

– Ale nie masz pojęcia, co mogło wpłynąć na zmianę usposobienia Caroliussena? Powoli potrząsnęła głową.

– Wiele o tym myślałam, ale nie mogę powiedzieć, że udało mi się coś wydedukować.

Mads westchnął i powiódł spojrzeniem po kawiarnianych stolikach. Na jednym z najbliższych krzeseł młoda kobieta usiłowała ustawić całą stertę siatek. Reklamówki były wyładowane paczkami. Mads uświadomił sobie, że nie kupił jeszcze żadnego prezentu na święta. Musiał znaleźć coś dla Line. Nosił się z tym zamiarem już od pewnego czasu. Poza tym nie miał innych planów. No, tak, dla Charlotte też powinien coś wymyślić. Zaczął naprawdę ją cenić.

Uśmiechnął się.

– Przepraszam, że uwierzyłem w tę pogłoskę o tobie i...

– Nie, nie. Zapomnij! – roześmiała się. – Cały czas krążą jakieś plotki. Dziś na przykład kilkoro ludzi zobaczyło, że pijemy razem kawę, wkrótce więc pewnie usłyszę, że wystarczyło mi parę tygodni po śmierci Aldusa, żeby zabrać się do młodego lekarza.

Przechyliła się nad stołem, przybierając poufny wyraz twarzy. Przyciszonym głosem ciągnęła: – Nie chcę się wtrącać, ale...

– Więc nie rób tego – przerwał Mads.

Z zakłopotaniem utkwiał wzrok w stole.

– Nie ma sprawy – dobiegł go jej głos – ale o Pettersena mogę chyba zapytać? Wydał ci się w porządku?

Charlotte zaczęła szybko poruszać ustami, udając, że mówi. Mads musiał się uśmiechnąć.

– Nie mogę powiedzieć, że bym się nudził.

– O kim w takim razie słuchałeś? O zazdrosnych i zacofanych ludziach z Frøi, a może o aroganckich, rozwiązłych mieszkańcach Trondheim?

– Zdążył wspomnieć o Frøi, owszem. Ale głównym tematem była hodowla ryb. Zostałem też uraczony historią o fantastycznym Theodorze Strømie.

Chcąc podkreślić wydzwięk ostatnich słów, Mads nakreślił sobie aureolę nad głową.

– Theodor Strøm, tak. To dopiero była tragedia.

– Ale przecież ostatecznie stanął na nogi, prawda?

– Myślałam raczej o ostatnim roku jego życia. Pod koniec zaczął mieć spore kłopoty, biedak. Pewnego ranka, kiedy szykowałam się do otwarcia przychodni, spotkałam go wędrującego po centrum Fillan boso, w samych kalesonach. Był zupełnie skołowany. Myślę, że przyszedł tu pieszo aż z Ansnes – wzruszyła ramionami. – Potem znów rozjaśniło mu się w głowie. Kiedyś był jednak błyskotliwym człowiekiem i wszyscy widzieli, że coś jest nie tak. On sam to zresztą rozumiał. Po rozmowie z Aldusem wziął sprawy w swoje ręce.

Mads przechylił się nad stołem.

– Samobójstwo?

– Pewnego ranka wypłynął łodzią na morze. Znalaziono ją pustą, dryfującą na wodach za Knarrlagsundet. Wydaje mi się dość pewne, że nie miał siły tego dalej ciągnąć. Przez całe życie był przyzwyczajony do pracy, bycia na szczycie.

– Kiedy to nastąpiło?

– Zastanówmy się... Na pewno już w nowym roku. W styczniu natknęłam się na niego tu, w Fillan. Czyli musiał wypłynąć na morze gdzieś na początku lutego.

Mads poczuł nagle, że podnoszą mu się włosy na rękach. Coś mu podpowiadało, że to tej informacji szukał.

– A kiedy wypadają ferie zimowe w tym roku?

Charlotte wzruszyła ramionami, po czym spojrzała mu w oczy i osunęła się na krzesło.

– W lutym...

Nie dodała nic więcej. Długo siedzieli, wpatrując się w siebie.

Mads oparł się w fotelu biurowym. Theodor Strøm. Czy to on był kluczem do zagadki?

Czy jego śmierć mogła powiązać wydarzenia, które zdawały się rozbiegać we wszystkich kierunkach? Podpowiadała mu to intuicja. Theodor Strøm pochodził z wpływowej rodziny i umarł jako wpływowy człowiek. Trudno było powiedzieć, ile milionów zgromadził dzięki ostatnim latom dobrej passy. Mads nawet nie śmiał zgadywać. Poza tym szanowano go za pionierską pracę, którą wykonał w branży hodowlanej, i zdawało się, że był lubiany przez większość. Z drugiej strony wokół jego osoby musiały też istnieć jakieś kontrowersje. Żaden liczący się człowiek nie miał szansy ich uniknąć. Najwyraźniej zaangażował się w projekt doktorski Caroliussena, skoro firma Strømfjord poświęciła tak wielkie środki na jego finalizację. Wreszcie leczył się w tutejszej przychodni.

Mads wpatrywał się w notatkę wyświetloną na ekranie komputera. Stary Doktor niezbyt gorliwie korzystał z elektronicznej kartoteki pacjenta, ale tym razem zadał sobie trud, by zanotować:

„Informuję T. Strøma o wynikach badania MRI, które nie wykazało objawów zatoru ani rozwoju nowotworu. Można natomiast zaobserwować pewne zmiany starcze i nie da się wykluczyć, że obecne symptomy zwiastują zaburzenia kognitywne. Dalsze badania obejmują w pierwszej kolejności punkcję łądźwiową, z której pacjent chce zrezygnować. Absorbują go możliwości leczenia, więc informuję go o potencjalnie złych rokowaniach, które pozwolą mu jednak na kilka lat życia w godnych warunkach, zanim choroba się pogłębi”.

Mads przygryzł paznokieć kciuka. Notatkę sporządzono tydzień przed śmiercią Strøma. Tydzień. Próbował się zastanowić. Niewykluczone, że Charlotte miała rację, mówiąc o samobójstwie. Theodor Strøm musiał sobie uzmysłowić, że trafi na oddział chorych z demencją w Centrum Zdrowia. Wolał więc rozstać się z życiem. Dlaczego jednak Stary Doktor tak boleśnie przeżył jego śmierć? Według Charlotte nie byli sobie jakoś szczególnie bliscy. I jaki miało to związku z włamaniem czy Helgą Caroliussen? Mads westchnął, złapał myszkę i kliknięciem przeszedł do wykazu badań laboratoryjnych Theodora Strøma. Każdy ślad, który znajdował w tej sprawie, zdawał się przynosić coraz więcej pytań. Zaczynał od tego wariować. Przewinął w dół wyniki badania równowagi elektrolitów, enzymów wątroby i hormonów tarczycy, z których wszystkie mieściły się w granicach normy. Wykonano także oznaczenie stężenia digitoksyny w surowicy, co zapewne wiązało się z tym, że Strøm, podobnie jak jego lekarz, cierpiał na migotanie przedsionków. W ostatnim roku życia nie poddano go już jednak badaniom. Oznaczało to pewnie, że przerwał kurację preparatem. Mads opuścił stronę z wynikami i przyjrzał się z kolei frekwencji odwiedzin Strøma w przychodni. Wyglądało na to, że od 2002 roku bywał w niej co kwartał. Wcześniej zjawiał się rzadziej niż raz w roku, niewątpliwie ze względu na pobyt za granicą. Mads wziął się za głowę. Był tylko jeden sposób, żeby to wszystko zrozumieć. Musiał dostać się do kartoteki w domu lekarza. To tam znajdowały się odpowiedzi.

Wyjął telefon komórkowy i wybrał numer Line. Nękanie wątpliwościami, zapatrzył się na wyświetlacz. Czy powinien poczekać z dzwonieniem? Może lepiej, by dał jej odrobinę swobody, tak jak sugerowała Charlotte. Swobodę i czas do namysłu. Opuścił telefon. Dlaczego zawsze musiał być tak nieporadny w stosunku do kobiet? To zakrawało na parodię. Znow podniósł komórkę. W tym wypadku nie chodziło tylko o niego i Line. Obiecał, że przed końcem weekendu dostarczy jej dowód, stał zaś niewątpliwie w obliczu przełomu. Tak, musiał zajrzeć do archiwum.

Wybrał połączenie głosowe. Oddychał ciężko, podczas gdy sygnał dzwonka brzęczał mu do ucha. Potem nastąpiło kliknięcie i odezwał się monotonny głos z automatycznej sekretarki. Mads zaklął.

– Tu Line Schönfelt. Nie mogę teraz odebrać telefonu, ale proszę zostawić wiadomość albo wysłać mi esemesa.

Tym razem zdążył się rozłączyć, zanim rozległo się piśnięcie.

Również w ten piątek w Centrum Zdrowia serwowano glögg. Gdy tylko Mads usiadł, podsunęto mu pełny kubek i dwa ciastka. Te same pielęgniarki, co ostatnio, spojrzały na niego życzliwie, gdy pochłonął jedno po drugim i poprosił o więcej. Dostał cały półmisek.

– Proszę się nie krępować – powiedziała mu jedna z kobiet.

Wziął jeszcze jedno, ale jego apetyt nieco osłabł, kiedy zobaczył leżącą na stole epikryzę. Valentina Hjertås wróciła ze szpitala.

Z niesmakiem przeczytał opisy kliniczne. Jak większość dokumentacji medycznej, były one wyprane z człowieczeństwa i empatii. Valentine Hjertås przyjęto na oddział chirurgiczny Szpitala Świętego Olafa i niedługo później poddano ją tomografii komputerowej jamy brzusznej. Badanie wykazało obecność wielu guzów nowotworowych, zarówno w jelitach, jak i w wątrobie. Ponieważ istniało ryzyko zatkania światła jelita, chirurdzy postanowili zbadać brzuch za pomocą laparoskopu, by sprawdzić, czy nie da się czegoś usunąć, ale musieli się wycofać, zanim cokolwiek zdziałali. Rak był już zbyt zaawansowany. Po operacji zorientowano się, że coś jest nie w porządku. Hjertås nie obudziła się z narkozy. Po naradach wykonano MRI głowy. Badanie wykazało świeży zator w obrębie pnia mózgu. Jako że Hjertås zdecydowanie „nie nadawała się do rehabilitacji” i pozostała jej już tylko „opieka terminalna”, postanowiono odesłać ją z powrotem do Centrum Zdrowia.

Mads odrzucił epikryzę na stół. Wprawdzie wszystkie zabiegi chirurgiczne niosły ryzyko powikłań, ale to było absolutnie najgorsze, co mogło się zdarzyć. Stary Doktor zrezygnował z hospitalizacji Hjertås. Czy to właśnie taką ewentualność przewidział i chciał jej zapobiec, pozwalając pacjentce zostać tutaj?

– Co to jest zespół zamknięcia?

Siedząca naprzeciwko pielęgniarka wzięła epikryzę do ręki i odczytała na głos termin z listy diagnoz zamieszczonej na górze strony.

– To zespół, który może wystąpić w wyniku uszkodzenia pnia mózgu. W praktyce oznacza paraliż całego ciała, bez możliwości ruszenia choćby palcem, ale przy zachowanej świadomości, wrażliwości na ból i dotyk. Stąd „zamknięcie”, mówiąc dosłownie, we własnym ciele.

Westchnął. To było chyba najgorsze, co mógł sobie wyobrazić. Wciąż pamiętał ze studiów, jak pewnego razu irlandzki profesor na zajęciach w Rikshospitalet następująco opisał ten stan: „Prawie jak zakopanie żywcem”.

– W jakim ona jest stanie?

Pielęgniarka podniosła wzrok znad epikryzy.

– Powiem tak... Kiedy odwieziono do nas Valentine, miała założoną sondę żywieniową. W przerwach między kolejnymi wizytami udaje jej się w jakiś sposób pozbyć sondy... przy czym żadna z nas nie ma pojęcia, jak ona to robi.

Mads stał przed oknem w pokoju Valentyny Hjertås i spoglądał na morze. Woda falowała słabo. Zastanawiał się, czy gdyby dowiedział się tego samego, co Theodor Strøm, postąpiłby tak jak on. Skok do zimnego, lutowego morza wymagał wiele odwagi, nawet przy ciężającej na kimś poważnej diagnozie. Ale może lepiej było zniknąć w ten sposób niż wylądować w łóżku, jak Valentina Hjertås, nie mogąc się ruszyć, nie mogąc zrobić nic poza wyczeraniem wszystkich sił, by pozbyć się sondy żołądkowej, która dostarcza pokarm i trzyma człowieka przy życiu i która z powrotem trafia na miejsce, gdy tylko przychodzi pielęgniarka. Nie móc skoczyć do morza – chyba właśnie to było najgorszą alternatywą.

Obrócił się do łóżka. Pielęgniarka stała, pochylając się nad głową staruszki, i gładziła ją

po białych włosach. Szkliste oczy patrzyły zimno, pozbawione śladu jakichkolwiek uczuć. A jednak Valentina była gdzieś tam, w środku.

– Nikt jej nie odwiedza?

Pielęgniarka pokręciła głową.

– Ma wnuka, z tym że on nie ma ochoty przyjść – przybrała cieniutki, dziecinny głosik i ciągnęła: – Sama wiesz, jaki jest Marek, Valentino. Ale on o tobie myśli.

Mads się zdumiał. Podszedł do łóżka. Pielęgniarka nadal głaskała Hjertås.

– Jej wnuk nazywa się Marek? Marek Bukowski?

Kobieta podniosła wzrok na sekundę, po czym znów go spuściła. Ostrożnie skinęła głową.

– Łobuz z tego Marka – podjęła tym samym dziecinnym głosem. – Ale on o tobie myśli, Valentino. Myśli o tobie.

Mads przyjrzał się beznamiętnej twarzy Hjertås i zwrócił uwagę na rurkę koloru algi, wnikającą do jednego z nozdrzy kobiety, przytwierdzoną teraz do jej policzka grubą taśmą, żeby się nie wysliznęła. Jediną osobą, którą Hjertås miała na tym świecie, był wnuk, diler narkotyków. Wskazał taśmę na jej policzku.

– Proszę to usunąć. Możemy to zastąpić kroplówką dożylną. Litr na dobę wystarczy.

Na szczycie Fillhei wiał rześki wiatr. Mads przysiadł na betonowym fundamencie masztu telefonicznego firmy Telenor. Wprawdzie pokrywał go lód, ale pogodził się z tym. Odchylił się do tyłu i przyjrzał się iglicy, celującej we wciąż jeszcze jasne niebo. Po wizycie w Centrum Zdrowia zamierzał właściwie wstąpić do domu Caroliussena w Starym Fillan, ale dotarwszy na wjazd pani Lorentzen, przez kilka minut stał na poboczu. Musiał dostać się do archiwum i poczytać na temat Theodora Strøma, nie rozumiał jednak, dlaczego Line nie odbiera telefonu. A nie lubił się naprzykrzać. Stańło więc na tym, że poszedł dalej ścieżką, aż dotarł na szczyt wzgórza. Była pora lunchu i dopiero za godzinę miał przyjąć kolejnych pacjentów. W jego głowie buzowało aż za wiele myśli. Przyjemnie było siedzieć tu, na górze i się relaksować.

Hitra. Docenienie tej wyspy zajęło mu trochę czasu, ale teraz czuł, że wkradła się do jego serca. Było tu tak dziko. Niezliczoną ilość razy widział orła bielika. Jelenie najzwyczajniej w świecie skakały przez drogę. Było tu też mnóstwo saren, które uwielbiały wlaźić ludziom do ogrodów i zjadać pączki róży. Przeczytał gdzieś notatkę sporządzoną przez kobietę, która przybyła na wyspę w dziewiętnastym wieku. „Nic wierutnie osobliwego tu nie ma”, stwierdziła. I może miała rację. Hitra nie mogła się poszczycić tak dramatyczną przyrodą, jaka występowała nieco dalej na południe, na wybrzeżu Møre. Tutejszej natury nie dało się określić mianem wybitnej ani spektakularnej, ale idyllicznej bez wątpienia tak. Zawierała przy tym pierwiastek rdzennej norweskości.

No i ci ludzie... Mimo że przyroda była rdzennie norweska, mieszkańcy Hitry mieli w sobie coś zgoła nienorweskiego. Byli zahartowani. Poskromili las, ziemię i morze. Potrafili korzystać z pomocy społecznej, ale zarazem ciężko pracowali i myśleli innowacyjnie. Wreszcie, hodowali łososia w okrężnicach. Może prawdą było to, co powiedział Pettersen, że w rybołówstwie leży przyszłość Norwegii, kiedy skończą się zasoby ropy naftowej.

Mads czuł na twarzy bolesne smagnięcia wiatru. Ogarnął go niezaprzeczalny smutek. Smutek z powodu Valentyny Hjertås. Z powodu Line, którą niezbyt rozumiał. Wyciągnął telefon komórkowy. Nie skontaktowała się z nim, to jednak nie oznaczało, że sam nie może do niej zadzwonić. Poza tym i tak pewnie odpowie mu poczta głosowa.

Wprowadził numer i zaczekał na sygnał dzwonka. Jakież było jego zdziwienie, kiedy usłyszał „halo” na linii.

– Halo? – zagadnął.

– Halo, kto mówi?

Podmuch wiatru zatrzeszczał w mikrofonie. Przycupnął, by osłonić telefon.

– Halo, to ja, Mads.

– O, cześć!

Obawiał się, że powita go takim właśnie beznamiętnym tonem. W tle słyhać było przytłumione głosy.

– Jesteś w Fillan?

– Nie, pojechałam do miasta. Musiałam załatwić parę spraw. Wszystko w porządku? Mruknął na potwierdzenie, siedział i nasłuchiwał uderzeń pulsu w swojej głowie.

– Halo, jesteś tam jeszcze? – spytała.

– Jestem.

– Po co dzwonisz?

Wziął oddech.

– Jutro gram w ćwierćfinale turnieju kręglowego. Przeciwno Ågemu Fjellvaerowi, szefowi zespołu ratownictwa medycznego.

– Ach tak?

– Pewnie przyjdzie sporo ludzi. Zastanawiałem się, czy ty też nie chciałabyś wpaść.

– To już jutro? O której?

– O trzeciej.

– Może przyjdę. Postaram się.

Poczuł, że ma jej ochotę powiedzieć „Tęsknię za tobą”, ale ugryzł się w język.

– Chyba wiem, co się stało z twoim ojcem.

Zapadło długie milczenie. Usłyszał dźwięk kroków, po czym ciche gadanie w tle umilkło.

– Rozgryzłeś to już?

Jej głos stał się teraz całkiem inny. Wyrazisty i przenikliwy.

– Tak sędzę – powtórzył.

– Co się stało? Jak na to wpadłeś?

– Mówi ci coś nazwisko Theodor Strøm?

Słyszał w słuchawce jej oddech.

– Nie do końca – odparła. Znow zapadło milczenie.

– Halo? – zapytał. – Jesteś tam?

– Mads, jestem w sklepie. Porozmawiamy o tym, kiedy wyjdę, dobrze?

– W takim razie zadzwoń do mnie.

– Zadzwonię.

Rozległo się kliknięcie. Rozłączyła się.

Mads wsunął telefon do kieszeni. Być może nieco przesadził w kwestii tego, co odkrył, ale chciał wzbudzić w niej większy zapał, no i trochę ją sobą zainteresować. Westchnął. Brakowało mu płyty Kentów, którą wyrzucił przez okno samochodu. Z chęcią posłuchałby teraz melancholijnej i ponurej muzyki.

Mads stał przed wejściem do kręgielni i przyglądał się tłumowi ludzi, którzy przyszli obejrzyć zaplanowane na dzisiaj mecze. Musiało ich być kilkaset. Młodych i starych. Mężczyzn i kobiet. Parkiet na torze numer jeden przykryto rusztowaniem służącym za trybuny, a pośrodku toru trzeciego Ken ulokował się na własnym podium między dwoma wielgachnymi głośnikami. Choć wiedział, że jej tu nie ma, Mads znów przesunął spojrzeniem po twarzach zgromadzonych. Wyjął telefon i zerknął na wyświetlacz, by sprawdzić, czy nie ma nieodebranych połączeń. Nie. Wyłączył komórkę i wrzucił ją do torby treningowej. No, trudno. Jak będzie chciała przyjść, to przyjdzie. W każdym razie wiedziała, gdzie on jest.

Nagle pośród tłumu spostrzegł Bryndis. Stała przy polu rozbiegu na torze drugim, gdzie miał się rozegrać mecz, i rozmawiała z Ågem Fjellvaerem. No jasne, przyszła popatrzeć na swojego chłopaka. Chłopaka, z którym on wkrótce miał przegrać na oczach całej Hitry. Mads westchnął i z pochyloną głową wszedł między ludzi. Uderzyło go, że nadal się nie orientuje, kto zgłosił go do turnieju. Chętnie dałby teraz tej osobie porządnego kopa w tyłek.

– Powodzenia, Mads!

Kobięcy głos za plecami zabrzmiał znajomo. Odwrócił się i zobaczył, że stoi za nim Jędza. Mimowolnie zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Tym razem nie miała koka: gładkie włosy splotła w dwa warkoczyki. Ubrana była w spodnie treningowe i obcisły różowy T-shirt. Nie przywykł oglądać jej w takim stroju na co dzień. I co ona tu właściwie robiła?

Musiała odgadnąć jego myśli, bo chwilę później wskazała plakat zawieszony na ladzie recepcji.

– Kolejna para po tobie i Ågem.

– „Ćwierćfinał, liga kobiet” – przeczytał Mads. – „Beate Bull kontra Ingeborg Jektvik”.

– Zwykle trenuję w Sistrandzie – wyjaśniła i mrugnęła. – Niewielu mnie tam zna.

Rozumiem, że to Anwar jest twoim trenerem?

– Ech... tak.

– Wiesz, jak to jest na Hitrze – powiedziała. – Trudno utrzymać coś w tajemnicy.

Spostrzegł kogoś kątem oka i odwrócił głowę.

– Hej, dawno się nie widzieliśmy – odezwał się kobięcy głos, zanim zdążył zebrać się w sobie.

Obok stanęła uśmiechnięta Bryndis. Mads zeszywniał, poczuł, że ktoś klepie go w bok, i Jędza odeszła w głąb lokalu.

– Arild kazał cię pozdrowić i przekazać ci, żebyś wpadł dziś wieczorem na koncert D.D.E. – powiedziała Bryndis. – Odłożył dwa bilety, w razie gdybyś chciał kogoś zabrać.

Mads dotknął głowy i poprawił włosy. Dlaczego za każdym razem, kiedy ją spotykał, musiał być taki zmieszany? Przełknął ślinę.

– D.D.E. to raczej nie dla mnie.

– Daj spokój. Nie ma chyba bardziej doniosłego przeżycia, niż usłyszeć *Mój tyłek unplugged*? Myślałam, że zaczynasz być prawdziwym Trønderem?

– Jak już mówiłem, chyba sobie daruję – na ostatnim słowie załamał mu się głos. Spuścił wzrok zawstydzony. – Dużo dziś ludzi.

– No, wiesz, nikt nie chce przegapić wielkiej walki między przychodnią a ambulansem. Mads wzruszył ramionami.

– Wcale by mi nie przeszkadzało, gdybym musiał grać przy pustych trybunach.

– Spokojnie, Mads. Dobrze ci pójdzie. Będę ci kibicować.

Już miał zapytać, co na to powie Åge Fjellvaer, ale gdy podniósł wzrok, ona szła już

przed siebie. Patrzył w ślad za nią, kiedy nagle odwróciła się i dwa razy wyrzuciwszy w górę pięść, krzyknęła:

– *Ole, ole!*

Moneta wylądowała na wierzchu ręki Kena, który natychmiast zasłonił ją drugą dłonią, by ukryć wynik. Przeniósł spojrzenie z Ågego Fjellvaera na Madsa i unióśł głowę z teatralnym grymasem. W kręgielni zapadła głucha cisza. Cyrkowe sztuczki Kena najwyraźniej działały na mieszkańców Hitry. Kiedy przyszła kolej na prezentację zawodników, podkreślił na maksa muzykę techno. Jego głos grzmiał w lokalu, wspomagany minimikrofonem, pożyczonym z rewii na Hitrze, oraz głośnikami otaczającymi jego podium na torze trzecim. Kiedy na twarz Fjellvaera padł snop światła z reflektora, publiczność wstała i posypały się oklaski. W obcisłych spodenkach kolarskich i krwistoczerwonym T-shircie z napisem „Zespół ratownictwa medycznego na Hitrze” na plecach wyglądał jak skrzyżowanie młodego Arnolda Schwarzeneggera z Tellym Savalasem. Sam Mads nie czuł się równie stylowy. Wybrał koszulkę z reklamą gminy i sloganem „Wyspa możliwości” na piersi, co w każdym razie zapewniło mu aplauz widowni.

Ken odsłonił wreszcie monetę na wierzchu dłoni i przechylił się na piętach.

– I mamy oor-łaaa! Zaczyy-yyna Ååå-ge Fjellvaer!

Mads uściśnął wielką łapę szefa zespołu karetki.

Ten zrobił groźny grymas, przy którym Mike Tyson wyglądałby jak mały chłopczyk. Mads uśmiechnął się w odpowiedzi, po czym odwrócił się i przy akompaniamencie nowych, dudniących rytmów podszedł do swojego miejsca. Już miał usiąść, gdy za krzesłem zobaczył Anwara, który dreptał niespokojnie. Był już na zewnątrz i wypalił papierosa, by ochłonać, ale chyba niezbyt mu to pomogło. Mads zbliżył się do niego i poklepał go po ramieniu.

– Idź zająć miejsce – rzekł, wskazując głową trybuny.

– Potrzebujesz mnie tutaj, Mads. Jestem...

– Powiedziałem, żebyś zajął miejsce.

Anwar odetchnął ciężko i przytaknął.

– Okej.

Mads opadł na krzesło, a tymczasem Fjellvaer przygotował się do gry. Wyglądał imponująco, wymachując ramionami w świetle reflektora nad polem rozbiegu. Muzyka techno przycichła, a Ken jęknął w głośnikach, żeby ludzie się uspokoili. Mads wbił wzrok w kolana. Dziesięć rund. Postanowił przejść przez nie tak szybko i bezboleśnie, jak tylko się dało. Może to i lepiej, że nie było tu Line.

Zgodnie z przewidywaniami Åge Fjellvaer okazał się trudnym przeciwnikiem. Zaczął od strike'a, po którym nastąpił kolejny, by w trzeciej rundzie zbić dziewięć kręgli i nie trafić dziesiątego w drugim rzucie. Mads rozpoczął grę od spare'a, w drugiej rundzie zbił tylko osiem kręgli, po czym kolejny spare sprawił, że w trzeciej rundzie ledwo nadażał za przeciwnikiem. Fjellvaer miał już nad nim piętnaście punktów przewagi, ale przynajmniej nie wyglądało na to, że pojedynek zakończy się dla Madsa sromotną porażką. Tym się pocieszał, podczas gdy Ken robił, co w jego mocy, żeby utrzymać napięcie. Gra wydawała się właściwie zmierzać do spodziewanego finału, gdy w ostatniej rundzie Fjellvaer po raz drugi wyskoczył naprzód i pięknym łukiem posłał kulę po parkiecie. Publiczność biła brawo, widząc, jak skończy się ten rzut, na długo zanim kula trafiła kręgle, posyłając je w powietrze. Unosząc ramiona, Fjellvaer wykonał dwa piruety, po czym ruszył do taśmy przesuwnej, by odebrać kulę i wykonać dodatkowy rzut, który zarobił dzięki spare'owi w ostatniej rundzie, gdy w głośnikach odezwał się Ken:

– Zdaje się, że mamy tu przekroczenie linii spalonego.

Publiczność jęknęła. Fjellvaer zastygł jak kamień na polu rozbiegu z rękami na łysej głowie. Mads zerknął na ekran nad torem. Przekroczenie linii. Oznaczało to, że szef zespołu ratownictwa medycznego zatrzymał się na dwustu dziesięciu punktach. Madsowi jeszcze nigdy nie udało się tyle zdobyć. Sam uzyskał dzisiaj sto osiemdziesiąt jeden punktów – nie najgorszy wynik, zważywszy, że wciąż pozostała mu jedna runda.

Dźwignął się i wyszedł na pole rozbiegu. Fjellvaer kilkakrotnie zaklął i powłókł się z powrotem na miejsce. Mads uniósł kulę i stanął w gotowości. Na sali zapadła niezmacona cisza. Zauważył, że wszystkie głowy na trybunach zwróciły się w jego stronę. Przełknął ślinę, starając się oddychać miarowo, by uspokoić serce łomoczące mu w piersi. Dlaczego nagle tak się zdenerwował? Musiał robić swoje. Postąpił trzy kroki naprzód i cisnął kulę. Obserwując, jak się toczy, czuł w palcach, że dobrze rzucił. Rozległ się łoskot upadających kręgli i aplauz wzbił się pod sam sufit.

– ST-R-R-R-RIKE!

Wrzask Kena utonął w dyskotekowym dudnieniu. Mads podszedł do taśmy przesuwnej i zaczekał. Znow spojrzał na ekran. Na samym końcu kolumny z jego wynikami widniała litera X, świadcząca o tym, że udało mu się zbić wszystkie kręgle. Oznaczało to, że przysługiwały mu dwa dodatkowe rzuty. Nagle drgnął. No, oczywiście! W dziewiątej rundzie miał spare, dlatego ostatni strike liczył się podwójnie. Jeśli w dwóch kolejnych rzutach uda mu się zbić wszystkie kręgle, w końcowym rozliczeniu może uzyskać dwieście dwadzieścia jeden punktów. Zagryzł dolną wargę. Poczł smak krwi w ustach. Fjellvaer miał dwieście dziesięć punktów. Miał szansę wygrać z Ågem Fjellvaerem.

Rozległ się hałas i wyłoniła się jego kula. Mads schylił się po nią. Nagle zakręciło mu się w głowie. Wygrać z Ågem Fjellvaerem. Naprawdę mógł wygrać z Ågem Fjellvaerem.

Ustawił się w gotowości i spoglądając w głąb toru, próbował powtórzyć sobie to, co tyle razy słyszał od Anwara. Ten sam rzut, zawsze ten sam rzut. Ale jak ostatnio stawał stopy? Oddychał ciężko. Musiał po prostu rzucić. Zrobił trzy kroki naprzód i posłał kulę przed siebie. Nie wyjdzie poza tor. Wyczuwał to. Kula pomknęła po drewnianej powierzchni i łukiem dotarła do pierwszych kręgli. A tam...

Mads zasłonił twarz, nie mając odwagi podnieść wzroku, dopóki daleko przed nim nie zaległa cisza. W lewym rogu, na samym skraju pozostały dwa chyboczące się kręgle. Wstrzymał oddech. Nie. Nie upadną. Jeden już się ustabilizował. A teraz drugi.

– Niech to szlag – wyszeptał.

Obróciwszy się, ruszył z powrotem. Publiczność zaczęła klaskać.

– I mamy ooo-oosiem kręgli dla Helmeraa-aa!

Mads stanął przy taśmie przesuwnej. Pozostały dwa kręgle do zbitia. Miał dwieście dziewięć punktów i ostatni rzut do wykorzystania. Nadal mógł wygrać ten mecz. Poszukał wzrokiem Anwara wśród publiczności i zobaczył go w jednym z tylnych rzędów. Pakistańczyk podskakiwał, unosząc ramię. Mads uśmiechnął się do niego, na co tamten odpowiedział okrzykiem.

– I oto na sam koniec znaleźliśmy się w wyjątkowej sytuacji...

Ken najwyraźniej zrozumiał, o co toczy się gra, i dokładał starań, by podtrzymać zapal publiczności. Mads pomyślał o Ågem Fjellvaerze. Rozejrzał się i zobaczył, że olbrzym usiadł na plastikowym krzeselku aż na piątym torze. Przy ostatnim rzucie miał pecha. Łysą głowę ukrył w rękach. Gdyby nie przekroczył linii, wygrałby mecz. Mads przypomniał sobie zatrzymanie akcji serca na Kuøi. Teraz role się odwróciły.

Oprzytomniał, słysząc pulsujące, synchroniczne oklaski połączone z tupaniem. Odwrócił się do trybun i uniósł ramię w geście pozdrowienia. Tupanie przerodziło się w radosną wrzawę.

Mads musiał się zaśmiać. Boże, co za cyrk. Spojrzał na ostatnie kręgle i wziął głęboki, spokojny oddech.

Naszła go myśl, z którą nie bardzo wiedział, co zrobić.

Biegł pod górę drogą na Fillheię. Krew pulsowała mu w głowie, nogi ciążyły. Utrzymywał jednak tempo. Musiał biec. Nie mógł przestać. I nie mógł powściągnąć uśmiechu. Nie ulegało wątpliwości, że to, co się stało, wszystkim wyjdzie na dobre. Nie miał czego szukać w turnieju gry w kręgle. A Åge Fjellvaer zasłużył na przejście do następnego etapu. Zasłużył na wygraną w tegorocznych rozgrywkach. I uda mu się ją osiągnąć, jeśli tylko nauczy się lepiej wykonywać rozbieg.

Za plecami usłyszał samochód, zbliżający się do zakrętu. Przez moment rozważał, czy przeskoczyć przez zaspę i się ukryć, ale zrezygnował. Musiał skończyć z tą zabawą w chowanym. Samochód wyjechał z lasu. Mads zwolnił i zaczął stawiać długie kroki, czekając, aż auto go wyprzedzi. Oddychał ciężko. Bieg nadwerżył jego siły. Zapatrzył się w ślad za czerwoną karoserią. Tej samej barwy, co koszulka Fjellvaera. Uśmiechnął się. W ostatnim rzucie pozostały mu dwa kręgle do zbiccia. Stały na skraju, po lewej. Nie sprawiłoby mu problemu podkręcenie kuli, tak by zbczyła w lewo na torze. Podczas treningów przygotowywał się na taką ewentualność. Ale przymierzając się do pierwszego kroku na polu rozbiegu, wiedział już, że musi spudłować. Åge Fjellvaer był z nich najlepszy. Popełnił błąd – a nie należało wykorzystywać potknięcia przeciwnika. Mads przypomniał sobie minę Fjellvaera, który podniósł głowę, by sprawdzić wynik rzutu. Siedział z wytrzeszczonymi oczami, nie wiedząc, czy może im wierzyć. Tak, to on był prawowitym zwycięzcą.

Wyszedłszy zza zakrętu obok wjazdu do pani Lorentzen, Mads spostrzegł, że czerwony samochód zaparkował w zatoczce, którą sam zwykł wykorzystywać. Jeśli ktoś przyjechał w odwiedziny do staruszki, to musiał podwoić ostrożność, przechodząc przez jej ogród. Z tego, co się orientował, mogła to być jej pomoc domowa. Przeskoczył przez zaspę i znalazł się na ścieżce. Nie zadzwonił do Line, żeby uprzedzić ją o wizycie. Jeśli nie było jej w domu, mógł usiąść i na nią zaczekać. Bo tego wieczora postanowił przekonać ją, że muszą z tym skończyć.

Zanim przeciął róg ogrodu pani Lorentzen, zatrzymał się w śniegu za drzewami. W domu zdawał się panować spokój. W żadnym z okien nie paliło się światło. Również na werandzie nie dostrzegł żaru papierosa. Już miał przemknąć dalej, gdy odnotował ruch. Od werandy oderwała się ciemna sylwetka. Szła prosto na niego. Mads obejrzał się, ale zrozumiał, że zaszedł już za daleko. Nie mógł się wycofać niezauważenie. Lepiej, by szedł przed siebie jakby nigdy nic. Ruszył dalej, zerknął na postać i znów się zatrzymał. Widział ją teraz. Przystanęła na środku trawnika i spokojnie tupała nogą w śnieg. Słyszał szorstkie parskanie, które z pewnością nie pochodziło od istoty ludzkiej. Był to jelen. Mads zrobił krok, żeby zobaczyć zwierzę w całej okazałości. W mroku dostrzegł zarys poroża. Lewy róg był złamany u nasady. Zamarł, a tymczasem jelen ruszył ku niemu przez trawnik. Zatrzymał się dopiero pięć metrów od Madsa. Pochylił głowę, tak jakby zwietrzył człowieka. Czy to naprawdę było to samo zwierzę, które spotkał przy zjeździe na Sandstad? Madsowi przypomniał się sen, który miał. Sen o jeleniu, który chciał mu coś przekazać. Wyciągnął rękę.

– Chodź do mnie – powiedział. – No, chodź.

Wtem skrzypnęły drzwi. Jelen wzdrygnął się i kilkoma susami pokonał trawnik. Mads skulił się i zaczął się wycofywać. Na werandzie dało się słyszeć szelest. Rozejrzał się, chcąc zlokalizować ścieżkę, ale było na to zbyt ciemno. Skoczył w kierunku, z którego przyszedł, znalazł oparcie dla stóp i ruszył dalej przez śnieg. Nie patrzył, gdzie stąpa, stawiał nogi, gdzie popadnie. Po kilku sekundach skrył się wśród drzew. Zatrzymał się zdyszany i odwrócił. Na werandzie ukazał się płomyk. Pani Lorentzen wyszła zapalić. Jelen zniknął, tak jakby nigdy go tu nie było.

...

Okrążył dom Caroliussena i wyszedł od frontu. Odnotował, że parking przed Hotelem Fiord zaczął się zapępniać. Arild Askmann z pewnością wyprzedził miejsca hotelowe w związku z koncertem D.D.E. Jeśli Mads nie mógł się do czegoś przyzwycząić, to do rocka z Trøndelagu. Poza tym sądził, że jak na szczura lądowego całkiem nieźle przystosował się do tutejszych warunków.

Zakradł się po schodach i zapukał do drzwi. Na piętrze paliło się światło, a po szczelinie we framudze widział, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Otworzył je i wszedł. W korytarzu panował mrok. Uprzytomnił sobie, że na podjeździe nie widział samochodu. Line z pewnością wybrała się do centrum, na przykład żeby zrobić zakupy, o ile nie wpadło jej do głowy, żeby po drodze wstąpić do kręgielni i się z nim spotkać. Ostatnia myśl była rzecz jasna tylko pobożnym życzeniem.

– Halo?

Zaczekał. Nikt mu nie odpowiedział. Odwiesił kurtkę i zrzucił buty. Na schodach do piwnicy było ciemno. Mads otworzył drzwi do jadalni na parterze i wszedł do środka. Nie paliło się tutaj światło, podobnie zresztą jak w kuchni.

– Halo?

Słyszał jedynie warkot silnika przed Hotelem Fiord. Poczł ulgę, że to nie on pełnił dziś dyżur. W wieczór taki jak ten z pewnością nie obejdzie się bez rozróby.

Na wszelki wypadek sprawdził, czy nie ma nikogo w gabinecie Starego Doktora, po czym wrócił na klatkę schodową. Przystanął, zastanawiając się, co dalej. Nawet nie śmiał zgadywać, co pomyślałaby Line, gdyby odkryła, że rozgościł się tutaj pod jej nieobecność. Fakt, że nie zamknęła drzwi, musiał jednak oznaczać, że jest w pobliżu. Zgodnie z zapowiedzią wróciła zatem z miasta. Spojrzał w górę schodów prowadzących na piętro. Może spała?

Położył rękę na balustradzie i pokonał kilka stopni.

– Halo? – powtórzył, tym razem jeszcze głośnieji.

Brak odpowiedzi. Mads ruszył dalej po schodach. Powinien w końcu przestać się krygować. W końcu to ona poprosiła go o przysługę, nie inaczej. Poza tym musiał przeczytać zawartość teczki Theodora Strøma.

Wyszedł na korytarz. Panowały tu ciemności, ale przez szparę w drzwiach do biblioteki sączyło się światło. Popchnąwszy je, ujrzał, że górująca nad biurkiem lampa jest włączona. W pokoju nie zastał nikogo. Ruszył dalej korytarzem w stronę sypialni i już miał otworzyć drzwi, gdy nagle ścisnęło go w żołądku. W podobny sposób, przeszukując pusty dom, natrafił na ciało Helgi Caroliussen. Poczł, że serce zaczyna mu łomotać. Okręcił się wokół własnej osi, tak jakby chciał się przekonać, że nikt za nim nie stoi. Korytarz był pusty. Nie słyszał żadnych dźwięków. Chwył kłamkę. Przelknąwszy ślinę, zebrał się w sobie i ją nacisnął. Owionął go chłodny podmuch. Jego spojrzenie powędrowało po podłodze w stronę łóżka. W przytłumionym świetle płynącym od okna zauważył, że łóżko jest pościelone. Kołdrę przykrywała cienka narzuta. Tu również nikogo nie było. Przeształ próg i rozejrzał się po sypialni, odkrywając z ulgą, że znów może oddychać spokojnie. Dom wydawał się pusty. Mads obrócił się i spojrzał w głąb korytarza. Tylko dlaczego?

Wyjął telefon i wybrał numer Line. Zaczekał na sygnał, ale tym razem natychmiast dodzwonił się do sekretarki. Rozłączył się i stanął przed drzwiami do biblioteki. Popchnąwszy je, zajrzał do środka. Na blacie, pod lampą, leżała teczka Valentiny Hjertås. Wszedł do środka, a drzwi zatrzasnęły się za nim. Podszedł do biurka, odsunął krzesło i usiadł. Z okna widział, co

dzieje się przed domem. W razie czego usłyszałby stąd nadjeżdżający samochód i mógłby wyjść Line na spotkanie. Otworzył leżący na biurku skoroszyt. Musiał poczytać na temat Valentyny Hjertås. Znalezienie teczki Theodora Strøma bez wątpienia zajęłoby mu wiele czasu... o ile w ogóle by mu się udało. W zasadzie był pewien, że to właśnie jej szukali włamywacze.

W skoroszytcie na samym wierzchu znalazł pokaźny zbiór wyników badań z oddziału chemii klinicznej szpitala w Orkdalu. Przerzucił je, aż dotarł do kartki opatrzonej tą samą listopadową datą, co wyniki, które widział w przychodni. Tutaj były jednak zupełnie inne wartości. W polu komentarzy za kolumną wyników wielokrotnie powtarzało się słowo „Podwyższone”. Dotyczyło to zwłaszcza prób wątrobowych i antygenu rakowo-łagodowego CEA. Mads siedział, bawiąc się kartką. Jego podejrzenia okazały się słuszne. Stary Doktor zdawał sobie sprawę z nowotworu Valentyny Hjertås, ale nie podjął żadnych działań. Już miał przejść do następnej strony, gdy zwrócił uwagę na nazwisko w rubryce z danymi pacjenta. „Josef Danielsson”. Zamyślił się. Czyżby wyniki trafiły tu przez przypadek? Może jednak nie należały do Valentyny Hjertås. Mads znał Danielssona. Był to starszy mężczyzna ze Skanii, który uwielbiał wędkować i przyjechał na Hitrę po śmierci żony, żeby spędzić tu emeryturę. Wkrótce po jego przybyciu wykryto u niego jednak zaawansowanego raka wątroby i regularnie wożono go między Hitrą a Orkdalem, dopóki nie odszedł późną jesienią. Mads znów przyjrzał się wartościom. Materiał musiał zostać pobrany tuż przed śmiercią Danielssona, nie był zaś reprezentatywny dla człowieka z tak posuniętą chorobą. Nie było więc mowy o przypadku. Caroliussen pobrał krew Hjertås i opatrzył próbkę nazwiskiem Danielssona. W ten sposób mógł zataić rzeczywiste wyniki pacjentki; ani w Orkdalu, ani w przychodni na Hitrze nikt nie zorientował się w manewrach Starego Doktora. Bułka z masłem. Mads westchnął. Sam przecież użył podobnego wybiegu, chcąc zataić pomiar stężenia leku we własnej krwi.

Nachylił się i wyjrzał przez okno. Na podwórzu wciąż było pusto. Tymczasem przed Hotel Fiord zajechały nowe samochody. Z powrotem opadł na krzesło. Gdzie się podziała Line? Miał złe przeczucia. Przypomnił sobie jelenia. Nigdy jeszcze nie doświadczył, żeby to zwierzę podchodziło do ludzi tak blisko, jak w ogrodzie pani Lorentzen. Podobna sytuacja spotkała go zresztą na zjeździe na Sandstad. Z reguły jelenie uciekały, sadząc wielkie susy, zanim człowiek zdążył podejść do nich bliżej niż na dziesięć metrów.

Znów zajrzał do skoroszytu. Musiał przyłożyć się do lektury przed powrotem Line. Valentina Hjertås straciła córkę w Orkdalu. Tak przynajmniej twierdziły pielęgniarki w Centrum Zdrowia. Przerzucił kolejne kartki. Wkrótce dotarł do pierwszych notatek z karty pacjentki. Pochodziły z początku lat siedemdziesiątych, przypuszczalnie z okresu zaraz po przyjeździe Caroliussena na wyspę. Przeczytał kilka linijek o tym, że Hjertås „utrzymuje, iż cierpi na nierównowagę humorów”. Ósmego kwietnia 1975 zanotowano również: „Wdowa Hjertås jest zdania, że zacerwienie jej skóry wynika z nadmiaru krwi. Domaga się flebotomii. Upuszczam pół litra krwi i zadowolona pacjentka wychodzi z przychodni. Przy okazji stwierdzam, że nie ma hemochromatozy”. Z kolei rok później Hjertås była przekonana, że „w jej organizmie jest zbyt wiele żółci. Chce, żebym wystawił jej receptę na emetyki. Prośba zostaje spełniona”. Mads uśmiechnął się do siebie. Emetyki – innymi słowy środki wymiotne. Caroliussen najwyraźniej wcześniej zrezygnował z pouczania Hjertås i dał jej postawić na swoim. Być może to właśnie dlatego nie wysłał jej do szpitala, kiedy faktycznie zachorowała?

Przewrócił kolejne strony i przyjrzawszy się kopiom notatek ze szpitala w Orkdalu, odgadł, że dotarł do epizodu z córką Hjertås. W tej części dokumentacji marginesy wielu kartek opatrzone komentarzami. Było tu też sporo stron zawierających odręczne zapiski Caroliussena z konsultacji. Córka Valentyny Hjertås zaszła w ciążę z pracownikiem farmy w Akset – Michaeliem Bukowskim, Amerykaninem polskiego pochodzenia, który przebywał na Hitrze

w ramach programu wymiany. Stary Doktor przeprowadził z Valentiną wiele rozmów na ten temat, w trakcie których odradził aborcję. Wreszcie zapadła zgoda: córka miała donosić dziecko. W ósmym miesiącu ciąży dziewczyna trafiła jednak do starego Centrum Zdrowia, ponieważ odeszły jej wody. Tego wieczora zaczęły się skurcze. Były na tyle słabe, że czym prędzej wysłano ją na cesarskie cięcie do szpitala w Orkdalu. Tam zdarzył się wypadek. Dyżurny ginekolog nabawił się ostrych problemów z kręgosłupem i ledwo stał na nogach. Wykonanie zabiegu przypadło zatem w udziale młodemu gastrochirurgowi, który pełnił dyżur. Byłoby to dość proste zadanie dla chirurga, gdyby nie fakt, że u córki pani Hjertås wykształciło się łożysko przyrośnięte do ściany macicy – *placenta accreta*. Mads przejrzał pobieżnie niektóre fragmenty tekstu, aby uzyskać ogólny obraz zajścia. Wyglądało na to, że po wyjęciu dziecka chirurg standardowo założył szwy i wysłał pacjentkę na salę pooperacyjną. Dopiero wtedy jedna z pielęgniarek zorientowała się, że coś jest nie tak, i odsunięto kołdrę przykrywającą matkę. Łóżko było przesiąknięte krwią. Na skutek niedopatrzania chirurga po operacji wystąpiło krwawienie do jamy macicy. Zanim córkę pani Hjertås przewieziono z powrotem do sali operacyjnej, straciła kilka litrów krwi, co spowodowało wstrząs pokrwotoczny i zatrzymanie akcji serca na stole zabiegowym. Mads poczuł, że od samej lektury notatek robi mu się niedobrze. Ten opis aż nazbyt wyraźnie przypominał mu jego własne doświadczenia. Pospieszenie przrzucił parę kartek i trafił na zapis sporządzony prawdopodobnie na bloczku ze szpitala w Orkdalu, gdyż w lewym górnym rogu widniało logo placówki. „Rozmawiam z młodym chirurgiem, który jest zrozpaczony z powodu tej sytuacji i ma silne poczucie winy. Nalegam, żeby w karcie pacjentki napisał, że w trakcie operacji sprawdził, czy nie występuje *placenta accreta*, ale jego zdaniem tak nie było, w związku z czym zamknął powłoki zgodnie ze standardową procedurą”.

Poniżej innym długopisem dodano: „Rozmawiałem z personelem oddziału maszynopisania i podyktowałem im nowy, wtrącony akapit. Wyreżam doktora Floda w zawiadomieniu Hjertås i Bukowskiego”.

Mads aż zamarł. Ponownie przeczytał ostatnią notatkę. „Wyreżam doktora Floda...” Czyżby była tu mowa o Petterze Flodzie? Ordynatorze Flodzie z Ahus? Jego byłym szefie? Zaczął gorączkowo przrzucac kartki, aż dotarł do opisu operacji córki Hjertås. W rzeczy samej, na górze pod datą widniało nazwisko Pettera Floda. Dokonał w myślach szybkiej kalkulacji. Ordynator miał teraz nieco ponad sześćdziesiąt lat. W tamtym okresie musiał skończyć trzydziestkę. Zgadzało się. To na pewno był on. Mads oparł się w krzesło i zagapił się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Tuż po nieudanej operacji w Ahus Peter Flod przyszedł do niego z dokumentacją zatrudnienia na Hitrze. Zdażył już uprzytomnić Madsowi, że po tym, co się stało, nie zamierza przedłużyć mu kontraktu, i że powinien liczyć się ze znalezieniem sobie nowego zajęcia. Przedstawił Hitrę jako koło ratunkowe, a Mads zrozumiał, że Flod zna się ze Starym Doktorem. Nigdy jednak nie wnikał w szczegóły ich znajomości. A więc ordynator sam kiedyś dopuścił się błędu. Fatalnego w skutkach błędu, przy czym Aldus Caroliussen zatroszczył się o niego i zajął się kwestiami praktycznymi, tak że pomyłka została zatuszowana.

Na schodach rozległ się trzask i Mads obrócił się w tę stronę. Siedział bez ruchu, czekając. Nie słyszał kroków. Niczego nie słyszał. Drzwi na korytarz były zamknięte, a w całym domu panowała cisza. Podniósł się zza stołu i wyrzwał przez okno. Pusto na podwórzu. Nikt w każdym razie nie przyszedł. Mads stał, czekając. Zastanawiał się, czy nie powinien zejść na dół i poczekać na zewnątrz, ale coraz więcej ludzi zjeżdżało się do Hotelu Fiord. Ktoś mógłby zobaczyć, że siedzi na schodach, wiedział zaś, że to zirytowałoby Line. Po kretyńsku byłoby natomiast sięść na tyłach budynku i czekać. Był dorosłym mężczyzną. Nie mógł się tak wygłupiać.

Znów opadł na krzesło. Wciąż pozostało mu wiele do przeczytania na temat Valentiny Hjertås. Robiło się ciekawie. Przerzucił kilka stron naraz, przeczytał parę krótkich zdań tu i tam. Po śmierci córki Valentina Hjertås zajęła się wnukiem. Michael Bukowski zamieszkał na farmie, ale najwyraźniej między nim a Hjertås dochodziło do konfliktów, a na domiar złego rozniosły się plotki, że to nie on jest ojcem Marka. Pół roku po narodzinach syna Bukowski udał się swoją drogą, zostawiając dziecko u babci, w Akset. Wzrok Madsa przykuła krótka notatka na samym dole jednej ze stron. „Powołuję się na pobrane próbki. Michael Bukowski nie jest ojcem dziecka. Podejrzewam Theodora Strøma”. Przesunął ręką po twarzy. Musiał się roześmiać. Co za opera mydlana. Już na samym wstępie powinien był znaleźć czas na lekturę zgromadzonych w archiwum treści. Znów drgnął. Ze schodów dobiegł go nowy dźwięk. Tym razem nieco głośniejszy, jak odgłos łamanej gałązki. Mads znieruchomiał, nasłuchując. Wydało mu się, że słyszy jakieś kipienie, jakiś szum. Po raz trzeci przechylił się nad biurkiem i wyjrzał na podwórze. Wciąż nie było widać żadnego auta, na parkingu przed Hotelem Fiord spostrzegł za to grupkę ludzi. Jakiś mężczyzna biegł w stronę domu. Zatrzymał się i zaczął skakać do góry, wymachując ramionami, jakby chciał coś zasygnalizować. Mads szybko cofnął się od okna. Na biurku stała zapalona lampa. Zgasił ją. Więc go zauważyli? I co chciał mu przekazać ten człowiek?

Odwrócił się i spojrział w stronę drzwi. Ze schodów dobiegał łoskot. Nie przypominało to kroków, raczej turkoczącą pracę maszyny... Mads ruszył powoli przez pokój i nagle zorientował się, jak w nim jest gorąco. A w powietrzu unosił się dziwny, suchy zapach. Znów rozległ się trzask. I kolejny. Mads stał już przy drzwiach. Ręka odnalazła klamkę. Mimo że w zamku poniżej tkwił klucz, przez dziurkę od klucza sączyła się cienka strużka dymu.

– Co, do...? – zawołał, otwierając drzwi.

Nie skończył. Buchnęła w niego chmura dymu. Odruchowo zasłonił twarz i odskoczył. Gryzący dym wypełnił mu tchawicę. Mads aż się skulił od kaszlu. Drzwi same się przed nim zamknęły. Wyprostował się i próbował oddychać spokojnie. Co tu się działo? Pożar? Przeszył go dreszcz. Był na piętrze płonącego budynku. Rozejrzał się na boki. Łoskot dobiegający ze schodów i korytarza nasilił się tak, że Mads nabrał pewności: to dźwięk płonącej boazerii. Dlaczego nie zorientował się wcześniej? Zagapił się na drzwi. Kiedy wszedł do pokoju, zatrzasnęły się za nim. To musiało zahamować rozprzestrzenianie się dymu. Niczego nie zauważył, mimo że część parteru z pewnością płonęła już jak pochodnia.

Niezdarnie zbliżył się do okna i chciał je otworzyć, kiedy przypomniał sobie, czego się uczył: w razie pożaru okna i drzwi muszą pozostać zamknięte, żeby nie podsycać ognia tlenem. Stał, przyciskając czoło do szyby. Od strony Hotelu Fiord nadbiegało coraz więcej ludzi. Pokazywali go sobie i machali do niego. Mads spojrział w dół. Odległość do ziemi wynosiła tu jakieś pięć – sześć metrów, a pokrywa śnieżna była twarda i zbita. Jak on, do licha, miał się stąd wydostać? Poczul, że ogarnia go strach. Ciężyły mu ręce i nogi. Trzeba było działać. Nadal nie słyszał syren, a musiał wydostać się z pierwszego piętra.

Obrócił się. Postanowił, że spróbuje zejść po schodach. Unosił się tam dym, przed którym musiał się zabezpieczyć. Przyskoczył do zestawu mebli salonowych na drugim końcu pokoju. Złapał stolik, który stał przed kanapą i odepchnął go na bok. Leżący pod nim dywanik był ciężki i sztywny. Mads był w stanie dźwignąć go na barki, ale niemal nie dało się nim manewrować, nie mówiąc już o zawinięciu się w niego. Jeśli schodząc po schodach, miał się czymś osłonić, to musiał znaleźć coś poręczniejszego. Odłożył dywan, rozejrzał się bezradnie po pokoju i przypomniał sobie narzutę, którą widział w sypialni. Tej mógłby użyć. Podbiegł do drzwi, zatrzymał się przez sekundę, by zaczerpnąć oddech, i wyskoczył na korytarz. Kiedy skulony, potykając się, przeszedł tych kilka metrów do sypialni, czuł, że dym gryzie go w oczy. Wydało

mu się, że słyszy płomienie na schodach i czuł intensywne ciepło wydzielane przez ogień. Nie miał wiele czasu. Stara, wysuszona boazeria spłonęła w jednej chwili. Dotarł do końca korytarza i wszedł do sypialni. Drzwi były dotąd otwarte, więc ich zamknięcie na nic się nie zdało. Łóżko zasnuwała gruba warstwa szarego dymu. Szybkim ruchem ściągnął narzutę i okrył się nią. Nie miał czasu zanurzyć jej w wodzie. Musiał zejść na parter. Wychodząc, znów się zatrzymał i odetchnął trzykrotnie, by napełnić płuca powietrzem. Tutaj okazało się to trudniejsze. Przy każdym oddechu dym kłuł go w piersi. Mimo to Mads po raz ostatni zaczerpnął powietrza i gwałtownie otworzył drzwi. Tym razem uderzył w niego podmuch gorąca. Nie widział korytarza, więc idąc, zderzył się ze ścianą. Doszedłszy do schodów, usłyszał, że ogień się wzmógł. Szelesty i trzaski były teraz głośniejsze. Zaczęło mu brakować powietrza i usiłował wziąć oddech, ale kiedy otworzył usta i odetchnął pod narzutą, poczuł szczypanie w drogach oddechowych. Opadł na czworaki i próbował wyrzeć spod okrycia. Musiał stać na szczycie schodów, przed sobą widział jednak niewiele więcej niż gęsty dym i blask płomieni. Zrobiło się tak gorąco, że Madsa piekła skóra rąk. Otulił się szczelniej i zaczął się wycofywać. Nie udało mu się zejść po schodach. Płomienie były zbyt silne. Niezdarnie przesuwając się do tyłu, aż wreszcie dotarł na koniec korytarza i z powrotem wszedł do sypialni. Zatrzasnął za sobą drzwi i osunął się na podłogę. Tutaj łatwiej mu się oddychało. Leżał, nasłuchując dźwięku syren, ale nadal ich nie było. Wiedział, że nie wytrzyma tu długo. Przypuszczałnie zatrułby się dymem, zanim dosięgłyby go płomienie, ale marna to była pociecha. Zerknął na okno nad łóżkiem. Wychodziło na wschód. Tu również było wysoko. Za wysoko. Dom leżał jednak na zboczu. Oznaczało to, że na tyłach budynku odległość od ziemi jest mniejsza i wyskakując z tamtej strony, ma większe szanse na wyjście z tego cała.

Zaczerpnął kolejny oddech i otworzywszy drzwi na oścież, niezdarnie przeszedł przez korytarz, po czym wymacał wejście do pokoju gościnnego. Z ulgą stwierdził, że pomieszczenie było dotąd zamknięte, więc kiedy wszedł do środka, odkrył, że nie przedostało się tu wiele dymu. Kilkoma susami przesadził pokój i otworzył okno na drugim końcu. Wyrzawszy na zewnątrz, zobaczył, że cała zachodnia część budynku stoi w ogniu. Szalejące, żółte płomienie rozświetlały mroki zimowej nocy. Mads zerknął w dół. Oszacował odległość i przełknął ślinę. Spodziewał się dużo mniejszej. Obok pięła się ścieżka na Fillheię, ale poniżej ujrzał zaspę, sięgającą aż do ściany budynku. Wyglądało na to, że trochę śniegu osunęło się z dachu i zebrało przy ścianie. Mimo to od zasy dzieliło go kilka metrów, a za dnia panowała odwilż. Teraz śnieg się zbrylił. Mads nie orientował się, jak twarda jest zaspą, którą miał przed sobą, mogły w niej jednak tkwić duże kawały lodu.

Cofnął się w głąb pokoju. Stał, oddychając. Nadal nie słyszał syren. Mógł jeszcze poczekać albo po prostu skoczyć. Wychylił się przez okno i znów przyjrzał się zaspie, czując, że ze strachu ściska go w dołku. Nie miał wiele czasu na snucie refleksji, ale pomyślał o archiwum i wszystkich kartach pacjenta, które miały teraz bezpowrotnie przepaść – tak jak na początku chciała tego Line. Pożar był jej aż nazbyt na rękę. Czyżby to ona podpaliła dom?

Znów cofnął głowę i spostrzegł, że pokój zaczyna wypełniać się dymem. Nie miał czasu na rozmyślanie. Wiedział, co musi zrobić. Postawił jedną stopę na framudze, złapał się oburącz i dźwignął się na parapet. Tam przycupnął skulony, popatrzył w dół, potem zamknął oczy. Tu nie chodziło o myślenie. Chodziło o skok. Odbił się, poczuł, jak jego ciało się unosi, a wiatr delikatnie rozwiewa mu włosy.

Leciał.

Rozpłynął się w nicości.

Część 4

W małym pokoiku panował zaduch. Mads siedział przy stole, gapiąc się w ścianę. Od gadania na okrągło bolała go głowa, nie mówiąc już o lewym ramieniu i boku, w którym po skoku z okna bez wątpienia poszło parę żeber. Miał szczęście. Zaspę pokrywała wprawdzie twarda skorupa, ale przebił się przez nią. Gdyby nie wylądował krzywo, mógłby po prostu wstać i odejść, bez najmniejszego siniaka.

Z westchnieniem osunął się na krzesło. Pocił się w tej duchocie. A może to z powodu sytuacji? Jego spojrzenie przesunęło się po ścianach koloru mięty. Nie było tu okien, tylko przesuwne drzwi. Znał to pomieszczenie. To właśnie tutaj pijani kierowcy i piraci drogowi czekali na lekarza, który miał od nich pobrać próbkę krwi. Z reguły byli to mężczyźni i zawsze siedzieli na krzesła, które on teraz zajmował, potulni jak baranki, nie wydając żadnego dźwięku, kiedy igła wbijała się w ich skórę. Madsa nie zamierzano badać, chociaż byłoby dużo lepiej, gdyby o to właśnie chodziło.

W korytarzu rozległy się kroki. Po chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł komendant Ove Forsnes. Starannie zasunął za sobą drzwi, po czym z zaciętą miną usiadł po drugiej stronie stołu.

– Przepraszam za przerwę – rzekł, kładąc przed sobą notes. Pochylił się nad magnetofonem, który stał przy ścianie, i spojrzał na Madsa spod zmarszczonych brwi. – Gotów na ciąg dalszy?

Mads wziął oddech i przytaknął. Forsnes uruchomił funkcję nagrywania i wyprostował się. Złożył ręce na notesie, a kąciki jego ust rozjechały się w pojedynczym uśmiechu.

– Pozwoli pan zatem, że podsumuję pańską wersję wydarzeń – powiedział. – Twierdzi pan, że Line Schönfelt powierzyła panu dochodzenie w sprawie śmierci ojca, ponieważ podejrzewała, że zginął nieprzypadkowo. Swoje podejrzenia uzasadniła odkryciem kartoteki w piwnicy domu lekarza, którą rzekomo splądrowali włamywacze. Wskazywała też na niejasne okoliczności śmiertelnego wypadku jej ojca oraz niewyjaśniony fakt rozwiązania przez niego fundacji o nazwie Atlantyda. Z początku sceptycznie odnosił się pan do teorii spiskowej Schönfelt, ale zmienił pan zdanie, kiedy również Helgę Caroliussen znaleziono martwą. Między innymi dlatego zlecił pan sekcję zwłok.

Mads znów przytaknął. Przeczuwał już, co usłyszy w dalszej kolejności. Po pożarze próbował zadzwonić się do Line, ale obcy głos poinformował go, że nie ma takiego numeru.

Forsnes chrząknął. Wyraźnie dało się odczuć, że waży słowa. Uwadze Madsa nie uszło pewne zadowolenie, które tego niedzielnego poranka malowało się na twarzy komendanta.

– W tym tygodniu wiele razy kontaktowaliśmy się z Line Schönfelt – oznajmił Forsnes, patrząc mu prosto w oczy wzrokiem typowego gliny. A więc przeszedł do fazy gapienia się. Przez pierwszą część przesłuchania był wyjątkowo opanowany, rozpierał się w krzesło, kiwał głową i udawał zainteresowanie. Teraz najwidoczniej postanowił zmienić taktykę.

Mads nie odpowiedział. Milczenie było Forsnesowi wyraźnie nie w smak. Mięsień wokół jego prawego oka drgnął ledwo zauważalnie.

– Nie skomentuje pan tego?

Mads wzruszył ramionami.

– Nie sądziłem, że to było pytanie.

Forsnesowi znowu drgnął mięsień przy oku. Wziął głęboki oddech.

– Line Schönfelt kontaktowała się z nami, ponieważ jej zdaniem ostatnio zachowywał się pan wobec niej natarczywie. Wydzwaniał pan do niej. Schönfelt twierdzi, że widziała, jak skradał się pan koło domu ojca, i mówi, że parę razy zdarzyło się panu wejść do środka bez jej

zaproszenia. A wszystko to mimo iż wyraźnie odrzuciła pańskie awanse podczas spotkania w Hotelu Fiord w zeszły piątek.

Ove Forsnes wpatrywał się w niego nieustępliwie. Mads przełknął ślinę. Było gorzej, niż myślał. Nie widział powodu, by odwzajemnić spojrzenie. Spuścił wzrok, przeklinając się w duchu.

– Wiele elementów potwierdza jej zeznanie – ciągnął Forsnes. – Niejaka Loretta Lorentzen, zamieszkała na Fillhei, zauważyła przy różnych okazjach, jak ktoś przemyka obok jej domu dróżką przecinającą ogród. W zatoczce parkingowej przy wjeździe na jej posesję widziano białego mercedesa starszego rocznika. Poza tym połowa Hitry zauważyła pana i córkę Caroliussena podczas wspomnianego już spotkania w Hotelu Fiord, kiedy to Schönfelt miała uderzyć pana w twarz i odejść. Jeśli dodamy fakt, że kategorycznie zaprzecza ona, jakoby w piwnicy domu lekarza istniało archiwum, i twierdzi, że nigdy nie żywiła najmniejszych podejrzeń, iż ktoś mógłby chcieć pozbyć się jej ojca, to powiedziałbym, że wiele świadczy przeciwko pańskiej wersji. Nieprawdaż?

Mads się wyprostował. Czuł, że powietrze w pokoju stale się zagęszcza. Gdyby tylko można było tu otworzyć okno... Napotkał sztywne spojrzenie Forsnesa.

– Tak – przyznał.

– Dlatego raz jeszcze pytam: co skłoniło pana do podpalenia domu Starego Doktora?

– Obstawę przy moim zeznaniu.

– Obstawę pan przy swoim zeznaniu?

Przytaknął.

– Ale nie ma pan niczego ani nikogo, kto mógłby potwierdzić pańską historię. A może się mylę? Czy dysponuje pan na przykład kartą z archiwum, które pańskim zdaniem istniało?

Mads westchnął. To pytanie przerabiał w myślach aż nazbyt wiele razy – i zawsze kończyło się na odpowiedzi przeczącej.

– Jak już wspominałem, Line Schönfelt prosiła mnie, żebym nie mówił nikomu o kartotece ze względu na skutki, jakie mogłoby to wywołać. Z tego samego powodu nie chciała, żebym wynosił karty z piwnicy.

Forsnes wreszcie odchylił się do tyłu. Na jego ustach rozlał się uśmiech wyraźnego zadowolenia.

– Mamy zatem słowo przeciw słowu – podsumował.

– Może to tak wyglądać. Ale jeśli pozwoli mi pan z nią porozmawiać, myślę, że całe to nieporozumienie...

– Nie zamieni pan z Schönfelt ani słowa, Helmer.

Głos Forsnesa stał się nagle opryskliwy.

– Dlaczego nie?

– Bo jest poszkodowaną w tej sprawie. Włamał się pan do jej domu i podłożył ogień.

Poza tym będzie mogła rozmawiać z kimkolwiek dopiero, kiedy ją przesłuchamy.

– Dobrze pan wie, że to nieprawda. Ja...

– Niczego nie wiem, panie Helmer. Jedyne, do którego mogę się ustosunkować, to że Line Schönfelt chce, by oskarżono pana i skazano za włamanie i podpalenie.

Mads musiał powtórzyć sobie ostatnie zdanie, żeby zrozumieć jego sens. Co za absurd. Miał zostać oskarżony o włamanie i podpalenie. Jak właściwie udało mu się wplątać w tę sytuację?

– To bardzo poważna sprawa. Mam nadzieję, że pan to rozumie. Nieczęsto zdarzają się nam takie sytuacje na Hitrze, dlatego postanowiliśmy sporo zainwestować w dochodzenie. Kiedy dobiegnie ono końca, prokurator policyjny oceni, czy zostanie pan oskarżony. Jeśli tak, to będzie

pan miał prawo do obrony. W przypadku gdy nie wskaże pan nikogo, zwrócimy się do jednego z naszych stałych adwokatów.

Mads nie miał siły się ruszyć. Siedział, czekając, aż Forsnes przechyli się nad stołem i wyłączy magnetofon, dzięki czemu będzie mógł wstać i opuścić pokój. Tymczasem komendant schylił się i ze stojącej na podłodze torby wyjął plastikowy skoroszyt. Mads zerknął na teczkę, kiedy wylądowała na stole. Rozpoznał układ listu widocznego pod przezroczystą okładką. Była to kopia pisma, które w tym tygodniu otrzymał od Wojewódzkiego Centrum Zdrowia.

– Ostatnia kwestia, zanim skończymy – Forsnes obrócił skoroszyt o sto osiemdziesiąt stopni i postukał w niego palcem. – Pewnie poznaje pan ten list?

W odpowiedzi Mads niechętnie skinął głową.

– Po epizodzie na pogrzebie po raz kolejny musieliśmy skorzystać z pomocy lekarzy z Frøi. To wtedy jeden z nich poinformował mnie o obowiązku zgłaszania ataków epileptycznych. Kiedy dotarło do mnie, że nadal prowadzi pan samochód, po konsultacji z przychodnią na Frøi postanowiłem zawiadomić lekarza wojewódzkiego. Fakt, że lekarz rejonowy jeździ autem, wiedząc, że stwarza zagrożenie dla siebie i innych, jest wprost karygodny. A co by było, gdyby doznał pan ataku w trakcie jazdy? Myślał pan o tym?

– Przerabiałem to już z Hilde Hernes.

– To nie znaczy, że sprawa jest zakończona również dla nas, panie Helmer. Rzadko się zdarzało, by zatrudniony tymczasowo lekarz sprawił mi tyle kłopotów, co pan. Wykazuje pan brak rozważliwych skutków czego dochodzi do bijatyki w przychodni. Nie informuje pan pracodawcy o swojej chorobie i przepracowuje się pan, aż doznaje pan ataku, po czym jakby nigdy nic jeździ pan dalej autem. A teraz, na domiar złego, stoi pan w obliczu sprawy karnej za nękanie córki zmarłego lekarza gminnego, włamanie i podpalenie. Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, że nie tylko policję powinien interesować bieg tej sprawy, ale że należało o tym powiadomić również pańskich zwierzchników w służbie zdrowia?

Forsnes nie czekał na odpowiedź. Wyszarpnął ze skoroszytu list z Wojewódzkiego Centrum Zdrowia. Pod spodem ukazała się odbitka faksowa pierwszej strony gazety. Był to „Romerikes Blad”. „Młody lekarz przyznaje się do winy”, głosił napis wytłuszczoną czcionką nad zdjęciem fasady starego Szpitala Uniwersyteckiego Akershus. Mads poczuł, że kropla potu ścieka mu z czoła za ucho. Nie starał się jej otrzeć. Siedział bez ruchu, wlepiając oczy w leżącą przed nim kartkę.

– Hilde Hernes kazała pana pozdrowić. Niniejszym zostaje pan zwolniony z wszelkich obowiązków w przychodni na Hitrze. Kristian i Regine Kaspersen przejmą pańskie dyżury i podzielą się pacjentami.

Mads skinął głową.

– To już wszystko?

– Tak, to wszystko – odparł Forsnes. Nareszcie przechylił się do przodu i nacisnął guzik stop.

Mads wstał. Kręciło mu się w głowie. Musiał się przewietrzyć. Chwiejnym krokiem obszedł stół i odsunął drzwi.

– Jeszcze jedno, panie Helmer.

Kiedy się odwrócił, Ove Forsnes siedział do niego tyłem. Oglądając komendanta z tej strony, miało się wrażenie, że jego uszy są jeszcze większe niż zwykle. Mads spostrzegł na plecach Forsnesa ciemną smugę potu. Czyli nie wydawało mu się, że w pokoju jest gorąco.

– Tak?

Forsnes nonszalancko obejrzał się przez ramię.

– Może chciałby pan usłyszeć, co przez ten tydzień udało nam się ustalić w sprawie Helgi

Caroliussen?

Mads przełknął ślinę.

– Tak – odparł. – Co stwierdziliście?

Forsnes podniósł się zza stołu. Oparł ręce na biodrach i wyprostował plecy. Głową sięgał niemal do sufitu.

– Sekcja wypadła dość pomyślnie. Żadnych zewnętrznych oznak walki i śmierć w wyniku urazu głowy przy upadku. Ale przecież były też i inne rzeczy...

Uśmiechnął się chytrze.

– Klucz i telefony do przychodni.

– Otóż to. Zacznijmy od klucza. Pańskim zdaniem powinien wisieć w korytarzu, z czym trzeba się zgodzić. Wystarczyło jednak trochę poszperać, a pod schodami w piwnicy znaleźliśmy cały pęk kluczy denatki. Z pewnością upuściła je przy potknięciu. A jeśli chodzi o jej próby skontaktowania się z przychodnią, to te również wyjaśniliśmy. Pani Caroliussen skończyły się tabletki, które dostawała od bratanka. Według jej przyjaciółki ze Związku Sanitariuszek były one duże, białe i dobrze smakowały. Swoją drogą, to właśnie ta przyjaciółka zajechała rano autem przed dom. Ciekawe, że nadal prowadzi samochód mimo siedemdziesięciu ośmiu lat. Umówmy się więc, że mieliśmy tu jednak do czynienia z wypadkiem, dobrze?

Mads westchnął. To był gwóźdź do trumny.

...

Wracając do domu, osłaniał się przed podmuchami wiatru. Musiał iść skrajem drogi, żeby nie pośliznąć się na lodzie, który skuł nawierzchnię. Powróciła typowa dla Trøndelagu pogoda: wiał mroźny wiatr, a temperatura utrzymywała się w okolicach zera. Przechodząc tych dwieście metrów do domu, na szczęście nikogo nie spotkał. Zamknął za sobą drzwi, wyjął telefon komórkowy i zorientował się, że ma ponad dwadzieścia nieodebranych połączeń oraz całe mnóstwo nieprzeczytanych esemesów. Telefon był dotąd w trybie ściszym. Teraz Mads przytrzymał wyłącznik, dopóki nie zgasł wyświetlacz. Chciał być sam. Podszedł też do telefonu stacjonarnego i wyjął wtyczkę z gniazdka, po czym położył się na kanapie i wbił wzrok w sufit.

Był wyczerpany, a im dłużej myślał o tym, co się stało, tym większy ogarniał go zamęt. W przypadku Helgi Caroliussen sprawa przynajmniej była jasna. Umarła bez udziału osób trzecich. Ale co z jej siostrzeńcem? Czy w podejrzeniach, które przedstawiła mu Line, był sens? I jaki ona sama miała do nich stosunek?

Przed oczami znów stanęła mu Line pierwszego wieczora w domu służbowym lekarza. Właśnie pokazała mu archiwum, teraz z zapalniczką w ręku opowiadała, że w pierwszej chwili chciała wszystko spalić. Już wtedy musiała planować pożar. Ale dlaczego odłożyła go na później? Czyżby skontaktowała się z nim tylko dlatego, że potrzebowała kozła ofiarnego? Coś mu w tym nie grało. Istniały prostsze sposoby na pozbycie się kartoteki. Musiała tu występować jakaś inna zależność, coś, co Line przed nim zataiła. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że grała podwójną rolę. Wmówiła mu, że potrzebuje pomocy, a w rzeczywistości skontaktowała się z komendantem i zeznała, że Mads ją nachodzi. Poczuł gorycz w ustach, przypomniawszy sobie wieczór, kiedy odwiedził ją z butelką wina. Była cyniczna. Niesłuchanie cyniczna. Zorientowała się, że on ma serce na dłoni, i owinęła go sobie wokół palca, tak że robił, co jej się żywnie podobało. Kiedy poprosiła, by zachował dyskrecję, spełnił jej życzenie. Dlatego nie miał nikogo, kogo mógłby teraz wezwać na świadka. Nie wyniósł ani jednej teczki z archiwum, poza niezbędnymi kopiami listu i świadectwa, które równie dobrze mógł zwinąć pacjentowi.

Przypomniał sobie zajście w Hotelu Fiord. Nie mogła go zaplanować. Podobnie jak on,

tak i Line spodziewała się, że w lokalu będzie pusto. Umiała jednak sprytnie wykorzystać sytuację, która się diametralnie zmieniła. Publiczne odrzucenie przekonało wszystkich, że zrobił afront córce Starego Doktora. Nawet Charlotte i Anwar kupili wersję o spławionym amancie. A teraz ryzykował oskarżenie o nękanie, włamanie i podpalenie. Zresztą nie tylko. Przed oczami Madsa znów pojawiła się pierwsza strona „Romerikes Blad”. Przecież dotąd tylko czekał, aż ktoś dowie się o epizodzie w Ahus. Po feralnej operacji wszczęto przeciwko niemu postępowanie wyjaśniające. W raporcie końcowym podkreślono, że był nowicjuszem i nie miał dość wiedzy, by poradzić sobie z zaistniałą sytuacją. Zarazem jednak ostro skrytykowano go za to, że nie zwrócił się o pomoc do przełożonych. Dlatego dostał ostrzeżenie. Zachował licencję, ale w najbliższym czasie miał być pod nadzorem. W przypadku kolejnych postępowań wyjaśniających miały one być rozpatrywane w świetle tego, co zdarzyło się w Ahus.

Mads przewrócił się na brzuch i przycisnął twarz do poduszki. Co za idiota z niego! Raport, który Ove Forsnes przesłał władzom służby zdrowia, nie przysporzy mu chwały. Nie w tym problem, czy po jego lekturze i ocenie zachowa prawo wykonywania zawodu, lecz w tym, na jak długo je straci. Być może na zawsze.

I co on miał ze sobą począć? Gdzie się udać? Dalej na ocean już nie dało się wypłynąć. A w domu siedział ojciec, oczekując, że Mads spędzi z nim święta. O, Boże.

Aż się wzdrygnął, słysząc dzwonek do drzwi. Cały zeszywniał. Leżał nieruchomo, starając się domyślić, kto przyszedł go odwiedzić. Na schodach przed domem rozległy się powolne kroki i znów zabrzmiał dzwonek, po czym ktoś załomotał do drzwi. Zamknął oczy. Czy ci przekłęci mieszkańcy Hitry nie mogli go zostawić w spokoju?

– Otwórz, Mads! To ja.

Głosu Anwara nie dało się pomylić. Leżał, oddychając miarowo. Anwar był dobrym chłopakiem, ale za dużo musiałby mu wyjaśniać. Znów rozległ się dzwonek. Mads wstał powoli. Zrobił kilka kroków i zajrzał do kuchni. Za oknem, na podjeździe, stał biała mercedes.

– Mads, to ja, Anwar! No, otwórz!

W jego głosie zabrzmiała rezygnacja. Mads ruszył dalej w stronę sypialni. Chciał być sam. Poza tym nikt nie mógł mu teraz pomóc. Walka była przegrana. Podszedł do łóżka i położył się na plecach. Kiedy zamknął oczy, usłyszał odgłos uruchamianego silnika. Mercedes odjechał w stronę centrum.

Skąd brało się tyle śniegu?

Mads robił, co w jego mocy, by nadążyć za Caroliussenem. Choć jednak szedł po jego śladach, grzązał po kolana. Przy każdym kroku musiał wyszarpywać nogi ze śniegu. A Stary Doktor był już daleko przed nim. W ciemności pomiędzy drzewami widział jedynie jego zgarbioną postać, która przyglądała mu się spode łba.

– Zapomniałem torby lekarskiej!

Chciał krzyknąć, ale jego głos nie niósł się w zaśnieżonej scenerii. Stary Doktor odwrócił się i ruszył dalej. Wkrótce zniknął w cieniu drzew. Mads próbował zwiększyć tempo, ale ciążyły mu nogi. Oddychał z wysiłkiem. Był taki zmęczony. Taki strasznie zmęczony.

– Caroliussen! Niech pan zaczeka!

Czuł się, jakby krzyczał do poduszki. A śnieg nie przestawał padać. Trudniej było teraz dostrzec ścieżkę. Mads złapał gałąź i poczuł wbijające mu się w dłoń igły sosnowe, kiedy dźwignął się z dziury, w której ugrzązał. Przy następnym kroku zapadł się jednak równie głęboko. Nie widział już przed sobą nikogo. Caroliussen zniknął. Najchętniej położyłby się na ziemi i po prostu zasnął, pozwalając, by zasypał go śnieg. Do wiosny nikt by go nie znalazł w tym lesie. Z wysiłkiem wydostał się z zasy i znów postąpił naprzód. Pod jego stopą rozległ się trzask, tak jakby stanął na lodzie. Odepchnął się od podłoża. Utrzymało go. Podniósł się i zrobił krok, potem jeszcze jeden. Wkrótce znalazł się między drzewami. Tutaj łatwiej było mu iść. Zmienił się też zapach. Pachniało lasem i rozmiękkłą ziemią. Przedzierał się przez gałęzie wiszące nad ścieżką. Nieco dalej zobaczył polanę. Stała tam jakaś postać.

– Caroliussen!

Nastąpił na coś śliskiego. Upadł. Przy uderzeniu o ziemię niemal stracił oddech, zebrał jednak siły i znów stanął na nogi. Gałęzie drapały go po twarzy, ale odgarnął je na bok. Pozostało mu tylko kilka metrów do wyjścia na polanę i lepiej widział teraz postać. Miała cztery nogi. Wreszcie wyszedł spośród drzew. Było tu jaśniej, niemal jak za dnia. Rozpoznał zwierzę przed sobą i zatrzymał się, by złapać oddech. Gdy tak stał, ogarnął go dziwny spokój. Przyglądał mu się jeleni o jednym rogu. Starego Doktora nigdzie nie było widać. Nie zostawił też śladów na śniegu. Tylko to zwierzę o lśniących ślepiach... Jeleń zakołysał łbem i kiwnął nim w bok, jakby coś wskazując. Mads podążył wzrokiem za jego ruchem i spostrzegł, że tuż przed nim, na śniegu, coś stoi.

– Torba lekarska – wyszeptał. – Torba.

Zatrząsał się. Nagle zrobiło mu się niesłychanie zimno.

– Helmer!

Usłyszał kobiecy głos. Rozejrzał się. Światło dnia rozplynęło się w mgnieniu oka. Zamrugał, by lepiej widzieć. Jeleń zniknął, ale kilka metrów przed nim faktycznie stała jakaś postać.

– O co chodzi?

– Obudziłeś się?

Mads przetarł oczy. Gdzie on właściwie był? Rozejrzał się ponownie i poznał ściany własnej sypialni.

– Torba lekarska – powiedział. – Zapomniałem torby.

– Co takiego?

Spojrzał na postać i już miał otworzyć usta, żeby wyjaśnić, w czym rzecz, kiedy zorientował się, że siedzi na łóżku. Spuścił nogi na podłogę.

– Przepraszam – dobiegło go od progu. – Myślałam, że nie śpisz.

Mads uniósł wzrok.

– Charlotte?

Chciał wstać, gdy poczuł ukłucie bólu w lewym boku. Przypomniawszy sobie skok z okna. Zaczęło mu się rozjaśniać w głowie. Forsnes, przesłuchanie, Anwar dobijający się do drzwi. I połamane żebra. Ból się nasilił.

– Jak weszłaś?

Jego oczy zaczęły przyzwyczajać się do ciemności. Zobaczył, że Charlotte demonstracyjnie unosi klucz.

– Ten dom jest własnością przychodni, więc to żadna sztuka. Martwiliśmy się o ciebie.

Mads wbił wzrok w podłogę. Rzeczywistość zaczęła do niego docierać.

– Nie bez powodu zamknąłem drzwi – odrzekł. – Oznacza to, że nie mam ochoty na wizyty.

– Nie możesz tu wiecznie leżeć. Dobrze o tym wiesz. I musisz coś zjeść. Na stole w kuchni zostawiłam ci coca-colę i pizzę.

Mads westchnął. Wciąż czuł się oszołomiony. O ile najzwyczajniej w świecie nie miał mdłości. Jedzenie było ostatnią rzeczą, o której teraz myślał.

– Proszę, zostaw mnie samego – powiedział, nie podnosząc wzroku.

Charlotte się poruszyła.

– W porządku – odparła – ale zjedz pizzę, dopóki jest ciepła. Swoją drogą, Anwar kazał cię pozdrowić.

Mads spojrział na nią, ale ona odwróciła się już i wyszła. Usłyszał jej kroki w korytarzu. Chwilę później trzasnęły drzwi wejściowe.

Była to duża pizza z mielonym mięsem i cebulą. Podważył palcem pokrywkę, stał i przyglądał się parującej powierzchni. Nie mógł się zdecydować, czy jest głodny. Tak, jest. Sięgnął po mały trójkątny kawałek i włożył go sobie do ust. Podczas gdy żuł, żołądek zaburczał z zadowolenia. Drugą rękę wyciągnął po stojącą obok colę, ale natychmiast zapiekły go mięśnie stawu barkowego. Zaklął i cofnął ramię. Skok bynajmniej nie był bezproblemowy. Wciąż czuł się obity. Złapał butelkę sprawną ręką i przystawił ją sobie do ust. Gazowany napój miał orzeźwiający smak. Mads opuścił butelkę i znów zagapił się na pizzę. W jednym Charlotte miała rację: musiał coś jeść. Podniósł duży, kwadratowy kawał pizzy i odgryzł porządny kęs.

...

Po posiłku nastawił ekspres do kawy, wszedł do salonu i włączył telewizor. W NRK leciała relacja na temat świątecznego handlu w Oslo. Jak zawsze sprzedawcy byli o krok od pobicia wszystkich dotychczasowych rekordów. Mads zmienił kanał na TVNorge, gdzie pokazywano amerykański film. Rodzina siedziała przy świątecznym stole, a tymczasem w ogrodzie przy domu skradał się mikołaj. Wigilia. Mads przypomniał sobie o ojcu i wysłanym przez niego e-mailu. Kiedy właściwie go dostał? Musiał już minąć ponad tydzień. Spojrzął na telefon stacjonarny na stoliku obok. Wtyczka leżała na środku podłogi. Mads westchnął. Jak w tej sytuacji mógł jeszcze czuć wyrzuty sumienia? Co za absurd. Dźwignął się z kanapy i włożył wtyczkę do kontaktu. Już miał podnieść słuchawkę, gdy w tej samej chwili telefon zaczął dzwonić. Mads gwałtownie cofnął rękę i wbił wzrok w plastikowe pudełko. Miał setki powodów, żeby nie odbierać.

– Cholera – stęknął i złapał słuchawkę. – Halo?

– To ty, Mads?

Poznał wysoki głos brata.

- Kristoffer – rzekł posępnie.
- Boże, człowieku. Trudno cię złapać. Czym ty się tam zajmujesz?
- O co chodzi?

Mads słyszał swój ciężki oddech na linii. Przez kilka sekund panowała cisza.

Najwyraźniej jego brat zawahał się po tak ostrym tonie. Z jakiegoś powodu wprawiło to Madsa w zadowolenie.

– Ojciec znów dzwonił. Zastanawia się, czy przyjedziesz na święta. Próbowałem mu wyjaśnić, że to raczej pytanie do ciebie, ale...

– Słuchaj, Kristoffer. To nie on do ciebie dzwonił, tylko ty do niego. Masz mnie za idiotę? Chcesz, żebym wpadł do niego w Wigilię, bo sam planujesz spędzić ją u teściów.

– No, to było mocno...

– Przestań bawić się ze mną w chowanego, okej?

Usłyszał chrząknięcie, po czym brat wyszeptał przytłumione: „Okej”.

– Nigdy nie wpadło ci do głowy, że ojciec też mógłby wybrać się do rodziców Helene? Brat próbował się zaśmiać, co nie wypadło zbyt przekonująco.

– Chcesz, żebym pojechał do nich z ojcem? Daj spokój.

– Wyjaśnij mi, dlaczego to taki zły pomysł.

– No, przecież on nie ma na to ochoty.

– Pytałeś go?

– Słuchaj, Mads...

– Pytałeś go czy nie?

Znów zapadło kilkusekundowe milczenie.

– W porządku, zapytam go. Zadowolony?

Mads spojrział w stronę kuchni. Ekspres przestał gulgotać. Oznaczało to, że kawa jest gotowa.

– Tak, jestem zadowolony – odparł.

– Co robisz w święta?

– Nie wiem.

– Będziesz na Hitrze?

– Nie wiem, Kristoffer.

– A dostałeś e-maila, którego ci wysłałem? O pracy lekarza zakładowego?

– Porozmawiamy później. Muszę lecieć.

– Zadzwoń do mnie?

– Zadzwonię – odparł i odłożył słuchawkę.

Stał, gapiąc się przez okno w stronę centrum Fillan. Białe ulice wyglądały naprawdę idyllicznie w świetle lampek świątecznych. Akurat gdy zaczęło mu się tu podobać, musiał wyjechać. Zawsze tak miał. Nic mu się nie udawało.

Następnego ranka siedział przy stole kuchennym, gdy na podjazd skręcił samochód. Poznał Charlotte w fotelu kierowcy, jeszcze zanim otworzyła drzwi i wysiadła. Musiał się uśmiechnąć. Niełatwo było ją zniechęcić. Okrążając auto, pomachała mu krótko. Zobaczył, że niesie siatkę z supermarketu Bunnpris. Jeśli sądziła, że nie jadł jeszcze śniadania, to się myliła. Kiedy zadzwoniła do drzwi, uniósł filiżankę i pociągnął łyk kawy. Przecież miała klucz. Niechże więc go użyje. Po chwili usłyszał zgrzyt zamka i przytłumiony hałas.

– Dzień dobry – odezwała się i tupiąc, strząsnęła śnieg w korytarzu.

Odstawił filiżankę i odsunął się od stołu, by sięgnąć wzrokiem do drzwi. Po chwili Charlotte wyszła zza rogu i jakby nigdy nic skierowała się do blatu kuchennego. Poklepała wczorajsze opakowanie po pizzy i odłożyła reklamówkę.

– Chyba dobrze było coś zjeść, prawda?

– Nie najgorzej – odparł.

Stała tyłem do blatu i spojrzała nań wyczekująco.

– Co się mówi, kiedy ktoś przynosi ci pizzę i colę?

– Dziękuję.

– Drobiazg – uśmiechnęła się. – Czy masz dziś na tyle dobry humor, żeby zaproponować mi kawę?

Ruchem głowy Mads wskazał szafkę za jej plecami.

– Tam znajdziesz filiżankę – oznajmił i kopnięciem wysunął krzesło zza stołu.

Charlotte przewróciła oczami, ale otworzyła szafkę i wyjęła filiżankę. Napelniwszy ją kawą, przyciągnęła do siebie reklamówkę i siadła. Była ładnie ubrana, w białą bluzkę pod czarnym, wełnianym swetrem. Nad lewą piersią wpięła broszkę. Przeczesała włosy palcami, wzdychając.

– Byłaś u fryzjera? – zapytał, ale zgadł odpowiedź i dodał: – Ładnie wyglądasz.

– Naprawdę? – znowu dotknęła włosów, poprawiła je lekko. – Mnie się wydaje, że trochę za krótko, ale...

– Co tam masz?

Wskazał reklamówkę z supermarketu, leżącą na jej kolanach. Wbrew jego początkowym przypuszczeniom nie było w niej śniadania.

– Coś, co leżało w przychodni. Parę wycinków z gazet, które znalazłam kiedyś przy kopiance w rejestracji.

Otworzyła siatkę i wyjęła z niej plastikowy skoroszyt. Rzuciła go na stół, a reklamówkę zmięła w rękach. Mads zerknął na teczkę. Na wierzchu leżał wycinek z „Hitry-Frøi”. Nagłówek głosił: „Przypuszczalnie utonął”. Połowę strony zajmowało zdjęcie kilku mężczyzn, którzy stali z rękami na biodrach, przyglądając się kutrowi rybackiemu. Poniżej widniał wstęp: „Giganta III znaleziono dryfującego na wodach koło Knarrlagsundet. Istnieją obawy, że właściciel łodzi, Theodor Strøm, nie żyje”.

– Przypomniałam sobie o nich po naszej ostatniej rozmowie – oznajmiła Charlotte. – Musiały należeć do Aldusa. Widywałam go przy kopiance, gdzie kserował różne rzeczy: wycinki z gazet, dokumenty i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze. Beate wściekała się na niego za to, ile środków z budżetu idzie na toner i papier, ale nigdy nie miała odwagi mu tego wypomnieć. Sam wiesz, jaki był.

Mads sięgnął po teczkę i zajrzał do środka. Znajdowały się w niej wycinki z paru innych gazet na temat tej samej sprawy.

– To wszystko?

Podniósł wzrok na Charlotte, która poważnie skinęła głową.

– Tak, to wszystko. Ale trochę myślałam, Mads, i jestem pewna, że miałaś rację co do Theodora Strøma. To właśnie po jego śmierci w Aldusie zaszła zmiana. Wielokrotnie przyłapywałam go na mówieniu do siebie w gabinecie. Zdawało się, że jeszcze bardziej zamknął się w sobie i nieco ostrzej reagował przy każdej konfrontacji z innymi. Z drugiej strony jakoś niezbyt chce mi się wierzyć, że tak ciężko przeżył tę śmierć. Theodor Strøm leczył się u niego, ale nie byli bliskimi przyjaciółmi. Diametralnie się od siebie różnili. Theodor był niemal irytująco naiwny. Zdawać by się mogło, że wierzył wyłącznie w ludzkie dobro. Caroliussen często się z niego naśmiewał, niemal pogardliwie.

Mads zamknął teczkę i odsunął ją od siebie.

– To już bez znaczenia – stwierdził. – Ta sprawa przestała mnie interesować.

Charlotte uniosła rękę i po raz kolejny poprawiła włosy.

– Mam godzinę – oświadczyła. – Powiedziałam Jędy... – jęknęła. Mads musiał się uśmiechnąć. – Sam widzisz, jaki zły wpływ na mnie wywierasz. Tak czy owak powiedziałam jej, że chcę pofarbować włosy u fryzjera. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, wspomniałeś, że to dłuższa historia. Zakładam, że masz teraz okazję, żeby mi ją opowiedzieć.

Mads przetarł twarz ręką.

– Nie bardzo wiem, jak to ująć, ale od naszej ostatniej rozmowy moja sytuacja drastycznie się zmieniła. Mam teraz co innego na głowie niż porachunki Starego Doktora z Theodorem Strømem.

– Jeśli masz na myśli sprawę z córką Aldusa, to mogę cię zapewnić, że nikt z nas w przychodni nie wierzy w jej rewelacje. Znamy cię, Mads. Wiemy, jaki jesteś. Przez myśl by ci nie przeszło, żeby nękać kogoś w ten sposób. Nie mówiąc już o podpaleniu budynku. – Pochyliła się i złapała go za rękę. – Wszystko się jeszcze ułoży.

– Nie ułoży się, Charlotte. Straciłem pracę i odbiorą mi prawo wykonywania zawodu. Ja...

– Posłuchaj mnie!

Mads aż się wzdrygnął, gdy Charlotte uderzyła pięścią w stół. Patrzyła na niego zmrużonymi ze złości oczami.

– Popijanie kawki i uzalanie się nad sobą nie jest żadnym rozwiązaniem. Weź się w garść! A zacznij od opowiedzenia mi o Aldusie. Jeśli się nie mylę, możesz mi też zdradzić coś niecoś na temat jego zakłamanej córeczki. Zgadza się?

Odetchnął głęboko. Jego spojrzenie powędrowało na plac przed domem. Miała rację. Musiał wziąć się w garść.

Zaczekał, aż minie dwudziesta pierwsza, po czym udał się w stronę centrum. O tej porze zamykano Centrum Handlowe Hjorten, co oznaczało, że będzie mniej ludzi na ulicach. Mocno nasunął czapkę na uszy i włożył gruby, zimowy płaszcz, którego nie używał już od dłuższego czasu. Nie chciał, żeby ktoś rozpoznał go w drodze do Pizzerii Betlehem. Miał nadzieję, że tego wieczora nie zastanie tam wielu klientów. Poniedziałek był dla nich ogólnie kiepskim dniem. To właśnie dlatego w te dni Anwar lubił grać w bowling.

Tego ranka Charlotte została godzinę z hakiem. Mads zdał jej obszerną relację ze wszystkiego, co się wydarzyło, od wykrycia powiększonej wątroby u Valentyny Hjertås aż do lektury jej karty w domu Caroliussena przed pożarem. Gdy opowiadał, Charlotte niewiele się odzywała, zwrócił jednak uwagę, że jej twarz coraz bardziej posępnieje. Kiedy umilkł, długo siedziała, wpatrując się w filizankę. Nie był pewien, co oznaczało jej milczenie, ale zniósł je mężnie, nie dopytując się.

– Wiedziała, że jest samowolny – rzekła wreszcie – ale Valentyny nie potraktował dobrze – podniosła wzrok, a spojrzenie miała głębokie i bolesne. – Słyszałam, że kazałeś usunąć

jej sondę. To była jedyna słuszna decyzja, Mads.

W odpowiedzi skinął głową.

– Tak, tylko to mogłem zrobić.

Nieco później, kiedy już wychodziła, odwróciła się na schodach i nalegała na kolejną rozmowę.

– Musi być jakiś sposób, żeby odegrać się na tej żolzie.

Nigdy nie słyszał, żeby używała tak mocnych słów. Obiecał, że do niej zadzwoni. Stojąc w drzwiach i odprowadzając ją wzrokiem, wiedział jednak, że niczego nie może zrobić. Przegrał. Musiał poszukać sobie nowego zajęcia. Nowego miejsca.

Tak jak się spodziewał, w Pizzerii Betlejem było prawie pusto. W głębi lokalu, w kącie przy oknie siedziały dwie nastolatki, szepcząc zapamiętałe. Mads rozpoznał długie blond włosy i uroczo zadarty nosek jednej z nich. To właśnie od tej dziewczyny Kashif nie potrafił trzymać się z daleka podczas ostatniej wizyty Madsa.

Sam Kashif stał tego wieczora za ladą. Ułożył włosy w irokeza *à la* Beckham, a w lewym uchu miał posrebrzaną różę.

– Anwar cię szukał – powiedział do Madsa, kiedy ten zdjął czapkę i się przywitał.

– A gdzie on teraz jest?

– Pojechał twoim mercem z zamówieniem. Nikomu nie daje wsiąść do tego złoma. Mnie to wisi, ale... – posłał powłóczyście spojrzenie siedzącym w kącie nastolatkom. – Wszystko gra, dziewczyny? Jest coś, co Kashif może dla was załatwić?

Zabrzmiął miękki śmiech, po czym cienki głos rzucił:

– Dwa bezalkoholowe.

I znów śmiech. Kashif zakołysał się leniwie.

– Anwar musi pomyśleć o koncesji. Czy to nie Prawica zarządza tą wyspą?

– Dawno pojechał?

– Pewnie zaraz wróci. Tam leży parę gazet, jeśli chcesz poczekać.

Mads skorzystał z zachęty i ze stosu gazet piętrzącego się na końcu lady wyciągnął egzemplarz „Hitry-Frøi”. Zajął stolik w rogu lokalu na ukos od nastolatek i na wypadek, gdyby ktoś wszedł, siadł plecami do drzwi. Położył gazetę na blacie i przestudiował pierwszą stronę. Była poświęcona dyskusji na temat przebiegu szosy, o czym Pettersen urządził mu wykład w drodze na Dolmøyę. Tym razem to mieszkańcom Snillfjordu nie spodobał się wybór trasy przyszłej 714. W chwili obecnej Madsa niezbyt interesowały lektury o przyszłości wyspy. Przewrócił więc gazetę i rzucił okiem na artykuł z ostatniej strony, poświęcony koncertowi D.D.E. w Hotelu Fiord. Pół strony zajmowało zdjęcie Arilda Askmanna. „Uprasza mieszkańców o kulturę osobistą”, brzmiał nagłówek. Była to aluzja do poprzedniego koncertu zespołu na Hitrze. Mads pobieżnie przejrzał tekst. Nie znalazł w nim żadnych newsów poza informacją, że Arild przez kilka lat był przedsiębiorcą w Sztokholmie – między innymi wypromował nową markę snusu – zanim przerzucił się na rynek nieruchomości i hotelarstwo. „Już wkrótce Hitra stanie się znakiem handlowym” – zacytowano go w artykule. Dalej stwierdził, że „jest to wyspa przyszłości”. Mads znów zerknął na pierwszą stronę. Musiał mieć w rękach wydanie z piątku. Oznaczało to, że dopiero jutro w gazecie ukaże się tekst na temat pożaru w Starym Fillan. Byłby bardzo zdziwiony, gdyby nie opatrzone go krzykliwym nagłówkiem. Poza tym nie miał co liczyć, że dziennikarze go oszczędzą. Jak nadmieniała Charlotte, większość tutejszych była dobrze poinformowana. Plotki zdążyły już pewnie trzy, cztery razy obiec wyspę. Nawet jeśli za jakiś czas oddano by mu licencję, ludzie nie zapomną tego, co się tutaj stało. Nigdy nie będzie mógł wrócić do pracy na Hitrze. Musiał się z tym pogodzić.

Minęło pół godziny, a on zdążył dwukrotnie przejrzeć „Hitrę-Frøye”. Odwrócił się

i spostrzegł, że Kashif stoi przewieszony przez stół dwóch nastolatków po drugiej stronie lokalu. Chłopak najwyraźniej dostał w prezencie pracę swoich marzeń. Wieczór za wieczorem mógł flirtować z miejscowymi dziewczynami. Zapewne czuł się tu dziesięć razy lepiej niż wałęsając się gdzieś na przedmieściach Oslo. Mads podszedł do stolika, na którym leżały inne gazety. Przez chwilę przeglądał „Dagbladet”, gdy wtem usłyszał, że Kashif wraca do baru.

– Jakieś wieści od Anwara?

– *Nope* – młody Pakistańczyk okrążył ładę, otworzył lodówkę i wyjął dwie butelki coca-coli. – Chcesz jedną?

Mads pokręcił głową. Kashif otworzył butelkę i przystawił ją sobie do ust. Pociągnął solidny łyk i otarł usta wierzchem dłoni.

– Anwar mówił, że jedzie do Starego Fillan. Powiedział, że nie zabawi tam długo.

– Do Starego Fillan jest stąd przecież kilometr drogi.

– Skoro tak mówisz...

Kashif pociągnął nowy łyk. Mads odrzucił „Dagbladet”. Ogarnął go jakiś niepokój. Kashif opuścił butelkę i posłał Madsowi błagalne spojrzenie.

– Ale nie powiesz mi, że wziąłem colę? Zaraz zapłacę.

– Wyjaśnij mi jedną rzecz. Czy Anwar wybrał się w sobotę na koncert?

– Na D.D.E.? – Kashif wyszczerzył zęby. – Możesz mi wierzyć albo nie. Mnie by za to musieli zapłacić. Co najmniej tysiąka!

– Czyli poszedł tam z Sissel?

– Zgadza się. Chyba była jakaś zadyma z jej bratem...

– Ivarem Skogenem?

– Możliwe. Z bratem i paroma kolesiami, w każdym razie. Co za naziole, mówię ci. Powinno się na nich nasłać Gang B. Myślę, że wtedy zwałiby z podkulonymi ogonami.

Mads chwycił się za głowę. Nie podobało mu się to, co usłyszał. Wcałe mu się to nie podobało. Poklepał się po kieszeniach, chcąc wymacać komórkę, ale przypomniał sobie, że zostawił ją w domu po powrocie z komendy. Kashif wziął drugą butelkę coca-coli i obszedł ładę.

– Tymczasem spadam do dziewczyn.

Zanim zdążył odejść, Mads złapał go za ramię.

– Zaczekaj!

Przebiegł przez rondo przy budynku biblioteki i ruszył dalej szosą w stronę Muzeum Wybrzeża. Z naprzeciwka nadjechał samochód, zwolnił więc kroku. Spostrzegłszy, że to zielone volvo, zgarbił się i narzucił sobie to samo tempo, co wcześniej. Dawno już nie czuł takiego niepokoju. Kiedy próbowali z Kashifem dodzwonić się do Anwara, odezwała się automatyczna sekretarka. Kilka razy ponowili próbę, ale z tym samym rezultatem. W końcu Mads poprosił Kashifa, żeby zadzwonił do Sissel. Odebrała od razu. Pracowała w Hestvice i ostatni raz kontaktowała się ze swoim chłopakiem wcześniej rano.

Mads poczuł, że grunt ucieka mu spod prawej nogi. Szybko dostawił krok i udało mu się odzyskać równowagę. Nie chciał polecieć na łeb, na szyję i złamać sobie czegoś jeszcze. Droga stała się bardziej stroma i nieco zwolnił. Zerknął na zegarek: kwadrans po dziesiątej. Anwara nie było już ponad godzinę. Niewykluczone, że panikował. Przyjaciel mógł po prostu kogoś spotkać i się z nim zagadać. Nieodbieranie telefonu było jednak nie w jego stylu. Chcąc zamówić pizzę na wynos, dzwoniło się pod jego prywatny numer. Dlatego nigdy nie rozstawał się z komórką. To samo powiedziała Sissel. W jej głosie Mads usłyszał strach. Ona również zrozumiała, w czym rzecz. Podczas sobotniego koncertu jej brat z koleżkami tak bardzo napsuli ludziom krwi, że w końcu wyrzucono ich z lokalu. Sissel i Anwar pozostali w Hotelu Fiord jeszcze długi czas po zamknięciu, żeby upewnić się, że nikt nie będzie na nich czekał za drzwiami.

Skręcił z drogi krajowej i pobiegł w dół, w stronę Starego Fillan. Na zboczu nogi poniosły go szybciej. Prowadziła stąd tylko jedna droga, więc jeśli Anwar będzie wracał do Betlejem, to się spotkają. Minął kościół i kiedy w dali przed sobą zobaczył przystań, poczuł, że skacze mu puls. Tuż przed sklepem sportowym stał jego własny mercedes. Mads wytrzymał się i ostatni odcinek pokonał sprintem. Wokoło nie było żywego ducha. Ani innych aut. Mads przebiegł przez parking i z impetem przypadł do boku samochodu. Wewnątrz było ciemno. Nacisnął klamkę: drzwi nie były zamknięte. W kabinie włączyło się światło, wsunął głowę do środka. Na fotelu pasażera zobaczył pudełko od pizzy i dużą coca-colę. Na wierzchu leżał paragon. W samochodzie pachniało pizzą. Zapach przyprawił Madsa o mdłości. Wystarczył rzut okiem, żeby skonstatować, że kluczyk tkwi w stacyjce, po czym Mads wyprostował się i oparł ręce na dachu. Anwar zostawił samochód z zamówieniem na przednim siedzeniu. To nie było w jego stylu. I gdzie się podział? Na drodze prowadzącej do spalonego domu Caroliussena i Hotelu Fiord było całkiem pusto.

Zatrzasnął drzwi i odstał od auta, omiatając wzrokiem przystań. Jeśli się nie mylił, ktoś zmusił Anwara, żeby się tu zatrzymał, i wywłócił go z mercedesa. Jak okiem sięgnąć, na źle oświetlonym nabrzeżu widać było jednak tylko zbity śnieg i lód. Nie sposób było orzec, czy doszło tu do walki. Mads obszedł samochód i poczuł, że ogarnia go strach. Prawdziwy strach. Nie mogli przecież wrzucić go do morza? W kilku susach dopadł do brzegu, klęknął i spojrzał w toń. Fale rozbijały się o drewniane pale, podtrzymujące pomost, ale woda była tak ciemna, niemal czarna, że nic w niej nie widział. Poczołgał się wzdłuż krawędzi, a jego wzrok przesunął się po powierzchni. Zatrzymał się na rogu. Wprost przed nim pływała biała reklamówka. Poza tym niczego nie widział. Wyprostował się i zerknął na pomost pływający tuż obok. Nie cumowały tam żadne łodzie. Był przecież środek zimy. Mads opadł z sił. Potrzebował pomocy. Sam sobie z tym nie poradzi. Wyprostował się i poklepał się po kieszeniach, szukając komórki, po czym znowu przypomniał sobie, że zostawił ją w domu. Wypluł wiązanek przekleństw i rozejrzał się z desperacją. Nadal nikt nie nadchodził. Znajdował się w ślepej uliczce, a był poniedziałkowy wieczór. Prosił wprawdzie Sissel, żeby zorganizowała pomoc, nie wiedział jednak, kiedy zjawią się posiłki. Nagle przyszło mu do głowy, że Anwar mógł zostawić telefon w samochodzie. Rzucił się z powrotem na plac. Szarpnięciem otworzył drzwi od strony pasażera i odepchnął pudełko z pizzą. Fotel był pusty. Na tablicy rozdzielczej także nic nie leżało. Rozejrzał się. Mógł pobiec do Hotelu Fiord i poprosić o pomoc. To jednak zajęłoby mu dobrą chwilę. Odwrócił się do przystani. Najpierw musiał wykluczyć, że Anwara wrzucono do wody. Potrzebował latarki. Uderzył się w czoło. Miał przecież jedną z tyłu samochodu. Pospiesznie okrążył auto i otworzył bagażnik. Latarka kieszonkowa leżała dokładnie tam, gdzie pamiętał, firmy Maglite i wystarczająco silna. Włączył ją i aż się wzdrygnął, zobaczywszy czerwień na śniegu.

Ślady krwi. W ciemności uszły jego uwadze.

Ruszył przez lód w stronę wody. Poczuł zawroty głowy, gdy klęknął i skierował promień w stronę czarnej toni. Znowu spostrzegł reklamówkę. Tuż obok niej unosił się kawałek deski. Woda wyglądała na zimną. Mogła mieć najwyżej kilka stopni. Osunął się na brzuch i poczuł klucie w lewym boku. Syknął. Całkiem zapomniał o złamanych żebrach. Dźwignął się na kolana i już miał przyciągnąć latarkę, gdy nagle promień przesunął się po czymś innym niż woda. Mads zamarł, niezdarnie złapał latarkę i w końcu udało mu się oświetlić obszar pod pomostem.

Tam.

Głowa.

Czarnowłosa głowa unosiła się w wodzie.

Zebrało się wszystko naraz.

Chłód, ciemność, ból, cisza.

Ta mieszanka uderzyła w niego jak bomba.

Wymachując zaciekłe ramionami, wypłynął na powierzchnię. Z trudem łapał oddech. Fale utrudniały mu manewrowanie, widział jednak kształt unoszący się między palami. Anwar. To był Anwar. Madsa zalała fala. Usta wypełniły się wodą. Połknął ją i znów poczuł, że opada na dno. Płaszcz. Był za ciężki. Wymacał guziki i rozpiął je, jeden za drugim. Ogarnęło go takie zimno, że myśli w nim zamierały. Płaszcz zsunął się z ciała. Mads odepchnął się nogami. I znów się wynurzył. Wdech. Musiał sobie poradzić. Po prostu musiał.

Zaczął płynąć. Nogi niezmiernie mu ciążyły. Podobnie ramiona. Dotarł na skraj pomostu. Widział, że ciało Anwara utknęło między dwoma krzywymi palami. Twarz miał zwróconą do dołu. Mads usiłował złapać przyjaciela, ale fala odrzuciła go pod pomost. Prąd. Zbyt silny. Kurczowo wczepił się w jeden z pali. Boże, jak zimno. Cały zdrętwiał. Nadeszła kolejna fala. Przełknął słoną wodę. Odetchnął. I znów przełknął. Próbował zebrać myśli. Musiał przenieść Anwara na pływający pomost. Miał do pokonania dziesięć, dwadzieścia metrów. O dziesięć, dwadzieścia metrów za dużo.

Światło i ciepło. Myśl o świetle i ciepłe. Przypomnij sobie, kiedy ostatni raz uratowałeś kogoś, kto się topił.

To było w Tjøme. Miałeś ledwie dziesięć lat. Towarzystwo Chorych na Epilepsję zorganizowało obóz wakacyjny. Wszyscy uczestnicy ćwiczyli ratowanie kogoś, kto doznał ataku w wodzie. Kto był twoim partnerem? Rune. To był Rune. Płynąłeś na plecach, trzymając Runego. Samodzielnie wysadziłeś go na pomoście.

Dźwięk szczękających zębów spotęgował się w jego głowie. Było tak kurewsko zimno. I ciemno. Zalała go nowa fala. Przełknął wodę.

Światło i ciepło.

Myśl o świetle i ciepłe.

Wziął oddech, odepchnął się od pala i kilka razy energicznie machnął ramionami. Z trudem złapał kurtkę Anwara. Podciągnął się bliżej. Teraz wystarczyło uwolnić ciało pomiędzy pali. Oparł stopy o drewno, mocno złapał tors Anwara i odbił się.

Kiedy się zanurzył, wokół panowała głucha cisza. Anwar ciążył mu w ramionach, ale trzymał go kurczowo – i za nic nie poluzowałby chwytu. Odepchnął się i znów wypłynął na powierzchnię. Wiatr kłuł go w twarz. Był na właściwej drodze. Nogi cięży pustkę. Nie ciążyły mu już. Nie było ich. W ogóle ich nie czuł. Obejrzał się przez ramię i obrał kurs na pływający pomost. Nowa fala uderzyła z boku, przełknął wodę.

Wzdrygnął się nagle. A to co? Na drodze pojawiło się światło. Dwa światła. Samochód. Mads uniósł rękę. Krzyknął, ale z jego gardła dobyło się tylko gulgotanie. Auto zjechało już do przystani. Nowa próba.

– NA POO-OOO-MOOC!

Samochód pojechał dalej. Światła zniknęły w głębi drogi. Na powrót zapadła ciemność.

Nie!

Światło i ciepło. Myśl o świetle i ciepłe. Myśl o Tjøme. O Runem w twoich ramionach. Ty i Rune. Docierasz do pływającego pomostu. Chwytasz go za ręce i wczepiasz je w krawędź, a sam podciągasz się do góry. Świeci słońce. Jest...

Uderzył w coś głową. Przekręcił się i zobaczył, że to boja na skraju jednego z metalowych wysięgników pływającego pomostu. Złapał metal i się przyciągnął. Pomyślał

o złamaniach. Niczego nie czuł. Było mu tylko zimno. Nie, nieprawda. Zacisnął powieki.

Światło i ciepło.

Musisz się dźwignąć. Najpierw ty sam. Potem Anwar. Dźwignąć się z wody.

Wziął oddech, zanurzył się i znalazł ręce Anwara. Poszło mu dobrze. Prąd był tu słabszy. Jedną ręką przycisnął dłonie przyjaciela do krawędzi pomostu, a drugą złapał konstrukcję. Potem zanurzył głowę, by z odpowiednim impetem móc wyskoczyć na brzeg. Ciemność, chłód, cisza. I oto...

Wyskoczył nad krawędzią i aż jęknął, gdy torsem oparł się o pomost. W boku odezwał się ból. No, tak. Połamane żebra. Ale nie o tym powinien teraz myśleć. Podczołgał się wyżej. Cały aż trząsał się z zimna. A podmuchy wiatru kłuły, kłuły go wszędzie. Był już jednak na brzegu. Złapał nadgarstki Anwara i podniósł się na nogi. Musiał z nim postępować tak samo, jak z Runem. Najpierw pozwolić, by ciało zanurzyło się w wodzie. Potem poderwać je jednym szarpnięciem.

Ciało Anwara zniknęło w czarnej toni. Mads zagryzł zęby.

Teraz!

Pośliznął się i krzyknął, uderzając torsem w pomost. Leżał, z trudem łapiąc oddech, ale nie wypuścił nadgarstków Anwara z uścisku. Nie miał czasu tak leżeć. Podniósł się i szeroko rozstawił nogi. Tym razem musiało mu się udać. Opuścił ciało przyjaciela pod wodę i zaczerpnął powietrza, usiłując zebrać resztki sił.

Teraz!

Ciało Anwara przecięło tafłę. Wylądowało brzuchem na pomoście, ale nogi zostały pod powierzchnią. Mads złapał przyjaciela za pasek i pociągnął. Po chwili nogi trafiły na brzeg. Wziął oddech i obejrzał się przez ramię. Nikogo nie było. Znów złapał Anwara i przewrócił go na plecy. Widząc jego twarz, poczuł ukłucie w piersi. Była sina, martwa. Przykrył mu usta dłonią. Nie wyczuł oddechu. Ręką dotarł do tętnicy. Pulsu też brak. Niech to szlag!

Znów się obrócił. Nikogo. Nikogo poza nim jednym. Był sam. Pomost unosił się i opadał w rytmie napływających fal.

– PO-MOOO-OOO-OOOCY!!!

Jego krzyk umilkł, zanim jeszcze zamknął usta. Mads zacisnął powieki. Znalazł się w tym samym położeniu, co kiedyś. Sam jeden. Dokładnie tak jak w sierpniu.

Nie rób mi tego znowu, Cecilio.

Proszę.

Spraw, żeby tym razem mi się udało.

Otworzył oczy i nachylił się nad martwym ciałem. Nie wiedział, co robić. Musiał wytrwać, dopóki ktoś nie przyjdzie. O ile przyjdzie...

Położył jedną dłoń na klatce piersiowej Anwara, na niej zaś drugą. Zaczął uciskać.

Raz...

Dwa...

Trzy...

Cztery...

Pięć...

Zamknął oczy. Ciepło. Czuł ciepło na skórze. Pod przykrycie wsunięto dwie butelki. Czyjeś ręce gładziły go po ciele.

– Lepiej? Lepiej ci, Mads?

Zagulgotał słabo, co miało być odpowiedzią twierdzącą. Otworzył oczy. Światło. Z miejsca, w którym leżał, zobaczył, że na drodze wylądował czerwony helikopter. Łopaty wirnika nie przestawały obracać się sennie. W oddali, na pomoście, dostrzegął kilka postaci. Coś krzyczano. Z tej odległości nie rozróżniał słów. Poczul, że ktoś przykłada mu rękę do czoła.

– Połóż się, Mads. Wszystko będzie dobrze. Słyszysz?

Znow zamknął oczy i opadł na posłanie. Przeszedł go dreszcz, ale krótkotrwały. Czuł teraz, jak ciepło rozchodzi się w jego ciele. I wiedział, że już po wszystkim.

Ogarnęło go niepomierne zmęczenie. Nie miał siły z nim walczyć. Mógł teraz zasnąć. Zasnąć.

Wyrwał się ze snu. Przebiegł wzrokiem po ścianach. Był w sypialni. We własnej sypialni. Z salonu dochodził głos. Poruszył się, ale lewy bok przeszył ostry ból. Jęknął. Mimo to udało mu się spuścić stopy na podłogę i przez długą chwilę siedział, gapiąc się w ścianę.

Już po wszystkim. Wiedział, że już po wszystkim.

Włożył szlafrok, wiszący na krześle przy łóżku. To głos Charlotte słyszał w drugim pokoju. Z przerw pomiędzy zdaniem domyślił się, że rozmawia przez telefon.

Wyszedł do salonu, gdzie owionął go zapach kawy. Mocnej kawy. Skręcił do kuchni i zastał Charlotte przy stole.

Uśmiechnęła się na jego widok i wskazała telefon przy swoim uchu.

– Właśnie przyszedł... Pewnie, przekażę mu!... Informuj nas na bieżąco!... Świetnie!... Do usłyszenia!

Wyjął filiżankę z szafki i napełnił ją po brzegi. Kiedy się odwrócił, Charlotte siedziała z telefonem w ręku i mu się przyglądała. Upił łyk i poczuł, jak napój parzy mu podniebienie. Mimo to przełknął.

– Jak on się czuje?

Charlotte uśmiechnęła się blado.

– Radzi sobie. Przynajmniej na razie.

– Ale nie wiedzą jeszcze, czy doznał uszkodzenia mózgu?

– Woda była zimna. Zdaniem lekarzy z oddziału intensywnej terapii to zadziałało na korzyść. Wyziębiony organizm potrzebuje mniej tlenu. W najlepszym razie może wyjść z tego bez szwanku. Zresztą...

Mads znów napił się kawy. Czuł ciepło, ale nie mógł się nim nasycić.

– Zresztą co? – spytał, gdy nie dokończyła.

– Uratowałeś mu życie, Mads.

Poczul ciężar zmęczenia w całym ciele. Odetchnął ciężko i oparł się o blat kuchenny. Już po wszystkim.

– Tak, dzięki Bogu.

Na podłodze w salonie stały obie jego walizki, szeroko otwarte. Były już wprawdzie pełne, ale w szafie Madsa pozostały ubrania. Nie wspominając o akcesoriach kuchennych. Nie pojmował, w jaki sposób udało mu się pomieścić cały ten kram w dwu walizkach, kiedy tu przyjechał. Westchnął, stojąc z rękami w kieszeniach. Nie miał innego wyjścia, jak załatwić parę kartonów. Uklęknął i docisnął wieka walizek. Dopiero gdy oparł na nich cały swój ciężar, usłyszał zatraskujący się zamek. Siedział na jednej z nich, gapiąc się w przestrzeń. Kartony. Skąd wziąć kartony? Westchnął ciężko, zerknął w stronę kuchni, potem w kierunku korytarza. Zdaje się, że powinien przejść się do centrum. Zresztą i tak potrzebował spaceru.

Z zaskoczeniem stwierdził, że w Pizzerii Betlejem pali się światło. Otworzył szklane drzwi i wszedł do środka. Natychmiast owionął go zapach świeżo upieczonej pizzy. Z głośników płynęła przyciszona muzyka bożonarodzeniowa. Mads przeszedł przez korytarz i wszedł do restauracji. Miejsce za ladą było puste. Wokół stolika przy oknie zebrało się parę osób, a nieco dalej siedział Kashif, pogrążony w rozmowie z dwudziestokilkuletnim tubylcem. Podchodząc do lady, Mads zwrócił uwagę na stół z mnóstwem bukietów. Musiały ich być dziesiątki. Niektóre stały w wazonach, inne w półlitrowych butelkach. Wiele, wciąż nierozpakowanych, opierało się o nogi stolika. Mads podszedł do niego i przyjrzał się kartkom, piętrzącym się schludnie w jednym rogu. Były to życzenia powrotu do zdrowia od ludzi, których nie kojarzył. Sądząc po nazwiskach, większość stanowili mieszkańcy Hitry.

– Bukiety napływają od samego rana.

Mads obrócił się i zobaczył za sobą Kashifa.

– Martwią się, ci miejscowi.

– Owszem – odparł, odkładając kartę, którą trzymał w rękę. – Jakież wieści?

– Nadal trzymają go pod respiratorem – oczy Kashifa pociemniały. – A Ivar Skogen z kumplami wpadli chyba w łapy policji. Mówią, że to wypadek. Spanikowali i dali nogę. Tak czy owak ich sytuacja jest niewesoła. Dobrze, że wczoraj przyszedłeś!

– Dobrze, że zadzwoniłeś na sto trzynaście, nie słysząc odzewu.

Kashif uśmiechnął się i spuścił wzrok. Był bardzo drobny. Drobny, a jednak Mads miał wrażenie, jakby chłopak zmężniał od ostatniej wizyty.

– Rozumiem, że pilnujesz interesu.

Nie unosząc wzroku, Kashif wskazał kciukiem stojącego za nim mężczyznę.

– Właśnie mam rozmowę kwalifikacyjną z jednym gościem, który mógłby zająć się na razie dowozem zamówień. Myślę, że będzie spoko. Jesteś głodny?

Mads obrócił się i szybko przejrzał menu za ladą.

– Właściwie wpadłem zapytać, czy nie masz kartonów, ale może...

– Ja stawiam. Na przykład średniego Łowcę jeleni. Chyba nie brzmi najgorzej? Z colą?

Mads przytaknął.

– Dziękuję.

– Sprawdzę, czy mam jakieś kartony.

Kashif obszedł ladę i udał się do kuchni. Mads stał w miejscu, wpatrując się w tablicę z menu. Nazwa pizzy przypominała mu o jednorogim jeleniu i śnie, w którym szedł za Starym Doktorem. Zwykle nie zapamiętywał snów. Zdarzały się okresy, kiedy powątpiewał, że w ogóle coś mu się śni. Ale ten stan rzeczy ostatnio uległ zmianie.

Obrócił się w stronę sali, wybrał stolik i ruszył w jego kierunku. Zwrócił uwagę na dekoracje świąteczne porozwieszane w oknach i świece Trzech Króli na stole, za stosem gazet. Kashif postarał się uprzyjemnić atmosferę w lokalu. Na pierwszy rzut oka Mads nie spodziewał

się po nim aż tyle. Opadł na krzesło pod ścianą. Przed oczami znów stanął mu jelen. Tkwił bez ruchu na polanie i mu się przyglądał, dokładnie tak jak we śnie. Próbował skierować jego uwagę na coś, co leżało w śniegu. Co takiego? Zacisnął powieki, usiłując sobie przypomnieć, ale tyle już czasu minęło... Chociaż, chwileczkę...

Otworzył oczy. W jego kierunku szedł Kashif, trzymając butelkę coca-coli i szklankę.

– Co ci?

Chłopak stanął przed nim, szczerząc zęby.

– Mogę wziąć pizzę na wynos?

– No jasne. Przypomniało ci się coś ważnego?

Mads wstał. Nie był jeszcze pewien, czy to ważne – ale zdecydowanie mogło się ważne okazać.

Kartę identyfikacyjną do przychodni zostawił w domu, ale wejście od strony pogotowia stało otworem. Wewnątrz czekała matka z małym dzieckiem na kolanach. Przywitał się skinieniem, otworzył drzwi do korytarza, po czym ostrożnie zamknął je za sobą. Mijając gabinet Regine Kaspersen, usłyszał, że lekarka jest w środku, więc czym prędzej przemknął do swoich drzwi i szybko otworzył je kluczem. Odstawił pudełko z pizzą na stół i nie zapalając światła, włączył komputer. Kiedy oparł się w fotelu, czekając, aż uruchomi się Windows, czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Torba lekarska. To na nią jelen zwracał jego uwagę. Podświadomość chciała mu coś przekazać, ale dopiero teraz zrozumiał, co takiego. Miało to związek zarówno ze Starym Doktorem, jak i Theodorem Strømem, ustanawiając zależność między nimi. Taką właśnie rolę grała torba lekarska. A właściwie jej zawartość: środek na serce, którym leczył się Strøm.

Digitoksyna.

Na monitorze wreszcie ukazał się pulpit. Mads złapał myszkę i wszedł do elektronicznego systemu kart pacjenta. Wprowadził login i hasło, po czym zmówił szybką modlitwę o to, żeby Jędrza nie zdążyła jeszcze skasować jego profilu. Kiedy kliknął Enter, na ekranie wyskoczyło powitanie: „Dobry wieczór, Mads Helmer”. Odetchnął z ulgą i przeszedł do wyszukiwarki pacjentów. Wpisał nazwisko Theodora Strøma i chwilę później na monitorze pojawiła się jego karta. Mads kliknął na wyniki badań i wyszukał słupek odpowiadający wartościom digitoksyny. Stary Doktor zlecił ostatni pomiar stężenia leku w krwi Strøma mniej więcej półtora roku temu. Później nie było już zarejestrowanych badań. Mads opuścił okienko i przejrzał notatki. Za każdym razem, gdy drukowano elektroniczną receptę, system zapisywał wydruk jako notatkę. Zwykle to Lisbeth drukowała recepty, kiedy dzwoniли pacjenci z informacją, że skończyło im się lekarstwo. Kładła je potem na półce lekarza, który zajmował się danym pacjentem. Ten kontrolował, czy wszystko się zgadza, po czym podpisywał receptę i przybijał pieczętkę. Tutaj. Mads uśmiechnął się do siebie. W listopadzie ubiegłego roku Theodor Strøm dostał zapas digitoksyny na dobrych sześć miesięcy. Krótko mówiąc, Caroliussen dalej leczył go tym środkiem, przestał jednak kontrolować jego stężenie w krwi pacjenta. Chociaż może to robił?

Mads wyszukał kolejnego pacjenta. Stary Doktor pobrał krew Valentyny Hjertås, ale opatrzył próbkę nazwiskiem Josefa Danielssona, żeby zmylić tych, którzy próbowaliby mu deptać po piętach. Ten sam sposób mógł bez trudu zastosować w przypadku Theodora Strøma: pobrać od niego materiał, ale podać nazwisko innego pacjenta. Najlepiej takiego, który również przyjmował digitoksynę: na przykład siebie.

W wyszukiwarce widniało „Caroliussen, Aldus”. Mads zagryzł wargę i wcisnął Enter. Ukazała się strona z kartą Starego Doktora. Również tutaj zarejestrowano recepty na digitoksynę. Mads otworzył okienko z wynikami badań krwi. Przebiegł wzrokiem wartości stężenia leku, które się pojawiły. W tym roku sprawdzano je cztery razy, ale w ubiegłym aż dziesięciokrotnie. Liczby się wahały. Co druga wartość była podwyższona, niektóre aż za bardzo, natomiast

pozostałe wyniki mieściły się w granicach normy. Mads przeczytał na głos te wysokie. 34–42–56–79. Prawidłowe stężenie digitoksyny wahało się między piętnastoma a czterdziestoma nanomolami w litrze krwi. Niewielu pacjentów mogło mieć siedemdziesiąt dziewięć jednostek digitoksyny w surowicy i nie doświadczać skutków ubocznych.

Mads sięgnął po Katalog Leków stojący obok monitora. Jego myśli pędziły jak szalone, gdy przerzucał kartki w poszukiwaniu opisu digitoksyny. Jeśli się nie mylił, podwyższone wartości leku w surowicy krwi należały do Theodora Strøma, a nie Aldusa Caroliussena. Oznaczało to, że w chwili śmierci Strøm miał aż dwakroć wyższe stężenie digitoksyny we krwi, niż powinien. To zaś musiało dać o sobie znać w ten czy inny sposób.

Znalazł stronę, której szukał. Przesunął palcem w dół, aż dotarł do akapitu opatrzonego nagłówkiem „Objawy przedawkowania/zatrucia”. Dwa razy przejrzał tekst. Była w nim mowa o niewydolności serca i hiperkaliemii. Nie wypatrzył jednak niczego na temat zaburzenia funkcji kognitywnych. Czyżby zawiodła go pamięć? Nie. Gitarzysta, którego spotkał w barze w Hotelu Fiord, powiedział, że Caroliussen przepisał jego matce za dużą dawkę digitoksyny. Była tak zdezorientowana, że nie poznawała własnej siostry. Znow zerknął na tekst, spostrzegł akapit na temat skutków ubocznych i zaczął go czytać. O, właśnie. Tutaj.

„Ośrodkowy układ nerwowy: zmęczenie, bóle i zawroty głowy, zaburzenia psychiczne”.

Mads zatrzasnął katalog. Choć było to nie na miejscu, musiał się roześmiać. Po prostu nie mógł się powstrzymać. Zaburzenia psychiczne. O to chodziło. Powoli i z premedytacją Aldus Caroliussen zwiększał dawki digitoksyny, które zapisywał Theodorowi Strømowi, żeby pacjent uwierzył w początki demencji. Może wpadł na ten pomysł po nieudanej próbie leczenia matki gitarzysty? Trudno było powiedzieć. Nie ulegało jednak wątpliwości, że digitoksyna działała powoli, a Stary Doktor z pewnością przez całe miesiące zwiększał dawkę, tak żeby lek wywołał u pacjenta zaburzenia psychiczne, nie powodując hiperkaliemii ani niewydolności serca. Przypuszczalnie to również dzięki tak długiemu okresowi leczenia Strøm nie powiązał kuracji z utratą pamięci. Chytrze. A jednak plan zawiódł.

Mads przykrył oczy dłonią, próbując się zastanowić. Z pewnością to dlatego w nastroju Caroliussena zaszła taka zmiana. Świadomość, że przyczynił się do śmierci Theodora Strøma, wystawiła jego sumienie na ciężką próbę. Bo chociaż w swojej karierze podjął wiele kontrowersyjnych decyzji, to chyba zawsze powodowało nim dobro pacjenta. Przede wszystkim kierował się zasadą „nie szkodzić”. Jak w Przysiędze Hipokratesa. Nie wysłał Valentiny Hjertås do szpitala, ponieważ lepiej jej było w Centrum Zdrowia. Zdiagnozował zawał u Iriny Sølvestad, żeby mąż lepiej się z nią obchodził. Sprawa Theodora Strøma była jednak inna. Stary Doktor rozmyślnie zadziałał na jego szkodę, żeby coś uzyskać. Ale co chciał osiągnąć, diagnozując u Strøma demencję? I czy to, co ugrał, miało związek z pacjentem, czy z nim samym?

Mads podniósł się z krzesła. Zaczął krążyć po gabinecie. Kolejny kawałek układanki trafił na swoje miejsce. Jeśli faktycznie istniała zależność między zarzuceniem przez Caroliussena prac nad doktoratem, włamaniem do archiwum a jego śmiercią, to nigdy nie był bliżej prawdy. Co do tego miał pewność. To zaś rodziło jeszcze ważniejszy wniosek: zwiększała się jego szansa na oczyszczenie się z zarzutów.

Zatrzymał się. Jedyne światło w pomieszczeniu płynęło z ekranu komputera. W lustrze wiszącym nad zlewem tuż obok drzwi dostrzegał niewyraźny zarys swojej sylwetki. Ove Forsnes przeprowadził już śledztwo w sprawie mogącej potwierdzić jego zeznanie. Wartości digitoksyny w krwi Theodora Strøma nie stanowiły wiarygodnego dowodu, jako że zarejestrowano je pod nazwiskiem Starego Doktora. Komendant nie będzie zresztą chciał słuchać kolejnych zawiłych hipotez. Innymi słowy, Mads wciąż potrzebował czegoś konkretniejszego – a najlepiej czegoś, co mogłoby potwierdzić fakt istnienia kartoteki w domu służbowym lekarza.

Była jedenasta przed południem, a on jeszcze nie wstał. Po powrocie z przychodni poszedł prosto do łóżka. Leżał, rozmyślając, do drugiej, trzeciej nad ranem, po czym odpłynął i ocknął się o siódmej. W pełni rozbudzony nadal gapił się w sufit, odtwarzając w myślach, w najdrobniejszych szczegółach, wydarzenia z ostatnich tygodni. Mimo to nie doznał olśnienia. W tej układance za wiele było części do połączenia. Za wiele niepasujących fragmentów.

Na samą myśl o Line Schönfelt dostawał skrętu kiszek. Mimo to korciło go, by skonfrontować ją z tym, czego dowiedział się na temat jej ojca. Jeśli ktoś miał klucz do rozwiązania tej sprawy, to z pewnością ona. Ove Forsnes miał jednak rację. Zbyt wiele ryzykowałby, kontaktując się z nią. Mogłoby to obrócić się przeciwko niemu. Musiał poszukać prawdy gdzie indziej... i chyba wiedział, gdzie.

Z podwórza dobiegł go warkot silnika. Na zewnątrz zatrzymał się samochód. Trzasnęły drzwi i ktoś ruszył po lodzie. Mads musiał się uśmiechnąć. Bez wątplenia znów przyjechała Charlotte. Miała pewnie przerwę w przychodni i skorzystała z okazji, by tu wstąpić. Rozległ się dzwonek do drzwi. Usiadł na brzegu łóżka. Może wiedziała coś nowego na temat Anwara? Niewykluczone. Zerwał się i wciągnął spodnie. Miał wielką nadzieję, że wieści będą dobre. Znów zabrzmiał dzwonek. Przylapał się na drwiącym uśmiechu. Czyżby Charlotte zrobiła się nieśmiała? Nie zwykła się przecież certować. No i proszę. Faktycznie usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Zapiął pas i wyjął świeży T-shirt z szafy w sypialni.

– Miałaś dobry dzień w pracy, kochana?

W mieszkaniu zapadła cisza. Mads znów wyszczerzył zęby i wciągnął koszulkę przez głowę.

– Halo?

Aż się wzdrygnął, słysząc gruby męski głos. Podeszedł do drzwi i wyjrzał z sypialni. Wejście do korytarza zastawiła mocno zbudowana postać w uniformie.

– Halo? – zagadnął i spostrzegł światło ślizgające się po лыsej głowie gościa. To Åge Fjellvaer go odwiedził. – Co tutaj robisz?

– Zobaczyłem, że drzwi są otwarte, więc...

– Tak?

Szef zespołu ratownictwa medycznego rozejrzył się z zakłopotaniem.

– Mogę wejść?

Mads zawahał się przez sekundę. W nieśmiałym zachowaniu Fjellvaera było coś, co nie pasowało do dotychczasowych wrażeń Madsa.

– Okej – odparł.

Mężczyzna ostrożnie wszedł do środka. Ciężkie buty zadudniły o płytki podłogowe w wiatrołapie.

– Przepraszam, jeśli przeszkadzam...

– Napijesz się kawy?

Fjellvaer znów się rozejrzył, po czym skinął głową.

– Chętnie.

Åge wydawał się zbyt potężny na małe krzeselko w kuchni, które zajmował. Mads wyjął filiżanki z szafki i postawił je na stole wraz z cukiernicą i pojemnikiem ze śmietanką. Nie przypominał sobie, żeby rozmawiał z Fjellvaerem w cztery oczy, odkąd przybył na wyspę, i nie miał zielonego pojęcia, czemu zawdzięcza jego odwiedziny. Ale ostatnio los rozpieszczał go niespodziankami i wkrótce z pewnością powód wizyty wyjdzie na jaw.

Ekspres kaszlnął i zakończył pracę. Mads nalał kawy gościowi, a napełniając swoją

filizankę, spostrzegł, że ten poczęstował się zarówno śmietanką, jak i dwiema łyżeczkami cukru.

– Z kim grasz w sobotnim półfinale?

– Z Viggiem Helgebostadem – Fjellvaer uniósł wzrok znad filizanki. – To do niego należą domki rybackie w Tømmervice koło Kvenvaeru. Podobno w piwnicy urządził własny tor do gry w kręgle i ćwiczy aż do znudzenia.

– I tak nie może się z tobą równać.

Mads podniósł filizankę i upił łyk. Fjellvaer z zakłopotaniem poprawił się na rachitycznym krzeselku. Nagle splótł wielkie dłonie i spojrzał prosto na Madsa.

– Jestem ci winien przeprosiny – oznajmił.

Mads odstawił filizankę i oparł się w krzesło.

– Naprawdę?

– Muszę ci też podziękować.

– Ale za co?

Fjellvaer odrzucił do tyłu głowę i uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd wszedł do mieszkania.

– Przy ostatnim rzucie spudłowałeś o włos, ale obaj dobrze wiemy, że ta kula nie miała trafić. Mogłeś mnie pobić, ale pozwoliłeś mi wygrać. Może z dobroci serca, a może z innego powodu. Tak czy owak dziękuję, ale tegoroczne zwycięstwo nie będzie tak słodkie, jak rok temu.

Szef ekipy ratowników cofnął ręce. Mads wrócił pamięcią do ostatniego rzutu w ćwierćfinale i na jego ustach pojawił się uśmiech. Na śmierć zapomniał o turnieju gry w kręgle. W ostatnim czasie za dużo się wydarzyło.

– Przepraszam – odparł – ale...

– Jak już mówiłem, to ja jestem ci winien przeprosiny.

Fjellvaer uniósł filizankę i wlał sobie zawartość do ust. Przełknął i szorstko chrząknął. Mads rozłożył ręce.

– Nie rozumiem, dlaczego.

– Więc jeszcze się nie domyśliłeś?

– Nie domyśliłem się? Czego?

Fjellvaer odsunął filizankę i oparł się łokciami o stół. Pochylił się i zmarszczył wypukłe, bezwłose czoło.

– Wyniki ostatnich dwóch walk, dzięki którym dostałeś się do ćwierćfinału, były ustawione. Zapłaciłem twoim przeciwnikom za przegraną. Ivara Skogena udało ci się wprawdzie pokonać samemu, ale...

– Co ci strzeliło do głowy?

Mads musiał się roześmiać.

– To ja zgłosiłem cię do turnieju. Pewnego wieczora w Betlejem, podsłuchałem Anwara, kiedy rozmawiał z tobą przez telefon i pomyślałem, że wreszcie mam szansę porządnie skopać ci tyłek na oczach Bryndis.

– Bryndis? – prychnął Mads. – A co ona ma z tym wspólnego?

– Wszystko. Odkąd przyjechałeś na wyspę, zrobiła się niemożliwa. Próbowałem przekonać ją na wszelkie sposoby, żeby się do mnie wprowadziła, ale jedyne, co do tej pory udało mi się z niej wyciągnąć, to jakieś zdawkowe półsłówka.

Fjellvaer z westchnieniem odchylił się na krzesło. Jego spojrzenie powędrowało w stronę okna i pojawiła się w nim uraza.

– Ona woli ciebie, Mads. Sądziłem, że cię dobiję, a ty wyświadczyłeś mi przysługę. Należy ci się za to szacunek. Dlatego chcę, żebyś wiedział, że nie zamierzam stawać wam na drodze.

Mads objął głowę rękami. Bryndis. Nic na to nie mógł poradzić, ale opowieść Fjellvaera sprawiła, że zrobiło mu się ciepło na sercu. Było już jednak za późno. Zdecydowanie za późno.

– Nie zostanę na wyspie – oznajmił, unosząc wzrok. – Wyjadę, kiedy tylko Forsnes mi na to pozwoli.

Szef zespołu karetki przeniósł na niego wzrok.

– Mówisz o sprawie z tą całą Schönfelt?

Mads przytaknął. Fjellvaer wydał wściekły pomruk.

– Od tej panny z daleka czuć było kłopoty. Charlotte trochę mnie już zorientowała, jak się mają sprawy. Tylko powiedz, jeśli będę mógł ci w czymś pomóc.

Mads siedział, obracając filiżankę w palcach. Zdążył już zauważyć radiotelefon wiszący u pasa Fjellvaera.

– Jesteś na dyżurze?

– W drugim wozie, tak. Który, jak wiesz, głównie stoi w garażu – na jego ustach rozlał się uśmiech. – Podrzucić się gdzieś? O to chodzi?

Åge Fjellvaer wycofał karetkę z podjazdu i wóz potoczył się drogą. Na skrzyżowaniu koło straży pożarnej skręcili w lewo przed budynkiem przedszkola i ruszyli dalej przez teren osiedli nazwanych Fillan 1 i Fillan 2. Jadąc, Fjellvaer sięgnął po telefon i zadzwonił do współpracownika.

– Wybieram się do Ulvan... Do fabryki Strømfjordu... Tak, wiem, że to kawałek, ale jeśli trzeba będzie gdzieś skoczyć, to zjawię się w dziesięć minut... Tak, dosłownie dziesięć.

Zarechotał i rozłączył się. Dotarli już do szosy: Fjellvaer zahamował i poczekał, aż przejedzie inny samochód, po czym skręcił na północny zachód.

– Nad czymś się zastanawiam – rzekł Mads, zerkając z ukosa na kierowcę. – Czy Centrala Ratownictwa Medycznego nie ma stałej kontroli nad tym, gdzie w danej chwili znajdują się ambulanse?

Fjellvaer powoli skinął głową.

– Owszem.

– W takim razie będzie draka, jeśli pojedziemy do Ulvan. Powinieneś trzymać się okolic Fillan, prawda?

– Według monitora CRM-u w Orkdału nadal stoimy w garażu.

– Co?

– Ten wóz wyposażony jest w odbiornik GPS połączony z komputerem opartym na systemie Windows. Wystarczyło zatrudnić maniaka komputerowego z Kvenvaeru, który znalazł sposób na to, by GPS łączył się z anteną stacjonarną w naszej centrali. Nie było przy tym dużo zachodu.

Fjellvaer poklepał pokrywkę na ścianie za sobą.

– Ale dlaczego to takie ważne, żeby CRM nie wiedział, gdzie jest druga karetka?

– Skoro goście z CRM-u sądzą, że stoimy w garażu, to możemy jeździć wozem numer dwa, gdzie nam się żywnie podoba. Wszystko zaczęło się od zleceń ze strony Caroliussena. Miał zwyczaj jeździć do pacjentów nawet, kiedy nie był na dyżurze. Chciał, żebyśmy podrzucali go tu i tam, a ponieważ takie wyjazdy były dla nas w najwyższym stopniu nieoficjalne, musieliśmy znaleźć sposób, żeby odbywać je po kryjomu. Przy każdej wizycie Caroliussen ściągał opłatę z ubezpieczenia zdrowotnego pacjenta. Wpisywał po prostu na rachunku inną datę, która zgadzała się z terminarzem jego dyżurów. My robiliśmy to samo z naszymi rachunkami. A im częściej jeździmy, tym więcej pieniędzy wpływa na nasze konto ze strony Regionalnego Centrum Opieki Zdrowotnej. Możesz to nazwać szwindlem, ale nie używałem tych środków na własne potrzeby. Pochłania je budżet. Dzięki nim mogłem też trzymać na dystans Falcka i inne duże firmy transportowe w przetargu, który odbywa się co cztery lata.

– Bo twoja oferta była zawsze najtańsza?

– Jak dotąd tak.

Fjellvaer skręcił z szosy w prawo. W nagłym przeblasku Mads przypomniał sobie ostatni raz, kiedy skręcili karetką w tym miejscu. To wtedy kurczowo wczepił się w radiotelefon, w rezultacie wciskając guzik alarmowy.

– Dlaczego chcesz się spotkać z Markiem Bukowskim? – odezwał się kierowca. – Czy to ma związek z kłopotami, w które się wpakowałeś?

Mads przyglądał się krajobrazowi za szybą. Tego ranka niebo nad wyspą przypominało szarą pokrywę. Ten widok mógł przyprawić człowieka o klaustrofobię.

– Muszę po prostu o czymś z nim porozmawiać. Nie potrwa to długo.

– Tak czy inaczej na twoim miejscu byłbym ostrożny. Marek Bukowski to nieobliczalny

facet. I jest zamieszany w dużo afer na Hitrze.

– Jakich?

– Wiem, że jest członkiem bandy, która potajemnie poluje na jelenie. Podejrzewa się go też o kilka włamań do dach w południowej części wyspy, chociaż nigdy mu tego nie udowodniono. Ma za to na swoim koncie wiele wyroków za przemoc. Z tego, co się orientuję, ostatnio karano go też za przemyt narkotyków.

Mads przypomniał sobie rudą dziewczynę, która była u niego w gabinecie. Słyszał od niej to samo.

– Myślisz, że sam je przemyca?

– Sam wiesz, ile ciężarówek wyjeżdża z wyspy i wjeżdża na nią każdej doby. Jeśli doliczysz te, które jadą na Frøye, będzie ich ze sto. Komendant ma teorię, że niektóre z nich przywożą kolejne partie prosto z Europy Wschodniej. Towar jest tani, tym bardziej że rezygnuje się z pośredników w mieście, a w tych stronach dość jest klientów. Pracownicy sezonowi ciężko harują i potrzebują czegoś, by wytrzymać dzień za dniem.

– Jeśli Forsnes wie, co przewożą ciężarówki, to dlaczego nie próbuje ich zatrzymać?

– Jak już wspominałem, każdej doby przez punkt poboru opłat w Sandstadzie przewija się ich ponad sto. Wydaje mi się, że Forsnes skupił się dotąd na łapaniu dilerów, ale na sukces trzeba jeszcze zacząć.

Fjellvaer dodał gazu na moście nad cieśniną Krabbsundet. Most prężył się w stronę nieba, a z jego wierzchołka roztaczał się widok na cały Fillfjorden. Mads czuł się, jakby oderwał się od ziemi.

Przypomniał sobie, jak Fjellvaer powiedział do słuchawki, że wystarczy mu dziesięć minut na powrót do Fillan. Oznaczało to, że będzie musiał szybko jechać. Dziesięć minut zajął im sam dojazd tutaj – a wciąż mieli przed sobą Kuøye, musieli przejechać przez Fjellvaerøye, nad cieśniną Knarrlagsundet i dalej aż na skraj Ulvøi.

Na Fjellvaerøi nie mijali wielu samochodów, ale przed wąskim mostem nad cieśniną Knarrlagsundet musieli się zatrzymać i przepuścić jadącą z przeciwka ciężarówkę. Z pewnością wyjechała z ubojni łososi, do której zmierzali.

– Znam Randi, która siedzi w recepcji. Tym, kto może wejść na teren zakładu, rządzą surowe reguły, ale jeśli poczekaś na zewnątrz, załatwię ci przepustkę.

Ciężarówka minęła ich z łoskotem: Fjellvaer wjechał na most. Mads przycisnął czoło do szyby i poczuł, że się denerwuje. Być może działał na oślep, ale nie wydawało mu się, żeby mógł pominąć ten krok. Jeśli Theodor Strøm rzeczywiście był ojcem Marka Bukowskiego, to chłopak mógł udzielić mu nowych informacji, a może nawet potwierdzić któreś z wydarzeń. Z drugiej strony, jak powiedział Fjellvaer, Bukowski był nieobliczalnym typem. Mads ani myślał popełniać znów ten sam błąd i spotkać się z nim w pojedynkę. Czuł się pewniej, mając Fjellvaera u boku.

Dotarli do pętli nad wodą. Jedna droga prowadziła stąd brzegiem do przystani. Druga wiała się w górę zbocza za pudełkowatym, szarym budynkiem, w którym musiała się mieścić ubojnia łososi. Fjellvaer skierował się właśnie na nią i wkrótce stanęli na parkingu.

– Zaczekaj tu!

Zeskoczył z fotela kierowcy i zatrzasnął drzwi. Mads został w karetce. Wbił wzrok w lusterko boczne. Za ambulansem stał czerwony samochód. Widział podobne auto w drodze na Fillheię w dniu pożaru. Przełknął ślinę. Nagła myśl wpadła mu do głowy. Tej nocy, kiedy doszło do bijatyki w przychodni, również stał przed nią czerwony wóz. Mads wziął oddech i próbował się uspokoić. Zwykły zbieg okoliczności czy też przyglądał się temu samemu autu? Do kogo należało? Czyżby do Marka Bukowskiego?

Otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Wiał chłodny wiatr. Parking łączył się ze

szklanym wejściem do budynku za pomocą mostu. Mads zbliżył się do czerwonego samochodu i przystanął, wpatrując się w niego. Było to BMW, wprawdzie starszy model, ale w dobrym stanie. To właśnie ten wóz mógł widzieć na Fillhei. Nie miał jednak pewności. Usłyszał trzask drzwi i z budynku długimi krokami wyszedł Åge Fjellvaer. Przykładał radiotelefon do ust i coś do niego mamrotał. Kiedy spostrzegł Madsa, wskazał ambulans.

– Muszę jechać do Fillan.

– Wezwali cię?

– Randi przyjdzie za parę minut. Wrócisz sam?

Mads skinął głową. Westchnął ciężko, odprowadzając wzrokiem szefa zespołu karetki przez parking. I tak oto stracił posiłki. Ambulans zawrócił na placu. Fjellvaer zatrąbił dwa razy, dodając gazu, po czym karetka wystrzeliła naprzód. Miał dziesięć minut na dojazd do Fillan. Najgorsze było, że zdąży.

Niedługo później przed budynek wyszła dwudziestokilkuletnia dziewczyna. Mads nie przypominał sobie jej twarzy, a sposób, w jaki się do niego uśmiechnęła, wskazywał, że ona też go nie zna. Nie przeszkadzało mu to. Kiedy się przywitani, stanęła, rozglądając się bacznie.

– Już pojechał? – spytała.

Trudno było zignorować zawód w jej głosie.

– Śpieszyło mu się – odparł Mads.

Uśmiechnęła się bez entuzjazmu i zapięła guzik wiatrówki pod szyją.

– Chciał pan porozmawiać z Markiem, prawda?

Przytaknął.

– Proszę za mną – powiedziała i minęła go.

– Jedna sprawa – Mads wskazał czerwone BMW. – Wie pani, czyj to wóz?

Dziewczyna przystanęła i zapatrzyła się na samochód, przekrzywiając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Zdaje się, że Marka – odrzekła i wskazała w głąb parkingu. – Musimy zejść tędy.

Ruszyli w dół z boczka przy budynku i dotarli na przystań. Przed nimi ciągnął się pomost prowadzący na coś w rodzaju pływającej platformy. Pośrodku niej, jeden za drugim, znajdowały się dwa kwadratowe sadze. Przy pomoście cumowała łódź, mierząca siedemdziesiąt, osiemdziesiąt stóp, zwrócona do niego dziobem, obok zaś stała postać, która obsługiwała metalowy wysięgnik, wystający z boku łodzi i zanurzony w sadzu.

– To drebel – wyjaśniła dziewczyna. – Przy pływa tu kilka razy dziennie, przywoząc gotowe do uboju łososie. Trafiają do sadzów tymczasowych, które pan tu widzi. A tędy z kolei... – wskazała rurę ciągnącą się wzdłuż pomostu, w górę po rusztowaniu, by wnikać w ścianę fabryki – tędy przesyła się ryby na ubój.

Przytaknął, udając, że z zainteresowaniem przysłuchuje się przewodnicze, ale tak naprawdę całą uwagę poświęcał próbie zebrania myśli. Czy to Marek Bukowski podpalił dom lekarza? Niewykluczone. Zdaniem Fjellvaera Bukowski zrobiłby wiele dla pieniędzy. Miał też powody do zemsty na Caroliussenie: Stary Doktor zabił jego ojca. Ale czy Bukowski o tym wiedział? Mads zacisnął pięści. Wszystko było możliwe. Niedobrze, że Åge Fjellvaer odjechał.

Zbliżyli się do pomostu połączonego z pływającą platformą. To Bukowski stał przy sadzu. Dziewczyna pomachała do niego, ale był do nich zwrócony plecami i nie mógł ich widzieć.

– Zanim pan do niego podejdzie, musi pan włożyć kamizelkę. O wszystkim tutaj decydują przepisy, rozumie pan.

Wskazała czerwoną budkę na prawo. Mads się rozejrzył. Ani na przystani, ani też na pokładzie łodzi nie było nikogo. Dziewczyna podeszła do drzwi budki i je otworzyła. Mads

wszedł za nią do środka. Wewnątrz pachniało starą kawą. Przy ścianie stała kanapa. Pod sufitem zawieszono dwa ekrany, na których można było obserwować, jak apatyczne ryby przesuwają się rynną.

– Proszę przymierzyć!

Mads odwrócił się i zobaczył, że dziewczyna wychodzi z pomieszczenia na tyłach budki. W rękach trzymała kamizelkę ochronną. Wziął ją i wciągnął na barki. Pasowała.

– Muszę pana odprowadzić – powiedziała z zakłopotaną miną. – Takie są przepisy.

Znów przytaknął, ujął paski, które należało ściągnąć w talii i zapiął plastikową klamrę na brzuchu. Odpowiadało mu, że ktoś go odprowadzi. Nawet dziewczyna.

– A zresztą... – wahała się długą chwilę. Nagle klepnęła go w bok i odwróciła się do drzwi. – Sam pan sobie poradzi. Proszę pamiętać, żeby zgłosić się do mnie, zanim pan wyjdzie z zakładu!

Uśmiechnęła się szeroko i wyszła, zanim zdążył odpowiedzieć. Przez kilka sekund stał, gapiąc się na ekrany wiszące pod sufitem. Łososie przepływały rurą, nie stawiając najmniejszego oporu. Nie musiał tego robić. Jeszcze mógł się wycofać, nie było za późno. Zerknął na drzwi. Potem wziął oddech i wyszedł.

Kiedy skręcił na pomost i minął pierwszy sadz, Marek Bukowski nadal stał zwrócony do niego plecami. W pierwszym pojemniku było pusto. Wisiała nad nim drobna siatka i tylko jej środkowa część znajdowała się pod wodą. Natomiast w dalszym sadzu sieć nadal była zanurzona, a po powierzchni prześlizgiwały się łososie. Wysięgnik drebla wisiał w powietrzu kilka metrów nad sadzem. Najwyraźniej nie zamierzano już przetransportować więcej ryb.

Stopy Madsa zadźwięczały o metal. Idąc, czuł, jak pomost ugina się pod nim. Mrużąc oczy, przyglądał się Bukowskiemu, który stał przed panelem kontrolnym. Właśnie odsunął się o krok i ze złością kopnął w poręcz pod panelem. Mads stanął. Bukowski musiał go usłyszeć, a mimo to się nie odwrócił.

– Marek Bukowski?

Potężne ciało drgnęło. Robotnik zerknął przez ramię, po czym odwrócił się znów do panelu. Ruszył przełącznikiem, obejrzał się na sadz, jęknął krótko i cofnął dźwignię do poprzedniego położenia.

– Czego chcesz?

– Poznajesz mnie?

– Poznaje. Ale nadal nie wiem, czego chcesz.

Zaklął pod nosem, po czym zdecydowanym krokiem minął Madsa i podszedł do barierki otaczającej sadz. Uklęknął i otworzył klapkę w pomoście.

– Chodzi o twojego ojca.

Bukowski przerwał to, czym się zajmował.

– Nikt nie wie, gdzie go posiało.

Wstał i podszedł o krok. Mads nie ruszył się z miejsca, chociaż nie podobało mu się, że tamten tak się do niego zbliżył.

– Wiem, że twoim ojcem był Theodor Strøm. Wiem także, że go zamordowano, i zastanawiam się, czy ty również zdajesz sobie z tego sprawę.

Bukowski zaczął sapać. Mads czuł jego oddech na czole. Nagle ucichł, a wargi rozsunęły mu się w szyderczym uśmiechu.

– Co za bzdury!

Bukowski wciąż się w niego wpatrywał. Mads nie odwracał spojrzenia. Jakże brakowało mu teraz Fjellvaera!

– To, że Strøm był twoim ojcem czy że go zamordowano?

– Mam robotę do wykonania i nie prosilem, żebyś tu przychodził, więc spieprzaj stąd, póki możesz!

Robotnik odwrócił się i wrócił do panelu kontrolnego. Poruszył tym samym przełącznikiem, co wcześniej: maszyna zabrzęczała. Kątem oka Mads zauważył ruch i zwrócił się do sadzu. Przytwierdzone do sieci sznury zaczęły się napinać. Woda rozpryskiwała się na boki, gdy łososi wyciągnięto na powierzchnię.

– To Caroliussen zabił Theodora Strøma – ciągnął Mads. – Naszpikował go digitoksyną, środkiem, który miał mu pomóc na arytmie, ale zamiast tego wywołał u niego rozkojarzenie i zaniki pamięci. Caroliussen chciał wmówić Strømowi, że ma początki demencji. Myślę, że znasz resztę historii.

Brzęczenie umilkło. Bukowski odsunął rękę od panelu i zagapił się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem.

– Wiem, że jesteś jego synem. Caroliussen napisał to w karcie twojej babci. Ale jego notatki przepadły wraz z resztą teczek w pożarze.

Mads zadygotał, gdy Bukowski rzucił się w jego stronę. Próbował się zasłonić, widząc pędzącą ku niemu rękę, ale nie zdążył. Poczul uścisk na szyi i poleciał do tyłu. Mads cofnął się niezdarnie i uderzył łędźwiami o barierkę. Walczył o powietrze. Górna połowa ciała zawisła nad pustką.

– Ty pieprzony kutasie! Jak śmiesz tu przychodzić!

Uścisk się wzmógł. Mads próbował złapać oddech, ale nacisk na gardło okazał się za mocny. Jego wzrok błędził nad okolicą. Za sobą widział rzucające się, otwierające pyszczki ryby. Sięgnął do szyi. Wielkich łapsk nie dało się oderwać. Bukowski znów coś krzyknął, ale Mads słyszał tylko plusk wody za plecami. Świat chwiał się w posadach. Musiał zaczerpnąć powietrza, musiał wstać. Zacisnął prawą pięść i zamknął oczy, próbując zebrać siły. Uda mu się. Miał tylko jedną szansę. Napiął mięśnie w prawym ramieniu, po czym z całej siły wyrzucił rękę naprzód.

Uderzył w coś kostkami. Piorunujący ból przeszył jego nadgarstek, wędrując w stronę łokcia. Mads nabrał powietrza i zrozumiał, że chwyt na gardle się rozluźnił. Lewą ręką wymacał balustradę. Chwycił ją i podciągnął się do góry. Marek Bukowski osunął się przed nim na kolana, zakrywając twarz wielkimi łapami. Mads ciężko dyszał. Nadal kręciło mu się w głowie. Ustanie na nogach okazało się nagle piekielnie trudną sztuką. Postawił kilka chwiejnych kroków. Boże, co on narobił? Omiótł spojrzeniem przystań. Nie było tu żywego ducha. Musiał czym prędzej stąd odejść.

– HEEEL-MEER!

Za swoimi plecami usłyszał gruby głos Bukowskiego, ale się nie odwrócił. Zamiast tego skupił się na stawianiu nogi za nogą. Wracało mu poczucie równowagi. Stawiał coraz pewniejsze kroki. Ruszył biegiem, słyszał dudnienie swoich stóp o metal. Wskoczył na pomost i wielkimi susami popędził w stronę przystani. Biegając, zerknął za siebie i zobaczył, że Bukowski wciąż klęczy, a łososi rzucają się w sieci na powierzchni sadzu. Zatrzymał się, sięgnął do klamry kamizelki, zerwał ją z siebie i odrzucił, po czym pobiegł dalej w stronę wyjścia.

Wypadłszy na drogę, zwolnił i ruszył przed siebie długimi krokami. Serce łomotało mu w piersi. Oddech nie chciał się uspokoić. Po zbieczu przed nim zjechała ciężarówka. Kiedy go mijala, uderzył w niego podmuch. Mads szedł dalej, nie unosząc wzroku. Jak mógł uwierzyć, że uda mu się dogadać z takim typem, jak Marek Bukowski? Tak czy inaczej powinien był lepiej przygotować się do spotkania. A ten cios mógł okazać się fatalny w skutkach. Jeśli Ove Forsnes dowie się o jego dzisiejszej wizycie w ubojni, to sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót.

Zatrzymał się na poboczu i odetchnął. Na drodze nie było widać żadnych samochodów. No jasne, przecież to ślepy zaułek. Nie mógł jednak pójść stąd pieszo do Fillan, bo zajęłoby mu

to pół dnia. Wyjął komórkę i wyszukał na liście numer Roara Pettersena. Już miał nawiązać połączenie, gdy spostrzegł, że symbol w lewym górnym rogu ekranu pokazuje brak zasięgu. Zaklął, wybrał numer tylko na próbę, ale nie udało mu się połączyć.

– Niech to szlag – rzucił na głos i włożył telefon z powrotem do kieszeni.

Spojrzał w górę drogi. Jakies sto metrów dalej stał biały dom. Na podjeździe nie parkował wprawdzie samochód, ale warto było spróbować. Ruszył naprzód, czując, że zaczyna się uspokajać. Bukowski nie skontaktuje się z Ovem Forsnesem. A przynajmniej było to bardzo mało prawdopodobne. Jeśli już ktoś miał zgłosić bójkę na komendę, to musiałby to być ktoś z obsługi drebla lub któryś z pracowników zakładu. A może dziewczyna z recepcji. Wychodząc, nikogo jednak nie widział. Na przystani także nie było żywego ducha.

Obejrzał się, słysząc za sobą dźwięk silnika. Pod górę jechała ciężarówka. Mads zwolnił. Może kierowca zgodziłby się podrzucić go do Fillan? Najprawdopodobniej będzie tamtędy przejeżdżał. Odwrócił się i wyciągnął rękę, żeby zatrzymać ciężarówkę. Ta podjechała bliżej w szybkim tempie. Uderzyła go nagła myśl. Był to ten sam wóz, który mijał go zaledwie przed chwilą. Cofnął rękę i znów ruszył przed siebie, a jego spojrzenie przesunęło się po okolicy. Nadal nikogo w polu widzenia. Odwrócił się do ciężarówki, która z łoskotem jechała po zboczu. Coś tu się nie zgadzało. Rzucił się biegiem, ignorując klucie serca. Co się działo? Czyżby Marek Bukowski puścił się za nim w pogoń? Mads pośliznął się na drodze. Stracił równowagę, lewym kolanem uderzył o ziemię, ale znów podniósł się na nogi. Warkot silnika przybrał na sile. Obejrzał się, tylko po to, żeby zobaczyć, że ciężarówka przetacza się obok niego. Zwolnił kroku i widział, jak zapalają się krwistoczerwone światła hamulcowe. Układ hydrauliczny westchnął, gdy wóz stanął na środku drogi, ale silnik nadal pracował na luzie.

Mads bezradnie obejrzał się za siebie. Poza nim nie było tu nikogo. Otworzyły się drzwi i ktoś zeskoczył na jezdnię z siedzenia pasażera. Mads natychmiast rozpoznał tę postać. Marek Bukowski. Przez moment rozważał, czy nie pobiec z powrotem do zakładu, kiedy usłyszał, że trzasnęły kolejne drzwi. Z fotela po drugiej stronie powoli zsiadł mocno zbudowany mężczyzna. To musiał być kierowca. Mads poczuł, że jego serce puszcza się w galop. Wiedział, że powinien uciekać, ale nie był w stanie się ruszyć. Po prostu stał w miejscu, dysząc. Bukowski zbliżył się do niego spokojnym krokiem, tak jakby miał nieskończenie wiele czasu do dyspozycji. Wokół jego lewego oka Mads zauważył silną opuchliznę. Będzie wielki siniak. Bez dwóch zdań.

Ni stąd, ni zowąd, Bukowski się zatrzymał. Muskularny kierowca poszedł w jego ślady. Jakie miał możliwości? Dwóch na jednego. Przeciwno takim facetom był bez szans.

– Nie powiedziałaś, po co przyszedłeś – odezwał się Bukowski spokojnie.

– Posłuchaj... – zaczął Mads, ale głos mu się załamał.

Zerknął na mocno zbudowanego kierowcę, na którego ustach wykwitł błogi uśmieszek, po czym przeniósł spojrzenie z powrotem na Bukowskiego. Ten przekrzywił na bok dużą głowę.

– Wyluzuj! – powiedział, wyciągając do Madsa prawą rękę. – Jesteśmy kwita. Zgoda?

Na jego mięsistych wargach powoli rozlał się szeroki uśmiech. Mads spojrzał na wyciągniętą rękę i poczuł, że wielki kamień spada mu z serca. Trząsł się, podając Bukowskiemu dłoń.

– Pewnie – wyszeptał.

– Theodor Strøm...

Marek Bukowski oparł głowę o zagłówek i zapatrzył się w dal. Polski kierowca ciężarówki zostawił ich w kabinie i poszedł na kawę do stołówki w zakładzie. Mads już od kwadransa opowiadał, co wie. Nie widział powodu, żeby coś zataić. Nie miał nic do stracenia, a Bukowski okazał się cierpliwym słuchaczem. Siedział całkiem cicho, nie próbując przerywać opowieści.

– Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie, ale nie mam powodów, żeby cię okłamywać.

– Nie sądzę, żebyś kłamał – odparł Bukowski, marszcząc nos. – Tak naprawdę to sporo wyjaśnia.

Pochylił głowę i oparł ręce na kierownicy. Mads nie odezwał się, tylko obserwował zmiany na twarzy rozmówcy. Zdawało się, że w jego głowie rozgrywiają się setki scen.

– Myślałem, że zadaje się z moją babką... że to dlatego tak często zaglądał do nas, do Akset.

– Czyli nikt dotąd ci tego nie sugerował?

Bukowski pokręcił głową.

– Nigdy nie chciałem słuchać, kiedy ktoś gadał o tym gościu, który podobno był moim ojcem. Wcześniej się nauczyłem, żeby dawać w mordę każdemu, kto zaczynał temat, aż w końcu do ludzi dotarło, że muszą trzymać gębę na kłódkę.

Palce zacisnęły się na kierownicy, usta zmieniły się w napiętą linię. Mads dotknął szyi. Wciąż wydawało mu się, że czuje ucisk po bójkę na przystani. To z pewnością słowa o ojcu sprawiły, że Bukowski skoczył mu do gardła.

– Muszę zastrzec, że Caroliussen mógł się mylić – zauważył.

– Rozumiem. Ale już ja się tego dowiem. Spokojnie!

Bukowski wyjrzał przez okno. W kabinie zaległa cisza. Mads czuł się skrajnie wyczerpany, ale nie uzyskał jeszcze informacji, po którą przyszedł. To teraz musiał zapytać o to, nad czym się głowił.

– Czy to ty podpaliłeś dom Caroliussena?

Bukowski obejrzał się nań z drwiącym uśmiechem.

– Tak sądzisz?

– Tylko pytam. Nic nie sądzę.

Bukowski prychnął.

– A po co miałbym to robić?

Wystarczyło powiedzieć mu to prosto w twarz. A jednak Mads czuł, że coś go blokuje. Wziął oddech i wyrzucił z siebie:

– Bo podobno jesteś typem, który dla pieniędzy gotów jest na wszystko. Jesteś dilerem i masz kilometrowe akta w policji. Wcale bym się nie dziwił, gdyby w twoim samochodzie znaleziono kanister benzyny.

Rysy Bukowskiego się napięły.

– Mówiłeś to komendantowi?

– Przecież wiesz, że nie dogadujemy się najlepiej. Poza tym według Forsnesa to ja jestem podpalaczem.

Bukowski znów prychnął. Uniósł się w fotelu i z tylnej kieszeni spodni wyciągnął paczkę marlboro. Do kącika jego ust trafił papieros. Podał pudełko Madsowi. Ten pokręcił głową i przyglądał się, jak rozmówca wyjmuje zapalniczkę i zapala papierosa. Bukowski zaciągnął się dwa razy i otworzył okno.

– Lubiłem Caroliussena. Wiedział, jak się ustawić, żeby wszystko szło po jego myśli, ale nie był tak stronnicy, jak wielu tutejszych. Dawał ludziom szansę... Mnie ją dał mimo wszystkiego, co nakombinowałem. Przez ostatnie lata pracowałem tu, w Ulvan, i próbowałem trochę się ogarnąć. Nie wiedziałem, w jaki sposób udało mi się dostać tę pracę już za pierwszym podejściem, ale teraz rozumiem. A Ove Forsnes ciągle zatruwa mi życie rewizjami i plotkami, które rozsiewa na mój temat. Nie może mi darować, że pewnego wieczora jego syn przedawkował u mnie w chacie.

Mads przypomniał sobie, co wyczytał z teczki Forsnesa w domu służbowym lekarza.

– Słyszałem o tym – powiedział.

– Może i tak, ale o tym, że prędzej czy później chłopak i tak marnie by skończył, to już pewnie nikt ci nie mówił. Był moim kumplem, a ja może i zachowałem się jak naiwniak, pozwalając mu się w to bawić, ale w żaden sposób go do tego nie zachęcałem. To nie moja wina, że umarł, jak twierdzi Forsnes.

– Ale z tego, co słyszałem, sprzedajesz narkotyki.

– Od czasu do czasu zdarzało mi się opylić trochę haszu, ale nikt nie ma odwagi przyznać, że to pracownicy sezonowi stanowią tu największy problem. Przyjeżdżają na Hitrę z zapasem towaru w walizkach, który wystarcza im na ponad pół roku. No, ale oni są zbyt cenni dla tutejszych zakładów i dopóki robią, co im się każe, to wszyscy są zadowoleni, prawda?

Mads przytaknął. Nie był pewien, czy wierzy we wszystko, co opowiada Bukowski, ale wyglądało na to, że nie kłamał w kwestii pożaru. To nie jego czerwony samochód Mads widział na Fillhei.

– Więc nie możesz mi wyjaśnić, dlaczego Caroliussen miałby chcieć otruć Theodora Strøma?

Bukowski zapatrzył się w deskę rozdzielczą. Przystawił papierosa do ust i się zaciągnął. Wydychając dym, długo pokręcił głową.

– To brzmi jak z amerykańskiego filmu. Nie mogę uwierzyć, że to prawda. Caroliussen nie był typem skłonny do szkodzić komuś z wyrachowania.

– W pełni się z tobą zgadzam. Musiał działać z kimś w zмовie.

– Z Caroliussena był odludek, ale...

– Co takiego?

Bukowski zerknął chytrze na Madsa.

– Skoro już mowa o amerykańskim filmie...

Znów zaciągnął się papierosem.

– To... co?

– Stary miał kochankę. A kochanki zwykle oznaczają kłopoty. Może warto sprawdzić w tym kierunku?

Mads się zdumiał.

– Orientujesz się, kim ona była?

– Nie, tego nie wiem. Ale Caroliussen korzystał z domku letniskowego mojej babki i wydaje mi się, że to tam widywał się z tą kobietą. Z tego, co zrozumiałem, spotykali się po kryjomu. Babka w każdym razie zawsze omijała ten temat.

Mads przypomniał sobie, co powiedział mu Anwar tego wieczora, gdy rozmawiali na tyłach kręgielni. Podobno Stary Doktor miał staw, w którym próbował hodować narybek. Przyjaciel nie wspominał wprawdzie o domku, ale z całą pewnością to właśnie o tym miejscu mówił teraz Bukowski.

– Skoro już mowa o twojej babci, to powinieneś ją odwiedzić.

– Tak, tak – głos Bukowskiego stał się drażliwy. – Ludzie zawsze wiedzą najlepiej, co

mam robić, a czego już nie.

– Umrze, zanim miną święta, ale wybór należy do ciebie. Nie osądzam cię, tylko mówię, jak jest.

Bukowski nagle wyszczerzył zęby.

– Powiedziałeś to zupełnie jak on.

– Kto?

– No, Caroliussen.

Mads westchnął. Słyszał to dotąd kilka razy. Sam już nie wiedział, czy traktować to jako komplement czy zniewagę.

– Gdzie się znajduje ten domek, o którym opowiadałeś?

– W górach za centrum Snillfjordu.

– Czyli na stałym lądzie.

Bukowski przytaknął.

– Dlaczego pytasz?

– Masz coś przeciwko, żebym się tam wybrał?

Pół godziny później Roar Pettersen zatrzymał się przed recepcją firmy Strømfjord. Mads okrążył auto i zobaczył, że drzwi od strony pasażera są otwarte. Czuł, że powinien przygotować się na monolog.

– Dziękuję, że pan przyjechał – powiedział, wsiadając do taksówki.

– Eeee tam – Pettersen kilka razy ochryple kaszlnął, po czym roześmiał się szorstko. – Siedziałem w domu, gapiąc się w ścianę. Jakoś nie mogę sobie znaleźć zajęcia, kiedy żona jest w pracy. Miałem pana podrzucić do Snillfjordu?

Mads przytaknął i pokazał mu mapkę autorstwa Marka Bukowskiego. Studiując rysunek, Pettersen kręcił nosem, aż trzęsły mu się wąsy.

– Pojedziemy na mój rachunek – oświadczył, wrzucając bieg.

– Mogę... – zaczął Mads, ale przerwała mu uniesiona ręka.

– Niiieeee – rzekł Pettersen. – Pomógł pan żonie, więc wyświadczę panu przysługę. To proste. Może pan za to pokryć opłaty drogowe. Siedemdziesiąt pięć w każdą stronę.

Mads musiał się uśmiechnąć.

– Owszem, mogę.

Pettersen zachłannie szarpał wąsy.

– No to w drogę!

Kiedy wyjechali z tunelu przy wysepce Hemnskjel, zaczęło się przejaśniać, a zanim skręcili przed pionowymi ścianami skalnymi wzdłuż Bustlisundet, słońce wyjrzało zza chmur, rozsiewając magiczne blaski na tafli wody, nad którą prowadziła trasa.

– Nastrój jak w Wielkanoc – stwierdził Pettersen po długim wywodzie na temat krótkowzroczności mieszkańców Snillfjordu, którzy nie zorientowali się jeszcze, że nowa trasa drogi krajowej 714 ominie ich centrum. – Ale niech mi pan lepiej powie, czego pan chce szukać w tej daczce.

Mads zerknął na rozmówcę.

– Ile panu wiadomo? – zapytał.

Pettersen wzruszył ramionami.

– No cóż, stał się pan tymczasem głównym tematem plotek. Nieczęsto zdarza się nam wielki pożar, zarzuty o włamanie i molestowanie seksualne, a w dodatku ocalenie niedoszłego topielca, wszystko zaś w ciągu tygodnia. Poza tym rozmawiałem z Charlotte.

Mads zachichotał cicho. Niespecjalnie o tym myślał, ale było jasne, że ludzie gadali. A Charlotte najwyraźniej rozwiązywał się język, kiedy ją ktoś zagadnął. I dobrze. Przynajmniej

dla niego.

– Marek Bukowski uważa, że Caroliussen miał kochankę...

– Myślałem, że to Charlotte.

– Nie, to inna kobieta. Zdaniem Bukowskiego spotykali się w domku letniskowym, którego Caroliussenowi użyczala Valentina Hjertås.

– Ciekawe – mruknął Pettersen.

– Poza tym myślę, że to tam wybierał się w dniu, kiedy wypadł z trasy. Nikt z nas nie rozumiał, dlaczego w niedzielny wieczór kierował się w głąb łądu.

– Coś w tym jest. Charlotte mówiła, że nie uważa pan tego za wypadek.

Mads wyjrzał przez okno. Pettersen skręcił przed pierwsze z pasma wzgórz. Dalszy odcinek drogi krajowej przypominał długi tor Rallycross.

– Nie wiem – odparł. – Mam jednak nadzieję to ustalić.

Jechali jeszcze pół godziny, nim dotarli na płaskowyż przed zjazdem na Kyrksaeterørę. Mads zerknął na mapę i udzielił Pettersenowi dalszych wskazówek. Wypatrzyli dróżkę odbijającą od szosy w górę stromego zbocza i skręcili w nią. Mads widział na jej nawierzchni ślady pługu śnieżnego. Ktoś najwyraźniej utrzymywał tutaj porządek. Przejechawszy jeszcze kilkaset metrów, dotarli do rozstaju, na którym zgodnie z instrukcją skręcili w lewo. Po krótkim czasie znaleźli się na równi, a dróżka skończyła się zatoczką parkingową.

– Musimy zostawić tu samochód – rzekł Mads.

Wysiedli. Słońce chyliło się już za horyzont. Mads podszedł do ścieżki, która ginęła między drzewami. To na pewno tędy szło się do dachy. Zwrócił się do Pettersena, który zdążył już wyjąć paczkę skrętów i marznąc, przestępował z nogi na nogę w skórzanych mokasynach.

– To nie dla mnie – rzekł, wskazując głową ścieżkę. – Innym razem obejrzę gniazdko miłości.

Mads przytaknął i wszedł na szlak. Miejsce leżało poniżej granicy drzew i rósł tutaj gęsty las. Po kilkuset metrach dotarł do polanki z widokiem na małe jezioro. Musiał to być staw rybny, o którym mówił Anwar. W każdym razie pasował do opisu. Poszedł dalej, dotarł do stóp pagórka i udał się ścieżką na jego szczyt. Na górze rzeczywiście stał niewielki domek z bali o konstrukcji wieńcowej, pokryty dachem z torfu. Mads zatrzymał się przed wejściem i obejrzał za siebie. Roztaczał się stąd ładny widok na jezioro, które Pettersen nazwał Våvatnet, ale poza tym dachy była dobrze ukryta. Zresztą, może nie było w tym nic dziwnego. Według Pettersena cały ten obszar leśny od ponad stu lat należał do rodziny Hjertås i wkrótce miał się stać własnością Marka Bukowskiego. Mads poszedł na tyły domku i zgodnie ze wskazówkami zajrzał pod okap. Na haczyku wisiał klucz. Zdjął go i wrócił przed wejście. Nie był pewien, co spodziewa się tutaj znaleźć, ale jeśli Stary Doktor korzystał z domku tak często, jak utrzymywał Marek, to musiał tu coś zostawić.

Otworzył drzwi i natychmiast poczuł zapach zielonego mydła. Znalazł włącznik tuż obok na ścianie i go nacisnął. Na świeżo umytej podłodze zaśniło światło. Wzdłuż ściany pod oknem wychodzącym przed budynek ciągnął się blat kuchenny. Nie było na nim ani okruszka. Na stole również było pusto. Także w salonie panował nieskazitelny porządek.

Mads zszedł buty i wszedł do środka; popchnął drzwi na prawo, które, jak się okazało, prowadziły do średniej wielkości sypialni. Stało tu łóżko małżeńskie. Przesząpił próg. Łoże było schludnie pościelone, a dwie kołdry przykrywała szydełkowa narzuta. Po obu stronach mebla znajdowały się stoliki nocne. Na jednym stał zegar, na drugim – na wpół wypalona świeca. Mads odwrócił się i wyszedł. Teraz otworzył drzwi do pomieszczenia, które mieściło się obok toalety. Było dłuższe i ciasniejsze. Przy jednej ścianie stało łóżko piętrowe, a pod wysokim, wąskim oknem – małe biurko. Mads podszedł do niego i zerknął na leżący na nim blok w linie, który

okazał się niezapisany. Obok, równolegle do grzbietu notatnika, leżał długopis. Przerzucił palcem kilka kartek. Pusto. Odsunął krzesło i pociągnął rączkę szuflady pośrodku biurka. Napotkał opór, ale w końcu udało mu się ją wysunąć. Wewnątrz leżał ołówek i nieużywana gumka, obok zaś egzemplarz kalendarzyka, który Norweskie Towarzystwo Lekarskie co roku rozsyłało do swoich członków. Było to tegoroczne wydanie. Mads podniósł kalendarz i otworzył go na przypadkowej dacie. Na stronach niczego nie zapisano. Dalej przewracał kartki i odkrył, że niektóre dni opatrzone krzyżykiem: znaki powtarzały się średnio raz lub dwa razy co dwa tygodnie. W te dni Stary Doktor planował tu pewnie przyjeżdżać. Mads próbował się skupić. Kiedy właściwie znalazł Caroliussena? To była niedziela. Zaczął liczyć. Dwudziesty piąty listopada. Prawie miesiąc temu. Przerzucił kartki aż dotarł do strony z tą datą. Ją również oznaczono krzyżykiem. Nie mylił się zatem: to tutaj wybierał się Stary Doktor. Prawdopodobnie miał się spotkać ze swoją sekretną kochanką. Ale kim ona była? I dlaczego w domku było tak czysto? Ktoś musiał zajrzeć tu przed nim.

Jeszcze raz skrupulatnie przeszukał domek. Zajrzał pod łóżka w sypialniach, wysunął wszystkie szuflady w kuchni i zerknął do szafek w łazience. Żadnego śladu po Aldusie Caroliussenie. Wyszedł na zewnątrz i zamknął drzwi na klucz. Słońce skryło się już na wpół za horyzontem. Musiał wrócić do auta, zanim zapadnie mrok. Udał się na tyły daczy i odwiesiwszy klucz, zaczął zstępować w dół. Coś mu się nie zgadzało. Stary Doktor łowił ryby w jezioru zarówno siecią, jak i wędką. Według Anwara miał tam też łódkę. W takim razie musiał trzymać gdzieś sprzęt. Mads dotarł na polankę przy stawie. Zatrzymał się i spojrzał na skuwający powierzchnię lód. Do brzegu było stąd dziesięć, piętnaście metrów, ale nie prowadziła tam żadna ścieżka. Postąpił naprzód i zapadł się w śnieg do połowy uda. Było tu głęboko. Znów zrobił krok, zapadł się i zatrzymał. Przypomniał sobie swój sen, w którym szedł za Starym Doktorem przez las. Brnął w nim przez śnieg zupełnie jak teraz – po czym natknął się na jednorogiego jelenia. Obejrzał się za siebie i wtem spostrzegł, że coś rusza się między drzewami.

– Pettersen? – zawołał.

Dźwignął się z jamy, w której ugrzązł, i wrócił na ścieżkę. Wyraźnie dostrzegł teraz przed sobą postać. Był to mężczyzna, który wyciągał coś przed siebie. Jakby trzonek.

– Kto tam? – odezwał się silny, męski głos.

– Halo – rzekł Mads i nagle zorientował się, że to nie jest żaden trzonek. To była strzelba, dubeltówka. Skierowana w niego. Zamarł. Zbliżał się do niego łysy sześćdziesięcioletek. Trudno było powiedzieć o nim coś więcej, bo kulił się za kolbą.

– Kim pan jest?

Mads podniósł obie ręce.

– Niech pan nie strzela!

– KIM PAN JEST?

– Nazywam się Mads Helmer i jestem...

Mężczyzna nagle uniósł głowę i przyjrzał mu się spode łba.

– To pan jest Mads Helmer?

Mads opuścił ramiona.

– Tak, to ja – odparł.

Nieznamy odchrząknął i powoli odsunął kolbę od barku. Uśmiechnął się przyjaźnie.

– W takim razie mam coś, co do pana należy. Pije pan kawę?

Roar Pettersen siedział naprzeciwko Madsa, głośno siorbiąc. Mads łypnął nań groźnie, chcąc by przestał, a tymczasem mężczyzna, który przedstawił się jako Rikard Åsheim, dolał mu kawy. Jego domek znajdował się zaledwie pięćset metrów od daczy, którą dysponował Stary Doktor. Od prowadzącej w górę dróżki odbijała w prawo wydeptana ścieżyna. Początkowo Mads

nie zwrócił na nią uwagi. Dom miał własny podjazd, na którym stał samochód. To pewnie tutaj prowadziła z dołu druga droga.

– Trochę już tu z żoną mieszkamy – podjął Åsheim, odstawiając dzbanek z kawą. – Dlatego umówiłem się ze starym Caroliussenem, że będę od czasu do czasu sprzątał w domku. A potem doszły mnie słuchy o tym strasznym wypadku, więc zebrałem jego rzeczy i chciałem skontaktować się z Valentiną Hjertås. Nie było to jednak takie proste, a do przychodni nigdy nie mogłem się dodzwonić – westchnął i potrząsnął głową. – Należymy do gminy Snillfjord, ale tutaj z opieką medyczną jest niewiele lepiej.

– Ale powiedział pan, że znaleźli państwo coś, co należy do mnie?

Mads zmusił się do podniesienia filiżanki i upicia łyku. Odkąd przyszli, Åsheim nie zrobił niczego, by poprzeć swoje twierdzenie jakimś dowodem. Okazał się nie najszybszym człowiekiem i nigdzie mu się nie spieszyło.

– Żona zaraz przyjdzie – Åsheim wskazał schody. – Caroliussen przechowywał trochę sprzętu w szopie nad wodą. W samym domku miał też nieco ubrań i parę innych rzeczy, no i to coś z pańskim nazwiskiem. To dlatego pana poznałem. Tak, proszę mi wybaczyć tę strzelbę, ale Caroliussen prosił mnie o wzmożoną czujność. Nie chciał, żeby ktoś tu węszył.

– Często odwiedzała go tutaj kobieta, prawda?

Pettersen gapił się na Åsheima ze źle skrywaną ciekawością.

– Tak, przychodziła tu czasem ładna pani. Najbardziej jednak pasjonował się łowieniem ryb. Nie wiem, czy wam wiadomo, ale...

– Tak – Mads skinął głową. – Słyszeliśmy o tym.

Wreszcie na schodach rozległy się kroki. Pojawiła się pani Åsheim z szerokim uśmiechem na ustach.

– Znaleźliśmy to tutaj.

Trzymała stos papierów niczym drogocenny klejnot. Kiedy podeszła bliżej, Mads odsunął się na krzesło. Położyła przed nim dokumenty, po czym schludnie wygładziła wierzchnią stronę, która okazała się okładką teczki. Czytając litery, pieczołowicie skreślone ręką Starego Doktora, Mads poczuł, że włosy stają mu dęba: „Mads Helmer, ur. 18.04.1976”.

Była to jego karta.

Część 5

– Myślałem, że wszystkim już opowiadałem tę historię.

Petter Flod przechylił się do tyłu ze śmiechem. Odsłonił przy tym zieloną koszulę chirurgiczną pod fartuchem lekarskim, co pozwoliło Madsowi zauważyć na jego brzuchu duże plamy krwi. Nic nie odpowiedział, jedynie poprawił się na zielonej kanapie. Przebył długą drogę na to spotkanie i nie musiał nigdzie się spieszyć. Poza tym z doświadczenia wiedział, że Flodowi poprawiał się humor, jeśli mógł opowiedzieć jedną z tych swoich historii. A skoro zamierzał ujawnić, czego się dowiedział, to dobry humor ordynatora miał szansę się przydać. Musiał spróbować elegancko zająć pozycję negocjacyjną.

– No, co z panem? Napad pan ma? – słysząc ostry głos Floda, Mads zmusił się do uśmiechu.

– Nie, po prostu czekam na pańską opowieść.

Wyprostował się na kanapie i przeniósł torbę z podłogi na kolana. Miał w niej swoją kartę. Kiedy zaczął ją czytać, nie wierzył własnym oczom. Nie dość, że Stary Doktor orientował się w jego przeszłości, to jeszcze znał wszystkie szczegóły sierpniowej operacji. Zadbał o to sam Petter Flod – i to właśnie czyniło z karty asa w rękawie Madsa.

Flod chrząknął i napuszył się w fotelu.

– Zaraz ją pan usłyszysz. Zaczęło się to w sześćdziesiątym trzecim. Na każdym zadupiu w kraju powstał piękny, nowy szpital. W Hortenie, Sandefjordzie, Flekkefjordzie... Boże drogi. Wyrastały jak grzyby po deszczu. Wkrótce jednak do ludzi zaczęło docierać, że gdzieś trzeba budować większe ośrodki i dlatego każde województwo miało dostać szpital na właściwą skalę. Któryś z lokalnych polityków doszedł do wniosku, że szpital wojewódzki w Akershus powinien powstać w Lørenskog. I mimo że działka liczyła ponad dziesięć hektarów, to zapadła decyzja, by budować wzwyż – Flod mlasnął z zadowoleniem. – Nadąża pan?

– Nadążam – przytaknął Mads.

– Zaczęły się prace budowlane. Tej zimy, kiedy zaczęto wylewać fundamenty bloku za nami, temperatura spadła grubo poniżej minus dwudziestu stopni. Takich zim właściwie już nie ma. Ściął silny mróz i robotnicy mieli problem, jak nie dopuścić do zamrożenia zaprawy. I wtedy jakiś sprytny skubaniec wpadł na świetny pomysł. Mogli przecież użyć wody z domieszką soli, żeby obniżyć punkt zamarzania. A co się panu kojarzy z solą w cemencie, panie Helmer?

Mads pozwolił, by pytanie przez kilka sekund zawisło w powietrzu, każąc Flodowi uwierzyć, że nie zna odpowiedzi. Kiedy już uśmiech ordynatora napełnił się wystarczającym samozadowoleniem, odparł:

– Zbrojenia korodują.

Flod wyglądał niemal na lekko przybitego. Skinał głową.

– Otóż to, panie Helmer. Zbrojenia korodują i budynek robi się niestabilny. Parę lat temu władze szpitala zleciły analizę techniczno-budowlaną bloku. I w rzeczy samej. Zbrojenia żelazne nie trzymały dobrze i powiadomiono zarząd, że budynek w najlepszym razie będzie bezpieczny do roku dwa tysiące piętnastego. Później nie można już niczego obiecać. Innymi słowy, trzeba było na gwałt zacząć budowę nowego szpitala – Flod poklepał się po brzuchu. Okręcił fotel tak, by móc spojrzeć na plac budowy. – Kolejny dowód na to, że służba zdrowia jest przegniła do szpiku. Na pewno nie opowiadałem panu tej historii wcześniej?

– Kiedy pan to mówi... – rzekł Mads. Wiedział, że powinien darować sobie komentarz, który miał na końcu języka, ale nie potrafił. Jeśli nastrój się pogorszy, to trudno. I tak nie mógł tego uniknąć. – Zdaje się, że pamiętam, jak podczas jednej z operacji powiedział mi pan, że nie

można ufać ludziom z solą w cemencie... – Flod ściągnął usta i wbił twardy wzrok w kanapę, ale Mads kontynuował: – Chyba chciał mi pan przez to powiedzieć, że epileptyk nie ma czego szukać na oddziale chirurgii.

Z placu budowy za oknem dobiegał warkot maszyn. Poza tym w pokoiku zapadła głucha cisza. Flod powoli wyprostował się w fotelu, jak drapieznik prężący się do ataku. Życzliwa mina zniknęła. Spojrzenie stało się twarde i nieprzystępne.

– Czego pan chce?

– Jestem tu, by porozmawiać o sierpniowej operacji.

– Niech pan lepiej idzie do psychiatry.

– Muszę po raz ostatni omówić z panem to, co się stało. Psychiatra mi w tym nie pomoże. Mogę panu za to obiecać, że jeśli poświęci mi pan swój czas, to już nigdy więcej nie będzie mnie pan musiał oglądać.

– Brzmi kusząco – Flod zaśmiał się ostro, z pogardą. Zsunął się niżej w fotelu i założył ręce za głowę. – Co chce pan wiedzieć?

Mads bawił się sprzączką przy pokrywie torby. Dziesiątki razy powtarzał sobie, co ma powiedzieć, ale teraz wszystko jakby wyparowało mu z głowy. Korciło go, żeby otworzyć torbę, cisnąć teczkę na stół i mieć to za sobą – wiedział jednak, że głupio byłoby przechodzić prosto do rzeczy. Ostatecznie zależało mu na negocjacjach. Wziął oddech i odłożył torbę obok siebie na kanapę. Potem spojrzał prosto na ordynatora.

– Zaczniemy od początku – rzekł, ignorując fakt, że Flod przewrócił oczami. –

Z pewnością pamięta pan okoliczności operacji. Poprzedniej nocy pełniłem dyżur z Rasmussenem. Przywieziono chłopca, którego potrącił samochód. Miał napięty brzuch, więc otworzyliśmy go, stwierdziliśmy uraz wątroby, którą opatrzyliśmy, po czym zamknęliśmy. Jednak poziom hemoglobiny wciąż spadał. Było jasne, że krwawienie nie ustało, więc znowu go otworzyliśmy i przyłożyliśmy więcej kompresów, chociaż na dobrą sprawę nie znaleźliśmy przekonującego źródła krwotoku. Kiedy skończyliśmy szyć, była trzecia w nocy.

Zaproponowałem tomografię klatki piersiowej, Rasmussen był jednak zmęczony i chciał się położyć. Powiedział, żebyśmy poczekali. Mimo to sam zleciłem tomografię i okazało się, że chłopiec ma ranę przepony, z której krwawił do klatki piersiowej. Wezwałem dyżurnego z kardiologii i pacjenta operowano o świcie. Tego ranka Rasmussen musiał zdać relację na porannym zebraniu, ponieważ przedłożył sen nad obowiązki. Wziął go pan w obronę i skrytykował fakt, że nie poinformowałem go o decyzjach, które podjąłem na własną rękę. Ale koledzy mnie poparli. Ich zdaniem wstawił się pan za Rasmussenem, bo jest pana bratankiem.

– To jest pańska pokręcona wersja tej historii, Helmer. I dobrze pan o tym wie!

– Myślę, że każdy na oddziale może poświadczyć tę część mojej relacji.

Flod wstał z fotela.

– Nie mam czasu na takie pitu-pitu. Kieruję oddziałem i...

– Proszę usiąść! – ordynator aż się wzdrygnął, gdy Mads skoczył na równe nogi i spojrzał mu prosto w oczy. – Jeśli pan nie siądzie, to do końca życia będzie pan tego żałował.

– Grozi mi pan?

Flod próbował się roześmiać, ale nie zabrzmiał przekonująco. Stał, kołysząc się, i wyglądało na to, że nie wie, co zrobić.

– Niech. Pan. Siada!

Tym razem Mads ściszył głos, ale ton nadal miał rozkazujący. Flod prychnął. Pokręcił głową, mamrocząc jakieś przekleństwa, po czym odwrócił się do fotela. Usiadł na samym brzegu.

– Ma pan pięć minut! Do rzeczy!

– Spokojnie. Będę się streszczał – rzekł Mads i uśmiechnął się na pozór uprzejmie. Znow

usiadł. Usiłował grać odprężonego. W rzeczywistości jednak serce łomotało mu w piersi. – Rzec w tym, że Rasmussen nabrał do mnie urazy. Poza tym nigdy za mną nie przepadał. Taki był punkt wyjścia operacji mojej sąsiadki.

Mads z opanowaniem wziął oddech. Na twarzy Floda nie drgnął żaden mięsień.

– Tego dnia na sali asystowała mi pielęgniarka operacyjna z ginekologii. A kiedy miałem wprowadzić skop, zorientowałem się, że do przebicia skóry przygotowała igłę Veresa, tę bowiem stosują tu ginekolodzy. Nigdy nie używałem takiej igły, sprowadziłem więc Rasmussena, żeby udzielił mi instrukcji. Stał obok, podczas gdy przebijałem skórę... – Mads zawahał się chwilę. Zauważył, że Flod przelknął ślinę, a jego spojrzenie stało się nieco bardziej szkliste. – Widział, że po wprowadzeniu igły przez nacięcie w pępku popłynęła krew. Sam ją spostrzegłem, było jej jednak tak mało, że nie potraktowałem tego poważnie. Rasmussen zrozumiał jednak, co zrobiłem. Ale przecież pan to wszystko wie?

Flod nagle wybuchnął śmiechem.

– Wiem? Panu się chyba w dupie poprzewracało, Helmer! Gdyby Rasmussen to zobaczył, zorientowałby się, że przebił pan ścianę większej tętnicy, może nawet aorty. Zrozumiałby, że doszło do dużego krwotoku, któremu należało zaradzić otwartą operacją.

– Wynika z tego, że Rasmussen byłby wówczas współwinni wykrwawienia się dziewczynki na stole operacyjnym.

Flod znów przelknął. Zdawało się, że twarz mu się zapadła. Wyglądał teraz na tego, kim w istocie był: zmęczonego sześćdziesięciolatka, który za dużo odbył w życiu dyżurów.

– Myślę, że dość już tej rozmowy, panie Helmer. Wynoś się pan!

Wskazał drzwi. Mads rozłożył ręce i zapadł się głębiej na kanapie.

– A już czysto hipotetycznie, gdyby po operacji Rasmussen zwierzył się panu, pan zaś kazałby mu trzymać gębę na kłódkę, to dopuściłby się pan przestępstwa, jakim jest zatuszowanie dość poważnego czynu. Czynu, który bądź co bądź spowodował śmierć pacjentki. Taki incydent w życiorysie niezbyt by się godził ze stanowiskiem ordynatora oddziału chirurgii, prawda?

Wtem Flod skoczył na równe nogi i złapał Madsa za kołnierz kurtki. Szarpnięciem poderwał go z miejsca.

– Won stąd, do kurwy nędzy!

Kropelki śliny trafiły Madsa w twarz; w tej samej chwili chwyt na kołnierzu się rozluźnił i poczuł, że się przewraca. Uderzył głową w drzwi za swoimi plecami. Pokoik zawirował mu przed oczami. Przekręcił się na bok i próbował zebrać myśli na tyle, żeby coś powiedzieć. Przed sobą, na podłodze, widział wysłużone chodaki Floda.

– Jeśli da mi pan moją torbę – wyszeptał zdyszany – to pójdę.

Wskazał palcem kanapę. Ordynator cofnął się o krok i cisnął torbę na ziemię. Mads uniósł ją i otrzepał ubranie. Jeszcze miesiąc temu ta scena by go przeraziła, teraz jednak czuł, że starcie całkowicie go uspokoiło. Tętno spadło do sześćdziesięciu uderzeń na minutę, oddychał bez trudu. Przyjrzał się Flodowi, który odzyskał swoją typową, nonszalancką postawę. Ordynator uśmiechnął się z pogardą.

– A teraz dotrzyma pan obietnicy i więcej tu pana nie zobaczę. Zgoda?

– Przyrzekam – odparł Mads, poprawiając kurtkę. – Ale jeśli dyrektor szpitala wezwie mnie na dywanik, żądając wyjaśnień, to powinien pan wiedzieć, że nie odmówię.

Flod prychnął.

– Spokojnie. Nie wezwie pana!

Mads otworzył torbę i wyjął z niej plastikową teczkę.

– Niech pan nie będzie tego taki pewien – rzekł, prezentując ją tak, żeby Flod mógł zobaczyć jej zawartość za przezroczystą okładką. – Ta karta pochodzi z piwnicy Aldusa

Caroliussena. Jest w niej wszystko na temat sierpniowego zajścia. Tak, Caroliussen opisał operację z zachowaniem najdrobniejszych szczegółów. Rozmowy telefoniczne, które pan z nim przeprowadził, odnotowano co do dnia i godziny. Rozumiem, że utrzymywaliście kontakt po pańskiej wpadce w szpitalu w Orkdalu trzydzieści lat temu.

Flod zrobił się trupioblady. Stał sztywno, nie reagując.

– No, co z panem, Flod? – uśmiechnął się Mads. Satisfakcja była większa, niż się spodziewał. A to dopiero początek. – Napad pan ma?

Wychodząc, zatrzymał się na parterze przy kiosku Narvesen. Podeszedł do automatu z kawą, z którego często kiedyś korzystał, i wziął tekturowy kubek. Na maszynie było wiele przycisków, przyporządkowanych rozmaitym „fałszywkom”. Zwykł je pić w okresie, kiedy tu pracował. Teraz w grę wchodziła tylko jedna opcja: zwyczajna kawa z ekspresu. Jak najczarniejsza.

Nacisnął właściwy guzik i zaczekał, aż kubek się napełni. To była ciężka godzina, ale Flod zrozumiał swoje położenie i ile ma do stracenia. Zawartość teczki wystarczyłaby, żeby wznowić postępowanie wyjaśniające w sprawie operacji Cecilii Lundkvist. Z pewnością zainteresowałaby się też policja. Doszłoby do skandalu, podjęto by kroki prawne. Mads przypomniał sobie milczącego Floda w fotelu, słuchającego ultimatum, które mu postawił. Jedynie zgadywał, że ordynator wiedział o konsekwencjach terapii Theodora Strøma. Ale okazało się, że miał rację. Caroliussen musiał otworzyć przed kimś serce, a jego wybór padł, rzecz jasna, na Floda. Zawarli przecież braterstwo krwi. Wiedzieli, że mogą na sobie polegać. Flod udzielił Caroliussenowi tej samej rady, którą usłyszał od niego, kiedy sam zawinił przy stole operacyjnym przed trzydziestoma laty: trzymaj język za zębami!

Mads znalazł plastikową pokrywkę na kubek, ale zastygł z nią w ręku, zamyślony. Musiał przyznać w duchu, że to, czego dowiedział się o otruciu Theodora Strøma, na swój sposób go rozczarowało. Caroliussen miał powiedzieć Flodowi, że sam uknuł plan. Wprawdzie nie rozwodził się nad motywem, ale ordynator domyślił się, że otrucie miało związek z finansowaniem doktoratu. Być może Theodor najzwyczajniej w świecie nie chciał udzielić projektowi poparcia, w związku z czym Stary Doktor postanowił się go pozbyć. Gabriel Strøm okazał się przecież chętniejszy do współpracy, a to z powodu umowy o patencie na gen. Posyłając jego brata na wcześniejszą emeryturę, Caroliussen nie musiałby martwić się o finanse jeszcze przez wiele lat. Zgadzało się to też z faktem, że przelew ze Strømfjordu wpłynął na konto Atlantydy w marcu, czyli już po śmierci Theodora Strøma.

Flod nie udzielił jednak Madsowi żadnych informacji, które mogłyby rzucić światło na włamanie do archiwum lub wypadek Caroliussena. Czyżby podejrzenia Line Schönfelt, że ktoś posłał jej ojca do grobu, były czystymi wymysłami? Musiała wiedzieć o tym, jak Stary Doktor poczynił sobie z Theodorem Strømem. Dom służbowy lekarza podpalono przecież dopiero, gdy Mads do niej zadzwonił i wspomniął o Strømie. Ale dlaczego prosiła go o pomoc? I co ją skłoniło do pokazania mu kartoteki?

Mads westchnął. Mógłby stać tutaj i głowić się w nieskończoność. Tak naprawdę nadszedł jednak najwyższy czas, żeby przekazać sprawę komuś, kto zawodowo parał się domysłami.

– Całe wieki tu pana nie było!

Mads uniósł wzrok. Odezwała się doń jedna z kobiet pracujących w kiosku Narvesen. Posłał jej uśmiech.

– Ma pani dobrą pamięć – powiedział.

– Kogo, jak kogo, ale pana bym nie zapomniała – szturchnęła go w bok. – Operował pan mojego bratanka. No, wie pan, z wyrostkiem.

Mads skinął głową. Chłopiec z zapaleniem wyrostka robaczkowego. W krótkim czasie, jaki tu spędził, miał całe mnóstwo pacjentów pasujących do powyższego opisu. Tak to już było. Nie dało się wszystkich spamiętać.

– Jak wam się tu wiedzie?

– Nam też szykuje się przeprowadzka! Ale z tego, co słyszałam, w nowym budynku będziemy mieli mniej miejsca. Zresztą nie tylko my. Czy to nie dziwne, że kiedy stawia się szpital, to zawsze okazuje się on za mały? Tak samo było z Rikshospitalet, prawda? Mam rozumieć, że wraca pan do nas?

Mads pokręcił głową.

– Nie, nie wracam.

Chwycił tekturowy kubek, który nadal stał na automacie do kawy, i ostrożnie nałożył pokrywkę.

– Widzę, że pije pan czarną. Nikt już tego nie robi.

– Staroświecki jestem, wie pani.

Kobieta obejrzała się przez ramię, po czym przysunęła się i szepnęła:

– To wszystko dla pana?

Przytaknął.

– To niech pan idzie. Będzie na mój rachunek. Tylko proszę do nas zajrzeć przy następnej wizycie!

Stał przed wysokim metalowym ogrodzeniem, oddzielającym ścieżkę od placu budowy i pił kawę. Obok przepływały taksówki i ludzie. Mimo późnej pory panował gorączkowy ruch. Wrócił myślami do okresu, w którym tu pracował, i próbował przywołać jakieś dobre wspomnienia. Skojarzył nazwiska paru kolegów, których lubił, kilku pielęgniarek i pacjentów, z którymi udało mu się nawiązać dobry kontakt. Nie był pewien, czy może powiedzieć, że mu się tu podobało. Sama chirurgia wydawała mu się fajnym zajęciem, ale chętnie odpuściłby sobie wszystko, co jej towarzyszyło. Mocne łokcie, konflikty, długie dyżury. Nie żeby teraz grało to jakąś rolę: właśnie pozbył się dokumentu, który mógł zapewnić mu na nowo posadę lekarza-asystenta.

Z początku Petter Flod nie chciał udać się na policję, żeby złożyć zeznanie w sprawie otrucia Theodora Strøma. Uległ jednak, zrozumiał, że w zamian za to dostanie oryginały z zapiskami Caroliussena na temat fatalnej operacji z sierpnia. Gdyby zaczęły krążyć kopie dokumentów, a Flod by się o tym dowiedział, mógłby odwołać zeznania, mówiąc o szantażu. W takim wypadku zaczęłyby się kolejny cyrk, który żadnemu z nich by się nie przysłużył. Jeśli jednak za pół roku sprawą niezależnie od Madsa zainteresowałby się dziennikarz, to Flod nie mógłby go o nic oskarżać. Stig Inge Løken z „Hitry-Frøi” okazał się bardziej niż chętny podjąć to wyzwanie, kiedy Mads rozmawiał z nim przez telefon. Løken miał ambicje, by kiedyś związać się z większą gazetą niż „Hitra-Frøya”, ta sprawa mogła zaś okazać się sensacją, której potrzebował, by zwiększyć swoją atrakcyjność. Jeśli coś emocjonowało ludzi, to z pewnością news o skandalu w środowisku lekarskim. Ale czas pokaże, czy Løkenowi uda się skłonić kogoś z Ahus do rozmowy.

Mads opróżnił kubek i podszedł do śmietnika, stojącego na rogu koło małej budki, gdzie sprzedawano kwiaty. Za nią widniała tablica, na której czerwonymi, elektronicznymi cyframi wyświetlono liczbę dni pozostałych do otwarcia nowego szpitala.

286 dni.

Mads stał, gapiąc się na cyfry. Nie ulegało wątpliwości: nie miał już ochoty tu pracować. Za wcześnie było jednak myśleć o przyszłości. Zerknął na zegarek. To jeszcze nie koniec sprawy, a on musiał zdążyć na samolot.

Siedzieli w pokoju o ścianach koloru mięty: Mads i Charlotte po jednej stronie stołu, Ove Forsnes zaś po drugiej. Chociaż kruche krzeselka nie zmieniły się od ostatniej wizyty Madsa, to siedziało mu się znacznie wygodniej niż wtedy. Nie było mu też duszno, mimo zasuniętych drzwi.

Forsnes niespokojnie bawił się skrajem teczki leżącej przed nim na stole. Mads nigdy jeszcze nie widział komendanta w równie mizernym nastroju. Kiedy słuchał opowieści, jego twarz wykręcała się w najrozmaitszych grymasach. Potem wyszedł z pokoju i zadzwonił na komendę w Lillestrøm, gdzie uzyskał potwierdzenie, że wstąpił tam Petter Flod i złożył zeznanie.

– Wygląda na to... – chrząknął. – Wygląda na to, że pańskie informacje mogą zmienić nasz pogląd na to, co się stało, tak.

Jego głowa aż podskoczyła, gdy Charlotte nagle walnęła pięścią w stół. Mads zachichotał pod nosem. Zdarzyło mu się już parę razy tego doświadczyć.

– „Wygląda na to, że pańskie informacje mogą zmienić nasz pogląd” – przedrzeźniała komendanta. – Oczekuję, że natychmiast wezwie pan Line Schönfelt na nowe przesłuchanie, żeby wyjaśniła, dlaczego kłamała na temat naszego lekarza rejonowego. To skandal!

Forsnes znów chrząknął.

– Owszem – odparł ostrożnym tonem – przyjrzymy się sprawie. Dotyczy to również udziału pani Schönfelt w pożarze domu służbowego lekarza.

– Świetnie!

Charlotte cofnęła się z zadowoleniem. Forsnes spojrzął na Madsa i postukał palcem w leżącą na stole teczkę.

– Charakter zebranych tu dokumentów potwierdza pańskie doniesienia na temat archiwum. Muszę też zauważyć, że jeśli zeznania ordynatora Floda okażą się wiarygodne, to oszczędzi nam to sporej części śledztwa. Liczę tu na pańską cierpliwość. Jesteśmy małą placówką i pewnie będziemy musieli prosić o wsparcie z zewnątrz.

Mads skinął głową.

– Jasne – odparł.

– Zanim skończymy spotkanie, chciałbym omówić z panem jeszcze jedną rzecz.

– A mianowicie...?

– Podsumowując dotychczasowe ustalenia: wygląda na to, że Aldus Caroliussen otrul Theodora Strøma lekiem o nazwie digitoksyna, ponieważ Strøm nie zgodził się współfinansować jego projektu badawczego. Podczas naszej ostatniej rozmowy twierdził pan natomiast, iż jest wysoce prawdopodobne, że Aldus Caroliussen nie zginął w zwykłym wypadku, ale ktoś przyczynił się do jego śmierci. Nie widzę, żeby najświeższe informacje w tej sprawie potwierdzały pańską teorię.

Forsnes wyprostował się, tak jakby chciał pokazać, że bynajmniej nie stracił całej godności.

– Tak, to tylko domysły.

– Ale podtrzymuje pan opinię, że nie był to wypadek?

Mads przyglądał się długo Forsnesowi.

– Nie ma znaczenia, co mi się wydaje, a co nie. To do pana należy dochodzenie w tej sprawie, a nie do mnie. Sam najchętniej zapomniałbym jak najszybciej o wszystkim, co ma jakikolwiek związek z Aldusem Caroliussenem i Line Schönfelt.

– A jeśli trzeba będzie wystawić ci opinię, to wystarczy zgłosić się do nas w przychodni.

Spojrzenie Charlotte znów się zaostriło. Forsnes skinął krótko głową.

– Zachowam to w pamięci – powiedział.

...

Kiedy wyszli z komendy rejonowej, nad centrum Fillan świeciło słońce. Bez słowa zeszli po rampie na parking. Dopiero gdy Mads stanął przy drodze i ruchem głowy zasygnalizował, że wraca do domu, Charlotte przerwała ciszę.

– Twoim zdaniem ktoś zepchnął Aldusa z drogi, prawda?

Mads wzruszył ramionami.

– Jak już mówiłem, to bez znaczenia. Nie do mnie należy śledztwo.

Uśmiechnął się.

– Dzięki, że ze mną przyszedłeś – dodał. – Chociaż, z drugiej strony, nie dałaś mi wyboru, czyż nie?

– Myślę, że ostatni miesiąc stanowi wystarczający dowód na to, że ktoś musi się tobą opiekować – poklepała go po policzku. – Dokąd idziesz? Chyba nie do domu?

– To jedna z zalet bezrobocia: móc wyjść w słoneczny dzień, taki jak dzisiaj, nie zaprzatając sobie głowy obowiązkami.

Charlotte wzięła go pod ramię.

– Najpierw masz spotkanie.

– Tak? – spytał, marszcząc brwi. – A z kim?

– Chodź ze mną, to się dowiesz – odparła i pociągnęła go w stronę centrum.

– I tak wygląda sytuacja – powiedziała Hilde Hernes, splatając palce na stole w stołówce.

Dziwnie było patrzeć, jak administratorka, mówiąc, siedzi bez ruchu. Jej ton również uległ zmianie. Mads niemal jej pożałował. Natomiast Jędzka siedziała obok z dobrze mu znaną, surową miną i rękami wygodnie założonymi na piersi. W krótkich słowach wyjaśniła Madsowi, że Kristian Kaspersen właśnie wyleciał z pracy, a jeszcze tego samego dnia zwolniła się jego żona. W ciągu jednego dnia liczba lekarzy zatrudnionych w przychodni na Hitrze z dwóch spadła do zera.

– Nieodparcie przypomina mi to sytuację sprzed miesiąca – rzekł Mads.

Zaśmiał się krótko, ale w odpowiedzi napotkał poważne spojrzenia Jędzki i Hernes.

– Uratowałeś nam wtedy skórę, dlatego liczyliśmy, że i tym razem możemy się do ciebie zwrócić – powiedziała Hernes. Wbijała wzrok w swoje ręce. – Wiem, że nie potraktowałyśmy cię najlepiej, i pragnę cię za to przeprosić. Teraz jednak wyspa cię potrzebuje i z tego, co się orientuję, tylko ty możesz nam pomóc. Chciałabym ci zaproponować posadę lekarza gminnego z wynagrodzeniem gwarantowanym, z którego, jak sądzę, byłbyś zadowolony... choć, rzecz jasna, jesteśmy otwarci na negocjacje.

– Nie ma mowy o wielu dyżurach – wtrąciła Jędzka. – Snillfjord, Frøya i Hitra zawarły wreszcie porozumienie o wspólnych dyżurach. Będzie na nich wprawdzie więcej do roboty, ale w twoim wypadku w grę wchodzi najwyżej raz w tygodniu, a w przyszłym roku, kiedy uda nam się tu ściągnąć lekarzy tymczasowych i stażystę, nawet rzadziej.

Mads siedział rozparty w krześle, przyglądając się rozmówczyniom. Obie przechyliły się nad stołem.

– Byłbyś zainteresowany?

Hernes wychyliła głowę, tak jakby chciała przyspieszyć jego reakcję. Mads spuścił wzrok, obracając w ręku kubek z kawą, który stał na stole.

– Czy mogę zapytać, co zrobił Kristian Kaspersen?

Hernes cofnęła się i zerknęła na Jędzę.

– Beate... – zaczęła ostrożnie i widząc pytający wzrok koleżanki, twierdząco skinęła głową.

– Obserwowałyśmy go przez ostatnie tygodnie – zaczęła Jędza z westchnieniem. – Być może sam zauważyłeś, jak wielu pacjentów miał na liście?

Mads przytaknął.

– Średnio sześciu na godzinę, prawda?

– Ostatnio nawet więcej. Jak dobrze wiesz, wielu pacjentów dostaje pod koniec roku kartę bezpłatnego leczenia. Oznacza to, że przez resztę roku nie muszą płacić za konsultacje lekarskie i recepty. Zaczęłam coś podejrzewać, gdy zauważyłam, że na liście Kaspersena figurują nazwiska całej rzeszy ludzi, którzy nie przewijali się przez poczekalnię. Skontaktowałam się z zakładem ubezpieczeń społecznych i załatwiłam kontrolę pacjentów, których rzekomo leczył. Okazało się, że nie tylko zmyślał konsultacje i wizyty domowe, ale też zawyżał koszty dojazdu do przychodni. Nie zostawił nam więc wyboru. Nie mogliśmy go zatrzymać. Trzeba zaznaczyć, że takiej samej kontroli poddano Regine, ale jej praca była bez zarzutu.

Mads przypomniał sobie wściekłą rozmowę małżonków, którą pewnego wieczora usłyszał w korytarzu. Niewykluczone, że Regine wiedziała o machlojkach męża i próbowała go od nich odwieść. Trudno było powiedzieć. Czuł jednak ulgę na myśl, że nie będzie miał z nimi więcej do czynienia. Podniósł wzrok i zobaczył, że Jędza nadal mu się przygląda.

– Wiem, że nie zasługujemy, żebyś zgodził się dalej u nas pracować – przyznała – ale chciałabym ci powiedzieć, że cieszyliśmy się, mając cię u siebie, i myślę, że pacjenci byliby bardzo zadowoleni, gdybyś zechciał zostać.

Mads skinął głową.

– Dziękuję – odparł.

– No i co powiesz?

W głos Hernes wkradła się niecierpliwość.

– Sam nie wiem – odparł i spróbował uśmiechnąć się pojednawczo.

Nie zdążył odetchnąć po spotkaniu z komendantem, a już dostał ofertę. Jeszcze miesiąc temu niezbyt mu się widziało zostać na Hitrze. Nie wspominając o tym, że przed kilkoma dniami sądził, że jest skończony jako lekarz. Wiele zdarzyło się naraz.

– Czegoś sobie życzysz? Możemy coś dla ciebie zrobić, żebyś przyjął posadę?

Hernes zacierała ręce po drugiej stronie stołu.

– Czy możecie coś zrobić? – Mads potarł szczecinę na brodzie. Marzył o tym, żeby się ogolić, wziąć prysznic i zjeść dobry obiad. – Chyba tak. Czy któraś z was zna kogoś w tutejszym Związku Sanitariuszek?

Znów padał śnieg. Mads stał na poboczu, spoglądając w dół na miejsce, gdzie 25 listopada wieczorem znalazł ciało Aldusa Caroliussena. Teraz nastał już 21 grudnia, ale czas jakby się zatrzymał. Padał śnieg, a biały krajobraz był niemal identyczny z tym sprzed miesiąca. Jediną znaczącą różnicę wprowadzał znak drogowy, ścięty przez samochód Starego Doktora, który obecnie znów ustawiono na cokole. Wskazywał w stronę Sandstadu i Hestviki tak, jakby nic się nie stało.

– Niczym się ten stok nie wyróżnia.

Mads zerknął na mężczyznę obok. Roar Pettersen stał z papierosem w kąciu ust i gapił się przed siebie. Jego przerzedzone włosy przykryła już biała powłoczka. Nawet na wąsach zawisły mu płatki śniegu.

– To znaczy miał pecha, że tutaj zginął.

– Nie zapiął pasów – zauważył Mads.

Taksówkarz obrócił się i spojrzał w dal drogi do Fillan.

– Tak czy owak na pewno szybko jechał. A jeleni musiał go zaskoczyć. Właściwie to trochę dziwne. Taka tu otwarta przestrzeń – głęboko zaciągnął się dymem. – Swoją drogą słyszałem, że dzwonił pan wczoraj do żony?

Mads poczuł na sobie ciekawski wzrok Pettersena. Tego wieczora taksówkarz był niezwykle mało mówny. Mads poznał go już na tyle, żeby się domyślić, że na pewno tylko czeka, by zadać to pytanie.

– Nad czymś się zastanawiałem.

– Próbowałem ją nakłonić, żeby powiedziała mi, o co chodziło, ale słówkiem nie pisnęła.

Usłyszałem tylko, że kazał jej pan trzymać język za zębami.

Mads przytaknął.

– Jeszcze się pan dowie – odparł. – Cierpliwości.

Poczuł, że coś wibruje mu w kieszeni. Chwilę później zabrzmiały pierwsze tony *Symfonii losu*. Dawno już nie słyszał tej melodii. Pamiętał, jak go stresowała w tygodniu, gdy pełnił ciągły dyżur. Teraz melodia brzmiała jak błogosławieństwo. Wrócił do pracy, a to było najważniejsze.

Wyjął telefon z kieszeni i odebrał.

– Helmer, pogotowie na Hitrze.

Po drugiej stronie rozległo się chrupnięcie.

– Cześć, tu Brita – odpowiedział dobrze mu znany głos, po czym znów coś chrupnęło.

Brzmiało to, jakby Brita jadła chrupkie pieczywo. I zapewne tak właśnie było. – Słyszałam, że wróciłeś do łask?

– Zgadza się.

– Nie bierz tego do siebie, ale założyliśmy się w Centrali, ile tym razem wytrzymasz.

Brita zachichotała w przerwie między mlaskaniem a żuciem.

– W takim razie nie będę wam psuć zabawy i nie powiem.

– Dobrze.

Na linii dało się słyszeć dzwonek telefonu. Męski głos warknął coś w tle. Brita przełknęła kęs.

– Widzę, że mój zmiennik wysłał cię do niejakiej Sylvii Amundsen. Byłeś już u niej?

– Właśnie wracam. Masz dla mnie nowe zadanie?

Kolejne chrupnięcie i żucie. Mads zaczął cierpliwie. Pettersen cisnął niedopałek w śnieg i dał znak, że wraca do samochodu.

– To twój stary znajomy – odezwała się w końcu Brita. – Gabriela Strøma znowu boli

brzuch.

– Co ty powiesz?

Mads się uśmiechnął. Wizyta u Strøma będzie zwieńczeniem wieczoru.

– Trzy razy już dzwonił i się naprzykrzał.

– Niech zgadnę. Myśli, że to niedrożność jelit.

– Bingo! – Brita zaśmiała się ochryple. – Cholera, tęskniłam za tobą, Helmer. Twój następca nie grzeszył humorem. Jego żona zresztą także nie. No i podobno lubili pieniądze?

– Tak czy inaczej znów zostałem sam. Ale, słuchaj, Brita... Nad czymś się zastanawiam...

– Dawaj.

Mads omiół wzrokiem krajobraz. Z położonego dalej tunelu wyłonił się samochód i wolno podjechał do punktu poboru opłat. Za plecami Madsa Roar Pettersen uruchomił silnik. Reflektory rozświetliły mroki nocy, rzucając na drogę długi cień jego sylwetki. Zawieszony u pasa radiotelefon nadawał mu wygląd rewolwerowca w drodze na ostatni pojedynek na głównym placu w miasteczku.

– Chodzi o przysługę – powiedział. – Małą przysługę.

Kwadrans później skręcili w aleję prowadzącą do posiadłości Gabriela Strøma. Pettersen stanął na pustym podwórzu, a Mads wysiadł. Z dala nadciągnął podmuch i zakręcił śniegiem. W nagłym przeblasku do Madsa wróciły wspomnienia z wieczora, kiedy zginął Stary Doktor. Dzisiaj wszystko jakby się powtarzało. Zerknął na zegarek. Mniej więcej o tej samej porze tu wtedy przyjechał. Pamiętał dźwięki kanału TV2-sport w tle. Gabriel Strøm leżał w fotelu i twierdził, że czuje ból, ale badanie niczego nie wykazało. Trzasnęły drzwi, gdy Pettersen wysiadł z taksówki.

– Ma pan coś przeciwko, żebym się przyłączył? – zapytał.

Mads rozejrzał się po pustym podwórzu. Prostopadle do domu stał podwójny garaż. Na świeżej warstwie śniegu nie było śladów kół.

– Chciałbym porozmawiać ze Strømem na osobności. Przepraszam.

Pettersen pokiwał głową, gdy Mads zerknął nań nad karoserią. Uniósł paczkę papierosów.

– Nie szkodzi, mam ze sobą kolegów.

Mads otworzył tylne drzwi auta i chwyciwszy torbę lekarską, udał się w stronę domu. Jego buty zostawiały głębokie ślady w śniegu. Na schodach zatrzymał się i obejrzał na garaż. Naszła go pewna myśl. Przeszedł przez plac do zwykłych drzwi w garażowej ścianie. Widział po framudze, że nie są zamknięte na klucz. Na Hitrze nikt nie zamykał drzwi. Tak to już tutaj było. Odstawił torbę na ziemię i ujął klamkę. Wewnątrz panowały ciemności, ale dostrzegwał w niej zarysy samochodu. Znalazł włącznik na ścianie i go nacisnął. Zabrzęczała jarzeniówka: garaż w okamgnieniu zalało światło. To musiał być saab. Mads stał, przyglądając się czerwonej karoserii. Nie miał pewności. Ale nigdy też jej nie zdobędzie. Intuicja podpowiadała mu jednak, że to ten samochód widział w drodze na Fillheię. Obrócił się i spostrzegł, że Pettersen przygląda mu się z papierosem w ręku.

– To nowe V6. Ładne, prawda?

Mads zgasił światło i zamknął za sobą garaż. Podniósłszy torbę lekarską, ruszył w kierunku schodów.

– Musiałem zerknąć.

Dotarłszy na miejsce, uniósł rękę, by zadzwonić, ale chwilę przed naciśnięciem guzika rozmyślił się i ujął klamkę. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Owionął go ten sam staroświecki zapach, co przy ostatniej wizycie. Gnijące drewno, jakby z domieszką smoły. Nie była to w każdym razie zdrowa woń. Tym razem nie słyszał dźwięków telewizora. W ogóle niczego nie słyszał. Wszedł, nie zdejmując butów, i zajął do salonu. Pusto.

– Halo? – zawołał i zamarł, nasłuchując odpowiedzi.

Coś usłyszał. Czyżby z pierwszego piętra?

– Halo? – powtórzył, zbliżając się do wygiętych w łuk schodów.

Tym razem udało mu się rozróżnić słowa:

– Tu, na górze, do diabła!

Uśmiechnął się. Gabriel Strøm, bez wątpienia. Ruszył po stopniach, ale zatrzymał się przed fotografią łodzi, która wisiała na ścianie nad pierwszym podestem. Gigant II – obwieszczał podpis. Poprzednik Giganta III, którym Theodor Strøm niecały rok temu wypłynął na morze, i następca kutra, który zdeklasował Stary Parowiec w wyścigach na dystans. Gabriel Strøm nie mylił się, twierdząc, że historia jego rodziny była historią tej wyspy. Na dobre i na złe.

– Nie dotarło do pana? – znowu odezwał się głos.

Mads zerknął w górę schodów, wolną ręką złapał balustradę i podciągnął się. Czas zamknąć sprawę.

...

Gabriel Strøm leżał w pełni ubrany na szydełkowanej narzucie w sypialni na końcu korytarza. Światło było zgaszone, ale nie zaciągnięto zasłon i biel zimy za oknami rozświetlała pokój.

– Sporo się naczekałem – oznajmił typowym dla siebie tonem. Mads przyciągnął krzesło spod okna i usiadł.

– Ale jestem – rzekł, zdejmując kurtkę. – Doszły mnie słuchy, że znowu boli pana brzuch?

Strøm odchrząknął. Nie odrywał wzroku od sufitu. Mads zwrócił uwagę na jego płytki oddech. Płytki i przyspieszony. Odkąd wszedł do pokoju, leżący nie przesunął się ani o centymetr.

Teraz obnażył zęby w grymasie:

– Boli mnie, kiedy mówię – wyszeptał. – Nie mógłby pan po prostu mnie zbadać, żeby było już po wszystkim? Chcę do szpitala!

Mads przysunął się do łóżka. Nachyliwszy się, włączył lampkę nocną. W jej świetle zauważył krople potu na czole Strøma. Wyprostował się na krześle.

– Może pan rozpiąć koszulę czy woli pan, żebym ja to zrobił?

Strøm pokręcił słabo głową. Jego ręce uniosły się, palce znalazły najwyższy guzik.

– I niech pan tylko spróbuje mocno naciskać. Będzie prawy sierpowy, jak Boga Kocham...

– Musi pan nauczyć się ufać swojemu lekarzowi, panie Strøm. Gdyby pan to zrobił, nie miałby pan tej torebki na brzuchu.

Strøm chrząknął z niezadowoleniem.

– Mam wam niby zaufać? Dopiero co dowiedziałem się, że lekarze mordują ludzi.

A może się mylę?

– Rozumiem, że rozmawiał pan z Forsnesem?

– Może mi pan wierzyć. Gdyby Caroliussen żył, osobiście dobrałbym mu się do skóry.

Strøm dalej rozpinął koszulę, a tymczasem Mads rozejrzał się po sypialni. Na komodzie przy sąsiedniej ścianie stał przedmiot, który w półmroku wyglądał na starą fotografię ślubną.

– A gdzie się podziała pańska żona? Znow pojechała na zebranie Związku Sanitariuszek?

– Jest u siostry, w mieście.

Mads wziął oddech. Czas zacząć. Odpiął radiotelefon od pasa i postawił go na stoliku nocnym.

– Tak, teraz, kiedy nie ma już Caroliussena, może pan bezpiecznie wypuszczać ją z domu. Jak długo trwał ich romans?

Palce Strøma zamarły na brzuchu. Jego oddech stał się cięższy. Szarpnął się, próbując usiąść w łóżku, ale w pół drogi do góry wydał rozdzierający wrzask, a głowa z powrotem opadła mu na poduszkę. Leżał roztrzęsiony, wpatrując się w sufit. Mads aż się zdumiał. Zmierzył wzrokiem napięty brzuch, okryty teraz tylko białym T-shirtem. Wyglądało mu to na podręcznikowy przykład podrażnienia otrzewnej. Czyżby u Strøma naprawdę doszło do niedrożności jelit?

– Nie płacę panu za pierdolenie od rzeczy, Helmer.

– Proszę leżeć!

Mads podciągnął T-shirt i położył mu dłoń na brzuchu. Strøm wstrzymał oddech.

– Ostrzegam pana...

Mads powoli przycisnął palce do jego skóry. Zauważył, że im mocniej naciska, tym bardziej wykrzywia się twarz Strøma. Bez zapowiedzi cofnął rękę. W pokoju znów rozległ się przeraźliwy krzyk.

– Ty skurwysynu! – Strøm złapał Madsa za nadgarstek i ścisnął. – Drugi raz pan tego nie robi.

– W porządku.

Mads szarpnął rękę i poczuł, że tamten ją puszcza. Nagle wpadł na pomysł, jak sprawić, by Strømowi rozwiązał się język.

Wstał.

– Tak czy owak nie widzę tu żadnego powodu do hospitalizacji. Wmówił pan sobie chorobę. Dokładnie tak, jak ostatnim razem.

Gabriel Strøm patrzył nań desperacko.

– Przecież nawet mnie pan nie zbadał?

– Owszem. Właśnie to zrobiłem.

Mads uniósł kurtkę oraz torbę lekarską i spokojnie ruszył do drzwi.

– Stój, pan, Helmer. Do jasnej cholery! Poślę po Kaspersena.

– Kaspersen wczoraj wyleciał. A jego żona się zwolniła. Jestem teraz jedynym lekarzem na wyspie, panie Strøm. Musi pan się do mnie dostosować.

Obrócił się w drzwiach i spojrzał w kierunku łóżka. Strøm usiłował podnieść głowę.

– No to czego pan, kurwa, chce?

– Rozmawiałem z byłym kolegą ze studiów, który zajmuje się genetyką medyczną. To, co mi pan opowiedział na temat możliwości dorobienia się na opatentowaniu genu, to bzdura. Populacja Hitry jest za mała, a gen zbyt specyficzny dla tego obszaru. Projekt Caroliussena nie był opłacalny.

Strøm próbował roześmiać się ochryple. Znów się skrzywił.

– I teraz pan mi to mówi – wyszeptał.

– Wiedział pan o tym od dawna. Wytrąciłem pana z równowagi, przychodząc i drażąc kwestie związane z projektem Caroliussena i faktem, że tyle pan w niego zainwestował.

– Niech pan nie wciska mi kitu. Po co miałbym kłamać?

Mads zbliżył się do nóg łóżka. Odstawił torbę lekarską i obiema rękami oparł się o poręcz.

– Ponieważ to pan zapłacił Caroliussenowi, żeby pozbył się pańskiego brata. Theodor był dobrym człowiekiem, miał jednak zupełnie inne wizje niż pan. A kiedy wyciągnął pana z ruiny, trzeba go było dopuścić do zarządzania firmą. Na czym jego zdaniem mieliście się skupić? Na hodowli halibuta? Dorsza? Na czymś, w każdym razie, co nie przynosiło wymiernych korzyści.

Strøm leżał, oddychając płytko i pospiesznie.

– To ten pański pieprzony kolega zabił mojego brata, Helmer. Chciał pieniędzy na projekt.

– Ale przecież to pan sprzeciwiał się jego finansowaniu...

– Bzdury!

– Nie zdaniem Irene Pettersen. Recepcjonistka słyszy więcej, niż się panu wydaje. Strøm oddychał teraz jeszcze szybciej. Przy każdym wdechu rozszerzały mu się nozdrza.

– Blefuje pan, Helmer.

– Więc się pan przyznaje?

– Do niczego się nie przyznaję! Jestem chory. Chcę do szpitala. Mam niedrożność jelit, do diabła. Zupełny zator.

Głowa Strøma opadła do tyłu. Mówienie najwyraźniej go wyczerpywało.

– Tylko ja mogę wysłać pana do szpitala, panie Strøm. Dobrze pan o tym wie. Bez mojej zgody nikt tu nie zajrzy.

– Ty świni! Czego ode mnie chcesz?

– Chcę, żeby powiedział mi pan to, czego jeszcze nie wiem.

Strøm ciężko dyszał.

– Grozi pan choremu człowiekowi. Jeśli to wyjdzie na jaw, straci pan licencję.

– To się okaże, panie Strøm, to się jeszcze okaże. Bywałem już w gorszych opałach. Wyskoczyłem z okna płonącego domu i przeżyłem. A skoro już mowa o pożarach. To pan podpalił dom Caroliussena, prawda?

Z ust Strøma dało się słyszeć jakieś mamrotania, jakby przekleństwa.

– Widziałem pański samochód – rzekł Mads. – Szedłem tą samą drogą.

– Pan i Caroliussen. Jesteście z tej samej gliny – Strøm zaśmiał się z pogardą. – Trzeba panu pieniędzy? Na co? Pan też ma w szufladzie projekt doktoratu?

– Kto wie...

Mads odepchnął się od poręczy i włożył kurtkę.

– Proszę do mnie zadzwonić, jeśli będzie pan miał mi coś do powiedzenia. Ma pan mój numer.

Zignorował stek przekleństw, który dobiegł z łóżka. Złapał torbę i obrócił się do drzwi.

– Dokąd pan idzie?

– Wybieram się do Ovego Forsnesa – odparł, wychodząc na korytarz.

– Proszę tu wrócić. Słyszysz mnie pan? Niech pan siada!

– Nie jest pan chory, panie Strøm. Nie wyślę pana do szpitala.

– Proszę tu przyjść, mówię. Możemy...

Mads obejrzał się. Strøm przewrócił się na bok. Widząc w świetle lampki nocnej, jaki jest blady, Mads poczuł wyrzuty sumienia.

– Co możemy?

Strøm zamknął oczy i przełknął ślinę.

– ...zawrzeć umowę – wyszeptał.

Mads oparł się w fotelu i wybrał numer dyżurny zespołu ratownictwa medycznego.

W salonie na parterze panowała ciemność. Nie chciało mu się włączyć światła. Åge Fjellvaer odebrał telefon po dwóch sygnałach.

– Cześć, mówi Mads.

– No, proszę. Doszły mnie słuchy, że wróciłeś?

– Owszem. Siedzisz w karetce numer jeden?

Fjellvaer mruknął potwierdzająco.

- W takim razie mam dla was zadanie. Gabriela Strøma trzeba zawieźć do Orkdalu.
- Tak? To coś poważnego?
- Ma niedrożność jelit.

Rozłączywszy się, Mads siedział i bawił się radiotelefonem. Słyszał, jak silnik stojącej na zewnątrz taksówki warczy na luzie. Biedny Pettersen zaczął się już pewnie niecierpliwieć, ale odzyska humor, kiedy usłyszy historię, którą przed chwilą opowiedział dyrektor Strømfjordu. Mads przypomniał sobie widok Strøma w łóżku. Stary uwierzył, że kolejnemu lekarzowi zależy na pieniądzach, i czuł, że może mówić bezpiecznie. Swoją drogą dowody przeciwko niemu, którymi rzekomo dysponował Mads, nie miały znaczenia. Fakt, że w dniu pożaru widział na Fillhei czerwony samochód, w żaden sposób nie wiązał Strøma z miejscem zbrodni, a okoliczności udzielenia przez Strømfjord wsparcia finansowego projektowi Caroliussena trudno byłoby udokumentować. Jedynym niezbitym faktem było, że przelew zrobiono po śmierci Theodora Strøma – nie wyróżniał się on jednak niczym, co mogłoby dowodzić, że była to zapłata za wcielenie go w szeregi emerytów. Był to plan idealny. Odkąd brat został współwłaścicielem Strømfjordu, Gabriel z trudem się z nim dogadywał. Theodor Strøm niewiele się zmienił od czasów młodości. Chciał, żeby firma zajęła się pionierską pracą w dziedzinie hodowli i dopomogła w ten sposób całemu Wybrzeżu. Koszty nie grały roli. Sprawy zaszły za daleko w chwili, gdy Strømfjord stracił na hodowli dorsza dwadzieścia milionów koron. Gabriel Strøm skontaktował się wtedy ze Starym Doktorem, który wpadł na pomysł, by zdiagnozować u Theodora demencję. Przy takiej chorobie byłoby niezbędne, żeby ktoś przejął jego udziały, a wybór z oczywistych względów musiałby paść na brata. I wtedy Theodor Strøm wypłynął na morze. Nie zmieniło to sytuacji Gabriela, ale w Caroliussenie ta śmierć obudziła palące wyrzuty sumienia. I co było dalej? Mads przetarł twarz. Z początku nie wyglądało na to, żeby Stary Doktor chciał sypnąć, później jednak Gabriel zaczął przeczuwać, że jego współnik pęknie. Wpadł w popłoch i zrozumiał, że musi zorientować się co do czynów i myśli Caroliussena w związku z otruciem. Od dawna wiedział o istnieniu kartoteki i włamał się tam wieczorem 25 września, podczas gdy Stary Doktor był na próbie letniego spektaklu *Maren – skazana na śmierć*. W piwnicy domu lekarza Gabriel Strøm znalazł teczkę brata, obok odkrył zaś akta opatrzone nazwiskiem swojej żony. Mads przypomniał sobie obraz splądrowanego archiwum. Strøm wpadł w szal, znalazłszy korespondencję miłosną Alvhilde. Szybko się zorientował, że zebrania Związku Sanitariuszek służyły jej za pretekst oraz że jeszcze tego samego wieczora wybierała się rzekomo na jedno z takich spotkań. Śledził ją, kiedy wyjechała z domu, zatrzymał się na zjeździe na Sandstad i zaczekał, aż nadjedzie Caroliussen. Potem dodał gazu, chcąc wbić się w bok jego samochodu. Stary Doktor zauważył go jednak i skręcił na pobocze, przy czym stracił panowanie nad autem i zginął, spadając ze stoku. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności, zdaniem Strøma... który był mu wszakże na rękę. Dyrektor Strømfjordu przestraszył się, że zostanie złapany, więc pojechał do domu, skąd zadzwonił do Centrali Pogotowia, twierdząc, że cały wieczór leżał z bólem brzucha. Było to perfekcyjne alibi, ale okazało się zupełnie niepotrzebne. Nie podejrzewano przecież, że śmierć Caroliussena nie była wynikiem przypadku.

Mads przypiął radiotelefon do pasa. To była wprost niewiarygodna historia. Z pewnością nie dałoby się jej udowodnić. Gabriel Strøm również zdawał sobie z tego sprawę i czuł się na tyle bezpieczny, że odważył się wygadać Madsowi. Zarazem jednak wiele ryzykował. Dlatego zaproponował mu pieniądze. W zamian za niezawiadomienie komendanta w trakcie śledztwa miałby on dostać milion koron.

Mads uniósł komórkę i wyszukał numer Centrali Pogotowia. Najwyższy czas zgłosić pacjenta. Już miał nawiązać połączenie, gdy telefon zaczął wibrować, po czym odezwała się *Symfonia losu*.

Brita go uprzedziła.

– Halo, tu Helmer, pogotowie na Hitrze.

– Halo, halo. Tu Centrala. I ty to nazywasz małą przysługą?

Na linii zatrzeszczał jej ochryply śmiech. Mads zerknął na radiotelefon, chcąc się upewnić, czy go wyłączył. No tak, pamiętał o tym. A w sypialni na piętrze najwyraźniej wystarczająco długo wciskał guzik alarmowy. Tym razem działał świadomie.

– Więc słyszałaś?

– Spokojnie. Mamy wszystko na taśmie. Jest tylko jeden mały problem.

– Tak?

Głos Brity stał się cichszy, kiedy kontynuowała:

– W pierwszej części rozmowy popsuła się jakość dźwięku. Nie wydaje mi się, żeby dało się zrozumieć coś z tego, co mówicie, zanim Strøm stwierdza, że za to, co robisz, odbiorą ci prawo wykonywania zawodu. Niemniej jednak... – znów się roześmiała – ... niemniej jednak reszta jest w pełni przydatna. No to co zrobisz z milionem? Nie chciałbyś się ze mną podzielić?

Mads uśmiechnął się.

– Nie jestem taki pewien, czy wpadnie nam ten milion – odparł.

Anwar Ahmed nie wyglądał zdrowo, póleżąc w łóżku szpitalnym z uniesionym oparciem. W jego nosie tkwił cewnik tlenowy, twarz miał zaś bladą i podrapaną. Odłączono go już jednak od respiratora, a w trakcie półgodzinnej rozmowy Mads nie dopatrzył się u niego żadnych oznak kłopotów z głową. Do tego samego wniosku doszli lekarze z oddziału intensywnej terapii. Ordynator, z którym rozmawiał Mads, był zdania, że Anwar wymaga kilkumiesięcznej rehabilitacji, ale kiedy ją zakończy, będzie mógł wrócić do pracy w pełnym wymiarze. Nie było zresztą pośpiechu. Kashif przejął zarząd nad Pizzerią Betlejem i w razie czego był gotów pełnić obowiązki aż do późnej wiosny.

Skrzypnęły drzwi. Mads obejrzał się i zobaczył, że do pokoju wchodzi pielęgniarka oddziałowa, która go tu pokierowała. Uśmiechnęła się do nich, podeszła do łóżka i pogłaskała Anwara po policzku. Na swój sposób przypominała Madsowi Charlotte. Zarazem silna i życzliwa.

– Wygląda na to, że dość już na dzisiaj wizyt.

Mads zrozumiał aluzję i wstał.

– Muszę tylko dokończyć historię o jeleniu – rzekł Anwar, dźwigając się w łóżku.

Pielęgniarka westchnęła.

– Znowu te jelenie?

– Znowu te jelenie – przytaknął.

– Która to tym razem? Ta o nieprzytomnym jeleniu w łazience?

Anwar pokręcił głową.

– Inna – odparł. – Chce pani posłuchać?

Pielęgniarka machnęła ręką.

– Chyba sobie daruję. Wróć za pięć minut i macie być wtedy gotowi – powiedziała i wyszła. Mads znów usiadł, a Anwar skrzywił się, tak jakby myślał intensywnie.

– Na czym skończyłem?

– Do ciężarówki wpadł właśnie jeleni przez przednią szybę i siedzi teraz na fotelu pasażera z nogami na desce rozdzielczej i głową opartą o zagłówek.

– O, właśnie – zachichotał Anwar. – Kierowca nie miał zielonego pojęcia, co zrobić. Jeleń żył. Stękał i kwękał jak przy godach, a drań był tak wielki, że nie dało się go wyciągnąć z auta. W okolicy nie było żywego ducha, więc kierowca nie miał do kogo zwrócić się o pomoc. Wysiadł na zewnątrz i się zamyślił. A jak wiesz, mieszkańcy Hitry nie spieszą się, kiedy myślą. Pół godziny później nadjeżdża samochód. Zatrzymuje się i wysiada z niego facet, który podchodzi do ciężarówki i zastyga, gapiąc się na jelenia.

„Jak on się tam znalazł?” – pyta w końcu.

Kierowca wzrusza ramionami i wyjaśnia.

„Wyskoczył znikąd i zupełnie nie wiem, co zrobić. Nie mogę go wyciągnąć ani jechać dalej”.

Nowo przybyły podrapał się po głowie i odchrząknął.

„Trzeba zadzwonić do Dyrekcji Ochrony Środowiska!”, mówi.

„Ale ja nie mogę”, kierowca na to.

„Tak?” – dziwi się facet. „A to dlaczego?”

„Bo jeleni usiadł mi na telefonie”.

Anwar ze śmiechem oparł się w łóżku. Mads uśmiechnął się z grzeczności. Nie miał serca powiedzieć przyjacielowi, że słyszał już tę historię. Wstał.

– Muszę iść, zanim mnie wyrzucą.

Anwar obiema rękami złapał go za prawą dłoń i mocno ją uściskał.

– Dobrze, że przyszedłeś – powiedział. – I dziękuję za wszystko. Nawet nie wiesz, jaki jestem ci wdzięczny.

Jego oczy lśniły zdrowo.

– Wpadnę do ciebie w Wigilię.

– Nie wybierasz się do ojca?

Mads pokręcił głową.

– Będzie u mojego brata. A tobie trzeba przecież towarzystwa?

Anwar przybrał przepraszającą minę.

– No wiesz... Przyjdzie Sissel i...

– Chcielibyście być sami? Nie ma sprawy. No to może w Boże Narodzenie?

Anwar skinął głową i opadł na poduszki.

– Brzmi nieźle. Zdaniem szefa za dużo wrażeń naraz mnie męczy.

Wysunął do góry kciuk i mrugnął.

– Zatem do zobaczenia! – Mads ruszył do drzwi.

– Poczekaj, Mads. Nad czymś się zastanawiałem.

Kiedy się obejrzał, Anwar dźwignął się w łóżku.

– Tak?

– Chodzi o historię braci Strømów. W jaki sposób wpadłeś, jak to z nimi było?

Mads podszedł do nóg łóżka.

– To Marek Bukowski naprowadził mnie na trop. Powiedział, że w Hollywood kochanki oznaczają zwykle kłopoty. Caroliussen bez wątpienia jechał do swojego gniazdka miłości tego wieczora, kiedy wypadł z drogi. Pamiętałem, że Gabriel Strøm powiedział mi wtedy, że jego żona pojechała na zebranie Związku Sanitariuszek. Zadzwoiłem do Irene Pettersen, która również należy do Związku, żeby sprawdzić, czy faktycznie zaplanowano tego dnia spotkanie. Okazało się, że nie. Kiedy w dodatku przekonałem się, że Strøm zawsze miał czerwony samochód i że projekt opatentowania genu był tylko jego wymysłem, pomyślałem, że coś jest na rzeczy. Poza tym była też pewna kwestia związana z Theodorem Strømem.

– Czyli?

– Nie wydaje ci się trochę dziwne, że człowiek, który całe życie poświęcił pionierskiej pracy, miał tupnąć nogą i sprzeciwić się finansowaniu cudzego innowacyjnego projektu? Wiedziałem wprawdzie, że Caroliussen powiedział ordynatorowi Flodowi w Lørenskog, że działał w pojedynkę, ale może zamierzał wyznać prawdę, nie pogrążając Gabriela Strøma. Myślę, że to siebie najbardziej obwiniał.

– A córka Starego Doktora? Myślisz, że Gabriel po prostu ją odwiedził i wykupił jej udział w sprawie, kiedy za bardzo zbliżyłeś się do prawdy?

Mads wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem – odparł. – I nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć.

Anwar westchnął.

– Okłamujesz sam siebie. Powinieneś pojechać i z nią porozmawiać.

– Co, ja?

Mads roześmiał się, ale szybko umilkł. Anwar rozpostarł ramiona.

– Twój wybór – stwierdził. – Ale wiesz, co ja zrobiłbym na twoim miejscu.

Znowu skrzypnęły drzwi. Mads obrócił się i zobaczył, że do pokoju wsuwa głowę pielęgniarka. Uniósł ręce w obronnym geście.

– Już wychodzę – rzekł, ruszając do wyjścia.

W korytarzu stanął i zerknął na zegarek. Była trzecia w sobotę przed Wigilią. Wydało mu

się, że pamięta, jak w rozmowie z matką Line wspomniała, że tego dnia miał wpaść z wizytą jakiś Edvardsen. Zaczekał na pielęgniarkę.

– Przepraszam – powiedziała, zatrzymując się przy nim – ale tyłu was przychodzi, wie pan. Krewnych, przyjaciół, kolegów...

– Nie ma problemu. A przy okazji... Mogę panią o coś zapytać?

– Jeśli to kwestia medyczna, proszę się zwrócić do lekarza.

– Nie, chodzi o coś innego – odchrząknął i zmierzył ją wzrokiem. Musiała mieć koło pięćdziesiątki. Nie było to więc niemożliwe. – Czy kiedy zaczynała pani pracować, był tu jeszcze profesor Schönfelt?

Pielęgniarka nagle głośno się roześmiała.

– Stary Schönfelt, tak. No pewnie. Takich ludzi się nie zapomina. Był człowiekiem-instytucją, lekarzem ze starej szkoły. Znał go pan?

Mads pokręcił głową.

– Znam trochę jego córkę – odparł. – I z tego, co mi wiadomo, wybiera się dzisiaj do swojej matki. Nie orientuje się pani przypadkiem, gdzie teraz mieszka wdowa Schönfelt?

...

Nie miał długiej drogi do przejścia. Dom numer 33 na ulicy Klostergata w Trondheim znajdował się kilka przecznic od Szpitala Świętego Olafa w stronę centrum. Była to wykwintna kamienica, położona przy skrzyżowaniu w kształcie litery V. Mads stanął na drodze i przyjrzał się oknom od frontu. Niewykluczone, że wizyta tutaj była niepotrzebna. Z drugiej strony wiedział, że nigdy nie odzyska spokoju, jeżeli znów nie spojrzy Line Schönfelt w oczy. Ruszył po schodach do wejścia. Przy drugim guziku dzwonka od góry widniało nazwisko Schönfelt. Przez chwilę stał, rozważając, co powiedzieć do domofonu, gdy wtem za jego plecami szczerknął zamek. Odwrócił się i zobaczył, że z domu wychodzi starszy mężczyzna.

– Ja do pani Schönfelt – rzekł Mads, napotkawszy jego podejrzliwe spojrzenie, co poskutkowało aprobującym skinięciem.

Wemknął się do środka. W budynku pachniało Bożym Narodzeniem. Może dzięki choince stojącej na samym dole klatki schodowej. Nie był pewien. Przeczytał tabliczki na drzwiach po obu stronach, ale widniały na nich nieznane mu nazwiska. Ruszył po schodach i dotarłszy na ostatnie, trzecie piętro, zobaczył nazwisko Schönfelt na drzwiach mieszkania od północnej strony. Przez kilka sekund stał, by uspokoić oddech. Ostatnio miał kilka nieprzyjemnych konfrontacji, żadna jednak nie mogła się równać tej. Czego on tu szukał? Może rehabilitacji. Nie, nie tylko. Chodziło o coś więcej. Nad pewnymi sprawami nadal się głowił. Nacisnął powlekany mosiądzem guzik dzwonka i odstąpił na bok, żeby nie być widocznym z judasza. W mieszkaniu rozbrzmiały kroki, po czym odezwał się wysoki głos. Chwilę później drzwi się otworzyły i ten sam głos powiedział:

– Witam was...

Po czym zaległa cisza.

W drzwiach stała starsza kobieta. Była ubrana w elegancką, szkarłatną sukienkę. Miała mlecznobiałe włosy i życzliwy wyraz trójkątnej twarzy – która nie pozwoliła Madsowi wątpić, kogo przed sobą ma. Pomimo upływu czasu trudno było się dziwić, dlaczego Aldus Caroliussen uległ tej kobiecie.

– Pani Schönfelt. Przepraszam, że przeszkadzam. Nazywam się Mads Helmer.

Wyciągnął rękę, której nie uściśnęła. Stała tylko z jedną nogą za drzwiami i mierzyła go wzrokiem – od stóp do głów. Błogosławił się w duchu za to, że na tę okazję włożył koszulę,

sztruksowe spodnie i porządne, skórzane buty. Nie żeby odniósł wielki sukces: kobieta nadal patrzyła nań wyczekująco.

– Przechodziłem w pobliżu – ciągnął. – Jestem znajomym pani córki, lekarzem na...

– A, jest pan lekarzem – kobieta nagle uśmiechnęła się miękko i wyszła na klatkę schodową. Serdecznie uściśnęła jego rękę. – Line może przyjść w każdej chwili. Nie zechciałby pan wejść do środka? Właśnie grzejemy glögg, a dla tych, którzy wolą kawę, znajdzie się filiżanka.

– Nie chciałem się narzucać, pani Schönfelt. Ja...

– Ależ nie ma mowy o narzucaniu – stanowczo ujęła go za nadgarstek i wciągnęła za próg. – Są przecież święta, trzeba improwizować. Zawsze znajdzie się miejsce dla nieoczekiwanego gościa.

W powietrzu unosił się ciężki, słodki zapach glögg. Mads stał w rzęście oświetlonym korytarzu, rozglądając się z zakłopotaniem. Korytarz biegł dalej na ukos w lewo. Przeszkłone drzwi po prawej prowadziły do salonu. Z miejsca, w którym się znajdował, widział duży fortepian, stojący przy jednym z okien. Opierały się o niego dwie kobiety w wieku gospodyni, ciekawsko popatrujące w stronę korytarza.

– Line zawsze narzeka na wysoką średnią wieku na naszych przyjęciach – szepnęła pani Schönfelt. – Odwiesić pański płaszcz?

Napotkał spojrzenia kobiet przy fortepianie i uklonił im się uprzejmie. Odpowiedziały tym samym. Nie tak to sobie wyobrażał, ale, jak już powiedziano, należało improwizować.

– Dziękuję – rzekł, pozwalając, by gospodyni ściągnęła mu płaszcz z ramion.

– Dołączmy do pozostałych.

Pani Schönfelt wprowadziła go przez szklane drzwi. Okna salonu, w którym się znaleźli, wychodziły przed kamienicę w kształcie litery V. Ciągnęły się rzędem w zwróconej na północ fasadzie, a roztaczała się z nich panorama rzeki Nidelvy z katedrą Nidaros w samym rogu.

– To przyjaciel mojej córki – oznajmiła pani Schönfelt stojącym przy fortepianie kobietom, wskazując Madsa ramieniem w ramach prezentacji. – Jest lekarzem.

– O, naprawdę? – spytała jedna.

– To wspaniale.

Mads uściśnął ręce obu pań i się przedstawił. Od ściany oderwał się chuderławy nastolatek w garniturze z za dużym kołnierzykiem. Napomniany, podał Madsowi rękę, odwracając wzrok. Mads ujął wiotką dłoń i przywitał się.

– Bastian – wymamrotał chłopak.

– Mój wnuk – pochwaliła się jedna z kobiet.

Mads się cofnął. Pani Schönfelt wyglądała na zadowoloną.

– Przynieść panu kubek glögg? – spytała.

– Najchętniej napiłbym się kawy. Czarnej kawy – odparł, ale ona zdążyła już pobiec do kuchni i chyba go nie usłyszała.

– Więc jest pan lekarzem – zagadnęła jedna z kobiet. – Zapewne nie zdobył pan jeszcze specjalizacji?

Mads pokręcił głową.

– Liznałem nieco chirurgii – odparł. – Ale teraz zajmuję się medycyną rodzinną.

– Ooo, chii-ruur-giii! – zawołała druga z zachwytem w głosie. Najwyraźniej puściła mimo uszu jego drugie zdanie. Szturchnęła w bok chłopaka, który błędził wzrokiem daleko ponad dachami w centrum miasta. – Słyszysz, Bastian? Ten pan jest chiruuur-gieem.

– Wspaniały zawód – przytaknęła pierwsza. – Tylko pomyśleć, że można trudnić się krojeniem ludzi. Tak, to imponujące, czego potraficie dokonać. Ale z drugiej strony ciąży na was

straszna odpowiedzialność. Straszna! Z pewnością macie też długie dyżury. Pobudka w środku nocy i...

– Mnie by się w każdym razie nie chciało! – wyprostował się nastolatek. Zapusił obie ręce w kieszenie spodni i z pogardą odrzucił głowę. – Nigdy nie mogłem zrozumieć, co jest takiego super w lataniu w białym fartuchu po nocy, kiedy inni śpią. Nie ma już przyjemniejszych sposobów na zarabianie czy co?

– Oj, Bastian. Nie mów tak...

Mads uśmiechnął się.

– Ależ nic nie szkodzi.

Przechwyciwszy uparte spojrzenie nastolatka, przypomniał sobie białego mercedesa na szkolnym dziedzińcu i pełen nadziei wzrok matki, wyczekującej, aż z samochodu wysiądzie chirurg. Ten chłopiec był zupełnym przeciwieństwem jego samego w tamtym okresie.

– Każdy ma prawo do własnych poglądów.

Klepnął chłopaka w bok. Nastolatek drgnął, tracąc sztywność, po czym się wycofał.

Z korytarza dobiegł trzask. Mads natychmiast uniósł wzrok. Przez szklane drzwi ujrzał, jak wysoka postać z długimi blond włosami przestępuje próg. Poczuli, że w jego piersi rozlewa się niechęć, gdy zawołała:

– Cześć, mammo!

Pani Schönfelt szybkim krokiem wyszła z kuchni.

– Cześć, skarbie!

W rękę trzymała kubek przeznaczony dla Madsa i podała mu go w drodze. Przyjął napój i stał jak sparaliżowany, przyglądając się Line Schönfelt rozpinającej suwak wysokich kozaków.

– Wpadł do nas twój znajomy – powiedziała matka. – Zaprosiłam go do środka.

Line zerknęła w górę.

– Wpadł tutaj? Kto...?

Urwała w samym środku zdania z wzrokiem utkwionym za przeszklonymi drzwiami. Jej oczy otworzyły się szeroko. Mads przełknął ślinę i zwrócił się do dwóch starszych kobiet.

– Przepraszam – rzekł, po czym wyszedł na korytarz. Zatrzymał się w drzwiach i oparł o framugę. Zaczął już trochę żałować, że tu przyszedł.

– Cześć – powiedział.

Spuściła wzrok i wróciła do ściągania kozaków. Cisza, która zapadła, bynajmniej nie była przyjemna. Pani Schönfelt zerknęła na Madsa, po czym przeniosła wzrok na córkę. Widać było, że reakcja Line wprawiła ją w zakłopotanie.

– Dasz nam pięć minut, mammo?

Line spojrzała na matkę, która uśmiechnęła się niepewnie.

– Oczywiście, skarbie.

I znów zerknęła na Madsa, po czym minęła go pospiesznie. Postąpił krok naprzód i usłyszał, jak pani Schönfelt zamyka drzwi do salonu.

– Rzykant z ciebie...

Zdjęła długi, czarny płaszcz i odwiesiła go na jednym z kołków przy drzwiach. Poznał zapach wanilii, który rozniósł się w korytarzu, ale nie wzbudził on w nim tych samych uczuć, co kiedyś. Czuli teraz ból w przeponie, który zdawał się narastać.

– Nie przyszedłem tu z uprzejmości.

– Nie? A po co?

– Przyszedłem cię ostrzec.

– Ostrzec? – odrzuciła głowę i się roześmiała. – Myślisz może o komendancie? Dzwonił już do mnie. Mogłeś oszczędzić sobie trudu.

Długo mierzyli się wzrokiem. Pod twardą fasadą dostrzegł cień niepewności na jej twarzy. Dodało mu to otuchy.

– Chciałbym też o coś cię zapytać – dodał.

Demonstracyjnie powoli wzięła oddech. Jej ramiona splotły się na piersiach.

– Pójdiesz, jeśli odpowiem?

– Owszem.

Odstawił kubek glögggu na komodę przy ścianie i postąpił do przodu. Line cofnęła się o krok.

– Rozmawiałem z Gabrielem Strømem i znam całą historię.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, o jakiej historii mówisz.

Jej głos zabrzmiał równie buntowniczo jak ton nastolatka na przyjęciu.

– Wiem, że umówiłaś się z Gabrielem Strømem, że podpalicie dom służbowy lekarza i zrobicie ze mnie kozła ofiarnego. Jednak to, nad czym się zastanawiam, zdarzyło się wcześniej. Po tym, jak Theodor Strøm wypłynął na morze, ale jeszcze zanim twój ojciec wypadł z trasy.

Line potrząsnęła głową.

– To beznadziejne – stwierdziła. – Nie wiem, do czego zmierzasz.

– Twój ojciec potrzebował niemal roku, żeby postanowić, że odda się w ręce policji. Ktoś musiał uprzedzić o tym Gabriela Strøma. To byłaś ty, prawda?

Zauważył zmianę na jej twarzy. Nie był pewien, czy wreszcie ujawniły się u niej skrywane wyrzuty sumienia, czy tylko mu się zdawało.

– I pójdiesz, jeśli odpowiem?

– Już ci to obiecałem.

Przeszedł przez pokój i zdjął płaszcz z kołka. Przyglądała mu się, gdy go wkładał. Wciąż się nie odzywała, kiedy pochylił się i znalazł skórzane buty. Wyprostował się. Wtedy spuściła wzrok.

– To nie było tak, jak ci mówiono.

– Czyli to twoja sprawka?

– Przyszedł do mnie zupełnie rozbity. Wyobraziłam sobie, cóż to będzie za katastrofa, jeśli wszystko wyjdzie na jaw, i skontaktowałam się z Gabrielem Strømem, żeby przeszkodzić ojcu. Nie miałam pojęcia, czym to się skończy.

– A kiedy przyjechałaś na wyspę i zapukałem do twoich drzwi, zrozumiałaś, że mogę pomóc ci zmusić Strøma do handlu. Bo chyba nigdy nie zależało ci na poznaniu prawdy? Już ją znałaś.

Podniosła wzrok.

– To były już dwa nowe pytania.

Zacisnął zęby. Poczul narastającą irytację. Przyznał jej jednak słuszość: nie potrzebował odpowiedzi, bo wiedział już wszystko, co mu było niezbędne. Postąpił w stronę drzwi, ale zauważył, że tym razem ruszyła za nim. Staął i spojrzał na nią. W jej wzroku pojawiła się czułość.

– No, proszę, Mads. Nie gniewaj się na mnie.

– Gniewać się? – uśmiechnął się zawzięcie. – Bynajmniej. Po prostu cieszę się, że już po wszystkim.

– Cóż. Mnie jest przykro... przykro, że cię zraniłam.

Wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku.

– To świetnie – odparł. – Ale jeśli wydaje ci się, że uratuję ci skórę, to się grubo mylisz.

Wzięła oddech. W jej oczach pojawiły się łzy. Potem cofnęła się o krok i zerknęła do

salonu. Reszta towarzystwa zebrała się wokół fortepianu, tocząc wyraźnie wymuszoną rozmowę, a jednocześnie zerkając ukradkiem w stronę korytarza.

– Powinam już do nich wrócić.

Uśmiechnęła się z rezygnacją. Przez sekundę wydało mu się, że dostrzeża w niej to, co widział tamtego wieczora na szczycie schodów w domu Caroliussena. Poczł przemożną potrzebę, by ją do siebie przyciągnąć, ale udało mu się opanować. Ukłonił się i ruszył do drzwi.

– Wiesz – usłyszał za plecami jej głos – gdyby nie pewna osoba, to być może nic z tego wszystkiego by się nie zdarzyło.

Otworzył już drzwi wyjściowe, ale uległ pokusie, żeby się odwrócić.

– Pewna osoba? Kto?

W uśmiechu, który przybrała, wróciła przekora.

– Nie domyśliłeś się? Szkoda.

Ścieżka nad brzegiem Nidelvy była drogą okrężną dla kogoś, kto szedł do portu, by wsiąść na pokład Ekspresu Wybrzeża. Miał jednak wiele czasu. Poza tym musiał się przejść. Myślał o ostatniej uwadze, którą usłyszał z ust Line. Pewna osoba wprawiała tryby w ruch. Ale kto taki? Pokręcił głową nad samym sobą. To zapewne tylko jedno z wielu pytań, które będzie sobie zadawać raz po raz w nadchodzących latach, podczas gdy człowiek, który mógł udzielić mu odpowiedzi na większość z nich, nie żył. Ale w którymś momencie historia musiała dobiec końca. Czas już było żyć dalej.

Przeszedł przez most Elgeseter. Katedra Nidaros królowała na zasłanym bielą wzgórzu po przeciwnej stronie mrocznej rzeki. Miał teraz ważniejsze rzeczy na głowie. Przyjął stałą posadę na Hitrze, ale nie musiał przecież zostać tam na zawsze. Może tylko przez rok albo dwa. Może nawet krócej. A może dłużej. Ostatecznie spodobało mu się na wyspie, a ludzie zaczęli go cenić. Przypomnił sobie krnąbrne słowa nastolatka na przyjęciu. On sam zabrał się do zawodu ze złej strony, ale z całą pewnością podążał już we właściwym kierunku. Najbliższy czas zamierzał poświęcić na odkrycie, dokąd prowadzi ta właściwa droga.

Z kieszeni płaszcza dobiegł go dźwięk dzwonka. Wyjął telefon i spojrzał na wyświetlacz. Numer z Hitry. Odebrał połączenie.

– Tu Mads.

W tle zabrzmiała melodia grana na gitarze, po czym wreszcie odezwał się głos.

– Z tej strony Arild. Jesteś jeszcze na Hitrze?

– Jestem w Trondheim, ale niedługo wybieram się na Ekspres Wybrzeża. Czemu pytasz?

– rozmówca dyszał ciężko w słuchawce. – Halo, Arild? Co ty tam robisz?

– Noszę! Muszę ogarnąć sprawy do wieczora. Przyjdiesz?

– Na co mam przyjść?

– Na koncert Kentów! Kent gra unplugged na Hitrze. Będą nagrywać płytę i takie tam.

Mads stanął. Kent na Hitrze?

– Tak, tak. Słyszę twoje myśli – ciągnął Arild. – A czego, u licha, mieliby u nas szukać Kenci? Ale chodzi po prostu o snus. Parę lat temu wypromowałem nową markę snusu w Szwecji i w ramach marketingu obdarowaliśmy wielkim zapasem między innymi gitarzystę grupy. Poza tym dla Szwedów Hitra jest gorąca i egzotyczna, no wiesz! Tu się dopiero dzieje!

Mads parsknął śmiechem. Aha, snus. Faktycznie, swego czasu dowiedział się z „Hitry-Frøi”, że Arild i tym się zajmował. Ale w to, że Hitra była gorąca, musiał jeszcze uwierzyć. Wtem uderzyła go pewna myśl. Natychmiast poczuł, że skacze mu puls.

– Ech... słuchaj, Arild.

– Tak?

– Czy Bryndis jest gdzieś w pobliżu?

– Kręci się tutaj, tak. Ale dałem jej wolne na wieczór, skoro jej bohaterowie przyjechali na wyspę.

Mads się uśmiechnął. Co do Bryndis nie potrzebował już czasu do namysłu. Była dla niego stworzona. No i miał wolne przez całe święta.

– Ty, Arild – zaczął i przełknął ślinę. Poczul już drżenie w piersi. – Podaj telefon Bryndis, dobrze?

...

Aldus Caroliussen stał w ciemnościach przed przychodnią i przyglądał się ceniom tańczącym na pokrytych mrozem oknach przebieralni. Ostry jesienny wiatr szarpał połami jego płaszcza, przyciskał go więc do ciała wyprostowanymi ramionami, z rękami zapuszczonymi w kieszenie. Nie miał w zwyczaju urządzać sobie takich spacerów, tego wieczora jednak gnębiło go złe samopoczucie, którego nie potrafił zagłuszyć lekturą ani słuchając radia, tak jak to zwykle robił. Wydało mu się naturalne przejść się do przychodni, gdzie zawsze czuł się jak w domu.

Rozejrzył się. W ciągu zaledwie kilku lat ten kompleks zmienił centrum Fillan w coś więcej niż skrzyżowanie. Jeszcze do niedawna przychodnia mieściła się w źle wentylowanych, ciasnych przestrzeniach na pierwszym piętrze siedziby banku Fokus za jego plecami. Kiedyś za jego sprawą przeniesiono tam przychodnię z jeszcze mniejszego lokalu w Urzędzie Gminy. Teraz również użył swoich wpływów, przypochlebił się politykom i właścicielom gruntów. Zbudowanie Centrum Zdrowia pochłonęło jednak więcej czasu niż wszystkie inicjatywy, w których dotąd uczestniczył, choć do każdego z pewnością dotarło, że ta inwestycja to najlepsze, co zdarzyło się Fillan, odkąd zaczęto je stawiać na bagnisku. Teraz wystarczyło już tylko skłonić upartych ludzi z Frøi do współpracy w kwestii wspólnych dyżurów i cały rejon zyska wydajny zespół lekarzy z prawdziwego zdarzenia. Tym projektem musiał jednak zająć się ktoś inny. Jego czas dobiegł końca. Wiedział to. Wiedział to już od wielu miesięcy, ale dotychczas nie był w stanie przyznać tego przed samym sobą.

Jego wzrok powędrował w stronę przebieralni. Po wszystkich latach, które tu przepracował, nadal czuł ukłucie żalu, kiedy tak stał na zewnątrz i zaglądał do środka. Bywało też, że nie posiadał się z niezadowolenia. Przez lata wyspę nawiedzali lekarze tymczasowi, których praca miała różną jakość, a w większości łączyło ich raczej umiłowanie pieniędzy niż zaangażowanie. Nowy, młody lekarz różnił się jednak od nich. W tej niemalże irytująco skromnej postaci było coś, co Caroliussen lubił, coś co budziło w nim nieodpartą ochotę wyznania tego, co ostatnio spędzało mu sen z powiek. Musiał przyznać, że drażniło go to pragnienie. Tak, dziwnie go drażniło. Z czasem zrozumiał, dlaczego. Mads Helmer reprezentował rzetelność, której tak długo wyczekiwał. Miał cechy niezbędne u spadkobiercy. Do tego dochodziła jego przeszłość. Helmer doświadczył tego, czego najbardziej obawiali się lekarze: utraty pacjenta. W przeciwieństwie do niego samego, wziął na siebie odpowiedzialność. Tak, w istocie uznał swoją winę surowiej, niż powinien. I przyjechał na Hitrę, by odpokutować.

Aldus Caroliussen odwrócił się i ruszył do domu. Prognozy podawały, że w tym tygodniu spadnie śnieg. Nie wiedział, czy im wierzyć, ale jeśli nie kłamały, to nie miał nic przeciwko odrobinie odmiany od typowej dla Trøndelagu pogody. A cóż mogło być lepszego niż śnieg w ostatnie Boże Narodzenie, które zamierzał tu spędzić? W niedzielę powie trupie teatralnej, że wycofuje się z letniej inscenizacji. Potem zaś, pewnego dnia w nadchodzących tygodniach, kiedy już zbierze dość odwagi, pójdzie do Ovego Forsnesa i wyłoży karty na stół. Nie widział innego wyjścia. On również musi odpokutować swój błąd.

Jeszcze raz przystanął i obejrzał się za siebie. Światło w przebieralni zgasło. Świeciło się

już tylko w jednym gabinecie. Martwiła go pewna rzecz. A mianowicie, czy Mads Helmer zechce pozostać na Hitrze po jego odejściu. Jeśli Helmer opuści wyspę, nie będzie tu już kompetentnych lekarzy. Potrząsnął głową. Nie, Helmer zostanie. Nie był typem, który uciekał od odpowiedzialności. Najlepiej opisał go właściwie Petter Flod: Był za dobrym człowiekiem na chirurga.

Aldus Caroliussen spacerował dalej. I wtedy to zauważył. Podniósł głowę i zapatrzył się w niebo. W rzeczy samej. W powietrzu unosiły się białe kryształki.

Śnieg.

Uśmiechnął się błogo.

Czyli jednak będziemy mieli białe święta.



AUTOR PRAGNIE SZCZEGÓLNIIE PODZIĘKOWAĆ:

Janicie Holm, Janowi Kristoffersenowi, Hege Kaasbøll, Leifowi Langdalowi, Steinowi Olavowi Sivertsenowi, Robertowi i Grete Skaarom, Kari Strøm i Sveinowi Bertilowi Saetherowi za pomoc, informacje i dobre rady dotyczące warunków życia na Hitrze.

Jeanette Koht, Ellen Rud i Torsteinowi Valsetowi za wskazówki dotyczące medycznych aspektów powieści.

Christopherowi Grøndahlowi, Leviemu Henriksenowi, Bjørnowi Olafowi Johannessenowi, Jonowi Risdalowi i Perowi Schreinerowi za nieocenione rozmowy.

Oddvarowi Aurstadowi, Irene Engelstad i Gro Hegdal z wydawnictwa Gyldendal za poświęconą uwagę.

I wreszcie Marit Catherine za całą jej pomoc i cierpliwość.

Christer Mjåset

Bergen, sierpień 2008

